

Na królewskim dworze

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

NA KRÓLEWSKIM DWORZE

Czasy Władysława IV

Tom I

DO CZYTELNIKA

Nie piszemy zwykle przedmów, znajdując je co najmniej zbytecznymi. Książka lub się sama tłumaczy i usprawiedliwia, albo mimo obrony pozostanie, czym jest — chybioną. Nie idzie też nam o żadne zalecenie jej formy i treści, ale o wyjaśnienie źródeł.

Nadzwyczajnym szczęściem dostał się nam nie wydany i nie znany ułamek dziennika

sekretarza królowej Marii Ludwiki, pana Desnoyers, tego samego, którego późniejsze listy wydane zostały. Z niego wzięliśmy najdrobniejsze szczegóły przybycia, pobytu i pożycia królowej, nie potrzebując nic a nic fantazją wypełniać, bo materiału mieliśmy aż nadto. Jakkolwiek się to więc komu zdawać może, co tu piszemy, wszystko jest prawdziwym. Często tylko zbyt jaskrawy szczegół wypadło złagodzić.

Oprócz tego dziennika do opisu Warszawy za Władysława IV użyliśmy nieoszacowanego

Jarzębskiego. Nie tych obłamków, które wydrukował Niemcewicz w swoich *Pamiętnikach*, ale całego owego, nadzwyczaj rzadkiego *Gościńca*.

Jeden, jedyny dostępny i wiadomy egzemplarz znajduje się w Bibliotece Kórnickiej, która

go nam łaskawą była użyczyć, za co składamy jej dzięki. Notatka na nim dowodzi, że Niemcewicz dostał go w podarunku od księdza Alojzego Osińskiego, a sam potem ofiarował hrabiemu

Działyńskiemu.

Egzemplarz dotąd jedyny znany (o drugim Estreicher mówi w *Szczorsach*) jest niestety

niecały. W środku brak mu czterech stronic, a w końcu, Bóg wie ile. Ostatnia kartka jest pisana, co by dowodziło, że jeszcze jakiś egzemplarz istniał, z którego ją dopełniono.

Jarzębski wierszem pisze od siedmiu boleści, jest nieuk i nie klei mu się nic, ale niemniej skarb w nim nieoszacowany do ówczesnych dziejów obyczaju i miasta.

Skorzystaliśmy z niego tylko tyle, ile nam warunki opowiadania dozwalały. Tak

Jarzębskiego, gdyby cały się znalazł, jak dziennik (po francusku) pana Desnoyers należałoby wydać

w całości. Ale tyle mamy do czynienia!!

Józef Ignacy Kraszewski

Magdeburg

dn. 3 kwietnia 1855

ROZDZIAŁ I

Ze wszystkich gościńców wiodących do nowej stolicy, Warszawy, najwięcej z pewnością ożywionym był ten, który od Litwy i Brześcia prowadził. Handel i ludzie tędy najczęściej płynęli do starego mazowieckiego grodu, niedawno uczynionego rezydencją królewską.

Spełniło się to za Zygmunta III, ale za Augusta już dawało się nieledwie przeczuwać.

Warszawa dogodniejszą była dla Litwy leżąc w pośrodku ziem Rzeczypospolitej. Poczęto tu sejmy odprawiać naprzód, królów obierać, a na ostatek, po spaleniu zamku na Wawelu, i król z rodziną wywędrował nad Wisłę, choć na tutejszym zamku nie miał zbyt królewskiego pomieszczenia. I tak owi Mazurowie, z których wymowy i ubóstwa chętnie się naśmiewano, dostąpili tego zaszczytu, że na ich ziemi tron postawiono. Zmieniły się też czasy i krakowscy panowie możni wpływu tego i znaczenia nie mieli, co dawniej: wolano też od ich nacisku i roszczeń stanąć trochę dalej.

Śmiertelny to był cios zadany Krakowowi, a dla Warszawy hasło nadzwyczaj szybkiego wzrostu. Jak dawniej ku Wawelowi zbiegały się wszystkie większe drogi, płynęło życie, ruch się w nim ogniskował, tak teraz skierowało się do Warszawy. Most Zygmunta Augusta stawał się przepowiednią tej przyszłej wielkości.

Na gościńcu od Brześcia, przez lasy i mało zaludnione okolice się ciągnącym, rzadko teraz bywało pusto, a na przestrzeniach, którym brakło wiosek i osad. dla spoczynku podróżnych, zaczęły się wznosić gospody, których naówczas niewiele było jeszcze w innych stronach. Po wsiach ich mniej potrzebowali podróżni, bo się obyczajem starym wprasali do wieśniaków, dworu i probostw, ale na przestrzeni mil kilku, ogołoconej z osad, gospoda w wielu roku porach stawała się dobrodziejstwem, jakkolwiek nędzną była.

Nie sami naówczas Żydzi rzucili się na te szynki i zajazdy na pustkowiach, rozmaitego rodzaju ludzie brali je różnymi prawy od właścicieli ziemi, którzy często małymi się opłatami ograniczali. Niejeden z tych panów siedzących pod wiechą w lesie miał i duży gruntu kawał, który uprawiał, dobytek i konie. Jedni na gospodach dorabiali się bardzo prędko, drudzy dosyć nędzny a pełen niepokoju żywot wiedli.

W miejscu, o którym mówić mamy, na skraju ziemi należącej do pana Leśniowolskiego, właśnie się był umieścił Żyd Boruch na nowej gospodzie, której żartobliwy pan nadał imię Zapiecka. A stało się to tylko na złość i przekorę karczemce pana Gostomskiego nie opodał erygowanej, która nie wiedzieć dlaczego i przez kogo nazwana była Purchawką.

Granice ichmościów panów Leśniowolskich i Gostomskich tu się zbiegały; gościniec przedzierał na znacznej przestrzeni lasy i zarośla pierwszych od drugich. Naprzód się narodziła tu Purchawka, za której przykładem idąc, przyszedł na świat Zapiecek.

Ten ostatni, o którym pan jego, śmiejąc się powiadał, że mu to imię dał, bo w nim było podróżnym gdyby u Boga za piecem, jak na owe czasy był wcale wspaniałą gospodą. Wiadomo, jakie tabuny koni szły naówczas przy każdym znaczniejszym dworze, jak stajnia dla pomieszczenia ich była ważną rzeczą, i tu więc szopa w słupy, choć w części płotem tylko opasana, mogła sto kilkadziesiąt pomieścić. Ludziom stosunkowo mniej wygod było potrzeba niż ówczesnym

woźnikom, dżanetom, rumakom i niepoliczonym cugom. Człowiek, co konia nie miał, a w podróży własnych nóg lub pożyczanego wozu używał, tym samym plebejuszem się stawał, tak jak senator i pan, jeżeli kolebką jechał, mniej do niej nad sześć woźników nie mógł zaprząć dla godności swojej.

Mierzono naówczas człowieka liczbą koni, jakie miał i mógł prowadzić z sobą. Na jednym koniu jeździli tylko bojarowie z listy, uboga szlachta, słudzy i czeladź panów.

Zapiecek ze swymi ogromnymi stajniami naturalnie dla odpoczynku panów był

przeznaczony, do Purchawki podjeżdżały wozy i ci, co na koniu jednym, bez towarzystwa,

podróżowali. Purchawka też w szopce nad kilkanaście koni, i to z biedą, ulokować nie mogła, ale mimo tego jej pozoru skromnego miał się na niej siedzący Skroba, prosty chłop (jak mówiono), daleko lepiej od Borucha, i Zapiecek mu zazdrościł.

Skroba bowiem miał do czynienia z ludem pokorniejszym, który jako tako, ale płacił za to,

co brał, i nie woził z sobą zapasów, więc suchy chleb i lada jaki napój brał, a i dla konia wiązki siana potrzebował. Tymczasem na Zapiecku, gdy zajechało pięćdziesiąt koni i tyluż ludzi, mieli na wozach najczęściej to, czego im było potrzeba, a potem płacili co łaska, lub niekiedy, nabiwszy i złajawszy, nie dali nic.

Od strony Brześcia stała Purchawka pierwsza, nieco dalej Zapiecek, ale z obu gospód na gościniec wzrok daleko sięgał.

Pięknego dnia jesieni w progu Zapiecka stał sam Boruch, a że pora była ciepła, nie miał na sobie, tylko czarny kaftan bez rękawów, spod którego krótkie pludry i pończochy widać było. Na czarnych włosach jarmułka siedziała na bakier i nadawała jego butnej fizjonomii wcale pański wyraz. Długą czarną brodę gładził i ziewał przeraźliwie, a gdy się wyziewał, poczynął ręce wyciągać i zażywać rodzaju gimnastyki, dowodzącej jak okrutnie się nudził. Gospoda od dwu dni stała pusta. Żeby do niej żywy duch zajrzał!

A u Skroby ciągle ktoś gościł. Boruch na ten rodzaj gości, jacy zajeżdżali do Purchawki, mało rachował, ale natenczas już by i im był rad.

Gdy więc nad wieczór na gościńcu od Litwy pokazał się w dali jeździec na koniu, choć odległość nie dozwalała jeszcze ocenić go, a z konia i z rządziku wnieść, co zacz był i co w mieszkumiał, pan Boruch zawczasu znaki mu dawać począł aby zaciągnął do niego.

Skroby w progu nie było.

Jeźdźcowi, dopiero gdy się na pół strzelenia z łuku przysunął, można było się lepiej przypatrzeć. Ale była to jedna z tych zagadkowych postaci, o których zawyrokować trudno. Koń pod nim był niezgorszy, zmęczony widocznie długą drogą, siodło porządne, ale stare, rządzik rzemienny niczego, lecz też dobrze zużyty, splukany i od pyłu zniszczony. Za sobą miał troki niewielkie, a za całe uzbrojenie szablę, sahadak na plecach w pokrowcu i strzelbę ptasznicę.

Domyślać się tylko godziło, że pod połami lub okryciem siodła gdzieś się może i pistolety znajdowały. Twarz była ogorzała, długa, z wąsem szpakowatym, zawieszonym, obciążoną skórą ruchomą i pofałdowaną. Na pierwsze wejrzenie nic na niej oprócz obycia się z życiem nie można było wyczytać. Mówiła ona, że bywał na wozie i pod wozem i że się teraz nie lękał niczego ani też dobijał wielkich rzeczy.

Między nim a koniem była już taka zgoda myśli, że go wcale prowadzić nie potrzebował i mógł mu cugle na karku położyć. Koń też brudnokasztanowaty zdawał się drogą, okolicą i tym, co go otaczało, więcej niż pan zajęty, oglądał się ciekawie. Jeździec zadumany, przygarbiony nieco, z obojętnością znużonego wielce myślami gdzieś wędrował. Nie widział też znaków, dawanych mu przez Borucha, a brudnokasztanowaty skierował się ku Purchawce, zwolnił kroku i zrównawszy się z drzwiami jej, stanął.

Posłuszny mu pan zsiadł z niego powoli, poklepał po szyi i zajrzał naprzód do szopy. Tu nie było nikogo, mógł więc sobie dla kasztana obrać najlepszy żłób. Wtem drzwi izby skrzypnęły i okrągły, niskiego wzrostu, łysy, pyzaty a blady Skroba powitał podróżnego.

— Niech będzie pochwalony!

Spojrzeli na siebie. Chociaż podróżny sukni nie miał zbyt okazałych, ale z całego ubioru i pozoru

widać było statecznego człeka.

Weszli razem do stajni. Skroba począł od zaręczenia, iż wszystko w szopie można było

bezpiecznie zostawić, dodając razem, że wódka, piwo, chleb, ser, a choćby i gotowana polewka, krupnik, u niego się znajdzie.

Gość słuchał milczący. Sam naprzód podłożył rękę pod siodło, aby się przekonać, czy koń

nie był nadto zgrzany, aby go od tego ciężaru uwolnić można; zajął się nim, wiązkę siana zarzucił i dopiero kasztana oporządziwszy, sam z gospodarzem wszedł do izby.

Tu się i małżonka Skroby, w fartuchu, z warzechą w ręku przy garnkach znalazła, i chłopak

bosy, jego syn, i blade dziewczę w koszuli jednej, uczące się około kądzieli. Kury chodziły po izbie, czując się w domu. Pod jedną z ław leżał pies wilczej barwy, podniósł głowę nieco i przekonawszy się kto przybył, spał dalej, bo w nocy nie miał na to czasu, musiał domu pilnować.

Rozmowa, jeśli ją tak nazwać można, w urywanych wyrazach poczęła się i ciągle długimi przestankami dzieliła. Skroba pilno się przypatrywał podróżnemu, który ze swej strony najmniejszej nie okazywał ciekawości.

Boruch tymczasem, zawiedziony w nadziejach, stał, po cichu przeklinając wszystkich

„gwiazdochwalców”, gdy na tym samym gościńcu jakby na pociechę jego zjawił się jeździec drugi, ale zamajaczył mu tak daleko, iż nawet wcześniej dawane znaki na nic by się nie zdały, a zbliżał się tak powoli, jakby na żółtym jechał.

I ten był sam jeden tylko, a nie wyglądał lepiej od pierwszego. Sterczał mu tak samo

sahajdak, samopał i z tyłu nawiązane sakwy. Koń stapał ciężko z głową spuszczoną.

Miał też na sobie szarą oponczę i tym się tylko różnił od poprzednika, iż w ręku trzymał

nahajkę, którą bezmyślnie wywijał, oglądając się dokoła. Zdawał się wyższego wzrostu i silniejszy, a w stosunku do konia był nawet za ciężki dla szkapy, która choć silnie zbudowana, choć gruba, niewielkiej była miary. Kształty jej też nie odznaczały się pięknnością, a łeb duży i szyja nieforemna dosyć śmiesznie wyglądały. Rząd na koniu był grubej roboty jakiejś a zużyty. Twarz samą wąsy, broda i włos na policzkach porastający tak okrywały, że ledwie z nich nos duży, garbaty i dwoje czarnych oczu ogromnych wyglądało. Na głowie siedziała czapka staroświeckiego kształtu z

czubem wyłysiałym.

Nieobiecująca to była postać, a jednak Boruch ją ku sobie przyzywał, gdy tymczasem koń

instynktem zawrócił się do Purchawki, a jeździec mu się nie sprzeciwił. Stanąwszy pode drzwiami, huknął dziwnym głosem:

— Uhu!

I sam z siebie się roześmiał, jakby się spostrzegł, że mimowolny ten wykrzyknik był nie w miejscu.

Skroba stał już w progu i gotów był do szopy prowadzić, ale zobaczywszy zarosłego gościa i spotkawszy wejrzenie drapieżnych jego oczów, na chwileczkę się zawahał.

Podróżny już zsiadł, a koń jego, nie czekając, sam poszedł żłobu sobie szukać, tak się cały strząsając, że zdawało się, iż terlicę i sakwy zrzuci z siebie. Miał bowiem nie siodło na grzbiecie, ale tylko starą terlicę, jako tako wymoszczoną. Wszystko razem zdradzało ubóstwo i miało jakąś cechę pochodzenia od wschodu. Można było poznać w nim wędrowca kędyś od kresów.

Wprędce po zabezpieczeniu konia drugi ten wędrowiec wszedł do izby. Zmierzyli się oczyma z pierwszym, kiwnęli głowami, zamruczeli: „Czołem” — i później przybyły zajął miejsce dosyć daleko, jakby sobie życzył sam pozostać.

Wychylił kubek wódki, a nie żądając więcej, z torebki dobył chleba, kawał słoniny, trochę soli i sparszył się na stole, począł spokojnie, pożywać.

Siadł tak na ustroniu, iż ani gospodarz, ani pierwszy gość nie śmieli się przybliżyć ani go zaczepiać. Nie przeszkadzało to wszystkim, nie wyjmując ani dziewczyny przy kądzieli, ani bosego chłopaka, ani nawet tłustej, osmolonej Skrobowej, przypatrywać mu się bardzo pilno.

Dla wszystkich on miał w sobie coś dzikiego, obcego, pobudzającego ciekawość. Opończa była krojem innym, buty różnym kształtem od tych, jakie pospolicie noszono, pas, odzież wyglądająca spod okrycia nie przypominały co dzień tu widywanych.

Nie śmiano jednak zbyt go prześladować wejrzeniami, bo gdy się kto spotkał z jego oczyma, wzrokiem odpychał i łajać się zdawał. Sam jednak równie ciekawie badał siedzącego dalej za stołem gościa pierwszego, jak ów jemu się przypatrywał.

Milczenie panowało długo.

Podano krupniku jednemu, i drugi go zażądał, ale głosem takim grobowym, zachrypłym, jakby z jakiejś głębiny wychodził z wysiłkiem wielkim, a nim mu misę postawiono, raz jeszcze napił

się wódki.

Krupnik swój skończywszy, pierwszy podróżny do konia poszedł, bo czas było i napić

kasztana, i obrok mu zasypać. Przy tej zręczności z dala obejrzał dobrze szkapę i troki towarzysza, kiwając głową. Koń był w istocie tak szpetny, iż o jeźdźcu wielkiego wyobrażenia nie dawał, ale szlachcic okiem znawcy dopatrzył się razem, że bestia była żelazna i rozumna.

Ruszył ramionami, z przyjemnością zbliżając się do kasztana, który przy tamtym arystokratycznie się wydawał.

Do izby powróciwszy, zastał brodatego towarzysza już po krupniku, nad trzecią czarką wódki zadumanego głęboko. Spojrzeli sobie w oczy raz i drugi. Widocznym było, że chcieli rozpocząć rozmowę, szło o to tylko, kto pierwszy się odezwie. Ponieważ brodacz obrosły obcą miał fizjognomię, zdało się drugiemu, który bardziej się tu czuł w domu, iż powinien być pierwszy zagadać.

— Z dalekaście to, miłościwy panie bracie? — zagadnął. Ten głową potrząsnął, rękę ku północy podniósłszy:

— Ho, ho! A co myślicie? Z bliska? — Z kresów jadę, od Dzikich Pól.

Pytający głową też poruszył.

— Kawał drogi — rzekł. — Jam tam nie bywał nigdy, choć na Podolu dawniej się kręciło.

Cóżeście tam porabiali?

— Co? — mruknął spytany. — Człek głupi szczęścia szuka, gdy go nie ma, włócząc się, a to darmo. Tak i ja. Służyłem u Koniecpolskich... at, różnie bywało.

— Wracacie do swoich? — spytał pierwszy.

— Gdzie? — rozśmiał się brodaty. — Ja tu nikogo nie mam! Wracam, bo mi się zatęskniło... Za czym? Albo ja wiem?

Oczy mu błysnęły dziko i wychylił czarkę prędko.

— A wy z których stron? — spytał towarzysza.

— Ja Mazur jestem — odparł pierwszy gość — ale my Mazurowie po całej

Rzeczypospolitej się rozłaziły, bo u nas chleba o mało, a gęb dużo. Jestem teraz przy dworze Radziwiłła, jadę też z jego polecenia do Warszawy. Wy też do niej?

— Trzeba ją zobaczyć — rozśmiał się brodac.

— A siłaście lat nie widzieli? — rzucił drugi pytanie. Tamten ręce podniósł do góry.

— Z okładem dwadzieścia lat — zawołał — z okładem!

— Oho, oho! To jej chyba nie poznacie.

Tu, namyśliwszy się nieco, gość pierwszy uznał stosownym po imieniu i nazwisku się dać poznać.

— Szczepan Wijurski, podkoniuszy księcia pana. Brodac, którego to obowiązywało też do objawienia imienia, zawahał się nieco i mruknął:

— Lasota Płaza.

I rzekłszy to urwał nagle.

— Tytułu — dodał szydersko — nie mam żadnego teraz.

— Płazów ja i w Krakowskim zdybywałem — rzekł Wijurski.

— Było ich dosyć — wtrącił Lasota — a w stanie duchownym nawet i do prelatur się podnieśli; ale jam braci nie miał, a o rodzinie cale nie wiem ani się myślę dowiadywać.

Milczeli trochę, przypatrując się sobie, i Płaza z kolei do konia poszedł, a gdy się za nim drzwi zamknęły, Skroba uczynił uwagę, że zbója miał minę.

Obu podróżnym chciało się ciągnąć dalej na nocleg, choć się już miało ku wieczorowi.

Płaza pod okno podchodził i rozglądał się mrużąc. Wijurski zapowiadał księżyc i rachował na noc jasną. Gospodarz był tego zdania, iż lepiej się było ichmościom zawczasu spać położyć, koniom dać wypocząć, a nazajutrz rano, po przekąsce, ruszyć dalej. Wahali się jeszcze, spoglądając po sobie, gdy Skroba.

który był na próg wyszedł, powrócił do izby z oznajmieniem, że wielki dwór jakiś nadciąga.

Podróżni zamiast się przygotowywać do wyjazdu poszli wyjrzeć na gościniec, co to było.

Na ganku Zapiecka stał już Boruch, ale w czarnym długim chałacie i pasem podpasany, sposobiąc się zapraszać przejeżdżających, choć nie było prawdopodobnym, aby się tu takie wielkie

państwo mogło zatrzymać.

Płaza, powracający od kresów, gdzie więcej żołnierza i włóczęgów niż pańskich dworów mógł widywać, stał zdziwiony, rękę trzymając nad oczyma, przyglądając się z ciekawością niezmierną z wolna zbliżającemu się orszakowi.

Tu, w środku kraju, nie był on żadną osobliwością i Wijurski, nawykły do podobnych widoków, patrzył dosyć obojętnie, jakby tylko chciał poznać po barwie, kto to mógł być. Łatwo się było domyśleć jednego z najwyższych dygnitarzy otaczających króla, bo dwór otaczający kolebki nadzwyczaj był liczny i strojny.

Jechało naprzód kilkunastu hajduków jednako ubranych i doskonale uzbrojonych, na koniach dzielnych; za nimi strojniejszy jeszcze koniuszy czy marszałek dworu, którego wierzchowiec bardzo piękny, w sutym rzędzie srebrem pozłocistym nabijanym, stąpał jak z partesów, a on sam, dumnie pokręcając węża, oglądał się wkoło; dalej szły dwie kolebki, bardzo wykwintnie zbudowane, pozłacanymi balasami, firankami, gałkami u wierzchu przyozdobione, na których stopniach jechały stojąc pacholeta do usług. Oprócz tego tuż przy powozach straż z boku postępowała. Firanki, w części pozasuwane, osób w środku siedzących widzieć nie dozwalały.

Za kolebkami jechali znowu konni, z których kilku wiozło na rękach sokoły zakapturzone, przy innych szły psy, niektóre na sznurach wiedzione, inne wolno. Między nimi widać było charty ogromne, legawe, ogary i brytany. Dalej jeszcze kryte skórami wozy postępowały z kuchniami, namiotami, kobiercami i wszystkim, czego państwo w podróży mogło potrzebować. Były to spiżarnie i piwnice, skarbiec i skrzynie z sukniami przewoźne. Na niektórych z tych wozów czeladź siedziała lub leżała uśpiona. Za tymi w koczach pośledniejszych widać było fraucymer, a w jednej budce pozłocistą klatkę z papugą, którą dziewczyna na kolanach trzymała. Na koniec prościejsze wozy z poślednią czeladzią i podlejszym sprzętem postępowały, a tylną straż długo wyciągniętego sznurka składało znowu kilkunastu jeźdźców zbrojnych jak gdyby w czasie wojny. Wszystko to wszakże nie dla bezpieczeństwa, ale dla okazałości nagromadzone było i oznaczało wysoką godność podróżnego.

Płaza z natężoną uwagą ciągle się przeciągającym przypatrywał. Cały tabór pomimo niskich ukłonów Borucha, który z jarmułką w ręku wyszedł aż na środek gościńca, przeciągnął nie zatrzymując się, z czeladzi tylko niektórzy skoczyli z wozów do studni, aby się świeżą wodą

ochłodzić.

Wijurski, rzuciwszy okiem tylko na pański ten dwór, powrócił do izby nazad, a za nim Płaza też wszedł, ale nierychło, bo doczekał, aż ostatni pacholek i ostatni wóz zniknął mu z oczów.

— Wielkie jakieś państwo! — rzekł do Wijurskiego.

— Pewnie — odpowiedział pan Szczepan — przecież to pan marszałek nadworny, choć nie książę żaden ani z dawnych magnatów, ale dziś on, z łaski króla, nikomu nie ustąpi, a w Warszawie jego pałac z królewskim na równi.

Płaza słuchał ciekawie, pochylony.

— Marszałek nadworny, he? — spytał. — Jak się zowie?

— Nie wiecie? — wtrącił Wijurski.

— Jakże chcecie? My tam na kresach o wszystkim zapominamy. Spytajcie nas o hetmana Kozaków, albo o carzyków perekopskich...

Dziwnie się począł uśmiechać i urwał nagle.

— Wiecie co — zawołał Wijurski — nam by najrozumniej było w ślad za taborem Kazanowskiego podążyc.

— A, Kazanowski się więc zowie! — mruknął Płaza. — Alboż tu w lasach niebezpieczno?

— Zbójów nie ma, ale na kupę jakich włóczęgów napiłych natknąć się zdarzy, co szukają przyczepki — odpowiedział Wijurski, zabierając się do drogi.

Po krótkim namyśle Płaza też ruszył się.

— Pozwolicie mi jechać z sobą? — zapytał.

— Czemu nie? Rażniej nam będzie we dwu — rzekł Wijurski. Panu Szczepanowi na

Wijurach Wijurskiemu, podkoniuszemu księcia Radziwiłła, wcale nawet na rękę było żądanie

Płazy. Trzeba było znać go, aby to sobie wytłumaczyć. Jak niepozorny wcale i do mnóstwa szlachty swego rodzaju podobnym był Wijurski, tak z ty- siąca wybranym, wedle słów piosenki ludowej, nazwać go było można. Był to wcale osobliwy człowiek, skromny, cichy, niepokaźny, lecz

szpakami karmiony — ciekawy i choć jako podkoniuszy przy stajniach się liczył, więcej pono kwalifikował się do kancelarii niż do koni.

W Koronie i Litwie znał on ludzi od najwyższych dygnitarzy do najpośledniejszych

podstarościch, nieobce mu były przygody, historie, stosunki skandaliczne, zabiegi dworskie i wszystko, co ówczesny świat zajmowało. Książę wiedział o tym i gdy mu języka potrzeba było dostać albo plotkę jaką sprawdzić, posługiwał się Wijurskim, zawsze pod pozorem, że mu coś koni i stajen tyczącego się polecał.

Pan Szczepan za młodu z jednym z Radziwiłłów za granicę jeździł jako dworskie pacholę, a

otwartą mając głowę, korzystał z tego i języków kilka nauczył się ze słuchania. Zaglądał też chętnie do książek. Dlaczego mu te zdolności i nabyte wiadomości nie wyrobiły lepszego i innego

stanowiska na dworze, tego sobie wytłumaczyć trudno. Ale naprzód Wijurski się nie starał o krescytywę, przede wszystkim chciwy będąc nauki i wiadomości, po wtóre pochlebiać i płaszczyć się nie umiał. Nie nadymał się, nie szukał zwad, ale okupywać lepszego bytu poddaniem się

kaprysom pańskim nie umiał. Co do bytu własnego małym się zaspokajał. Na dworze księcia, ba i dalej, znano go jako bardzo bystrego człeka, radzono się go czasami, ale nie zawsze Wijurski dawał

się wyzyskać. Gdy mu fantazja przyszła, milczał. Nazwaliśmy go ciekawym, gdyż ciekawość może stanowiła jeden z głównych rysów jego charakteru. Starał się ludzi poznawać i dowiedzieć o wszystkim; z równym zajęciem siadywał nad książkami i chodził za nowymi ludźmi, których nie rozumiał..

Na pierwsze wejrzenie Płaza mocno zaciekawił pana podkoniuszego; nie rozumiał go, coś w

nim czuł podejrzanego; fałszem pod szytego. Niespokojne wejrzenia, niejasne tłumaczenie się, sama postawa, strój, ruchy, mowa czyniły go zagadkowym. Sam jeden z kresów aż do Warszawy, dla tęsknoty, gdy tu rodziny ani znajomych nie miał?

— Coś w tym innego tkwi — mówił sobie Wijurski. — No, da się to widzieć.

Szczególniej mowa Płazy, akcent jej, mieszane ruskie wykrzykniki, zakrój jakiś w

wyrażeniach dziwnymi mu się wydawały. Języka polskiego jakby się na nowo uczyć i przypominać sobie potrzebował Płaza, tak czasem mu było ciężko wyraz właściwy znaleźć.

Bystre oko pana Szczepana dostrzegło też, że ubogi na pozór i jakby umyślnie odziany

niepokaźnie Płaza miał przy sobie na swój stan za kosztowne rzeczy. Pod opończą na kontuszu pas, umyślnie osłonięty, błyszczał bardzo bogatym i świeżym szyciem. Z kieszeni dobył przypadkowo chustę kosztowną, którą zaraz wetknął śpiesznie nazad. Sama powierzchowność sakiew przy koniu Lasoty kazała się w nich domyślać pakunku, o którego zachowanie właścicielowi chodziło wielce.

Wszystko to wreszcie może by mniej uderzało, gdyby nie sam człowiek niespokojny jakiś,

oglądający się, badający oczyma, trzymający się na bacności.

— Ten człek — mówił sobie podkoniuszy — dalipan niedarmo sunie do Warszawy, a że nie z własnej woli i ochoty, dałbym szy-ję.

Nic więc nie mogło być dogodniejszym dla ciekawego Wijurskiego nad wspólną podróż z tym człowiekiem, bo w drodze najłatwiej się zapoznać, spoufalić i dobyć coś z towarzysza. Nie uszło to oka pana Szczepana, że Płaza gorzałkę pił ochotnie i dużo, na to więc także rachował, że ona mu gębę otworzy, choć dotąd kubki u Skroby wypróżnione najmniejszego nie wywarły skutku... Ale i to wiedział Wijurski, że wódki pod czas kilka kropel upoi, a gdy człowiek znużony, w ruchu, wcale mu ona do głowy nie idzie.

Rozpląciwszy się z gospodarzem, podróżni nasi wyciągnęli w las, jadąc tuż obok siebie, co naprzód spowodowało zapoznanie się ich koni. Brzydka owa niezgrabna bestia Płazy wyciągnęła łeb ku brudnokasztanowatemu, powąchała go, wydała jakiś głos do kwiczenia podobny i nagle zwróciwszy się tyłem do kasztana, wierzgnęła z całych sił. Szczęściem, iż Wijurski w czas uskoczył i owe kopyta w powietrze tylko podniósłszy się, opadły na ziemię. Płaza batogiem dał naukę i epizod ten skończył się bez szwanku.

— Złą jakąś bestię macie — rozśmiał się Wijurski — ani się do niej przybliżyć, i niepiękna też jest, ale musi mieć swe przymioty?

Płaza podniósł głowę.

— Ba! — zawołał. — Bez jedzenia może dwa dni iść, a strzecha przegniła, gdy nic innego nie ma, także jej smakuje. Bez wody cały dzień trwa, co trudniej koniowi, bo dla niego woda obrok czasem zastępuje. Na ostatek zielona pasza byle jaka, nażre się, aż go osiodłać trudno, i nic mu.

Drugiego by zdeło i pęknać by musiał. Skóra taka, że się nigdy nie zatrze, a spocony czy nie, można go poić, karmić i oskomy nie zna. Spojrzeć na niego, trzech groszy niewart, a ja bym za garść dukatów go nie oddał.

— No i to dobrze — dodał śmiejąc się — że złodziej się na niego nie połakomi.

Wijurski, słuchając pochwał tych, rozpatrywał się w koniu, zzymnął ramionami i rzekł:

— To kozacki koń!

Płaza spojrział bystro i pod włosami mu wystąpiła czerwoność.

— I ja tak sędzę — rzekł — choć ja go kupiłem od szlachcica... tatarski albo kozacki być

musi.

— Przy naszym terażniejszym zbytku — dodał Wijurski — gdyż zwłaszcza za terażniejszego pana, który wszystko z cudzoziemska lubi widzieć, dżanety, bachmaty, najprzedniejszej krwie konie u nas po stajniach, z takim jak wasz pokazać się trudno, ale ba! Koń jak żona, piękna czy nie, gdy poczciwa i wierna, to grunt.

— Zważaliście konia pana Kazanowskiego? — mówił dalej pan Szczepan. — Ten, co to go prowadził pod deką, na którym widać było pokrytą tarczę i sahadak? Rumak to samego pana, od parady.

— Piękny i dzielny — odparł Płaza — ale co nam po takich. Do wojny się on nie zda, bo pieszczony, do podróży niewytrzymały. Od zimna go trzeba nakrywać, bo sierść na nim jak aksamit lub atlas, nie zagrzeje, w gorąco cały w potach, ocieraj go. Trochę zażyjesz, ochwyci się, trochę zmęczysz, nie je. Pański koń. Ruszył ramionami.

— Ale na oko choć malować — dodał Wijurski.

— Zbytki tu u was widzę we wszystkim — dodał Płaza. — Prawda, zem z dawna w tym kraju nie bywał, a na kresach życie inne, obozowe, żołnierskie; ale mi się zda, że przed dwudziestu laty inaczej wyglądało.

— Być może — odparł Wijurski — nam to nie bije tak w oczy, bo się odmieniało powoli, a wyście nagle ujrzeli, snadniej różnicę widzicie. Za każdego panowania u nas odmiennie dwór pański, a za tym i inne dwory się układają. Za Stefana Węgra było wszystko z węgierska a rycersko, przepychu nie znał, ale ład zaprowadzał; żołnierz był pierwszy... Za nieboszczyka Zygmunta”, który wcale na wojownika się nie sposobił i więcej z różańcem niż z szablą chodził, dwór się ubierał, mówił i szwargotał z niemiecka. Okazałości przybyło, nie wiem, czy siły... Za

terażniejszego pana z cudzoziemska też dwór i panowie się noszą. Wielu nawet się poprzebierało, że ich za Polaków poznać trudno. *Capella* Włochy, malarze flamscy, pod czas i Francuza spotkasz, a Niemcy też nierzadcy i wszystko się świecić musi a kapać od złota. Nabożeństwa teraz,

zwłaszcza, po śmierci królowej, mniej, ano zabawy huczne i stoły suto zastawne, a piwnice pełne...

Wesoło u nas bardzo.

Płaza słuchał z uwagą wielką.

— Dobrze by to było — zamruczał jakby mimo woli — gdyby na granicy od Tatarów

kożuchami i pieniędzmi pokoju nie trzeba okupywać.

I chwilę jechali milczący.

ROZDZIAŁ II

Nazajutrz pod wieczór, w ślad jadąc za taborem marszałka Kazanowskiego, który z łowów powracał, zbliżyli się dwaj podróżni ku Warszawie.

W ciągu podróży nie ustawała prawie rozmowa, ale dziwna rzecz, Wijurski, który się spodziewał coś dobyć z towarzysza, obrachowawszy sumienie, czuł, iż ten Płaza więcej z niego wyciągnął daleko, niż sam wygadał. Tyle o nim teraz wiedział Wijurski, co wyjeżdżając od Skroby, ale postrzeżeń uczyił wiele i był pewien, że ów Płaza nie dla oddychania mazowieckim powietrzem do Warszawy sunie. Sama jego ciekawość pewnych stosunków wyżej sięgających poza sferę, w której się obracał, podejrzaną była panu Szczepanowi. Zaspokajał on ją, bo tajemnic nie było w tym, co mówił, ale nabywał przekonanie, że ten powracający od kresów szlachcic miał coś więcej za nadrą niż wacek pełny.

Nie popisywał się on z tym też, że grosza miał podostatkiem, lecz mimo woli się z tym wydawał. W pierwszym miasteczku, gdzie miodu i wina dostać było można, zaprosił Wijurskiego i sprawił mu bankiet prawdziwy. Szczukę kazał zgotować po żydowsku, pieczeń upiec, a napoju postawił jak nie na dwu, ale i na dziesięciu. Prawda, że sam pił, pił i nie mógł ani ugasić pragnienia, ani mu szło do głowy i w mózgu mąciło. Potniał tylko, czerwieniał, oczy mu coraz ogniściej się paliły, głos trochę podnosił, lecz ni słówkiem się nie zdradził, ni go to zmęczyło.

Gdy mu się Wijurski od trunku wymawiał, dziwując, że on tak wiele go znosi, rzekł Płaza:

— Trzeba na kresy jechać, aby się pić nauczyć i to na gorzałce, bo tam krom kwasu i jej mało co znaleźć. Życie się prowadzi takie, że czasem w gębę nie ma co wziąć i kropli wody nawet nie dostać. Dorwie się potem człek do strawy i napoju, musi za głód i pragnienie sobie odpłacić... i ot tak...

Ręką zamachnął.

— A waszmość — zapytał Wijurskiego nagle — kędy myślicie zajechać w mieście?

— Ja? — odparł podkoniuszy — jasna rzecz, do dworu książęcego. Teraz w Warszawie mało który z panów nie ma albo dworu choć z drzewa, lub i murowanego pałacu. Przy każdym stajnie, kuchni i dla czeladzi a dworu pomieszczenie.

— No, aleć przecież i gospody się znajdują dla tych, co jak ja nie mają ani pana, do którego by zajechali, ani własnej budy.

Wijurski się trochę namyślał z odpowiedzią.

— Juścić — odparł po przestanku — dach i gospodę i wygodę znajdziecie łatwo,

szczególniej przy Długiej ulicy, gdzie austeryj i gospód różnych siła jest, ale musicie się wprzódy z mieszkciem obrachować, aby starczył, bo gospodarze drą niemiłosiernie i za to, co dają, i czego nie dostarczają.

— Gdybyście posłem byli cudzoziemskim — dodał, śmiejąc się, pan Szczepan — to jak w dym moglibyście do tego gmachu, który Giełdą nazywają.

Płaza się zmięsział widocznie, oczy spuścił.

— A piękny ze mnie poseł! — zamruczał, mocno poruszając ramionami i koniowi dawszy niepotrzebnie nahajem po bokach.

— No, kiedy się do Giełdy za darmo wprosić nie możecie, to do wyboru macie oprócz tego gospód różnych dostatkiem, od najpośledniejszych do najparadniejszej, która jest Giżowska. W tej czego dusza zapragnie dostaniecie, nie tylko piwa garwolskiego i wareckiego, nie tylko siana i owsa, miodu i wina, ale i łaźnia osobna, i fontanna pańska, i ogródeczek zasadzony ziólkami.

— Ach — przerwał Płaza — chyba żartujecie sobie ze mnie, bom ja chudy pachół, a tam dla panów gospoda z wymysłami.

— Sąć i pośledniejsze, i tańsze — dodał Wijurski. — Po Giżowskiej idzie Kalina, ale ten drze. Długoszowska gospoda mierna, u Gąsiorka się mieszczą ci, co tanią mieć chcą a wygodnie.

Karmi dobrze, tylko tam w izbie spólnej spać będziecie musieli, bo osobnych nie ma, a które też i u innych trudno. Co najmniej we dwu, we trzech, albo i czterech zebrać się trzeba, aby sobie alkierzyk dostać. Ja też tam niedaleko będę, bo mój ksiązę podkomorzy ma tam właśnie dwór, którego jedne wrota na Długą ulicę wychodzą. Zobaczycie go łącno, bo choć to z drzewa, ale po pańsku wystawione, obszerne, a izba stołowa choć na stu ludzi. Nie darmo o Radziwille powiadają: Rad — żywił. U nich gościnność we krwi i rodzie.

— Jakże go zowiecie tego, co mi go zalecacie? — spytał Płaza.

— Kalina się zowie. Łatwo go znaleźć, bo i wiecha wywieszona, i znak jest, i około gospody zawsze ludzi, szczególnie przekupniów natrętnych, stoi dużo.

— Ale to tam lada jaka gawiedz musi zajeżdzać, a... — rzekł Płaza i urwał zadumany.

— Cóż chcecie, panowie do gospód nie zwykli — odparł Wijurski — oni albo własne

dwory i dworki mają, lub do przyjaciół jadą. Wstydziłby się z nich każdy do gospody, jakby już ni brata, ni swata nie miał. Ale u Kaliny szlachta mazowiecka, ba i z dalszych stron, dworscy tych panów, co tu dworów nie mają... no... i wszelki człek obcy. Gwar, co prawda, dzień i noc, za to się człek nie znudzi i przysłuchać jest czemu.

— Ja bym najlepiej wolał — wtrącił Płaza — mieszczanina sobie znaleźć, co by mi izbę, nie izbę, komórkę bodaj wynajął i dla konia w stajni żłób. Kto wie, jak ja tu długo postoję. We Wspólnej izbie spać, gdzie i nocą spokoju nie ma, i kłótnie częste... i mieszka człek nie pewien...

Spojrzał ku Wijurskiemu.

— Mieszczan ci to ja znam wielu — rzekł podkoniuszy — ale oni nieradzi na gospodę kogo przyjmują, zwłaszcza nieznanomego. Warszawscy mieszczanie też teraz urosli; nie licząc już takich jak Giże, jak Baryczkowie, co jeszcze za dawnych czasów prym tu wiedli, jak Strubiczowie, jak Drewnowie, nie policzyć bogatych i możnych, ano do tych przystęp trudny. Zobacz w ulicy panienkę albo jejmość którą Gzerską, Dzanottową, Kedrowską, Wolską, Kociszewską, gdy do kościoła lub na przechadzkę wyjdą, nie poznasz, że mieszczanka, tak klejnotami, atłasami, forbotami, fontaziami się to stroi, z góry patrzy na biednego człeka, a na paniczów zerka.

— Ba, po tych mi nic — szepnął Płaza — jam chudy pachół, a choć chleba od nikogo, dzięki Bogu, nie potrzebuję, za starym już, abym szalał.

— Więc wam inaczej radzić nie umiem — odezwał się Wijurski — tylko do Kaliny, a że mnie w tę samą stronę droga, zaprowadzę was do niego i zalecić mogę. Rozpatrzyć się później albo poznamyście, a może się mieszczkańska znajdzie gospoda.

Podkoniuszy rzucił okiem na ponuro zamyślonego towarzysza i dodał:

— Macie-li sprawy jakie w mieście, wedle tego się i gospodą trzeba mieścić, gdzie dogodniej a niedaleko, bo się Warszawa teraz rozrosła z Nowym Miastem i przedmieściami. Panowie coraz to mieszczkańskie place, ogrody i role wykupują, a ci dalej ustępują od środka. Panom bliżej zamku i swoich być najlepiej przystało. Nigdy się tak nie budowano, jak teraz. Cegielnie się na Skarżyszewie, na Pradze, na Nowym Mieście i w Ujazdowie mnożą, bo panowie się

do murów rwą, a co najmniej z pruska na pół cegłą budynki stawia, drudzy i marmur sobie sprowadzają, szczególnie na odrzwia i posadzki. Cieśle też do czynienia mają.

Jeśli więc sprawy jakie do panów macie — dokończył Wijurski — w Długiej ulicy wam będzie najdogodniej.

— Ja? ja? — podchwycił nagle Płaza z przymuszonym uśmiechem. — Ale ja żadnych tu spraw nie mam! Nikt mnie nie słał, nikogo nie znam. Z dawnych czasów nazwisk się w pamięci coś zostało, ale lat dwadzieścia wielki to przeciąg; z tych, co żyli niegdy, mało na świecie jest.

— Zawsze nie może być, byście kogo znajomego nie naleźli — rzekł Wijurski.

Płaza obejrzał się niespokojnie dokoła, ramionami poruszył, wargi mu zadrgały, jakby coś mówić chciał, i mruknął:

— Jam nigdy nie mieszkał w Warszawie.

— Długo tu myślicie pozostać? — zapytał podkoniuszy.

— Sam nie wiem — ociągając się rzekł powoli Płaza. — Jak trudno mi powiedzieć, po com się tu przywłókł, tak i przeczuć niełatwo, co tu będę robił i czy wysiedzę.

Nastąpiło milczenie, a zmarszczone czoło Płazy świadczyło, że się zadumał głęboko i smutno. Nagle konia batogiem uderzył i przybliżył się z nim do Wijurskiego, patrząc mu ostro w oczy..

— Zdajecie, mi się dobrym i szczerym człowiekiem — odezwał się — powiem wam więc, czego bym przed lada kim się nie zwierzył. Dowiedcie się prawdziwej przyczyny, dlaczego ja naprzód kraj porzucił, a teraz do niego powracam.

Wijurski mu począł za zaufanie dziękować, ale pomyślał sobie; „Ho ho! Chcesz mnie, ptaszku, w pole wywieść, abym cię nie posądzał i nie domyślał się, albo nie odgadł tego, co tobie nie po myśli”.

Tknęło go, iż nagła ochota zwierzenia się nie czym innym była.

— Powiem to wam naprzód, że czy ja do tego nazwiska, które noszę teraz, prawo pełne

mam lub nie, to Bogu wiedzieć i mnie, ale o to nie chodzi. Dostyc, że z antenatów szlachcic jestem, jak lepszym być nie można. Listów na to królewskich nie mam, ale takie to już szlachectwo, co się pargaminami, nie świadectwem całej ziemi wywodzi, licha ono warte... Rodzice wieś mieli w

Krakowskiem... ale pod wielkim miastem dla mieszczan pokusa ziemian udawać, a ziemianom

zachciewa się miejskich rozkoszy. I tak ojciec mój z kosterami, skomorochami i błazny miejskimi po całych tygodniach się weseląc, wioskę zaszargał, że gdy zmarł, opędzić się nie było można wierzycielom. Matka, mężna niewiasta, przecie i mnie wychowała, i ojcowiznę ocaliła. Panie świeć nad jej duszą.

Jam naprzód w Wieliczce do szkoły przy kościele chodził, a potem mnie matka do Krakowa

oddała do bursy. Jakem się uczył, najlepszy dowód, że dziś oprócz łaciny trocha nie umiem zgoła nic, a rosłem jak na drożdżach i we mnie ojcowska pono krew kipiała. W mieście na każdym kroku do grzechu okazja, gdzie spojrzysz przykład tego, że grzeszyć wolno, ano i bezkarnie.

Ledwie dwadzieścia lat miał, gdy mnie Bietka, córka kupca, tak za serce wzięła, zem jej

poprzysiągł się żenić, choć szlachcianką nie była, a w dodatku kupiec Szwabem śmierdział; ale dziewczę było tak piękne, że oczy porywało, a ludzie za nią gromadami chodzili, aby tylko

zobaczyć. Jak się nie miała popsuć?

Matka na moje, małżeństwo z mieszczką na żaden sposób pozwolić nie chciała, choć

kochała mnie bardzo.

— Z chłopką bym prędzej pozwoliła — rzekła — bo te pracują i pana Boga znają, a ta twoja

Niemka i wiary inakszej, chodzi pono do zboru i płocha jest, a nieszczęścia naprowadzi.

Uwziąłem się ją prosić, padałem do nóg, alem przełamać nie mógł. W końcu mi rzekła:

„Żeń się, ale bez mojego błogosławieństwa”..

Niemcy mnie namówili, żebym ślub wziął przed ich ministrem, a za matkę ręczyli, że ona

później się na wszystko zgodzi. Jam chętnie na to przystał, ale gdy po tygodniu wesela w mieście z żoną przybyłem na wieś, drzwi zastałem zamknięte. Matka powiedziec mi kazała, iż znać mnie nie chce. Powróciliśmy do miasta, gdzie w kamienicy teścia tymczasem osiadł z Bietką. Nie upłynęło pół roku, gdy matka strapiona zachorowała ciężko i zmarła. Płakałem po niej, ale mi na rękę było na wieś z żoną jechać, bo w mieście z gładkim liczkim jejmości wielka była bieda. Chmurami koło niej się gachy kręciły, którym ja, zazdrośnym będąc, opędzać się musiałem. Nie liczę tego, ile guzów nabiłem i motylów* nabrałem dla niej.

Płaza westchnął.

— Narodziła się nam wreszcie córeczka, a żona, zmuszona teraz jej pilnować i o swe zdrowie

dbać, trochę się ustatkowała. Mnie się szczęście zdawało uśmiechać, choć na wiosce małej tak jak

myśmy byli żyć nawykli, trudno było wydołać. Skarżyła się jejmość, jam czynił, co mógł.

Rychło po urodzeniu dziecka zatęskniła za swymi i zabrawszy je, w odwiedziny do

Krakowa ruszyła. Miała powrócić nie mieszkając. Jam na wsi gospodarował. Tymczasem minęło tygodni dwa i trzeci się napoczął, a jejmości nie było z powrotem. Nakazywała tylko — rychło wróć — abym się nie kłopotał. Mnie bez niej tęskno było tak, że jednego wieczora, wprost z pola, pojechałem do miasta i gdyby nie dobre znajomości, już bym się nie dostał do niego, bo bramy były pozamykane, ale mnie fiertelnicy furtą puścili.

Wprost, jakby mnie co tknęło, pobiegłem do domu rodziców zony, a tu konia do płota

przywiązawszy, gdym przez szpary okiennicy światło w izbie zony zobaczył, podkradłem się...

Zazdrość jakaś mnie pchała, coś mówiło, że nieszczęście mnie czeka. Okno to było mi dawno

znane, że przez nie z boku na izbę mimo okiennicy zajrzeć było można. Bietka leżała na łóżku, a na skraju jego siedział Włoch, kupczyk Czeryn, który i dawniej bardzo koło niej zabiegał... Śmiali się i całowali... W oczach mi się zrobiło ciemno, tylko zem nie padł trupem, ale złość i gniew siłę mi dał.

Z ogródka drogę do izby znałem dobrze i gdym do 'niej wpadł nagle, Czeryn ratować się nie miał

czasu ucieczką... Położyłem go trupem w miejscu, tak że wznak padł na łóżko zony mojej i całe je obroczył. Kobieta się z krzykiem wyrwała, bo się obawiała takiego samego losu, i dziecię z kolebki chwyciwszy, uciekła.

Mieszczanie u siebie w domu byli; pochwycono mnie zaraz i sprawa o mężobójstwo się

wywiązała szpetna, gdzie ten zdrajca czystym się miał okazać, żona niewinną, a ja po prostu rozbójnikiem. Sprzysięgli się, abym gardło dał! Nikt do mnie dostąpić nie mógł, kajdany mi włożyli... Jużem myślał, że życiem przyplacę, gdy

* sińców (przyp. Autora)

zmieniono mi więzienie i postrzegłem, że z okna na lada sznurku spuścić bym się mógł i

uciec. Straż piła i niezbyt ostro doglądała, mnie strach śmierci zuchwałym czynił i o mało karku nie skręciwszy, potłuczony, za murem się znalazłem miejskim, a nazajutrz w lesie opodał, gdzie mnie już dognać i wysledzić było trudno.

Głodu i wszelkiej biedy zażywszy, z pomocą jedynego druha, jakiegom w życiu miał,

potrafiłem się odziać, uzbroić i szkapę kupić. Wioskę i co w niej było wierzyciele wnet pochwycili.

O żonie tyłem wiedział, iż z Krakowa i ze świata znikła, a i później o niej ani tu, ni gdziekolwiek bądź dowiedzieć się, dojsć nie było podobna. Mówili jednak ci, co wiedzieć coś mogli, iż ona zmarła, a dziecko żyło i poszło na obce ręce. Druh, który zmarł temu lat kilka, o tym mi nakazywał, iż

w Warszawie na jakiś ślad jej natrafił.

Jam przez cały ten czas puściwszy się na kresy, zapomnieć chcąc o wszystkim, tam pozostał... Otóż mi się zatęskniło... A nuż dziecko moje odszukać potrafię?...

Wijurski słuchał opowiadania tego, dosyć nieporządnego, poplątanego, a jak mu się zdawało, niezbyt do prawdy podobnego, z uwagą. Przygoda mogła być niekłamana, ale w niej dużo ciemnego zostawało. Począł tedy pytać.

— A na czymże nadzieję opieracie, że córkę znaleźć możecie? Pewnie i nazwisko zmieniła, a dziś, po dwudziestu latach, kto wie, co się z nią dzieje? Prawda to, że i po cienkiej nitce do kłębuszka dojść można, ale ja tu bo nitki nie widzę.

Płaza westchnął.

— Mało i ja mam nadziei, ale wiem tu o ludziach, którzy o rodzicach żony i o niej powinni by coś wiedzieć. Prawda, iż czasu dosyć przeszło, ale próbować potrzeba... Nie byłbym tak na świecie jak palec, gdybym dziecko przynajmniej odszukał, które może przeklinać mnie nauczyli.

Gdy to mówił, Wijurski zważał, że choć chwilami gniew z niego buchał, ale miłości dla dziecka i troski o nie nie okazywał bynajmniej, z czego wnosił, iż choćby historia prawdziwa była, nie ona tu Płazę prowadzić musiała. Nie miał zresztą powodów podejrywać go o nic, prosta tylko ciekawość skłaniała go do tego, aby z towarzyszem podróży nie zrywał.

Razem tedy, nad wieczór już pominąwszy Skarżyszew z jego ratuszem i śpichrzami i targowe place na Pradze, przeprawili się przez Wisłę i wjechali do miasta. Płaza, który tu od bardzo dawna i krótko bywał, w samej istocie się nie umiał ani pokierować, ani mógł rozpoznać, tak się wszystko dziwnie właśnie pod te czasy odmieniło.

Wyglądało miasto wcale inaczej niż dzisiejsze, gdyż każdy niemal dom i dwór ogród miał, plac obszerny, oparkaniony, przy niektórych stare, przy innych nowo posadzone stały drzewa.

Gdzieniedzie wznosiły się murowane, pod dachówką i blachą kamienice i pałace z oficynami, stajniami i kuchniami, ale większość dworów była drewniana, z pruskiego muru lub otynkowana tylko, co właśnie we zwyczaj wchodziło.

Zamek, od przodu starymi szopami i budowlami odwiecznymi zasłonięty, nieokazał się stawił, ale i tu już nowe mury widniały. Kościołów było dosyć starych i nowych, a z tych niektóre z wieżami. Ulice za to całe się niepocześnie ukazywały, zapuszczone, nie wszystkie prosto

powytykane, pełne śmiecia i błota. Mało gdzie bruk znaleźć było można. Przy tym wszystkim w pobliżu zamku, na Nowym Mieście, około pałacu na Ujazdowie, przy cekaunie i giełdzie na Długiej ulicy życia i ruchu było dosyć.

Po drodze Wijurski, który tu wszystko na palcach znał, każdego domku właściciela mógł

wymienić, objaśniał Płazie, do kogo mury i pałace należały, z dala mu ukazując Kazanowskich, Ossolińskiego i inne przedniejsze gmachy.

— Niesłychane tu u nas się wzięły przepychy — rzekł — o których dawniej i na

królewskich zamkach słychu nie było. Marmury na posadzkach, na ścianach, tramy na stropach pozłociste. Pan marszałek nadworny, gdy się znuży, a zechce mu się z dołu na górę wnijsć, siada sobie na krzesło i kunszt ma taki czy wagę, że go podnoszą. Z piwnicy wino wprost do jadalni do srebrnych beczek puszczają. Kunszty we wszystkim takie, o jakich dawne wieki nie słyszały. Cóż powiedzieć o obiciach na ścianach, z których niejedno zdałoby się na suknię od parady, o posągach lanych i z kamienia urabianych, które stoją jak żywe, o drzewach pod szkłem, które owoce rodzą u nas niebывałe.

Płaza się rozśmiał.

— Piękneć to rzeczy są i pańskie — odezwał się — ale ci co ich zażywają, czy nie

zniewieścieją od nich? Będą się-li oni bić, gdy Tatarzyn napadnie?

— Młodzież? Tej na animuszu nie zbywa! — zawołał Wijurski. — A co do starych, ci już

mówią, że swój dług za Batorego spłacili.

Ruszył ramionami.

— To prawda, że miękkości w obyczajach wiele przybyło — ciągnął dalej podkoniuszy —

sądzę jednak, iż póty jej, dopóki pokoju. Gdyby na wojnę zatrąbiono, ruszyłoby wszystko, nawet i sam król, choć okrutnie się roztył i ociężał, ale rycerski duch w nim żyje.

— Na kresach — z pewnym wahaniem, cicho i ostrożnie przebaknął Płaza — chodziły i

chodzą wieści, jakoby król na Turka miał się siłą wielką sposobić.

Wijurski spojrzał nań.

— Kresowe to zwyczajne plotki — rzekł — bo tam, czego się pragnie, o tym się roi, ano u

nas szlachty na pobór i na ruszenie na wojnę przeciwko pohańcom nakłonić nie potrafi najmędrszy!

Król zaś sam ani wojny wydawać, ani jej prowadzić nie ma u nas prawa, i choćby popróbował, nie

wiem, czy mu się to uda.

Milczał trochę Płaza.

— A królże to sposobów nie ma — rzekł — szlachtę przymusić, żeby szła za wolą jego? Od czegoż królem jest?

— Jak to znać, że waszmość od kresów przyciągasz. Próbował ci tego Stefan nieboszczyk, próbował Zygmunt, ale nie udało się im obu, a nasz pan bodaj nie ma żelaznej ręki pierwszego ani ojca swego mądrości i poparcia, jakie on miał w Rakuszaninie.

Płaza się zadumał, nie rzekł już nic, a oto ku Długiej ulicy przecznicą Miodową się zbliżali.

Tu, chociaż wieczór był, ludno się roiło i gwarno, po domach przez okna światło biło, a około nich z latareńkami ludzie się zwijali i jak iskierki migwały ich łojowe świece w szklanych i papierowych osłonkach. Gospoda Kaliny, do której grzeczny Wijurski doprowadził towarzysza, szeroko się rozsiadała, a ogromne jej dotychczas otwarte wrota jak czarna paszczeka... Pełno było stojących tu ludzi, przekupniów i gawiedzi ciekawej. Wozów kilka stało u wjazdu. Cały rząd okien błyszczał ogniami rozpalonymi po izbach.

Kalina, otyły i gruby człek, krzykiem i pięścią u wrót robił porządek, starając się jak najwięcej gości pomieścić, choć ich już zdawało się w gospodzie pełno. Znał go trochę Wijurski.

— Hej, mości Kalino! — zawołał. — Ja tu wam gościom przyprowadził i poleciłem waszą gospodę jako lepszą od Giżowskiej; nie uczynicie mi sromu, a niech niegłodny i spokojny będzie.

Kalina się obejrzał na Płazę, ale mu snadź nie bardzo wpadł w oko.

— Widzicie sami — rzekł do Wijurskiego, podchodząc a rękami ukazując — tłok wszędzie, zjazd wielki. Senatorowie na radę, szlachta z prośbami do króla. Nie tylko u mnie napchano, ale wszystkie austerie pełne. Wiązki słomy pod głowę dostać trudno.

— Ale zmiłujcież się! — przerwał Wijurski.

— Bądźcie spokojni, u mnie zawsze kącik jest jakiś w zapasie... ale dla niewybrednych.

To mówiąc despotycznie pochwycił za cugle konia Płazy i pociągnął go za sobą. Szlachcic

tymczasem, zsiadłszy, ostrożny naprzód się zabrał do odpinania trok, bo nie był pewnym, żeby mu ich tu kto oderzwał. Konia potem z terlicą pachołkowi już oddał bezpiecznie, worki sam na ramię zarzuciwszy, gdy Kalina drzwi otworzył i wszedł z nim do izby.

Tu wrzało jak na targowicy. Na kominie gorzał ogień ogromny i izbę oświecał całą.

Zastawiona była stołami i ławami, tak że pomiędzy nimi drogi tylko wąskie pozostawały.

Wszystkie niemal miejsca na tych ławach były zajęte, a na stołach blaszane, szklane, drewniane naczynia, gliniane miski gęsto były ustawione na szarych, poplamionych obrusach. Towarzystwo liczne z bardzo rozmaitych składało się żywiołów. Nie było wprawdzie ludzi, których by do

chłopstwa zaliczyć można z wejrzenia, ale ręczyć za szlachectwo tego tłumu nikt by się pewno nie ośmielił. I suknie, i twarze różne narodowości i plemiona zdawały się cechować; [przez] litewską śpiewną mowę mazowiecki, wielkopolski, rusiński akcent się przebijał. Nie zbywało na Węgrach i na Wołochach ani na Niemcach, ale ci się z mową nie popisywali. Dostatnie i wyszarzane odzieże ocierały się o siebie.

Woń kwaśnego piwa górowała tu nad innymi wyziewami: odzieży, kozuchów, dziegciem

smarowanych butów, przyskwarzonej tłustości i woni człowieka na ostatek, który nie jest jej pozbawionym. Lecz Płaza przyzwyczajonym być musiał do tego wszystkiego, bo się ani skrzywił.

Niósł na ramieniu sakwy i idąc za gospodarzem oglądał się tylko, gdzie by bezpiecznie mógł swój ciężar złożyć. Prowadzący go Kalina tarł głową, bo i on oczyma miejsca szukał, a znaleźć go nie mógł. Ludzi, węzełków, worków, sakw różnych pełno było.

Przeszli tak pierwszą tę izbę i wstąpili na próg alkierza, który spokojniejszy się wydawał, ale i tu pełno było. Ogień przygasły w kominie nie dawał dobrze rozpoznać siedzących. Płaza się już zatrzymać chciał, gdy Kalina mu dał znak i w kącie pod ścianą na ławie miejsce ukazał.

Wprawdzie pod ławą ktoś już złożył swe rupiecie, lecz kawał twardej deski w samym rogu i dwie ściany, o które się zeprzeć było można, nie starczyłyż dla takiego podróżnego?

Gospodarz odezwał się cicho:

— Tymczasem... Znajdziemy może i lepszego coś... Płaza rzucił swe sakwy.

— No, a jadło? — zapytał. — A wódka?

— Cierpliwości, wszystko się znajdzie — rzekł Kalina. — Gorzałki zaraz przyszlę, a na krupnik i kluski trzeba poczekać, aż dla wszystkich będą gotowe.

— A gdzież ja tu będę jadł? — mruknął Płaza oglądając się. — Na kolanach jam nie zwykł.

Kalina rękę podniósł do góry i zawróciwszy się odszedł bez odpowiedzi. Mruczając a może

przeklinając Wijurskiego, siadł pan Lasota przy swych węzełkach, ale tak mu mało miejsca zostało, że daleko wygodniej pono na terlicy i na szkapie niż tutaj.

Westchnął i ziewnął razem.

Upłynęła tak chwila, oczy mu się mimowolnie kleiły, w izbie mrok pokrywał wszystko, gdy z pierwszej gwarnej tej giełdy ogromnego wzrostu mężczyzna wszedł krokiem powolnym do alkierza, począł oczyma rzucać po kątach, zoczył Płazę, zbliżył się i podniósłszy rękę szeroką jak łopata, uderzył go nią po ramieniu.

Ten poufały gość, zbudowany jak pacholki miejskie, których dobierają siłaczów, z wąsami zachodzącymi mu na uszy, w stroju z kozacka, w czapce baraniej, długich juchtowych butach i pasie szerokim czerwonym, srogą miał i niemiłą twarz; ani dziw, że Płaza się zachnął. Drab się pochylił śmiejąc ku niemu i do ucha coś szepnął. Płaza dał mu tylko znak milczenia. Przybyły się obejrzał wkoło z uwagą i począł półgłosem;

— Tylkoś wszedł na próg, tom cię poznał.

— A ja tu nikogo nie znam i znać nie chcę — odparł popędliwie Płaza. — Powinieneś to rozumieć...

Nastąpiło milczenie, kozakowaty drab skrzywił się.

— Niechaj tak — rzekł — a ja wam tyle no powiem, że się beze mnie nie obejdziecie.

— Może być — mruknął Płaza. Drab stał uparcie.

— Kto wam tu wskazał? — spytał.

— W drodze spotkał jakiegoś szlachcica.

Poszeptali coś między sobą i pachol w wolnym krokiem się oddalił. Rozmowa ich niczyjego

nie zwróciła oka. Sam Kalina przyszedł niosąc flaszkę gorzałki, którą zalecał, bo miała być z pieprzem i jedyna po fatygach i niewczasach podróży. Płaza też wychylił jej naraz dwa kubki, a dobry kawał chleba z solą służył za zakąskę.

Do spożycia krupniku znalazł się kątek przy stole, ale następowała godzina spoczynku i

Płaza na próżno się rozpatrywał po izbie, gdzie i jak się umieścić potrafi. Ci, którym pilniej było, ani na gwar, ani na ciasnotę nie zważając, mieścili się na podłodze, sami sobie kule słomy przynosząc.

Płaza mógł się przypatrzeć, jak szlacheckim obyczajem każdy z gości, zabierając się do

spoczynku, po pacierzu szablę starannie u boku swego mieścił, tak aby na wszelki przypadek mieć ją pod ręką.

Przysłowie stare uczyło:

Bez karabeli,

Ani z pościeli.

Ogień powoli na kominach wygaszał, trzeba było pomyśleć o sobie. Płaza miał już pójść po

słomę, której mu dostarczyć nie myślano, gdy drab, co go tu wprzód powitał, zjawił się we drzwiach ze dwoma kulami na plecach i jeden z nich rzucił mu pod nogi, a sam, słowa nie mówiąc, do pierwszej izby zawrócił. Tu jeszcze głośno rozprawiano, śpiewano i choć na mieście wytrąbiono gaszenie ognia i spoczynek, w gospodzie bardzo powoli przychodziło uspokojenie. Niektórych sen nad stołem zmorzył i chrapali nad nim schyleni. Płaza, się nie rozdziewając, pasa tylko trochę popuścił, trzos, który miał pod nim, zapiął na inną dziurkę, głowę obwinął opończą i kamiennym snem zasnął.

ROZDZIAŁ III

Zaledwie dzień poczynało, gdy się już u Kaliny ruszyli czeladź i goście. Właściwie rzekłszy nocy tam nie było, bo nim się jedni pokładli, drudzy już wstawali, a na kominach wieczorny ogień nie wygasł, gdy ranny rozpalono. Po izbach wśród uspionych snuły się ciągle jakieś rozespiane postacie, potem niektórzy wstawać zaczęli, głośno odmawiając pacierze, w stajni około koni ruch się zrobił i życie wczorajsze powoli na nowo przędło.

Płaza spał, choć około niego ruszano się, chodzono i stukano. Pootwierano okna; niektórzy

się sposobili do drogi i rachowali krzykliwie z gospodarzem, nowi nawet podróżni, co nocą

pośpieszali, zjawiali się chłodem poranka przejęci. U studni w podwórku widać było do pasa obnażonych ichmościów, którzy prosto z niewygodnego barłogu poszli się, zimną wodą oblewając, pokrzepić.

Słowem, nim w ulicach miasta ludzie się snuć zaczęli, zaledwie po kościołach dzwoniło

na ranne pacierze, już u Kaliny pito, zajadano i żwawo się obracano. Piwa grzanego, polewek i gorzałki ledwie mógł gospodarz nastarczyć.

Wstał nareszcie i Płaza, ale że się chciał całkiem przyodziać, odzież zmienić, troki swe rozwiązać, a tu miejsca nie było i dla ciekawych oczów nie chciało mu się karmi dostarczać, burcząc zażądał alkierza, gdzie by sam mógł choćby na czas pozostać. Dano mu w istocie na pół

ciemną spizarnię pustą, w której strasznie stęchliznę i gnilec czuć było, a powietrze dreszczem przejmowało, ale człek był wytrzymały, więc sobie nie przykrzył.

Gdy wyszedł potem z komory, lepiej wyglądał, chociaż z sukien widać było, że długo nie

używane leżały. Z pasa, z szabli a nawet żupana lamowego wydał się szlachcicem dostatnim,

choć długi pobyt na kresach zapewne ruchy mu nadał jakieś gwałtowne i zamachy kozackie. Z

chmurą na czole, zadumany, naprzód do wódki się wziął, a potem do misy grzanego piwa ze

śmietaną i serem, którą opróżnił, i wasy otarłszy, zabierał się wychodzić. Sakwy gospodarz pod klucz zabrał, a koń, którego straż parobkowi powierzył, miał się dobrze, mógł więc ruszyć na miasto.

W progu już napędził go ów drab wczorajszy w koszuli i bieliźnie tylko, bo się ledwie w

stajni spod żłobu, gdzie spał pono, pochwycił, i poszeptali coś z sobą. Płaza wyszedł wręcz w ulicę.

Niedaleko od Kaliny stał ów dwór księcia podkomorzego Radziwiłła, do którego Wijurski

miał zajechać. Spojrzawszy w tę stronę, Płaza po krótkim namyśle naprzód się tu zawrócił. Za nocleg wskazany dziękować nie było warto, ale Wijurski mu był potrzebny.

Parkanem mocnym ogrodzony dworzec Radziwiłłowski miał jedną bramę z furtą od

Długiej, do której zapukał Płaza. Wpuścił go stróż bez pytania.

W podwórzu ogromnym, o tej porze pustym jeszcze, bo dopiero konie poić miano i kilku

parobków kręciło się koło studni, w głębi stał dwór stary, niepokazny, trochę już zwichnięty w ścianach, z wielkim herbem książęcym na szczycie, który od lat i słot całkiem był poczerniał. Dalej, gdzie do wału miejskiego plac przylegał, wznosiło się nowe domostwo pańskie, którego drzewo sosnowe jeszcze ściemnieć nie miało czasu. Duże okna o jasnych szybach, ganki, dach starannie ciesielską robotą były wykonane. Tu drzwi pozamykane czekały widać na samego pana, dla którego gmach ten był przeznaczony. Żywej duszy nie widząc przy nim, Płaza udał się, mijając ogromne stajnie, ku staremu budowaniu, bo tu czeladź się kręciła. Chociaż pana w domu nie było, a godzina wczesna bardzo jeszcze się ludziom poodziewać nie dała, na tych, co się pokazywali, widać było dostatek pański. Opończe bramowane, kontusze jasne, czapki z futer pięknych, lica rumiane i wypasione, zawiesziste miny Litwinów znamionowały dwór magnata, butny i wesoły.

Na zapytanie o Wijurskiego stojący w progu z rękami w boki mężczyzna szerokoramienny,

z długim włosiem jasnym, pochwycił przebiegającego właśnie chłopczyka za ramię i kazał gościowi mieszkanie jego ukazać.

— Sam byś waszmość nie trafił — rzekł śmiejąc się — bo tu u nas zakamarków przepaść, a

kurytarze ciemne i psów pełne.

W istocie chłopak się, biegnąc, parę razy o rozłożone w sieniach ogary potykać musiał i raz w lewo, to w prawo skręcając, po przybudówkach jakichś do drzwi na pół otwartych doprowadził

Płazę.

Stał w nich właśnie Wijurski.

— Czołem!

— Czołem! Przyszedłem za nocleg podziękować — odezwał się

Płaza — choć niech go milion diabłów weźmie z jego gospodą!... Ale biednemu

człowiekowi inaczej się pomieścić nie można, tylko w takim ulu piekielnym. Szczęście, że się w długim życiu do wszystkiego nawykło: i do spania na terlicy, i do oddychania w smrodzie.

Wijurski wprowadził go do swego alkierzyka, w którym też zbytku nie było: tarczan z

siennikiem, stół prosty, ławka, półka, kilka kołków w ścianie, zydelek u drzwi z wiadrem i misą.

— Widzicie — rzekł — że i ja nie pański też nocleg miałem, tyle tylko, że sam był i

pacierz spokojnie mogłem odmówić. Dałbym ci wam chętnie u siebie pomieszkanie, ale takie u nas prawo w książęcym dworze, iż obcych wprowadzać się nam nie godzi.

Płaza przysiadł się na ławie nieco, Wijurski tymczasem, który już ubrany był jak do miasta, szablę przypasywał, co oznaczało, iż się zabierał do wyjścia.

— A wy dokąd? — zapytał Płaza.

— Naprzód do kościoła, myślę, że do Dominikanów, gdzie zawsze mszę świętą znajdę —

odparł Wijurski — a potem... ha, no, poleceń i spraw mam dosyć! A wy?

Płaza milczał trochę.

— Naprzód się no po mieście dziś rozpatrzę, śpieszyć nie mam co, a potem... (ruszył ramionami) sam nie wiem.

Wijurski się niedowierzająco uśmiechnął, ale nie powiedział nic.

— Jeszczeście to nikogo nie widzieli? — zapytał po chwili Płaza. — Cóż tu słyhać około dworu?

— Dziw — odparł Wijurski — i wam się to pewnie o uszy obje, byleście się z ludźmi

zetknęli. Wszyscy gadają o wojnie. Słyszę, panowie senatorowie, większa część, bardzo są jej przeciwni, i nie wierzą w nią, i gniewają się, gdy kto o tym prawi, ale około króla szczęk oręza ciągle. Ze swej kieszeni pono pan zaciągi jakieś robi, działa łać każe. Nie na kogo to być może, chyba na Turka. A po co go drażnić i budzić! — dodał Wijurski.

— Juścić my się kiedyś z poganinem rozprawić musimy, a przegnać go z chrześcijańskiej ziemi — zamruczał Płaza. — Nie komu tego dokazać, tylko królowi polskiemu.

Wijurski westchnął.

— Pięknie by to było — rzekł — ale jakoś się na to nie zanosi. Od tego czasu gdy hetman Jazłowiecki buławę rzucał w

Czarne Morze wołając: „Tu granica Polski”! — od tego czasu daliśmy Tatarom zająć i osiedlić się na Budzaku i w Dzikich Polach już my nie panami. Niedawnośmy jeszcze u tych zbójów kozuchami pokój okupowali, a tu nagle... Wijurski głową pokręcił.

— I to niesforne kozactwo na granicy — dodał — gdzie by nam najlepszego żołnierza mieć na Niżu potrzeba.

Płaza drgnął.

— Oho — zawołał — oho! Cóż wy sobie lekko szacujecie kozactwo? Niesforne ono na pozór, ale tam siła jest; daj Boże, aby jej tyle u was tu było. Za łby się w koszu pobiorą, prawda, ale gdy razem iść trzeba na nieprzyjaciela, poborów tam uchwalać i sejmików zwoływać nie ma po co; zakrzyknie helman-batko na mołojców i pójdą do ostatniego. A w domu z nich żaden ni żony, ani dziecka nie zostawi, więc się z życiem oglądać nie będzie.

Wijurski słuchał uważnie.

— Gorąco — rzekł — kozactwa bronicie.

Płaza się zarumienił i głowę na piersi spuścił.

— Bom się mu tam i owdzie na kresach przypatrzył — dodał i powstał z ławy.

Wijurski spojrział nań bystro i po przestanku rzekł:

— Z nowin i ta druga, że się, słyszę, król nasz jegomość ożenić pragnie. — To mówiąc uśmiechnął się pan Szczepan. — Hę hę, w porę!

— A to dlaczego? — zapytał Płaza. — Niestary jest?

— Widzieliścież go? Zamyślił się brodaty.

— Dwadzieścia lat temu! — zamruczał.

— Zobaczcież go teraz — rzekł po cichu Wijurski. — Z całym respektem, jaki majestatowi

królewskiemu należy, aleć to nie ten piękny młodzian, któremu się ongi za granicą dziwowano a malowano. Roztył się okrutnie, rozlał, a podagra mu w nogi wlaźła, że się o kiju przechadzać musi; na konia mu ciężko, często po kilka dni w łóżku, krzycząc, spędzać, musi. Zobaczycież go zresztą sami.

Mówiąc tak, powoli Wijurski się ruszył i za czapkę wziął.

— A cóż? Idziemy?

— Chodźmy — powtórzył zamyślony Płaza.

Przez ciemne przejścia wydobyli się na światło dzienne w pod- wórcę, gdzie właśnie konie przeprowadzano pod dekami i koniuszy je mustrował. Wijurski, z dala się przywitawszy ze stojącymi dworskimi urzędnikami, sam z Płazą wyszedł w ulicę i pożegnawszy go, ku

Dominikanom się zwrócił. Po chwili namysłu brodaty ku Nowemu Światu, jak go już podówczas

zwano, z wolna się między przecznicami orientując i ludzi rozpytując, skierował. Znał ci niegdyś trochę Warszawę, ale teraz mu nowych budynków mnóstwo tak zmieniło jej pozór, że ciężko się w niej obracał.

Ostatni przechodzień, którego nieśmiało zapytał Płaza o pałac wielkiego kanclerza

Ossolińskiego, rozśmiał się głośno.

— A skądże, u Boga, idziecie — zawołał — i jakeście to dawno tu nie byli, gdy o kanclerski pałac pytacie?!

Wskazał ręką ku szerszej ulicy.

— Idźcie no, sam się on wam w oczy rzuci, bo po pałacu króla, po Kazanowskich, toć to największe i najpiękniejsze w mieście budowanie a ozdoba nasza!

Zawstydzony nieco Płaza odszedł prędko. W istocie nie opodał stąd ogromny gmach, nader

wspaniały, niemal królewsko wyglądający, zajmował przestrzeń znaczną ulicy, od której ozdobna brama z furtą go oddzielała. Poza nią widać było gmach, nad którego dachem okrytym górowały posągi kamienne i balasy. Z obu stron jego inne obszerne budowle zalegały, a wśród nich i nieco drzew wierzchołków z ogrodu zieleniało.

Wszystko to tak wyglądało wspaniale, iż Płaza stanął, stał, patrzył i nierychło się odważył

zbliżyć ku furcie. Wprzód nim się ośmielił na to, obejrzał się pilno dokoła, lecz w ulicy oprócz przechodzącego żebraka i wozu wieśniaczego, który skrzypiąc, przeciągał, nie widać było nikogo.

Zegar wieżowy z dala bił dziesiątą godzinę, tak dużo czasu zeszło od wyjścia z gospody.

Furta stała otworem, a w podwórzu piechota strojna z halabardami straż trzymała, ale tu mu dała przejść nie pytając. Pałac teraz główny miał na oku przed sobą i przypatrywał mu się ciekawie mimo woli. Jako żyw nic podobnego nie widział.

— Stroją teraz panowie domy swe jak kościoły — rzekł w duchu.

Uderzały na czole gmachu cztery naprzód posągi królów polskich, pod którymi podpisów

złocistych Płaza nie czytał. Nieco niżej, nad samymi drzwiami obwiedzionymi marmurem czysto gładzonym, był wizerunek Polski: niewiasta piękna i silna, u której nóg snop zboża położono, sparta na kopii, z sierpem w rękę; z drugiej strony pług wyglądał i lemiesz. Rzeźbiarz wedle pomysłu samego kanclerza w ten sposób dwoiste Rzeczypospolitej powołanie wyraził, na straży zbrojną u granic chrześcijaństwa, a rolę swą, którą karmiła sąsiednie kraje, uprawiającą.

Płaza nawet, choć nie obyty z podobnymi dziełami, łatwo zrozumiał posągu znaczenie,

który czterej królowie otaczali.

Oprócz tych statui po rogach gmachu stały dalej mnogie inne, a gdziekolwiek dach

przeglądał zza balasów złocistych, wszędzie miedź na nim przy wieżyczkach, a na większych przestrzeniach dachówkę widać było.

Płaza, mało co od bramy odstąpiwszy, tak się wpatrzył w te dziwy, że jak wryty stał i

cokolwiek się zapomniął. Byłby tak może za długo pozostał w tym zdumieniu, gdyby z

cudzoziemska ubrany bardzo wytwornie młodzieniec nie przystąpił do niego z pytaniem:

— Czego waszmość sobie życzy? Zawahawszy się nieco, rzekł Płaza:

— Z jegomością panem kanclerzem widzieć się muszę. Uśmiechnął się pytający.

— Nie może to być — rzekł — dopóki kanclerz nie rozstrzygnie, czy wam posłuchanie dać

zechce, a na to potrzeba, aby wiedział sprawę, która was tu sprowadziła. Czas mu drogi.

Płaza skrzywiony podniósł wzrok swój przenikliwy ku mówiącemu i rzekł bez uniżoności,

jakiej się może młodzian spodziewał:

— Są przecie sprawy, których się nie zwierza, a takie tylko samemu panu do ucha należą.

Właśnie też moja taką.

Namyślił się nieco.

— Jeśli to wasza rzecz rozstrzygać lub kanclerzowi podawać wiadomość — dodał —

chciejcie powiedzieć, że z listami przybył ktoś od kresów, ale ich nikomu nie wręczy, tylko samemu jegomości.

— Chodźcież za mną — odparł młodzian poważniejąc.

W milczeniu pominęli pierwszy ów gmach od czoła i zeszli ku ogrodowi, wśród którego stał drugi, nie mniejszy ani mniej ozdobny, również marmurami okładany, posągami i balasami strojny.

Wszędzie widać było nadzwyczajne staranie o to, aby się wszystko prezentowało pańsko i niepowszednio, bo nawet studnia u muru na sposób włoski była przyozdobioną i lwia paszczyka rozwarta wylewała z niej wodę do ogromnej konchy kamiennej.

Wszystko tu Płazę zdumiewało aż do latarni u wniścia pozłocistych, przy których znowu kilku pieszych żołnierzy z halabardami stało na straży; a żołnierz to był nie tyle od wojny, co od parady, cały w jaskrawych sukniach i obszyciach lśniących.

Młody przewodnik, jakby chciał zdziwionemu szlachcicowi dać jak największe wyobrażenie o wspaniałości pana swojego, szerokimi wschodami marmurowymi wprowadził go na górę i pominąwszy antykamerę, przez drzwi sadzone misternie drzewem zabarwianym i kością wwiódł do ogromnej sali.

— Tu waszmość poczekaj na mnie — rzekł z uśmiechem — czas mu się dłużyć nie będzie, bo jest się czemu przypatrywać.

W istocie sala to była jedna z najwspanialszych w pałacu, na którą się ówczesny smak i kunszt wysadził, a kanclerz kosztów nie żałował. Ani na zamku, ani u Kazanowskich, którzy jedni mogli z Ossolińskim iść w zawody, nic piękniejszego widzieć nie było można. Okna umieszczone w górze oświecały ją i czyniły wesołą. Strop i część ścian całe były gipsaturami złożonymi okryte, których linie, zwoje, floresy układały się wielce wdzięcznie. W górze pośród nich marmurowe popiersia cesarzów rzymskich, przywiezione z Rzymu, stanowiły wytworną ozdobę. Od stropu począwszy, opasanego sztukaterią bogatą, aż do posadzki wysadżanej we wzory kunsztownie, wszystko było nadzwyczaj starannie wykończone. Wielki, przepyszny komin z czarnego marmuru w

pośrodku poprzecznej ściany monumentalnie się wznosił. Ściany same prawie całe okryte były ogromnymi obrazami, umyślnie z rozkazu kanclerza przez włoskich mistrzów malowanymi wedle skazówek danych przez niego. Przedmiotem ich były dzieje domu nowsze i dawniejsze, bo u Ossolińskich teraz i prastare tęczyńskie jednoczyły się tradycje.

Nad kominem samym wisiał obraz przedstawiający króla Władysława IV na białym koniu wśród pola bitwy. Obok obraz przypominał chorągwie (siedem) kopijników, które Ossolińscy na obronę kraju wystawiali; na prawo Ossoliński, w chwili gdy rokoszanie zetrzeć się mieli z wojskiem królewskim, z niebezpieczeństwem życia rzucający się między szeregi bratnie, aby starcia bezbożnego nie dopuścić.

Wizerunki Ossolińskich malowane przez ich dworskiego malarza, Ammana, sceny z dziejów rodziny, bitwy, jedna, w której św. Anna patronka życie ocaliła przodkowi kanclerza, w złocistych ramach, zajmowały całe ściany. Sala poświęconą była tym wspomnieniom chwały przodków, której kanclerz usiłował nową dać świetność. Znakomity mówca i dyplomata, potrafił zająć stanowisko przeważne i utrzymać się na nim do końca.

Płaza patrzył, patrzył i napatrzeć się nie mógł. Jedną tą salą dawała mu wyobrażenie potęgi domu i wielkości człowieka, który się tym blaskiem otaczał.

Jeden z wielkich obrazów, wystawiający koronację królowej przez biskupa Ossolińskiego, ściągnął uwagę Płazy. Rysy pięknej pani przypominały mu snadź jakąś twarz dawniej ukochaną i powieki jego zrosiły się łzami. Odwrócił oczy, aby wrażenie to rozprószyć, rozpatrując się w czarnych, marmurowych odrzwiach i ozdobach, od których obicia jedwabne odbijały harmonijnie. We drzwiach portiery z herbami Ossolińskich, które trzymali rycerze, jedwabne płotki osłaniające je u dołu, które też do namiotów służyć mogły — wszystko aż do najmniejszych szczegółów miał czas rozpatrzyć Płaza i powrócił mimowolnie do obrazu koronacji i do niewieściej twarzy, która go w inną życia epokę przeniosła, gdy jedna z portier się podniosła i młody dworak nie postrzeżony się zbliżył do zadumanego.

— Chodź waszmość za mną — odezwał się — kanclerz chce przyjąć waszmości.

Drgnął nieco pochwycony niespodzianie brodacz i pośpiesznie ruszył za swym przewodnikiem.

Szli tedy dalej przez cały szereg pokojów, równie ozdobnie i zbytkownie urządzonych. Co chwila, co krok rad by się był Płaza zatrzymywać, ale młodzian poprzedzający go szedł śpiesznie.

Cudów takich nigdy w życiu nie oglądał ani nawet miał o nich wyobrażenie; w prostocie ducha znajdował może nawet, iż taka świetność i zbytek przystał w świątyni bożej, na ostatek w zamku króla, ale nie w mieszkaniu magnata, urągającym tym przepychem i kościołom, i tronowi.

Olśniony znalazł się w pokoju pana, ale w pierwszej chwili nie widział nic oprócz mężczyzny dziwnie pięknego i pańskiego, dumnego oblicza, ubranego w atłasowy kontusik wiśniowy, na którym miał lekkie, zielonym aksamitem okryte futerko.

Pan godnym był pałacu, tak od niego biła starożytnego rodu wypieszczona świetność, tak różnił się od pospolitych ludzi, z którymi Płaza nawykł był obcować. Dla tego prostego i sprostaczałego szlachetki był to jakby innego świata zesłaniec stworzony do rozkazywania. Oczy, usta, rysy twarzy składały mimo wieku już dojrzałego piękną i wielce szlachetną fizjognomię, która nic nie miała, co by ku niej pociągało, nie odznaczała się ani słodyczą, ani łagodnością, ale dumą i rozumem obudzała poszanowanie. Oczy szczególnie ciemne pełne były wyrazu.

Strój ani na kobiecie pięknie ułożonym być nie mógł, począwszy od miękko składających się bucików teźże co kontusz barwy aż do szmaragdowej spinki pod szyją. Na białych rękach świeciły też kosztowne pierścienie. Siedział jak do malowania, oparty o stół, ze wzrokiem ciekawie ku drzwiom zwróconym. Przy nim na stole okrytym bogatym kobiercem leżał rozłożony arkusz papieru z wielką pieczęcią, a tuż widać było kosztowne, rzeźbione, hebanowe, kością słoniową i bursztynem wysadzone szkatuły, srebrne kubki i sprzęt, którego Płaza przeznaczenia odgadnąć nie mógł.

Na głęboki ukłon przybyłego kanclerz skinieniem ręki odpowiedział tylko, nie podnosząc się ze swego krzesła. U drzwi stał jeszcze młodzian, co wprowadził Płazę, ale ten na dany znak na palcach drugimi drzwiami się oddalił.

Ossoliński zdawał się czekać, aż szlachcic pierwszy się odezwie, ten zaś skłopotany nie wiedział, od czego miał zacząć.

— Macie do mnie listy? — spytał nareszcie głosem, który mówcę zdradzał przywykłego do popisywania się z retoryką.

— Tak jest — odparł nareszcie szlachcic, -który czapkę pod rękę włożywszy, sięgnął za

nadrę i dobył stamtąd w jedwabną turecką chustę starannie zawinięty pakiet, który troskliwie rozwijać zaczął.

Kanclerz z uśmiechem chuście się tureckiej przypatrywał. Ukazały się wreszcie papiery z pieczęciami.

— Mam polecenie do rąk własnych Miłości Waszej oddać to pisanie hetmana i starszyny

— rzekł — ale usilnie proszę, aby nikt o tym nie wiedział, zem ja tu te listy wiózł.

To mówiąc położył papiery na rogu stołu. Nie tknął ich tak prędko Ossoliński.

— Nie potrzebuję was ostrzegać — rzekł po przestanku — że o listach nikomu i o bytności

u mnie też zwierzać się nie powinni- ście. Ponieważ wam zaufano, spodziewam się, że i ja mogę się spuścić.

Sklonił się Płaza; Ossoliński mu się pilno przypatrywał.

— A cóż was tam na Niż zapędziło — zapytał — długo-li tam jesteście, bo *ni fallor*, kozackiej w was krwi nie ma, ino polska.

Płaza westchnął ciężko.

— Zagnało mnie tam to, co i wielu innych na te ostrowy i ka- mycze gnało — nieszczęście, rozlana krew... Spuścił głowę.

— Nazwisko wasze, jeśli mi je zwierzyć chcecie? — rzekł kanclerz.

— Matka moja była Płazianka z domu — odezwał się szlachcic — więc jam teraz wziął jej nazwisko, ale po ojcu zowię się Wierzbięta, szlachcic jestem.

— Dawnoście tam?

— O — westchnął Płaza — dwadzieścia lat... Skozaczeć było czas, a jednak...

— Siła tam takich?

— Któż policzy, a nawet kto i dopyta! — mówił Płaza powoli. — Każdy się z tym kryje i

wypiera. Wstyd! Dawniej pono więcej było i Wołoszy, i Polaków, i różnego narodu; ano z naszych, który pobędzie tam, choć się niby przyswoi i przyrośnie, w końcu prawie każdy zatęskni i powraca.

— A wy? — spytał Ossoliński.

Nic nie odpowiadając, Płaza ramionami dźwignął.

— Będzie-li z czym, muszę wrócić — odezwał się — a żebym za Koszem tak zatęsknił, jakem w Koszu za Polską nudził, pewno się to nie okaże.

— Macie tu rodzinę?

— Nikogo, nikogo! — pośpieszył Płaza i suche oczy otarł.

Ossoliński teraz dopiero białą rękę wyciągnął jakby od niechcienia i z wolna papiery ku sobie przysunął, dosyć obojętnie napisy na nich odczytał, pieczęci nie ruszył i mówił znowu.

— Jakże tam pan hetman i jego mołojcy, mają ochotę? Gotowi są?

— Gdy tylko król rozkaże — rzekł Płaza — ruszą, ale nie bez tego, aby im na drogę nie trzeba było dać, bo i prochów, i ołowiu, i bark a czółen, i wszelkiego zapasu potrzebować będą.

— O królu wara mówić — przerwał kanclerz — na nas to złożyć trzeba, a majestatu nie tykać. Ludzi tam dosyć?

Płaza ręką poruszył.

— Jak mrowia, a ciężko ich utrzymać, bo się to rwie niecierpliwie — mówił posłany — ale dotąd rozkazy szły od hetmanów i od sekatorów, ażeby, uchowaj Boże, Turka nie zaczepiać i nie drażnić.

Ossoliński się uśmiechnął.

— Starszyzna wie, co to ma znaczyć — rzekł krótko.

— Wiemyż i my, że leniwej szlachcie wojny się z Turkiem nie chce — począł Płaza — a

król jegomość ma rycerskiego ducha i obronę chrześcijaństwa pragnie podjąć, co ze wszech miar chwalebna. Rozumie się, iż gdy szlachtę inaczej do wojny nie może Skłonić, musi zażyć fortelu, Kozakom kazać Turków zaczepić i wywołać wypowiedzenie wojny. Naówczas stanie się zadość

życzeniu Jego Królewskiej Mości, a szlachta go obwiniać nie będzie mogła, Kozacy wszystkiemu będą winni.

Uśmiechnął się, gładząc bródkę, Ossoliński.

— Statysta z waszmości — rzekł — ale toć właśnie tajemnica status.

— Myć w radzie hetmana siedzimy — odparł Płaza — a on znać musi sprawę.

Ossoliński począł dopytywać o liczbę, o uzbrojenie, o porządek na Niżu.

— Ja tu słyszę — odezwał się Płaza — iż kozactwo sobie lekko szacują, chłopstwem je lada jakim i włóczęgami zowąc. Może oni kiedy byli taką niesforną gromadą, ale dziś się to zmieniło.

Do niczego to niepodobne, co gdzie indziej na świecie widać, ni klasztor, ni pułk, ni też luźne zbiegowisko. Porządek straszny, rygor okrutny, karność nielitośna. Za lada co pałkami lub nahajkami w śmierć ubiją i na pal wsadzą, a gdy się bić trzeba, idą jak wściekli, a posłuszeństwo ślepe, bo hetmanowi słowo rzecz, głowa zleci. Niemała to rzecz, że Rzeczpospolita kozactwem włada, uchowaj Boże mieć ich za nieprzyjacioły, poszliby do Moskwy, bo im cerkiewne dzwony milej brzmią niż kościelne, a lud by ukraiński poprowadzili za sobą.

— Zdaje się też, że się na króla i Rzeczpospolitą skarżyć nie mogą — dorzucił Ossoliński.

Zadumał się potem. — Gospodę macie w mieście? — zapytał.

— Musiałem ją sobie wyszukać.

— U znajomych?

— Nie, na Długiej ulicy. Skrzywił się kanclerz.

— Nie potrzeba, abyście byli na oku u ludzi — odezwał się — ja was tu też wziąć nie mogę.

Stąd baśń by się jaka zrodziła, o którą u nas łatwo. Choć suknia nie kozacza, ale coś do was Niżowca przylgnęło. Przyjdźcie tu jutro; dam wam przez Gurlewskiego, który tu przyprowadził, skazówkę, kędy gospodę zająć macie. Z tej się nie ruszajcie. O kozaczyźnie i o Niżu nie mówcie, ale o Podolu. Nikt tu o was wiedzieć nie powinien. Gdyby dziś się gospoda pewna znalazła,

wolałbym was co rychlej wyciągnąć z Długiej ulicy. Nie zabierajcie znajomości... Milczenia nikt nie żałował, a gadania niejeden.

Płaza ciągle ukłonami potakiwał; na ostatek Ossoliński klasnął w ręce i bardzo prędko

wszedł Gurlewski. Zrozumiał szlachcic, że ten go miał wyprowadzić, a rad by się był lepiej pałacowi przypatrzył, ale kanclerz dał mu znak i Płaza wyszedł za przewodnikiem, nie przez salę już, ale małymi wschodkami, które tu około sypialni wiodły na dół do sionek w ogródek i na podwórze.

— A — rzekł do Gurlewskiego — jak by się to człowiek tym cudom przypatrzył!

— Drugim razem — rozśmiał się młodzieniec — gdy ichmość państwa nie będzie, chętnie

wam pałace okażę, bo takich drugich nie tylko w Polsce, ale i w postronnych krajach nie zobaczyć.

Na to potrzeba było nie tylko skarbów' naszego pana, ale i jego miłości tych pięknych rzeczy, których u nas się jeszcze panowie kochać nie nauczyli.

Przeszli tedy część ogródka, pięknie na kwatery podzielonego, który altany zielonością

okryte, z widokami na odległą okolicę przyozdabiały, i znaleźli się w podwórku, gdzie koni, jeźdźców, piechoty i czeladzi kręciło się mnóstwo.

— Polep ono wam tu przyjść? — zapytał Gurlewski.

— A jakże, i do was się zgłosić — odparł Płaza.

— Pytajcie więc — rzekł uśmiechając się młody — o komornika i dworzanina

Gurlewskiego, wskaże wam każdy.

I dosyć uprzejmie pożegnawszy Płazę, natychmiast się do in- nych dworzan zwrócił, którzy

na rozkazy jego zdawali się oczekiwać,

Jak olśniony i upojony Płaza doszedł powoli do furty, ciągle oczy jeszcze pasąc tym

przepychem pańskim, pominął halabardników, pyszniących się swymi strojami, i znalazł w ulicy.

Jeszcze rozmyślał, dokąd ma iść, bo mu się miasto oglądać chciało, gdy przed sobą ujrzał

stojącego tu jakby na czatach draba. który go wczoraj był u Kaliny zaczepił.

Skrzywił się zobaczywszy go, jakby mu niezbyt rad był, gdy tamten uśmiechnął się butno.

— No cóż, *batku* — rzekł — zbyliście ciężaru?

— Jakiego? — zamruczał Płaza — co wam w głowie, ja tu powinowatych mam, bratanka, i

po wszystkim.

— A juści, u was tu bratanków przepaść — po rusku począł drab — mnie nic do tego! Ja

bym wam tylko rad dopomóc, nie mam co robić, a już się w tym mieścisku obyłem. Nu, prawda —

dodał wesoło — z początku człek po tych uliczkach, między tymi dworkami głowę traci i gubi się, a błądzi, ale my,— oho! Kto w naszych kamyszach i ostrowach umie drogę wynaleźć i nie

pobłądzić, temu i tu nie będzie trudno. Ja tu już jak w domu.

Nie miał ochoty Płaza w dłuższą się rozmowę z Kozakiem wdawać, alei jak się tu było od

niego uwolnić? Przyszło mu na myśl nawet, że z Kosza go tu posyłając, może nie dowierzali i stróża

tego nad nim postawili, aby kroki jego śledził. Czas jakiś szli milczący.

— Słuchaj, Parfen — odezwał się stając Płaza — chodź ty sobie za mną i patrzaj, kiedy

chcesz, to mi wszystko jedno, ale ludzie nie powinni wiedzieć, że ja tu z Niżu przysłany, a po tobie i mnie wytropią. Nie stanie ci się nic, a ja przyplacę, gdy się wyda to, co powinno być zakryte.

Parfen słuchał zadumany.

— A to dobrze, żeście u Kaliny stanęli, gdzie tyle oczów na was patrzy i po zepsutej mowie, a nawet po opończy starej poznają, że wy od Niżu tu przybłąkaliście się?

— Ja też u Kaliny pozostać nie myślę — odparł Płaza — ani wam będę taił, że mi gospodę

dać obiecano. Chcecie wiedzieć, gdzie będę, nie mam nic przeciwko temu, pilnujcie, gdy dziś albo jutro z gospody będę wyciągał.

Parfen głową kiwnął.

— W gospodzie u Kaliny niezdrowo — rzekł — wszelkiego ludu stek, lepiej z niej precz.

Mnie wszystko jedno, bom ja jawno tu przybył i taić się nie potrzebuję.

To mówiąc Parfen, obejrzawszy się dokoła, po ramieniu poufale szlachcica uderzył.

— Bywajcie zdrowi — rzekł — no, a gdybym ja wam na co był potrzebny, bo kto to

wiedzieć może, u Kaliny mnie szukać, ja już tam zostanę.

ROZDZIAŁ IV

Zjadłszy, co mu Kalina przyniósł, bo wybrednym nie był, Płaza, wareckim popiwszy

dobrze, wyszedł z zadusznej izby przed gospodę, aby popatrzeć w ulicę, gdy gospodarz go za rękę ujął.

— Waszmości mianują Płaza? — zapytał.

— Tak jest.

— A oto jegomość pan, bywszy wójt nasz, miłościwy Łukasz Bielecki, szafarz Jego

Królewskiej Mości, który się z wami rozmówić pragnie.

Zmieszany trochę tym niespodzianym zagadnieniem, obrócił się Lasota i ujrzał przed sobą

całe poważną postać, która mu się uśmiechała.

Był to człowiek lat czterdziestu kilku, rumiany, wesołej twarzy, oczu ruchawych, ubrany kuso, przy szabelce, na swój wiek poruszający się trochę za młodo.

— Do usług waszych, Płaza — bąknął szlachcic.

— Czołem — odparł figlarnie Bielecki — jam tu przybył, aby was do mojego domu na Piwną ulicę zaprosić. Nie ujmuję Kalinie, gospodarz z niego czujny i troskliwy, ale po niewczasach podróży u mnie wam spokojniej będzie.

To mówiąc schylił mu się do ucha.

— Z polecenia pana kanclerza... Każcie konia wziąć i rzeczy i chodźmy razem. Pachołek poprowadzi rumaka.

— O, rumaka! — uśmiechnął się Płaza. — Szkapa to jest. Bielecki bardzo uprzejmie się gościem zajmował, ale nie mniej ciekawie w nim rozpatrywał. Z twarzy można było czytać, że się czegoś więcej po gościu spodziewał, a znajdował go bardzo niepoczesnym.

Sam bowiem pan Bielecki, niegdy wójt miasta Warszawy, teraz szafarz Jego Królewskiej

Mości, człek zamożny, który już na szlachectwo patrzył i mianował się szlachcicem, choć nim nie był, ocierając się o dwór, żyjąc wśród wytworności i blasków, lubił też, aby i koło niego było *galanio*, jak wówczas z włoska się wyrażano, i nierad był domu lada kim zeszpecić. A tu mu polecono tego Płazę, który wcale nie wyglądał pańsko, gościć, karmić, poić, bawić i dbać o niego.

Rad był w nim znaleźć lub poważnego statystę, al- bo wesołego towarzysza, a trafiał na skwaszonego i zdziczałego a stetryczalego jegomości, bo takim mu się wydał Płaza.

— Pono z dalekiej drogi? — spytał.

— Z Podola — odparł Płaza — nie tak to wielki świat, jak strachem tatarszczyzny oddalona ziemia.

Wyprowadzono konia z terlicą, z którego Bielecki jeszcze gorsze powziął wyobrażenie o jego właścicielu. Koń dla najostatniejszego z czeladzi miejskiej by się nie przydał.

Lecz Płaza kilku słowami miał to wrażenie naprawić. Wiózł na biodrach trzos podróży

dobrze naładowany, bo w nim różnych spoliów i łupów zachowywały się oszczędności, które do dwóch tysięcy czerwonych złotych wynosiły; ten mu już dobrze zaciężył.

— A, miłościwy panie wójcie — odezwał się — łaska to boża, iż mnie z gospody

salwujecie, a to by się rozchorować przyszło. Mam trochę grosza podróznego w trzosie, który mi boki piłuje, w gospodzie się nawet rozpasać nie śmiał, a u was choć na jaką godzinę będę od niego wolnym.

Bieleckiemu oczki się zaśmiały.

— U mnie — rzekł prowadząc go — będziecie jak w domu. Dzieci nie mam, cicho,

spokojnie, jejmość opodał, a dla was alkierz od ulicy i rynku narożny, czyściuchny, ciepły jak w uchu, spoczniecie bezpiecznie.

— Co się z tej Warszawy zrobiło! — odezwał się Płaza. — Ani poznać!

— Ja to mówię — rozśmiał się Bielecki — wkrótce Kraków zakasujemy! Dawnoście tu nie bywali?

— O, nie pytajcie! — rzekł rozochocony nieco Płaza, iż się od Kaliny wydobył, którego nocleg i strawne dobrze opłacić musiał. — Lat dwadzieścia... i małom tu gościł.

— Ano, nie dziw, że wam tu teraz bez przewodnika nie chodzić!

Idąc tedy ukazywał Bielecki gościowi swemu dwory i domy, które niedawno jeszcze do mieszczan należały, a teraz biskupi je, książęta, senatorowie ponabywali, aby przy królu

mieszkając, po cudzych się kątach nie tulać, co godności ich nie przystało. Więc choć za znaczne pieniądze i z wydatkiem wielkim musiał każdy dwór lub pałac postawić.

Wziął z tego asumpt pan Bielecki, aby Płazie się dać poznać lepiej, że chociaż w Warszawie wójtował i z bogatą mieszczanką się żenił, ale on z antenatów do plemienia szlacheckiego należał.

Kłamał ci, ale inni Bieleccy szlachta byli, do których on się teraz czepiał. Zaraz tedy, nim do rynku doszli przez Piwną ulicę, posłyszawszy nazwisko Płazy, począł po szlachecku szafarz popisywać się znajomością koligacyj i wyrwało mu się, iż w Krakowskim dawniej wiedział o Płazównie, która była za Wierzbietą.

Płaza, o którego matce mowa była, na razie oniemiał i nic nie rzekł, obiecując sobie później lepiej Bieleckiego wybadać.

Tymczasem się i w rynku znaleźli, w którym na rogu stała kamienica pana szafarza, a on na nią z dumą okazywał, bo należała do najpiękniejszych. Jako się nigdy chudzi pacholkiwie

bezkarnie o panów nie ocierają, aby ich nie naśladowali, tak i Bielecki w swej mierze i wedle przemożności kamienicę stroił i wytworny jej pozór się starał nadać.

Lecz naprzód ratusz zwracał tu oczy, który mieszczaństwo sumptem wielkim przyozdobiło, korzystając właśnie z tego, iż Kazanowscy i Ossoliński różnych mistrzów z zagranicy do budowli sprowadzali.

Wieża ratuszowa, świeżo przebudowana i pomalowana, dosyć się foremnie oczom stawiała, zakończona u góry dachem zielonym, którego kształt ówczesni ludzie do czapki czerkieskiej porównywali. Niżej trochę cztery bastioniki ze śpiczastymi daszkami kształtnie były przyczipione.

U góry otaczał ją ganek z balasami dla trębaczów, którzy stąd hejnały i hasła w pewnych godzinach wytrębywali. Tych miasto zawsze trzymało, a że muzykę i król, i panowie lubili, lada trębaczem miasto się też obejść nie mogło, musiał być mistrz w swej sztuce.

Ponad wieżę gałka złota utrzymywała powietrznik w kształcie syreny z mieczem i tarczą, a niżej zegar był umieszczony, także niemało miasto kosztujący, bo misterny był i żaden mu inny nie dorównał, a dzwonki miał tak nastrojone, iż sobie melodyjnie odpowiadały.

Ozdobą też zewnętrzną ratusza były malatury, którymi ściany okryto. I bez tego bowiem obejść się nie można było mieszczanom, gdy po pałac zewnątrz i wewnątrz ściany malowano. Tu też figle różne i wizerunki monarchów wśród laurów i wieńców się ukazywały.

— No, a cóż, panie Płazo — odezwał się, stając, Bielecki — co powiecie na ratusz nasz?

Nie strojny? Nie *galanto* wygląda? A niech ja go wam którego dnia pokażęw środku, przekonacie się, iż warszawiacy, choć młodszy, starym się zakasować nie dadzą.

Tak sarno jak ratusz kamienica Bieleckiego bodaj tej samej ręki malowaniem była przyozdobioną, a drzwi i ganek w górze, a u okien płotki nader misterną ślusarską robotą były ubrane.

— Co mnie to kosztowało — mówił Bielecki — bo ci ichmość malarze, nie dosyć, że ich karmić, pić i wygody ich po pańsku opatrywać potrzeba, ale się na wagę złota opłacać każą! To jeszcze szczęście, że ich zawsze kilku na zamku lub u pana Kazanowskiego znaleźć można i sprowadzać nie potrzeba. Kraków ma swój cech malarski, u nas się jeszcze nie zebrało, a panowie też swoich kunsztmistrzów lekko szacują.

W kamienicy istotnie wzorem panów czysto było i wytwornie. Na pierwszym piętrze w

narożniku, który nieco wystawał, a miał okna jak w latarni, alkierz był wesoły dla Płazy przeznaczony.

Wyszła zaraz na powitanie jejmość, żona pana Bieleckiego, ale rak strojna od jedwabów, forbotów, bramowania, w białych trzewiczkach z haftem złotym, a utrefiona tak kunsztownie, iż choć niezbyt młoda, wydała się młodziuchną i wielce pańską, aż Płaza nie wiedział, jak jej [się] kłaniać.

Zobaczywszy jejmość, że człek i niemłody, i niepoczesny, zamruczała kilka słów i szła precz, a Płaza się do alkierza zaraz wprowadził i rozgościł. Bielecki mu, nie mając nic lepszego do czynienia, czy z ciekawości, czy dla spoufalenia się, dnia tego dotrzyma! placu, bo już na stole wino i konfekty a różne przekąski znaleźli.

Płazie-Wierzbięcie może to lepsze czasy przypominało i on też się z wolna rozochocił, a po kilku wina kieliszkach, gdy znowu o Krakowie mowa była, przyznał się przed Bieleckim, że owa Płazówna z tejże rodziny pochodziła co i on.

— A to musicie i tę straszną znać historię — dodał Bielecki — która się Wierzbięcie z Płazówną urodzonemu przygodziła.

— Jaką? — mruknął, spuszczać oczy, Płaza.

— Może was już podówczas w kraju nie było — dodał Bielecki. — Wierzbięta się w mieście ożenił z bardzo piękną i sławną naówczas na miasto i okolicę Bietką. Wynieśli się z nią na wieś, zrazu małżeństwo było szczęśliwe, Pan Bóg im córeczkę dał, aż Bietka zatęskniła za miastem, pojechała do rodziców. Tu ją gachy miejskie napadły i zazdrosny mąż, jednego z nich u niej zastawszy, na miejscu w śmierć ubił i musiał potem uchodzić.

Tej własnej swej historii słuchając, Płaza nie okazywał jednak po sobie, jak mu ona bliską była, a uradował się nawet, spodziewając się, że może o dziecku przez Bieleckiego coś się

dowiedzieć potrafi. Począł więc bełkotać, iż o tej historii nie wiedział, bo go już tu nie było, gdy się ona przytrafiła, a razem dodał, że bardzo by rad o losie tej jejmości i jej dziecka dowiedzieć się, bo nigdy znał piękną Bietkę.

Bielecki nastroił twarz dziwnie, tak jakby i miał coś do powiedzenia, i chciał mówić, a nie mógł. Milczał, kubkiem, który w rękę trzymał, okręcał, wina kosztował i na ostatek rzekł:

— Tyle wiem tylko, że córka żyje.

— Gdzie? — bardzo gorąco i żywo zawołał Płaza oczy podnosząc. — Gdzie?

— Są wielkie racje — odparł Bielecki uśmiechając się — dla których wszystko to do czasu

się tajemnicą okrywa. Zresztą ja — dodał — nie jestem tak z bliska świadom losów tej córki Wierzbięty, tyłem tylko słyszał, że ją familia wzięła i wyhodowała, a urosła, słyszę, na taką piękną jak matka; bodaj była szczęśliwszą!

Płazie, słuchając, serce biło; nie nalegał już na razie, Panu Bogu dziękując, iż się tak

złożyło, aby zaraz na wstępie pochwycić tak pożądanego języka. Miał nadzieję, iż ostrożnie z Bieleckiego powoli dobędzie więcej; nie odkrywając mu się z sobą.

Wójt powrócił do owej historii i dorzucił, że Wierzbięta, który zabił gacha, umknął zaraz, dokąd nie wiadomo; a dobrze uczynił, gdyż mieszczanie na szlachcica rozjątrzeni byłiby go

niechybnie na , gardle ukarali, nie pytając, czy do ich jurysdykcji należał lub nie.

— Słyszeliście, co się z nim stało? — zapytał Płaza, znowu oczy spuściwszy.

— Kto go wie? Od nas zbiec i skryć się bardzo łatwo — mówił Bielecki — pominąwszy to,

że na Niżu Kozacy przyjmą otwartymi rękami, ale i do Siedmiogrodu i na Wołoszczyznę, i na Szląsk pod cesarza, do Czech, na Morawę drogi otwarte. Tam byle człek był rycerski a postawny, łatwo sobie kawałek chleba znajdzie, a niejeden i więcej niż chleba się dorobił.

Ochota do rozmowy z Płazą pochodziła i stąd, że poleconym był jako posłaniec, o którym

sam król wiedział i nim się zajmował, ale skąd i z czym — Bieleckiemu spełna nie powiedziano.

Rad był więc z niego coś dobyć, lecz Płaza mu wręcz rzekł:

— Gębę mam zawiązaną. *Non licet*. Eks-wójt nie nalegał.

— Poczynajże tu waszmość u mnie jak w domu — dodał Bielecki, kubkiem pełnym

przepijając do niego — i prze zdrowie wasze.

Zabawiając gościa tedy, Bielecki o dworze króla jegomości, do którego należał,

rozwowiadać zaczął i rzekł zaraz, głos mało co zniżywszy, że król jegomość żenić się chciał i na pewno małżeństwo przyjdzie do skutku, bo mu wszystkie przyboczne miłostki się naprzykrzyły.

— Król, prawda, na podagrę ustawicznie cierpi i bardzo się roztył, ale gdyby mu wojna się

powiodła i małżeństwo, wnet by odmłodził i ozdrowiał.

— A jakże jedno z drugim pogodzi? — zapytał Płaza.

— Jak nie można lepiej, bo królowa, którąkolwiek weźmie, posag znaczny przynieść musi,

a ten na wojnę już z góry przeznaczony. Ze szlachty dobyć poboru na wojnę będzie trudno, aż ona zaskoczy i zmusi ich do rozwiązania worka. Tymczasem posag na zaciągi przyjdzie w porę.

Śmiał się Bielecki.

— Jeśli się nie mylę — ciągnął dalej — króla do Francuzki zwabia, bo ma być tam pewna księżniczka, do domu panującego przynależąca, która i bogactwem, i pięknnością słynie.

Tymczasem zaś ma król się czym zabawiać, bo mu ochotnych niewiast nie zabraknie. Ma ich na zamku różnego rodzaju dosyć, począwszy od tych, co w złotych forbotach chodzą, aż do skromniejszych, którym niciane starczą.

Nie musiały być te miłostki króla rzeczą bardzo tajemną, gdyż Bielecki nie drożył się z ich rozpowiadaniem.

— Dogodna to rzecz dla króla — rzekł — iż synaczka ma, który się jeszcze bez kobiecej troskliwości i dworu obejść nie może, a tego odwiedzając, bo kocha go wielce, razem i miłe twarzyczki przy nim postawione oglądać a nimi się zabawiać mu wolno, nie zwracając ludzkich oczu.

Tu eks-wójt o królewiczu małym rozpowiadać począł, jak to dziecko piękne i cudowne było, a westchnął, nieboszczkę pierwszą przypominając królowę.

— Królewicz Zygmunt — mówił dalej — wielu narodzeniem swym szyki i rachuby pomieślał, bo gdyby zszedł bezpotomnie, Jan Kazimierz miał nadzieję korony po nim albo-li Karol młodszy, a teraz już o tym nie myśleć. Królewicz, dzięki Bogu, zdrowo się chowa, kwitnie jako wonny kwiatusek, a Jan Kazimierz pono mniszą suknię wdziewa i pewnie purpurę kardynalską

otrzymawszy, w Rzymie pozostanie. Nikt też — dorzucił, głos trochę niższy, Bielecki — nie będzie tu płakał po nim, krom jego faworytów karłów i kilku trefnisiów, co go zabawiali. On nas nie lubił i pluł na wszystko co polskie, a szlachta też i panowie serca do niego nie mieli. W Rzymie mu lepiej będzie może, byle tylko wytrwał, ale król i wszyscy powiadają, iż naturę taką ma: nigdy z tego nierad, co trzyma, a gdy dostał, czego pragnął, wnet się zniechęci.

— No, ale kaptura mniszego, gdy go raz wdzieje, nie zrzucić — rzekł Płaza.

— Dlaczego?! — zawołał Bielecki. — Ani mnie, ani wam zza klauzury się wyzwolić by nie dali, ale królewiczowi czego nie pozwolą! Ani mnie, ani wam siostry po siostrze zaślubiać by nie dozwolono, bo to się kazirodztwem zwie, a nieboszczykowi królowi dopuszczono jedną po drugiej siostry wiać, choć niemało z tego frasunku doznał.

Tak aż do późnego wieczora przegwarzywszy u stoła, Płaza do swojego alkierza

odprowadzony, gdy się po tylu niewczasach pierwszy raz położył rozebrany do koszuli, zdało mu się to łoże rajem, i u Panny Marii już nazajutrz na wotywę dzwoniło, gdy się przebudził, a tu mu wnet winnej polewki z grzankami chłopak przyniósł, która też niezepsutej gębie ambrozją się wydała.

Wyjrzał potem z okna na miasto i ochota go wzięła pójść Ossolińskiemu podziękować.

Winien też był Wijurskiemu się opowiedzieć. Nic lepszego do czynienia nie miał, odział się więc, szablę przypasał i trzos swój pod zamkiem umieściwszy, ruszył na miasto.

Wychodzącemu już piękna pani Bielecka, jeszcze strojniejsza niż wczora, a z twarzyczką świeżo pomalowaną, zastąpiła drogę grzecznie, spytała, czy spał dobrze, oznajmując, że obiad o południu na niego czeka.

— A nie będę ja waszym miłościom ciężarem? — zapytał Płaza.

— Nie szacuj nas waćpan za mieszczan — odparła pani — którzy się z lada kromką chleba rachują; mój mąż szlachcic jest i gościnność lubi a praktykuje, ja też rada jestem gościowi.

Ruszył Płaza wprost ku zamkowi naprzód, ale tu nigdzie sam sobie radzić nie umiał.

Postanowił więc, czasu nie tracąc, naprzód Ossolińskiemu się pokłonić.

Trafiło się tak szczęśliwie, iż [o] Gurlewskiego nawet pytać nie potrzebował, znalazł go w bramie stojącego.

— Masz waszmość pomieszczenie? — zapytał go dworzanin.

— Przyszedłem podziękować za nie — rzekł Płaza kłaniając się.

— To chyba innym razem — odpowiedział Gurlewski — kanclerz na zamku jest u

Najjaśniejszego Pana, jejmość w kościele, więc jeżeliś ciekaw, korzystaj z czasu, ja waszmości pałace pokażę.

— Niech Bóg płaci, jakżeby ja takich rzeczy nie miał ciekawym być, których świat zszedłszy, drugich nie ujrzę.

— Poczniemyż od pierwszego budynku — odezwał się, prowadząc, Gurlewski do gmachu, na którym czterej królowie stali i Polska z pługiem a kopią.

— Tu — rzekł, drzwi otwierając do wspaniałej antykamery — jedną tylko jadalnię od tych dni, w których u nas gości, posłów cudzoziemskich lub senatorów siła bywa, waszmości ukażę.

Ode drzwi poczynając, które całe były nabijane wzorzysto i złocistymi opatrzone zamkami i

klamkami, wszystko w sali przepychem wielkim biło w oczy, ale Płaza pamiętał wczoraj widzianą, obrazami przyozdobioną, a ta jej zrównać nie mogła. Miała też odrzwi marmurowe,

posadzki polerowane i pięknie wykładane, drzewem rozmaitym, obicia jedwabne ze złotem, posągi marmurowe, dokoła przy ścianach między oknami poustawiane, w pośrodku złotą koronę, w której świecznik był pomieszczony; wspaniałą była, lecz nie zachwycała jak ta, którą wizerunki

Ossolińskich przyozdabiały. Nad jednymi drzwiami brązowy Kupido strzelający z łuku, z minką figlarną, zapewne obrzęd jakiś weselny przypominał.

Inne pokoje i alkierze gmachu tego więcej dla wygody i jako do jadalni należące służyły niż dla okazu i przyjęcia. Wyszli więc stąd rychło do drugiego pałacu, w którym wczoraj był Płaza, a tu wprost Gurlewski do pańskiej sypialni bocznymi schodkami wwiódł, aby się jej teraz lepiej

przyjrzał. A było tu do zobaczenia wiele, bo i łoża tak wspaniałego, jak ołtarz jedwabnymi firankami dokoła obwieszzonego, szlachcic nigdy w życiu nie oglądał, i obić z figurami

przedziwnych, które obrazy zastąpić mogły; ani nawet pieca, w kształcie baszty, przy którym nie mniej kunsztowny kominek, z pozłocistymi wilkami, wyobrażającymi dwa smoki.

Szlachcic wyraził żal swój i podziwianie, że tu w kominie wilki niemal piękniejsze były jak nie na jednym ołtarzu lichtarze, czym Gurlewskiego do śmiechu pobudził.

Ukazał mu tedy młodzik obraz bardzo piękny, żywymi nader barwami malowany, i spytał

go, jak by myślał, z czego by on był i w jaki sposób uczyniony. Na to Płaza odparł, że widział

malarzy na deskach, blachach i płótnach malujących, ale nie odgadł, gdyż obraz był mozaiką, której przypatrzwszy się szlachcic zamruczał, co to na niego poszło czasu i sedenterii!

Kolej przyszła potem na figury z kamienia, z kryształu i z brązów odlewane, których też

niemało w izbie tej nagromadzonych było dla rekreacji oka i umysłu pańskiego. Tu także stała ogromna szafa kuta srebrem, ze złotymi na szufladach napisami: Holandia, Cesarstwo, państwo papieskie, Francja, Hiszpania, a Gurlewski wytłumaczył mu, że w nich listy i korespondencje przechowywane były, od których klucz sam tylko miał Ossoliński.

Na ostatek drzwiczki uchyliwszy od ciemnej jakby szafy, śmiejąc się pokazał krzesło w niej stojące Płazie i wytłumaczył mu, że na nim usiadłszy, za danym znakiem na górne piętro bez fatygi się podnieść było można.

Ponieważ kanclerzynie też nie było w pałacu, Gurlewski powiódł dalej do pokojów jej i

otworzył naprzód kaplicę bardzo ładną domową samej pani, chociaż szczupłą, w której z

dozwolenia papieskiego msza święta mogła się odprawiać, na co przywilej ,z Rzymu był dany.

Ołtarz po bokach cały był ostawiony różnego kształtu relikwiarzami kryształowymi, srebrnymi i złotymi, skrzyneczkami oplatanymi łańcuchami; posążkami, w których z Rzymu przywiezione

kości zachowane były. Obrazów też tak pięknie malowanych, jakie w tym ołtarzu w pośrodku i po bokach dobrane były, woskowych postaci i twarzy świętych, foremnie bardzo poustawianych,

kwiatkami umajonych, Płaza nigdy nie oglądał. A że kapliczka samej pani była, więc też jej rąk roboty antepedium na złotym tle i aparaty kościelne, a sam klęcznik jejmości pewnie wartą tyle, co gdzie indziej kościółek drewniany na wsi.

Ten sam przepych i wytworność, które w mieszkaniu kanclerza podziwiał szlachcic, tu tylko

jeszcze do niewieściego smaku więcej zastosowane wszędzie mógł postrześć. Życie, pomyślał

sobie, może tu płynąć jak w raj. Z okien nawet na ogródek i wirydarze, czysto bardzo utrzymane, miło wejrzeć było. Drzewa w nich nie znane dotąd sadzono i posągów poustawiano różnych wiele w ich cieniu. A że szlachcic wszystkiego ciekaw był, a Gurlewski wszystko pokazywać gotów, obeszlą z kolei kuchnie, stajnie, wozownie i gdzie jaki kąć, aż do piwnic, w których ich kieliszkiem wina utraktowano. Dopiero się Płaza, pięknie podziękowawszy, mógł stąd wydobyć, pełną jeszcze głowę mając tych mirabiliów , które tu oglądał.

Jakie one w nim uczucie budziły, po kielichu sporym mocnego wina objawiło się dopiero,

gdy Parfen go znowu w ulicy złapał.

— No, a co, Laszku ty mój — odezwał się do niego — tobie aż serce rośnie patrząc, jakie to tu pany, jaka złota moc, jakie suknie, kolebki, domy...! A wiesz ty, co ja na to? Ja też cieszę się, ale dlatego, że to wszystko im na pohybel! Oni w tym zbytku jak sól w wodzie rozmiękną i rozpuszczą się i my ich kiedyś garściami brać będziemy. Myślisz ty, że zbytek taki i rozpusta człowiekowi na zdrowie?

— I mnie się tak widzi, Parfen — rzekł Płaza — że to niedobre znaki. Przy panach miękną

sługi, żołnierz patrzy na wodza, a gdy ten się z pierzyną wozi, i jemu na gołej ziemi wylegać się nie chce. Nie moja rzecz o tym sądzić, ale tak oni w pychę i dumę urosli, a tak w dostatkach opływają, jakby ich niedługo używać mieli, bo pysznych Pan Bóg upokarza.

Parfen mruczał.

— Mieszkanie wasze nowe ja już wiem. Dali wam szafarza królewskiego, o którym ludzie

powiadają, że nie do samej śpizarni dostarczał białego mięsa! Głodni nie będziecie.

Przypomniał tedy sobie nagle Płaza, iż jejmości na obiad powracać obiecał, i ruszył ku

rynkowi Starego Miasta, z Parfenem się pożegnawszy.

Na ratuszowym półzegarzu biło południe, gdy Płaza już na wschody wstępował, a w kilka minut później Bielecki przyszedł po niego na obiad zapraszać. Tu się też można było spodziewać, choć u mieszczanina, pewnego występu na jego miarę i w istocie obrusami szytymi, cynowym naczyniem, szkłem i kubkami srebrnymi mogła się jejmość pochlubić. Zbytek już i tu się zakradał. Bez wina nie siadano do stołu. W izbie jadalnej nikogo jeszcze nie było, gdy weszli, ale wprędce otworzyły się drzwi i pani Bielecka weszła, ale nie sama. Towarzyszyła jej strojna wielce i z bardzo starannie utrefionymi włosami młoda dziewczeczka, z wianuszkim na głowie, od której, spojrzawszy na nią, Płaza już oczów oderwać nie mógł.

Z pierwszego wejrzenia poznać było można w niej kobietę z fraucymeru dworskiego, nawykłą do strojenia się i zalotów. Nawet starego Płazę obdarzyła uśmiechem i minką, która niestety boleśnie mu jego żonę Bietkę przypominała. Lecz nie mogło być w tym nic dziwnego, że dwie malowane, zalotne dworki podobne do siebie były.

Tyle lat kobiet nie widując i nie obcując prawie z nimi, Płaza teraz i na obrazach, i w żywych widział ciągle własnej przeszłości przypomnienia, a tu bo i głos, i twarz, i ruchy dziwnie mu uprzytomniały te dawne, szczęśliwe i najniezszczęśliwsze czasy. Ale sam, trochę urągał się z siebie, przeto że na obrazie u kanclerza, a tu w żywej za stołem ciągle niewierną żonę, której dawno powinien był zabić, upatrywał.

Przeżegnał się nieznacznie, biorąc to za sprawę złego ducha.

Bielecki półgłosem szepnął mu na ucho, iż dziewczeczka, którą widział przed sobą, mogła mieć piękne wyposażenia nadzieje, gdyż królowi się bardzo podobała, a ten dla kobiet hojnym bywał.

— Prawda i to — dodał Bielecki — że ich teraz, gdy nowa pani nam przybędzie, wielu się pozbyć będzie potrzeba. No, taką Amandę wyda król za pana i da mu urząd wysoki, ale innym pieniędzy będzie trzeba, a tu u nas wszystko teraz na działa i muszkiety się topi.

Kobiety im szeptać po cichu nie dopuściły. Śmiałe obie, równie Bielecka jak i jej towarzyszka zaczęły do rozmowy, która była bardzo swobodną.

Dworka rozповідаła o królu, o śpiewakach, o komedii, o małym królewiczu Zygmuncie, a najbardziej o tych panach, co do Amandy się swatali, która przy królewiczu wrzekomo się liczyła, ale król bez niej raz wraz tęsknił.

— Byle nam z Francji — odezwała się dworka — nie przywieźli takiej mniszki, jak była pierwsza królowa i nieboszczka stara macocha króla jegomości. Teraz u nas na dworze wesoło.

Capella doskonała, śpiewacy Włochy cuda sprawują, a na teatrum gdy *Dafnis* grają i ona się cudownie w drzewo odmienia, nie ma człowieka, co by nie wolał, że to czarodziejstwo jest. Prawdę rzekłszy — dodała dworka — wszyscy się dziwiają, że król żenić się chce. Na radzie senatorskiej jeden z panów mu w oczy powiedział, że za otyły już jest. Zaczęli się śmiać wszyscy, ale król się na niego obraził.

— Jeśli na wojnę chce jeszcze siadać na koń — przerwał Bielecki — to i do ołtarza ma prawo też.

— Tymczasem w łóżku leży i krzyczy, aż go w trzeciej izbie słyszać — odparła dworka. — Siedzi lekarz i nogi mu okładają, a kanclerz i marszałek nieodstępni.

— Tak rad jeden, że drugiemu przeszkadza — szepnął Bielecki — bo się nie lubili nigdy, a choć król Ossolińskim się posługuje, nigdy on z serca jego Kazanowskiego nie wyruguje.

Panna ze dworu utrzymywała potem, że król sobie polowaniem choroby robi, a nie potrzebuje go, mając taki zwierzyniec na Ujazdowie, gdzie zawsze, choćby w krześle siedząc, uciechę tę mieć może.

Płaza więcej słuchał niż się wtrącał do rozmowy, oczyma z ciekawością pozerając dziewczę, które naprzeciw niego siedziało. Im dłużej i pilniej mu się przypatrywał, tym straszniej mu się wydawała podobną do jego Bietki, a co najdziwniejsza, jak ona miała czarne małe znamię na białej szyi z lewej strony.

Odważył się do niej w końcu przemówić.

— Z waszej wymowy wnosząc, sądziłbym, że od Krakowa być musicie?

— Ja? — odparło dziewczę, ramionami ruszając. — Może to być, alem ja sierota i własnego pochodzenia nie znam. Dzieckiem będąc, wychowywałam się w Krakowie, potem w Warszawie, a teraz czym Małopolanka, czy Mazurka, sama nie wiem!

I śmiać się poczęła.

— A rodzinę waćpanna masz? — badał Płaza.

— Żadnej, nie wiem przynajmniej o nikim — obojętnie mówiło dziewczę.

— Pójdzie za mąż — wtrąciła żona Bieleckiego — to się i rodzina znajdzie.

Dziewczę podniosło główkę.

— Nie mam ochoty w jarzmo iść i niewolę — rzekła. — Szczęśliwych małżeństw mało.

Pókim wolna, to mi wszyscy nadskakują, a potem... Lepiej tak jak jest! — dokończyła.

— No, a na starość? — zapytała Bielecka.

— Myślę, że do klasztorów przyjmują — rozśmiało się dziewczę.

Za jej śmiechem parsknęła Bielecka, bijąc w ręce, bo piękne pierścienie na nich pokazać chciała.

— Prosto z dworu do klasztoru, to tak jak w łaźni, gdy z gorącej pary pod zimną strugę śmielsi idą.

Jak ptaszek poruszając główką zalotnie, butno i śmiało, dziewczyna się rzuciła na krzesło.

— O jutrze myśleć nie trzeba — rzekła — co nam tam!

ROZDZIAŁ V

Król jegomość Władysław IV, z pierwszej żony Zygmunta III Anny narodzony, w roku tym,

gdy o nowym małżeństwie zamyślał, był już na drugiej połowie żywota, w której sił nie przybywa, zwłaszcza gdy pierwszą szafowało się hojnie. Z bardzo urodziwego niegdyś młodziana

usposobienie chorobliwe, sposób życia uczyniły go teraz ociężałym, otyłym, z obrzękłymi od podagry nogami, z twarzą rozlaną i bez wyrazu, mężczyzną starszym na pozór, niż był w istocie.

Często się już bez laski poruszać nie mógł, a całymi tygodniami w łóżku leżeć i na rady senatorskie z łóżem się musiał kazać nosić.

Nie zbywało mu na świetnych przymiotach, a szczególnie na tej miłości sławy, którą już dawne wojny, dosyć szczęśliwe, mile polectały. Za późno teraz budziło się w nim gorące

pragnienie zapisania imienia swego na kartach dziejów, nie tylko Polski, ale całego

chrześcijańskiego świata. Zdawało mu się, że potrafi stanąć na czele ligi przeciw nieprzyjaciołom krzyża i precz ich wyganiając z Europy, zagarnąć znaczną część spadku po nich. Władysław,

nomen omen, byłby pomścił Warneńczyka.

Tymczasem szlachecka Polska ani chciała słyszeć o wojnie z Turkiem, o wyprawie na niego. Wszyscy się jej obawiali. Król też nie objawiał głośno myśli swych, które tylko najpoufalsi jego powiernicy znali. Przygotowania czyniły się potajemnie. Jak Stefan Batory, jak Zygmunt III, Władysław IV pochlebiał sobie, iż szlachtę i panów potrafi okiełznać, a przynajmniej podejść i zmusić do działania po swej myśli. Pomagali mu do tego Ossoliński i cały zastęp osobistych jego przyjaciół. Nie stanowili oni jednak tak silnego obozu, aby wstępnym bojem na sejmie mogli się spodziewać odnieść zwycięstwo. Na wszelki wypadek królowi doradzono fortel, o którym jużesmy wspominali — mógł się Kozakami posłużyć. Na tajemny rozkaz króla Nizowcy mieli wpaść na Turków i zmusić ich do wypowiedzenia Polsce wojny. Naówczas król z pomocą Wenecjan i posiłkiem papieża, w znowie będąc z Grekami i Bułgarami, miał się rzucić na Ottomanów. Obiecywano mu nad połączonymi siłami chrześcijaństwa naczelne dowództwo. Zwycięstwo zdawało się pewnym. Wszystkie złudzenia pomocy obcej, które Warneńczyka na plac boju wywiodły, powracały tu, grożąc nowym zawodem i klęską. Ale król pragnął sławy, a pochlebcy mu ją rokowali.

Przy tej zręczności sam nieznośny ów organizm Rzeczypospolitej, który króla czynił zależnym od niesfornej szlachty, od prywatą kierujących się magnatów, czasu wojny łatwo mógł prysnąć przy wojennej dyktaturze. Jak ojciec, Władysław jarzmo tej podległości prawu znosząc boleśnie, rad by je był zrzucić z siebie i następców.

Marzenia te w młodym i energicznym monarsze miałyby być może pewne widoki powodzenia; patrzącym na Władysława musiały się wydać dziwacznyimi. Podagra, kamień, zastarzałe defekta ledwie mu dawały folgę niekiedy; jęczał po nocach, a bohaterstwa mu się zachciewało, które wszech sił człowieka wymaga. Lekarze obiecywali uzdrowienie, pochlebcy wojnę uważali za lekarstwo, król ukochanemu Zygmusiowi wielkie państwo dziedziczne chciał po sobie przekazać.

Tymczasem pieniędzy w skarbie nie było, a prywatną szkatułę królewską fantazje mnogie wyczerpywały. Wybrali go jego ulubieńcy i ulubienice, dwór sam okazały, kapela, teatr, stajnie, służba, mnogie budowy kosztowne pochłaniały tysiące. Na ostatek i bracia, szczególnie niespokojny Jan Kaźmierz, niemiłosiernie go darli. Świetnie posłom cudzoziemskim przedstawiał się ów dwór króla jegomości polskiego i szwedzkiego, ale szafarze upewniali, że czasem na

kuchnią nie było za co kupić mąki i soli.

Któż wie, czy to projektowane ożenienie, któremu Rzeczpospolita się nie sprzeciwiała, nie było osnute dla podsycenia prywatnego skarbu na wojnę przeciw Turkom? Przyszła królowa uchodziła za bardzo bogatą, jedną z najlepiej wyposażonych księżniczek Europy. Wahano się długo pomiędzy Rakuszką a Francuzką — ostatnia zwyciężyła. Wstręt w narodzie przeciwko domowi cesarskiemu trwał zawsze. Podejrzowano go o knowanie przeciw swobodom Rzeczypospolitej, a im mniej ich używać umiano, tym one droższymi się stawały. Władysław IV dzięki zręczności Ossolińskiego, którego nie lubił, ale potrzebował, miał się za polityka i wiele sobie obiecywał z nowego aliansu.

W polityce wewnętrznej też sama myśl, którą Zygmunt III tyłu przypłacił ofiarami spokoju i godności osobistej, myśl wyłudzenia zręcznego władzy, której prawo dawało tak niewiele, rządziła królem, a Ossoliński ją popierał. Nie miano siły na zamach, który by zmienił stosunki panującego do narodu i władzę mu nadał większą; próbowano więc ją wykraść, wyrobić, opanować może czasu wojny. Do tej zmiany systemu miało być pomocą ustanowienie rycerstwa nowego, zakonu

Niepokalanego Poczęcia Panny Marii, którego statuty potwierdzono w Rzymie, ale go

Rzeczpospolita znać nie chciała; ku temu wiodły tytuły za granicą wyjednywane, mające oddzielić magnatów od tłumu szlachty, aby ich postawić na straży tronu absolutnego monarchy. Wojna z poganymi, wojska zaciężne obce dla niej wprowadzone ułatwiały czasową dyktaturę, mogącą się zmienić w trwałą, a podporą jej miały być te pułki cudzoziemskie, które przeciwko szlacheckiemu ruszeniu i siłom domowym zwrócić było łatwo.

Do tych planów, połączonych z nadzieją rozszerzenia granic kosztem pogan, wygnanych z krajów przez Słowian i Greków zasiedlonych, nie przyznawano się głośno nawet może w najciaśniejszym kółku zaufanych; za chorągiew służyła obrona chrześcijaństwa, wielka do zdobycia sława i rozszerzenie granic. Ale tak Władysławowi IV, jak ojcu jego, jak potem Janowi

Kaźmierzowi przemoc szlachecka, nadzór sejmów i ich wszechmocność ciążyły jarzmem

nieznośnym, z którego się ciągle otrząsnąć usiłowali. Nie było po temu siły, zażywano więc przebiegłości, a król się nie przyznawał do knowań o *absolutum dominium*, chociaż obawy szlachty o zaprowadzenie go niezupełnie były płonne. Król go pragnął, ostrożnie i podstępnie czynił kroki do pozyskania, ale nawet najzupełniej mu oddani słudzy nie przypuszczali, aby starania powodzenie uwieńczyło...

Jesteśmy w królewskiej sypialni... Na przepysznym łożu, którego jedwabne osłony

podniesiono pomimo spóźnionej dnia godziny, król spoczywa jeszcze, tak jak był zwykł, gdy tylko mógł, leżąc do obiadu, obiad spożywając leżący i nie powstając aż po nim. Największą ofiarę, jaką czynił, było gdy wcześniej się podnieść go zmuszono.

Sypialnia królewska zarazem największej wykwinności, przepychu i pewnego nieładu jest obrazem. Czuć w niej sybarytę, który zachciankom chwili poświęcać gotów wszystko, który pod ręką mieć musi natychmiast, czego zapragnie, i nie patrzy, czy na pargaminach dyplomów najważniejszych nie postawią czarki z polewką.

Samo łoże misternie wysłane, ostawione poduszkami, okryte kołdrami miękkimi, opatrzone w ułatwiający poruszenia i wstanie dla rąk podpory i pasy zręczne do ujęcia, niecierpliwymi ruchy zburzone już, świeci najwytworniejszymi oponami i najmiększymi wezglówkami, o których przystrojeniu równie jak o dogodności nie zapomniano.

Z pewnym rodzajem królewskiego lekceważenia rozrzucone są dokoła na ziemi najdrogocenniejsze futra, podeptane i zgniecione. Wszystko, co otacza króla, świeci przepychem i wytwornością się odznacza. Wcale już tu rycerskiego pana, do obozowania nawykłego, nie widać, ale zmęczonego życiem pieszczocha, który walczy jeszcze z nienasyconymi pragnieniami, już złamany niemocą i przykuty do łoża boleścią.

Pomimo rozlania rysów niegdyś pięknych, które chorobliwe nabrzęknięcie do niepoznania wykrzywiło, na twarzy napiętnowana duma pańska, poczucie wielkości, majestat z góry mierzący świat i lekceważący go nieco. Ale na czole troska się napiętnowała fałdami, zdrowie, dla którego podróże król odbywał, którego powrót obiecują mu lekarze, nie przychodzi, młodość nie wraca, a marzenia nienasycone niepokoją.

Sypialnia, w której tylko swych najlepszych przyjaciół zwykł przyjmować i wierną służbę, jest jak wygodnie usłane gniazdo, którego puchy wszystkim fantazjom króla i chorego a zniecierpliwionego człowieka dogodzić powinny. Ani ręka, ani oko nie spotyka nic, co by razić je mogło; dłoń spoczywa na miękkich podkładkach, oko na wzorzystych makatach, na pozłocistych naczyniach, na sprzętach kunsztownie przyozdobionych. U głów pana na stoliku widać wielką szkatułę hebanową, wysadzaną złotem i kością słoniową, bursztynem i drogimi kamieniami; jest to schówka, do której rzucają się papiery nie dla wszystkich oczów przystępne. Kubek do napoju jest z jednej sztuki kamienia, oprawny w złoto; dzban z wodą — z kryształu i złota. Obok nich zrzucone z rąk napuchłych pierścienie, łańcuch orderu Niepokalanego Poczęcia, zegarek rubinami ozdobny.

Biała ręka króla spoczywa nad głową, która mu ciężyc się zdaje... Oddycha ciężko.

Naprzeciwko niego w bardzo wytwornym cudzoziemskim stro- ju, na krześle sparty

poufale, z twarzą pańską, znudzoną i wyniszczoną życiem, siedzi mężczyzna lat rówieśnych z królem, którego by z postawy i sposobu obejścia z nim za brata chyba wziąć można lub

najbliższego z rodziny. A nie jest on ani bratem, ani żadnym pokrewnym, ani księżciem i

wielkiego rodu potomkiem, ale prostym szlachcicem, panem Kazanowskim, który tak Władysława zawojować umiał, iż stał mu się druhem najbliższym serca, jego połową drugą. Król dla

Kazanowskiego, a on dla pana nie ma ofiary, której by nie uczynił, nie mają też myśli, której by się nie zwierzyli sobie. Na próżno niegdyś usiłowano zerwać ten stosunek, osłabić ten związek; im silniej targano te węzły, tym mocniej się one zaciągały. Obcowanie z sobą w ciągu lat długich, od dzieciństwa, wywarło też ten wpływ na obu nierozłącznych Oresta i Pylada, że wzajem od siebie przyjęli nie tylko myśli, ale ruchy, powierzchowne cechy, wyraz twarzy. Przy obcych Kazanowski jest z poszanowaniem wielkim dla króla, ale gdy tak we dwu siedzą w sypialni zamknięci, są to dwaj bracia serdeczni, z których nawet ten, co by posłusznym być powinien, najczęściej rozkazuje.

Myśli i wola są w nich tak zresztą zgodne, iż nie kosztuje to króla, a zleniwieniu dogadza.

Chwila, w której ich na cichej, poufalej znajdujemy rozmowie, już dobiegającej do końca,

jest jakby smutnym jakimś rozpamiętywaniem przeszłości. Ten rachunek z niej powlókł lica

królewskie smutkiem. I on miał w życiu chwile tryumfu i ziszczenia nadziei, ale jakże one trwały krótko i dziwnie potem pełzły na niczym!

Kazanowski ma weselsze oblicze z obowiązku; on musi przynosić pociechę i do nieustająco

powracających goryczy dolewać osłody a wróżyć zawsze jutro jaśniejsze. Czy sam on w nie wierzy, zgadnąć to trudno, lecz dla króla musi przynosić tę wiarę, a w niej go umacniać.

Zawody doznane w stosunkach z Francją, z dworem rakuskim, z księżętą niemieckimi, ze

Szwecją, ciężka walka z oporną szlachtą nie odjęły ani królowi, ani Kazanowskiemu ufności w to, że potrafią kraj zmusić do wojny, sprzymierzeńców do posiłkowania jej, a nieprzyjazną fortunę do uwieńczenia skroni laurami.

Król milczał, głowę spuściwszy i oczy wlepiając bezmyślnie w kubek, który przed nim na

wpół opróżniony, Kazanowski patrzył na niego, czekał i milczenie szanował. Tchnął ciężko

wreszcie

Władysław i odezwał się z cicha, głosem stłumionym, który z szerokich piersi z trudnością

zdał się dobywać:

— Nie traćmy, mój Adasiu, nadziei, wszystko się jeszcze może złożyć po mojej myśli; mam Wenetów z sobą, mam cara moskiewskiego, którego prawie jestem pewnym, mam papieża, mam Francję.

— Ale nie masz tej nieszczęsnej szlachty naszej — wtrącił Kazanowski — z którą sprawa trudniejsza niż z Wenetami i Moskwą, tak się ona obawia z Turcją wojny i tak jej jest przeciwną. Król podniósł głowę.

— Nie będę ich bronił — rzekł — są to uparte warchoły, którzy ojcu memu życie zatruli i mnie by też na pasku wodzić chcieli, ale ja się im nie dam, nie! Ojciec nadto był łagodnym, dobrym do zbytku. Szlachta jednak lęka się, bo nic nie wie, bo ani moich związków z Grekami, ani przymierza z Wenetami nie zna. Objawić im o nich nie można, boby mi wyrzucali samowolę, a tymczasem i czekać na ich łaskawe zezwolenie niepodobna. Sposobić się należy, choć własnym kosztem i na wszelki wypadek. Opierać się będzie szlachta... Wiesz, jaki na to jest sposób.

Król z pewnym zadowoleniem polityką swoją począł się uśmiechać i wąsa drżącą ręką poprawił.

— Sposób ten wiem — rzekł Kazanowski — myśl dobra, chociaż, królu mój, potajemny stosunek z tym chłopstwem dzikim jest mi wstrętliwy.

— Ach! — śmiejąc się dodał Władysław. — Wiem, że ich czuć dziegiem i gorzałką, ale w sprzymierzeńcu woń jego poszanować trzeba, jeśli on siłę cechuje. W tym kozactwie jest męstwo, awanturniczość, chciwość łupów, jakich nam potrzeba, a znają Turków i ich sposoby wojowania jak nikt. Ja na nich rachuję wiele.

— Cóż oni piszą w tych listach, które ci oddano? — zapytał marszałek.

— Oświadczają się z gotowością na rozkazy moje — ciągnął, zniżając głos, król — ale piosnka zawsze jedna, której zwrotkę odgadnąć łatwo.

Tu Władysław rękami drżącymi pokazał, jakby liczył pieniądze na dłoni. Westchnęli oba.

— To nasza słaba strona — szepnął marszałek. — Wyczerpałeś wszelkie zasoby.

Król frasobliwie głową potrząsał.

— Kaźmierz mnie ze swymi fantazjami nieskończonymi rujnuje — począł ponuro. — Ten

nieszczęśliwy dziwak nigdy długo niczym się nie może zaspokoić. Chciał być mnichem, został

kardynałem, zrzuca suknię, której mu odradzałem. Na nowo go wyposażyć potrzeba, a jutro zechce się żenić, pojutrze rozwodzić i kto wie, znowu zakapturzyć!

Ruszył ramionami.

— O ochotę do ożenienia się nie obawiam — wtrącił Kazanowski — bo nadto mu wszystkie

kobiety smakują, aby mu się jednej wyłącznie zachciało. W każdej z nich upatruje jakiś wdzięk, ale w żadnej nie znajdzie wszystkiego, czego szuka.

— A, gdyby był mnichem pozostał i we Włoszech zamieszkał — dodał Władysław. — Z

powrotem do Polski, której cierpieć nie może, będzie dla mnie nieustannym utrapieniem. Kto wie, czego jeszcze zapragnąć może! Reszta braci, wszyscy razem wzięci, nie kosztowali tyle trosk, co on jeden.

To mówiąc Władysław zapatrzył się w stojący przed nim na stoliku, bogato w brylanty

oprawny wizerunek Marii Ludwiki i z tą lekkością umysłu, z którą zwykł był od przedmiotu

jednego do drugiego przechodzić w rozmowie, zwłaszcza gdy ona nieprzyjemnego mu czegoś

dotknęła, odezwał się:

— Lękam się, aby malarz jej nie upiękniał. Kazanowski głową potrząsnął.

— Ja boję się, aby nie za młodą ją uczynił. Posądzam obrazek o to, że nie teraz był

malowany, wygląda mi na zbyt świeżuchną.

Zmarszczył się Władysław.

— Wszyscy twierdzą, że tak wygląda — ujął się. — Denhof pisze...

Kazanowski spuścił oczy i zamilkł.

— Boję się zawodu, dlatego bym wolał, ażebyś ją sobie zawczasu wyobraził dojrzałą.

Władysław nieco się zzymnął.

— Straszysz mnie niepotrzebnie — zamruczał.

— Masz może słusność — rzekł marszałek. — Królowa niekoniecznie potrzebuje być

pączkiem nie rozwiniętym, fantazję młodziuchnych zaspokoją inne...

Król się zadumał.

— Dla mnie na teraz nie młodość i wdzięk jej, ale nade wszystko posag, pieniądze i przymierze z Francją potrzebne — rzekł cicho.

— A król francuski jako pierwszy zadatek tego aliansu nie daje nic, a wymaga, aby mu zaciągi u nas robić wolno było. Zaciągi w chwili, gdy ty ludzi na tę wojnę z Turcją potrzebować będziesz.

— Zaciągi — przerwał Władysław cicho. — Możemy mu dać na nie zezwolenie, ale nie wyślemy pomocy. To nic za sobą nie pociąga.

I na chwilę zatrzymawszy się, król dodał:

— Sądzę, że przyszła królowa zgodzi się posag swój mi dać na moje pilne potrzeby.

— Nie wątpię — odparł Kazanowski — ale też musisz dać jej pewną hipotekę, zabezpieczenie.

— Będzie to pożyczka Wenetów, nie moja, jak wiesz — rzekł król żywo. — Wymawiają mi się, że nie mają pieniędzy; ja im dostarczę ich, ale dlatego, abym sam wziął. Inaczej przygotowania dalsze niemożliwe.

Marszałek zbliżył się nieco ku łożu królewskiemu.

— Ja bo nie wiem — dodał — czy my je dłużej tak jawnie będziemy mogli przedłużać.

— Dlaczego? dlaczego? — przerwał król niecierpliwie.

— Mówiłem ci — ciągnął dalej Kazanowski — umysły są silnie już zaniepokojone.

Niepodobna ukryć tych ściąganych ludzi, formujących się pułków nowych, lanych dział, gromadzonych prochów i kul. Bije to w oczy. Szlachta niespokojnie pyta, przeciw komu to

wszystko wymierzone. Wietrzą już w tym wojnę z Turcją bez ich zezwolenia, a drudzy gorzej, widzą tego wiecznie powstającego z grobu upióra, *absolutum dominium!*

Westchnął król.

— Ale prędzej, później — rzekł — do tego absolutu przyjść muszą! Inaczej ani tu królować,

ani się ostać przed nieprzyjaciółmi będzie można. Oskarżali Batorego, mego ojca, będą mnie obwiniać, że żem pożądał władzy monarchicznej; nie mylą się, wszyscy jej pożąдалиśmy, bo ona jest tu właśnie najgwałtowniejszą potrzebą, gdzie jeden zapalenie może mi odmówić poboru na wojnę, gdy kraju bronić muszę.

Gorzej, bo gdybym z własnej kieszeni, jak ja teraz czynię, pułki na obronę wystawiał, krzykną, że je przeciwko szlachcie sztyftuję i na ich swobody zamach czynię.

— Mój Boże — przerwał Kazanowski — komuż ty to mówisz; ja przecież jak ty boleję nad tym, ale jaka rada?

— Wojna! Wojna! — żywo począł, zrzucając z siebie ciepłe okrycia, król, który się coraz mocniej ożywia. — Wojna każda jest dyktaturą. Hetman jest absolutnym panem, przeciągająca się wojna uczy karności i nałamuje do niej. Pozbędziemy się i tych sejmów utrapionych, których wrzawa i rozprawy burzą umysły.

Ze spuszczoną głową słuchał tych dla siebie zapewne nienowych rzeczy marszałek, wystrzępując koniec szarfy, którą wziął w ręce.

— Ty wiesz — odezwał się w końcu — iż myśli nasze są zgodne; ja tylko doradzam ostrożność, aby zbyt wczesnie nie obudzić podejrzeń. Już się one wykluwają.

— Wstrzymywać nie mogę, co poczęte — przerwał Władysław. — Wytłumaczmy się na sejmie w jakikolwiek bądź sposób, a w ostatnim razie niech i wojna wyjdzie na stół. Trzeba ich z tą myślą oswoić. Jest nieuniknioną. Będziemy większość mieć za sobą.

— Ja nie wiem — odparł sucho Kazanowski..

— Ty zawsze niedowiarkiem jesteś i mnie odbierasz tak potrzebną ufność w siebie.

— Boję się zawodów.

— Ja ich nie przypuszczam — rzekł król żywo. — Duch rycerski żyje w narodzie.

— Osłabł on bardzo.

— Tym potrzebniejsza wojna, aby go odżywiła — rzekł król — sposóbmy się do niej! Ja nią

żyję tylko. Jeżeli szlachta mi opór stawiać będzie — dodał — mam Kozaków, którzy ją zmuszą do chwycenia za oręż. Kozaków ja jestem pewny.

— Ja także — szepnął Kazanowski — chociaż narzędzie to niebezpieczne. Poruszyć ich,

dać im siłę, swobodę pewną. Wiesz, że niezbyt i tak przyjaznym okiem patrzą na Polaków, którzy się tam rozsiedli.

— Tym lepiej — zamruczał król,— będę w nich miał oręż dzielny przeciwko szlachcie.

Marszałek zaczął głową potrząsać.

— Lepiej nie mówmy o tym — szepnął.

Władysław począł się, mrużąc oczy, uśmiechać.

— Mój Adasiu — rzekł — polityka jest polityką. Znasz Włochy, czytałeś ich rozumnych

mistrzów. Trzeba się posługiwać takimi środkami, jakie są najdzielniejsze, inaczej nie dojdzie się do niczego prócz tych zawodów, których ty się lękasz. *Audaces fortuna iuvat*, chcę być zuchwałym, inaczej... smutna rola. Zygmuntkowi nie mogę zostawić takiego państwa rozkiełzanego,

chwiejącego się na niepewnych podwalinach, jakie ją wziąłem po dobrym, ale nadto łagodnym ojcu.

— Wiesz — wtrącił Kazanowski — już cię oskarżają, że syna twego chcesz za życia uczynić swym następcą.

— Dlaczegożby nie? Wszak Zygmunt August został nim za żywota ojca?!

— A, to była dynastia! — wtrącił Kazanowski.

— Alboż elekcja nie może się odbyć za mojego życia? — począł król ozywiając się. —

Powiedz mi, że prawo się temu sprzeciwia, ale prawo zmienić się może i musi. Ujmiemy tych, co wpłynąć mogą.

— Marzenia — cichutko rzekł Kazanowski. — Ja im przyklaskuję, ale się ich boję.

Spróbujemy naprzód z tą wojną, której oni się tak opierają; jeżeli przełamiemy...

— Musimy! Powinniśmy!

— Lękam się oporu nawet w senatorach.

— W nich? — rzekł król pośpiesznie. — Na to są wakujące krzesła, buławy i laski, na to starostwa i dzierżawy!

Szybkim mówieniem Władysław uczuł się w końcu zmęczonym, chustą leżącą na stole otarł

twarz i usta, pochylił się na wezglowiu, obie ręce złożył pod głowę i patrzył na Kazanowskiego.

— Jakże dziś nogi twoje? — zapytał, zmieniając rozmowę, marszałek.

— Nie pytaj — westchnął król, poruszając nimi z lekka. — W nocy męczyłem się tak, że krzykiem całą służbę pobudził, a ci doktorowie wszyscy są nieuki, żaden z nich ulgi nawet przynieść nie umie. Z rana jest zawsze lepiej trochę, pod noc... ty wiesz. Wstać dziś, choćbym bardzo pragnął, wątpię, ażebym mógł. Każę się chyba z krzesłem zanieść do Amandy, boby mi w tej sypialni samemu z tymi, co mnie nachodzić będą, nudno było w końcu.

Spojrzał na zegarek.

— Staraj się, mój Adasiu, uwolnić mnie od gości natrętnych, których zawsze jest nad miarę.

— Wielu z nich, ty wiesz — rzekł Kazanowski — przybywa umyślnie z daleka pokłonić się majestatowi.

Rozśmiał się król.

— Pokłonić?! Jeszcze mi się nie trafiło spotkać z ukłonem bez prośby i z odwiedzinami bez interesu.

— Trzeba sobie ujmować ludzi — przerwał marszałek — sam to wiesz, więc się też poświęcić musisz i nie wszystkich od drzwi odprawiać.

Król ziewnął za całą odpowiedź, popatrzył na zegarek znowu, usta umoczył w kubku i począł poruszać się niespokojnie.

Trwało milczenie chwilę krótką. Wtem zasłonę uchylono z lekka i za nią ukazała się postać przystojnego, młodego mężczyzny, z dworackim uśmiechem na ustach. Król, postrzegłszy go, uśmiechnął mu się także mile, a po twarzy Kazanowskiego przebiegło jakby drgnienie niespokojne.

Był to młody syn wojewody trockiego, Pac, dworzanin króla, dość mu już naówczas ulubiony, o którego Adam Kazanowski zaczynał być zazdrosnym. Pac twarzyczkę miał więcej krasą i świeżością młodości niż rysami się odznaczającą. Oczy i usta miały w sobie wyraz zmysłowej namiętności; pomawiano też wojewodzica już naówczas, że i sam biegał za kobietami do zbytku, i królowi usługiwał w jego ciągle się mieniających miłośkach. Dogadzanie tej słabości,

które dawało u króla łaski i wpływ, zniechęcało Kazanowskiego do młodego Paca. Marszałek sam za młodszych lat też samą rolę odgrywał przy królu, do której dziś już był i za ciężkim, i za starym; wiedział więc najlepiej, jak Władysław wdzięcznym być umiał tym, co jego lenistwu i ociężałości oszczędzali zachodów. Młody Pac nadzwyczaj szybko rosł w łaskach u króla, który się już bez niego mógł z trudnością obchodzić. Parę razy marszałek próbował przestrzegać króla, budząc w nim nieufność do Paca, którego obwiniał o to, że sprawując królewskie interesa, o swoich nie zapominał i też same jejmościanki zyskiwał sobie, o które król miał prawo być zazdrosnym.

Władysław słuchał obwinień, ale dworzanina bronił. Kazanowski postrzegł nawet, iż chmurnym milczeniem zaczynał przyjmować przestrogi, a że był nadto pewien serca przyjaciela, musiał zamilknąć. Nie pokochał przeto wojewodzica, w którym upatrywał ambicję wielką, przebiegłość i wszystko, co go niebezpiecznym czynić mogło.

Ukazanie się Paca było jakby hasłem dla marszałka do poruszenia się z miejsca i

pożegnania. Król rękę do niego wyciągnął, zatrzymał podaną długo i cicho coś szeptać zaczął, po czym Kazanowski z powagą, krokiem powolnym wysunął się w milczeniu, pozdrowiwszy w progu

Paca, który z kolei wszedł do sypialni.

— Mówiłem z nią — szepnął do cichu, opierając się na stole i pochylając do króla, na

którego twarz wystąpił wyraz wesela i pobudzonej żywo ciekawości.

— Rozumie się — ciągnął dalej — iż dotąd tylko w moim imieniu staram się rozpoznać charakter i usposobienie.

— Jakże ją sądzisz? — zamruczał król, wpatrując się w niego bacznie.

— Najjaśniejszy Panie — począł, szepcząc, Pac — niełatwa to rzecz osądzić kobietę, którą

się zna od niedawna. One się tak przedziwnie maskować umieją, że prawie zawsze pierwszemu

wrażeniu nie tylko wierzyć nie można, ale spodziewać się wręcz przeciwnej natury tej, którą one okazać się starają.

— Wiesz — przerwał król — jest to postrzeżenie, jak na takiego jak ty młodzika, trafne

bardzo. To prawda, największe zalotnice starają się okazać skromnymi, a często skromne trochę zalotności przybierają. Ale jakże ty ją znajdujesz?

Pac się zadumał trochę.

— Bardzo dziwaczną, żywą, kapryśną a śmiałą — rzekł po krótkim namyśle.

— Wiesz co o jej przeszłości? — badał król.

— Bardzo mało — mówi Pac powoli — to tylko pewne, że jest najzupełniejszą sierotą, ani ojca, ani matki nie znała, niewiele wie o nich. Dalecy jacyś wychowywali ją krewni. O rodzicach wie tylko, że matkę straciła wcześniej, a ojca los jej nie znany.

— Twarzyczka, spojrzenie, oczy szczególnie, uderzyły mnie bardzo — począł król. —

Staraj się, tylko, ty, co masz pewne zachowanie u Amandy, ażeby ją przy sobie zatrzymała.

Gdybym ja tego zażądał — dodał z uśmiechem — byłoby to najlepszym sposobem do oddalenia. Ja nawet gdy tam jestem, a ona się pokaże, unikam spojrzenia na nią. Staraj się, aby Zygmunt ją polubił, będzie to środkiem do zatrzymania jej dla niego.

— Królewicz, chociaż tak młodziuchny — śmiejąc się dodał Pac — lubi już wdzięczne

twarczyczki, a starych i pomarszczonych nie znosi. Podobała mu się, ale czy zechce fantazjom jego ulegać i bawić go?

— Wmów jej to — szepnął król i dorzucił: — Cóż więcej? Strój lubi?

— Bardzo, i bawić się też — ciągnął Pac.

— Szepnijcie Bieleckiej — dodał Władysław — aby wam była pomocą i poprzyjaźniła się z tą dziewczką; ona będzie najlepszym sprzymierzeńcem.

— Tak, jeśli zechce — przerwał Pac — i jeśli nie ulęknie się jej.

— O, o, dla siebie się ona dawno już obawiać przestała! — rzekł król otwarcie. — Me może nawet mieć pretensji, abym dla niej co więcej nad dobrą pamięć o bardzo krótkich stosunkach... a...

Pac, nie mówiąc, milczeniem dał coś do zrozumienia królowi, który zamilczał też.

— Nie rozumiem — odezwał się po pewnym przestanku — jak się to dzieje, że ja jej

wprzódki daleko nie spostrzegłem i że mi nie wpadła w oko. Ona podobno jest we dworze dość już dawno?

— Tak, ale ją trzymano zapewne na uboczu, przewidując że się podobać może.

— Słyszałeś co o jakich miłostkach jej? — spytał król. — Ja o przeszłość nie bardzo jestem zazdrosny.

— A — odezwał się Pac — kochają się w niej na zabój od dawna wszyscy, co ją widują, ale

dumne dziewczę odprawuje szydersko i nielitościwie. Tak przynajmniej zgodnie świadczą wszyscy, a z jej obejścia się ze mną wnoszę, że w istocie niełatwą będzie.

— Ale ty jesteś bardzo zręcznym pomimo młodości — dodał król. — Tylko pamiętaj, niech to idzie na własny twój rachunek... Na mnie już za wiele ciąży. Nie chcę, aby o tej fantazji wiedziano. Rozumiesz?

Pac nisko się ugiął, rękę na piersiach położył. Wtem u drzwi szmer zmusił przerwać rozmowę i pokojowy dworzanin szybko ku nim pośpieszył.

ROZDZIAŁ VI

Lasota siedział pod wieczór w swej izdebce schludnej i miłej, w rogu Pivnej ulicy, sam jeden i spoglądał zadumany przez okno na ludność, która się dosyć żywo poruszała, z rynku płynąc ku zamkowi.

W duszy tego człowieka, który przez lata długie w zupełnie odmiennej żył i obracał się atmosferze, ten powrót do świata młodych wspomnień czynił wrażenie, jakiego nigdy odrętwiały, ostygły, zestarzały spodziewać się nie mógł. Nie poznawał sam siebie — napełniało go to troską i niepokojem. Zdawało mu się, wybierając z powrotem do kraju na czas krótki, iż z taką go obojętnością zobaczy i powita, jakby w nim skozaczenie nic już ze starego nie pozostawiło człowieka. Jechał tu z tym wstrętem dla lackiego społeczeństwa całego, z tą wzdargą dla rozmiękłych i zepsutych panków, którą go obcowanie z Kozakami napoiło i przejęło. Był pewien, że to uczucie nie tylko się zmienić nie może, ale wzrośnie na widok ludzi i obyczaju, zupełnie mu obcego i obrzydzonego. Tymczasem w duszy swej spotykał się z niezwykłymi sympatiami do tego, co chciał nienawidzić. Na próżno sobie wmawiał niechęć do Lachów, ciągnęła go ku nim krew, a raczej wspomnienia młodości, które nigdy żywszymi jak teraz nie były.

Niepojętych doznawał wrażeń. Z rana dzwonek kościelny budził go z sercem bijącym.

Zdawało mu się, że chłopięciem jeszcze na mszę ranną woła go ten głos modlitwy ku niebu. Z dawnej wiary, dla której zobojętniał tak, że do cerkwi tylko czasem zaglądał, a tu stał bez czucia, zostały mu zaniebane pacierze; umiane na pamięć niegdyś, nie odmawiane przez czas długi, znalazły się teraz na ustach mimo jego woli i Lasota zdumiał się niezmiernie, gdy począwszy je szeptać, powtórzył całe. Leżały więc na dnie duszy jak skarb w wodzie nie uszkodzone, nie tknięte.

Pierwszego dnia już zajrzał do kościoła i wyszedł z niego rozmarzony jakiś, przejęty.

Oprócz tego język, którego zdało mu się, że wiele się odczytał i zapomniał, powracał łatwo, dziwnie, a obcowanie z Lachami odżywiało go cudownie. Niekiedy tylko klątwa jaka lub

wykrzyknik nałogowy, jak owe: Uhu! przed gospodą, wrywały mu się mimowolnie. Słuchał w ulicy rozmów i brzmiały mu one nie wstrętliwie, jak się spodziewał, ale miło i swojsko. W ludziach też nawet co mu się wydawało dziwnym i śmiesznym, pociągało go jako stare, znane i zakryte tylko a zatarte. Sam do siebie w myślach nawykł był mówić po kozacku, tu się już chwycił na polskich: Poruszał ramionami i litował się nad sobą.

Nie rozumiał, co to znaczyć miało. Dziwnym też fenomenem, który się przytrafia tym, co po długim wygnaniu pomiędzy swoich powracają, mnóstwo twarzy, fizjognomij, głosów, ludzi znajdował podobnymi do dawniej znanych, iż gotów był witać jak starych znajomych. Bielecki żywo mu krakowskiego kupca jakiegoś przywodził na pamięć, dworska panienka, poznana wczoraj, własną żonę, Gurlecki dworzanina królewskiego, z którym był w przyjaźni. Mnóstwo takich typów zapomnianych w ulicy spotykał i nie mógł utaić przed sobą, że mu one przyjemne czyniły wrażenie.

Jest to przymiotem przeszłości czy miłej, czy bolesnej, że raz umarłą, stroi się dla nas w uroki, jakich nie miała żywą, tak jak umierający na twarzy zwykle wyraz błogiego ukojenia zyskują, choćby konali w boleści.

Gdy teraz na myśl znowu przychodziło mu życie w Siczy kozackie, które we snach się szczególnie przypominało co dzień, budził się z jakimś wstrętem i obawą. Zaczynał rozważać, co to będzie, gdy przyjdzie powracać nazad z listami, bo do tego był obowiązany. Myśl tę nieuchronnego powrotu do Siczy oddalał, odkładał, wmawiał w siebie, że to tak prędko nastąpić nie może, chociaż powinien był nagiąć właśnie, aby jak najrychlej listy otrzymać.

Ale nie mógłże on ich powierzyć komu, nie miałże tu tego Parfena, którego za szpiega poczytywał, z powierzonym mu nad sobą nadzorem? Drab ten niecierpliwił go. Powierzono mu listy, dowodziło to zaufania atamana i koszowych, a jednak postawiono kogoś na straży, a ten ktoś tak był przebiegły, tak obyty z ludźmi, iż istotnie obawiać się było można, aby myśli nie odgadnął w głowie! Zdradzić ich nie myślał przecie, ani tu na wieki pozostać. Nic go nie wiązało z tą ziemią lacką, ale tak mu się teraz zachciewało dobiec do starego swego Krakowa.

Kraków odpychał go wspomnieniem popełnionego morderstwa, a jednak... Tam by się może mógł coś dowiedzieć o losie żony, a nade wszystko o dziecku swojego losie. Nigdy dawniej, gdy bezsenne noce spędzał na czatach w Siczy pod niebem gwiazdzistym, z myślnymi tylko natrętnymi, nie odezwało się doń wspomnienie tego dziecka i troska o los jego. Tu teraz mąciła mu spokój, poruszała go do głębi; koniecznie zapragnął coś wiedzieć czegoś się dowiedzieć. Ale samo

dopytywanie było trudne.

Męczył się tak ciągle. Wstawał nierad z siebie, starając odpędzić te zmyły; świstał ukraińską pieśń kozacką, marła mu na ustach i nagle wczoraj słyszane u drzwi kościoła odzywało się: „Święty Boże”! Pieśń ta kościelna ciągnęła za sobą cały szereg uczuć nierozwikłanych, obcych jakichś, nie znanych mu nawet. Skąd się one brały? Czy wszystkie zawarte były w pieśni? Nie przywiózł ich przecież z sobą? Nie narzucono mu tutaj?

Bieleccy oboje, zwłaszcza gdy się przekonali, że zamożnym był, bo trzos odjęty widział na

swe oczy pan Łukasz, byli dlań bardzo uprzejmi, ale z nimi obcował jeszcze tak mało, iż od nich nic przejąć nie mógł. Zdawało mu się, że gdzieś przyległe do ścian, zaschłe zbierał te myśli, co mu się teraz roiły, jedna związana z drugą nieprzerwanym szeregiem.

— A to tu oszaleć przyjdzie! — mówił do siebie.

A że nawykły był do gorzałki i flaszkę jej już sobie pod łóżkiem przysposobił, szedł z

kubkiem do niej, aby go orzeźwiła. W istocie po jednym, drugim kubku kozackie myśli powracały, ale lada co je rozpędzało: z ulicy okrzyk, dźwięk dzwonu z daleka, nawet głos zegaru na ratuszowej wieży i hejnały na niej wygrywane wieczorem i rano. Podobne niegdyś odzywały się z wieży Panny Marii w rynku krakowskim. Jednego z nich słuchając, rozplakał się sam nie wiedząc jak i dopiero łyż poczuł, gdy machinalnie ręką potarł po twarzy.

— Człowiek jest jak ta trzcina na Dnieprowych kamyszach — mówił w sobie — lada wiatr

nim ugina. Sądzi, że mocen a twardy bardzo... a tu co? Nie złamie się, jak by powinien, a pokłoni posłuszny.

Tego wieczora Bielecki, który na zamku miał coś ustawicznie do czynienia jako szafarz

spizarni królewskich, powrócił dosyć późno i gdy wszedłszy do domu, od żony się dowiedział, że gość jego, prawie na miasto nie wychodząc, znaczniejszą część dnia przesiedział zamknięty, zastukał do niego, zapraszając na czarę wina, nimby spać poszli. Znalazł go tak smutnym, a jak się jemu wydało, znudzonym, iż mu się go żal zrobiło.

— Widać to — rzekł — żeście jeszcze sobie znajomości na mieście nie mieli czasu zrobić,

siedzicie więc jak pustelnik, nie wiedząc, kędy się obrócić. Na to ja chyba jutro trochę zaradzę, okazując wam zamek królewski. Jest i tam co widzieć, choć niedawno się dopiero rozszerzył i wystroił za nieboszczyka starego pana. Dawniej tylko stary zamek stał, którego teraz poprawiono, a zresztą więcej drzewa i jak muru było. Za naszego zaś pana wszystko się muruje *galanto* musi wyglądać. Nigdy jako żywo u nas tak nie edyfikowano wiele i wspaniale i tylu malowań nikt nie widział, co teraz. Na zamkach, po pałacach, po domach całe ściany w obrazach ogromnych, bo król się w tym kocha, a za nim też Kazanowski, Ossoliński, Opaliński i nasi księża biskupi; no, i my też mieszczanie ratusz musieliśmy malować dla gustu pańskiego. U państwa Kazanowskich, u

Ossolińskiego Niemcy i flamscy robotnicy raz wraz na deskach coś konterfektują, na płótnach i na szczyrych ścianach. Nasi też cechowi malarze krakowscy naśladowują ich, ale ci więcej świątobliwe obrazy do kościołów robią i zagranicznym majstrom nie zrównają, którzy srogię pieniądze biorą za te kunszty, a samo utrzymanie ich więcej niż lada posła kosztuje!

— Z zamku wracacie? — spytał Lasota. — A cóż tam, nowiny są jakie?

— Innych nie ma, oprócz że król jeszcze leży, a mało co na krzesło wstaje i z nim się nosić każe, bo chodźć mu trudno. Przeto jednak nie próżnuje, bo cały dzień się u niego panowie senatorowie mieniają.

— A cóż doktorzy na tę chorobę mówią? — zapytał Lasota.

— Obiecują polepszenie — dźwigając ramionami, rzekł Bielecki — ale z nich najrozumniejsi niewiele znają. Król już z dawna ma to choróbsko w nogach, a roztył się i rozlał ogromnie. Przy tym mu się żenić zachciało — dodał Bielecki. — Zacny a dobry pan, bohater wielki, rozumu Pan Bóg mu nie poskąpił, mógłby światu panować, a jak Salomon słabym jest dla płci białej.

Bielecki nie widział potrzeby czynić z tego tajemnicy; cała Warszawa znała te miłostki pańskie, które za Cecylii Renaty cokolwiek się na czas pohamowały, a teraz rosły znowu jak za pierwszych czasów młodości.

— Co najgorzej — mówił dalej szafarz królewski — iż mu coraz świeżej potrzeba, niestateczny jest. Królowę nam już nową wio- zą z Francji, której konterfekt widziałem; cudna jest, a tu dotąd miejsce dla niej nie opróżnione... no? I na dwoje wróżą jeszcze, czy z królową żyć bardzo będzie, czy nie, bo tu są tacy, co z jego słabości skorzystają. Nieradzi gratkę puszcza.

Zmilczał chwilę dosyć gadatliwy Bielecki, ale że mu gościa czymś zabawić było potrzeba, uśmiechając się ciągnął dalej.

— Przy królewiczu Zygmuntku śliczności jest Niemka, nieboszczki królowej przyjaciółka,

Amanda. U tej król po całych dniach teraz siedzi, a czasem późno w noc; wszyscy wiedzą, że ją miłuje bardzo, obdarza i bez niej żyć prawie nie może. Ale to filut Niemka, bo takie stroi miny, jakby tylko Zygmuśowi służyła: do góry główkę zadziera. Z tą bodaj kniazia jakiego ożenią... Stara się ich tam dosyć, bo król wyposaży i ona u niego potem wyrobi, co zechce. Gdybyż z tą Amandą było tylko bałamuctwo, ale we dworze aby się dzióbek młody pokazał, król musi go zobaczyć, a podoba mu się...

Nie dokończył Bielecki, aż potem dodał:

— Powiadają, że strach ile pieniędzy idzie na wojsko nowe, na armaty i prochy, ale i na

fartuszki też, i na pałace, i na wszystkie te wspaniałości, bez których teraz u nas żyć nie umieją panowie. Starzy powiadają, że nigdy tak nie bywało u nas. Począwszy od biskupów budują pałace, a marmurami, zwierciadłami, złoceniami, obiciami je drogimi przyozdabiają. Spytajcie, co pałac Kazanowskiego albo Ossolińskiego kosztował, że już innych nie wspomnę. A i w sukniach, i we zbroi luksus wielki, nie dosyć u szlachty, my też, co po miastach siedzimy, za nimi w trop. Samem Włocha kupca w Krakowie baczył, co kolebką sześciami woźnikami białymi wozić się kazał. Ten gdy wojewodę krakowskiego w ulicy spotkał a pokłonił mu się, senator mu pięść pokazał. I chcieli wydawać, i powydawali prawa przeciw luksowi temu. Zabroniono mieszczanom, aż Włochy

pargaminy ukazały, że są szlachcicami weneckimi i innymi tam, a zatem ich to nie tyczy. Drudzy zaś do szlacheckich naszych herbów się poprzyszywali.

— Zobaczycie jutro zamek — mówił dalej Bielecki — a jeśli wam posłuży szczęście,

możecie i królewicza małego zobaczyć, i Amandę, bo Karola, brata królewskiego, chociaż na zamku też rezyduje, teraz tu nie ma. Posłano go przeciwko królowej.

Bielecki, popijając, się rozgadywał.

— Zdaje mi się — rzekł — jeżeli z tych chodów młodego Paca wojewodzica, królewskiego

pokojowego zaufanego wnosić, że ta panienska też, coście ją tu widzieli u nas, także królowi w oko wpadła...

Nie wiedzieć dlaczego, przykrego uczucia doznał Lasota usłyszawszy to i namarszczył się.

— Szkoda by było dziewczęcia — westchnął.

— A co się jej za krzywda przez to stanie! — odparł szafarz.

— I owszem, znajdzie zaraz siła, co się z nią żenić zechcą, ale z nią ani nawet król do końca nie trafi — rozśmiał się Bielecki.

— Dlaczego? — spytał Płaza.

— Moja żona ją bardzo dobrze zna — ciągnął dalej gospodarz

— jest to takie dzikie jakieś stworzenie! Patrząc na nią, mówić z nią, żartować, zdaje się to płocze a ugłaskane i obyczaj ma dworski. Słowo ją nie spłoszy, odpowie raźnie, ale niechże kto posunie się śmieiej od rączki do pyszczka albo ją wpół zechce objąć, jak to u nas dworaki zwykli, gotowa nawet wojewodziców policzkować. Ani przystąpić do niej.

— Ho, ma rozum dziewczyna! — rzekł uradowany Płaza.

— Patrzmy no końca — dodał szafarz — ja już takie widywałem, co odpychały wielkich panów, a potem ją lada pacholik ugłaskał. Mówi ciągle „Sierota jestem, nie mam nikogo, muszę sama siebie pilnować.”

Z uwagą wielką przysłuchiwał się Lasota; dziewczę go zajmowało.

— Jeżeli prawda, że się Pac koło niej kręci — rzekł Bielecki — to nie dla siebie... Królowi się podobała, tego nie ujdzie...

Płaza poruszył ramionami.

— Dziwne u was obyczaje — rzekł — król się ożenił, żony mu nie przywieźli jeszcze, tu już jedną miłośnicę ma, a innych mu szukają.

Mieszczanin śmiał się.

— Salomona naśladują — rzekł — przecież to najrozumniejszy z ludzi był, a żon i miłośnicę chował tyle. Nam prostaczkom byłoby to grzechem, im rozrywką niewinną...

Po tej rozmowie, gdy na zegarze godzina późna wybiła, wstał Bielecki żegnać się z gościem, radząc mu spać iść rychło.

— Jutro, jeśli nie macie nic lepszego do robienia — dodał —

a ciekawi jesteście, rano idę na zamek i mogę was zabrać z sobą, aby pokazać rezydencję pańską. Piękniejszej nie zobaczycie w życiu.

— I owszem, i owszem — pośpieszył Płaza. — Wdzięchen wam będę... Któż by ciekawym nie był! Długi czas okrom trzciny, traw i krzaków a skał mało co oczy moje widziały, chyba stare dwory drewniane i zameczki z kołów, i gliny lepienne... A Krakowam zapomniał.

— Warszawa go przejdzie wkrótce — odparł dumnie Bielecki. — Już się bogatsi kupcy stamtąd do nas wynoszą.

Nazajutrz rano, dotrzymując słowa, przyszedł szafarz po gościa, który ubrawszy się, na niego czekał. Szli tedy razem ku zamkowi nowemu, który w miejscu starych budynków drewnianych na przedzie się wznosił i okazałe dosyć patrzył na miasto. Na dole galerie go

sklepione otaczały, nad którymi okien biegły dwa rzędy. Po rogach wznosiły się cztery kształtne wieżyczki miedzią kryte, a w pośrodku górowała zegarowa wieża z gankami. Na szczycie jej pozłożona gałka wietrznik z orłem utrzymywała. Mury te, nowe jeszcze i czyste, wcale pańsko się prezentowały, chociaż zbyt obszerne nie były.

Bielecki, który tu wszystkich znał, kluczników i odźwiernych, wprost naprzód do izb i sal wielkich poprowadził, w których sejmy i znaczniejsze się odbywały uroczystości. Z tych jedna szczególnie, marmurem wykładana różnokolorowym, z kominem w kształcie wodotrysku z brązu odlewany, ozdobnym, z posadzką wzorzystą, podobała się bardzo Płazie. Większą ona była od tej, którą widział w pałacu Ossolińskiego, ale wspaniałością tamta ją przechodziła. Druga po niej na ścianach, tak samo jak u kanclerza, cała była okryta ogromnymi obrazami, zwycięstwa i pochody wojenne Władysława IV wystawującymi. Pomiędzy tymi widokami bitw i miast obleganych wielkie i piękne wizerunki króla nieboszczyka i obu żon jego w koronacyjnych szatach, doskonale malowane, zajmowały tak miejsca wszystkie, iż ścian samych prawie widać nie było. Sal tych kilka teraz pustych, ze swymi ławami, stołami i sprzętem pościągany na kupy, mimo wspaniałości dość smutne czyniły wrażenie.

Bieleckiemu jednak nade wszystko pono o to szło, aby się najkosztowniejszą i tą, której budowa najwięcej kunsztu wymagała, pochwalił, bo podobnej tej nigdzie widzieć na północy nie było można. Wszedłszy tu jednak, w mroku się nierychło rozpatrzeć mógł Płaza. Gmach był bardzo obszerny, na pół kolumnami przedzielony, w którym z jednej strony siedzenia wygodne dla gości stały, a oddzielnie dla króla i jego rodziny. Poza kolumnami zaś i zasłoną, która teraz podniesioną była, w górę aż do dachu, w dół aż do piwnic schodziły dziwnie poustawiane wschody, windy, drabiny, rzeźbione i malowane drzewa, ganki, galerie różne. Ponad głowami na sznurach zawieszane były obłoki. Mnóstwo niezrozumiałych różnych przyrządów teraz w nieładzie zapełniało scenę.

— Trupa tu tylko oglądacie — odezwał się ożywiony Bielecki

— bo to teatrum jest, które widzieć potrzeba, gdy je tysiąc świec i lamp światłem obleje,

gdy muzyka na galerii stanie, a włoscy śpiewacy wystąpią, którzy razem i gardły, i nogami się popisują, a około nich na rozkazanie noc i dzień, burza i pogoda, i prawe cuda się dzieją. Gdy grają *Dafne w drzewo przemienioną*, widzieć potrzeba, jak się ona śpiewająca nagle obraca w laur... Ale któż to opowie! *Capellę* samą słyhać, chyba aniołowie w niebiosach śpiewać tak mogą. Jam tu oglądał i piekło, i morze burzliwe z syreny pływającymi a śpiewającymi, z okręty żeglującymi, i obłoki piorunami ziejące.

Płaza stał, patrzył, choć tu niewiele mógł zrozumieć, a Bielecki mu opisywał jako mógł, co to za cuda i wspaniałości są, gdy teatrum grają, gdy śpiewacy postrojeni na scenę wynijdą, gdy wszystko w ruch

się wprawi, a *capella*, aktorowie, kunszty, ognie na jeden obraz się złożą. Wielki miłośnik teatru, szafarz unosił się mówiąc o nim, a przysięgał, iż na całym świecie drugiego pewnie podobnego nie było.

Płazie wyrwało się tylko:

— Cóż to kosztować musi?

— O tym wie jeden Pan Bóg i pan podskarbi — rzekł Bielecki — a może myślę się, bo król

ze swej szkatuły musi łożyć, a z tą się on nie liczy. Włochy za gardła płacić każą tak, iż żaden kaznodzieja tyle co oni jurgieltu nie bierze. *Capella* też z cudzoziemców złożona, mało co swoich; malatury obcymi rękami robione; na ostatek i komedia nie po naszymu, ale p,o włosku, *galanto*. U

nas tak

— dołożył szafarz wygadując się. — Król pono najlepiej lubi po niemiecku, bo go Meyerin

uczyła, jak matka kochając, włoski mu też do smaku, francuskim nie gardzi, a polski choć zna dobrze i mówi nim gładko, ale to powszedni chleb dla pospolitych ludzi. I poetę nadwornego co mamy, to Niemca; zwie się Opicz.

Bieleckiemu z tą salą cudów niełatwo się było rozdzielić, chciał ku niej entuzjazm obudzić w towarzyszu, ale ten, szkielety widząc tylko, głową potrząsał i milczał.

Przeszli potem jeszcze sal i komnat różnych szereg cały, wszędzie prawie pustkę znajdując, bo podczas zjazdu żadnego nie było. Gdzieniegdzie tylko krzątano się z wolna około przygotowań na przyjęcie królowej, ale wcale nie okazując pośpiechu.

Wschodami potem sprowadził Bielecki gościa w dziedziniec wewnętrzny brukowany, który

dokoła mury i budynki, kuchnie i oficyny otaczały. Od strony Wisły ogromna, gruba ściana z kamieni wznosiła się dla powstrzymania wylewu wody, która tu wiosną nadchodziła. Na tych to fundamentach stał nowy dwór murowany królewicza Karola, w którym on przemieszkiwał. Nie szli tu, i Bielecki wskazał tylko na górze salę wielką, oknami dużymi opatrzoną, z której prospekt być miał na okolicę, jak on się wyrażał, bardzo cudny. Z boku podwórca stało stare zamczysko

odnowione, zamieszkane, ale na oko zaraz swój wiek zdradzające. Tu się dworscy, czeladź, służba różna mieściła. Stąd też ganki odnowione, kryte, dozwalały wprost przejść do kościoła Świętego Jana.

Bielecki nic nie przeoczył, cokolwiek mogło obudzić podziwienie i widzenia było warte, tak że nawet starą łaźnię królewską, w której teraz dla pożytku państwa cynową wielką sadzawkę zbudowano dla kąpeli, kazał Płazie oglądać. Wreszcie już oprócz ogrodu w dole, dosyć schludnie i pięknie zasadzonego, kwiatków i krzewów a wody, którą stąd kołem obracając, na górne piętra prowadzono rurami, nic do widzenia nie zostało, bo mieszkalne pokoje króla przystępne nie były.

Szafarz miał nie opodał od kuchen na starym zamku izb parę dla siebie, w których

przyjmował też gości i interesa swoje sprawował.

— Zajdźże waszmość do mnie a spocznij — rzekł, prowadząc go ku staremu zamkowi. Szli

tedy, ciągle pomijając dworzan pańskich, czeladź i mnóstwo kobiet, które się tu tak licznie ukazywały, jak gdyby już królowa była na zamku. Nie uszło to oku Płazy, że większa ich część była młodych i bardzo postrojonych, wesoło z dworzany po drodze rozmawiających i śmiejących się wesoło. Tu gdy powoli kurytarzem szli, potrącił Bielecki łokciem towarzysza, nie opodał mu wskazując przystojnego i strojnego młodzieńca, który pannę tę, co ją Płaza poznał, zatrzymawszy w przejściu, wesołą z nią prowadził rozmowę.

— Przypatrz się waszmość temu młodemu — szepnął — *ni fallor*, jeśli pożyje, to go wielkie łaski pańskie czekają. Tak poczynali Kazanowscy. Nie dla siebie on panienkę korumpuje.

— Brzydkie rzemiosło — zamruczał Płaza — nie przystało zacnemu panu.

Machnął ręką szafarz.

— My na to inaczej patrzymy — rzekł. — U króla serce sobie pozyska, spoufali się z nim, a

potem będzie z nim czynił, co zechce. Wszystkim wiadomo, że Kazanowscy nie mieli nic, gdy się na dwór za towarzyszków królewiczowi dostali. Król teraz nie ma nic, a oni bogatsi są! od niego.

Sławnać to historia tego pierścienia po matce, pamiątka ostatniej, którą król Adamowi darował. Pan to szczodroblivy nad miarę.

Westchnął Bielecki.

— Ale mu surowych słów prawdy nie mówić, bo ich nie lubi, goryczy nie trawi.

Mijali właśnie piękną dworkę, która wcale widokiem ich nie była strwożoną ani zmięszaną.

Pozdrowił ją Płaza, oddała mu ukłon, a Bieleckiemu rzuciła:

— Kłaniaj się waszmość żonie swej a powiedz, że ją wkrótce znów odwiedzę.

Gdy się to działo, młody Pac też nie odszedł i chciał snadź przeczekać, aż znowu sam z

dziewczęciem zostanie. Płaza się kilka razy obejrzał poza siebie, dziewczę stało w boki się ujawszy, śmiało patrząc w oczy pięknemu dworzaniekowi, ale zdawało się chcieć żarty stroić z niego.

Wtem od ganków, które do kościoła prowadziły, ruch się dał słyszeć i Bielecki, o gościu nie napominając, razem z nim za słup w murze się skrył szepcząc:

— Macie szczęście... Oto idzie panna Amanda, a z nią Zygmunt królewicz.

Zoczywszy ją z daleka, dworka, która tak swobodnie z Pacem rozmawiała, pierzchnęła śmiejąc się, a wojewodzie, krótką się chwile zatrzymawszy tylko, postąpił na spotkanie panny Amandy i królewicza.

Śliczny chłopaczek, który się starszym wydawał, niż był, szedł z wielką butą, przy szabelce, po polsku ubrany, a kto na niego spojrzał, uśmiechał mu się i on też kłaniał i uśmiechał wszystkim.

Znać w nim było pieszczonego królewskiego jedynaka, ale jakże tej laleczki nie było pieścić?

Panna Amanda, która mu towarzyszyła, słuszna i bardzo piękna brunetka, twarzy poważnej i nad miarę ułożonej skromnie, postępowała majestatycznie jak królowa, za rękę wiodąc i przytrzymując niecierpliwego królewicza. Z każdego jej ruchu widać było przejęcie się obowiązkami i wysoką dostojnością, jaką piastowała. Zastępowała bowiem matkę przy małym królewiczu, który ją czasem nawet, chcąc się przypodobać, tym imieniem nazywał. Wnieść stąd było łatwo, jak panna Amanda i jej dwór złym okiem widziały nowe królewskie ożenienie, jak je tu królowi odradzano, jak się starano przeciwko nowej pani uprzedzić i od niej odstręczyć.

Panna Amanda Eckerberg miała swe stronnictwo, sprzymierzeńców, przyjaciół posiłkujących, a do nich należeli ci wszyscy, którzy z położenia, w jakim się król od owdowienia znajdował, korzystali. Naprzeciw tej partii stała druga, silniejsza i poważniejsza nade wszystko, która wolała mieć królowę, jej dwór i widzieć króla mniej płochym w tych latach, gdy już pół wieku przeszedłszy, nie godzi się młodzieńczych dopuszczać wybryków. Na nieszczęście król był nawykłym dawniej do tego życia swobodnego, do którego ci sami mu dopomagali, co teraz wstrzymać chcieli od niego.

Małżeństwo, w którym i polityka, i finansowe położenie wielki udział miało, przychodziło do skutku. Powiadano, że królowi przed pierwszym ożenieniem już przywieziony portret Marii Ludwiki podobał się był bardzo, że się w niej na niewidziane kochał; ale gdy małżeństwo przez posły zostało zawarte, gdy królowa już się w podróż do Polski puścić miała, uważano ostygnięcie, zniechęcenie i powrót do dawnych obyczajów. Wnoszono z tego, że młoda królowa nie potrafi ujarzmić króla i zajmie stanowisko na tronie, a nie w sercu.

W tym sercu pańskim co się działo, trudno było odgadnąć. Miękkie one było, ale niestałe, a wiek czynił je przystępniejszym innym uczuciom niż spóźnionym miłostkom.

W pochodzie ku zamkowi z królewiczem, po drodze odbierała panna Amanda oznaki

największego uszanowania, ale że one równie się do królewicza Zygmunta idącego z nią, jak do niej odnosić mogły, wolno je było jak chcąc sobie tłumaczyć. Pac, pozostawszy sam, usunął się z drogi, ale królewicz skinął na niego, a panna Amanda spojrzała dosyć łaskawie, i czekał, aby im towarzyszyć. Dwór, który z wielkim zawsze zajęciem ściagał oczyma młodego, przyszłego domyślnego tronu dziedzica, i teraz stał, póki nie przeszedł orszak mu towarzyszący i Zygmunt nie zniknął pod krużgankami zamkowymi.

Bielecki wprowadził gościa do swojej, jak ją zwał, kancelarii i tłumaczył mu, co widzieli.

— Królewicza naszego, jedyne oko w głowie — rzekł — widzieliście. Niech mu Bóg daje

żywość i zdrowie, niech rośnie na pociechę rodzica i Rzeczypospolitej! To będzie dopiero taki pan, jakiego nam potrzeba! Dziś już to dzieciak cudowny. Królowę jejmość, która przybywa, wątpię, aby Pan Bóg obdarzył potomstwem; boimy się, aby po macoszynemu nie obchodziła się z naszym ulubieńcem, ale pilnować jej będziemy! Już to — mówił, porządkując swe papiery i klucze,

Bielecki — nie do zazdrości życie się gotuje dla przyszłej pani naszej... Trudno jej będzie serca sobie pozyskać.

Płaza słuchał i rozglądał się dosyć obojętnie, a że szafarzowi przerywano ciągle i miał wiele do czynienia, nie chcąc mu przeszkadzać, wypiłszy kubek wina, cofnął się, sam nie wiedząc, dokąd się uda... Miał tyle w mieście do widzenia, a tak go teraz, pociągała wszystko, iż rad znalazł się swobodniejszym.

Około zamku w tej dnia godzinie ruch był znaczny, zmieniały się stráže, przywożono

zapasy różne, oznajmywali się goście, przybywali urzędnicy dworu. Gwaru i popychania było

dosyć, tak że Płaza, który nie wyglądał zbyt pokaźnie, musiał sobie drogę torować pracowicie i rad był, gdy się znalazł za wrotami na placu.

Ale tu ledwie miał czas się obejrzeć, aby obmyśleć, kędy pójdzie, gdy ów wszędzie jak cień za nim chodzący drab, Parfen, już go szydersko się śmiejąc pozdrowił.

Płazie to prześladowanie dokuczało i przykre zrobiło wrażenie, czuł się niewolnikiem.

— Na pięty mi następujecie — zamruczał, niechętnie oddając ukłon Parfenowi.

— Tylko aby wam posłużyć — odparł Kozak. — Wy tu obcy, a Lachy nie mają czasu kozackiego posła przyjmować.

— Ale wiesz to przecie — syknął Płaza — iż mnie tu nikt jako posła nie powinien znać, a wy włócząc się za mną, zdradzacie mnie.

— Nie bójcie się — rzekł Kozak — ja nie jestem tak głupi jak się wam wydaję. Lachy nie są

podejrzliwi i ani się lękają, ani szpiegują. Im pod nosem można dokazywać, co się komu podoba, nie będą widzieli albo rozumieli. Tym mniej gdy o kozactwo chodzi, które oni za grube chłopstwo mają!

Parfen się śmiać począł.

— Juści my grube chłopcy — rzekł — ani my w jedwabiach chodzimy, ani obce języki

rozumiemy, ani nam tych łakoci i cacek potrzeba, co panom Lachom, ale nas niewola nauczyła wiele. My bijemy pokłony, a pięści zaciskamy, a kiedy najniżej czołem, to najbardziej duszą...

Spojrzał na milczącego Płazę.

— Coś wy, *batku* — dodał — chodźcie po Warszawie taki kwaśny, jakby wam doprawdy kosza żal było i waszego kurenia. Co wam jest? Czy poszło co na opak?

— Nie — rzekł Płaza, który spojrzawszy na Kozaka, zmiarkował, że się go strzec powinien

— nie, nie stało się nic, ale człowiek tu obcy, niewiele rozumie, przeto się frasuje.

— Za czym? — odparł Kozak. — Co wam sobie łamać głowy? Listy oddaliście, odpowiedź

odbierzecie, i po wszystkim, Więcej po was nie będzie ataman wymagał. Byle tylko znowu nie odprawili z obietką cacanką a bez groszy, bo nam ich potrzeba. Chcą, byśmy królowi usłużyli, czemu nie? Ale zapłacić za służbę muszą. Powiedzą, że pieniędzy nie mają...

Parfen głową pokiwał i rękę do góry podniósłszy, na wieżyczki zamkowe blachą pobite, z gałkami połączanymi, ukazał.

— A jak mają grosze być, kiedy dachy połączają, a z miedzi gonty kują?

Płaza tymczasem, głową skinąwszy, uszedł na stronę.

ROZDZIAŁ VII

Kok się kończył, a zima rozpoczynała; w położeniu posła potajemnego Kozaków nic się nie

zmieniło na oko, on sam tylko, chociaż się z tym starał ukrywać, znacznie się czuł innym. Pobyt wśród tego dworu, w atmosferze wcale różnej od tej, którą lat wiele nawykł był oddychać, odżywił

w nim jakiegoś starego człowieka, a raczej nowego stworzył, bo wiek mu nie dopuszczał być tym, jakim niegdyś zbiegł na Niż, aby o Polsce zapomnieć.

W osobliwszym się czuł położeniu, ciągle prawie kłamstwem żyć zmuszony. Z obowiązku

bowiem upominał się o odprawę i listy, chcąc niby powracać do Siczy, gdy w istocie wcale mu się tego nie chciało. Naglił o to Parfen chodzący ciągle za nim z dala, choć Płaza starał mu się zręcznie wywijać.

Z Bieleckim, który ani umiał, ani chciał mu głęboko w duszę zaglądać, z jego żoną, dosyć mu przyjazną, bo ujętą małymi podarkami i grzecznością gościa, żył na bardzo poufalej, przyjacielskiej stopie. Zresztą znajomości nowych niewiele zrobił bliższych, chociaż przez Bieleckiego poznał ludzi i ich stosunki na dworze. Zapraszano go wszędzie, pokumał się ze wszystkimi niemal, z którymi Bielecki był znajomym: z kapelą, muzykantami, służbą zamkową, dworzanami, koniuszymi, ale nie zdradzał się z sobą, kim był, i podawał się za człowieka, który po latach długich na kresach spędzonych szukał sobie na starość kąta jakiegoś i zajęcia. A że przez Bieleckich wiadano, iż bez grosza nie był, on też dosyć chętnie częstował, nikomu w drogę nie wchodził, w żaden się spór nie miewał, ze wszystkimi starał być dobrze, lubiono go powszechnie, ale zbyt nie szacowano.

Kosztowało niemało Płazę, który gwałtownego swego temperamentu, nie pozbył z wiekiem, poskramiać się i trzymać na wodzy, lecz musiał to czynić przez obawę, aby się nie wwikłać w złą sprawę.

Z powrotem na Niż nie bardzo mu się chciało, nie naglił też zbyt o listy, które odkładano pod pozorem, iż król jeszcze niepewien był, jak i kiedy Kozaków zażyje. Chciał z tym ustnym tłumaczeniem Płaza odprawić Parfena, aby go nie mieć ciągle na karku jak nadzorcę, ale Kozak potrząsał głową i nie dał się słać.

— Trzeba dać znać, no to nakażcie mi, ja znajdę takiego, co to zanieśie atamanowi i koszowym, a ja stąd nie ruszę, póki mnie oni nie powołają.

— Ono to tak wygląda — śmiejąc się, raz rzekł Płaza — jakby mnie nie wierzono spełna, a was na straży postawiono. A na cóż było listy mi dawać, kiedy wiary nie dajecie!

— Uchowaj Boże! — zaprotestował Parfen. — Wam się wierzy, ale możecie potrzebować pomocy, od tego ja tu jestem. A gdyby zresztą i chciano patrzeć w wasze karty — dodał Kozak — albo by się temu dziwować? Alboście wy nie Lach? Choć lat tyle między Kozakami, krew nigdy się nie mieni w człowieku! Listy wam dali, bo Kozaka takiego do nich jak potrzeba nie było! Niech wam się nie skuczy, że ja chodzę za wami. Jak nie macie co taić, co wam to szkodzi...

Płaza nie miał nic więcej nad to do utajenia, że w nim w istocie Lach odżył, a przyczyniła się do tego zmartwychpowstania piękna dworka, którą u Bieleckich poznał, która straszliwie mu nieboszczkę

żonę przypomiwała. Zręcznie dziewczę korzystało z tej słabości starego, aby go nie wiadomo w jakim celu całkiem sobie pozyskać.

Uroił on, iż mogła być tą właśnie zagubioną córką jego, a że dotąd nic z tego, co o niej wiedział, przypuszczeniu się temu nie sprzeciwiało, utwierdził się w swym przekonaniu; Me

przyznał się do tego pięknej Bietce, ale nadzwyczaj się nią żywo zajmował, służył, opiekował i nie taił z tym, tak że Bielecka go posądzała, jakoby o małżeństwie z nią myślał. Chociaż wieki wcale niestosowne były, tyle się podobnych kojarzyło związków, iż i ten mógł się wydawać możliwym.

Zagadnięty wszakże żartobliwie przez Bielecka, która gotową się oświadczała pomagać mu nawet, Płaza ramionami dźwignął.

— Pani moja miłościwa — zawołał — a toby mnie do czubków wsadzić trzeba, gdybym o tym pomyślał! Jać co najmniej ojcem jej bym mógł być. Gdzież tu do mojego kozucha przypiąć taki kwiatek?

— A, a! — wołała trzpiotowata Bielecka. — No a król nasz się żeni... Starzy na najlepszych mężów wychodzą, a waszmość nie jesteś, tylko się czynisz starym.

— Ja o żadnym ożenieniu nie myślę — dorzucił Płaza — ale

Bietkę bym rychlej za dziecko sobie przybrał, bo mi przypomina ' nieboszczką, którą choć nie była tego wartą, zawsze jeszcze po troszę miłuję.

Bielecka brała w obronę tu nieboszczkę i wmawiała w Płazę, że mężczyźni ze swą głupią zazdrością nigdy nie mają słuszności, przywiduje się im zawsze.

Z jednej więc strony dziewczę to przywiązywało Płazę do miejsca, z drugiej osobliwsze zaprawdę spotkanie, które on krył przed ludźmi.

Włóczęc się po mieście, co mu się często trafiało, gdy albo nie miał co czynić, lub Parfena sznurkującego za sobą umyślnie na złość chciał w błąd wprowadzić, zaszedł raz na Nowym Mieście do, kościółka Świętego Brunona. Przy nim naówczas znajdowała się szkołka ubogich chłopiąt, sierot, pauprów, z miłosierdzia utrzymywana. Pauprów tych biednych znało miasto całe, bo z piosenkami, z gwiazdką z jasełkami chodzili za jałmużną i było im to dozwolono. Tuż przy

kościółku znajdowała się dosyć duża izba, którą nazywano szkołą. Nic biedniejszego nad nią wymyśleć nie było podobna. Zimą opalano ją przez miłosierdzie ofiarowanymi polanami i trzaskami; stołki, ławki, stół pochodziły z żebraniny i znać na nich było dobrze to pochodzenie; w

oknach, którym połowy błon brakło, papier i cienko wystrugane sosnowe deszczułki zastępowały wybite szyby, a o czystość i porządek same sieroty się starać musiały, więc zmiotano śmiecie do kąta i na tym kończyło się wszystko.

Płaza, który przypadkiem już także zaszedł był do kościoła, szpitalu i szkoły przy Świętym Duchu, gdzie również miejskie dzieci uczono po troszę, choć i tam parady wielkiej nie było, gdy porównywał ową biedotę Świętego Brunona ze szkołą przy szpitalu Świętego Ducha, aż mu się serce ścisnęło — a pociągnęło go ku tym pauprom i wspomnienie krakowskich.

Gdy się im z litością przypatrywał, więcej jeszcze nad nich uderzyła go twarz blada, bardzo dziwnych rysów, ubogo i nędznie odzianego klechy czy księdza, który właśnie nad pauprami miał

jakby dozór i zwierzchność. Twarzy takiej kwadratowej, z niezmiernie szerokimi ustami, z głęboko pod czaszką osadzonymi oczkami małymi, z kośćmi czoła wystającymi ostro, z uszami ogromnymi jakby z pergaminu wykrojonymi, drugiej chyba na szerokim świecie szukać było i nie znaleźć.

Tymczasem Płaza takuteńką drugą, tylko młodszą, gdzieś sobie przypominał! Gdzie? Naturalnie, że w Krakowie, ale do kogo ta osobliwa maska i śmieszna, i sympatyczne obudzająca uczucie

należała, tego sobie Płaza w żaden sposób nie umiał przypomnieć. Przysięgłby był, że go kędyś, gdzieś znał, widywał.

Tak go to poruszyło, jak teraz wszelkie przeszłości wspomnienia i nie mógł się od tego

wstrzymać, aby nie podejść do ubożuchnego księżyny, i niby dla rozpytania o pauprów zawiązał z nim rozmowę.

Głos cichy, łagodny, miękki tego człowieka, uśmiech jego jeszcze żywiej mu na pamięć przywiodły kogoś... ale kogo? Nie mógł jeszcze się rozgarnąć.

— Wiele tu tych pauprów macie? — spytał.

— Jest ich kilkunastu, a byłoby daleko więcej — dodał ksiądz — gdyby ich szkoła czym przywabić mogła oprócz tej jałmużny, którą wyuczonymi w niej piosenkami mogą sobie zarobić.

Ale jak się temu biedactwu inny chleba kawałeczek nastreczy, trochę czym posmarowany a lżejszy, co za dziw, że głodne pójdą za nim? Zimą, jak jest trochę drewek i w piecu się pali, to obdartuszki przychodzą się tu ogrzać, a ja z tego korzystam, aby ich katechizmu poduczyć, niektórych do alfabetu zaprzac, innych obietnicą lepszego bytu do nauki zachęcić.

Westchnął ksiądz. Rozmowa by się przeciągnęła dłużej pewnie, gdyby w tej chwili

wychodzący z proboszczowskiego budynku poważny zakrystianin nie zawołał na głos tonem dosyć nakazującym:

— Ksiądz Stoczek do dobrodzieja, a żywo!

Ruszył natychmiast w wyszarzanej sutannie ksiądz Stoczek na zawołanie, a Płaza po

nazwisku sobie przypomniał, że gdy w Krakowie do szkoły chodził, miał tego Stoczka jako służkę, towarzysza i przyjaciela przy sobie. Trwał ten stosunek lat kilka. Zniknął mu potem pauper z oczów, bo Stoczek pauprem był i pozostał nim po dziś dzień, choć cudem jakimś do sukni

duchownej się dobił, co dla ubogiego, nieznanego pochodzenia sieroty i nie-szlachcica trudnym było, z wyjątkiem zakonów żebraczych, gdzie mało pytając, przyjmowano ludzi.

Stoczka sobie teraz żywo przypomniał bardzo Płaza, a może go za dawnych czasów nigdy

tak nie umiał ocenić, jak teraz, gdy przeszłość rozpamiętywał. Był ów Jacuś Stoczek niezmiernie bystre- go pojęcia, uczył się łatwo, pamięć miał osobliwą, a przy tym charakter łagodności niewyczerpanej, wszelkie próby wytrzymującej. Młodzież go jako bezbronną istotę często z tym okrucieństwem młodych, które krwi, nie serca złego jest dziełem, brała na tortury, prześladowała, znęcała się nad nim, nigdy się nawet nie zniecierpliwiał. Rozbrajał tą anielską dobrocią.

Stoczek tak go mocno zajął teraz, iż nazajutrz powrócił do Świętego Brunona na Nowe

Miasto i pod pozorem ofiarowania jałmużny dla pauprów znowu z nim zawiązał wczoraj przerwana rozmowę.

— Nieprawda, mój ojciec — zagadnął go — wam być musi imię Jacek?

— A skądże wy o tym wiecie? — spytał zdumiony księżyna.

— Mój Boże, tyle lat temu! Ani wy mnie, ani ja bym was może nie poznał teraz, gdybym wczoraj przypadkiem nazwiska nie posłyszał.

Stoczek z jakimś rozrzewnieniem się w starego znajomego wpatrywał długo.

— Otóż! — zawołał jakby głęboko w siebie wszedłszy — otóż ja wam powiem, że alboście wy Lasotą Wierzbietą, albo... nie wiem!

Nie było w podwórku przy szkole nikogo i stary mu się rzucił na szyję.

— Jam jest — rzekł — ale cicho, Jacusiu, bo mnie, jak sobie przypominisz (jeśli o tym

wiedział), wielkie nieszczęście spotkało. Lat wiele nie byłem tu, ale na wygnaniu srogim, dalekim, na pokucie. Powracam stary, z innym nazwiskiem... zwij mnie Płaza po matce.

Stoczkowi łzy się na powiekach załśniły. Była to godzina właśnie, gdy chłopięta ze szkoły

szły za miasto z garnuszkami i miseczkami drewnianymi, miał więc czas ksiądz Stoczek.

— Mój miłościwy panie — rzekł z dawną pokorą, pokłon czyniąc Płazie — jeżeli moją ubogą izbą nie pogardzicie, zajdźcie do mnie. Nie gorszcie się tym, że ja w takim, mogę

powiedzieć, chlewku mieszkam; jestem kapłanem, sługą tego Boga, co się na sianku w stajence narodził, więc mi się ani godzi, ani potrzeba pałaców i izb strojnych, byle celka i twarde wezglowie.

— Chodźmy! — rzekł uradowany Płaza, iż znalazł jednego człowieka, z którym otwartym być mógł; z Jacusiem bowiem tak bezpiecznym był, że taić przed nim nie potrzebował nic, a dusza potrzebowała wylania się i porady.

Nie przesadził wiele Stoczek, mówiąc, iż w chlewku mieszkał, izba bowiem, którą otworzył,

a wchodziło się do niej wprost z podwórza, o jednym małym oknie, tak była biedną i ogołoconą, jak celka najuboższego mnicha. Ledwie się w niej obrócić było gdzie, tak maleńkie miała rozmiary; pułap niski, ściany lepione gliną, zamiast podłogi tok z gliny ubity, a za sprzęt cały stoliczek, klęcznik z sosnowych tarcic, tarczanik i stołek. Gości też tu nie przyjmował biedny kapelan, ale dla niego starczył ten kątek, prawdziwe schronienie anachorety. Wszystko tu aż do krzyża i godeł

religijnych, do kropielnicy prostej, glinianej u drzwi takie było nędzne i ubogie.

Stoczek jedyny stołek zastał opończą dla gościa, a sam wskazał na tarczanik, iż na nim

przysiąść może. Poczeli tedy rozpamiętywać stare dzieje, przy czym Płazie nieustannie się łzy z oczów dobywały, których wstydział się i ocierał je skwapliwie; Stoczek zaś płakał, ale łzom dawał płynąć aż na starą sutannę i nie zdawał się czuć ich nawet.

Żywot biednego był bardzo prosty. Dobił się kapłaństwa, bo tego jednego jako najwyższego

dostojeństwa i największego szczęścia pragnął, ale nigdzie sobie pomieszczenia znaleźć nie mógł.

Posługiwano się nim, brano do pomocy, a że nie miał ani powabnej powierzchowności, ani talentu przypoehlebiana, a ascetyzmem swoim drugich sybarytów kłuł w oczy, więc się go pozbywano

potem rychło. I tak z Krakowa dostał się do Sandomierza, stamtąd do Piotrkowa, później do

wiejskiej plebanii, na ostatek do Świętego Brunona, gdzie mu jakby z łaski kąt dano.

Z czego i jak żył, Bóg jeden wiedział. Czasem się ulitowała przekupka, podarowała chleb,

zaprosił go mieszczanin do miski, zresztą pościł tak wiele dni, a tak mało jeść potrzebował!

U Świętego Brunona dla tych dzieci i szkółki trzymał się chociaż proboszcza miał

niechętnego i wikariusz usiłował go stąd wypędzić, obawiając się, aby mu miejsca nie zajął. Starał się kłaniając, posłusznym będąc, wyręczając pozyskać sobie łaski, ale mu z trudnością się przychodziło tu utrzymać. Wszyscy się go lękali.

Ubóstwo, które otaczało biednego kapelana, Płazie mniej się wydawało może straszny, dlatego że on sam na Niżu długo żył w najostrzejszych w świecie warunkach; tyle tylko, że wódka stała za pociechę. Jednakże zdumiał się rozglądając.

— A, ojciec Jacusiu — zawołał — jakże tu koło ciebie chudo i biedno!

— Zmiłuj się! — odparł Stoczek. — Ja więcej nie potrzebuję! Duchownemu nawet nie godzi się mieć ani pożądać zbytku, ubóstwo jest kondycją naszą. Byleby mnie tu w tej izdebce do końca żywota spokojnie pozostawili, ja się niczego nie dobijam.

Zaczęły się tedy pytania i odpowiedzi obustronne; Płaza był szczęśliwy, że się zwierzyć mógł otwarcie, bo Jacusia tak pewnym był, jak samego siebie. Księżyna słuchał, dając oznaki podziwienia i politowania. Nie mógł w końcu zrozumieć tego na żaden sposób, jak polski szlachcic mógł tak skozaczeć, ażeby go aż w poselstwie poufnym wyprawiano, ani tego, że Płaza, raz tu powróciwszy, znowu miał dobrowolnie na Niż jechać. On sam, o sobie mówiąc, za wszystko Panu Bogu dziękował i cały życia ubożuchnego i nędznego przebieg uważał za szereg cudów łaski bożej nad sobą.

— Patrzajże, mój miłościwy Lasoto — kończył — co to za szczęście dostać się tu, gdzie tych sierotek tyle, duszyczek niewinnych, mogę Bogu zachować, oświecić i pokierować tymi biednymi! Czym ja się kiedy mógł tak dostojnego powołania spodziewać!

— Ależes ty stokroć lepszego wart — wołał Płaza — i tylko niepoczciwość ludzka może tobą tak poniewierać! Trzeba się starać wyjść z tej dziury.

Stoczek oświadczył stanowczo, że o tym ani myśli i że dla niego oderwanie się od szkółki byłoby największym nieszczęściem, a jedno czego pragnął, to żeby szkółkę można podźwignąć i dzieciom pomoc jakąś zapewnić.

Płaza, który się co krok tu przypatrywał niesłychanym wspaniałościom tysięcy kosztującym, oburzył się.

— Na pałace i zbytki toż tu krocie idą, a na uboż i uczynki chrześcijańskie grosza nikt nie da. I ma to

Pan Bóg błogosławić?

Z tych słów można już zmiarkować, jaki kierunek przybrał umysł Płazy w ciągu tych kilku miesięcy pobytu w Warszawie. Odezwała się w nim miłość dla kraju i obyczaju, ale zarazem oburzenie przeciwko zepsuciu, jakie widział na każdym kroku. Umysł jego męźniał i coraz widział dalej. Od Kozaków, z którymi żył, miał teraz wstręt, ale więcej jeszcze obawy, aby te kupy dzikich ludzi, karne, spójne, nie potrzebujące do życia nic nad niezbędnie konieczne, nie wzięły kiedy góry nad szlachtą rozmiękłą, zniewieściałą, niesłuchanie gadatliwą i wszystką siłę swą szafującą na słowa.

Znalezienie Stoczka, z którym mógł spędzić godziny długie na poufnych rozmowach, prawdziwym dla niego było błogosławieństwem, a ksiądz najlepszy na niego wpływ wywierał. Nie mogło jednak to obcowanie z księżyną ująć baczości Parfena i Kozak w końcu spytał Płazę, co on robi tam u Świętego Brunona z tym odartym klechą.

Otwarcie mu powiedział Lasota: „Był moim szkolnym towarzyszem i służką, poczciwy człowiek, lubię go... a ten przecie nikomu być strasznym nie może”. Parfen pomyślał, że Lach zdziecinniał.

Z trudnością przyszło Płazie uprosić i namówić Stoczka, aby czasami go odwiedzał. Ksiądz chwili wolnej nie miał. Zastępował proboszcza i wikarego u wszystkich ubogich chorych, umierających, na pogrzebach i chrzcinach; pilnował swej szkółki, a potem modlił się i na modlitwę zawsze znajdował, że mu czasu pozostało za mało. Jednakże kiedy niekiedy, po kilka dni nie widując czasami Płazy, przybiegał niespokojny Stoczek dowiadywać się o niego.

Z Wijurskim, z którym razem do Warszawy przywędrował, Płaza w pierwszych tygodniach widywał się czasami; postrzegł jednak, że ten Radziwiłłowski służka nadto ciekawy był, posądzał go o jakieś tajemnice i dobyć ich z niego próbował, więc począł go unikać.

W powietrzu chodziły wówczas jakieś głuche domysły spisków.

Wznowiło się na inny sposób to, co się działo przez czas bardzo długi za panowania

Zygmunta III: posądzano króla i jego towarzyszków o frymarki koroną, o zamachy stanu; teraz znowu Władysławowi IV przypisywano knowania jakieś na własną rękę, bez wiedzy

Rzeczypospolitej. Było w tym coś burzliwego ducha szlacheckiego, lecz przyznać też trzeba, że w obu tych razach podejrzenia niezupełnie były bez podstawy. Zygmunt w początkach panowania

istotnie się zrzec chciał korony na arcyksięcia Ernesta, a Władysław LV aż do cesarskiej korony sięgał ambicją, a w ostatku przynajmniej chciał być pogromcą pogan i wygnać ich z Europy, a część spadku po nich zagarnąć.

- Musieli się poufni druhowie królewscy zdradzać lub sam król nie dosyć był ostrożnym, a

na ostatek krzątanie się jakieś było zbyt widoczne, które myśl króla zdradzało. Szlachta szemrała, a nawet panowie senatorowie, przed których znaczniejszą częścią taił się król, domyślali się i gotowali stawić opór.

Wtajemniczonych było niewielu oprócz Ossolińskiego. Kazanowskiemu nie było to

tajemnicą, bo król nie mógł się przed nim taić z niczym, ale on do spraw politycznych niechętnie się miewał. W duszy był przeciwny wszystkiemu, co spokojne, pańskie, wspaniałe i wygodne życie mogło zamącić. Wyrzucał przyjacielowi królowi tę ambicję nienasyconą.

Lecz w królu było dwóch ludzi: jeden, który się godził doskonale z sybarytą Adasiem,

drugi, który potrzebował chwały, wielkości, blasku.

Królowa jechała już do Polski. Przychodziły ciągle wiadomości o niej i o pani posłowej,

marszałkowej de Guebriant, która dodaną była od króla Marii Ludwice i towarzyszyła jej do

Warszawy. Wszędzie po drodze przyjmowano ją z należnymi honorami i w Polsce też sposobiono się na wspaniałe powitanie. Niektórzy z panów wedle tradycji już gotowali pułki całe, oddziały, seciny i półsetki ludzi różnych broni, strojnych i zbrojnych przepysznie, dla wystąpienia z nimi.

Jedni po drodze, inni w Warszawie mieli ją potykać.

Król w początkach miał na spotkanie wyjeżdżać do Gdańska, czyniono ku temu

przygotowania, ale podagra go trzymała w łóżku, a przynajmniej o dłuższej podróży zimą myśleć nie dozwalała. Niecierpliwy też w początkach widzenia zaślubionej, z wolna Władysław dzięki zabiegom, aby go rozrywać w domu, ostygł.

Zawsze jednak jeszcze utrzymywało się to, iż wyjechać miał koniecznie na spotkanie, a

książę Karol, brat królewski, mu towarzyszyć. Choć nie bardzo ochotnie, posłusznym być musiał

Władysławowi.

Z przyrodnych braci króla był on jednym z najznośniejszych mu, jeśli nie z najulubieńszych.

Z Janem Kazmierzem, dziwaczny, zmienny, w postanowieniach niestałym, w obejściu się

niemiłym, król się nie mógł nigdy ani zrozumieć, ni zbliżyć do niego. Przekonał się po próbach wielu

niefortunnych, że z niego trudno będzie statecznego uczynić człowieka; sądził go umyślowo ograniczonym i dziecinnym.

Karol był całkiem innym. Z powierzchowności niewiele przyjemniejszy nad Jana

Kaźmierza, chudy, żółty, niezręcznych ruchów, milczący, niekiedy wybuchający gwałtownym gniewem, skąpy, księżę biskup zamykał się ze swym kapelanem w ogródku, pracował około uprawy kwiatków, modlił się, rachunki pisał, grosza oszczędzał i wiódł życie zamknięte i surowe.

Nie można mu było odmówić jednak pewnego ciągu i ładu w prowadzeniu się, powagi i

nieskazitelnych obyczajów. Nie umiał sobie pozyskiwać przyjaciół i miał ich niewielu, ale nie narażał się też nikomu. Z Władysławem byli zgodni, ale na zimno, charaktery, temperamenty, sposób życia ich dzieliły.

Rój ten kobiet, który wszędzie otaczał króla, dla niesłuchanie surowego biskupa,

rumieniącego się na sam widok kobiety, był nieznośnym. Prześladowano go zawczasu tym, że gdy od króla będzie przodem wysłany na spotkanie Marii Ludwiki, wedle mody francuskiej zmuszony zostanie w twarz ją pocałować. Biskup z furią oświadczył, że choćby się nie wiedzieć na co miał

narazić, nigdy w życiu tego nie uczyni.

Oprócz obawy, aby nie był zmuszony dać lub odebrać pocałunku, księżę biskup gryzł się i

tym, że na przyjęcie wystąpić będzie musiał kosztownie, a każdy wydatek był dla niego

nieszczęściem. Skarżył się, że mu jego biskupstwo nic nie przynosiło.

Taki był stan umysłów na dworze, który w ogóle na przybycie nowej pani niezbyt chętnym

okiem poglądał, gdy jednego dnia — było to jakoś wprędce po Nowym Roku — Płaza powracający do domu (stał zawsze u Bieleckich, w rogu Piwnej ulicy) spotkał się z malowaną twarzą swoją gospodyni, która biegła po izbach, wyglądając męża bardzo niespokojnie, i była rozdrażnioną jak nigdy.

— Nie widziałeś waćpan męża mojego?! — zawołała napadając na wchodzącego.

— Nie.

— Skądże idziesz?

— Z miasta.

— Nie słyszałeś nic?

— Ja — odparł spokojnie Płaza — dziś tak dalece żadnej nowiny godnej powtórzenia nie pochwyciłem na mieście. Stało się co?

Bielecka była cała w ogniu. Tupiała nóżkami, rzucała się, ciekawość jej była do najwyższego stopnia rozgorączkowaną.

Ręce szeroko rozkładając, krzyknęła za całą odpowiedź:

— Na zamku... u króla, przyszła jakaś wiadomość... tajemnica... ale wszystko do góry nogami wywrócone... Coś okropnego, niespodziewanego się przygodziło!... Wiem tylko, że kurierem z listami jakimiś Francuz nadbiegł, że królowi je do własnych rąk oddał, a potem... zawrzało i zagotowało się jak w kotle...

Godzina była obiadowa, pan Bielecki nie nadchodził. Jejmość wpadała w coraz niebezpieczniejsze rozdrażnienie; nic w świecie ją nie mogło mocniej rozgorączkować nad tajemnicę jakąś, która by dla niej była niedostępna. Nawykła była natychmiast i pierwsza wiedzieć, co się działo na zamku.

Opóźnienie pana Łukasza miało swe znaczenie, potwierdzało ono wiadomość o czymś tajemniczym, co go mogło zatrzymać. Wprawdzie i wiele innych kłopotów miał teraz na głowie Bielecki, gdyż mu nie dawano na kuchnię pieniędzy i próżno się ich domagał, tak że o kredyt się starać musiał, ale to były sprawy powszednie, dla których opóźniać się nie potrzebował.

Południe jak dawno minęło i otrąbiono je na wieży ratuszowej, gdy nareszcie nadbiegł Bielecki. Żona go już na wschodach witała gradem wymówek.

— Gadaj że, co się stało na zamku! — poczęła sypać. — Król odebrał jakieś listy, powiadają, że musiało być w nich coś nadzwyczaj ważnego...

Bielecki palec położył na ustach.

— Kobieto — zawołał — milczże, kiedy chcesz być cała! Cicho... Nikomu o tym mówić nie wolno. Nikt nie wie, co to jest.

Bielecki wszedł z tym do izby, w której oczekiwał Płaza, ale ten zbytniej nie okazywał ciekawości. Jejmość rwała męża za rękaw od sukni.

— Mówże, co wiesz!

Szafarz obejrzał się, zniżył głos i zaczął z miną tajemniczą: — Przyjechał jakiś Francuz z listami wprost do króla — rzekł — Bóg wie od kogo, ale domagał się, aby je do własnych rąk pańskich mógł oddać, tak że go w końcu do sypialni wprowadzono, bo król swoim zwyczajem

dotąd w łóżku.

— No i cóż? Co?! — wołała Bielecka.

— Oddał listy, król je, słyszę, Pacowi kazał rozpieczętować, a co potem się stało, żywa

dusza nie wie, ani od kogo one były, ani co zawierały. Król po przeczytaniu blady miał być jak ściana i trzął się z gniewu. Posłano natychmiast po Kazanowskiego. Zamknął się z nim na parę godzin, nie kazawszy puszczać nikogo. Kazanowski wyjechał jak zbity... Pac chodzi zasępio, od nikogo się nic dowiedzieć nie można. Królowi zaraz od tego wzruszenia gorzej być poczęło.

Przywołano doktora, obiadu jeść nie chciał.

— Ale cóż to może być? Co?! — zawołała Bielecka. — Ja natychmiast po obiedzie biegnę

do Bietki, bo do Amandy wątpię, żeby się można docisnąć. One coś wiedzieć muszą.

— Nikt nic nie wie! — przerwał pan Łukasz. — Nikt, a ci, co wiedzą, milczą, jakby im usta zamurowano.

— Przecież na zawsze to tajemnicą pozostać nie może — poczęła żywo gospodyni. —

Jeżeli to króla tak dotknęło, wiadomość musi być ważna, toć się nie utai... Ale co to może być? Co to może być?

— Już to samo, że Francuz listy przywiózł, i to, słyszę, wprost z Francji, a z takim

pośpiechem — rzekł Bielecki — dowodzi, że się to tyczy królowej, a nam wiadomo, że ona już być musi blisko Gdańska.

— Więc to nie od niej listy? — zapytała Bielecka.

— Nie wiadomo, nic nie wiadomo — dokończył gospodarz.

— Ta jedna rzecz pewna — wtrąciła jejmość — że rzecz się tyczy królowej, a druga, że ten posłaniec dobrego nic nie przyniósł, bo z dobrem się nie ma co taić.

Bielecki się zadumał. Niedostatek pieniędzy w skarbie myśli jego inny nadawał kierunek.

— Najprędzej to poseł przywiózł, że za królową posagu nie dadzą, a my tu jak kania dżdzu

tego złotego czekamy. Mówili o dwóch, o trzechkroć stu tysiącach talarów... Kto wie, może oprócz klejnotów nic nie wiezie.

Bielecka potrząsnęła głową.

— A — zawołała — u ciebie tylko pieniądze na myśli! Nie, król się musiał co do posagu zawczasu zabezpieczyć, to coś innego...

Bielecki usiadł do stołu, bo krupnik ostygł.

— Nie odgadniemy — rzekł.

Jejmość tak prawie jak nie jadła. Ciekawość ją paliła okrutna, ale pocieszała się tym, że zaraz od stołu wstawszy, pobieży na zamek i choćby spod ziemi zakopaną tajemnicę tę dobędzie.

Przyśpieszono więc obiad; gospodyni pierwsza wstała od stołu i nie zważając na porę przykrą, pobiegła natychmiast na zamek. Płaza nie wychodził tego dnia z domu, Bielecki także.

Doczekali się więc późnym wieczorem powrotu pani, ale weszła do nich z taką twarzą sfałdowaną i zmienioną, milcząca, zła, że mąż jej pytać o nic nie śmiał. Po chwili dopiero Płaza szepnął, czy się o czym nie dowiedziała.

— Tyle tylko wiem — rzekła — że to rzecz niemałej wagi, ale z sypialni króla nikt nic nie

wyniósł. Pac się zaklina, że nie wie nic. Chodzą wszyscy, jakby największe jakieś nieszczęście ich spotkało. Kazanowski, gdy od króla wyjeżdżał, nikogo nie widział, do nikogo się nie odezwał.

Francuza, który listy przywiózł, natychmiast zabrano i odprawiono precz, tak że od niego się nie mógł nikt dowiedzieć, co i od kogo tu przynosił.

Bielecka ruszyła ramionami.

— Wszystko to nic — dodała — bo żeby jak taić chcieli, szydła w worku nie schowają...

Tylko złość bierze czekać i nie móc nic odgadnąć.

Król wieczorem księdza Pstrokońskiego kazał do siebie przywołać; z tym też siedział zamknięty, ale szeptali po cichu.

Można sobie wystawić, z jaką niecierpliwością Bielecka wyglądała dnia następnego, w

którym spodziewała się odwiedzin Bietki, a ta jej coś przynieść mogła. Nadeszła ona w istocie, ale zaraz od progu oświadczyła, że nie wie nic.

Król przez całą noc na podagrę tak cierpiał, że krzyki jego słyhać na zamku było.

Mówiono, że niepodobieństwem jest, aby naprzeciw królowej mógł wyjechać i że pewnie tylko wysła brata i kanclerza Radziwiłła, a może i innych panów. Mówiono o Denhofie, wojewodzie pomorskim.

Bielecki także z zamku przyniósł potwierdzenie tego, co Bietka opowiadała. Dodawał, że nader przykre jakieś usposobienie panowało w kole otaczającym króla najbliżej. Kazanowski siedział długo sam na sam z nim. Pac wszystkim powtarzał, że on nie jest wtajemniczony, ale że się domyśla, iż przywiezione listy tyczyły się królowej.

Bielecka nadaremnie sobie głowę łamała. Ani trzeciego, ani czwartego dnia z zamku nic nie wyszło, co by się domyślać dozwalało treści tych listów, które takie uczyniły wrażenie, a wprędce takim milczeniem i tajemnicą pogrzebione zostały.

Płaza wnosił, że musiała być rzecz wielkiej wagi a niepomyślna, gdy tak się z nią ukrywano.

Tymczasem zaś, ponieważ król zdawał się tym więcej potrzebować rozrywki, Pac biegał za

Bietką, która i jego, i króla, igrając sobie z nimi i śmiejąc się, wodziła, na próżno im czyniąc nadzieje. Dziewczę przed Bielecką nie taiło tych zabiegów, jakie wojewodzie czynił; przenikało doskonale ich cel i nie okazywało najmniejszej ochoty paść ofiarą fantazji chwilowej pana.

Z drugiej strony panna Amanda, która czyniła niejake nadzieje starającemu się o nią

Czartoryskiemu, iż za niego wyjdzie, znowu zmieniała usposobienie, jak gdyby miała nadzieję nie tylko się na swym stanowisku utrzymać, ale nawet zdobyć jeszcze ważniejsze.

Pac powiadał, że przed przyjazdem królowej i rozpatrzeniem się w tym, jak król z nią żyć będzie, nic się na dworze nie zmieni.

Lekko sobie jakoś szacowano nową panią.

ROZDZIAŁ VIII

Listy, które tak wielkie na zamku uczyniły wrażenie, iż w kilka dni potem jeszcze się ono zatrzeć nie mogło, pomimo wszelkich usiłowań ciekawych i interesowanych dworaków

pozostawały dotąd tajemnicą. Domyślano się najdziwniejszych rzeczy, zmyślano na rachunek ich historie osobliwe, nikt jednak właściwie nie wiedział nic oprócz może Kazanowskiego i księdza Pstrokońskiego. Król chmurniejszy niż kiedy, niespokojny, chwilami niecierpliwiący się, leżał

ciągle chory, prawie przez cały dzień nie ruszając się z łóżka, czasem tylko do syna i Amandy rozkazując się nieść z krzesłem przez pokoje. Ale i piękna ulubienica króla, która miała nad nim pewną władzę dawniej, teraz go rozweselić nie mogła.

Postrzeżono też, że o podróży królowej, o przyjęciu jej król teraz mówił niechętnie i zdawał się niepokoić więcej niż cieszyć zapowiedzianym przyjazdem, składając chorobą swą, która mu ruszyć się nie dozwalała. Mówił o tym nawet niechętnie.

Pac, który najmniejszą rzecz miał na uwadze i wnioski wyciągał z drobnostek, po cichu zawiadomił pannę Amandę, którą i pozyskać sobie starał się, i zdradzał zarazem, że wizerunek przyszłej królowej, który zawsze stał na stoliku przy łóżku, odwrócony znalazł i odsunięty.

Ani na chwilę teraz nie widziano króla rozweselonego, choć wszyscy go znali, że rozrywki potrzebował i dawniej w najcięższych momentach jej szukał. Pac na próżno przynosił plotki i powtarzał koncepty dworaków, król ich nie słuchał. Pograżonym był w sobie i przybitym. Jedno tylko jeszcze ożywiało go chwilowo, to gdy z cekhauzu starszy lub z nowozaciężnych wojsk

cudzoziemiec jaki mu przychodził zdawać sprawę z postępu, jaki formowanie pułków czyniło.

Niestety i ta pociecha goryczą była zaprawna, gdyż do ostatniego grosza niemal wyczerpały się króla zasoby osobiste, kredyt nawet na te kosztowne werbunki, a każdy prawie z dowódców przybywał z żądaniem żołdu i pieniędzy na dalsze zaciągi.

Parę razy przypuszczony do króla poseł wenecki, Tiepolo, Włoch bardzo giętki, zręczny, wymowny, umiejący się przypochlebić, obiecywał wprawdzie złote góry, prawił o potędze i bogactwie swej Rzeczypospolitej, ale gdy szło o pieniądze inaczej ich nie obiecywał, jak pewnych rękojmi żądając i formalności takich, iż wiele czasu na nie trzeba było wyszafować.

Tymczasem i narady z Włochem, i sprawy cekhauzu, pułków nowych, broni, prochów niepokoiły już ludzi; z trwogą sobie szeptano:

— Król się sposobi do wojny.

Wśród tego niepokoju i zachmurzenia na dworze nie mające nic do czynienia niewiasty, poczynając od panny Amandy, a kończąc na pięknej, żwawej, śmiejącej się i roztrzpiotanej Bietce, wysilały się na rozwiązanie zagadki, co zawierały i od kogo były te listy, które na króla tak ogromne uczyniły wrażenie.

Do najciekawszych i najniespokojniejszych należała pani Bielecka, która niegdyś na dworze

sama zajmowała miejsce faworyty i choć je straciła, zawsze królem i jego serdecznymi sprawami żywo się bardzo zaprzątała. Nie mogąc nic dojść sama, dawała skazówki Bietce, udzielała jej rad, a dziewczę bawiąc się tą tajemnicą, biegało nieustannie z zamku na Piwną ulicę i odwrotnie.

Płaza, który z oka dziewczęcia nie spuszczał, uroiwszy sobie, że ono jego zgubioną córką

być musi, w czym go podobieństwo rysów, głosu, charakteru i owo znamię jak ziarnko pieprzu utwierdzało, prawie się nie oddalał z domu, czatując każdym razem na Bietkę, niespokojny.

Wspomnieliśmy już, że to jego zajęcie się Bietką pani Bielecka sobie tłumaczyła jako

skutek wcale innego uczucia, którego się Płaza wstydził może lub je chciał do czasu ukryć. Bietka zaś tak dobrze bawiła się Płaza, jak Pacem, Platenbergiem, koniuszym króla, gładkim też chłopcem, który koło niej się kręcił, i wielu innymi dworzanami.

Rozrywało ją też szpiegowanie na wspólny i pod kierunkiem Bieleckiej. Po kilka razy na dzień przylatywało dziewczę z doniesieniami: Król to powiedział... Kazanowski się z tym dał słyszeć...

Przygotowania do drogi do Gdańska zwolniały... Królewicz Karol ma się podobno wybrać przed królem itp. Bielecka potem wszystkie te plotki i posłuchy ucierała razem w swej główce

niespokojnej jak przyprawy w moździerzu i dalszych instrukcji udzielała Bietce.

Ile razy dziewczę przybiegło na Piwną ulicę, nigdy Płaza nie chybił, żeby choć nie

przywitać jej, nie zaczepić, nie zagadać. A że często do tego łączyły się małe podarki, to złotem szyte trzewiczki, to turecka lub perska chusteczka, to łańcuszek wenecki, to pudełko słodczy, które Bietka lubiła, choć stary gach (jak go zwała) był jej obojętnym, nie uciekała od niego, drażniła, rozmawiała.

Tak teraz Płaza po kilka razy na dzień ją chwycił, nim Bielecka mogła z kuchni wyjść do

niej albo ją do siebie zaprosić. Znajomość coraz się poufalszą stawała, bo Bietka miała naturę taką, ciekawą ludzi i niepłochliwą. Czowała w sobie siłę i nie obawiała się ich wcale.

Płazy w końcu żał się jej zaczynało robić. Zmagał się na podarki, stawał czulszym coraz, nie zrażało go nic. Bietka więc postanowiła przy pierwszej zręczności rozmówić się z nim otwarcie, aby sobie próżnych nie roił nadziei. Była pewną, że się z nią chce żenić, a choć Bielecka

zapewniała, że bogaty być musiał i twierdziła, że stary a majątny mąż najlepszy, na tę jej wiarę nie dawała się nawrócić.

Dnia tego Bielecka się jeszcze malowała, gdy nadeszła Bietka; przy tym zaś wielkim dziele

nawet przyjaciółkom wstęp do niej był wzbroniony i Bietka czekać musiała. Natomiast wybiegł

naprzeciw niej Płaza.

— A, że też wy! — rozśmiała się widząc go. — Czatujecie na mnie jak myśliwi na słomkę.

— Nie mylisz się, moja śliczna panienko — odparł Płaza — gdy jeden dzień was nie widzę, tęskno mi za wami.

— Ano, mój poczciwy stary — odparło dziewczę swawolnie — przejrzyjże się też w lustrze i powiedz, do czego to podobne, żebyś ty szalał za mną? Ja ci to dawno chciałam powiedzieć, że gdybyś nie wiem jakie krocie miał, nie pójde za ciebie, tak jak nie pójde za nikogo, jeśli go nie pokocham.

— Alboż ja kiedy mówiłem wam — przerwał Płaza — że się żenić chcę? W istocie szalonym bym był, gdybym myślał o tym.

— No, więc gorzej jeszcze — zaśmiała się Bietka — bo chcesz mnie chyba uwieść i kupić, a mnie ani nawet król ze swymi skarbami, ni w świecie nikt nie zbałamuci! Nie, nie!

— Ja też wcale o tym nie myślę — począł spokojnie Płaza — sto razy wam mówiłem, dlaczego się tak do was przywiązałem. Przysięgłbym niemal, że jesteś córką moją.

Bietka się tak śmiać zaczęła, iż się za boki brała i padła na krzesło chichocząc.

— Chcesz, bym temu wierzyła! — wołała. — A, stary bałamucie, niezręczna to sztuka!

— Posłuchajcież mnie choć raz spokojnie — odparł Płaza — a potem będziecie sobie myśleć, co chcecie. Macie wiek mojej zagubionej córeczki, mówicie, że wasza matka była z Krakowa, że mąż jej, popełniwszy jakąś straszną zbrodnię, uszedł i gdzieś zginął; na ostatek jesteś podobna do matki twej jak dwie krople wody i masz toż samo znamię, co ona miała na szyi.

Dlaczego mi nie chcesz prawdziwego swojego nazwiska powiedzieć?

— Bo sama go nie znam — rzekła Bietka — krewni Helmowie wzięli mnie na wychowanie, nie mieli dzieci, więc zwali mnie Helmówną, ale córką ich nie byłam. Potem, gdy zmarli, dostałam się na dwór królowej Anny na służbę.

— Wszystko więc się zgadza! — zawołał Płaza. — Musicie być córką moją...

— A, a, gdyby tak i było — zaczęła żywo Bietka — cóż z tego? Ja się dlatego ode dworu

wziąć nie dam i zamknąć gdzieś albo na wsi, albo w jakiej ciemnej i smutnej dziurze. Me, nie, ja potrzebuję powietrza, światła, życia!

Spojrzała na niego, Płaza miał oblicze posępne.

— Tak tak — dodał — jak ćma nocnica leciecie na światło, aby w nim popalić skrzydła.

— Nie bójcie się o nie — rozśmiała się Bietka — gdy dotąd są całe, a ja, wyrostkiem głupim będąc, nie popaliłam ich, teraz już się nie masz co obawiać o nie.

Dziewczę na chwileczkę jakoś spoważniało, co mu się trafiało bardzo rzadko, i po zadumie podniosła główkę, patrząc na posępnie siedzącego naprzeciw Płazę, który poczynał mrucząc:

— Nie może to być, aby ci Helmowie, którzy was wychowywali, gdy uczciwymi ludźmi

byli, nie zatrzymali dla was na pamiątkę coś po rodzicach, po matce. Miała ona klejnotów i fraszek dosyć, bom ja na to nie żałowałam, a ona lubiła aż nadto; po takiej fraszce lada, gdyby się znalazła, ja bym zaraz pewność miał, a wam ojca znaleźć...

Nie dokończył, gdy Bietce oczki się zaświeciły. Uderzyła w ręce białe.

— A, prawda, mam trzy pierścionki! — zawołała. — Helmowa mi mówiła, że należały do matki. Jeden jest obrączką.

— Czekał — przerwał Płaza, powstając niespokojny — na obrączce stoi napis: „Serce moje i twoje”.

Bietka krzyknęła: — A... złóż je Boże! Płaza się rzucił ku niej.

— Rok stoi potem.

Bietka patrzyła jakby przestraszona i zbladła.

— Ja wam powiem, jakie mogą być pierścionki inne — dodał drżąc całym. — Jeden może z okiem czerwonym z rubinu, dokoła perełki.

Dziewczę milczało.

— Drugi z węzłem, co się kęsa za ogon, a oczy ma z brylancików, albo...

Bietka spuściła głowę... Nastąpiło milczenie długie.

Nie chciała jeszcze przyznać, ale serce jej biło, gdyż się przekonywała, że w istocie ojca znalazła w

tym nieznanym a dosyć dotąd wstrętliwym sobie człowieku. Wiedziała, jakie

ojcowstwo daje prawa, lękała się, aby ten starzec nie zmusił ją opuścić dwór, jechać za sobą, porzucić wszystko, do czego była nawykłą. Serce do niego nie ciągnęło jej wcale, a jednak coś powiadało, że wyrzec się rodzica było grzechem, że powinna się poddać losowi.

Płaza czekał na słowo od niej, a spostrzegł tylko, że się jej łzy z oczów polały.

— Dziecko moje — zawołał — czegoż ty płaczesz? Nie miałaś na całym świecie nikogo,

byłaś sierotą, Pan Bóg ci daje cudem odzyskać ojca, bo to cud jest łaski Jego, a ty płaczesz? Byłaś na łasce ludzi, teraz możesz jej nie potrzebować. Ojciec twój ma tyle, że cię i wyposażyć może, i przyszłość zapewnić.

Co się działo w duszy dziewczęcia, Bóg jeden wie; siedziała długo jak marmurowa, tylko

łzy kroplami jej z oczów padały, potem powoli, z obawą jakąś wyciągnęła rączkę, pochwyciła namulaną dłoń Płazy i do ust ją przycisnęła, nie mówiąc nic. Stary pochwycił ją za główkę i rozpłakał się też całując.

W tej chwili właśnie wpadła, jeszcze włosy poprawując, Bielecka i zobaczywszy ich całujących się, aż krzyknęła bijąc w dłonie.

— Winszuję! Winszuję!

Odwrócił się Płaza poważnie.

— Bóg zapłać — odparł cichym głosem — córkę odzyskałem.

— A! tak! tak! Nie ma wątpliwości — zawołała, rzucając się na szyję Bieleckiej, Bietka. —

Jest moim ojcem.

— Jakżeście wy doszli tego? — przerwała zdumiona jejmość. — To znowu coś osobliwego!

Bietka szybko jej rozmowę swą z Płazą powtarzać zaczęła.

Przez czas jakiś ogarnęło takie zdumienie Bielecką, że nawet o zamkowej sprawie zapomniała; na ostatek jednak powinszowawszy obojgu, wróciła do tego, co tu Bietkę sprowadziło.

— A na zamku co? — spytała.

— Głowę straciłam — zawołało dziewczę — nie pytaj mnie dzisiaj! Nie ma tak dalece nic,

król troszynę lepiej, ale o podróży do Gdańska już ani myśli; mówią, że wyśle Radziwiłła i księcia Karola, pojedzie Denhof a on sam kto wie, czy dalej się wybierze jak do Falent.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Gotowo później skończyć się na Ujazdowie! — wtrąciła Bielecką z przekąsem.

Rozmowa dalsza nie szła; wypadek, który sierocie ojca dawał, zbyt był ważny i zmieniał tak położenie, Bielecką miała tyle teraz pytań do zadawania, tyle rzeczy, którymi się żywo zajęła, iż o królu trochę zapomniała. Chciała wiedzieć: czy Bietka pozostanie u dworu? Co ojciec z nią uczynić zamierza? Czego ona sobie życzyła? itp.

Tymczasem dziewczę wszystkie te natrętne badania odparło jednym:

— Dajcie mi się opamiętać. Ja jakbym się na świat na nowo narodziła. Patrzę, patrzę na tego ojca i strach mnie ogarnia. Sama nie wiem, czego pragnąć. A, ja tak do tego życia od dzieciństwa nawykłam!

— Uspokój się — rzekł Płaza. — Pan Bóg, który taki osobliwy cud uczynił, że nas z sobą połączył, nie dopuści, aby to na złe wyszło. Będziemy o tym mówili, radzili, rozważali...

Pocałował ją w głowę.

— Tymczasem nie szczebiocz może na zamku — dodał — rób jak chcesz, ale się rozmyśl, co lepiej.

— A, mnie się także w głupiej głowie zawraca — odparła, przychodząc z wolna do siebie, Bietka. — Tymczasem ja na zamek, do służby powrócić muszę.

— No, to trudno, abyś tam przyszedłszy tajemnicę zachowała — dodała Bielecka. —

Rozniesie się to natychmiast i po zamku, i po mieście, a ręczę, że jutro na Skarżyszewie i w Ujazdowie o tym przekupki i pacholkiwie opowiadać będą, bo tu u nas w Warszawie aby kto piórko osmalił, pójdzie dym aż na przedmieścia.

Bietka zabrała się do wyjścia, a Płaza ją przeprowadził aż w ulicę, po czym co prędzej się przewdziawszy, najpilniej mu było biec do przyjaciela, księdza Stoczka.

Tym razem zastał go z z pauprami zajętego nad abecadłem i katechizmem, od których się on

niczym odrywać nie dał, poszedł więc do kościoła, bo go tknęło, iż Bogu powinien dziękować. Tu go też zastał ksiądz Stoczek, gdy chłopców swych rozpuściwszy, wolnym był na chwilę.

— Cud się stał — rzekł poważnie Płaza, ściskając go z przejęciem — dziękowałem Bogu.

Cud... Odzyskałem dziecko zgubione, nie jestem już sierotą...

I łzy mu się polały znów. Poszli razem do izdebki Stoczka, a tu Płaza opowiedział wszystko.

Stoczek o domysłach i przeczuciach wprzód już wiedział, uradował się więc niezmiernie wypadkami.

— Tak — rzekł — Bogu za to dziękować, bo i dziewczę z tej Gomory możesz wyrwać i ocalić, i sam też przez to innym stać się człowiekiem. Nie powracać ci już teraz do Kozaków.

Płaza głową zaczął potrząsać.

— Tak to ci powiedziec łącno — westchnął — ale kto ich zna, kto z nimi żył, ten nie może zbyć lada czym tej trudności, a to wielka, straszna trudność. Żyłem z nimi lat wiele, zwierzyli mi sprawę ważną, posłali z listami. Gdybym się im teraz pod ziemię skrył, dobędą mnie spod niej.

Chodzi tu za mną jeden jawnie krok w krok, a nie wiem, ilu potajemnie. Mają swoich wszędzie, bodaj w kancelarii króla. Umieją gdzie potrzeba stosunki zawiązać. Gruby naród, chłopstwo, mówicie, ale chytrzejszego na świecie narodu nie ma nad nich. Gdybym chciał tak wszystko porzucić, żywota bym nie był pewien; gdyby mnie ino posądzali, że mogę zdradzić, zabiją. A wyrzec się tak listów i wszelkiej z nimi družby, to tyle znaczy u nich, co zdradzić.

— Przecieżeście im się nie wpisali w poddaństwo — odparł ksiądz Stoczek — a opiekę tu jako szlachcic polski znajdziecie.

— Jako żywo — rzekł Płaza — bo mnie za morderstwo na banicję sądzono, a banicja nie zdjęta i może mi łeb uciąć, kto zechce, jeśli naprzód glejtu, a potem nie dostanę od króla łaski.

Westchnął Płaza.

— Dalej — rzekł — co tu z tym dzieckiem robić, które, prawda, piękne jest, serce ku sobie pociąga, ale na dworze czego to się nauczyło, do czego nawykło? Wziąć ją gdzie na wieś, to z tęsknoty zamrze. Możecie o tym słyszeli, com ja na sobie sam doświadczył. Gdy człowiek zmęczony wśród wrzawy i hałasu uśnie, uciszy się-li hałas, to się przebudzi. Tak z tą dziewczyną do wrzawy nawykłą: spokój jej dać i cichy żywot, nie wytrwa w nim.

Troska ojcowska już go ogarniała.

— Bóg z tobą — rzekł Stoczek pocieszając. — Z tego, coście mi mówili, wnoszę, że

dziewczę roztrzpiotane, ale zepsute nie jest. Mogło już do tego czasu siła nabroić, gdy ją ze wszech stron kuszono, przecież mówisz to i ty, i drudzy, że pozostała uczciwą... Nie ma więc czego rozpaczać.

— Ale niepokoju będzie dosyć — dodał Płaza. — Teraz wam i do tego się już przyznać muszę, żem w podróż ruszając, całego mojego mienia nie zabrał z sobą. Pozostało w pewnym miejscu zakopanych na Chortycy dosyć złota i klejnotów, które z łupów podziału na mnie przyszły.

Nie wiem sam, na ile to szacować, ale pewno nie mniej nad kilka złotych tysięcy. Muszę więc na Niż choćby dla tego skarbu powracać, a jak się stamtąd wydobędę? Ciągłe mnie podejrzewali, że chcę od nich odstać, nie spuszczą z oka. A na czas, gdy mi na Niż jechać przyjdzie, komu dziecko powierzyć? Jednych Bieleckich znam, ale prawdą a Bogiem jejmość dawna królewska faworyta, płoża niewiasta, dziewczęcia jej powierzyć nie można, bo cnoty nie ma za nic.

Płaza się ujął za włosy i począł je targać.

— Więc — dodał — jak z jednej strony jest za co dziękować Bogu, tak z drugiej troski niemało.

— Módl się no i Bogu ufaj tylko — dorzucił Stoczek. — Nic nie nagli, masz czasu się rozmyśleć.

— Jednej rzeczy się lękam — rzekł Płaza. — Baby języka utrzymać nie umieją, a Bietka nie jest wyjątkiem, ta też paple rada. Pójdzie zaraz ta pogłoska, że we mnie ojca znalazła, Parfen Kozak, który za mną chodzi, będzie ją miał, bo co się mnie tyczy, na to on łasy i chwyta. Padnie na mnie podejrzenie, ruszyć się krokiem będzie trudno.

Stoczek posmutniał.

— Prawda — rzekł — że się składają te sprawy twoje niełatwo dla ciebie, ale od czegoż łaska Boża? Myślisz, że trudno Bogu ciebie wydźwignąć z tej toni, gdy już dał znak, iż się opiekuje tobą?.

Płaza trochę odwagi i otuchy zaczerpnął od Stoczka, który nigdy nie rozpaczał, ale wyszedł od Świętego Brunona pomimo to jak pijany i musiał wstąpić do pierwszego szynku na gorzałkę, do której był nawykłym, aby nią się otrzeźwić wedle kozackiego obyczaju. Zaraz mu też po dwu kubkach jaśniej się i weselej zrobiło, bo miał nałóg do wódki i bez niej teraz żyć nie mógł.

Wyszedł z szynku na ulicę pasa poprawiając, patrząc na świat inaczej, wesół nawet był.

Myślał tylko o tym, że dziecko miał, że nie sam był, że przestał sierotą być.

Kroczył tak z Nowego Miasta na Stare, gdy z dala ujrzał idącego naprzeciwko siebie

Parfena. Kozak wiedział, iż on do Świętego Brunona co dzień niemal chodził, a że Płaza go unikał i starał mu się wyslizgać, Parfen tym usilniej zabiegał, aby się z nim spotykać.

— No, *batku* — odezwał się zbliżając — wam dziś dobrze z oczów patrzy, jak już dawno nie bywało. Czyby się nareście rozmyślili na Niż was odpuścić z odpowiedzią?

— Nie słychać o tym — rzekł Płaza.

— Jam się też dziwował — dodał Parfen — bo ja też wącham, kiedy temu czekaniu będzie

koniec. Mnie się już tu strasznie skuczy — westchnął — a i wam pewnie. Co tu za życie! Mnie te mury same ogromne, na które patrzę, już duszą. Spać w izbie co dzień, na koniu się nie móc wyhasać, głośno krzyknąć i za łby się wziąć też nie Iza... Co to za życie, pies by nie wytrzymał!

— A cóż ciebie tu wiąże? — odparł Płaza. — Niechże ja, muszę na listy czekać, a oni pono

na pieniądze czekają, bo próżne pisma wiedzą, że nie poskutkują... Ano wam tu nie ma czego się wędzić.

— Jakbyście wy nie znali — rozśmiał się Kozak — że ja po *prykazu* tu siedzę? Gdyby mnie atamańska wola nie trzymała na uwięzi, he, he, dawno by mnie tu nie było! Hasałbym ja po stepie albo się czółnem między ostrowy pławił.

— A tam — dodał, ciężko wzdychając — a tam moje mołojcy może z czajkami poszli na

morze, na szerokie sine morze, albo na carzyków tatarskich w Dzikich Polach łowy sprawiają, a mnie tam nie ma! A, Bóg jeden wie, co to kosztuje taką pańszczyznę sprawiać!

— Twoja pańszczyzna w dodatku — rzekł — nadaremna, bo ty mnie pilnujesz, a ja dozoru

nie potrzebuję. Juścić was nie zdradzę i z listy powrócę, wy to sami wiecie.

— Pewnie — mruknął Kozak — a zawsze bezpieczniej, gdzie dwu patrzy niż jeden. Kto

wie, co wam może przygodzić. Broń Boże nieszczęścia, jam tu na to, aby choć huknąć do swoich.

Ja waszym Lachom nigdy nie wierzę... Król nas potrzebuje, dlatego taki dobry, i buławy złożone, i chorągwie nam posyłać gotów, i bębny; ano, król tu nie gospodarz tylko... ledwie włodarz. Co oni by się jego mieli bać, on się ich boi, co on by nimi miał rządzić, oni rządzą nim.

Śmiał się Parfen.

— Kogo on tu oszukuje — mówił dalej — tego ja nie wiem. Wszak ci w biały boży dzień

działa, i prochy, i saletry do młynów wożą, Wołochów, Węgrów, Szlązaków ściągają, wszyscy na to patrzą i nikt nie spyta, za jakie to pieniądze. Poboru nie ma uchwalonego, wojny żadnej nie widać, z moskiewskim na pewno traktaty zawrą, choćby mu Trubczesk oddać przyszło... to się wie; z Turkiem niby pokój, nigdzie nic nie grozi oprócz tych rozbójników Tatarów, na których dosyć kwarcianych, a tu na gwałt wszystko się zbroi. Szlachta patrzy, patrzy jak kozioł na wodę, ano się w końcu spyta, co to jest? Będzie król musiał jak niepyszny pan tłumaczyć się, a może rozbrajać.

Rzucił ramionami Parfen.

— Króla bo wy za nic nie macie — przerwał Płaza — rozumny to pan i on sobie ze szlachtą

radę da i z panami. Panów ma w kieszeni, a szlachta jak się wykrzyczy, rozjedzie się do domów i cicho będzie. Król zaciągów nie rozpuści.

— A, a! Jać to wszystko wiem po troszę — dodał Parfen —

ale wy tego nie słuchacie, co ja po mieście. Szlachta mu wojny nie pozwoli.

— A jak mu ją wypowiedzą? — wtrącił Płaza.

— Myślicie, że Turek głupi i też nic nie wie! — rzekł Kozak. — Widzą i słyszą, że tu poseł wenecki siedzi, że z carem na nich zmowa, i będą wojnę poczynać? Nie lepiejze poczekać a sięść Lachom na kark, gdy sami będą?

Płaza nie miał ochoty dalej rozprawiać z Parfenem. Zbliżali się też ku jego kwaterze, pożegnał więc Kozaka: „Z Bogiem!” Ten okiem go nieufnym zmierzwszy, odszedł powoli.

W domu Bielecki na progu witał go już powinszowaniem, bo o córce się od żony dowiedział.

— Widzicie — rzekł — to wam mój ten dom tak szczęśliwie posłużył. Nigdy byście bez niego dziecka nie odzyskali.

— Ja też wam z duszy wdzięczny jestem — rzekł, ściskając go, Płaza.

Wtem i sama jejmość nadbiegła z twarzą jak zawsze ozywioną i wesołą.

— Poczekajcie, poczekajcie — wtrąciła — niżeli sobie winszować będziecie! Dziecko, prawda, bardzo miłe i ładne, ale będziecie z nim utrapienie mieli, bo samowolne i kapryśne.

Niełatwo jej się będzie poddać władzy ojcowskiej, bo ona tam na dworze już nawykła była nie

słuchać nikogo, a umiała się tak ludźmi posługiwać, że jeden ją zawsze bronił od drugich, ona zaś nikomu się zawojować nie dała.

Płaza się uśmiechnął.

— Nie obawiam się — rzekł — sprzeciwiać się jej nie będę, bo nie spodziewam się, ażeby złego chciała. Samiście to poświadczyli, że dziewczę stateczne.

Bielecka się rozśmiała.

— Stateczna! — zawołała. — Nikt nie przeczy, ale tak sobie poczyna czasami, jakby za niestateczną uchodzić chciała. Z mężczyznami śmiała do zbytku i nic się ich nie obawia.

Zamilkła jejmość i po chwili dodała:

— Dla niej to szczęście wielkie, że was znalazła, ale dla was frasunku będzie dosyć.

Myślicie ją zostawić u dworu?

— Albo ja wiem — rzekł cicho zadumany Płaza — wszystko to jeszcze tak świeże, iż się człowiek nie opamiętał.

— Ja bym ją ode dworu wzięła — mówiła dalej Bielecka. — Prędzej, później zawsze tam wszystkie źle kończą. Począwszy od króla, mężczyźni na dziewczęta polują bezwstydnie i nie zważają na nic. Za Bietką biega ich mnóstwo, począwszy od Paca. Panna Amanda nie bardzo ją lubi, bo jej świeżego buziaczka zazdrości, i choć sama od niej może piękniejsza, ale zna to dobrze, że młodość ma urok, którego i piękność nie daje.

— Gdybym ją ze dworu chciał zaraz wziąć — rzekł Płaza — dokądże z nią? Nie mam

jeszcze ani domu, ani łomu, albo się trzeba okupić tu w Warszawie, lub na wsi... Tymczasem nim się dach znajdzie, nie mam się gdzie z nią podziać. Wreście ja wam to powiedzieć mogę, iż na stały pobyt teraz zostać nie wolno mi, muszę wprzód na kresy powracać, gdzie się jeszcze moich

węzełków trochę zostało... I jam niewolny. Dziewczyny z sobą zabierać ani myśleć.

Potał się po głowie.

— Rozmówię się z nią — dokończył trochę frasobliwie — ba tylko co jej nie widać, przyjdzie pewnie.

Po obiedzie nad wieczór nadbiegła w istocie Bietka, zarumiemiona, roztrzepana,

niespokojna. Przyniosła ze sobą pierścionki matki, nad którym Płaza zapłakał. Usta się jej nie zamykały, była jak upojona w gorączce. Na dworze wszyscy już o tym wiedzieli, że znalazła ojca, ale nie każdy się temu radował. Sierotą była swobodniejszą, teraz się trzeba było na pana rodzica oglądać. Jedną może panna Amanda uradowała się wiadomością, przewidując, że Bietkę ze dworu wezmą, bo jej pod bokiem mieć nie chciała. Obie się nie lubiły od dawna.

Bieleccy oboje ojca z córką pozostawili na swobodnej rozmowie, którą też stary niebawem rozpoczął od tego, że życzenie swe wyraził, aby ze dworu ją odebrać.

— Nie mam cię dokąd wziąć — dodał — ale obmyśleć muszę i znajdę uczciwą rodzinę, u której będziesz mogła przemieszkać, dopóki ja nie powrócę, bo ja muszę jechać na kresy, aby stamtąd się już na zawsze tu przesiedlić.

— A nie mogeż ja przez ten czas na dworze pozostać? — zapytała Bietka. — Mnie przecie nie grozi tam więcej nad to co dotąd! Po co szukać przytułku? Mnie nie wypędzi panna Amanda choćby chciała.

— A po cóż masz tam być, gdzie z nieprzyjaciółką co dzień będziesz się musiała ucierać?

— spytał Płaza. — Panna Amanda nie lubi cię, ty jej.

— Nienawidzę przewrotnej — wtrąciła namiętnie Bietka — ale właśnie i dlatego chcę obok niej pozostać... solą w oku! Oczekują nowej królowej... Chyba Bóg niełaskaw, abym się ja do jej dworu i służby nie wśliznęła. Nowa pani przywiezie z sobą same Francuzice, które się tu nie będą umiały obrócić; potrzebują kogoś, ja się nastreczę, przypoehlebię, a pannie Amandzie wywdzięczę..

Zapaliły się jej oczki. Płaza posmutniał.

— Na co ci się to wszystko zdało? — odezwał się. — Do królowej Francuzki ty nie znajdziesz przystępu, bo do tego język potrzebny.

Rozśmiała się Bietka szczerząc zębki i ukłoniła ojcu.

— Nie sądźcie, tатku, żeby dziecko wasze tak było głupiuchne i wszystkiego zawczasu nie

obrachowało — odezwała się. — Jak tylko posłyszałam, że królowa Francuzka jedzie, poczęłam się języka uczyć u starego muzyka przy *capelli*, Francuza. Nie mówię ci ja ani ładnie, ani bardzo doskonale, ano lepiej niż panna Amanda, która tylko po niemiecku szwargocze wdzięcznie. Taiłam się i taję z moją francuszczyzną, ale ją mam, a nim królowa przyjedzie, co pewnie nie nastąpi aż w marcu lub kwietniu, ja jeszcze postąpię. Starego Francuza, od gęby sobie odejmując, karmię, kradnę dla niego wino, ale musi co dzień dobrze się ze *mną*, wymęczyć!

Zatarła rączki zwycięsko i spojrzała na ojca, którego ta wiadomość nie bardzo ucieszyła.

— Wszystko to dobre — odezwał się — ale i mnie o sobie daj pomyśleć. ”Mnie dwór nowej

królowej tak jest wstrętliwy, jak terażniejszy; Francuzów ja się za młodu napatrzyłem, płochy lud bardzo. A nuż mnie stąd przyjdzie lada moment ruszyć, nim nawet królowej się doczekamy? Za nic bym cię u dworu zostawić nie chcia! Z jednej strony prześladowanie tej Niemki, z drugiej zbyt wielkie łaski paniczów, oboje mi nie do smaku!

Począł głową potrząsać.

— A, nie, nie! Co innego trzeba obmyśleć.

Bietka przysiadła obok ojca i zamyśliła się także, a po chwili milczenia szepnęła mu do ucha:

— U Bieleckich mnie zostawić nie zechcesz?

Płaza milcząco dał znak głową przeczący.

— No, to jeszcze mam sposób jeden — zamruczała po cichu. — Jest u pani marszałkowej

staruszka Litwinka, starsza nad jej fraucymerem, bo tam panien wiele trzymają dla haftu, który jejmość lubi, siebie nim okrywając i po kościołach rozdając. Stara się zowie Mingajłowa, a dają jej tytuł ciwunowej. Poważna i stateczna niewiasta. Ta mnie jak własne dziecko kocha i mówi, że jej córkę zmarłą przypominam. Byłem poprosiła, weźmie mnie na czas do pani marszałkowej, która nie patrzy na to, ile panien chleb jej je. Jest go tam dosyć!

— Alećbym Mingajłowa poznać musiał i z nią pomówić — rzekł Płaza — bo choć tobie rad wierzę, aleś ty moda, trzpiot, a ja stare mam oczy.

Pocałowała go Bietka.

— Chcecie? Jutro, pojutrze zaprowadzę was do Kazanowskich pałacu — odezwała się. —

Przecież kiedy Bielecki wam zamek pokazywał królewski, to pałac marszałka pewno nie mniej godzien widzenia. Zamek może większy jest i izby ma szersze, i tron w nim stoi, i teatr wart widzenia, ale u Kazanowskich przepych i wspaniałość królewskiej równa, a wymysłów więcej jeszcze. Zgoda? Płaza głową dał znak przyzwolenia.

— Bądź co bądź — odezwał się — wolę już marszałka dwór z Mingajłowa niż królewski z panną Amandą, która ciebie nie lubiąc, na zgubę czyhać może.

—Od dawna — potwierdziła Bietka spokojnie — ale ja się jej nie dam. Sama nie wiem, Pan Bóg musi dawać małym ptaszętom to przeczucie, gdy nad nimi jastrząb krąży, i nam głupim dziewczekom, gdy źli ludzie się zasadzają, ale ja się i nie dawałam, i nie daję, i nie dam! Na wylot tych młokosów znam.

Zajrzała wtem przez drzwi Bielecka i chciała się cofnąć, ale Bietka naprzeciwno niej pobięła.

— Nasza rozmowa skończona! — zawołała. — Chodźcie. Trzeba mojego tatka rozweselić, bo mi się coś namarszczył, a ja nie chcę, aby dla mnie się frasował... Wolałabym mu pociechę przynieść z sobą.

Gospodyni ścisnąć ją i całować zaczęła.

— A, któż by się nie cieszył takim cackiem jak ty drogim!

ROZDZIAŁ IX

Stało się wedle woli i życzenia pięknej Bietki, która gdy raz czego zapragnęła, umiała to przyprowadzić do skutku.

Upредиła ona zaraz Mingajłową, że ojca znalazła i że z nim chcę ją odwiedzić, a razem pałac włoski pana marszałka mu pokazać. Tegoż dnia otrzymała odpowiedź, iż wszystko się jak najlepiej składa, bo marszałkowa była w odwiedzinach u bratowej, a marszałek na łowach, pałac więc cały stał pusty do obejrzenia.

Przez starego muzykusa, który ją potajemnie po francusku uczył, Bietka powołała za przewodnika do pałacu dawnego słuę Kazanowskich, który z nimi po Włoszech podróże odbywał, budowniczego ich i muzyka królewskiego, Jarzemskiego, który Warszawę całą doskonale znał, bo właśnie ją zabierał się wierszem polskim opiewać, o czym wszystkim, wszędzie i zawsze rozpowiadać lubił.

Dworak był ze krwi i temperamentu ów Jarzemski, lizun, pochlebca, ale człek zręczny i choć wszyscy się z niego i jego wierszydeł śmiali, on wszystkim umiał wyzyskiwać i na swą korzyść każdą rzecz obrócić.

Pracowity, ruchawy, niezmordowany, jednego dnia w kapeli grał, z dworakami i przybyłymi

panami jadł i pił, plany dworów rysował, wiersze składał, kobietom pieśni śpiewał i dworował, a zρέcznie się do podarków przymawiał każdemu z senatorów i magnatów, którego tylko napotkał.

Znał on ich wszystkich, choć nie wszyscy oni go znali, a tak się wśliznąć umiał do każdego, iż pozbyć się go nie było podobna. Oprócz tego u duchowieństwa, po klasztorach, gdzie w poście najlepszy stokfisz podawano, gdzie starym częstowano miodem, Jarzemski muzyki urządzał i do stołu zasiadał.

Bietka, która pięknoscią swą jednała sobie przyjaciół na dworze, nie mogła być dla Jarzemskiego obojętną, bo i nią się posługiwał.

Na ten raz ona go zamówiła sobie wzajem do posługi, na - co Jarzemski się zgodził ochotnie.

— Przeprowadzę! Pokażę! — zawołał. — Nikt w świecie, nawet sam pan marszałek

swojego pałacu lepiej nie zna nade mnie, za to ręczyć mogę. Panienska to wiesz, że ja go szumnymi wierszami opisałem... ale jak! Potomność się równie pałacowi, jak moim wier- szom dziwować będzie. Nie pominąłem nic, a jutro też dostojnemu rodzicowi waszemu okażę wszystko, nic nie zapomnę.

Gdy z rana około dziesiątej godziny do zamku przyszedł Płaza, ustroiwszy się nie dla siebie, ale dla córki, aby się go nie wstydziła, znalazł już ją i Jarzemskiego, który oczekiwał, zabawiając Bietkę rozmową, ale że zwyczaj miał najwięcej mówić o sobie samym i — „ja” — nieustannie mu na usta powracało, nie była ona bardzo zabawną.

Znajomość z panem Płaza łatwo została zawartą, przy czym Jarzemski zaraz przedstawił się

mu jako budowniczy, szczególnie w Ujazdowie od króla mający zlecone sobie nowe gmachy, jako muzyk, niepoślednie miejsce zajmujący w kapeli i jako poeta, który wiersze składał jak orzechy gryzł. Wszystko to milczącym podziwem przyjmował Lasota, kłaniając się temu mnogolicemu

mężowi, któremu tymczasem usta się nie zamykały.

Tuż obok Bernardynów kościoła i klasztoru wznosił się na pierwsze wejrzenie wielce

wspaniały pałac marszałka, cały miedzią pokryty, z gałkami złożonymi i wietrznikami herbowymi z herbem Grzymała, na który wskazując, Jarzemski asumpt z niego wziął do przypomnienia, jako jeden Kazanowski króla Kaźmierza pod Chojnicami ratował, jako drugi, Henryk imieniem, lat

dwadzieścia w Turcji w niewoli siedział, z której powrócił razem z onym Turkiem, co go za swego miał, i Turek potem u niego aż do śmierci pozostał.

Więcej też o rodzinie trudno było powiedzieć, bo o niej mało przed terażniejszymi pany

Kazanowskimi, którzy nagle urosli łaską królewską, słyszano.

Zewnątrz tedy ukazawszy i owe cztery wieżycy po rogach, które zamkową powagę pałacowi

dawały, i błyszczące okrycia dachów wysokich, jegomość pan Jarzemski zaprowadził do altany nad Wisłę, która w lecie w istocie, zielenią rozmarynów w naczyniach pięknych tu ustawionych okryta, mogła być zachwycającą i widok z niej się na okolice roztaczał wspaniały i rozległy, ale teraz, zimą, balasy kamienne, wschodki, ozdoby dachu, rzeźby, wszystko śnieg i lód okrywał. Na wiarę więc tylko przewodnika Płaza się zachwycać musiał. Wisła stała mrozem zdjęta, a poza nią śnieżne równiny, obielone lasy niewiele miały różności i wdzięku.

Ponieważ tuż z boku stał cekhauz, chciał Płazę do niego też prowadzić na oględziny

Jarzemski, aby armaty, muszkiety, zbroje, namioty, tureckie lupy, kopie złocone, dzidy, działka polne, hakownice, śmigłownice, rydle, motyki i lwie skóry rozpostarte szczegółowo ukazywać, ale Lasota, nie sądząc, aby to Bietkę zabawiać mogło, wymówił się od rozpatrywania zbrojowni.

— Pamiętajcie ino — rzekł, za rękę go chwytając, Jarzemski, któremu szło o to wielce, aby

potęgę Kazanowskich okazał w świetle jasnym — że cekhauzu tu w Warszawie nie ma nikt, tylko król jegomość, a pan marszałek drugi. Choćby na przykład Ossoliński swoją zbrojownię tak chciał

nazwać, nie można jej do naszej porównać — paplał dalej Jarzemski — a zowie ją naszą, bo choć jestem *ante omnia* królewskim sługą, ale panów Kazanowskich też być nie przestałem.

Ponieważ obok cekhauzu kuchnia stała, i tej nie chciał przeoczyć a. pominąć Jarzemski,

gdyż zdaniem jego nawet kuchnia Kazanowskich godną była oglądania dla osobliwych naczyń,

które ją napelniały, i dla takiego urządzenia jej, że stąd panny kuchenne nakryte misy wprost wschodkami przenosiły do jadalni. A że zdaniem Bietki do pokojów ochmistrzyni Mingajłowej

przez te wschody było na drugie piętro najbliżej, a od staruszki począć należało, mógł więc sumienny Jarzemski i kuchnię marszałkowską w całej jej okazałości Płazie przedstawić. Bo chociaż obojga państwa podówczas nie było w Warszawie, dwór ich liczny tak wykwitnie musiał być

karmiony, jak państwo sami.

Stara Mingajłowa przy pokojach, w których fraucymer się mieścił, czekała już na Bietkę.

Była to bardzo miła, łagodnie uśmiechnięta, srebrnowłosa staruszcza, której dobroć z

pomarszczonej, ale jeszcze pięknej twarzy patrzyła. Zaprosiła ona gości do swojego pokoju na mały spoczynek i przekąskę, którą już zastawioną zastali, a Jarzemski, nawykły nigdy chlebem i napojem nie pogardzać, wziął się zaraz do gospodarowania.

Płaza więcej zajął się samą gospodynią, która mu znalezionego dziecięcia wieszając, o jego własne dzieje ciekawie rozpytywała. Z tych naturalnie Lasota tyle tylko jej odkrył, ile mógł i przystało.

Gdy Płaza i Bietka zabawiali rozmową Mingajłową, a Jarzemski, po troszę się do niej

wtrącając tylko, pilno około szkła i misek chodził, ponieważ czasu dosyć upłynęło, a zdaniem jego wiele bardzo do oglądania w pałacu pozostało, musieli się ze staruszką pożegnać i iść, za przewodnikiem.

Mingajłowa na stronę trochę wzięła dziewczę.

— A po cóżeś ty, dziecko moje — odezwała się po cichu — zabrała z sobą z zamku tego gadułę i nudziarza? Nie da wam spokoju. Na ten raz musi już tak być, ale w drugie odwiedziny z ojcem tylko proszę.

Z pokojów panien Jarzemski zwycięsko wprowadził ich do długiej i wspaniale w istocie przedstawiającej się galerii, obrazami zawieszanej od stropu do posadzki.

Na tym stary Lasota wcale się nie poznał, ale zdumieć musiał, blaskowi, jaki ścianom

nadawały te płótna wystawujące bitwy, tryumfy, a na ostatek i wizerunki *ad vivum* naturalnej wielkości króla, nieboszczki królowej, małego Zygmunta, dalej rodziny Kazanowskich i kilku jej przyjaciół i powinowatych. Oprócz obrazów we wnękach stały tu marmurowe posągi, ale nie świętych. Nagość ich nieco Płazę raziła, lecz Jarzemski się śmiał zaręczając, że i w królewskich pałacach, i wszędzie teraz podobne kamienne „osoby” wystawiano.

Na stole w pośrodku galerii stały wielkie globusy, leżały zwitki różne, a Jarzemski ukazał w rogu na wałkach nie porozwijane płótna, które na miejsce i ramy oczekiwały. Wszystko to starego Płazę przenosiło w świat dla niego tak dalece obcy i nowy, że z usty zamkniętymi podziwieniem słuchać tylko musiał, co Jarzemski głosił, a sam odzywać się nie śmiał.

Bietka zaś głośno i raźnie wielki swój zachwyt nad pięknnością obrazów objawiała żywo. Dla niej nie były one rzeczą tak nową i mogła nawet o treści niektórych coś ojcu powiedzieć.

Pierwsza to naówczas i po wsze czasy była w Polsce galeria ta Kazanowskich, o której

pamięć pozostała. Wojny szwedzkie zniszczyły ją i rozproszyły tak jak niezmierną ilość dzieł

sztuki, które dwa panowania ostatnie wprowadziły do Polski. Zygmunt III, sam malarz dyletant, Władysław IV, którego w młodych latach malował Rubens, Kazanowscy, wręście znawca i

miłośnik sztuki, Jerzy Ossoliński, poczęli szczepić zamiłowanie jej u nas, gdy wkrótce potem nieszczęsne zawichrzenia, wojny szwedzkie i kozackie wszystko to w zarodku rozniosły.

Z galerii, którą przez chwilę oglądali, długo w niej pozostać im nie dając, Jarzemski

poprowadził znowu na dół aż do drugiej altany, z małą co różnym widokiem na Wisłę, również galeriami i marmurowymi wschodkami, balasami, posadzką przyozdobioną; z tej wprost przeszli do wspaniałej sali jadalnej, o której zawczasu cuda prawił im Jarzemski.

— Macie wiedzieć — za rękę przytrzymując Płazę, mówił mu z przyciskiem wielkim — że

w tej sali, którą oglądać będziecie, królestwo ichmość oboje nie jeden raz, ale wielokroć razy państwo marszałkowstwo ugaszczali i przyjmowali. Oprócz tego, co było posłów, nie minęło

Warszawy, aby ich tu nie karmiono i nie pojono; posłowie cesarza jegomości, króla hiszpańskiego, turecki wielki poseł, francuski, moskiewski, perski, wszystkich my tu widzieliśmy, nie licząc senatorów, dygnitarzy, cudzoziemców podróżujących i najdostojniejszych panów.

Drzwi się tedy otwarły i weszli do sali, która w istocie może najwspanialszą była ze

wszystkich w tym zbytkowym pałacu faworyta królewskiego. Niezmiernie jasna, wedle wyrażenia Jarzemskiego do latarni podobna, dwoma rzędami okien oświecona, na pierwszy rzut oka

ośniewała, szczególnie' złotym tłem obić ściany okrywających, które umyślnie były we Flandrii robione do budowy tej i kosztowały więcej niż niejeden dwór w Warszawie cały. W pośrodku, od stropu lichtarz w kształcie korony, złożony, spuszczał się ponad stoły. Przy jednej ze ścian balkon kamienny przeznaczony był dla muzyki, która wejście do niego miała z piętra wyższego.

Wszystko tu zbytkiem i misternością wyrobu godziło się z sobą na istotnie królewskiego

przepychu całość; krzesła dokoła stołów złożone, skórą wyciskaną okryte, stoły z rzeźbionymi podstawami gęsto miały porozsiewane herby rodziny Kazanowskich i Służków.

Przy oknach ukazał Jarzemski, tam gdzie obicie nie dochodziło, malowanie udatne,

zajmujące przestrzeń tak, że nigdzie ściany widać nie było. Piec nawet ogrzewający salę

przywieziony był z zagranicy i cały barwami żywymi okryty. Poza nim znajdowały się winociągi, z piwnic wprost prowadzące do srebrnej baryły ogromnej na kołach, którą około stołów toczono napełniwszy. Misterne i to było dzieło sztuki niemieckich złotników, na którym Bachus, też srebrny, z czarą w rękę, z wieńcem na skroni, z usty uśmiechniętymi królował. Oprócz tej

najpoważniejszej, przy wspaniałym kredensie w rogu sali cały rząd srebrnych pomniejszych baryłek stał z różnego rodzaju i pochodzenia winami. Na ostatek i fontanna srebrna w środku kredensu wyrzucała wysoko w górę strumień wina, a całym rzędem koło niej rozstawione były konewki, nalewki bechery, kubki, puchary najwytworniejszych kształtów, srebrne, złożone, z kamieni

drogich, szklarnie weneckie itp.

Tu już i Płaza, dosyć zresztą obojętnie spoglądający na przepychy te, które mu się

szaleństwa jakimiś wydawały, wykrzyknąć musiał zdumiony samą myślą, jakim kosztem musiało

się to wszystko gromadzić, budować, urządzać w kraju, w którym podobnych kunsztów nie znano nigdy, przy dawnej obyczajów prostocie, nawet u największych magnatów.

— A, panie mój — zawołał, zwracając się do Jarzemskiego — mieliście słuszność mówić, że i w królewskim zamku nic równego temu nie ma! Lecz odkryjcie mi tajemnicę tę, jako pan Kazanowski przyjsć mógł do takiej majątności, która mu na to starczyć dozwoliła?

Jarzemski głowę nisko skłonił.

— Tajemnicą to nie jest — rzekł — sam pan marszałek powtarza głośno, iż wszystko winien jest łasce pana swojego, którego serce umiał sobie pozyskać. Ale też wiedzieć należy, iż gdyby dziś król jak niegdy książę zapotrzebował wszystkiego tego mienia od pana marszałka, oddałby mu co ma do ostatniej koszuli.

Bietka się uśmiechnęła trefnie.

— A, byle się to nie zimą przygodziło — zawołała — bo pan marszałek chłodu nie znosi!

Mnóstwo potem drobnych osobliwości, zwłaszcza między naczyniem do picia, począł

Jarzemski ukazywać Płazie; były tu bowiem puchary w kształcie zwierząt i ptaków, drogimi kamieniami i perłami sadzone, z jednego kamienia żłobione, i takie, z których aby się napić, a nie rozlać, wiedzieć trzeba było, jak się obchodzić z nimi. Muzyk, poeta i budowniczy był też we wszech kunsztach tak obyty i obeznany z nimi, iż dla niego nie było tu tajemnic.

Czas jednak na tym oglądaniu tak szybko upływał, iż Bietka nawet przyśpieszać zaczęła oglądanie reszty, ale Jarzemski nie dał się już przełamać.

— Żądaliście ode mnie, ażebym pałac pokazał, panienczko moja — rzekł — bądźże cierpliwą, bo inaczej ojciec jej fałszywe poweźmie wyobrażenie, a ja mieć to będę na sumieniu.

Zatem zejdziemy teraz aż ku bramie ze wzwodem i przekopem od miasta, która też godną jest wejrzenia.

W istocie nawet na wypadek wojny rozpaczliwa obrona mogła czas jakiś zatrzymać tu

napastnika. Sama brama ogromna, murowana mieściła straż, piechotę pańską i kuźnie. A że się właśnie nadało tak, iż wyprowadzono konie i brodaty kawalkator Grek dosiadał młodego dżaneta, a inne pod wspaniałymi dekami perskimi masztalerze wyprowadzali, obeszło się tym sposobem od zagłądania do stajen, do których by Jarzemski niechybnie ich zaprowadził, choćby dla okazania, że

jego i z nim idących puszczano wszędzie.

W tej stronie, jak gdyby pałac z utensyliami nie dość był jeszcze obszerny, miano wznosić

nowe mury nad stajniami. Wykwintna łaźnia pańska parowa i wanny szczęściem były zamknięte, ale muzyk opisał je Płazie jako nadzwyczaj kunsztownie urządzone, tak że tylko się kąpać a parzyć chciało po dniach całych w tych delicjach. Przy łaźni zajrzeli do izby ogrodniczej, w której zimą hodowano na stół pański sałaty i inne ogrodowiny, co było w owym czasie nowością i wykwintem niesłychanym. Ale tu co krok miał coś do ukazywania osobliwego przewodnik: izbę, w której

wychowywano młode niedźwiadki, wzięte w gnieździe, budę, w której stare do szczwania trzymano na łańcuchach, komórki, gdzie inne dzikie zwierzęta zamykano.

Tak obszedłszy część podwórza, gdy już od drugiej kuchni Bietka się wymawiała, bo do

Mingajłowej powracać chcieli, Jarzemski wprowadził ich do górnej sali wielkiej z altanami, która tylko na lato służyła i nie miała pokrycia; ale pomimo to ściany jej były obiciem bardzo

wytwornym okryte, posadzki i drzwi miała też bardzo piękne. Jarzemski ukazał z tej strony, jako rarytas, schody w kształcie ślimaka kręcone, wiodące na górę, i nad drzwiami jednymi posąg Władysława IV, pod którym tablica marmurowa ze złotym napisem była dowodem wdzięczności

dla pana.

Umyślnie skierowawszy do tego urzędowego wniścia na 'pokoje, przy którym stała

piechota z berdyszami i kordelasami u boku, dobrany lud olbrzymi i silny, Jarzemski otworzył

podwoje i z tryumfem wiódł dalej, bo jak on mówił to, co widzieli, było dopiero początkiem.

W istocie rozpoczął się cały szereg pokojów, ale oprócz obrazów na ścianach, z których

jedne wystawiały rośliny warzywne, owoce i kuchenne przybory, drugie widoki morskie,

krajobrazy itp., nie było tu nic tak dalece nadzwyczajnego. Jarzemski tu izbę muzyków, in-

strumenta ich, pomieszczenie kapeli, do której i on niegdy należał, zmusił oglądać i po dwu czy trzech jeszcze izbach, uchyliwszy portierę, jako do przybytku wwiódł do komnaty samego pana marszałka. Zniżył głos wchodząc na próg, chociaż nikogo tu nie było oprócz faworytów: kotka morskiego na łańcuszku, białej papugi obracającej się w kole i mnóstwa ptasząt świergocących w klatkach, tak że mowę głuszyły.

Rozumie się, że i tu obicia były jak najkosztowniejsze, obrazy (*nature morte*) wielce wdzięczne, posadzki marmurowe, stoły mozaikowe, a w jednym rogu w niszy rodzaj okna dozwalał

słuchać mszy świętej w kaplicy pałacowej odprawianej, do której z pokojów pani, z izb zajętych przez fraucymer okna były także dla pobożnych. Jarzemski ciągle zwracał uwagę na obrazy, które

Płazie wcale się nie podobały, bo mu się wydawały zbyt obnażonymi; nawet Adam i Ewa, których muzyk jako arcydzieło zachwalał i zachwycał się nimi, nie znalazły u niego łaski. Do takich dzieł sztuki szlachcic nie był wcale przywykły.

— Panie Adamie — szepnęła mu do ucha Bietka — Mingajłowa na nas czeka... Przejdźmy prędzej.

— Me godzi się — odparł Jarzemski — drugi raz w życiu tych rzeczy widzieć nie będzie...

Tu najmniejsza godna refleksji.

Wtem muzyk pochwycił wpół Płazę i gwałtem go posadził na ławce pięknej, niedaleko wspaniałego łoża stojącej.

— Wiesz waćpan, na czym siedzisz? — zawołał, śmiejąc się do rozpuku. — Sądzisz, że na prostej ławie? Tak... otóż w jedno oka mgnienie rozkłada się ona i czyni z niej najwygodniejsze też łożo! Proszę — dodał — nie spuszczać oka ze ścian dla obrazów.

W tym punkcie peregrynacji strojny bardzo młody dworzanin zaszedł im drogę i przyłączył się do nich. Były to pokoje dla obcych zupełnie niedostępne, a coraz wykwintniej poprzystrajane.

Kolumny i kominy z marmuru i brązu, świeczniki srebrne trzymane przez aniołów, zwierciadła w ramach srebrnych, obrazy w rzeźbionych cudnie okładzinach, odrzwia z marmurów włoskich, a wszędzie wielkie i piękne płótna włoskich i flamandzkich szkół ściągały oczy, tylko już, myślał sobie Płaza, wszystkiego tego nadto było.

Przeszli tak między innymi i bardzo wytwornie urządzonej bibliotekę, czyli librarią, w której razem na stole w pośrodku, okrytym kobiercem, był zbiór osobliwości różnych i kosztowności: jan-dziary, drogimi kamieniami sadzone, noże w pochwach z turkusami, czary złote i kryształowe, puzdra i szkatuły misternie wysadzane. Za librarią tuż, wąskim kurytarzem przedzielone od niej, zaczynały się pokoje marszałkowej, w których naturalnie zbywać nie mogło na

najwykwintniejszych wymysłach, które podróżujący po Europie Służkowie i Kazanowscy tak chciwie chwyтали. Między innymi Jarzemski z respektem wielkim oglądać kazał całe pudła z żółwiów morskich, złotem nabijane, całe skrzynki z kamieni różnobarwnych.

Na straży tych skarbów przy krosienkach siedziała panienka, która pozdrowiła Bietkę jako dobrą swą przyjaciółkę i znajomą. Szyła ona jedwabiami i złotem cudny ornat, który pani

marszałkowa ofiarowała się do jednego z kościołów dostarczyć.

Dalej były sypialnie pańskie, całe od złotogłówów i jedwabnych opon wschodnich, a przy

nich znowu zwierciadła w srebrnych oprawach, znowu tysiączne fraszki drogie, między innymi zegar złoty, który co minuta wyrzucał gałkę, a chłopię stojące pod nim nazad ją ciskało. Tu mieniały się tylko obicia ze złotogłówów coraz innej barwy: jedno zielone, drugie szkarłatne, z takimiż sznurami, frędzlami i bogatymi kutasami. Piękny bardzo wizerunek na ścianie poważnej matrony w sobolowej szubie, z różańcem i książką w ręku, matkę pani marszałkowej wystawiał, a naprzeciw w delii palowej i zbroi, z ręką w bok na szabli stał ojciec. Jarzemski ciągle im kazał

patrzeć pod nogi na wzorzyste to drewniane, to marmurowe posadzki, ale Płazę więcej w

podziwienie wprawiały hodowane zwierzątka, których i tu było znowu pełno. Między nimi

hodowały się ulubione pani synogarlice, do których nawet osobna była sługa, co nad nimi

dozorowała. Miały one w jednym z pokoiów gniazda i tu się całymi rodzinami mieściły.

Zdawało się tedy wszystko już wyczerpanym, zwłaszcza że się do mieszkania Mingajłowej

zblizali; Jarzemski przecież, dozwoławszy Bietce, aby na nich czekała u starej ochmistrzyni, pod rękę ujął Płazę i szedł z nim na dół.

— Niechże wie, mościpanie — rzekł — jakich to my panów mamy. Teraz — dodał

zejdziemy do skarbnicy, o tyle o ile jej nam widzieć dozwolą.

Szepnął coś klucznikowi prowadzący i otwarto im do sklepu pierwszego. Płazie trochę się

lice rozjaśniło. Całe tu ściany były zawieszane najpiękniejszą bronią, strzelbami, ptasznicami, janczarkami, szrotownicami, karabinami, muszkietami, pistoletami włoskimi, bronią srebrem i złotem bogato przyozdobioną. Z tego jednak wszystkiego przewodnika najwięcej zachwycała

wiatrówka, z której, jak uręczał, można było kulą zabić człowieka, jednego tylko do tego zażywając powietrza.

Na stołach, na ławach, na wieszadłach, perskich i tureckich kobierców tuzinami leżało,

którymi w potrzebie izby wyścielano lub zabierano je do podróży. W skrzyniach nieoprawnych główni multanów dla piechoty widać było całe pęki i stosy. Drugie drzwi żelazne za tymi

prowadziły do prawdziwego już skarbcza, gdzie rzędy, broń, szable, koncerze, pałasze, wszystkie były oprawne w złoto, srebro i sadzone kamieniami. Takież same siodła z blachami i strzemionami złotymi, czapragi sztywne od złotych szyc, upręże, siedzenia w niezmiernej liczbie, sobolowe szuby i błamy, na ostatek las i kupy naczyń ogromnych już w puzdrach, już bez nich, mis, nalewek i miednic, kubków, dzbanów.

Jarzemski oprócz tych skarbów, od których Płazie w oczach się ćmiło i w głowie zawracało, ukazał ogromną skorupę żółwią, którą do karaceny porównywał i z Indyj przyniesioną skórę olbrzymiego węża.

Stąd dalej jeszcze ciągnęły się sklepy różne i przejścia ciemne, ale tych już nie mogli oglądać. Z okna tylko przy wyjściu ze skarbcza ukazał Jarzemski mury i baszty, od Wisły opasujące ogród pałacowy, w którym sadzono zza morza przywożone drzewa i rośliny. W ogrodzie na sposób włoski wystawiony *belvedere* dozwalał marszałkowi po łaźni odpoczywać, zabawiając się widokiem rzeki i rozległej okolicy.

— Ano, idźmyż do pani Mingajłowej — odezwał się Płaza.

— Jam gotów — rzekł filuternie Jarzemski, do którego się w długim kontuszu poważny zbliżył mężczyzna — byleby nas puszczone. Ano, ten pan szanowny, który klucze ma od winnic pańskich, powiada, iż moglibyście na kresy zawieźć to przekonanie, że my tu jak gęsi wodą żyjemy. Musimy tedy choć okiem rzucić na piwnice.

Jakoż otwierano im już drzwi i znaleźli się wśród szeregiem ustawionych beczek, których ani było policzyć! Jedna i druga piwnica pełna ich była. Płaza, który kieliszkiem nie gardził, chociaż gorzalicę nad wino przekładał, pomyślał sobie: gdyby się domyślili pragnienie nasze ugasić. Stało się, jak życzył, gdyż piwniczny nie jednego, ale stopniowo czterech im win coraz dojrzalszych dał kosztować, i to sporymi kubkami, tak że się dobrze nimi pokrzepili.

Chciano ich dalej wieść do piwnic miodowych i piw różnych, mianowicie gdańskich, onych czarnych i gęstych, ale się sam już Jarzemski tłumaczył, iż czasu nie mieli. Puszczone ich wreście.

Tu około piwnic w nieosobliwszej izbie Jarzemski ukazał, łokciem potrącając Płazę, „pludrów”, jak ich zwał, „Olandrów”, którzy obrazy malowali. Ci od roboty głów nawet nie podnieśli, a Płaza ciekawym nie był widzieć, co ich zajmowało.

W tych dolnych na pół izbach, na pół sklepach mieściły się. oprócz tego składy sreber stołowych powszedniego użycia i izby białozorów, sokołów, a dalej psów legawych, ogarów, przyborów myśliwskich, sieci, strzelb itp.

Tu ich też powitał pan Jan Nadworski, wielki łowczy Kazanowskiego, z olbrzymimi wąsami, ramion i piecu szerokich, mąż jakby z miedzi odlany, bo też i twarz miał tej barwy.

Sławnym on był tego czasu jako ptaki do łowów umiejący nosić, która sztuka już się zatracać zaczynała, ale ją panowie jeszcze wielce pielęgowali jako rycerską zabawkę i pamiątkę przeszłości.

Tu mógł dopiero Płaza odetchnąć, bo z wielu kątów i komór, które miały zawierać osobliwości i różne dostatki, godzina spóźniona nakazywała kwitować.

W podwórku tylko przytrzymał idącego Płazę muzyk i kazał mu się przypatrywać przechodzącym tatarskim jeńcom, których tu do najcięższych robót zażywano. Płazie jak do starych znajomych oczy się zaśmiały. Tyle on razy strzały ich z siebie wyciągał, a szablą ich po karkach płażył. Jakaś fantazja dziwna poruszyła nim po winie i do przechodzących przemówił pozdrowieniem po tatarsku. Trzeba było widzieć, jak spuszczone łby jeńców nagle się podniosły, jak się im zaiskrzyły oczy, rozwarły usta... Jarzemski stał zdumiony.

Mało było w kozaczyźnie naówczas ludzi, którzy by choć cokolwiek tatarskiego nie rozumieli języka, znał go też nieco Płaza. Pocziwe litości uczucie zdjęło go i spytawszy ich, spod którego carzyka byli, jak się do niewoli dostali, rzucił im małą jałmużnę.

— Zbóje są — rzekł idąc do Jarzemskiego — ale wszelako ludzkie stworzenie... Litość mieć potrzeba.

Na górę do Mingajłowej powróciwszy, Jarzemski natychmiast pożegnał ją, Bietkę i Płazę.

— Nie macie mi za co dziękować — rzekł do niego — jam zawsze rad oglądać te przepychy, gdyż potomności opis ich dać zamierzam. Nigdy w Polsce nic podobnego nie widziano, ale też panu naszemu Kazanowskiemu równego nie było!

Staruszka westchnęła słuchając.

— Wszystko to warte widzenia — rzekła — ale szczęścia im nie daje. Świeci to i błyszczy i sławę ich po świecie roznosi, ale ani marszałek, ani moja dobra pani niewiele już w tym smakują, bo co tylko świat dać może, mieli i kosztowali.

— Ja — odparł w prostocie ducha Płaza — anim sobie wyobrażał, aby dzieła rąk ludzkich do tej doskonałości mogły dosięgnąć. Ileż to łożyć było potrzeba, aby te skarby zebrać!

Mingajłowa poczęła o Kazanowskich i życiu ich opowiadać, potem o swym do Bietki przywiązaniu i radości, jaką miała z tego, że ona opiekuna i rodzica odzyskała, którego się nawet w

myśli nigdy nie spodziewała znaleźć na świecie, bo się mniemała sierotą.

— A, czcigodna pani — odezwał się w końcu, ośmielając, Płaza — dla mnie też to

szczęście wielkie i mogę powiedzieć, że nowe rozpoczynam życie, ale nim się ono ułoży, nim ja gniazdo dla tej ptaszyny mojej uścielę, co z nią począć?

Przerwała mu córka.

— Niechże pani ciwunowa poświadczy mi — rzekła — że mnie na dworze nie grozi niebezpieczeństwo! Wychowałam się prawie na nim, znam go i wszystkie jego szkopyły.

Mingajłowa milczała, nie biorąc strony Bietki.

— I ja bym przecież woląла widzieć cię gdzie indziej — odezwała się — zwłaszcza pod ten czas, gdy przybycie nowej pani, napływ nowych ludzi pobyt utrudni i nie uprzyjemni go.

Bietka pochwyciła ją za rękę i pocałowała.

— Gdy królowa nadjedzie — rzekła stanowczo — ja muszę się do jej dworu dostać, dawno to sobie postanowiłam i do tego się przygotowuję. Tymczasem zaś, gdyby ojciec był zmuszony się oddalić, nie dla mnie, bo ja się nikogo i niczego nie boję, ale dla niego... pani ciwunowa mi może da schronienie.

Płaza przyklęknął, ręce składając.

— A, pani ciwunowo dobrodziejko! — zawołał.

Staruszka się z krzesła poruszyła.

— Najchętniej, z duszy — odezwała się — ale ja też tu sługą jestem, więc naprzód u marszałkowej o pozwolenie prosić muszę, te pewnie otrzymam... potem... potem...

Nie dokończyła staruszka.

— Spodziewam się, tuszę — dodała — że to się wszystko ułoży. Widać było, że nie domówiła wszystkiego, co miała na myśli.

— Poszłoby to gładziutko — szepnęła po namyśle — tylko mam obawę, że ci, którym

Bietka bardzo jest miłą, wszyscy ichmość dworacy, będą zabiegali, aby jej panna Amanda nie puściła od siebie.

— Ale ja ojcem jestem — wtrącił Płaza — mam więc największe prawo dzieckiem moim rozporządzać. Bietka się poruszała niespokojnie.

— Jeżeli tylko droga pani ciwunowa kątek mi u siebie zapewni do przybycia królowej, resztę się zrobi łatwo. Pani marszałkowa potrzebuje pośpieszyć z szyciem ornata, panna Kosterzanka nie starczy, mnie by w pomoc mogła przez męża sobie uprosić.

— Tak czy inaczej, jeżeli to wam potrzebnym jest, a bezpieczniejszym się wydaje — przerwała staruszka — będziemy zabiegali z całym kunsztem, jakiegośmy się, około dworu chodząc, nauczyli.

Uśmiech przebiegł po bladych jej ustach i pocałowała w główkę Bietkę.

— Ale po co tobie chce się do tego dworu młodej pani? — rzekła. — Nikt jej tu jeszcze nie zna. Chwałą niektórzy, lęka się wielu. Mieliśmy Niemkę jedną, która swój obyczaj przyniosła, ta też nie omieszka przybyć z nowym, a gdyby chciała, nierychło się do naszego nałamię.

— O, o! — rozśmiała się Bietka — my tu jeszcze niejedną komedię ujrzymy, choć nie na teatrum! Grali nam i śpiewali o jakiejś Dafne w drzewo przemienionej, a w co to się terazniejsze nasze obróćą boginie? W zwiędłe kwiatki czy w łzy wyciskające cebule?

Mingajłowa pogroziła szczebiotce.

— Jaka bo ty jesteś złośliwa! — zawołała. — Pamiętaj o sobie, abyś cało wyszła!

Spóźniona godzina zmusiła Płazę pożegnać staruszkę, ale sobie wyprosił, aby mu wolno było przyjść i swą rodzicielską troskę z dobrą panią ciwunowa podzielić.

Tom II

ROZDZIAŁ I

Bielecki, z zamku powracający w parę dni potem, przyniósł dla pana Lasoty i niespodziewaną, i niezbyt miłą wiadomość, że kanclerz się z nim widzieć potrzebował.

„Oho — rzekł w duchu Płaza do siebie — ani chybi, że mnie stąd chcą wyprawić, a z Bietką jeszcze ani wiem, co pocznę!”

Dzień i noc dręczył się tym, zmieniony do niepoznania. Życie wprzód było mu dość

obojętnym, bo epilog jego tylko odegrywał się jeszcze; z pewną ciekawością, na wpół rozbudzoną, przybył do Warszawy między tych, których niegdyś swymi nazywał. Tu naprzód począł się w nim dawny człowiek odradzać i odmładzać, potem przyszło znalezienie dziecięcia i zdawało mu się, że na nowo żyć musi, zapominając o swej kozackiej przeszłości. Tymczasem ona, jak każdy grzech czy cnota ludzkiego żywota, ciążyła na nim. Wymazać jej nie mógł z rachunku, wkładała mu ona pęta na ręce. Nie szczędziłby ofiar pewnie, aby się wyswobodzić i całkiem dziecku poświęcić, ale tu innej nie starczyło, tylko całkowitego oddania siebie samego.

Był kozowym bratem i sługą, a kozactwo, jak często wybranego atamanem *batka*, gdy odmawiał przyjęcia urzędu, zabijało na miejscu, tak każdego, co się wkupił do tego ich zakonu, prześladowało jako zdrajcę, gdy chciał się wyrwać na swobodę. A jak Parfen powiadał, Kozacy długie ręce mieli.

Jechać znowu na Niż sam dla siebie potrzebował Płaza koniecznie, powrócić stamtąd było

największą trudnością. Czy go wysłać powtórnie zechcą, za to ręczyć nie mógł. Parfen, dozorujący z daleka, niezbyt był kontent z niego. Wprawdzie ukrywał dobrze kozactwo swe i poselstwo, ale nadto się zżył z Lachami i Parfen go widywał chodzącym często do księdza i kościoła.

„Lach taki zawsze Lachem — mówił sobie — ze swej skóry się nie wywlecze, to darmo.”

Posłuchanie u kanclerza naznaczone było na ranek następny, miał się więc czas

przysposobić do niego Płaza i poszedł naprzód do przyjaciela Stoczka, bo przed nim jednym tylko mógł się całkiem szczerze wypowiedzieć i poradzić, co dalej.

Ksiądz Stoczek nie zawsze mu dał radę taką, za którą pójść otwarcie było można, ale

wskazywał drogę, uspokajał sumienie. Teraz zaś ksiądz mu był nieodzownie potrzebnym. Po namysłach wielu postanowił jemu opiekę powierzyć zwierzchnią nad córką, i pieniądze, jakie przywiózł, złożyć u niego na wypadek wszelki dla Bietki.

Nie łudził się bowiem — podróż była długa, nie bardzo bezpieczna, powrót wątpliwy...

Samo odkopywanie skarbu i wyprowadzenie go z Siczy, tak aby tego nie dostrzeżono i nie

powzięto podejrzeń, dosyć było trudnym. Płaza przebiegłym bardzo nie był, a często gwałtowny, choć już przytępiony wiekiem, temperament go zdradzał. W Siczy miał ci przyjaciół, ale daleko więcej zazdrosnych i niechętnych.

Było więc o czym rozmyślać. Powołanie do kanclerza nie mogło nic innego oznaczać nad odprawę.

Tegoż dnia idąc na zamek do córki, z którą się widzieć chciał co najprędzej, spotkał Parfena

czatującego koło Bernardynów.

— A co, *batku*? *Ni* e ma tam nowego dla nas nic? — zapytał go Kozak.

— Owszem — rzekł Płaza — jutro mi kazano u kanclerza być, a że jemu-m listy oddawał, nie chybi, że mi odpowiedź przysposobili, z którą zaraz na powrót pojedę.

Z rodzajem niedowierzania i zdumienia popatrzał Parfen na niego.

— He, he — rzekł — pojedziecie na powrót do Siczy! A, jak ja wam zazdrozczę! Ja tu już usycham i ginę. Prawda, u księcia Ostrońskiego kozaczyzny jest dosyć, ale to nie nasza! Nie ma do kogo słowa huknąć, trzeba się oglądać, aby kto nie podsłuchał. Wolnego Kozaka tu oprócz was i mnie nie ma więcej. A mnie tu jak przykutego trzymają.

Posmutniał Parfen.

— Z czymże oni was nazad odprawią? — dodał. — Ze świstkiem papieru, którym chyba nabój przybić w rusznicy, bo *hroszy* nie ma.

Rozrzucił ręce szeroko i śmiał się.

— Bóg z nami — dodał cicho — gdyby nasz skarb i ich obliczyć, pokazałoby się, że u nas

groszy więcej niż u nich... ale też jak oni tu je garściami rzucają za okna! Boże zlituj się, wszystek pieniądz za granicę wędruje. Wina siła piją, bo im ani kwas, ani piwo nie smakuje, ani nawet gorzałka, choć gorzałkę mają lepszą jak nasza, co kotłem śmierdzi, za wino milszą płacić, sukna na nich nie ma kawałka ani jedwabiu, ani złotogłowu, ani szkarłatu, żeby go zza morza gdzieś nie sprowadzili, opłacając drogo; skórkę na buty ciągną od obcych, pieprz płacą na wagę złota. Kamień nawet na posadzki kupować muszą. W końcu i płacić nie będzie czym, bo ziemia u nas nie rodzi złota.

Westchnął Kozak.

— Ano, co nam do tego! — dodał. — Tatarów to tam kozuchami zbędą i lada kiesą, ale nam

hroszy trzeba dużo dać, bo my bez nich nie pójdziemy. Rozsierz się Turek, na nas pierwszych złość skrupi.

Płaza słuchał zimno. Kozak westchnął.

— O, o! Jak ja wam zazdrozczę — szepnął. — Wiosna za pasem, a co ona tu warta w tych murach? Tu jak zimy nie było widać, tak i wiosny człowiek nie poczuje. Zawsze jednako miasto śmierdzi...

Pożegnał go Płaza, bo mu do córki pilno było. Na zamku już się umiał obracać: wywołano z fraucymeru Bietkę, ojciec blady stał przed nią.

— Dziecko moje — rzekł głosem stłumionym — przyjdzie pono mi jechać, jak dawno przewidywałem. Jutro kazano być u kanclerza, nie darmo... Na grzane piwo by mnie nie prosił... Potarł głowę zafrasowany.

— Gdy mi listy oddadzą — ciągnął dalej — natychmiast wyjeżdżać muszę. Cóż z tobą będzie?

Dziewczę rażno podniosło główkę.

— Muszę znaleźć sposób, aby się do Mingajłowej dostać — rzekła — kiedy taka wola wasza, ale bądźcie spokojni o mnie, nie dam się im zjeść.

— Mingajłowa — mówił dalej Płaza — poczciwa babka, ale stara, a ty samowolna i płocha.

Na Bieleckich się zdać nie mogę, bo choć dobrze życzą, ale chodzić nie umieją, ino tak jak się na dworze nauczyli... Ciebie też inaczej nie poprowadzą. Dam ci więc opiekuna jednego jeszcze, takiego człowieka, że przed nim klękać i do niego się modlić.

— Wiem, mówiliście mi już o księdzu Stoczku — przerwało dziewczę — ale to ksiądz! On ze swą suknią nie wszędzie wejdzie i wiele rzeczy dworskich zrozumieć mu będzie trudno. Na co on się mnie przyda — rozśmiała się — chyba gdybym już do klasztoru szła, to mnie odprowadzi, ale ja za kratę nie myślę! Nie, nie!

— Stoczek — przerwał Płaza — prawda, że nawet sutanny nowej nie ma, żeby na świat wyjść, a sprawić sobie nie da, ale on i w podartej gotów choć przed króla. Pieniądzy z sobą przywiozłem, nazad ich zabierać nie myślę, bo to posag twój; zostawić ich Bieleckim nie mogę, bo nie utrzymają, oddam księdzu. Gdybyś potrzebowała, u Świętego Brunona przy szkole dowiedz się do niego.

Bietka ramionami poruszyła.

— Nie — rzekła — ja pieniędzy nie będę potrzebowała. A one mnie na co? Klejnocików nakupiliście mi dosyć i gdybym je przyjmować chciała, daliby mi drugie tyle moje gachy. Sukni jest tymczasem dostatek. Stoczek mi się chyba zda...

Nie dokończyła swej myśli.

— Prędkoż wy powrócicie? — spytała ojca.

— Toć mój frasunek — jęknął Płaza — albo ja wiedzieć mogę, kiedy jadę i jak powrócę?

Sługą jeszcze jestem i z tych kajdan rozkuć się muszę; byleś ty mi całą i zdrową była.

Bietka zadumana nic nie odpowiedziała.

— Nie wiem, co się stało — szepnęła po małym przestanku. — Dawniej się tu mocno nową

królową zajmowali, teraz o niej milczą. Zobojętnieli albo... kto ich zrozumie? Amanda głowę do góry podnosi i weselej się uśmiecha, a królowi przypodobać usiłuje... Co to będzie? Co będzie?

— Przyjdź do Bieleckich, jak najprędzej ci pozwolą, bo szerzej pomówić musimy swobodnie.

— O pozwolenie się pytać nie będę — uśmiechnęło się dziewczę — Przyjdę...

Z zamku wprost pośpieszył Płaza do szkółki przy Świętym Brunonie na Nowe Miasto.

Stoczek siedział tu w porzniętej przez pauprów kozikami katedrze i mozolnie wykladał obiecadło, owo odwieczne „a, b, c, chleba chcę, a kołacza nie porzucę, bo się dobrze uczę”. Gromadka

obdartusów krzykliwymi głosami odpowiadała, powtarzała, swawoliła.

Po bladej twarzy Płazy poznał ksiądz, że nie darmo do niego w odwiedziny przychodził:

Starszego więc jednego z różgą w ręku posadził do nadzoru, a sam poszedł z przyjacielem do izdebki. Po drodze już wiedział, o co chodzi, to i zafrasował się.

— Jechać muszę — rzekł Płaza — nic nie pomoże, choćbym skarbu zakopanego na

Chortycy się wyrzekł, nie dadzą mi tu pozostać, ani oni, co mnie wypuścili, ani kanclerz, co mnie odprawia do - nich. Z trwogą w duszy pojedę. Bietka — dodał — wie o was, mój ojciec, że

opiekuna znajdzie; ja pieniądze wam moje złożę, bo ich z sobą nie mogę wozić.

— Zamkniemy je w zakrystii bezpiecznie — odparł Stoczek — ale połóżcie pieczęcie i

napiszcie, czyj depozyt, bośmy śmiertelni. Ja po szpitalach i po domach się włóczę, gdzie biedna ludność wymiera, mogę chorobę przynieść z sobą i z niej nie powstać. Dla mnie to będzie łaska boża, ale dla was...

— A — zakrzyknął Płaza — niech Bóg was uchowa! Ja na was rachuję. Jechać muszę, ale i

powrócić do dziecka też, choćby gardło stawić przyszło. Jarym ja tu człowiekiem przywlokłem się, a wcale innym powracam. Kozacze życie dla mnie smaku nie ma... Dziecko na myśli... Losu dla niej

szukać muszę, a potem co będzie, o to nie dbam. Żyłem i nażyłem się do syta.

Uściskał Stoczka ze łzami w oczach.

— A, ojciec — westchnął — gdy o sobie myślę, muszę cuda Boże na ziemi uwielbiać, bo je

widzę na sobie. Odbyłem pokutę na Niżu, jak cięższej wyobrazić sobie trudno. Zdawało się, że z Lacha na Kozaka przerobił się, tak iż żyłki we mnie starej nie zostało, ano... wszystko wróciło dawne, dziecko odzyskałem, zaprząć się trzeba dla niego...

— Śmiało tylko i z ufnością w Bogu — dodał ksiądz Stoczek. — Powracajcie jak

najrychlej, powracajcie ze skarbem czy choć bez niego, dla dziecka rodzic to skarb największy.

— Bietkę zostawiam na dworze — mówił Płaza — alem dla niej wyprosił przytułek przy

starej ochmistrzyni u marszałkowstwa Kazanowskich, która poważną jest. niewiastą. Tam się ona pewnie do przyjazdu królowej przeniesie, a potem chce gwałtem na dwór nowej pani. Jeżeli więc o dziecko moje dowiedzieć się zechcecie, pytajcie o nie u Kazanowskich.

— Wysokie progi na moje nogi! — westchnął księżyna, ukradkiem spoglądając na

poplamioną woskiem i zszarzaną sutannę. — Do Kazanowskich kanonicy tylko i prałaci chodzą

albo z mnichów który, bo Bernardynów pod boki mają, ale że ja z nimi dobrze jestem, trafię może...

Płaza nie mógł się wstrzymać, aby przed przyjacielem nie wypowiedzieć się z tego wrażenia,

jakie na nim pałac Kazanowskich uczynił.

— *Vanitas vanitatum* — przerwał mu ksiądz Stoczek — nie chcą tego wiedzieć ludzie, że zbytek i miękkość ich psuje, ani pomną, że gdziekolwiek się one zakradły, tam z nimi przyszła zgnilizna. Padło tak rzymskie państwo, gdy złote pałace Neronowie pobudowali. Dziś i nas nie poznać pod grubą pozłotą, a co po niej? Starzy lepsi byli, co w grubych chadzali opończach. Ano mówią, że prostota obyczaju to dzikość.

I zamilkł księżyna.

Wynurzywszy się z tego, co na duszy miał, Płaza niespokojny wrócił do Bieleckich; przez

cały wieczór myślami się trapił, a nazajutrz rano już z tym samym co wprzód przewodnikiem do gabinetu kanclerza przez cały szereg pokojów wędrował.

Zastał Ossolińskiego przy tym samym stole zarzuconym papierami, z dosyć frasobliwą

twarzą, choć się ona wyjaśnić usiłowała.

— Odprawę wam gotuję — rzekł powoli kanclerz — a rad bym, abyście się z nią

pośpieszyli, bo odpowiedź mi potrzebna.

— Ja bym też rad bardzo ją przywieźć Miłości Waszej — ode zwał się Płaza — bo wyznać muszę, Kozakiem tu przyjechałem, a starym szlachcicem, jakom niegdyś był, na Niż powracam.

Córkę tu znalazłem i już mi Sicz nie smakuje.

Ossoliński słuchał go roztargniony.

— To osobiste są sprawy wasze — odezwał się. — Pośpieszajcie z listami do starzyzny, naglijcie na odpowiedź. Wasza rzecz postarać się, aby wam ją powierzono. Gdybym ja na to nalegał, rychlej by zaszkodziło, niż pomogło.

— Niech mi wolno będzie tylko to dodać — rzekł Płaza — iż z naszymi mołojcami na słowa i obietnice rachować wiele nie można. Żądni są grosza, spodziewają się go dostać.

— Będą go mieli — przerwał kanclerz — ale teraz nie pora płacić, gdy jeszcze nic nie uradzono, kędy i jak nam, to jest królowi, służyć mają. My i sił nie znamy, i ludzi, co tam rej wiodą.

— Atamany i starszyzna się zmienia — rzekł Płaza — bo nieufni są, a o swobody swe zazdrośni bardzo. Nikt ich lepiej wszystkich nie zna nade mnie, com prawie dwa lat dziesiątki wpośród nich spędził. Ufam też, że królowi jegomości i Rzeczypospolitej bym się zdał, gdybym powrócić mógł i tu pozostać. Ossoliński podumał.

— A więcej jeszcze, gdybyś wasze królowi służył, na miejscu tam pozostając — odparł kanclerz.

— O tym wątpię — przerwał Płaza — bo we mnie oni zawsze Lacha widzieć będą i nie zaufają mi nigdy.

— A przecież was tu wysłali? — zagadnął kanclerz.

— Lach do Lachów — odparł Lasota — to nie dziw, ale w Koszu oni mi władzy ani wpływu nie dopuszczają, a choć mnie do rady i głosowania wezwą, tajemnic swych największych nie powierzą.

— Waszmość je powinieneś zbadać nie pytając — rzekł Ossoliński — ale to są sprawy

późniejsze. Tymczasem jutro listy dla was gotowe będą, zabierajcie je i pośpieszajcie z nimi, a nastawajcie na to, aby mi ataman rychło dał stanowczą odpowiedź. Wyślą-li was, rad będę, wolę mieć do czynienia ze znajomym, ale na to w piśmie nie mogę nalegać.

To mówiąc kanclerz, nieco zadumany i jakby niepewny, co ma uczynić, rękę zanurzył w otwartej stolika szufladzie, cofnął ją, popatrzył na Płazę, na strop, głową potrząsnął i odwracając się ku stojącemu jeszcze, rzekł cicho:

— Król jegomość chciałby wam łaskę swą okazać. Na drogę wiatyk dostaniecie jutro.

Skłonił się Płaza.

— Nie gardzę — rzekł — łaską pańską, alem grosza nieżądny.

— Toś waszmość szczęśliwy — uśmiechnął się Ossoliński i skinął głową na pożegnanie.

Odchodzącego już przywołał raz jeszcze.

— Jutro — dodał — zgłosicie się tylko do tego, który was tu przywiódł. On wam pisma i wiatyk wręczy, a gdy je mieć będziecie, rad bym, ażebyście ani godziny nie opóźnili się, bo sprawa jest pilna. Raz i dwa może posyłać przyjdzie, jeśli nikomu pełnej mocy nie dadzą, a tu czas może naglić do roboty, nie do pisania.

Z tą odprawą wyszedł Płaza i jak się nieochybnie spodziewał, ledwie bramę pominął, a w ulicy zwrócił się ku dworowi księdza Szyszkowskiego, biskupa warmińskiego, gdy Parfen go powitał.

— Sława Bohu! Spojrzeli sobie w oczy.

— No, kiedy w drogę? — zapytał Kozak uśmiechając się. — Listy macie?

— Jeszcze nie, ale jutro mi je wręczyć mają — odezwał się Płaza — i nagle, ażebym pośpieszał z nimi.

Parfen głową poruszył.

— Koń wasz silny, zdrow i wypoczęty — odezwał się — wyście - także mieli czas się w pierzynach wylegać, tylko źle, że zima idzie i obiecuje się sroga. Czy mrozy ścisną, to na konnego bieda, aby nóg nie poodmrażał, czy roztopy przyjdą, ślizgawica lub grzędawica. No, podróż będzie nie do zazdrości. Parfen pomyślał.

— Ja bym na waszym miejscu — rzekł — prosto do Kijowa jechał. Tam do naszej gospody

do Nikity się zgłosił, może dalej nie będzie potrzeba.

Płaza głową potrząsnął.

— Ja muszę w Siczy być — rzekł — bo nie jednego głowa rozstrzygać będzie, ale starszyzna cała radzić musi.

Kozak, nic już nie mówiąc na to, rękami liczenie pieniędzy pokazał.

— A *hroszy*? — zapytał.

— Tylem tylko o nich słyszał, że mi na drogę coś dać myślą. Ręką rzucił, a Parfen się skrzywił.

— Co potem? — zamruczał. — Ale u nich w skarbie jak w wyłowionym stawie ani płotki

pono nie ma. Czekają na młodą królowę, aby im francuskich pieniędzy przywiozła. Kiedyż ona przyjedzie? — dodał. — Na żółtym ją wiozą! Król chory i nie o weselu mu pono myśleć, a tu żonkę gwałtem dają... Sam ci jej chciał, a kto się teraz z nią będzie pieścił...

Wtem Parfen nagle urwał, głową skłonił i szybko uszedł na stronę, a Płaza, widząc się sam, na zamek zawrócił.

Bietkę zastał w kożuszku zimowym, z chustą na główce, gotową do wyjścia.

— Szłam do was — rzekła smutnie — jestem niespokojna. Nie miałam jeszcze czasu się do

was przywiązać, a już czuję, że tęsknić będę. Zawsze opieka męska siłę jakąś daje. Jam się bez niej obchodzić nawykła była, a teraz...

Szli więc razem na róg Piwnej ulicy, gdzie nikogo nie zastali, bo Bielecka po kumoszkach i po sklepach biegła, a szafarz biedował ze spiżarnią pańską, w której zawsze czegoś brakło.

Najwięcej zaś pieniędzy.

— Z tą nową królową — poczęła Bietka — już naprawdę nie, wiem, co oni myślą. Chcieli z początku jej przybycie przyspieszyć, król na gwałt już do Gdańska się wybierał, nagle teraz po tych listach, których treści nikt nie wie, ostygło wszystko. Królowę chcą powoli wieść i dać jej spoczywać. Sami nie wiedzą, kogo jej za marszałka wyznaczą. Nikt się nie napiera... Widzę po twarzy panny Amandy, że poweselała i coś sobie lepszego tuszy niż przedtem. Król się jej już chciał pozbyć ze dworu, za ubogie książątka wydając; teraz ona się krzywi i za mąż nie chce niby...

Tak bardzo królewicza kocha, tak się gotowa cała dla niego poświęcić...

Bietka rozśmiała się.

— Tej biednej królowej przyszej — mówiła dalej — coś się stało pewnie niepomyślnego.

Ktoś jej tu stołka przystawił, nim jeszcze przybyła. Król, słyszę, na wizerunek jej, który ustawicznie chciał mieć przed oczyma, ani patrzy, nie mówi o niej wcale, a Pac znowu krząta się, aby go rozerwać, a nasza terażniejsza królowa spodziewa odzyskać... A, ta Niemkini! — mówiła dalej Bietka. — Jakie to przewrotne, jak dumne! Wiemy przecież przez stare sługi nieboszczki, z którą tu Amanda przybyła, że z prostych ludzi pochodzi, a dzieckiem ją dla piękności wzięto za

towarzyszkę do cesarzówny. Teraz się tak nosi, jakby sama arcyksiężną była. Kto wie, o czym marzyła i marzy? Był czas, że król bez niej wytrwać nie mógł, teraz ostygł bardzo... Już mu czegoś świeżego potrzeba i jak u nich wszystko cudzoziemskie najsmaczniejsze, tak i na faworytkę muszą z zagranicy chyba sprowadzać. Z naszych dziewcząt podstawki tylko, gdy już nic innego nie ma...

Złośliwie tak i swobodnie paplała Bietka, ale czuć było, że gorzko jej przychodziło teraz

ojca pozbyć, samej zostać i czekać na nową królowę, na którą rachowała zawczasu.

— Długo wy możecie pozostać w tej podróży? — spytała w końcu ojca.

— Rad bym i ja to wiedział — odezwał się Płaza wzdychając. — Mówiłem ci, że mam tam

trochę jeszcze grosza przychowanego, ale to nie tak jak u nas, co się do klasztoru albo kościoła powierzy... Musiałem zakopać w ziemię, bo ta jedna nie zdradzi. Teraz trzeba tak dobyć, aby nikt nie podpatrzył, bo dla pieniędzy zabić mogą, trzeba zabrać z sobą i aż tu doprowadzić! Bietka się za głowę pochwyciła.

— Aż mi strach myśleć! — zawołała. — Ale gdyby się wam najszcześliwiej powiodło, ile

na to czasu trzeba?

Zadumał się, licząc, Płaza. Ano podróż nie dawała się obliczyć. Dostyc było kaprysu

końskiego, aby ją przeciągnąć. Wprawdzie ten brzydki i niepozorny szkapa, na którym się tu dostał, żelaznym był, ale i żelazo się kruszy.

Płaza odpowiedzieć nie umiał.

— Toć pewna — rzekł po długim dumaniu — że ja i godziny nie zaśpię.

Na tę poufną rozmowę wpadła powracająca z miasta Bielecka, cała jeszcze

rozgorączkowana czynnie spędzonym porankiem.

— Cóż ty z zamku przynosisz? — zagadnęła Bietkę.

— Ja z próżnymi rękami przychodzę — odpowiedziało dziewczę. — Król chory... i po

wszystkim.

— Gdybym ja była na miejscu waszym — z wyrzutem poczęła pani Łukaszowa — już bym

tej tajemnicy dobyła pewnie, bo mi tego nikt nie wmówi, żeby jej król nie miał zwierzyć nikomu prócz Kazanowskiego i Pstrokońskiego. Młody Pac, który dla was, moja panno, dałby się obwiesić, wie na pewno albo się domyśla. Dosyć by jednego całusa, aby dobrać z niego...

Płaza się wzdrygnął.

— Ależ pani moja — rzekł — wiecie, jak to idzie, od całusa się poczynają...

— I co dalej? — przerwała rezolutna mieszcza. — Niekoniecznie za tym idzie, aby się

więcej nad całus dawać miało... A rozum od czego?

Bietka pokręcała głową.

— Całusa — rzekła z minką poważną — cała sztuka zawsze niby przyrzekać, a nigdy go nie dać, ale z Pacem... Któż go wie? Wczoraj był jak wosk miętki, a dziś już u panny Amandy w usługach, bo wiatr pquwał inny...

— Co? — zawołała Bielecka. — Król by do niej miał powrócić? Bietka dała znak potakujący.

— Na jak długo, nie wiem, ale od tych listów znowu do niej przystał. Kazał się z krzesłem nieść do niej wieczorem i pozostał tam na wieczerzę, gdy już Zygmus dawno spał, choć to się zowie, że król tam synaczka odwiedza... Ale tak on go kocha jak Amandę, jak nieboszczkę królowę i wszystkich! Nie wiem, czy kogo miłował kiedy... Fantazje ma tylko. Królowej Cecylii gorzkie było życie z nim, oplakała je nieraz.. Pokochał ją dopiero, gdy utracił, a gdy ją miał, mało co szanował. Naówczas już panna Amanda chciała Urszulę Meyerin udawać, ale głowa nie po temu.

Piękna jest, to prawda, ale i ten wdzięk już przekwita. Teraz ona książątka nie chce i droży się, a potem jej i chłop nie zechce. Dosyć, aby królowa z sobą piękną jaką Francuzicę przywiozła, pójdzie panna Amanda w kątek...

— Ależ królowa sama — dorzucił Płaza — piękną jest i potrafi sobie pewnie starszego daleko małżonka serce pozyskać.

Dziewczę nad swój wiek rzeško przerwało ojcu:

— Zapominacie, że żoną jego będzie! Żony długo kochać nie potrafi, bo ją zawsze u boku

swego mieć może, a jedna potrawa się przejada...

Bielecka śmiać się poczęła i ścisnąć Bietkę, ale ojciec zmarszczył.

— Nadto ty masz rozumu na twoje lata — szepnął.

— Rozumu? Nie — odparła śmiało córka — ale doświadczenia mam dosyć. Oni wszyscy tacy. Owoc zakazany najsmaczniejszy zawsze.

Płazę to szczebiotanie w końcu rozchmurzyło.

— Dziecko ty moje — rzekł — jeżeli Biblii wierzyć, owoc zakazany nie nam, a wam niewiastom najpokuśniejszy. Adam by go nie zrywał, gdyby nie jejmość.

Śmiali się wszyscy. Wtem wszedł Bielecki poważny i zasepiony. Nie nowina go była, takim widzieć, gdy z zamku powracał, bo się z kucharzami nagryźć zawsze musiał dużo.

— Czołem — zapytał Płazy — a co, jedzicie?

— Zdaje się — rzekł gość skłaniając się — a was też od załogi naprzykrzonej uwolnię.

— A, nie naprzykrzyliście się nam! — przerwała Bielecka. — Teraz w domu będzie się wydawać pusto. Wracajcie ino rychło!

— Byłem mógł — szepnął Płaza, który na córkę patrzył. Bielecki się dokoła obejrzał.

— Nic ci ja nowego nie wiem — szepnął — a przecież więcej może niż wy... Marszałek

Kazanowski zwierzył się czegoś żonie, jejmość mówiła księdzu, ksiądz bratu i ot... zaczyna się coś wykłuwac... Porwała się Bielecka.

— A, mówże, człowiecze! — krzyknęła. — Tyś na kata stworzony!

— Tyle wiem — dodał Bielecki — że listy owe, które króla tak zgryzły, wprost przysły z

Francji, i to od nieprzyjaciół królowej. Potwarz na nią, słyszę, rzucają, iż kochanków miała, o których wiedzieli wszyscy...

— A król nie miał kochanek? — oburzyła się pani Bielecka.

— Z tym wszystkim nie wiadomo jeszcze, na czym się to skończy — ciągnął dalej Bielecki.

— Król prawdę czy potwarz tak pono wziął do serca, że z początku Kazanowskiemu powiedział, iż ją nazad odeszle do Francji. Ledwie go marszałek opamiętał, że w listach złość i zemsta jawna,

którym tak ślepo wiary dawać nie można... Ale burza się rad nieszczęśliwą panią zbiera wprzód jeszcze, nim przybyła. Kazanowski tym króla nieco pohamował, iż mu rzekł: „Mężczyzna czy kobieta, która w tak podły sposób zdradza i donosi, czy może na wiarę zasługiwać?” Pójdzie więc wszystko swym porządkiem do przyjazdu królowej, do wyjaśnienia tu na miejscu, ale co za małżeństwo może być z tego, gdy się ono od takiego kwasu zaczyna?

Bietka się też wtrącała:

— Któż wie, ta niegodziwa Niemkini, Amanda, może jest albo sprawcą, lub pomocnicą, bo ona zawsze jeszcze się spodziewa, że króla znowu opanuje i już go nie puści nigdy. U nas to wszystko być może. Niemka gotowa była listy wymyśleć, aby króla do żony zrazić i pozostać przy nim. Królowi też Pac i drudzy wmówią, że z Amandą, gdy ona pozostanie, nie będzie potrzebował się rachować, bo ona go nie spyta, czy się z kim zabawiał na uboczu, czy nie, a królowa będzie zazdrośna. Życie terazniejsze wygodniejsze dla niego i dla tych, co korzystają.

— Nie domyślajcie się nadaremnie — wtrącił Bielecki — bo odgadnąć nikt nie potrafi, a wkrótce wszystko musi wyjść na wierzch jak oliwa. Panna Amanda się potrzyma jaki czas, ano przed żoną ustąpić musi. Kazanowski, Ossoliński, duchowieństwo, co jest poważnych ludzi, wezmą stronę królowej, sam król zechce-li od niej posagu na wojnę dostać, musi przecie się zbliżyć.

Francuzka też pewno rozum ma i tak się jak nieboszczka zawojować nie da.

— Tymczasem ludzie wodę mącą — dodała Bietka — i ryby w niej łowić będą.

Płaza zwrócił potem rozmowę na córkę, polecając ją Bieleckim.

— Ja otwarcie mówię — dodał — losu dla niej nadzwyczajnego nie żądam, byle uczciwego męża znalazła, choćby sobie ubogim szlachetką był, mnie dosyć. Myślę, że i ona ma rozum, i wysoko się wdzierać nie będzie.

— A ja, ja — odezwała się Bietka — na teraz o żadnym zgoła mężu nie myślę. Naprzód tę niegodziwą Niemkę muszę stąd precz wypędzić i z całym dworem, potem dopiero o sobie pomyślę.

Zobaczmy, jaką nam królowę przywiozą.

— Konterfekty jej widzieć łatwo, bo ich z Paryża przywieźli siłą, rozdają i sprzedają —

rzekł Bielecki. — Na nich ona piękna, ale kto wie, jaka żywa jest? To pewna, że już nie bardzo młodziuchna.

— I to pewna — dodała Bietka — że miała już wielkie małżeństwo obiecowane, bo jakieś

księstwo z sobą w posagu przynosi, ale podobno księstwa się teraz zrzekła za pieniądze, aby królewską koronę pozyskać.

— Lada dzień — rzekł Bielecki — dowiemy się więcej, bo z' tych, co we Francji byli,

poczną powracać niektórzy, a królowa od Gdańska bardzo będzie jechać pomału i odpoczywać.

Mówią, że w jednym miejscu nawet parę tygodni zabawi dla lekarstw jakichś, które ma brać. Król także chory, do ślubu by o swej mocy nie stanął. Dobry jeszcze kwartał upłynie, nim my ją tu ujrzymy.

— Ja temu najbardziej rad będę — odezwał się Płaza — bo we trzy miesiące i ja też tu

powrócić mogę, jeżeli Pan Bóg mi wrócić dozwoli.

Przez cały wieczór tak rozprawiano o sprawach bieżących, aż do odejścia Bietki. Płaza

przrzekł, iż choćby mu nazajutrz listy oddano, nie wyruszy aż pojutrze.

— Sanna się ściele — dodała, śmiejąc się, Bielecka — więc my kuligiem was

odprowadzimy choć na Pragę, do kaplicy loretańskiej, a tam pomodliwszy się, ruszycie już w imię Boże.

Stawił się Lasota do kanclerskiego pałacu na godzinę naznaczo- ną. Tu czekał już na niego

młody komornik Ossolińskiego. Listy były gotowe, które Płaza z poszanowaniem w jedwabną

chustką paradną kozacką zawinął i dobrze za nadrą umieścił. Wręczono mu też złotych sto niedobrą monetą na Szląsku fałszowaną na drogę, za które pokłonić się musiał. Za czym młodzieniec dobrej drogi życzył i z pałacu odprawił, winem uczęstowawszy.

Me było już więcej co czynić, tylko konia na nowo podkuć, sakwy związać, co potrzeba na

drogę przysposobić przez ten dzień, a następnego, jak się rzekło, wyruszyć.

Ksiądz Stoczek, dowiedziawszy się, że go Bieleccy z córką do kaplicy loretańskiej

odprowadzać mieli, ofiarował się też tam znaleźć i litanię dla nich odśpiewać na intencję

szczęśliwej podróży.

Dopiero teraz, wobec tej nieuniknionej konieczności porzucenia dziecka, puszczenia się w

niebezpieczną drogę, serce staremu boleśnie się bardzo ścisnęło. Zdawało mu się, że nigdy chyba na powrót się tu dostać nie potrafi, i gdy Bietka przyszła, rozpłakał się jak bóbr. Ona też, choć do łez nieskłonna, zapłakała i strwożyła się; tylko Bieleccy, którzy nie przewidywali niebezpieczeństw

żadnych, ducha i męstwa dodawali.

Szafarz życzył konia wierzchowego do sanek przywiązać albo nawet zaprząć i zamiast konno na terlicy, sankami się w podróż puścić dla pośpiechu. Rada wcale złą nie była, a gdy się jeszcze znalazł mieszczanin, który do Brześcia jechał i Płazę z sobą zabrać się ofiarował, złożyło się tak, iż Kozak konia mógł puścić luzem. Pośpieszając dnia tego, Parfenowi musiał się jeszcze opowiedzieć, który zrazu ofiarował się towarzyszyć Płazie przez część drogi, potem namyślił się i pozostał.

Do dnia o naznaczonym terminie wszyscy tedy naprzód na Pragę z rana do kaplicy loretańskiej podążyli.

Była ona zbudowana tuż przy kościele księży Bernardynów, na wzór znajdującej się w

Lorecie, ozdobnie i kosztownie, bo się do niej królewska rodzina przyczyniała; ołtarz zwłaszcza wielki, w którym obraz Matki Boskiej, według Łukasza świętego, oprawiono, jaśniał ofiarami bogatymi. Naprzeciwno wizerunek Chrystusa na krzyżu widać było. Za ołtarzem pobożni mogli

ogłądać wszystek ten sprzęt prosty a ubogi, który wedle tradycji w domu rodziny świętej miał się znajdować, okienko pozdrowienia anielskiego, stoliczek, ławeczki, Kuchenkę, garnuszczyki i sławne dzwonki loretańskie.

Przed ołtarzem tym Matki Boskiej ukląkłszy, ksiądz Stoczek zanucił litanię, którą wszyscy za nim pobożnie odśpiewali, a przed kapliczką, u muru, który ją od ulicy dzielił, nastąpiło pożegnanie.

Tu dopiero i Bietka się rozplakała na dobre, ojcu na szyję rzuciła, zaczęła wołać, aby powracał — i Płaza, zmiękłszy bardzo od tych łez, puścił się w drogę.

Parfen, który ani do kaplicy nie chciał iść, ani się pokazywać, dopiero dobrze za

Skarzyszewem na gościńcu czekał na Płazę i konno przy saniach jadąc, towarzyszył mu spory drogi kawał. Gdy mu w końcu nazad do miasta zawrócić przyszło, Kozaczysko aż kląć począł swą dołę, która go tu przykutym trzymała, zazdroszcząc Płazie, iż do Kosza powracał. Potem nagle, nie żegnając go, konia szarpnął, nawrócił w miejscu i jak szalony popędził do Warszawy.

Płaza, do wieczora pograżony w dumaniu, ani się ruszył, ani zagadał, ani dał znaku życia.

Dopiero gdy na noc stanęli, czarkę gorzałki wychyliwszy odetchnął i oczy mu na świat się zdawały otwierać.

ROZDZIAŁ II

Tegoż wieczora król się jakoś lepiej czując, bo mu w nogach boleści owe wielkie ulżyły,

odprawiwszy kilku obcych pułkowników, z którymi o zaciągach się naradzał, o zmroku się kazał nieść z krzesłem do syna.

Mały Zygmunt miał na tymże piętrze pomieszkanie wraz z panną Amandą i całym swym kobiecym i męskim dworem. Przeważali tu cudzoziemcy, jak wszędzie, chociaż chłopak chętnie po polsku mówił i chadzał w stroju, który mu był bardzo do twarzy.

Dziecię prawdziwie pańskiej krwi, ślicznego, szlachetnego oblicza, śmiałego wejrzenia, żywe, wesołe, obiecywało wiele. Wszyscy je i nienadaremnie podziwiali. Uczył się łatwo, pamiętał doskonale, a nade wszystko ochotę miał do ćwiczeń rycerskich, co ojca radowało. Sześciolatek, na koniku już w podwórzu piaskiem grubo wysypanym toczył tak zręcznie, jakby się z tą umiejętnością narodził; małą kopią, którą dla niego umyślnie zrobiono, wywijał, do tarczy godząc na podziw staremu nauczycielowi, szabelką robić się uczył i najmielszą zabawą było rycerza udawać. Niecierpliwił się, że powoli rósł, dźwigał, jak mógł, na palce, wyciągał i dowodził, że bardzo prędko wyrosnąć musi, bo chce tego!

Śmiali się ci, co tego argumentu słuchali, ale chłopak w siłę jego wierzył.

Dumne było chłopię, szczodre bardzo, a razem miłe i serdeczne, i gdy się przypodobać chciało, nie było człowieka, co by się w nim nie kochał. Ciężyla mu opieka panny Amandy, którą szanował i słuchać jej musiał, nie czym innym jak tym, że kobiecą była i dzieckiem go czyniła.

Obcował też chętniej z dworzany, którzy zawczasu sobie łaski jego skarbili.

Jak zazwyczaj, gdy króla oznajmiano wieczorem, zapalały się świece we wszystkich świecznikach, przywoływano Zygmunusia ustrojonego, wychodziła panna Amanda poważnie, ale zalotnie ubrana, czasem jeszcze któraś z kobiet stawiała u progu, paziowie za drzwiami, i króla hajducy wnosili z wielkim krzesłem do pokoju, w którym na kominie ogromny ogień płonął.

Zastawiano tu przekąskę i łakocie wieczorne, których czasem król pokosztował, najczęściej jednak lub kubkiem lekkiego wina, albo winem z wodą i cukrem się ograniczał, rozmowę prowadząc naprzód z synem, potem, gdy ten odchodził na zabawę, z panną Amandą.

Z tą król mówił po niemiecku, bo choć kilku językami z łatwością władał i wyrażał się swobodnie, niemiecki mu macierzystym był, tym pierwszym, którego się w kolebce nauczył

jeszcze. Do polskiego był przywykłym bardzo, ale była to mowa wyuczona już potem, która mu z rodziną nigdy do zamiany myśli nie służyła. Matka mówiła z dziećmi po niemiecku, ciotka i macocha nigdy się nawet po polsku nie uczyła i nie kryła się ze wstrętem do Polaków i ich języka. Opiekunka zastępująca mu matkę, dobra, serdeczna Urszula Meyerin, Niemką też była do szpiku kości.

Cały dwór ów szwedzki Zygmunta III skutkiem małżeństw daleko bardziej był niemieckim niż szwedzkim. Inne języki: włoski i francuski, europejskie i dworskie powszechne, nieobce były Władysławowi, ale mowa niemiecka im wszystkim przodowała.

Od dawnego już czasu król życie nosił jak brzemień — znudzony był, obojętny i jedna jeszcze tylko nie zerwana struna w duszy jego brzmiała: marzenie wielkości, sławy, potęgi... - Najdziwniejszymi kombinacjami politycznymi chciał zdobyć tę wielkość upragnioną.

Dwie już korony stoczyły się bezpowrotnie z jego skroni, chwilę nawet Francja łudziła go cesarską, teraz pogrom pogan, wygnanie ich z Europy, zagarnięcie po nich spuścizny było już jedynym marzeniem, do którego urzeczywistnienia z gorączkową niecierpliwością rwał się

Władysław. Nie chciał tego dojrzeć ani zrozumieć, że jako elekcyjny król Rzeczypospolitej do takiej wojny, jaką chciał rozpocząć, był w najniepomyślniejszych warunkach, związany, zależny, dozorowany, niewolny.

Namiętność zawsze człowieka ślepym czyni, a w królu wojenne plany te stały się namiętnością i oślepiały go. Zdawało mu się, że pokona w kraju opór, że szlachtę pociągnie, że ją nakłoni do wojny, a w ostateczności rachował na Kozaków, aby Turcję zmusili do kroków zaczepnych, a kraj do obrony...

Kazanowski się nie mieszał do polityki króla; zleniwiał, rozpieszczony, w duchu jej był pewnie przeciwnym, ale królowi nigdy w niczym nie zwykł był oponować. Prawą ręką, człowiekiem, na którego zręczności i talentach leżało wszystko, był istotnie przebiegły, rozumny, wymowny, energiczny a ambitny Jerzy Ossoliński.

Król go nie lubił, ale potrzebował. On był jego tajemnic powiernikiem i najposłuszniejszym narzędziem polityki we wszystkich jej zwrotach. Pochlebiał zręcznie, a w potrzebie umiał wmówić to, co uznawał koniecznym. Władysław IV na ostatek uwierzył w jego rozum i oddał mu się cały.

Nikt oprócz Ossolińskiego nie był tak panem najtajniejszej myśli króla. Zazdrościli mu

Kazanowscy, obawiali się go, ale nie porywali się do próżnej walki. Kanclerz tworzył te awanturnicze plany, w których spełnienie może sam nie wierzył, ale miał talent króla czynić ich twórcą, więc i odpowiedzialnym za nie.

Nie powiodło się Ossolińskiemu wprowadzenie orderu i zakonu Niepokalanego Poczęcia, który miał ze szlachty wydzielić podporę tronu arystokratyczną, musiał on sam zrzec się książęcego tytułu, ale ani król, ani on nie przestawali marzyć, iż demokratyczną Rzeczpospolitą przerobić potrafią. Środkiem ku temu była teraz ta wojna; wojna, na którą szła pod wodzą Władysława Wenecja, Moskwa, papież, Francja, któż wie, ilu jeszcze sojuszników. Mogliż przypuścić, że garstka ubogiej, biednej szlachty szaraczkowej olbrzymim tym marzeniem oswobodzenia chrześcijaństwa stanie na przeszkodzie?

Nie było tajemnicą dla nikogo to króla pragnienie, a ktokolwiek mu się przypodobać pragnął, ten fantazji tej przyklaskiwał. Znała ją też dobrze panna Amanda i gdy dnia tego król się wnieść kazał do niej, zastał Zygmunta nad wielkim papieru arkuszem, na którym jaskrawymi barwami pomalowany wizerunek króla wyobrażał go gniołącego nogami tłumy Turków i w ręku laurami opasaną podnoszącego chorągiew chrześcijaństwa. Rysunek był dziełem jakiegoś skromnego miłośnika, a zabarwienie go wykonał królewicz.

Gdy króla z krzesłem przysunięto do stołu i rzucić mógł okiem na leżący obrazek, uśmiechnął się. Piękna Amanda odpowiedziała mu uśmiechem.

— Najjaśniejszy Panie — szepnęła. — Sam królewicz żądał, aby mu to wyrysowano, i dziś cały dzień niemal farbami to malował. Dzieci mają przeczucia!

Król Zygmuntka po główce pogłaskał. Westchnął.

— Rad bym — rzekł półgłosem — łatwiejsze mu rządy pozostawić po sobie, rozwiązane ręce, szerokie państwo!

— I wszystko się to stać musi! — dodała Niemka, przypochebiając się i wdzięcząc. —

Chwila nadchodzi...

Król słuchał, lecz jakby roztargniony. Zadumał się, popatrzył na syna, ujął za rączkę Amandę i uściskał ją.

— Tyle mam trosk na głowie! — westchnął. — Wy znacie moje życie, wiecie, że ja się pracy nie wzdrygam; od rana mnie nachodzą, dają posłuchania przez dzień cały, ale nie mam szczęścia do ludzi i szczęścia w ogóle.

— A, Najjaśniejszy Panie! — przerwała Niemka gorąco. — Godziż się to mówić po tylu triumfach nieśmiertelnych, po tylu bohaterskich bojach?!

— Z których oprócz sławy nic mi nie pozostało — rzekł król. — Ostatni teraz wysiłek czynię.

Zamilkł spuszczać głowę.

Zygmunt patrzył na ojca, zdając się go słuchać, ale ani dosłyszeć, ani zrozumieć nie mogąc.

— Jak wyrosnę — zawołał — pójdziemy na Turka!

— Gdy ty wyrośniesz — przerwał król — Turków już być nie powinno w Europie! Da-li Bóg, stać się to musi.

— Zygmunt słuchał, ale nagle król rozmowę umyślnie przerwał i zwrócił.

— Gdzie Pac? — zapytał.

Jakby tylko czekał na to, aby go zawołano, wojewodzie stanął w progu. Było to dziełem przypadku, a mogło się wydać obrachowanym.

— Nic nowego? — zagadnął król. — Listów żadnych? Niemka wtrąciła:

— Wieczorem nie powinno być listów. Zdrowie Najjaśniejszego Pana to najdroższy nasz skarb. Niepokoić się przed snem, gdy odpoczywać potrzeba...

Paź potwierdził, że listów nie było.

— Do Radziwiłła wysłaliście?

— Jeszcze rano wyjechał posłaniec.

— Trzeba, ażeby mi co dzień znać dawano o podróży — szepnął król chmurno. — Słyszę,

że pani posłowa, ciągle o swą godność troskliwa, nudzi kwestiami etykiety. Cóż to będzie, gdy Karol tam przyjedzie?

— Radziwiłł ma wiele doświadczenia, taktu, powagi, i sędzę, że wszystkie te trudności załatwi, o które Wasza Miłość wcale się nie powinniście troszczyć.

— W ogóle o nic — przerwała Niemka. — Cóż tak strasznego, że się jedna stara Francuzka nadaśa?

Nastąpiło krótkie milczenie. Królewicz Zygmunt niespokojnie się zakręcił, jakby kogoś szukał, spytał u drzwi paziów i wybiegł z nimi. Z tej chwili król skorzystał, aby wcale nie zważając na Paca, po twarzy pogładzić Amandę, poklepać ją po ramionach i poszeptać jej coś, przyjętego rumieńcem.

Nagle Zygmunt powrócił mocno poruszony, podbiegł do ojca, stanął przed nim, wziął się w boki i zapytał go:

— Nieprawdaż? Ty jesteś królem i panem?

— Tak jest! — odparł Władysław.

— Możesz rozkazać i wszyscy cię słuchać powinni? — mówił Zygmunt.

— Wszyscy, nawet ty — dodał, śmiejąc się, król.

— Rozkażże im natychmiast, aby ta niegodziwa Bietka, która się gdzieś ukryła, przyszła tu i bawiła się ze mną. Ja ją lubię!

Uśmiechnął się król.

— Gust masz niezły — rzekł — gdzież jest ta Bietka? Amanda zmarszczyła brwi i zacisnęła usta. Pac, nie chcąc snadź odpowiadać, cofnął się w tył. Nastąpiło milczenie. Zygmunt królewicz tupął niecierpliwie nóżkami.

— Cóż się z nią stało? — żartobliwie powtórzył Władysław, zwracając się do Amandy, której twarz wyrażała gniew i oburzenie.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwała się wreszcie, wybuchając i zapominając o dziecku, które słuchało. — To jest całkiem zepsute, zdiczałe, nieposłuszne, nie do prowadzenia dziewczę. Od dawna chciałam się go pozbyć.

— O, ja na to nie pozwolę! — wtrącił królewicz. — Ona się doskonale umie bawić ze mną i

opowiada mi historie, które ja lubię.

Król się też niecierpliwie zaczynał i widząc, że ze strony Amandy na długi Wywód się zanosilo, spojrzal na Paca; ale ten, milczacy nie mial jakoś ochoty wyręczyć faworyty i cofnął się krokiem, a Niemka mówiła coraz żywiej:

— Sprzykrzyło się jej widać na dworze; mówią, że jakiś awanturnik ją przyznał za córkę.

Nie wiem... ale to pewna, że od rana jej nie ma, że bez mojej wiedzy wyniesiono jej rzeczy i ona sama znikła...

— Jak to być może! — zawołał król mocno oburzony tym, zwracając się do Paca. — Cóż to za porządek, a raczej nieład u mnie, ażeby służba mogła samowolnie...

Pac milczał, wskazując na Amandę, która się rzucała z gniewu, próżno tłumiąc go w sobie.

— Straty nie poniesiemy, gdy sobie pójdzie precz — dodała — ja dawno chciałam ją wypędzić! Zuchwałą była i nieposłuszną nad wyraz wszelki, nad wiarę; ja byłam cierpliwą nadto długo!

Królewicz Zygmunt, słuchający z uwagą wielką, wmięszal się.

— Amanda się z nią obchodziła jak z prostą służką, a to była moja dobra przyjaciółka!

Nie mógł się od uśmiechu król wstrzymać, widząc, z jaką powagą Zygmunt się ujmował za tą swą przyjaciółką.

Panna Amanda spojrziała na chłopca piorunującym wzrokiem, Pac zagryzł usta i pokręcał węża, a król, którego ten spór już nudził, potrząsał głową.

— Cóż się z nią stało? — zapytał.

— Nie wiem, dokąd uszła — odezwała się Niemka. — Bywała bardzo często u szafarza Bieleckiego, posyłałam tam po nią. Zaklina się jejmość, jej dobra przyjaciółka, że o niej nic nie wie.

Zygmunt nogą uderzył o posadzkę.

— Ty jesteś król — zawołał, podnosząc rękę i wyciągniętą ukazując na podłogę — rozkaż, niech natychmiast powraca, niech Amanda jej nie prześladowuje i niech się ona bawi ze mną! Ja starej Lipczycowej nie lubię, ona ma węży.

Oprócz Amandy, której gniew rósł, rozśmiali się wszyscy. Władysław się obrócił do Paca.

— Niepodobieństwem jest — rzekł — ażeby się tu w mieście skryć miała... Kazać jej szukać i przyprowadzić!

I pomyślawszy nieco, król dodał:

— Mówiliście o ojcu... Któż jest i skąd się wziął ten ojciec?

— O tym zapewne wojewodzie lepiej Jego Królewską Mość objaśnić potrafi — wtrąciła

Niemka, której król zadał pytanie. — Ja nie wiem. Bietka ta miała szczęście i wojewodzie się podobać...

— I memu synowi — dodał król zartobliwie, bo go zazdrośne gniewy Niemki bawić zaczynały. — Cóż chcecie, nawet mnie!

Amanda odskoczyła w głąb komnaty.

— Słuchaj, Pac! — zawołał Władysław — mówże! Jesteś pewnie lepiej świadomym niż wszyscy... Co się z nią stało? Wojewodzie się ociągał z odpowiedzią.

— Przyznał się do niej jako ojciec na mocy jakichś poszlaków — począł nareszcie —

szlachcic, który jak mi mówiono, świeżo z kresów, z Podola czy też z Nizu, powrócił. Być może, iż on nią rozporządził.

— Bez mej wiedzy? — zawołał król.

— Me raczyli mi też wcale się opowiedzieć — zamruczała Amanda.

— Szlachcic, który z Nizu powrócił! — odezwał się król zadumany i poruszył ramionami.

Pac milczał.

— Więcej nie wiem nic — dodał — dziewczę dosyć w istocie samowolne i kapryśne, a ładne... Któż wie, co jej do głowy przyjść mogło?

— Niepodobna pozwolić na to — przerwał król, spoglądając na syna — aby służba sobie

tak poczynała, jakby dwór królewski był zajezdną gospodą, do której zajezdza, kto chce, i precz jedzie, nie żegnając gospodarza. Z miasta się pewno nie wyniosła, każcie jej szukać, ja sam się z nią rozmówię. Widzicie, że Zygmunt tęskni za nią.

— Bo ona jedna z tych kobiet umie się bawić ze mną — rzekł chłopak.

Tym sposobem wieczór u panny Amandy został dla niej zatruty. Cofnęła się w kąć przyciemniony nadąsana, a król, widząc ją tak usposobioną, ziewnął i ręką tylko pożegnawszy, kazał się odnieść nazad do swej sypialni, Pacowi szepnąwszy, aby szedł za nim.

Zygmus, który już znał swą ochmistrzą i wiedział, co go czeka po odejściu ojca, natychmiast swym paziom oświadczył, że idzie do łóżka.

Gdy w sypialni króla zostali sami, król z Pacem, Władysław się zwrócił do niego, spodziewając szczerých objaśnień.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Pac — to są babskie sprawy... mówić o tym nie warto... Panna Amanda nie lubiła tego dziewczęcia... powiedzmy prawdę: postrzegła może, iż nie królewiczowi, ale samemu królowi Bietka wpadła w oko... Stała się zazdrosną i opryskliwą...

Uśmiechnął się król.

— Domyślałem się tego — szepnął. Pac żywo dokończył:

— Dziewczę musi się znaleźć, a panna Amanda pogodzić z nim. Spodziewam się, że to wszystko ułoży się łatwo...

Tu uśmiechnął się dwuznacznie.

— I królewicz Zygmunt odzyska swoją przyjaciółkę — dokończył.

— Nie wątpię i ja — rzekł król — że gdy się ty w to wdasz, przyprowadzisz to do porządku.

Umiesz sobie radzić z tymi babami, które za tobą przepadają.

Pac zaprotestował, ale król nakazał mu milczenie.

— Proszę cię, żeby Bietka powróciła — rzekł. — Ze wszystkich dziewcząt, które są przy

Amandzie, ta najładniejsza i najroztropniejsza. Niechże choć spojrzeć mam na kogo bez wstrętu I po krótkiej pauzie wtrącił:

— Mówiliście, zdaje mi się, że ojciec szlachcic? Szlachcianka więc?

— Tak słyszałem — rzekł Pac — ale cała ta historia odszukanego ojca wydaje mi się podejrzaną. O ile mogłem się dowiedzieć, szlachcic świeżo tu przybył od Kozaków z Niżu.

— A, czy nie len, który list do kanclerza przywiózł od atamana i starszyny? — podchwycił król, trochę się marszcząc.

— Tak się zdaje, bo mieszkał u szafarza Bieleckiego, który mi mówił, że od kanclerza miał go poleconym sobie.

— Co za plątanina! — przerwał król z niechęcią jakąś. — W tym wszystkim trzeba, żebyś lepszych zasięgnął wiadomości... Ja nie chcę się mięszać, rozumiesz? Dziewczę powinno powrócić.

Dnia tego skończyło się na wydanym rozkazie, a że Pac wszystkich oszczędzał, nikogo sobie nie chcąc narażać, od króla poszedł zapukać do panny Amandy, która już na pół rozebrana, narzuciwszy na siebie szeroką suknię ranną, przyjęła go jeszcze nie uspokojona i gniewna.

Pac cicho powtórzył jej rozkaz, jaki od króla odebrał. Niemka gniewała się na niego.

— Niegodziwe to dziewczę i starego nawet potrafiło ująć sobie — rzekła. — Ja nie chcę jej mieć tutaj. Pamiętaj o tym!

— Nie masz się o co obawiać — począł wojewodzie poufale bardzo, gdy zostali sami, obchodząc się z faworytą.

Nie zważając na jej dąsanie się i zły humor, usiadł w krześle wygodnie, wyciągnął nogi, ręce założył na głowę i słuchał jej narzekań, które szybko, niewyraźnie z pięknych ustek się sypały.

— Doprawdy nie rozumiem cię — rzekł w końcu. — Znasz doskonale króla... U niego to nie trwa nigdy długo, on potrzebuje spokojnego, nałogowego przywiązania, które by mu nie przeszkadzało do niczego. Pozostanie wam wiernym, ale mu fantazje podobne przebaczyć potrzeba.

Zresztą co do Bietki, powinnaś i z tego względu niewiele dbać o nią, że ona pewnie ani królowi, ani tu nikomu nie będzie powolną!

— O, och! — zakrzyknęła gniewnie Niemka. — Cóż znowu za cnota!

— Cnota? Ja nie wiem — odezwał się Pac. — Może rachuba tylko, ale że tak jest, jak mówię, za to ręczę.

— Dlatego, że wam była oporną! — rozśmiała się pogardliwie Amanda. — Ale to nic nie

dowodzi... nic a nic, bo ja wiem, że się godzinami zamykała z muzykantami od *capelli* króla...

Pac zerwał się z siedzenia zarumieniony i zdradził z tym, jak go Bietka obchodziła.

— O, to być nie może! — krzyknął. — Ktoś wam splótł tę bajkę! To do niej niepodobne.

Niemka dumnie spojrzała na niego.

— Co mówię, tego jestem pewną — dodała. — Me wspominałam o tym wprzód, bo cóż mnie obchodzi taka jakaś służanka!

Pac się opamiętał, iż nadto okazał zajęcia Bietką, udał więc obojętność, siadł znowu w krześle i rzekł śmiejąc się kwaśno:

— Może się uczyła muzyki... ale nie widzę pomiędzy śpiewakami i wirtuozami Jego Królewskiej Mości nikogo, co by wybrednej dziewczynie się mógł podobać.'

Złośliwa Niemka zwróciła się z przekąsem ku niemu.

— Są różne upodobania dziwaczne — zasyczała. — Ostatnia waćpana ulubienica zdradzała go przecież dla tego pomarszczonego jak jabłko karła nieboszczki królowej.

— Moja ulubienica! — wtrącił, ramionami ruszając, Pac i zaśmiał się wesoło. — Widzę, że dziś, droga Amando; nie potrafimy ani się zrozumieć, ni pogodzić; odłóżmy więc to do jutra... i dobranoć...

Pac chciał ją zapewne na mocy dawnych przywilejów pocałować, ale Niemka się dumnie cofnęła i z dala mu dała znak, aby wyszedł, co też wojewodzie, ziewając w progu, spełnił.

Nazajutrz rano nie on jeden, ale wszyscy, których Bietka ująć sobie potrafiła, a na dworze liczba ich była znaczna, puścili się poszukując, śledząc, dopytując, co się z nią stać mogło. Nie było to tak bardzo trudnym do wyszperania i wojewodzie dowiedział się, że Bietka schroniła się do Mingajłowej, ochmistrzyni Kazanowskich. Miał on tam stosunki, chociaż u marszałka łaski nie pozyskał, bo był o niego zazdrosnym.

Pewien tego, gdzie Bietki ma szukać, Pac natychmiast się do starej ochmistrzyni opowiedzieć kazał, nie wątpiąc, że przyjmie, odgadując, co go tam sprowadzało.

Mingajłowa, spytawszy naprzód Bietkę, co ma czynić, kazała prosić wojewodzica, który

wszedł do jej pokoju z wesołą twarzą i zastał w nim nie tylko staruszkę, ale dziewczę, które się

ukrywać wcale nie myślało. Pozdrowił naprzód ciwunową, którą wszyscy szanowali.

— Domyślicie się łatwo — rzekł — co mnie tu sprowadza, bo ja czasu mam niestety mało,

a służba królewska ani tchnąć mi nie daje, ale właśnie po tej służbie ja tu przychodzę. Sam król jegomość, królewicz Zygmunt, nie licząc nas, wszyscy się o uwiedzioną przez panią ciwunową pannę Bietkę upominają.

— I panna Amanda? — wtrąciła żartobliwie obżalowana. Pac się rozśmiał.

— Ta najmocniej — rzekł — to się rozumie. Lecz żart na stronę! Król się gniewa w istocie, a królewicz wczoraj tak wystąpił ze skargą do ojca, jakby nie siódmy, ale siedemnasty rok życia liczył.

— O, biedne moje chłopię! — westchnęła Bietka.

— Ja — dodał Pac, żywo kończąc, aby nie tracić czasu — ręczę panie Bietce za bezkarność, za przebaczenie; choć król się dąsa, ale powrócić potrzeba.

— Ani myślę — odparła zimno dziewczyna, główkę podnosząc. — Ja nie z własnej woli się tu przeniosłam, ale z rozkazu ojca. Ojciec mój wyjechał. On mnie oddał pani ciwunowej, ja jestem posłuszną tylko.

Pani Mingajłowa, na którą Pac spojrział, potwierdziła nie tylko poruszeniem, ale słowem.

— Tak jest, tak jest w istocie — odezwała się. — Ojciec jej- mościanki życzył sobie tego, prosił, nie mogłam mu odmówić. Pani marszałkowa się zgodziła na to, aby tymczasowo u nas pozostała.

— Zaczęłam już szyc w krosnach — dodała Bietka — nie mogę porzucić. Ichmość nie wiecie tego, iż nie ma dla nas kobiet gorszego znaku i przepowiedni, jak gdy robotę rozpoczętą przerywamy, nie doprowadziwszy jej do końca. Dowiedziona rzecz, że to znaczy, iż nigdy się na kobiercu nie stanie.

— Niech panna Bietka nie żartuje — odpowiedział Pac. — Król w istocie silnie o to nalega, aby ją mieć na dworze, choćby dla Zygmunta, który się o przyjaciółkę dopomina despotycznie. Na mnie złożono całą winę niedozoru, chociaż ja ochmistrzynią dotąd mianowany nie jestem. Król! — powtórzył Pac z naciskiem.

— Król? — przerwała Bietka. — Czy pan wojewodzie sądzisz, że ja się obawiam króla?

Nic a nic... Król jest daleko lepszy, niż wy go opowiadacie. Jam gotowa sama się stawić i tłumaczyć przed nim — ale wara, jeśli mi się wymknie jakie słowo dla Niemki lub dla kogoś tam niemiłe!

Pac się zasępił. Przybliżył się do Biety i szepnął, nic chcąc, aby ciwunowa posłyszała:

— Cóż znowu za historia z muzykami Jego Królewskiej Mości? Dziewczę myślało chwilę, twarzyczka jej poczęła się rozjaśniać, jakby się na śmiech zbierało, i spoważniała znowu.

— Z muzykami? Uczyłam się trochę muzyki — dodała — ale zdaje mi się, że ja do niej nie mam zdolności. Nauczyciel mi ciągle powtarzał, że nie mam ucha, chociaż mu ich dwoje pokazywałam.

I figlarnie zwróciła tak twarzyczkę ku Pacowi, aby jedno a potem drugie różowe jej uszko z bardzo pięknymi kulczykami mógł oglądać.

— Panna Bietka żartuje — odezwał się — a sprawa jest bardzo serio! Cóż, gdy król gwardię swoją naśle na pałac Kazanowskich i gwałtem zbiega odprowadzić każe?

— Zbiega? Zbiega? — odparło dziewczę. — Ale ja jestem szlachcianka i wolna!

— Tak — rzekł wojewodzie. — Jednakże byłaś przy dworze; nie porzucasz się go tak bez opowiedzenia.

Bietka pogardliwie krzywiła usta.

— Koniec końcem.— rzekła — panią ciwunowa nie męczcie, mnie nie namówicie do powrotu, a ja każdej chwili gotowa się stawić przed królem i tłumaczyć. Życzę jednak pamiętać, że ja dużo mówię i nikogo oszczędzać nie myślę, broniąc siebie. A gdybyście mnie, szlachciankę, słyszycie, chcieli porwać przeciwko woli ojca, i o tym życzę myśleć, że szlachta robi rokosze! A jak ja pochwycę rokoszową chorągiew...

Pac mimo woli śmiać się zaczął.

— W istocie — zawołał — za takim chorążym i ja bym gotów ruszyć... Ale nie żartujmy, król się gniewa, Zygmus się niecierpliwi.

— A ja wam słowo daję, że na dwór nie powrócę — odparła Bietka — przynajmniej teraz, przynajmniej póty, póki nowa pani nie przyjedzie, bo królowej Amandy ja nie uznaję!

— Tst — kładąc palec na ustach, zawołał Pac. — Wy w istocie rokosz podnosicie!

— Tak, ale jeśli się królowi jegomości podoba, gotowam... — rozśmiała się — jak się to nazywa, co szlachta podaje, gdy się skarży?

— Grawamina — wtrącił Pac.

— No, ja moje grawaminy — dokończyła — gotowam przed króla wytoczyć...

Najjaśniejszy Pan nie zechce pewnie, ażebym ja ojcu memu stała się nieposłuszną?

Pac próbował jeszcze skłonić Bietkę do powrotu i do jakiegoś pojednania z Amandą, ale uparte dziewczę oświadczyło, że winno ojcu naprzód posłuszeństwo i że to jest w dziesięciorgu bożych przykazań zapisanym.

— I bez żartu — dodała — jeżeli król zechce, ja z panią ciwunową dobrodziejką pójdę na zamek, a sama się wytłumaczę.

— Niech pan wojewodziec nie nalega — odezwała się stara Mingajłowa. — Ja istotnie poświadczyć mogę i zaręczam za to, że ojciec wymagał, aby ze dworu się usunęła. Dziecka do nieposłuszeństwa nawet król jegomości nakłonić nie może. Nie jest to fantazja jej główki, ale rozkaz rodzica.

Bietka ciągle głową potwierdzała. Pac na koniec musiał poprzestać nalegania, zamilkł, ale widać było, że odchodzi zakłopotany.

— Wszystko to — rzekł do Bietki oddalając się — spadnie na mnie... Król nie zechce wierzyć, a nie lubi, gdy się jego nie spełnia rozkazów.

Powróciwszy na zamek, wojewodziec czekał, aż król sam pozostał i po odejściu mnogich senatorów i urzędników wsunął się do sypialni, gdy już obiad podawać miano.

— Widziałem się ze zbiegłą Bietką — rzekł, przystępując do łóżka, gdyż król, jak zawsze, na obiad czekał, nie podnosząc się z niego.

— Gdzież ona jest? — spytał król ciekawie.

— Doskonałą sobie twierdzę wybrała — rzekł Pac. — Umieścił ją ojciec, jak świadczy ciwunowa Mingajłowa, ochmistrzyni pani marszałkowej Kazanowskiej, u niej i pod jej opieką aż do

swojego powrotu.

Skrzywił się król słuchając.

— Ojciec więc — wyjęknął kwaśno — nie ona...?

— Zdaje się, że i ona sobie tego życzyła — dodał Pac — bo z panną Amandą były ciągle spory.

Zmarszczony, kwaśny król spojrzął na wojewodzica, ziewnął, ręką poruszył.

— Bez mojej wiedzy z mojej służby i dworu — zamruczał.

— Dziewczyna gotową jest, jak mówi, sama się stawić i tłumaczyć — dodał Pac — ale będzie Amandę obwiniać... i to do niczego nie doprowadzi.

— A, niech zostanie, gdzie jest — odparł król z widoczną niechęcią i zniecierpliwieniem —

ja się w te sprawy kobiece wdawać nie myślę. Fraucymer prowadzi panna Amanda i ona za niego odpowiada. Jej wina, jeśli go utrzymać nie umie. Nie róbmy z tego dzieciństwa kwestii tak ważnej.

Nie życzę sobie, aby marszałkowa Kazanowska wiedziała o tym, że ja się w to wdaję, chociaż czynię to dla dziecka... Biedny Zygmunt przyjaciółki się wyrzec będzie musiał — dorzucił król na wpół szydersko.

Pac zmilczał. Rzecz zdawała się już załatwioną, gdy król po namyśle kazał się zbliżyć do łóżka wojewodzicowi. Wysunął szufladę stolika, w której zadźwięczały pieniądze. Pac szedł opornie.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — jeżeli myślicie o podarku dla Bietki, ona pieniędzy nie przyjmie, a ja będę narażony.

— Nie zostaniesz na nic narażony — rzekł król sucho. — Masz oto tych kilkanaście talarów, bo więcej nawet dać nie mogę, kup kulczyki lub noszenie na szyję i oddaj jej ode mnie. Od króla się to przyjmuje przecie bez obraży.

Skłonił się Pac w milczeniu.

— Lub lepiej jeszcze — poprawił się Władysław — oddaj jej to od Zygmunta.

Pac, wielce uradowany, bo wszystko się spokojnie kończyło, a on sam spodziewał się

zarówno w łaskach Amandy i panny Bietki utrzymać, natychmiast spełnił rozkaz króla i jak się to jemu i bogatszym dworzanom trafiało bardzo często, do podarku od królewicza, który mu się wydał za skromnym, coś dołożył z własnej kieszeni. W ten sposób noszenie na szyję, nie będąc wspaniałe, mogło przynajmniej być ozdobne i chwilowo ucieszyć dziewczę lubiące się stroić.

W parę dni powrócił z mm do pałacu Kazanowskich i udał się do pani ciwunowej.

Bietka siedziała z towarzyszką swą, panną Filipiną, nad krosienkami i zastał samą tylko staruszkę. Nastraszyła się zobaczywszy go.

— Cóż nam pan wojewodzie przynosi? — spytała trochę trwożliwie. — Pokój czy wojnę?

— Na teraz, chwała Bogu, przychodzę z pokojem — rzekł Pac. — Król bardzo żałuje, że

przy synu mieć nie będzie wesołej i ulubionej mu Bietki, ale wchodzi w jej położenie i ojca woli sprzeciwiać się nie chce. A na dowód, iż gniewny nie jest, polecono mi nawet w imieniu królewicza oddać pannie Biecie tę małą pamiąteczkę.

Uradowana staruszka przywołała zaraz dziewczę, które od krosien przybiegło całe

obwieszona jedwabiami. Postrzegłszy Paca, zachmurzyła się i cofnąć chciała, ale ciwunowa ją kilku słowami uspokoiła.

Bietka odetchnęła.

— Proszę królewiczowi podziękować — rzekła przypatrując się kanaczkowi, który w

rękach trzymając na różne strony obracała do światła. — Da Bóg, że może mu się odwdzięczę, gdy spod panowania Niemkini go wyzwolę, o co nie omieszkam się starać, choć z daleka.

wojewodzie się uśmiechnął z tej przechwałki.

— Z daleka będzie to trudniej niż z bliska, a nie udało się przecie, gdyś panienka była z

nami, dajmy więc pokój królowej Amandzie, bo ona i tak dosyć jest nieszczęśliwa. Gryzie się zawczasu przybyciem królowej.

— Niechżeby była swoje książątko zachowała na złą godzinę — dorzuciła złośliwa Bietka.

To mówiąc i nie chcąc przedłużać rozmowy, Płazianka z dala etykietalnym ukłonem

pożegnała wojewodzica, uśmiechnęła się szydersko i tryumfująca pobiegła się kanakiem chwalić przed Filipiną.

Ale w pałacu Kazanowskich jakże to wspaniałej potrzeba było rzeczy, aby się ona piękną

wydała!

ROZDZIAŁ III

W wiadomość o tym, co przyniosły owe tajemnicze listy z Francji, nierychło, ale się jednak rozchodziła w kołach bliższych dworu.

Pani Kazanowska dowiedziała się najdokładniej o tym od męża, a że oni tu oboje nie lubili panny Amandy, a z rachub ich wypadło być dobrze z przyszlą królową, pani marszałkowa mocno nad tym ubolewała, że spotwarzona pani przybędzie do rozgniewanego na nią zawczasu, zniechęconego małżonka nie przygotowana do obrony, nie obmyśliwszy środków, jakimi się oczyścić by mogła.

Marszałkowa jako kobieta brała na ślepo stronę królowej, w tak niegodziwy sposób przez nikczemnego człowieka mściwie prześladowanej. Wiedziała ona, że Francuz, co z listem tym oskarżającym wyprzedził przybycie Marii Ludwiki, mścił się na niej za to, iż ją posądzał o przeszkodzenie mu do świetnego małżeństwa z jedną z tych pań, które towarzyszyły jej do Polski.

Było to oburzającym. Wszystkie panie jak najgoręcej ujmowały się za królową i gotowe były z nią razem przysięgać, że jest niewinną. Kazanowska, żywego temperamentu, znająca najlepiej, jak często kobieta podać się może niesłusznie w podejrzenie, łamała nad tym głowę, jak by królowę uprzedzić, oznajmić jej o tym, co ją tu czekało, pomóc do zwycięstwa, o którym nie wątpiła.

I ona, i marszałek Kazanowski znali nadto króla, słabość jego charakteru przy całym despotyzmie, jaki wywierał na otaczających, dbałość o sławę domu, konieczność pojednania się z królową i przyjęcia jej choćby na pozór z oznakami przywiązania. Z Francji donoszono im o energicznym charakterze i świetnych przymiotach Marii Ludwiki, tym więcej przekonani byli, że ona nad słabym, chorym i zużyтым Władysławem weźmie górę.

Zdrową więc polityką było zawczasu sobie fawory pani zapewnić i okazać jej życzliwość, teraz gdy nikogo tu jeszcze nie miała. Marszałek sam czynnie się mieszać nie chciał w tę sprawę, ale żonie wcale przeszkadzać nie myślał, i owszem, gotów był dopomóc nieznacznie.

Zdaniem obojga państwa marszałkowstwa niezmiernie wiele zależało na tym, ażeby

królowa jak najprędzej się dowiedziała o tej. zdradzie i zrozumiała zmianę nagłą w postępowaniu męża, który te- raz, zamiast żądać przyspieszenia jej przyjazdu, wysyłał rozkazy, aby podróż i przybycie do Warszawy o ile można zwlekano. Za tłumaczenie służyła choroba, która króla trapiła,

lecz w istocie sam on nie wiedział, co pocznie. Walczył z sobą, czasami idąc tak daleko, że szukać chciał środków pozbycia się poślubionej już przez prokurę pani!

Wszystko to, co się tu działo w Warszawie, było tajemnicą dla młodej pani przyjeżdżającej z najlepszymi nadziejami, łudzącej się miłością króla dla jej wizerunku, o której szeroko rozpowiadano, gdy tymczasem Władysław kazał ten konterfekt zasunąć gdzieś Pacowi, aby na niego nie patrzeć.

Wiedząc, co ją tu czekało, przebiegła, zręczna, za jaką ją miano, Maria Ludwika mogła się przysposobić do walki i naradzić się o nią z panią posłową, marszałkową de Guebriant, o której rozumie, takcie, powadze i znaczeniu wiele już mówiono. W ciągu przedłużonej do Warszawy podróży królowa, świadoma tego, co się około króla działo, miała czas wysłanych naprzeciw nich dygnitarzy i urzędników pozyskać sobie i uczynić z nich swych stronników. Lecz do tego wszystkiego pierwszym, najważniejszym krokiem — królowę ostrzec co najprędzej. Potrzeba było posłać kogoś.

Zachodziła w tym jednak niezmierna trudność, bo oczy były zwrócone, o ruchu każdej znaczniejszej osobistości wiedziano, stronnictwo królowej Amandy stało na czatach, donoszono królowi. Pani Kazanowska tak mocno coś na to poradzić pragnęła, że się aż staruszce ciwunowej zwierzyła. Mingajłowa zaś gadatliwa mówiła o tym ze swoją Filipinką i Bietką.

Za drugim czy trzecim razem, gdy się o tym rozmowa wznowiła, Bietka, która paliła się żądzą pomszczenia na Amandzie i pomieszenia jej szyków, odezwała się ze swą otwartością dziecinną:

— Proszę pani ciwunowej, czy może być co łatwiejszego nad to, by królowę ostrzec? Ja się od dawna gotowałam do tego, żeby królowej Francuzce służyć, umyślniem się nauczyła po francusku. Gotowa jestem jutro, lada z kim ruszyć do Gdańska, a tam... oho, ręczę, że sobie radę dam i do królowej się dostanę.

Myśl ta wydała się tak dziką, zuchwałą i śmieszną, że Bietka za pierwszym razem, gdy się z nią odezwała, wyśmiana rozgniewała się i rozplakała. Ona to brała zupełnie za rzecz możliwą!

Zabawiając nazajutrz panią marszałkową, ciwunowa ze śmiechem jej opowiedziała, jak się to odważnie ta Bietka ofiarowała ruszać do Gdańska. Kazanowską to mocno zaintrygowało.

— Pokażże mi ty tego rycerza w spodniczce — odezwała się — który gotów w pomoc

uciśnionej pani z motyką na księżyc!

Skutkiem tego żądania śmiała dziewczyna nazajutrz stawiała się przed majestatem pani

marszałkowej Kazanowskiej. Był to w istocie majestat, pani bardzo piękna, wypieszczona, bogata, żona Adama, przyjaciela króla, wielbiona, czczona na kolanach. Nosiła się ona tak wysoko, że zaledwie tron nad sobą widziała.

Temu bóstwu taka biedna Bietka, dziewczę nieznane, robaczkiem się wydać musiało, ale

ona miała zuchwałość i odwagę, śmiałość słowa, gorące uczucie, które nie tylko na mężczyznach czyniło wrażenie. Marszałkowa, która sądziła, że ją ośmielać będzie potrzebowała, zdziwiła się, widząc taką butną i odważną, iż nieraz na usta zdumionej pani wywołała uśmiech sympatyczny.

Bietka poczęła od tego, iż z wielką fantazją odmalowała życie swe na dworze i panowanie

nad nim królowej Amandy, dla której była nielitościwą. Tłumaczyła swą niechęć dla niej nie osobistymi doznanyymi przykrościami i upokorzeniami, ale pogardą dla fałszywego charakteru i niegodnych intryg, jakimi zaślepionego króla otaczała. Opowiedziała potem o postanowieniu swym dostania się na dwór francuski, o nauce języka potajemnej. Wypowiadała się z tego cudownego wynalezienia ojca, które przyszło jej tak w porę, a gdy Kazanowską po trosze się wyśmiewać zaczęła z dziwnego projektu dostania do Gdańska, Bietka odparła żywo:

— Zapewne, że mnie tak samej jednej się tam dobić bardzo trudno, ale gdybym tylko

poważną jaką towarzyszkę znalazła!

Na próżno marszałkowa żartobliwie jej wszystkie trudności tego szalonego wybryku starała

się odmalować, Bietka miała na wszystko odpowiedź, a im więcej mówiła o tym, tym się mocniej rozgrzewała.

— Proszę pani marszałkowej — mówiła — królowej trzeba koniecznie oznajmić, co ją tu

czeka, a tego nie potrafi nikt zrobić nieznacznie, tylko kobieta... No, a jak ma być kobieta, czemuż nie ja? Druga by to zrobiła z polecenia, z rozkazu, a ja uczynię z własnego popędu, z przywiązania do królewicza i do króla. Prawda, że się może wydaję młodą, że mi może i zaufać trudno, alem się ja wychowała na dworze... Wszystkiego co trzeba nauczyło mnie to, com na nim wycierpiała.

Rozmowa z Bietką, która być miała rozrywką dla pani Kazanowskiej, w końcu ją mocno

obeszła i tegoż dnia opowiedziała o niej mężowi.

Kazanowski do niczego się mięszać nie chciał, powtarzał to ciągle, ale rad by był widzieć

kogoś przychodzącego w pomoc królowej.

— Od nas to wychodzić nie powinno — rzekł do żony — lecz gdyby jej kto pomógł dostać

się istotnie do Gdańska i zanieść tam ostrzeżenie, dlaczego by i tego środka nie próbować? Litość wprost zmusza tę biedną cudzoziemkę, przybywającą tu z najpiękniejszymi nadziejami, ostrzec, aby się nie łudziła. Król znowu dziś do księcia Karola list wyprawił, aby się nie śpieszono, pisał o tym do księcia Albrechta Radziwiłła, kazał oznajmić Denhofowi, podrażniony jest, gniewny... i burza zbliża się straszna. Obwinia wszystkich, że go oszukali, nie szcędząc francuskiego dworu. Zdaje mi się, że gdyby nie kilkakroć sto tysięcy talarów, którymi już rozporządził, nim przybyły, małżeństwo zostałoby rozerwane.

— A my zostalibyśmy pod przyjemnym panowaniem tej Niemkini, której by się w końcu kłaniać potrzeba.

Kazanowskiego twarz wyraziła pogardę i obrzydzenie.

— Nie mieszaj się do tego sama, nie mów z nią nawet więcej o tym, ale ciwunowa, ale inne

jej znane jejmoście gdyby dziewczę szukające służby u nowej pani wspomogły, cóż by w tym było dziwnego? Że się stara dostać do królowej, jest to rzecz naturalna, a bardzo być może, iż pożądaną będzie jej, jeżeli choć cokolwiek zna język.

— Mówi źle, rozumie dobrze — odparła marszałkowa — ale to taki temperament szalony,

taka wola silna, że ani wątpię, iż się wprędce i z językiem, i z dworem oswoi i będzie wśród niego jak w domu.

Wszystko to z początku snuło się jak bardzo nieprawdopodobne marzenie. Sama Bietka nie

sądziła, ażeby jej podróż mogła przyjść do skutku. Nie domyślała się tego, że zręczna i ostrożna pani Kazanowska, umyślnie unikając widzenia się z nią, ciwunowej potajemnie wydawała rozkazy i popierała śmiałą wycieczkę.

— Jeżeli się jej tak bardzo chce, niechaj jedzie! Owszem! Ty jej pomóż, moja ciwunowo,

ale ja, ja o tym ani marszałek nie powinniśmy wiedzieć. Moja dobra Mingajłowo, jeżeli znajdziesz kogo do towarzystwa tej dziewczynie...

Nikt dotąd nie pomyślał o kosztach oprócz Bietki, która na serio już w podróż się wybierała.

Wyprosiła się na mszę świętą do Świętego Brunona.

— Ale po cóż do Świętego Brunona, kiedy Bernardyni pod bokiem? — spytała ciwunowa.

— Bo ja się muszę widzieć z księdzem Stoczkiem, przyjacielem ojca.

Dobrawszy sobie służankę, nazajutrz już biegła do Świętego Brunona, wpadła do kościoła, do szkółki, wyszukała księdza i z gorączką mu zaczęła opowiadać, co zamierzała.

Ksiądz zrazu ofuknął ją łagodnie.

— A co ci się mięszać w cudze sprawy? Co to do ciebie należy? Ani wiek, ani rozum, ani nic cię do tego nie upoważnia! Pocziwe wścibstwo, ale ja na to nie pozwolę.

Bietka porwała się bronić swej sprawy.

— Jak to, proszę księdza dobrodzieja?! To my będziemy na to patrzyli, jak na naszą panią zasadzkę czynią, aby ją zgubić, i będziemy złym ze strachu pomagali milczeniem? Pewno, że wygodniej siedzieć za piecem, niż iść się dać podrapać i zabłocić, ale Pan Bóg przykazał bliźnim służyć.

Stoczek poczynął się śmiać, było to dobrym znakiem.

— O, to z jejmościanki rycerz! — zawołał. — Ale ja jestem *quasi* opiekun.

— Mnie się nic nie stanie, głowy mi za to nie zdejmą — mówiła Bietka. — Ja bądź co bądź pojedę do Gdańska. Towarzyszkę staruszkę jaką poważną znajdę, a jak mi jegomość z pieniędzy ojcowskich nie dasz, sprzedam do ostatniego pierścionka, pójdę bodaj piechotą.

— Byłoby to bardzo pięknym — odezwał się ksiądz Stoczek — gdyby ta twoja cnota wielka i miłość bliźniego nie miały źródła w paskudnym uczuciu zemsty. Ty tego sama nie czujesz może, ale ja to widzę.

Bietka spuściła oczy.

— Może to być — odpowiedziała cicho — a niemniej ja złego nic nie zamierzam i nie mam na sumieniu.

Ksiądz Stoczek badał, pytał, uspokajał, nawracał i skończył na tym, że sam przyjdzie się rozmówić z panią ciwunowa.

— Czy mam sprzedawać moje klejnoty? — zapytała go szydersko.

— Nie śpiesz się — rzekł ksiądz. — Zamiast myśleć o tym, pomódl się, pomódl, wezwij w pomoc Ducha Świętego, a nie puszczaj sobie cugli tak bardzo. Niewieście to nie przystało.

— Ojczy mój — całując go w rękę, odezwała się Bietka. — Byłam sierotą, sama musiałam

myśleć o sobie, dlatego dziś wydaję się wam zuchwałą. Gdybym mniej odwagi miała, kto wie, co by dziś już działa się ze mną.

Ksiądz nad głową jej krzyżyk zakreślił.

— Ot, to mnie ten Wierzbęta obarczył opieką — i westchnął — to szalona dziewczyna!

Po rozmowie z ciwunową jednakże Stoczek spokojniej się zaczął zapatrywać na całą tę sprawę, nie obwinał tak bardzo Bietki; zawsze jednak wolałby był, żeby spokojnie siedząc, tu na powrót ojca czekała.

— Proszę pani ciwunowej dobrodziejki — mówił do niej — a nuż powróci ten Wierzbęta, chcę mówić Płaza, i spyta mnie: „Gdzie córka, którą ci powierzyłem?” Co ja mu odpowiem?

— On ją przecież i mnie powierzył — odpowiedziała staruszka — i wierz mi, ojczy, że ja nie mniej się o nią troszczę, ale nic jej nie zagraża, a dobry uczynek spełni się przez nią.

— Jakże ona to potrafi? Roztrzepana taka! — wzdychał Stoczek.

— O, o! — mówiła uspokajając staruszka. — Ona mi się też taką wydawała w początkach, ale gdy potrzeba, tak się umie miarkować...

Sama potem Mingajłowa dla siebie przez dworzan Kazanowskiego poczęła szukać okazji do Gdańska. Wprawdzie stosunki między stolicą a miastem portowym, najważniejszym w

Rzeczypospolitej, tą potęgę handlową i ogniskiem wielkiego życia, były niezmiernie ożywione, ale w tej porze właśnie, gdy zima trzymała jeszcze, lądem nie szły tam karawany i mało kto się wybierał. Ze szlachty jechało dosyć na spotkanie uroczyste w różnych miejscach królowej, o ile można było przewidzieć kierunek podróży, lecz to więcej zastraszало, niż ułatwowało dostanie się do Gdańska. Panowie zbierali poczty, aby z nimi witać przyszlą panią swoją, zresztą z Warszawy tylko gońcy z listami od króla przesuwali się po gościńcach.

Ciwunowa miała dosyć trudności, nim w końcu napytała żonę kupca gdańskiego, Rebisza,

która od rodziny do męża powracała. Jejmość jechała z dwojgiem dzieci, było jej więc na rękę mieć dziewczę do pomocy przy nich. Była to kobieta spokojna, nie bardzo zdrowa, bojaźliwa, skarżąca się ciągle, której towarzystwo śmiałej i rezolutnej Bietki dobrze posłużyć mogło. Zgodziła się więc chętnie na zabranie jej z sobą pod niezbyt ciężkimi warunkami.

Bietka mało nie oszalała z radości. Natychmiast poczał się wybór w tę drogę, która jakby

ureczywistnieniu snu jakiegoś wydawała się dziewczęciu. Nie pomyślała o tym nawet, jak

przybywszy do Gdańska potrafi się dostać do królowej — zdawało się jej to najłatwiejszym. Dotąd tak się powodziło, iż nabrała wiary w siebie, choć i tak jej na niej nie zbywało.

Z Warszawy nie mogła mieć polecenia od nikogo, obawiano się go dać.

Uściskawszy ze łzami razem i śmiechem starą Mingajłową, jednego zimowego ranka siadła

Bietka do sani z panią Rebiszową i jej dziećmi, młodsze z nich wzięwszy na kolana, i w imię Boże puściła się w tę podróż awanturniczą, dumna tym, że ona — ona biedna, nieznana dziewczynina — jedzie ratować królowę!

Ksiądz Stoczek błogosławił zadumany, opierać się nie mogąc, ale do końca przeciwny i smutny.

Dziewczęciu teraz o nic już nie szło, tylko o pośpiech, aby co prędzej dostać się do

królowej. Ale podróż zależała od śniegu, mrozu, gościńców i koni, ciągnęła się więc dłużej, niż rachowano; Bietka miała więc czas bliżej się zapoznać z Rebiszową i przyjaźnić z jej dziećmi, pozyskać sobie, tak że po dniach kilku były już na stopie poufałej i serdecznej. Kupcowa jednak nie wiedziała nic więcej nad to, że wiozła dziewczę, które w służbę królowej dostać się pragnęło.

Byli już o półtora dnia tylko od Gdańska wedle rachunku Rebiszowej, gdy dnia jednego nad

wieczór, podczas przebywania lasu, wzięła się zadymka śnieżna, która wśród gęstych drzew mało się im czuć dawała. Dopiero gdy w pole później wyjechali, woźnica znalazł drogę tak zawianą, a śnieg coraz gęstszy tak sypał miotany wichrem, że wkrótce prawie już dalej jechać stało się niepodobieństwem, a i do lasu zawrócić, aby tam się gdzieś schronić, nie było można, bo o trzy kroki nic dostrzec nie mogło oko.

Konie zmęczone z dosyć ciężkimi saniami zapadły w kupę śniegu, noc nadchodziła i

położenie stało się rozpaczliwym. Woźnica stracił głowę, a Rebiszowa, bojaźliwa, trwożna więcej o dzieci niż o siebie, płakała, krzyczała i coraz co innego rozkazywała. Ruszyć się z miejsca było niepodobna, a śnieg gęsty coraz jeszcze przysypywał więcej sanie i konie. Woźnicy przyszło w dodatku na pamięć, że to była właśnie pora, gdy wilcy się stadami włóczyć zwykli i wygłodzone napadać na ludzi. Tuż gdzieś niedaleko, oczom teraz zakryty, był las.

Nawet odważna Bietka zamilkła, widząc rzeczywiście położenie straszliwym. Na wypadek

napaści wilków żadnej broni z sobą nie miał woźnica. Jedyłą nadzieją coraz głębiej zasypywanych śniegiem było, że Pan Bóg jakimś cudem sprowadzi im kogoś na pomoc. Noc przebyć w zaspie

śnieżnej tym trudniej było, że i mróz wzmagał się coraz silniejszy. Woźnica próbował huknąć,

składając ręce i dobywając głosu, lecz wicher szalony o kilka kroków nie słyszeć nie dawał.

Płacz i rozpacz nieszczęśliwej Rebiszowej, tulącej dzieci do siebie, na wpół obłąkanej, przejmował Bietkę, której także życia żal było. Śmierć zdawała się nieuniknioną. Wkrótce ani koni, ani sań już spod śniegu dojrzeć by nie mogli podróżni, gdyby się jeszcze trafili jacy.

Mrok padał coraz gęstszy. Bietka po namyśle woźnicę namawiać zaczęła, aby i ich, i siebie w ten sposób ratować próbował, by jednego konia wyprzągłszy i odkopawszy, puścił się szukać przytułku lub ludzi. Wprawdzie powrót do sań był bardzo wątpliwym, ale nic nie mając już do stracenia, najmniej nawet obiecujących środków ratunku chwycić się było potrzeba, Woźnica nie miał wielkiej ochoty puszczać się na oślep i ginąć gdzieś osobno, zwlekał więc, a w końcu położył się na saniach i nie słuchał.

Mróz, zmęczenie znużyły tak w końcu wszystkich, iż jedna tylko jeszcze Bietka, wydobywszy się na wierzch sani, stała i ponad kupę śniegu wyglądała. Rebiszowa, woźnica, konie leżały już przysypane.

Wtem coś ciemnego zdało się przesuwać niedaleko. Bietka rozpoznała kopiące się w śniegu konie i z całych sił wołać o pomoc poczęła. Szczęściem wiatr głos jej niósł w tę stronę, z której jeźdźcy się pokazali. Zbudziło to i odrętwiałego już woźnicę.

Wśród białych ciemności coraz wyraźniej zarysowały się postacie koni po brzuchy w śniegu zatopionych i z wolna się ku saniom zbliżających. Byli to jeźdźcy w liczbie kilkunastu, a na ich czele młody, słusznego wzrostu, wąsaty mężczyzna, który się do sani przedzierał. Twarzą jego rozpoznać nie było można ani on też podróżnych - mógł rozeznąć, lecz litość go prowadziła na ratunek. Im więcej ludzi razem skupić się mogło, tym łatwiej jakiś sposób przetrwania żywym tej zawiei straszliwej obmyśleć było można. Gdy o parę już kroków od sani znalazł się jadący przodem mężczyzna, Bietka tak rozpaczliwym głosem poczęła wołać o ratunek, iż natychmiast rzucił się z konia ku nim.

Na szczęście poznało w nim dziewczę widywanego w Warszawie dworzanina księcia Albrechta Radziwiłła, niejakiego Izydora Nietykszę, który razem z wielu innymi szalenie się był rozmiłował w niej.

Prowadził on też do Gdańska ludzi i wozy swego pana i tak samo utknął wśród śnieżycy na polu, jak Rebiszowa, a szukając drogi, natrafił na sanie. Miał on z sobą kilku towarzyszków, resztę ich przy zagrzęźłych wozach pozostawiwszy. Zabrali się zaraz wszyscy do odkopywania sani,

woźnica zrozpaczony przyszedł do siebie, odżyła kupcowa, nadzieja wstąpiła w serca, a i Pan Bóg się ulitował nad nimi, bo wiatr zaczął ustawać, śnieg już padał coraz mniejszy i można się było spodziewać wypogodzenia.

Ów Nietyksza, który poznał Bietkę, chociaż nie mógł pojąć, co ona tu zabląkana na

gościńcu robić mogła i skąd się tu wzięła, niezmiernie był spotkaniem uszczęśliwiony i gorąco się tak zajął saniami Rebiszowej, nią, dziećmi, nie mówiąc już o dziewczęciu, że w godzinę potem, chociaż jednego konia postradał woźnica, z resztą się jakoś przy pomocy ludzi Radziwiłłowskich wydobyli na gościniec, który był niedaleko. Zawierucha jednak rozpoznać go wprzód nie dozwalała.

Bardzo już *późną* nocą zmarzli, zbiedzeni, wszyscy razem: Nietyksza, jego wozy, ludzie i Rebiszowa, dostali się do wioski tak zasypanej śniegiem, że kominy tylko i żurawie studni

gdzieniegdzie sterczały. Tu musieli przez cały dzień spoczywać, i dla kobiet, i dla koni też, a tymczasem po drogach cokolwiek się przetarło i odwilż śnieg przygniotła.

Nietyksza żwawy, ochoczy, wytrwały niezmiernie a humoru nigdy niczym nie zmaconego,

Litwin poczciwy, dopełniwszy swojego obowiązku około wozów książęcych, cały się oddał Bietce na posługi. Spotkanie z nią, zbliżenie się do niej wydawało mu się takim szczęściem, że szalał prawie.

Bietka, która go zawsze lubiła, bardzo była rada, iż Nietykszy, a nie komu innemu ocalenie była winną. Rzecz naturalna, ofiarował się on już prowadzić aż do Gdańska kobiety, a tymczasem we wsi tej przez cały dzień tak się nimi dobrze opiekował, że im na niczym nie zbywało i nawet Rebiszowa, z przestachu ochłonawszy, uśmiechać się zaczynała. Przyznawała ona ocalenie swoje Bietce, która najdłużej się trzymała na nogach i ją ponad saniami stojącą postrzegł Nietyksza.

Gdyby nie ona, zasypane całkiem sanie i konie byłby nieochoybie pominął.

Po dniu wypoczynku w nędznej chacie, która się pałacem wydała po tym, co podróżni

przebyli, chociaż kapryśne śniegi mocno tając zaczynały, puścili się saniami do nie bardzo już oddalonego Gdańska i drugiego dnia przejechali wrota miejskie, przy czym Rebiszowa pierwsza postrzegła, że tu panował ruch nadzwyczajny. Miasto, rynek, ulice pełne były pocztów rycerskich, straży miejskich, kolebek, sań, jezdnych i pieszych, a na ostatek mieszczan, którzy zdawali się tracić głowy.

— Spodziewano się co chwila przybycia królowej — objaśnił zaraz Rebisz, który żonę i

dzieci przyjął na progu domu, dziękując Opatrzności, że je cało doprowadziła. Pomimo chwili tak uroczystej powrotu rodziny, kupiec, który zarazem był radnym miasta, nie mógł w domu pozostać.

Znaleźli go wystrojonym, szedłbowskiem na ratusz do rady, gdzie się niezmiernie wagi kwestie rozstrzygać miały.

Książę Radziwiłł, wysłany przez króla, miał polecenie wspaniały wjazd królowej urządzać.

Tymczasem mieszczanie o swoją niezależność troskliwi, bojaźliwi do zbytku, uroili sobie, że z wjazdu tego chciał król skorzystać, aby zamach na opanowanie miasta dokonać. Opierali się więc wpuszczeniu rycerskich pocztów, otwarciu bram, oddaniu kluczków i do ostatka bronili przeciw wymaganiom Radziwiłła, który na próżno im poprzysięgał, że najmniejszej krzywdy nikt im czynić nie myśli ani się król chce targać na ich samorząd i niezależność wewnątrz miasta. Potrzeba było nadzwyczajnych z jego strony wysiłków, poręczeń, ażeby wymóc otwarcie swobodne wrót,

wpuszczenie wojska, a potem wreszcie należne dla królowej honory i podarki. Bramy wprawdzie tryumfalne, obrazami poprzyozdabiane, były gotowe, ale miasto w początku nimi się wykupić

chciało od innych ceremonij przyjęcia, które niebezpiecznymi mu się wydawały. Trafili właśnie, gdy na ratuszu z Radziwiłłem panowie radni, nastraszeni niełaską króla, ostatecznie się radzi nieradzi układali z księciem. Rebisz więc musiał być na swym urzędowym stanowisku.

Tymczasem przytułek Bietka znalazła u kupcowej, która się tak do niej przywiązała, że

gotowa ją była jak do rodziny należącą zatrzymać przy sobie. Ale o tym mowy być nie mogło.

Umiejąca korzystać ze wszystkiego Bietka opanowała Nietykszę. Wiedziała, że Radziwiłł był

wysłany dla przyjmowania królowej, mógł więc łatwo i jej dopomóc, gdyby chciał tylko.

W części zwierzyła się Nietykszy, jak jej wielce szło o to, aby się dostała co najprędzej na dwór pani. Nauczyła go, co miał i mógł powiedzieć o niej księciu. Litwin poprzysięgł na wszystko, co mu najdroższym było na świecie, iż Bietce ułatwi przystęp do królowej. Resztę ona, ufna w siebie, sama już miała dokonać.

Nietyksza, odprowadziwszy kobiety na Długi Rynek, gdzie stała kamienica Rebiszów, sam

natychmiast udał się do Radziwiłłowskiej gospody, którą mu wskazano. Ale tu księcia pana nie znalazł, gdyż właśnie się z mieszczanami targował o to przyjęcie, o klucze miejskie, których z rąk puścić nie chcieli, o zawieranie bram w nocy i o tysiące drobnych szczegółów, które ojców miasta nabawiały paniką. Nie można im było brać za złe, ale śmieszna się wydawać musiała i

Radziwiłłowi, i Denhofowi, wojewodzie pomorskiemu, i księciu Karolowi, gdyż nikt myśli

najmniejszej nie miał czyhać na swobody miasta.

Cały ten dzień jednak roztrząsano wszystko, obradowano nad ceremoniami, a panowie

mieszczanie po troszę i koszta mieli na względzie, bo wszystko razem wzięte, z podarkami w złocie i

uczta dla rycerstwa, z bramami wzniesionymi i z prochem, który z dział miano wystrzelać, kilkanaście tysięcy czerwonych złotych wynosić mogło. Miłość własna panów mieszczan walczyła z ich oszczędnością dobrych gospodarzy i ostatnią pokonała, bo z Francji przybywającej nowej pani nie chciał się Gdańsk ubogo i lada jako ukazać, zwłaszcza gdy posłyszano, jak wszędzie po drodze miasta nawet obce, książęta, panowie, uroczyście i wspaniale podejmowali królowę.

Królowa, jak się później dowiedziała Bietka, pierwszą wiadomość, która jej do myślenia dać mogła, odebrała przez komornika królewskiego, który spotkał ją w Stolpe (7 lutego). Powitał on ją ustnie i oświadczył, że Władysław był mocno chory i że nie spodziewał się, aby królowa tak pośpieszyła. Oczekiwano jej tu dopiero na środopóście.

Zdziwić to musiało Marię Ludwikę, że jej radzono zwlec przybycie do Warszawy, a nawet do Gdańska. Komornik króla plątał się tak ze swym poselstwem, powitaniem, radami, zresztą tak się zimno znajdował, tak mało okazywał radości z oglądania królowej, iż nie tylko ona, ale wszyscy, co ją otaczali, niemal czuli się tym obrażonymi.

O kilka mil od Stolpe drugi posłaniec z listami trochę naprawił, co popsuł pierwszy, lecz zawsze jeszcze nie tylko nie nagłono o przybycie, ale przeciwnie, widocznie zwlec je usiłowano.

Przed samą granicą Rzeczypospolitej na ostatek zjawił się wysłany i naznaczony marszałkiem królowej Denhof, wojewoda pomorski, z dwoma oddziałami jazdy, niebieskim i szkarłatnym, ze dworem dosyć okazałym. Ten przeprowadzał do granicy, na której czekał namiot zielony królewski, cały wewnątrz wybity aksamitem szkarłatnym, wysłany kobiercami, gdyż śniegi leżały wszędzie, tak że drożyny nawet musiano okrywać suknem. Tu oczekiwał na Marię Ludwikę biskup kujawski, podkanclerzy Sapieha, Gembicki, naznaczony kanclerzem królowej i bardzo wielu innych panów, którzy się z dobrej woli przyłączyli do orszaku przez króla wyznaczonych posłów.

W tym namiocie rozpoczęły się te nieskończone mowy, na które odpowiadać musiał ktoś w imieniu królowej, i nieskończone komplementa, w których szczerłość trudno było uwierzyć.

Mnóstwo ciekawych pań i panów tłumnie się znalazło po drodze do Oliwy, spotykając ciągle Marię Ludwikę; w Sobótce księżę Karol, brat królewski, w jego imieniu powitał ją, prowadząc za sobą gromadę szlachty i sześćset koni, po większej części pułków tatarskich, które nową barwą przystroić musiano.

Opowiadano tu wiele o przyjęciu w Oliwie, a Bietka dowiedziała się, co ją wielce zmartwiło, że tu pięć pań i dwie służebne z Warszawy królowej dodano. Złękła się więc, iż może trudno jej będzie dostać się do niej, mogła nawet być jej niepotrzebną!

Ze drżeniem więc oczekiwała przyjazdu do Gdańska, a przygotowania do przyjęcia same

pozwalają wnosić, iż ono będzie bardzo wspaniałym. Dla dziewczęcia jednak okazałości te

wszystkie zatręła obawa, niepokój i teraz dopiero widoczne niezmiernie trudności przystąpienia do przybywającej pani, około której tłumi pań polskich, panów, senatorów, szlachty, duchowieństwa się gromadziły, tak że jej chwili spoczynku nie dawano.

Na wszystko to musiał radzić pan Izydor Nietyksza i dowiódł tego, że miłość cudów

dokazuje. Jemu tylko wiadomym było, jakich użył środków, czyjego pośrednictwa, aby u księcia Albrechta Radziwiłła wyprosić zalecenie Bietki jednej z pań Francuzek znajdujących się przy boku królowej, pannie Langeron. Ta miała za przybyciem do Gdańska jednego z tych dni, które na spoczynek przeznaczone były, ułatwić Bietce przystęp do Marii Ludwiki.

Ona sama jednak, widząc, jak wielka ilość osób coraz nowych przybywała, zaczynała

powątpiewać, czy ją kto z przestrogą nie uprzedzi. Niepodobieństwem prawie przypuścić było, aby wśród takiego natłoku ktoś się znalazł nie uwiadomiony o tym, co się na dworze działo, i pragnący usługę oddać królowej. A naówczas, jeśli Bietka spóźnić się miała, gdy już służbę polską król zawczasu dla żony obmyślił i przysłał ją na granicę, nie mogła się ona spodziewać ani przyjęcia, ani wdzięczności, ani pomieszczenia na dworze. Z dala to, co się tu dziać miało, było niewiadomym i domyślać się nawet nie mogła Bietka, co ją spotka w Gdańsku.

Z bardzo więc małą nadzieją, aby się jej tu mogło poszczęścić, odebrała od Nietykszy ów

bilecik do pani Langeron, który miał jej posłużyć jako polecenie i drzwi otworzyć do Marii Ludwiki. Z bijącym sercem czekała przybycia, a własna sprawa tak ją gorąco obchodziła, że widok wspaniałego wjazdu, który Rebiszowie jej ułatwili, przesunął się przed oczyma jak- mgła jakaś pstrymi zabarwiona farbami. Myślała o jutrze!

ROZDZIAŁ IV

Chociaż pora wcale nie sprzyjała okazałemu pod gołym niebem wystąpieniu, gdańszczanie

zrobili, co tylko mogli w krótkim stosunkowo czasie, aby się nie powstydzili przed potomnością. A że król sam widzieć nie mógł, co dla małżonki jego przygotowano, postarali się, aby drukiem i sztychem uwiecznić dni tych pamiątkę; same zaś obrazy, umyślnie dla przyozdobienia bram

tryumfalnych malowane przez doskonałych artystów, jakich Gdańsk miał naówczas, odesłano

później w oryginale do Warszawy.

Nawiasem to powtórzyć potrzeba, o czym już wspomnieliśmy, iż dzięki zamięłowaniu w

sztuce Kazanowskich i Ossolińskiego chwila ta była może w Polsce jedną z najświetniejszych dla niej. Mnóstwo najcenniejszych artystów pracowało dla polskich magnatów. Gdańsk miał D. Szulca i niezrównanego Falcka, Wilno Danckertsa, sztychowal Hondius tu sprowadzony, malowali inni, dziś

zapomnieni mistrzowie, w których dziełach ślad pozostał, iż kraj poznali i malowniczą jego stronę pochwycili żywo.

Na drodze już z Oliwy do Gdańska, w przeciągu milki jednej, na którą pięć godzin czasu straciła królowa, poczęły się powitania. Na pół drogi stały gwardie królewskie w sześciu

oddziałach, w barwie niebieskiej podbitej żółtą, za nimi pachołkowie króla piesi, halabardnicy, dragoni, kozacy, ustawieni szeregami, całą prawie drogę aż do bram miasta zajmowali. W bramach poczęły się kompanie mieszczan ukazywać, na których czele szedł cech rzeźników, cały naturalnie w krwawych szkarłatach, za nimi mieszczanie w aksamitach czarnych, z łańcuchami złotymi na szyi, z piórami na kapeluszach czarnymi i białymi, kupcy czarno i poważnie, i niezliczone oddziały panów polskich, jedne wspanialsze od drugich.

Królowa jechała w złocistej kolebce, sześciu śnieżnej. białości woźnikami zaprzęzonej, w których grzywy i ogony ówczesną modą różowe wstęgi powplatane były. Tryumfalne wrota odznaczały się bardzo pięknymi malowaniami i rzeźbami, wśród których stosowne napisy jaśniały złotem.

Po raz pierwszy Bietka postrzegła królowę jadącą w powozie, która widocznie siliła się na okazanie twarzy wdzięcznej i wesołej, ale wydała się jej zmęczoną a prawie smutną.

Za wjazdem miały następować ucztę po ucztach, lecz zaraz nazajutrz dowiedziało się dziewczę, że królowa sobie wypraszała spoczynek, którego po podróży potrzebowała. A że nie było wiadomym, jak długo zabawi w Gdańsku, bo Denhof na nią z nowym przyjęciem oczekiwał na starym, wspaniałym zamczysku krzyżackim w Marienburgu, Bietka postanowiła przyśpieszyć swój krok śmiały, dłużej nie mogąc już wytrwać w niepewności dręczącej.

Ubrana bardzo skromnie i czarno, powierzyła się opiece Nietykszy, który ofiarował się ją do pani Langeron doprowadzić, ułatwić przyjęcie, a nawet oczekiwać na powracającą.

Godzina ranna była, gdy z bijącym sercem mimo całej swej odwagi, którą się i w- ciągu podróży, i tu na miejscu zbroiła, Bietka przestąpiła próg pokojów królowej i znalazła wobec jaśniejszej pięknością w pełnym rozkwicie, z oczyma czarnymi, ognistymi, przenikającymi wzrokiem ostrym, panny Langeron.

Chwilę trwała cicha, z początku nieśmiała, potem coraz odważniej już prowadzona rozmowa Bietki z panią dworu królowej. Panna Langeron kazała jej tu chwilę poczekać, a sama weszła do pokojów pani i nie zabawiwszy długo, wróciła, aby Bietkę wprowadzić. Podniosła się i

zapadła w oczach Nietykszy portiera, dziewczę mu znikło... i rozstrzygały się jego losy, na które już wpłynąć nikt nie mógł oprócz Boga i jej samej.

Nietyksza, który wśród ciągle nowych przybywających, odchodzących, napraszających się, odprawianych osób mnóstwa w niewielkiej antykamerze pobytu nie znajdował zbyt zabawnym, wysunął się na szeroki ganek, który dom od ulicy oddzielał, i tu się spodziewał swobodniej obracać, ale ganek był również przepełniony, a w ulicy nawet przecisnąć się było trudniej coraz. Chociaż królowa wcale się tłumowi pokazywać nie miała, stał on uparcie w nadziei, że ją może zobaczyć lub przybywającym do niej ciągle pańskim rydwanom i kolebkom się przypatrzy.

Nie przewidywał wcale, ażeby Bietka długo u królowej mogła pozostać, bo mnóstwo osób dopraszało się posłuchania a godziny były policzone. Tymczasem na wieży w Artushof biła już godzina, która świadczyła, że Nietyksza stał na straży około pięciu kwadransów.

Według jego rozumowania było to dobrym znakiem. Upłynęło półtorej godziny, a Bietka nie powracała. Nietyksza zaczynał się już niepokoić, gdy pokazała się w ganku z twarzą tak nadzwyczajnie rozpromienioną i wesołą, że Litwin pytać jej nie potrzebował i miał tylko za obowiązek przez niespokojną gawieź zapełniającą znowu rynki i ulice doprowadzić nazad do domu Rebiszów.

Bietka tak szła w myślach zatopiona, że nawet mu nie podziękowała i dopiero w pobliżu kamienicy przypomniała sobie poczciwego Litwina, który w milczeniu za nią kroczył. Obróciła się do niego nagle i chwyciła go za rękę.

— Panie Izydorze — odezwała się głosem wzruszonym — nie myśl, że jestem niewdzięczną.

Oddałeś mi przysługę, której ja nigdy, nigdy, dopóki żyć będę, nie zapomnę!

— Powiodło się? — ośmielił spytać Nietyksza.

— A, nadzwyczaj szczęśliwie! Pomyślniej, niż się mogłam spodziewać! Przybyłam w porę.

Bóg łaskaw. Dziś jeszcze wieczorem przenoszę się do dworu pani, która mnie przyjęła.

Oczki jej zaświeciły radością.

— Królowa? — spytał Litwin ciekawie.

— Królowa — odparła Bietka, śpiesząc dalej — wydała mi się śliczną i nadzwyczaj miłą panią, ale nie bardzo szczęśliwą. Nie potrzebujemy się jednak lękać o nią. Ma dosyć woli i rozumu,

aby podolać temu, co ją tu czeka. Widziałam ją wprawdzie płaczącą, ale prędko i rezolutnie łzy otarła, odzyskała męstwo i nie da się tak spętać, jak się może spodziewają.

Mówiłam długo, opisałam jej i opowiedziałam wszystko, bo dotąd wiedziała tylko to, o czym ją urzędownie zawiadomić chciano. Ja nic przed nią nie potrzebowałam taić. Powinna wiedzieć wszystko, aby umieć postąpić, jak należy.

Stali już w ganku Rebiszów kamienicy; uprzejmym uśmiechem Bietka pożegnała Nietykszę, śpieszno jej było.

— Będiesz waszmość pewnie naszemu marszałkowi, księciu Radziwiłłowi, towarzyszył w podróży, a on nam, bo ja teraz już do orszaku królowej się liczę; zobaczymy się więc... i do zobaczenia!

A, ten uśmieszek i wejrzenie, jakim go pożegnała! Litwin byłby krwi za nie nie pożałował!

Wieczorem już Bietka przeniosła się do domu zajmowanego przez królowę, pożegnawszy Rebiszową, która łzawo się z nią rozstawała.

Spełniło się, czego pragnęła tak gorąco.

Wszyscy, którzy dotąd towarzyszyli królowej od granicy, i ci, co jechali z nią z Francji,

widzieli ją ciągle dosyć smutną i zatęsknioną po kraju, który opuściła. Jechała jednak dosyć mężna i krzepiąc się, aby nie okazać, ile ją to męstwo kosztowało. Dopiero w Gdańsku, gdy po odprawieniu Bietki wyjść była zmuszoną na przyjęcie Denhofa i Radziwiłła, obaj oni poznali po jej świeżo umytych oczach, że płakała. Lecz tych ślady pozostały w wejrzeniu, chociaż usta dumniej i śmielej się uśmiechały niż kiedy. Coś gorączkowego, niecierpliwego miała w ruchach i mowie. Co chwila jakby mimo woli ściągały się jej brwi i surowym wyrazem namaszczały usta.

Denhof parę razy musiał powtórzyć pytania zadane, których nie dosłyszała, tak była w sobie zatopioną. Panna Langeron pierwsza szepnęła chorej towarzysze, pani des Essarts, iż królowa jakieś ważne, ale niepomyślne otrzymać musiała wiadomości. Nikomu się z nich jednak nie zwierzyła.

Tymczasem gdańszczanie, raz ochłonawszy ze strachu i widząc, że Polacy miasta ani bram

opanowywać nie myślą, wysadzali się na grzeczności i na dowody gościnności, które razem były objawem dostatku handlowego miasta. Panowie polscy, których: większa część bankietować

lubiła, ich dwory, bardzo rade sposobności do rozrywki, nawet część francuskiego dworu królowej

zabawiali się ochoczo. Dla Francuzów wszystko tu było nowym, szczególnie zaś uderzający kontrast niezmiernej okazałości panów i niezmiernego ubóstwa ludu, opuszczenia wiosek, zaniedbania budowli na prowincji.

Od chwili wprowadzenia się swojego na dwór królowej, w nowej całkiem atmosferze,

Bietka była zmuszona zmienić sposób obejścia się, ruchy, mowę, poskromić swą żywość i ułożyć się na wzór tych pań, które miała przed sobą. Jej biedna francuszczyzna w początkach obudzała uśmiechy, ale dziewczę z nadzwyczajną łatwością korzystało ze słuchania i obcowania; królowa wzięła ją w opiekę od pierwszego dnia. Ponieważ rozmowa, od której się poczęła znajomość, nie starczyła na objaśnienie Marii Ludwicy, powołała, mając trochę wolnego czasu, Bietkę do siebie, a zmęczona, położywszy się w łóżko, kazała jej na niskim tabureciku siąść u wezgłowia i odpowiadać na mnogie pytania.

Musiała Bietka mówić o nieboszcze królowej, o poźyciu króla z nią, o małym Zygmuncie i o osobach najbliższej króla stojących.

Naturalnie poczęła od Kazanowskich, ale o tych i o Jerzym Ossolińskim królowa była dosyć już dobrze uprzedzoną.

Bietka, oddawszy się tak cała nowej pani, nie miała już dla niej tajemnic, a że znała

mnóstwo ludzi, pamięcią była obdarzona doskonałą, nieoszacowanym źródłem informacji stała się dla królowej.

Nie dziw też, że owe pięć panienek szlachcianek polskich i dwie służanki, które król wysłał

za granicę — a do nich tu nikt nie mówił, nikt się o nie nie troszczył, nikt żadnej od nich usługi nie potrzebował — bardzo zazdrośnym okiem zaczęły patrzeć na tego intruza. Pierwsza jednak Bietka zbliżyła się do nich i nie nadając sobie żadnych tonów wyższości, starała się im być pomocą na dworze, w którym jeszcze żadnego wyrobionego ładu i porządku nie było.

Królowa wiozła z sobą pań kilka, służbę francuską dosyć liczną, a poseł francuski, posłowa osobna, pani de Guebriant, dodani jej dla powagi towarzysze, składali gromadkę znaczną. Wszystko to z drugim światem polskim, obok stojącym, jeszcze się nie miało czasu połączyć i zlać w jedno.

Spoglądano na siebie z ciekawością, ale pewnym niedowierzaniem.

Nietyksza, który przez tych dni kilka miał czas już szpetnie się rozkochać na nowo w

dzieweczce, o ile mu jego służba dozwalała, dowiadywał się do niej. Jednakże, choć dosyć dla niego życzliwa, Bietka musiała przestrzegać, że na nich ludzie złośliwi patrzą i że to jej szkodzić może. Musiał więc nader przezorny pan Izydor mniej bojaźliwą pannę Zubko, dodaną królowej z urzędu,

zacząć bałamucić, aby pod pozorem jej do Bietki się zbliżył.

W Gdańsku tymczasem co dzień było na co patrzeć, bo miasto się nie tylko zmgło

pierwszego dnia na kawalkaty i bramy, ale potem coraz to coś osobliwego dla zabawienia królowej wymyślano, chociaż ona to bardzo obojętnie i smutno przyjmowała.

We środę potem mszy słuchał dwór i pani w klasztorze zakonnicy, a po niej zawieziono w

paradzie wszystkich do Weichselmünde i zmuszono niemal królowę do wstąpienia aż na

wierzchołek morskiej latarni dla wspaniałego z niej widoku. Miasto i tu przyjmowało obiadem.

Następnego dnia przedstawiono włoską komedią, a raczej operę ze śpiewami *, z muzyką, z tańcami, która pięć godzin trwała, bo czarodziejskie zmiany dekoracyj wiele czasu zabierały.

* Opery nazywano naówczas recytatywami (przyp. Autora).

Na rynku potem wyprawiono ognie sztuczne, a dla ludu wystawiono maszty, mydłem

smarowane, na które majtkowie i kominiarczuki do późnej nocy się drapali, aby zdobyć całe

ubranie i woreczek z talarami, powieszony na przynętę.

Musiała potem królowa oglądać bogato zasposobiony arsenał miejski i przez cały tydzień z

okładem nie ustawały rozmaitego rodzaju rozrywki. Bietka miała czas, nim we wtorek w dalszą wyruszono drogę, obeznać się ze dworem, porozumieć z towarzyszkami i nauczyć, jak mogła

najlepiej usłużyć królowej. Do czynienia nie miała wiele, ale ją bardzo często powoływano, bo przekonawszy się, iż na jej przestrogi liczyć można, Maria Ludwika, coraz nowych spotykając ludzi, ją o nich naprzód rozpytywała. Bietka zaś znała wszystkich prawie, a o każdym miała coś do powiedzenia.

Wyjazd królowej nastąpić miał w poniedziałek, ale miejscowy przesąd pod jakimś pozorem

kazał go zwlec do wtorku. Powozy już wyszły w rynek i miano się puścić w drogę, gdy na samym tym placu ukazała się gromadka masek, pasterek i pastuszków, i zmusiła zatrzymać się dla

oglądania pożegnalnego baletu.

Marii Ludwice tymczasem łzy stały w oczach. Każdy nowo przybywający z Warszawy czy

ode dworu przypominał jej rzuconą potwarz, wywoływał rumieniec, bo się pytała siebie: „Czy nie jest uwiadomionym?” W oczach każdego szukała oznak niechęci, ciekawości, politowania,

zarówno ją drażniących. Odosobniała się też, o ile mogła, tak że nawet najpoufalsze towarzyski

milczeniem zbywała.

Na zamku w Marienburgu dozwolono jej spocząć nieco. Tu Denhof przyjmował królowę, która rada była podróż przyspieszać, gdy towarzyszący jej widocznie opóźniać się starali.

W Marienburgu, mimo starań wojewody, wygod i mnóstwa rzeczy brakło.

Elbląg, do którego przybyła królowa w piątek, oprócz wrót tryumfalnych, w rynku zasadził cały las drzew pomarańczowych, z których owoce otrząsano i obrywano. Brama miała anioła u góry, który królowej podał koronę. W przejeździe przez Prusy podejmowano podróżnych kosztem hołdownika, elektora brandenburskiego, lecz, bardzo oszczędnie i skromnie.

O dalszej podróży aż do Nieporętu, dosyć jednostajnej i nudnej, nie ma co mówić. Przed oczyma królowej kraj, w tej porze roku mniej jeszcze wdzięczniejszy niż kiedykolwiek, przesunął się jak szare jakieś tło, w którym oko zatrzymać się nie miało na czym.

Stosownie do rozkazów z Warszawy nadchodzących po krótkim wypoczynku w Nieporęcie, którego dwór i ogrody wcale ładnie wyglądały, pośpieszono do Falent, gdzie dłuższyznaczony był pobyt. I tu także dosyć wygodnie, choć ciasno, pomieścić się było można, a Maria Ludwika wcale o wygody się nie troszczyła, mając niepokój w duszy i zawsze jeszcze do przebycia jakieś groźne przesilenie. Ona sama ani mogła, ani chciała go wywoływać, była nadto dumna, lecz

posłowa, pani de Guebriant, już zawiadomiona o listach, które król odebrał, o zniechęceniu jego, przygotowywała się z całą powagą swą i zręcznością, ale razem z oburzeniem i siłą wystąpić przeciwko uknutej intrydze.

I ona, i poseł, pan de Brégy, zresztą dwór cały nie mógł nie zrozumieć i nie uczuć, że coś zaszło zatruwającego spodziewane wesele. Dosyć było spojrzeć na Marię Ludwikę, a nawet na

daleko umiejętniej się maskującą panią de Guebriant, policzyć nieustannie tam i nazad przesyłane listy i przybywających od króla z poleceniami panów, których oblicza wiele odgadywać kazały, aby się domyślać, że pod świetnymi pozory pożądanego wesela kryło się coś bolesnego i groźnego.

Wisłę, nie dojeżdżając do Falent, przebyła królowa w lekkich sankach złożonych, mających kształt orła z rozpiętymi skrzydłami, ale nawet pod nimi osłabły lód już pękał i cięższych sań i wozów kilka się załamało.

Falenty mogły ze swym ogrodem, bardzo starannie utrzymywanym, być pięknymi w lecie;

pierwszych dni marca nawet trawa w miejscach ku słońcu zwróconych zaledwie się dobywać

zaczynała. Ciekawość, przy niewielkiej odległości od Warszawy, ściągała tu nieustannie gości, których potrzeba było z wdzięcznością i uśmiechem na ustach przyjmować, gdy więcej ciążyli, niż zabawiali.

Wszyscy oni chcieli poznać królowę, aby wyczytać z jej twarzy, bo jakieś posłuchy chodziły dziwne. Król to słaby leżał w łóżku, to nagle wstawał, niecierpliwym był, gniewał się.

Jednego dnia domagał się, aby przybycie królowej jak najdłużej odciągnąć się mogło, drugiego chciał je przyśpieszyć jakby gorzkie lekarstwo, które wychylić był zmuszony. Marszałkowa de Guebriant w listach i przez swych posłów domagała się, żądała pośpiechu.

Królowa sama na pozór w tej stłumionej walce wcale nie była czynną, musiała okazywać, jakby o niej nie wiedziała, nie domyślała się jej wcale; nieszczęściem niewieścia drażliwość na pięknej jej twarzy co dzień wyraziściej piętnowała niepokój wewnętrzny i męczarnię.

W Falentach Bietka, która umiała się ukrywać za drugimi i nie występować naprzód, królowej poufnie przydała się wielce. Od czasu, gdy opuściła Warszawę, domyślać się było można zmian może w usposobieniach, w położeniu króla względem osób otaczających, w osnutych na przyszłość planach. Nikogo z przybywających z pokłonami gości ani się pytać, ani z nich wyrozumieć coś było można. Królowa, która się dotąd na Bietce nie zawiodła, miała wielką ochotę wyprawić ją na zwiady do Warszawy.

Od trzeciego do dziesiątego marca trwać miał spoczynek w Falentach, a może byłby się przeciągnął dłużej, zawsze pod pozorem choroby króla, gdyby zręczna pani de Guebriant przez

”różne osoby i różne środki nie przynagliła króla. Zwłoki w ostatku były dla królowej

obrażającymi, dawały powody do tłumaczeń i domysłów niemiłych. Nie postrzeżono się wcale, gdy drugiego dnia po przybyciu do Falent Bietka, przybrawszy sobie pannę Zubko, małym brożkiem, ale końmi doskonałymi, o które się Nietyksza postarał, raniuteńko wyjechała do Warszawy. Pan Izydor w dodatku tak zręcznie manewrował, iż tego samego dnia dostał zlecenie dotarcia także do stolicy i na gościńcu czekał na panny, bo im chciał towarzyszyć nieodstępnie aż do miasta.

Na wyjeździe królowa popatrzyła na dziewczę nie mówiąc nic, miała łzy w oczach.

— Rozumie się — szepnęła cicho — że jedziesz dla siebie tylko, że ci się stęskniło, a ja nic o tym nie wiem. Powracaj prędko! Jeśli goście jacy przybędą z Warszawy, nie będę miała kogo spytać, jaką ich przyjmować twarzą, gdy już dziś, zawczasu, nim przybyłam, mam tu wrogów.

— Najjaśniejsza Pani — odparło dziewczę, które ciągle starało się dodawać odwagi —

potrafisz ich łącno rozbroić, a upartych pokonać.

Dwie najulubieńsze Francuzki, pani des Essarts, która już była wyzdrowiała, i gderliwa,

zazdrośna, niemiła, podejrzliwa Langeron niespokojnym okiem spoglądały na coraz pozyskującą większe zaufanie Bietkę, którą bardzo lekko szacowały z początku; umiała je ona wszakże zjednać sobie, unikając najmniejszego nieporozumienia. Oprócz tego służyła troskliwie pani des Essarts w jej chorobie w Gdańsku i potrafiła sobie pozyskać całą tę rodzinę, bo i mąż, i córka jechali z nią za królową.

Bietka postrzegła łatwo, iż pomiędzy panią des Essarts a Langeron już się w czasie podróży wywiązały niechęci, zazdrości, podejrzzenia. Potrzeba więc było uniknąć, aby się do zawikłań tych i intryg nie wmięszać.

Dwór Marii Ludwiki był zresztą dosyć liczny. Oprócz księdza de Fleury, spowiednika

królowej, doktora Sorbony duchownego wielkiej nauki, powagi i ogłady, bardzo zręcznego doktora de Lafage, usłużnego i słodkiego dla wszystkich kuchmistrza de Ronsay i jego żony, otaczały królowę pani d'Aubigny, Włoszka wydana za Normanda, która miała tu sławę nadzwyczajnej

przebiegłości i chytrości, pokrytej uprzejmością dla wszystkich, i trzpiotowate panny Duret, de Mailly, de Lucé. Te tak były zajęte nowym dla nich krajem, ludźmi, a nawet życiem i stołem, strojem i mową, które się im dziwacznymi wydawały, że mało co więcej je obchodziło. Bietka była z nimi tym lepiej, że ciągle od niej objaśnień jakichś potrzebowaly. Życie więc na dworze składało się dla niej dosyć szczęśliwie, a wiele też winna była własnej odwadze i zręczności, z jaką miejsce tu sobie wyrobić umiała, na którym niełatwo ją kto mógł zastąpić.

Namyślała się po drodze Bietka, dokąd w Warszawie naprzód zajechać miała. Chciała

widzieć starą Mingajłową, ale jej do pałacu Kazanowskich, gdzie tyle oczów było i tyle języków pochopnych do roznoszenia, plotek, nie zdało się bezpiecznym udać od razu. Mniej widoczne, cichsze mogły być odwiedziny Bieleckich i brożek pojechał na Piwną ulicę.

Można łatwo odgadnąć, jak niesłychanie ciekawa, spragniona wieści, karmiąca się głuchymi

pogadankami dochodzącymi tutaj pani Łukaszowa przyjęła przybywających z Falent gości. Dla niej było to szczęściem prawdziwym, ale i dla Bietki Bielecka, której mąż całe dnie na zamku spędzał i nawykły był dla żony podsłuchiwać, nieoszacowanym źródłem się stała. Przez kilka chwil

pierwszych usta się obu im nie zamykały, bo pytały obie, a żadna odpowiedzieć nie miała czasu.

Nierychło się uspokoiły.

— Na rany Chrystusowe — wołała Bielecka — mów, mów!

Cóż to jest ta królowa? Chodzą o niej najsprzeczniesze wiadomości. Jedni mówią, że stara i brzydka, drudzy, że śliczna i zalotna, że skąpa i rozrzutna, że samowolna, że bojaźliwa... Każdy

przybywający co innego plecie, ale tyś ją przecież bliżej poznała?

— Nie wierzcie bałamutnym opowiadaniom — odparła Bietka — królowa jest wcale młodą jeszcze, a gdy się przestanie gryźć i- niepokoić, będzie bardzo piękną. Teraz i drogą zmęczona, i zgryziona tysiącem przykrości, i niespokojna, wygląda trochę mizernie.

— Ale cóż? Mądra? Zła? Dobra? — przerwała niecierpliwie Bielecka.

— Rozumu u nikogo pożycząć nie będzie potrzebowała — odparła z uśmiechem złośliwym

Bietka — za to wam ręczę; dobra jest, ale nie miękka, i umie się szacować. Więc lada Niemki się nie złęknie, a każdemu około siebie miejsce potrafi wyznaczyć, jakiego wart. Zobaczycie...

— Będzie drugą Cecylią czy nie? — zapytała Bielecka.

— Wątpię, ażeby się tak królowi zawojować i rządzić dała, jak tamta — przerwało dziewczę

— ale” o tym z góry trudno sądzić. Tymczasem to tylko wiem, że i ona, i pani posłowa, która jej towarzyszy, dąsają się na króla. Pilno mu było tak mieć i widzieć tę żonę, a teraz z dnia na dzień nasze przybycie odkładają.

— Król bo chory! — wtrąciła Bielecka.

— Przecież tak słabym nie jest, aby żony przyjąć nie mógł, a kazał jej gdzieś na rozdrożu tak jak w gospodzie czekać na zmiłowanie! Co na to powiedzą we Francji!

Pani Łukaszowa obejrzała się na siedzącą tuż Zubkównę, jakby dla niej obawiała się mówić otwarcie. W istocie świadek był niepotrzebny i musiano się go pozbyć pod pozorem wypoczynku.

— Ale cóż dzieje się z królem i Amandą? — poczęła niecierpliwie Bietka.

— A, a! — zawołała, ręce do góry podnosząc, Bielecka. — Skorzystała Niemkini z czasu i z okoliczności, znowu tedy w niepomiernych łaskach u króla, który nie tylko wieczorami z nią przesiaduje, ale większą część dnia tam przepędza. Nie ma już mowy o tym, ażeby kiedy ją za mąż wydano... Jest niezbędną dla Zygmunia, zostanie na wieki wieków, a król żony znać nie będzie.

Amanda nawet potrafiła go przez ten cały czas tak trzymać, że do żadnej z jej słu- żebnic się nie uśmiechnął, a Pac nie śmie mu żadnej z nich nastrościć. Ona tu wszystkim teraz. Toteż ton

przybrała całe inny i rozkazuje tak, jakby panią była, króla nawet nie pytając, a w kościele do łoża pańskiej wchodzi i zasiada na tym krześle, które królowa nieboszczka zajmowała, jakby do niego miała prawo. Król by może dawno już skończył z tym ożenieniem i nową panią, ale ona go

wstrzymuje i nie dopuszcza. Pac jej służy i też piosenkę śpiewa. Potrafiła sobie pozyskać innych.

Doktor dla choroby radzi wesele odraczać, ksiądz Pstrokoński też nie nagli, Kazanowski milczy, bo on nigdy przeciw wody nie płynie.

— No, ale się to raz przecież skończyć musi? — przerwała zniecierpliwiona Bietka. — A,

jakbym rada zobaczyć Paca, ale nie mogę! Nie! Czasu mi nawet zabraknie; a gdyby się wydało, że tu jestem... Nie! Nie! Z jedną moją starą Mingajłową widzieć się muszę, bo ta by mi nie

przebaczyła.

Bielecka chciała się dowiedzieć, jak Bietce udało się tak szczęśliwie na swym postawić i do królowej dostać, ale dziewczę na dłuższe opowiadanie czasu nie miało i zbyło ją kilku słowami.

Wieczór upłynął na wzajemnym badaniu, a powracający do domu Bielecki nie mniej od

żony okazał się ciekawym. Potwierdzał on wszystko, co mówiła żona. Niestety! Amanda zachwianą swą nad królem władzę odzyskiwała z każdym dniem widoczniej. Oprócz Paca skupiali się już i inni znowu przy faworycie, znajdując, że daleko wygodniej będzie jej stronę popierać niż królowej, przeciw której uprzedzenie króla nie tylko rosło coraz, ale przybierało groźne cechy. Ci, co powracali do Warszawy z Nieporętu, z Mławy, z drogi, powitawszy królowę, wszyscy, uprzedzeni przez przyjaciół panny Amandy, przywozili wiadomości, które jej tylko na korzyść wychodziły.

Opowiadano królowi, że królowa wcale się młodą nie wydaje ani tak piękną, jak na przywiezionych wizerunkach, że jest dumną, pogardliwą, niechętną, że kraj się jej i Francuzom wydał ubogim bardzo i brzydkim. Wprawdzie zwierzenia się te przybierały formy przyzwoite i nacechowane były niby współczuciem dla Marii Ludwiki, ale skutek, jaki na królu wywrzeć miały, był obrachowany.

Co tylko mogli przyjaciele dworki wynaleźć, znając króla, najskuteczniej działającego na umysł, wszystko przeciwko królowej wymierzili.

Zniechęcenie Władysława było widocznym, niekiedy aż nadto, a w poufałym kółku nie

ukrywał się z nim wcale. Kazanowski jeden ze względów dostojenstwa królewskiego, polityki i potrzeby oszczędzania Francji, obowiązku uniknienia skandalu, powstrzymywał przyjaciela, radząc mu umiarkowanie i cierpliwość. Nie występował on otwarcie przeciwko Niemce, która umiała

takim kołem opasać króla, ale przemawiał do miłości własnej, do dumy, która by upokorzoną być musiała, gdyby zbyt jawnie Władysław okazał, że został zwiedziony i oszukany.

Jedne też te chłodne uwagi Kazanowskiego miały dosyć siły i wpływu, aby króla od nierozważnego kroku powstrzymać.

— Niepodobieństwem jest dłużej kazać królowej czekać w Falentach — mówił marszałek.

— Tydzień dla wypoczynku, dla przygotowania się, ale więcej rażącym będzie.

Kazanowski też pilnował, ażeby ten wjazd do Warszawy, który z początku chciano nadzwyczaj świetnym uczynić, nie został zaniedbany. Szło o króla, o okazanie Francuzom jego potęgi i bogactwa.

W programie dawnym stało, iż król na spotkanie miał wyjechać choćby o mil parę.

Władysław już się wzdragał tego uczynić. Składał się doktorem, który mu zabraniał, niepodobieństwem. Ani nawet do Falent skłonić go nie było podobna.

Nad tym pracowali przyjaciele Amandy. Postarano się też o jakieś listy, które wrzekomo plotkę zawartą w pierwszych potwierdzały.

Słowem, sprawa królowej stała tu jak najgorzej i Bietka łatwo się o tym przekonać mogła.

Ale nie rozpaczała wcale, aby się to wszystko nie dało zmienić. W ciągu podróży od Gdańska do Falent trochę się zapoznała z dala z otoczeniem posłowej, pani de Guebriant, przypatrzyła jej samej i na niej największą pokładała nadzieję. Królowa sama z pewnością nie byłaby potrafiła wyjść zwycięsko z osnutej sieci intryg, które tu na nią czekały.

Nie mogąc długo pozostać w Warszawie, nazajutrz rano dziewczę już było u Mingajłowej, która je ze zdumieniem przywitała, uląkłszy się naprzód, czy ją ode dworu nie odprawiono.

Uspokoiła się dowiadując, że wysłana została dla dostania języka.

Ale od pani ciwunowej niewiele się dowiedzieć było można i upewnić, chyba tylko, że

Kazanowscy do obozu Niemki wcale przechodzić nie myśleli, chociaż ona chwilowo była zwycięską. Marszałkowska ani znać jej, ni widzieć nie chciała, tak się z nią obchodząc, jakby była prostą ochmistrzynią przy królewiczu. Zabiegała wielce Niemka, aby tak ją, jak inne panie sobie pozyskać i zbliżyć się do nich; wszystkie umiały się wymówić, wyśliznąć i nie dopuścić ją do poufałości z sobą.

Surowy obyczaj ówczesny wszystko łatwiej przebaczał nad tak zwane jawnogrzesznictwo, urągające prawom Kościoła i mnożące zgorszenie. Pokątne miłostki puszczano płazem, choć na nich nią zbywało, ale publiczne zgorszenie nawet królowi bezkarnie ujść nie mogło.

Władysław lekceważył sobie to, a wiele rzeczy nie znał i nie wiedział, ale nawet dworscy oddani mu, gdy przyszło do obrony króla, milczeć musieli. Nie mógł więc Władysław za złe mieć niewiastom, żonom senatorów, że od Amandy unikały lub obchodziły się z nią tak, jakby o łaskach

pańskich nie wiedziały. Wielu surowszych, jak Albrecht Radziwiłł, bronili króla, wszelkie stosunki dwuznaczne mając za potwarz i bajkę.

Marszałkowa Kazanowska, uwiadomiona o Bietce, weszła niby przypadkiem do ciwunowej, aby coś od niej o królowej posłyszeć. Dziewczę musiało dobrze obrachować, co mówić wypadało.

Wszystko, co od niej usłyszała marszałkowa, było na pochwałę nowej pani i pani de Guebriant, która ciekawość obudzała.

Bietka dodała kończąc, że królowej nawet nie dosyć wygodnie było w Falentach, a dla jej dworu ciasno i że trzymać tu dłużej, w tej porze wiosny chłodnej, stawało się okrucieństwem.

— Spodziewamy się też — dodała — że król rychło pozdrowieje, że się do wjazdu wszyscy przygotowują nareszcie, gdy tyle czasu mieli na to, a nas z tej niewoli uwolnią. Wzdychamy do tego.

— I ja sędzę — odezwała się marszałkowa — iż to wkrótce nastąpić musi. Niech nam tylko młoda pani przybywa odważną, wesołą i śmiałą, a wiele rzeczy, o których jej niepotrzebnie może mówiono, zapomni, bo o nich wiedzieć nie powinna.

Z tym wyszła pani marszałkowa, a Bietka musiała, zebrawszy tu co mogła

niepocieszających wieści, powracać do Falent. Wstąpiła tylko dla pożegnania do Bieleckich, gdzie czekał Nietyksza, zabawiając pannę Zubkównę, a oknem wypatrując, czy nie powraca Bietka.

Konie stały gotowe, dzień się obiecywał dosyć znośny i dziewczę dodając sobie odwagi, siadło do brozka, który się potoczył, z Nietykszą u drzwiczek nieodstępny.

Pan Izidor miał także wiadomości, które we dworze Radziwiłłowskim zaczerpnął. Tam spodziewano się pewno już, iż wjazd około dziesiątego, to jest za dni kilka, nastąpić musi.

Ponieważ książę Albrecht marszałkował u królowej, wydane przez niego rozkazy do gotowości dla pocztów własnych i rodziny miały pewne znaczenie.

Bietka tym była przynajmniej pocieszoną nieco, a choć w ogóle to, co wiozła,

pocieszającym nie było, postanowiła królowej nie straszyć, i owszem, stan rzeczy jej odmalować lepszym, niż był w istocie, aby odwagi nabrała.

Śmiejąc się i żartując z Nietykszy, którego koń był niesforny a on sam roztargniony,

dziewczęta przebyły do Falent drogę prędzej, niż się spodziewały. Wiatr wiosenny szybko suszył

roztopy; błotnista droga, którą królowę straszono, mniej się wydawała przykrą. Bietka z bijącym

sercem, zabierając się trochę kłamać, wyskoczyła z brożka przed oficyną w Falentach.

ROZDZIAŁ V

Przed częścią dygnitarzy i senatorów król był zmuszonym zachować się tak, aby nie dać

poznać po sobie, iż zaszło coś odstręczającego od królowej i zniechęcającego do niej. Mianowicie z surowego obyczaju księciem Albrechtem Radziwiłłem, którego mianował marszałkiem dla

przyjęcia przybywającej, obchodził się tak, jakby tylko choroba stawała na przeszkodzie powitania w Falentach i wyjechania naprzeciw.

Księżę Radziwiłł, któremu i królowej, widocznie cierpiącej na tym lekceważeniu, żal było, a oprócz tego i przed marszałkową de Guebriant musiał tłumaczyć króla, starał się przynajmniej jakimiś dowodami grzeczności i uprzejmości w oczach ludzi pokryć to postępowanie.

Panna Amanda tymczasem i jej przyjaciele robili, co mogli, aby króla utrzymać w tym

usposobieniu niechętnym i wstrzymać od wszelkich zbyt obiecujących objawów. Król się wahał i cierpiał.

Tymczasem pobyt w Falentach u pana Opackiego przeciągał się i pozostawienie tam

królowej samotnej, prawie bez wiadomości od króla, opuszczonej, musiało być uderzającym.

Radziwiłł więc, który był uwiadomiony o wszystkim, ale przed królem nie dawał tego poznać, wniósł, ażeby przynajmniej małego królewicza wyprawić i dać go poznać przyszłej matce

przybranej, która się jego wychowaniem zająć miała.

Król wysłuchał tego wniosku zimno, sam bowiem wprzód już myślał, iżby to było

przyzwoitym, ale nie wiedział, co na to powie panna Amanda. Miała ona zwierzchni nadzór nad nim, odebrać go jej, posłać bez niej, mogło dla Niemki być obrażającym; posłać z nią, było narazić może. Zresztą nie wiedział, czy ona zechce towarzyszyć wychowawcowi, a był pewnym, że

wysłaniu go sprzeciwi się. W pierwszej więc chwili nie odpowiedział nic Radziwiłłowi.

Zawołać kazał po wyjściu jego Paca, który mu służył za pośrednika.

— Zygmunta kazań mi posłać królowej — odezwał się — niezawodnie by to uczynić

wypadało. Tak jest — powtórzył zaszepiając się — ludzie już i tak mruczą... domyślają się. Wiesz, że żona Cezara nawet podejrzaną być nie powinna. Co zaszło, to musi pozostać między mną a nią, a tymczasem pozory ocalić należy dla dostojeństwa korony. Pac milczał.

— Idź z tym do Amandy — dodał król — pojedzie ona sama z Zygmuntem?

Spojrzał król na wojewodzica, który usta zagryzał.

— Gdyby pojechała — mówił Władysław dalej — obawiałbym się jakiego fałszywego kroku... Nie panuje dosyć nad sobą.

— Najjaśniejszy Panie, nadto jest do Waszej Królewskiej Mości przywiązana — rzekł Pac — trudno po niej wymagać krwi zimnej w tej chwili, gdy widzi, co jej zagraża.

— Ale cóż jej zagraża? — kwaśno przerwał król. — Dotąd nic a nic. Ode mnie zależy miejsce jej i funkcje przy Zygmuncie zachować. Nie ma lat siedmiu królewicz, więc jeszcze kobiecej opieki potrzebuje.

— A królowa? — szepnął Pac.

— Królowa nie może się przecie zajmować drobnostkami — rzekł król — i nie wiadomo jeszcze, jak się ułoży to życie jej w przyszłości.

Podumał król nieco.

— Amanda by powinna wymóc na sobie i jechać jako ochmistrzyni z królewiczem do Falent; poznałaby ją prędzej i mnie relacją przywiozła.

— Książę Karol, zdaje mi się... — wtrącił Pac. Władysław ramionami rzucił.

— Waszmość wiesz, że książę Karol na kobiety nie patrzy i ledwie do nich mówić raczy.

Królowa dla niego nie stanowi wyjątku. Jestem pewnym, że choć ją często w ciągu podróży widywał, nie wie ani koloru jej oczów, ni włosów. O królowej dotąd nie miałem takiej relacji, jaką bym życzył mieć, od nikogo. Radziwiłł chwali... chwałą wszyscy.

— Panna Amanda — począł Pac cicho — będzie przeciwną wysłaniu królewicza, a jeśli mi wolno ją tłumaczyć, powiem, że może ma słuszość, bo królowa tym nadszkakiwaniem jej ludzi się gotowa.

Władysław słuchał ze wzrokiem wlepionym w posadzkę.

— Królewicza wysłać potrzeba — rzekł. — Ceremoniał dworski tego wymaga. Byłoby uchybieniem. Idź z tym do Amandy.

wojewodzie skłonił się i wyszedł krokiem przyśpieszonym z poselstwem, które mu wcale nie smakowało. Wiedział, co go tu czeka.

Królowicza nie było przy niej, siedziała sama, dni te całe spędzając w gorączce, rozpędzając swe sługi, gniewając się na wszystkich, płacząc na przemiany i dając się. Na próżno sam król i przyjaciele ją uspokajali, a Władysław nawet więcej okazywał czułości niż przed kilku miesiącami; przewidywała, że się tu osiedzieć i pozostać nie będzie mogła. Na przemiany to sama chciała dwór opuścić, to upierała się na nim pozostać.

Na wychowanka swojego, Zygmunta, nie mogła rachować. Nie miała przywiązania do niego i pozyskać też sobie dziecka nie umiała. Zygmunt, któremu już poszepnięto, iż zapewne straci swą ochmistrzynię, mówił o tym z zupełną obojętnością. Spodziewał się, iż przy tej zmianie przejdzie pod dozór męski, a tego sobie życzył, bo miał się już za dorosłego.

Gdy Pac wszedł do pokoju Niemki, zastał ją opartą na stoliczku, ze śladami łez na oczach, ale razem i gniewu na twarzy.

Pac obejrzał się, czy ich nie podsłuchiowano.

— Zdaje się — rzekł — że królowa zażądała, aby jej królowicza przywieziono do Falent.

Chce go poznać.

— Byłam pewna — wykrzyknęła Amanda — że wymyślą i to w końcu! Królowa! Waćpan wierzysz, że to królowa...? Nie! Jej przyjaciele chcą tej grzeczności!

— Król sobie też życzy.

— Król nie ma najmniejszej mocy charakteru! — zawołała Niemka. — Wie, że go oszukano, że ta jego dziewczyna narzeczona była już zaręczoną, narzeczoną i zapewne więcej jeszcze... książęciami... książętami... i nie wiem ilu faworytów!

Plątała się i jękała.

— Postanowił był okazać jej — mówiła dalej — iż nie jest ślepym i głuchym, że wie o wszystkim. Dał jej już do zrozumienia, że czułym małżonkiem być nie myśli, bo i zwłóknął przybycie, i wcale na krok się na spotkanie ruszyć nie myśli, a teraz nagle namówiono go na wcale co innego.

— A, tegom się powinna była spodziewać! — dodała z gniewem. — On nie ma serca!

Gotów wyjechać sam!

Rozpłakała się, ukryła twarz w dłonie i szlochała ze złości.

— Król — podchwycił Pac — nie jest panem swych czynności, musi ulec pewnym wymaganiom. Tysiące oczów patrzy na niego, tłumaczą złośliwie, dla majestatu tronu musi zachować pewne pozory.

— Niech więc robi, co chce! — wykrzyknęła panna Amanda. — Niech mnie jutro precz stąd wygna, niech jej odda królewicza, aby go struła, niech...

Nie dokończyła, tylko łkaniem. Pac był mocno skłopotany.

— Panna Amanda nie masz wcale nad sobą mocy i wiary w siebie — odezwał się. — Co tu płacz pomoże i narzekania! Więcej daleko zuchwalstwem i odwagą byś wygrała. Sama byś mogła jechać do niej z królewiczem.

Krzyk się dał słyszeć. Niemka porwała się i padła na siedzenie.

— Ja do niej?! Jechać, kłaniać się, aby mi tam wzgardą rzucono w oczy i traktowano jak sługę?! Wolę pieszo wyjść stąd i porzucić wszystko!

wojewodzie czekał uspokojenia i nie mówił więcej, aby nie drażnić.

Niemka wreszcie, wymęczony siebie i jego, podniosła się z siedzenia z zaognionymi oczyma.

— Niech z królewiczem robią, co chcą! — rzekła. — Naturalnie, nowa pani potrafi go sobie ugłaskać i pozyskać! Wszystko to jest przeciwko mnie wymierzone!

— I zamiast się bronić, wy składacie broń — wtrącił Pac. — Przyznam się, że się tego nie spodziewałem.

Amanda rzucała się na siedzeniu, to odwracając od wojewodzica, to ku niemu spoglądając z wymówką.

— Wy wszyscy teraz — rzekła — działacie przeciwko mnie! Cała sieć intryg osnuta! Wy nawet, wy, wy!

— Ja? — podchwycił Pac.

— Wy tak... jeśli nie sam, to twoi! — mówiła żywo Niemka. — Sądysz, że ja nie wiem, jak to było zρέcznie osnutym, aby królowę zawczasu ostrzec o wszystkim, uwiadomić o tym, co się na dworze dzieje, nauczyć, co ma robić.

A, ta zmija! — dodała z rosnącym gniewem, rękę ściskając i podnosząc. — Ta zmija!

— Kto? — spytał Pac spokojnie.

— Udajesz niewinnego? Ty? Jakbyś nic nie wiedział! Bietka to wasza ulubienica... ta...

wyrwała mi się z rąk po to tylko, aby się znalazła na dworze królowej! Ona teraz podszeptuje, co ma robić królowa, jak się bronić, jak z królem postępować, a nade wszystko, jak się mnie stąd pozbyć!

Na chwilę gniew mówić jej nie dał, tylko czarne oczy zapalały ogniem mściwym.

— Ale ja też nie jestem już tak całkiem bezsilną, jak się zdawać może — mówiła drżącym

głosem — znajdę sobie przyjaciół, pomocników i potrafię się pomścić! Z królową ona przecież tu na zamek przybyć musi, a wiem, że jest przy niej, że tam uczy i tłumaczy, co poczynać mają, że Francuzom zdradza wszystkie tajemnice. Gdy się zjawi tu na zamku, o, ani królowa, ani Francuzi nie potrafią jej obronić ode mnie! Muszę się zemścić!

I silnie uderzyła w stół ręką.

— Wyprawili ją stąd umyślnie — poczęła żywo — Kazanowscy... Wiem o tym, ale czynili

tak, jakby się do niczego nie mieszcili. Oni zawsze neutralnymi się czynią. Marszałek wita mnie uprzejmym uśmiejchem, choć nienawidzi. Marszałkowa, gdy się jej przyjdzie otrzeć o mnie, nie widzi, nie ogląda się, nie chce znać. Król ma pięknych przyjaciół!

Zwróciła się znowu do Bietki.

— Pan przecie powinienes o swej przyjaciółeczce być uwiadomionym — odezwała się szyderczo. — Biegałeś za nią i pewno niedaremnie, miała tu was i wielu z wami.

Zarumienił się wojewodzie.

— Panna Amanda wiesz najlepiej, że choć to serca królewskiego nie sięga i jest sobie fantazją przemijającą, ale miewa król kaprysy, a ja jestem sługą i muszę się starać mu dopomóc.

Rzucił był okiem na to dziewczę, kazał mi ją dla siebie ugłaskać.

— Składasz teraz na króla! — wybuchnęła Amanda. — Chyba ty sam mu ją nastręczyłeś!

Kłamstwa i brudne intrygi! Nigdy nie uwierzę temu, ażeby wyprawa tej dziewczyny na dwór

królowej, z takim pośpiechem, dla ostrzeżenia, stała się bez udziału was wszystkich. Mówicie sobie, że król mnie się pozbędzie, że Francuzka zapanuje, wcześniej zaskarbicie jej łaski!

Spojrzała ostro na wojewodzica, jakby chciała wywołać odpowiedź, ale Pac milczał i węża pokręcał. Dał się jej wyburzyć i wypłakać — czekał.

— Z czym powrócę do króla? — spytał w końcu. — Z góry wiedziałem, że wy z królewiczem do Falent jechać nie zechcecie, ale podróż królewicza jest pomimo to nieuniknioną.

— Zatem mnie się ani pytać, ani radzić nie było potrzeba — wtrąciła z przekąsem. —

Jestem tu zawsze sługą. Przynosicie mi rozkazy, ja się do niczego mięszać nie mam prawa. Król mnie tylko zmusić nie może, abym ja do Falent jechała. To nie!

— Przecież — rzekł Pac chłodno — gdy królowa przyjedzie, gdy cały dwór się jej przedstawiać będzie, nieuniknionym jest, że i wy.

Zmierzyła go Niemka wzrokiem przeszywającym i nic nie odpowiadając, odwróciła się ze wzdargą.

wojewodzie, znudzony dosyć tym poselstwem, powrócił do króla, ale go zastał zajęтым gośćmi.

Przybywały oddziały różne, które miały wjazd królowej do Warszawy uświetniać; panowie, co je prowadzili, co dzień się przedstawiali królowi, po większej części nie wiedząc, co się działo na dworze i wyobrażając sobie, iż król wdzięczny im być musi za to uczczenie narzeczonej. Po kraju krążyły jeszcze wieści, że król od bardzo dawna się kochał w księżniczce niwerneńskiej, że się o nią starał już raz przed ożenieniem z Cecylią, a teraz powrócił do dawnej tylko ku niej skłonności. Kto mógł więc, starał się panu przypodobać, przybywając do Warszawy z umyślnie wystawionym oddziałem ludzi.

Dosyć zimno przyjmował Władysław te dowody przywiązania.

Ciągnęły się jedne po drugich odwiedziny, aż Pac w końcu mógł przyjść z raportem.

— Mówiłeś z nią? — spytał król.

— Tak — rzekł wojewodzie — ja mówiłem, a ona płakała... no i łajała.

Chwilka milczenia nastąpiła potem.

— Amanda wcale nie myśli z królewiczem jechać — rzekł Pac — ale trudno tego było po niej wymagać.

Władysław oddychał ciężko, zadumał się.

— A, te kobiety! — odezwał się. — Te kobiety...

Skończyło się na tym. Oznajmiono księcia Karola, który wchodził jak zawsze poseępny, zachmurzony, sztywny, gdyż starał się, znając swój gwałtowny temperament, trzymać na wodzy i wydawać ostrygłym.

— Chciałeś się widzieć ze mną? — zapytał cicho, bliżając się ku łożu.

— Tak, bo musisz jutro z Zygmuntem do Falent — rzekł król. — Mówią mi wszyscy, iż królewicza należy jej zawieźć, nie mam go komu powierzyć, najważniejszym posłem ty jesteś.

— Ja? — ruszając ramionami i siadając w krzesle, odparł ze znużoną miną ksiązę Karol —

ja? Ale ty wiesz, jak mnie w towarzystwie kobiet jest obco i nieswojo. Oprócz pana de Brégy i biskupa auriackiego, którzy tam oba podrzędną rolę grają obok pani de Guebriant, same kobiety.

— Guebriant wiezie z sobą siostrzenicę bardzo podobno piękną? — wtrącił król złośliwie

niewiele, wiedząc, że biskupowi tym dokuczy, bo ten i mówienia, i spoglądania na płeć żeńską unikał i znanym był z tego.

— Nie widziałem jej — odparł sucho biskup — co mnie to obchodzi, a sądzę, że i ciebie nie powinno?

— Ty wiesz, że ja piękne twarze lubię. Biskup zmilczał trochę.

— Widziałeś ich już dosyć — szepnął po chwili.

— Jedziesz więc jutro z Zygmuntem — dodał król. — Jeżeli to jest nieuniknionym — szepnął biskup.

Oba westchnęli. Ksiązę Karol powstał zaraz, zatrzymał się jeszcze krótko przed królem i zabrał do wyjścia.

— Właśnie jutro — odezwał się — miałem coś siać i przesadzać w ogródku.

— A, w tym masz się komu zastąpić — rzekł Władysław.

— Byłoby mi najprzykrzej właśnie być zastąpionym, bo mnie to sprawia przyjemność.

Lubię nie tylko kwiatki, ale około nich starania.

Uśmiech przebiegł po ustach Władysławowi, w którym był odcień politowania.

Wkrótce po wyjściu księcia Karola jak burza wpadł młody królewicz do sypialni ojca, lecz w progu sobie przypomniawszy uszanowanie, jakie mu nakazywano, starał się powściągnąć i uspokoić.

Pocałował rękę ojca.

— Jutro jedziesz ze stryjem Karolem do Falent — rzekł król — pokłonić się królowej.

Spodziewam się, że tam będziesz się jak należy sprawował i niezbyt dokazywał. Dla królowej jak dla mnie powinienes być z uszanowaniem.

Chciał coś dodać król, ale się powstrzymał, nie mógł wtajemniczać dziecięcia, a obawiał zbytniej jego czułości.

Królewicz był cały przejęty już jutrzejszą podróżą swoją i wielce nią szczęśliwy.

Pochlebiało mu to, że był powierzonym stryjowi i że żaden kobiecy nadzór czyniący go dzieckiem ciążyć mu nie będzie. Chciał ojcu opowiedzieć, jak by życzył sobie ustroić się, ale rozmowę przerwało nadejście Kazanowskiego.

W Falentach zapowiedziano wieczorem te odwiedziny królewicza, które choć trochę opóźnionymi znajdowała pani de Guebriant, zaspokajały ją przecież. Etykieta, przyzwoitość były ocalone. Bolała nad tym niezmiernie, iż sam król nie mógł się dostać do Falent, do czego był co najmniej obowiązany; tłumaczono to zawsze chorobą, dodawano, że nawet próbował się do kolebki, ale ruch powozu takie wywołał boleści, iż nazad musiał powrócić.

Wysiadającego w ganku Zygmuntka powitała z dala twarzyczka znajoma. W rogu dworu

stała bardzo mu ulubiona Bietka, ta, którą dawniej przyjaciółką nazywał. Z okrzykiem byłby się ku niej rzucił pewnie, gdyby biskup za rączkę go nie pochwycił i nie zmusił wniść do pokoju, w którym królowa czekała na nich. Poprzedzali biskupa i królewicza razem z nimi wysłani, aby temu przedstawieniu jego nadać cechę urzędową i uroczystą, arcybiskup gnieźnieński i Kazanowski marszałek.

Nie obeszło się więc bez mowy solennej, do której może mimo woli arcybiskup ziarnko

gorzkie dorzucił, Zygmunta jako w przyszłości spodziewanego następcę króla podając, co dla królowej zbyt przyjemnym być nie mogło, gdyby ją Bóg obdarzył rodziną. Królowa zaledwie się mogła przybliżyć do chłopaczka, którego serce sobie pozyskać pragnęła. Księżę i marszałek

Kazanowski, obawiając się jakiego niezręcznego słowa, pilnowali nazbyt żywego królewicza.

Marszałek Kazanowski dał się tu poznać Marii Ludwice lepiej niż przy pierwszych

odwiedzinach, nadzwyczaj umiejętnie i zręcznie prowadząc i naginając rozmowę, tak aby w niej żadnego dźwięku dysharmonijnego nie dopuścić.

Wesołe twarze na tę uroczystość poprzybierali wszyscy, chociaż one mało kogo mogły

uwieść. Poza nimi czuć było coś groźnego i niepewnego, kryjącego się we mrokach. Pani de

Guebriant, która zręcznością przechodziła może marszałka Kazanowskiego, mówiła za królowę, potakiwał jej poseł, pan de Brégy, a biskup auriacki z wielką uniżonością zabawić się starał

poważnego prymasa. Królewicz słuchał i mało się potrzebował odzywać. Przez cały ciąg tych

odwiedzin ceremonialnych nie wypuszczono go ani na moment spod nadzoru i poruszyć mu się nie dano swobodnie. Trwało to aż do wyjazdu, który równie uroczystymi formami jak przybycie

otoczony, wydawał się obrzędem jakimś niemal przymusowym.

Jedna pani de Guebriant, której szło o zachowanie form i etykiety, była tym zachwyconą.

Unosiła się nad bardzo ładnym królewiczem, nad mową arcybiskupa, nad dystynkcją

Kazanowskiego, a nawet nad dworem i powozami, którymi przybyli. Królowa ciągle była milczącą.

Następnych dni na odwiedzających nie zbywało. Zdawało się, że nie chciano królowej dać

się opamiętać, spocząć, pozwolić myśleć. Z Warszawy napływali panowie i panie z pokłonami, chociaż znaczna ich część, po francusku nie umiejąc, tłumacza potrzebowała. Biskup auriacki, pan de Brégy, po troszę sekretarz królowej, Desnoyers, zabawiali jak mogli gości, dla których stoły ciągle nakrywać i czymś zastawiać musiano, co kuchmistrza de Ronsay przyprawiało do

rozpaczy.

Z Warszawy przychodziły najrozmaitsze wiadomości o królu, o dworze, o cichych

intrygach, które jak miny pod twierdzą zawczasu podkładano, aby przybywająca pani bezpiecznie kroku stąpić nie mogła. Bardzo szczęśliwym to było dla wszystkich, że od królowej i tego, co ją jak chmura groźna otaczało, odwracały oczy rozmaite sprawy, zajmujące i króla, i dwór jego.

Do posłów weneckiego i francuskiego, jacy już gościli w Warszawie, przybywał w tych

dniach moskiewski, na którego król oczekiwał, bo sobie życzył pozyskać cara w przededniu

marzonej wojny z Turcją jako sojusznika i pomocnika. Wyznaczono mu nawet lepszą niż zwykle gospodę, nie w Giełdzie przy Długiej ulicy, ale w domu arcybiskupa, i podejmować go nakazano jak najuprzejmiej. Przybycie tego poselstwa rodziło przy tym trudność, bo Tiepolo, wenecki patrycjusz, wysłany tu od Rzeczypospolitej, zawczasu zapowiadał, iż nie da się posiąść posłowi cara, a znano z drugiej strony niezmierną drażliwość moskiewskich posłanników. Pan de Brégy, poseł francuski, także musiał godności swego pana strzec w sobie.

Wymijać się więc musiano ostrożnie, aby do konfliktu nie przyszło.

Co dzień po kilka razy przybywali do Warszawy powracający z Falent, wszyscy prawie

zachwyceni królową, uprzejmością jej i rozumem. Króla to niecierpliwiło. Zbliżał się już dzień uroczystego wjazdu, kazał Pacowi z jakimś komplementem udać się do Falent.

— Powiesz mi przecie prawdę, bez tych pochlebstw i adulacji dla królowej. Chcę wiedzieć, jak ona jest. Rozpatrz się we dworze, poznaj panią de Guebriant. Usiłują mnie nią nastraszyć.

Niechętnie podjął się Pac posłannictwa, lecz wymówić od niego nie byłoby sposobu.

Zawiadomiona Amanda spojrzała ostro.

— Zobaczmy — rzekła — jakim mi się okażesz przyjacielem.

Dzień, chociaż bardzo jeszcze do zimowego podobny — było to dnia 9 marca — trochę już

wiosnę zapowiadał. Pac przybył do Falent raniej, niż był powinien. Nie było go komu przyjąć, zajrzał do ogrodu.

Jakim sposobem znalazła się tu Bietka, ani on, ani ona by tego wytłumaczyć nie umiała.

Skorzystał z tego dworak skwapliwie, ale ją znalazł wielce zmienioną.

— Przybywasz pan na zwiady — odezwała się szydersko — ja go tu od dawna wyglądałam.

Spodziewam się, że zdasz sprawę panu wierną z tego, co tu u nas zobaczysz.

— Ale cóż się dzieje z moją przyjaciółką? — wtrąciła. — Czy jeszcze jest w Warszawie?

— Spodziewa się nawet pozostać, nie ruszając z zajmowanego apartamentu — rzekł Pac — trzeba się do tego przygotować.

— Na początek — odparła Bietka — lecz wszystko to się z czasem zmieni. Radź pan pannie

Amandzie, jako jej dobry przyjaciel, ażeby wcześniej sobie tłumoki przysposabiać zaczęła. Dwóch

pań żaden dwór nie cierpi, a my wieziemy taką, która nie tylko prawo mieć będzie sama tam królować, ale i siłę do tego potrzebną.

— Królewicz — odezwał się Pac — potrzebuje nadzoru kobiecego, bez niego się nie obejdzie.

— Ten mu przybrana matka obmyśli — rzekła Bietka.

— Macocha — poprawił, śmiejąc się, Pac.

— Ja myślę, że matką być potrafi — zamruczała Bietka. — Jeśliście się spodziewali łatwego zwycięstwa...

— Proszę mnie do wojujących nie mięszać — rzekł Pac. — Pani to najlepiej wiesz, że ja królowi jednemu służę i na nikogo się więcej nie oglądam. Dopóki król mieć będzie słabość czy przywiązanie do Amandy...

— Szczęściem, że król na długo nigdy się nie przywiązuje — dorzuciła Bietka.

Miał już odchodzić, gdy po namyśle zwrócił się ku dziewczęciu.

— Nie zdradzaj mnie — rzekł — ale przestrzec, muszę ją... Amanda zemstę poprzysięga!

— Cóżem ja jej zawiniła? — z udanym podziwieniem spytała Bietka.

— Ona wie wszystko — mówił dalej Pac — kto jej doniósł o tym, nie wiem. Mieście się na bacności!

— Dziękuję za życzliwą przestrożę, nawzajem możesz jej pan powiedzieć, że ja zemstę poprzysięgłam jeszcze wprzódy... Która z nas będzie silniejszą, nie wiem.

— Król bardzo się do niej przywiązał ostatnimi czasy — rzekł Pac.

— Bardzo przyzwyczał — przerwała Bietka — a to mnie uspokaja właśnie, bo im bardziej nawykł, tym prędeziej się znudzi. Pan znasz króla.

— I pannę Amandę, która go zna lepiej jeszcze, a wie, czym go do siebie przyciągnąć może

— rzekł Pac. — Więc pewnie w środkach przebierać nie będzie.

Z uśmiechem skłoniło mu się dziewczę z daleka; nadchodził w tej chwili pan des Essarts z

oznajmieniem, że królowa wysłanego od męża przyjąć mogła.

Królowa była o Pacu uprzedzoną i znała go dobrze, wiedziała, że przybywał, aby zdać

sprawę z tego, co tu postrzeże i usłyszy; przyjęła go więc nadzwyczaj zimno i wymówiwszy się bólem głowy, natychmiast wyszła. Do stołu zaś zaproszono go wprawdzie, ale królowa się nie ukazała. Miał tylko zręczność zapoznać się z posłową i jej śliczną siostrzenicą, którą został

zachwyconym, z panią d'Aubigny, która z niego nadzwyczaj zręcznie żartowała, z kwaśną panną Langeron, z milczącą des Essarts, z doktorem de Lafage i księdzem de Fleury.

Pani d'Aubigny poleciła królowa, aby nie oszczędzała Paca, bo był nieprzyjacielem, i z tego, co mówiła Bietka o nim, kilka szcze- gółów posłużyło zręcznej Normandce-Włoszce do

wprawienia w kłopot nieszczęśliwego wojewodzica. Były to dwuznaczne frazesa, nie powiadające nic na pozór, a mogące się łatwo do przeszłości dworaka stosować.

Cały dwór królowej i wielka posłowa mieli sobie za obowiązek wszystko chwalić i

wszystkim się zachwycać, z przyjęcia byli nadzwyczaj radzi, humory stroili na ton najwyższy.

Desnoyers, sekretarz, zapewniał, że we Francji nie widział tak misternie urządzonego teatru, jak w Gdańsku, a całą Europę przejechawszy, podobnego jak tu rycerstwa widzieć nie było można. Były to ostatnie szczątki starej *chevalerie*.

Oprócz pani de Guebriant, która przy stole spytała po cichu o zdrowie króla, jak gdyby

głośne mówienie o chorobie nowożeńca znajdowała nieprzyzwoitym, nikt o nic nie zapytał nawet.

Pac zapowiadał wjazd do Warszawy niewypowiedzianie okazały.

Po obiedzie, odwiedziwszy posła, pana de Brégy, i biskupa auriackiego, Pac musiał wracać,

bo nie miał tu co robić. Powracał zaś upokorzony, bo z próżnym mieszkim, gdy król tylko go po wiadomości wysłał. wojewodzic miał dosyć żywej imaginacji i daru słowa, aby z tego, co tu

pochwyił, zrobić obrazek, powiększyć, uzupełnić, ale zły był, bo widział w tym robotę tej lekko szacowanej dziewczeczki, którą miano za nic, a która się potrafiła. uczynić narzędziem ważnym i sprężyną wszystkiego, co się tu działo. Uznawał, że panna Amanda miała słuszość, pragnąc się pomścić, bo było za co.

Wyjeżdżającemu zza altany ogrodowej nad drogą czatująca tam z Zubkówną Bietka

szyberski posłała ukłon.

wojewodzic się gniewał.

— A, to szatan dziewczyna! — mrucał.

Król kazał go do siebie wołać, jak- tylko powróci; nie dano mu wprzódki wpaść do Amandy, czego sobie życzył — Władysław się niecierpliwił.

Pac stawiał się zimny i małomówny, zmęczony.

— Znalazłem na nieszczęście królowę chorą na głowę — rzekł — tak że tylko na bardzo krótką chwilę miałem szczęście być przypuszczonym. Skarżyła się Najjaśniejsza Pani na zmęczenie, i nie dziw, bo od kilku miesięcy bezprzestannie jest narażoną na uroczyste przyjęcia i na podróż. Klimat się też dał uczuć.

— Piękna? — zapytał król. — Wygląda młodo jeszcze?

Pac zawahał się.

— Piękna — rzeki — i do portretu podobna, ale... sama podróż tłumaczy, dlaczego się wydaje zmęczoną.

— Ale mówże, co sądzisz o niej! — zawołał król niecierpliwie. — Nade wszystko bez ogródki! Bez względu na to, z jakiej krwi pochodzi.

— Po tak krótkim widzeniu — odezwał się Pac — cóż, ja mogę więcej powiedzieć? Wydała mi się dosyć dumną, ale uprzejmą i grzeczną; dostojęństwo królewskie i koronę godnie nosić potrafi.

Pac podniósł oczy i wlepił je w króla.

— Jest w niej krew francuska i włoska — dodał. — Niełatwo ją będzie uczynić powolną...

Władysław zrozumiał przestrożę, lecz ufał sobie.

— O, to moja rzecz — rzekł — nagiąć i zmusić do posłuszeństwa potrafię. Nie jestem z tych, co się zawojować dają.

Mówił to z taką wiarą w siebie!

Pac potem odmalował panią de Guebriant jako istotnie stworzoną do poselstwa,

znakomitego umysłu i taktu osobę, ale wpadłszy na wspomnienie jej siostrzenicy, o której już królowi mówiono, uniósł się i miarę stracił, powiadając, że piękniejszej kobiety w życiu ani widział, ani sobie wyobrażał.

— Królowa przy niej gaśnie — zamruczał Władysław — pani marszałkowa nie dała dowodu zręczności, biorąc ją z sobą dla porównania.

wojewodzie tłumaczył panią de Guebriant tym, że pomiędzy szesnasto czy siedemnastoletnią panienczką a dojrzałą i rozwiniętą w pełni piękną Marii Ludwiki porównania być nie mogło. Były to dwie zupełnie różnego rodzaju istoty.

Takie było czy usposobienie umysłu króla, czy potrzeba roztargnienia, iż mając tyle przykrych i dojmujących spraw na głowie, o wszystkim zapomniał dla pięknej siostrzenicy posłowej i zdawał się już niecierpliwym widzieć ją niż królowę.

— Pac — rzekł do niego w końcu — staraj się wkupić w jej łaski, będziesz moim pośrednikiem.

Oślupiał wojewodzie.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie? Rozśmiał się król.

— Chcesz, żebym tego kwiatka nawet nie powąchał? — rzekł wesoło. — Na cóż bym królem był, gdyby mi to nawet rozrywek podobnych nie ułatwiało. Wydamy tu za mąż pannę...

Rozmowa o kobietach głównie przeciągnęła się dosyć długo.

Tymczasem panna Amanda, z równą przynajmniej niecierpliwością oczekująca powrotu

Paca jak król, zrywała się, na próżno wyglądając go.

Przyszedł tak późno, zmęczony i znudzony, iż mało co mogła się od niego dowiedzieć.

Zwierzył się jej tylko, że widział tam Bietkę, która zdawała się już zupełnie wcieloną do dworu i z nim obytą, i że wydała mu się słowo w słowo tak usposobiona dla panny Amandy, jak ona dla niej była.

Głównie jednak i Niemka dowiadywała się o królowę.

— To tylko wam powiem — zakończył Pac — że pokorną jak Cecylia ani tak bojaźliwą i

posłuszną jak ona nie będzie. Kobiety na dworze francuskim nawykły wszystkie grać znaczną rolę, ona żyła już, widziała dość dużo, ma doświadczenie i z pewnością jedzie nie dać się zawojować, ale zawojowywać.

— Król jest ostrzeżony — odpowiedziała Niemka — tym lepiej, wywiąże się walka, a

Władysław, pan nasz, w żadnej się dać zwyciężyć nie może. Francuzka pozostanie tu tak jak osamotnioną... Nas jest więcej i my znamy grunt, po którym chodzimy.

Panna Amanda w ten sposób dodawała sobie ducha i męstwa, którego pono nie miała. Pac nie miał ochoty z nią prowadzić sporu. Kilka razy zwróciła rozmowę na Bietkę i wyrwało się jej:

— Jej się pozbyć stąd potrzeba!

— Królowa, wątpię, ażeby łatwo się z nią rozstała, jeżeli jest jej tak użyteczną — rzekł Pac.

— Alboż nie ma sposobów uprzątnienia z drogi tego, co nam zawadza?! — z rodzajem pogardy zawołała Niemka. — Dziewczę jest zalotne i płoche, mężczyźni czasem z tego umiejają korzystać. Słyszymy co dzień o porwanych gwałtem i uwiezionych. Ktoś ją też może namówić, pochwyć i nas od niej uwolnić!

Mówiła to tak dwuznacznie, iż Pac prawie domyślać się mógł jakby już osnutego planu.

Chociaż dziewczę mu dokuczyło, uląkł się i postanowił strzec, aby mściwa Niemka groźby nie przyprowadziła do skutku.

ROZDZIAŁ VI

Około jedenastej z rana naznaczonego dnia królowa siadła wreszcie do tej kolebki złoconej, która ją na tron zawieźć miała, przed oblicze tego, co miał być mężem jej i panem, uprzedzonego, zniechęconego, zmuszonego niemal do małżeństwa.

Na pozór jednak tego ostygnięcia króla nic nie zdradzało. Królowę otaczał przepych, tłumy senatorów, panów, duchowieństwa, całe pułki rycerstwa najświetniejszego, okrzyki uniesienia i oznaki radości. Prawie od samych Falent po drodze stały uszykowane, jedno od drugich wykwiintniej poprzybierane oddziały rycerstwa, wśród którego pułki Radziwiłłowskie, Kazanowskich, Opalińskiego, Ossolińskiego prym trzymały.

Francuzi nie mogli się nachwalić szczególnie pancерnej chorągwi królewskiej, ze skrzydłami, w złoconych koszulkach, w skórach lamparcich, których kopij chorągiewki długie aż po ziemi się ciągnęły. Za najmniejszym wiatru powiewem jedwabne te proporczyki unosiły się w powietrze i polatywały jak różnobarwne obłoki nad złocistymi misiurkami rycerzy.

Oprócz wojsk niezmiernie liczne ciągnęły za królową kolebki, powozy, kocze panów, pełne postrojonych pań. Nie zachowywano żadnego porządku hierarchicznego w tym pochodzie i każdy zabierał miejsce, jakie mu się zdobyć udało.

Na chorągwiach pułków herby panów malowane służyły za znaki, gdzie którego z nich szukać było potrzeba. Niezmierna różnorodność i żywość barw, świetność zbroi, przepych w rzędach na konie oczy porывał. Było w tym wszystkim może dla Francuzów coś dzikiego i nieco barbarzyńskiego, ale przepych, wspaniałość, bogactwo zdumiewało. Szlachecka równość polska i tu się czuć dawała, gdyż każdy mógł sobie pierwsze miejsce przywłaszczyć, a nikt mu go odjąć nie śmiał, chyba siłą.

Francuzi niedobrze wiedzieli, co się działo przed nimi i za nimi, ich jednak gromadka wedle pewnego się starszeństwa i etykiety uszykowała. W pierwszym powozie posadzono biskupa auriackiego, dawszy mu dwu polskich do towarzystwa; dalej jechał książę Karol z posłem Francji, za nim marszałek dworu królowej z laską urząd ten znamionującą, poprzedzający karetę Marii Ludwicy. Królowa siedziała w niej z panią de Guebriant. Tuż za nimi jechało dwudziestu

trębaczów i oddział jazdy przepyszny, po którym szły powozy dworu, pań, panien, domowników itp.

U drzwiczek karety Marii Ludwicy dwóch urzędników przysłego jej dworu jechali konno, okryci klejnotami i jaśniejący od złota. Na końcu postępowały cechy warszawskie w rozmaitych barwach umyślnie na tę uroczystość sprawionych, krojem i modą francuską. Mieszczan tych liczono da ośmiuset, a za nimi jeszcze szedł pułk ułanów.

U bramy krakowskiej czekał łuk zwycięski o trzech wrotach, na którym orły polskie z mantuańskimi połączone niosły w dzióbach różdżki oliwne i palmowe.

Lecz jakże nieskończenie długą wydała się ta droga królowej, na którą tysiące oczów patrzyło, czytając w jej twarzy zmęczonej uczucia, które nią miotają. Sześć godzin wydały się wiekami szczęścia. Guebriant kiedy niekiedy orzeźwiający zapachem starała się prawie omdlewającą ożywić i cicho szeptała: *Couraget* (Męstwa!)

Męstwa też potrzeba było olbrzymiego, aby przetrwać nie omdlewając te godziny, w których myśl wyścigała czas i starała się odgadnąć ciemną przyszłość.

Co ją tu czekało? Chmurami zawleczony był horyzont.

Nieznajomy człowiek, nieznany kraj, ludzie nieznani, w których nie wiedziała, czy ma wrogów, czy przyjaciół się spodziewać. Ponad tym wszystkim korona.

Francja, która ją miała podierać, daleko... ona tu sama, a wkrótce nawet ci, co jej towarzyszyli, opuścić ją mieli.

Po kilkakroć na wspomnienie młodości i tych marzeń, które aż tronu Francji sięgały, łzy zwilżyły jej powieki. Młodość, złudzenia, wiara w serca i w ludzi, wszystko się rozwiało i znikło; pozostawało życie twarde, walka — komedia bolesna z uśmiechem na ustach, W sercu było pusto... korona i berło wydawały się zabawkami dziecięcymi.

Oczy jej błędziły to po tych pułkach tak strojnych dziwacznie, tak niepodobnych do muszkieterów i lancknechtów francuskich, to po szarych jeszcze polach i szkieletach drzew smutnych. Kiedy niekiedy wybuch okrzyków, odgłos trąb i kotłów przerywał marzenie.

Lecz i na zamku warszawskim król nie z mniejszym niepokojem czekał na małżonkę, którą poślubiał przymuszony, przeciwko woli. Ostatnie dni usposobiły go jak najnieprzyjaźniej do królowej; postarała się o to Amanda, aby ją przyjął, nie tając swej odrazy.

Od rana już przysposobiony był strój, ozdoby, klejnoty, oznaczony orszak, urządzone wszystko, tak aby o niczym myśleć nie było potrzeba. Król kazał sobie, jakby dla utrzymania się w rozdrażnieniu, dawać znać o wjeździe, o zbliżeniu się orszaku, o każdym kroku jego. Pac wchodził i wychodził, nieustannie coś przynosząc. Jednemu z senatorów koń padł i obalił się z nim na ziemię, przywieziono go na prostym wozie do domu. Musiano opowiadać, jak postępowały powozy, w którym jechał książę Karol, gdzie i po której stronie siedziała posłowa, jaki był strój Marii Ludwiki.

Zadumany, posępny, coraz to na zegar spoglądał król stojący u łoża. O zwykłej godzinie kazał sobie leżąc podać jedzenie, ale roztargniony jadł mało, pił nieco więcej i natychmiast potem zawołał, że wstawać chce i ubierać się.

Trudno było ściśle obrachować godzinę, o której przybędzie królowa, ale Pac z tej drogi, jaką przebyła przed południem, wniósł, że przed piątą przybyć nie może.

Władysław, który ani kroku nie zrobił na powitanie przybywającej, sam. czuł, że

przynajmniej wchodząc wprost do kościoła, przed ołtarzem go zastać powinna i nie być jeszcze oczekiwaniem upokorzona. Chciał razem dać jej uczuć, i że się zawiódł na niej, i że był jednak rycerskiej grzeczności mężem, szanującym niewiastę. Dwa różne uczucia ciągle się w nim ścierały, wstręt przemagał.

Najmniejszy ruch około zamku, głośniejszy okrzyk w ulicy poruszał go, obawiał się, aby nie był zaskoczonym niespodzianie. Pac musiał go zaspokoić tym, że trzech konnych ustawił na

wjeździe w przedmieścia i przed bramą krakowską, którzy w porę znać dać mieli.

Z wolna kazał się pajukom swoim ubierać, ale z niczego nie był kontent. Naznaczone

suknie, złotogłowy, koronki, peruka, szarfa wydały mu się zmięte, nieświeże. Rzucił je i gniewał się. Łajał szatnych, którzy znosili coraz to nowe, a coraz gorzej przyjmowane części stroju.

Wśród tego dziwaczenia, które by ledwie w kobiecie usprawiedliwionym być mogło,

pierścionek królowej Cecylii, który nosił na palcu od jej zgonu, zwrócił jego oko. Ta, której nigdy miłości nie okazał za życia, wyrwała mu z piersi westchnienie. Żałował cichej, pobożnej, potulnej towarzyszki.

Jeden z dworzan króla, młody Korycki, który się domyślał, jak wiadomości o pochodzie

będą pożądane, nadbiegł w tej chwili. Towarzyszył on z daleka orszakowi od Falent prawie.

Król przerwał ubieranie się i chciwie słuchać począł.

— Wspaniale i przepysznie! — wołał Korycki. — Nie powstydzimy się Francuzów,

Najjaśniejszy Panie! Otwierają gęby szeroko na naszych pancernych ze skrzydłami i skórami

lamparcimi! Chorągiewki kopijników zdumiewają ich swą długością i jeden z nich mnie pytał, na co się to zdać mogło.

Korycki uśmieł się.

— Tarcze, sahadaki, łuki, wszystko to dla nich nie znane rzeczy, a niektórzy panowie mają takie, że w istocie jest się dziwić czemu. Ossoliński jeden dźwiga tarczę pozłocistą, która dla samego kunsztu warta tyle co dobry folwark! Niech znajdą Fracuzi! — czwanił się Korycki, ale to jakoś króla nie rozweseliło.

Spytał cicho o królowę.

Korycki, nie polityk, pomimo że mu Pac znaki dawał, rzekł otwarcie:

— Królowej posłowa ciągle coś daje wachać, ażeby nie osłabła. Widać na twarzy, jak

zmęczona... Albo to dziw, wloką się noga za nogą; z tyłu jak tych dwudziestu trębaczy się odezwie, zdaje się, że uszy pękną, z boku krzyki, a koło powozu, u drzwiczek, żeby nie pan kasztelan i nie koniuszy, toby do karety łby końskie wpadały. Ale już co prawda to prawda, że wspanialeśmy wystąpili. Radziwiłłowie po książęcemu, a przed wszystkim usarze; tych choć malować!

Król słuchał chwilę z zajęciem.

— Kiedyż tu królowa stanie? — zapytał.

— O, myśmy rachowali już — rzekł Korycki — przed piątą trudno, aby stanęła, bo ciągle trzeba się zatrzymywać. Ale o piątej to już pewnie będzie.

— Trzeba dać znać nuncjuszowi — szepnął król.

Są takie dni, godziny i minuty w życiu naszym, ciężkie do przebycia, poprzedzane przecuciami złowrogimi, niepokojem, długie, dławiące i duszące. Zdaje się, że nigdy nie przyjdą i nie przejdą, że coś z sobą przyniosą, co się wypiętnuje na wieki.

Takim był ten dzień dla króla i dla królowej. Wejrzenie żywe, które na siebie rzucić mieli, mogło dopiero odsłonić im obojgu tajemnicę przyszłości, ono wyrokowało o tym, czy miłować się mieli, czy nienawidzić. Wszystko, co mówili ludzie, co pisano, konterfekty, malatury,

opowiadania miały zniknąć i roztopić się we wrażeniu tego wejrzenia pierwszego. Ono stanowiło o przyszłości.

Z całym swym męstwem bohatera, Władysław drżał, a królowa płakała.

Przeznaczenie obojga spełnić się miało. Król patrzył na posuwające się igielki zegara z

trwogą. Teraz zdawały się już biec zbyt szybko, godzina się zbliżała. Z dala, gdzieś od przedmieść, głucho ozwały się dzwony. Władysław podniósł się z krzesła, aby wdziać płaszczyk, ręką drżącą wziął kapelusz i laskę, bez której iść by nie mógł. W przedpokoju słychać było nadchodzących senatorów, którzy mu towarzyszyć mieli do kościoła. Zamyślony, zasepiony król ust nie otwierał, poruszał się machinalnie, dając niekiedy oznaki zniecierpliwienia. Głośno poczęły rozlegać się dzwony, otwarto podwoje i poprzedzany przez kilku dworzan król skierował się ku gankom do

kościoła Świętego Jana wiodącym.

Pochód to był smutny jak żałobny, król szedł z głową na piersi zwieszoną, dwór trwożnie spoglądał po sobie.

Stary kościół Świętego Jana, wielkie owo mauzoleum rodu książąt mazowieckich, z

tragicznymi podaniami ich dziejów, pomimo rześzystych świateł i zieleni smutnie wyglądał i

grobowo. Jarzemski powiada, że „stary płaszcz dźwigał na sobie”. Lecz nie tylko to pokrycie szerniało i mury spękane czyniły go posępnym, wewnątrz przepelnione było kamieniami

grobowymi, a wizerunki ostatnich z rodu przypominały truciznę, którą ich zgładzić miano. Do sklepień i murów przyległy tragiczne stare dzieje.

Na ten dzień starano się przystroić główną nawę; błyszcząły trony pod baldachimami złocistymi, przygotowanymi dla królestwa, siedzenia złotogłowami i szkarłatem okryte, dla nuncjusza i biskupów. Posadzki uścielały kobierce, słupy obwijały gałęzie jałowców i świrek.

Pomimo to zdawało się tylko katafalka brnąć w pośrodku, aby wesele w pogrzebowe przemienić nabożeństwo.

Gdy król wszedł zająć miejsce u ołtarza, gdzie miał oczekiwać na królowę, kościół w części był pusty jeszcze. Z dala od ulicy dochodził szmer głuchy, turkot' powozów, okrzyki ludzi.

Władysław spoglądał ku drzwiom trwożliwie, w których duchowieństwo- na przyjęcie królowej się zbierało.

We drzwiach, strojny z tym zbytkiem i wytwornym smakiem, Z którego był po świecie

znany, czekał już z mową najślawniejszy z oratorów ówczesnej Polski, Ossoliński. Postać to była imponująca i pańska. Gronostaje na płaszczu zarzuconym na ramiona przypominały tytuł jego

książęcy, którego Rzeczpospolita szlachecka przyznać mu nie chciała.

Oczekiwanie przeciągało się. Król stał blady. Wtem przed drzwiami przesunęły się cienie,

dał słyszeć turkot; niespokojnie Władysław oczy zwrócił ku drzwiom.

Maria Ludwika wchodziła, lecz cień sklepień chóru dostrzec ani jej postaci, ni twarzy nie

dawał. Za nią suknie niewieście, ubrania mężczyzn, komże i kapy duchownych, wszystko razem zbiło się w jedną mozaikę barw nierozwikłaną.

Ossoliński, nie dopuściwszy królowej postąpić jak do pół kościoła, podniósł głos, który

wśród ciszy odbił się o sklepienie kościoła, przedstawującego widok wspaniały. Pełen on był

wybranych, jaśniał złotem i klejnotami. Królowa biała jak suknie, które miała na sobie, drżąca, stała ścigając na siebie oczy wszystkich: O uszy jej jak szmer niezrozumiały odbiła się mowa

Ossolińskiego, patrzyła w dal i szukała oczyma męża.

Zaledwie skończył mówca, biskup auriacki rozpoczął odpowiedź.

Królowę podtrzymywała posłowa.

Jeszcze chwila... Poruszyli się wszyscy. Maria Ludwika zaczęła się zbliżać ku ołtarzowi, przy którym król na nią oczekiwał, przybrawszy dumną postawę. Obyczaj wymagał, aby przed przysłym panem swoim poklęka; ugięła już kolana, gdy Władysław zimno i sztywnie podniósł ją i zbliżył twarz ku czołu, jakby miał na nim złożyć pocałunek. W tej chwili wejrzenia ich się spotkały — trwożne królowej, gniewne pana, lecz jakby zamienili wyraz ten, Maria Ludwika podniosła głowę dumnie, król spuścił ją zmięszany.

Królestwo stało już obok siebie, nuncjusz *in pontificalibus* przed ołtarzem, ale mowom nie było jeszcze końca. Przemówił ciekim głosem pieszczonym poseł, pan de Brégy, jeden z prałatów kościoła do królowej, biskup auriacki musiał odpowiadać. Król już dawał oznaki zniecierpliwienia, lecz musiał jeszcze wysłuchać i pani marszałkowej, która swej dostojności poselskiej kwoli odezwać się musiała, a dopełniła to z niewieścią odwagą i majestatyczną przesadą.

Wreście stanęli przysli małżonkowie przed nuncjuszem, który dany już w Paryżu ślub nowym tylko błogosławieństwem potwierdził.

Z chóru odezwała się królewska kapela.

Już za Zygmunta III, który sam w kółku familijnym śpiewał, muzyka była przewyborna i kosztowała wiele, za Władysława nie tylko jej nie zaniedbano, ale powiększono jeszcze. Francuzi mogli się więc zdziwić, usłyszawszy tu rzadkiej piękności sopran Baltazara, alt Forsztera, Copulę i Gian-Marię, śpiewaków króla, i doskonałą orkiestrę jego — ale Władysław zmęczony nie dopuścił się zatrzymać dłużej dworowi i razem z królową skierował się gankami wewnętrznymi na zamek.

Oboje szli milczący długo, a pierwszym może słowem, jakie król posłyszał od żony, było cicho, ale stanowczo wyrażone życzenie, aby spocząć mogła w przeznaczonej dla niej komnacie.

Król skłonił głowę tylko i powiódł kurytarzami, pełnymi właśnie przybywających Francuzów, dworu, służby, dworzan i całej tej gawiedzi, którą zamek był przepełniony.

Zaledwie królowa na pół zemdlona ze zmęczenia i wrażeń, jakich doznawała, padła na krzesło, gdy Władysław, prawie nie skłoniwszy się nawet, powolnym krokiem opuścił jej mieszkanie.

Panna Langeron, des Essarts i d'Aubigny czekały tu na nią blade i przestraszone. Wyglądała trupio i

drżała.

Nie uszły słuchu królowej, gdy się do ołtarza zbliżała, wyrazy króla półgłosem wyrzeczone do Kazanowskiego:

— Toż to jest ta sławiona piękność, o której mówiliście tak wiele?

Boleśniejszego powitania dla kobiety najzłośliwszy, najmściwszy wróg by nie wymyślił.

Utkwiło ono w jej pamięci na zawsze. Były to pierwsze słowa, którymi przyjmował ją małżonek.

Mimowolnie spojrzała w naprzeciw stojące zwierciadło i sama się ulękła twarzy własnej, żółkłej, ściągniętej, z oczyma zapadłymi i usty zaciśniętymi boleścią.

U drzwi pokojów królowej na króla czekali paziowie jego z krzesłem, na którym go wyniesiono.

Pani de Guebriant spotkała w progu z kondolencją. Zimno począł się tłumaczyć, iż dla

gwałtownego cierpienia i znużenia i sobie, i królowej spoczynek musi na dziś zapewnić i nie może być na wieczery. Uroczysta uczta na dzień następny odłożoną została. Ton, jakim król przemawiał do posłowej, chociaż pełen galanterii na pozór, zdradzał takie podrażnienie i poruszenie jakieś wewnętrzne, iż pani de Guebriant już się wcale łudzić nie mogła. Była to zapowiedź wojny, z której ona musiała wyjść zwycięsko.

Sztywnie, etykietalnie, z całą godnością reprezentantki króla pierwszego w chrześcijaństwie skłoniwszy się Władysławowi, powróciła do biednej swej pani, ciągle to jedno powtarzając słowo:

— *Courage!*

Jakby na urągowisko wprost od drzwi królowej, z którą już dnia tego nie miał się widzieć,

Władysław nieść się kazał do pokojów przez pannę Amandę zajmowanych! Wszyscy widzieli to i mogli sobie tłumaczyć, jak chcieli. Kazanowski zmarszczył się smutnie, chciał się odezwać, lecz popatrzawszy na króla, którego znał dobrze, że go drażnić w tej chwili nie należało i trzeba było samemu sobie pozostawić. Z tryumfem, z rozjaśnioną twarzą, po której błyski radości

przebiegały, przyjęła go we drzwiach Niemka.

Król kazał tu sobie przynieść suknie do przebrania, chcąc się od ciężkich uwolnić

złotogłowów, i tu także przynieść wieczkę. Dla Francuzów książe Karol, Kazanowski, młodzi senatorowie w wielkiej sali służyli za gospodarzy, powtarzając nieustannie z ubolewaniem, iż król

był mocno cierpiący. Czy to kogo mogło przekonać, rozpoznać było trudno, gdyż Francuzi nadto politykowali, aby się zdradzić z tym, co myśleli. Pan de Brégy głośną okazywał wesołość, pani de Guebriant nadchodząca — nadzwyczajne ukontentowanie z całej wspaniale dokonanej uroczystości.

Pac, który nie odstępował znowu króla, chodził wielce zadumany i chmurny.

— Panie wojewodzicu — szepnął mu przechodzący Korycki, który biegł z rozkazem pana

— my górą z panną Amandą! *Victoria!* Francuzi Tadeusza śpiewają.

Pac z dziwną miną popatrzył na niego.

— Widzę z tego, jak doskonale znasz się na ludziach — rzekł z politowaniem. — Nasz

tryumf będzie trwał może dni dziesiątek, a królowej jejmości należy reszta. Nasz pan za dzisiejszy swój humor drogo zapłaci, a panna Amanda za honor, jaki jej uczynił, drożej jeszcze.

— Drwisz czy drogi pytasz? — odparł Korycki. — Czy oczów me masz?

Pac poruszył ramionami i nie odpowiadając wsunął się do komnat Niemki, w których król

gorączkowo się rozgospodarowywał, udając wesołość.

Zaledwie się wojewodzie ukazał na progu, gdy Władysław zwrócił się do niego.

— Miejsce twoje nie tutaj — rzekł — idź zasiąść z Francuzami, abyś mi dokładnie potem

umiał opowiedzieć, jak im ucztą dzisiejsza smakować będzie.

— Spełnię rozkaz Waszej Królewskiej Mości — rzekł z przesadzoną powagą — ale nie

bardzo potrzebuję być tam, aby wiedzieć, że Francuzi są najlepszej myśli i wszystkim, co ich spotkało, uszczęśliwieni.

Przybliżył się do królewskiego ucha.

— Przyjaciele i słudzy Waszej Królewskiej Mości — odezwał się po cichu — są mocno

zasmuceni tą gwałtownością zapowiadającą wojnę, do której nieprzyjaciel tym lepiej się postara przygotować.

Król, który sam już może nie był rad temu, co uczynił, i żałował brutalności swojej, oburzył

się na Paca.

— Nie potrzebuję nauk od nikogo — rzekł nakazująco. — Idź zasiąść do stołu i o

wszystkim mi potem rozpowiesz. De Brégy jest lalką, zwróć uwagę na posłowę, ona będzie tu grać rolę główną.

— Tym gorzej — zamruczał Pac — żaden mężczyzna nie wygrał nigdy z kobietą, a tę nie darmo w Paryżu na ambasadorowę wybrano!

Nie odpowiedział już król, odwrócił się od niego, a wojewodzie musiał być posłusznym.

Zastawiono wieczerzę, król naprzeciw siebie kazał zasiąść uszczęśliwionej pannie

Amandzie. Biegała ona usługując mu, nadskakując, ale widać było zza pożyczanego uśmiechu

przezierającą w niej trwogę. Tryumf ten odniesiony, tak głośny, tak stanowczy, tyle mówiący, przerażał ją więcej, niż cieszył. Wiedziała dobrze, iż na nią teraz jako na wroga skierują się usiłowania wszystkich, że nadzwyczajnego szczęścia i siły potrzebować będzie, aby stawić im czoło. Liczyła swych przyjaciół i znajdowała ich coraz mniej, bo na znaczniejszą część z pewnością rachować nie mogła.

Król jadł gorączkowo, poruszony, chwytając się niekiedy za nogi, które podagra nielitościwie szarpała.

— Nie widziałas jej — mówił do Amandy — przechwalali jej piękność wielce; nigdy nie była piękną, a dziś jest to kwiat dawno uwiędły. Zdaje się, że wie, iż ją tu poprzedziły wieści..

mogła też to poznać po mnie. Niech wie, co ją czeka! Jestem zmuszony, tak, dla Francji jestem zmuszony ją przyjąć, ale naprzód zwlekę z koronacją, a u nas królowa nie koronowana za królowę się nie liczy, i żyć z nią nie będę. Nie, nie będę!

Podniósł oczy ku Niemce.

— O — drażniącym głosem odparła, pochylając się, Amanda — straszą nas tą panią posłową! Ma to być kobieta niezmiernie zręczna i przewrotna.

— Nic tu polityka jej nie pomoże — począł król — ja mam mój cały plan osnuty. Wiem, że ona przecież bawić tu długo nie może. Pozostanę chorym, nie zbliżę się do królowej. Będzie musiała Warszawę opuścić, Francuzów znaczniejsza część pociągnie za nią. Pozbędę się natrętnej marszałkowej. A potem królowa mieć będzie swój dwór, ja mój, i możemy się nie znać wcale. Ja trybu życia zmieniać nie będę i dlatego od dziś dnia to chciałem jawnie okazać, że się z tym kryć nie myślę.

Oddychał ciężko król, mówił prędko, chwycił i rzucił, co miał pod ręką, nie słuchał nawet, co mu

podszepetywała Niemka. Pomimo wielkiego męstwa, jakie objawiał, widać było, że słaby, trwożył się już własnym postępowaniem. Sam musiał powątpiewać, czy wytrwa, gdyż z cicha

powtarzał sobie: „Wytrwam! Nic mnie nie ściągnie z tej drogi!”

Uczta uroczysta w wielkiej sali, w której z boku stał opróżniony królewski przygotowany

dla państwa młodych stół, na cztery stopnie podniesiony nad posadzkę, z krzesłami pod

baldachimami, przeciągnęła się długo. Mimo woli oczy gości zwracały się ku temu stołowi, przy którym brakło pary królewskiej, ale nikt nie śmiał dać poznać po sobie, jakie to obudzało uczucie.

Jedna pani de Guebriant zdradzała się ruchami i mową gorączkowo podnieconą.

Księżę Karol siedział niemy, z oczyma na talerz spuszczoneymi, zaledwie odpowiadając na

zadawane mu pytania. Oprócz Francuzów liczni senatorowie, kilku cudzoziemców składali

towarzystwo, któremu Kazanowski czynił honory domu.

Późno już goście wstali, pani de Guebriant zażądała udać się do przeznaczonych jej

pokojów i wszyscy z wolna opuścili salę, wynosząc z niej przykre jakieś uczucie a rozbudzoną następstw ciekawość.

Marszałek Kazanowski chciał stąd wprost się udać do króla, lecz dowiedziawszy się, że

dotąd bawi u Amandy, zwrócił się do pustej sypialni, aby tam oczekiwać na niego.

Nie widząc go przychodzącego, łatwo się było domyśleć Władysławowi, iż znajdzie go na

pokojach. Nie mógł się bowiem oddalić najlepszy z przyjaciół króla po tym dniu tak wielkiego znaczenia, nie rozmówiwszy z nim. Władysław potrzebował wynurzyć się przed nim.

Znalazł go powracając, smutnie zamyślonego w krześle, w sypialni swojej. Król

natychmiast się rozebrał i położył, wszystkich aż do Paca odprawiwszy; paziowie tylko w

antykamerze pozostali, w której nocować byli zwykli.

Z pewną trwogą spojrział król na Kazanowskiego.

— Ciężki ten dla mnie dzień skończony nareście — odezwał się Władysław — wydał mi się długim jak wieki.

— I długo, długo — rzekł Kazanowski — pozostanie w pamięci. Skutki jego

nieobrachowane.

— Owszem — przerwał Władysław gorąco — obrachowałem je ściśle i nie uczyniłem kroku jednego bez namysłu! Potrzebowałem otwarcie dać poznać królowej, iż zawiodłem się na niej. Kazanowski ruszył ramionami.

— Jestże w tym jej wina? — odezwał się zimno. — Potwarz, jaką na nią rzucono, ani może być dowiedziona, ani do prawdy podobną. Jest to wprost złośliwa jej nieprzyjaciół intryga. Każesz jej za to pokutować niesłusznie; lękam się, abys potem nie był zmuszony uznać się winnym.

— Znasz mnie? — zamruczał król. — Nie zwykłem zwracać się z raz obranej drogi.

Kazanowski mógłby był odpowiedzieć, jak dobrze wiedział, iż Władysław długo nigdy wytrwać nie umiał w jednym postanowieniu wymagającym stałej woli. Zmilczał jednak.

Król natychmiast zmienił umyślnie przedmiot, zapytując o świeżo przybyłych posłów

moskiewskich. Skarżyli się oni, że ich na granicy nie dosyć uprzejmie przyjęto, a Kazanowski wiedział, że za podkanclerzego litewskiego, który im uchybił, on solennym przyjęciem zapłacić będzie musiał; szepnął więc, z rezygnacją wzdychając, że się to łącznie naprawi.

Odwracając od drażliwego przedmiotu i lękając się wymówek przyjaciela, zagadnął król

potem o to, jak Tiepolo, wenecki poseł, zachować się myśli względem pana de Brégy. Kazanowski dobrze rozumiał, o co królowi chodziło, odpowiadał zimno, krótko i niechętnie.

— Mówmy o królowej — rzekł w końcu ośmielając się. — Niepodobieństwem jest, abys

sobie chciał Francję zniechęcić, w chwili gdy jej do planów swych wojennych potrzebujesz. Dla fantazji osobistej nie możesz przecie poświęcić wielkiej myśli.

Król dał znak, iż tego czynić nie zamierza.

— Zachowajże się względem żony tak, aby przynajmniej publicznie się obrażoną nie czuła

— mówił dalej Kazanowski. — Wojna przeciwko poganom jest dla ciebie myślą główną, twojego życia uwieńczeniem, możnaż dla jakiejś płóchej plotki ją poświęcać?

Władysław słuchał z głową spuszczoną.

— Nic się nie stało — rzekł zakłopotany — czego by wytłumaczyć nie można. Jestem

chory, wszyscy widzą, że chory jestem. Jutro się zmuszę do uroczystego festynu w wielkiej sali,

królowę posadzę przy sobie, wszystkiemu stanie się zadość.

Zapewnieniem tym marszałek nie zdawał się zaspokojonym.

— Pozory przynajmniej — rzekł — dla czci i godności królewskiego domu twojego ocalić potrzeba. Ludzie już i tak złośliwe plotki siać będą. To, co padnie na królowę, odbije się na tobie. Odepchnąć jej nie możesz, sama polityka ci tego uczynić nie dozwala, należy więc zamknąć usta oszczercom.

Król słuchał nauk milczący.

— To, co się stało, choć z trudnością, da się naprawić, ujmując posłowę, panią de Guebriant, która tu główną gra rolę. De Brégy nic nie znaczy. Resztę winy — dodał — złożyć będziemy musieli na pannę Amandę.

Z niechęcią i oburzeniem przerwał mu mowę Władysław.

— Ja na to pozwolić nie mogę, ty wiesz... Mam do niej przywiązanie, które czas uczynił trwałym. Nie chcę najmniejszej jej uczynić przykrości, nie dozwolę na to.

— I sądzisz — przerwał Kazanowski — że życie się tak da ułożyć, aby ją królowa obok siebie cierpiała? Że Amanda potrafi się zachować tak skromnie, tak cicho, aby nie wywołała gniewu i sama nie zaszkodziła sobie? Niemka jest gwałtowną. Im więcej okażesz jej słabości, tym wymagać będzie coraz dobitniejszych jej dowodów. Gotujesz sobie nieskończone węzły do rozplątywania.

Marszałek poruszył ramionami. Władysław milczał długo.

— Mam mocne postanowienie — rzekł w końcu — pozostawić Mandzię na tym stanowisku, jakie przy królewiczu zajmowała. To jej pobyt na zamku tłumaczy i moje u niej odwiedziny.

— Któż uwierzy? — szepnął Kazanowski.

— Niech myślą, co chcą! — zawołał król. — Powtarzam ci, nie ustąpię!

— A Guebriant nie wyjedzie stąd, przekonany jestem, dopóki ciebie z królową do zupełnego nie doprowadzi porozumienia.

— Długo by na to czekać musiała — wybąknął król. Kazanowski nie zrażony ciągnął dalej.

— Na wojnę potrzebujesz pieniędzy, rachowałeś na posag królowej. Ona sama nim rozporządza, wątpię zaś, aby go chciała ofiarować, widząc się pogardzoną i nie mogąc na przyszłość rachować.

Władysław milczał chwilę, ale i na to znalazł odpowiedź.

— Dla królowej znajdziemy gwarancję, jeśli jej potrzebować będzie.

— Lecz zmusić jej niepodobna, aby robiła przysługi, gdy jej się będą przykrości wyrządzać.

Dotąd wcale sobie serca jej nie mogłeś pozyskać. Strześliśmy ja, i księżę Albrecht Radziwiłł, aby pozory ocalone zostały, i to przyszło z trudnością... Co dalej będzie, od ciebie zależy. Pamiętaj tylko, że naprawić złe spełnione daleko jest trudniej, niż powstrzymać się, od uczynienia go.

Kazanowski więcej może niż wymową i przekonywającym argumentowaniem uczynił na

królu wrażenia smutkiem, jaki był rozlany na jego twarzy. Władysław znał dobrze przywiązanie jego do siebie. Smutek ten był dla niego najlepszą miarą popełnionego błędu, ale miłość własna nie pozwalała się ani przyznać do niego, ani zmienić tak rychło usposobienia. Marszałek dowodził tak zrećcznie, iż król go zbić nie mógł, musiał zamilczeć, i w ten sposób zamknąć rozprawy, w których czuł, że został zwyciężonym.

Kazanowski zabierał się już do wyjścia.

— Proszę cię — łagodniej odezwał się, żegnając go, król, który mu rękę podał i dłoń jego

dłużej w obu swoich zatrzymał — proszę cię, nakaż jutro, aby nam wstydu nie uczyniono. Francuzi znają się na kuchni i przywiązują do niej wagę.

Nie odpowiadając na to, marszałek się uśmiechnął, poruszył ramionami i dopiero w progu zawołał:

— Gdybyśmy innej troski nie mieli!

ROZDZIAŁ VII

Panna Amanda w czasie dosyć już długiego pobytu w Warszawie i na dworze otoczyła się

całą gromadką ludzi, którzy jej byli oddani i wszystko też jej zawdzięczali. Miała tych swoich sojuszników wszędzie rozsianych, a pozyskiwanych w różny sposób.

Do najwierniejszych tych *animae damnatae* które na wszystko dla niej były gotowe, liczył

się nie bardzo znaczny, ale ruchawy i czynny człowieczek, którego zwano Benedyktem

Nesterackim. Skąd on się tu wziął i jak wśrubował, dziś już dojść było trudno, ale z każdym rokiem czynniejszym był i nabywał znaczenia.

On sam bardzo huczno głosił się szlachcicem, drudzy mówili śmiejąc się, że owo

szlachectwo u jakichś ubogich Nesterackich kupił sobie za kilka beczek piwa, niewiele grosza i starą delię futrem podbitą, że pochodził z chłopów, a ojca miał sołtysiem. Początki Nesterackiego na dworze Cecylii Renaty były bardzo skromne. Zdaje się, że sprzedawał owies do królewskich stajni, że się tu zapoznał, małymi usługi jakimiś w łaski wkradł koniuszom, a przez jednego z nich polecony był pannie Amandzie jako pośrednik do kupna, na którym ona zarobić coś chciała.

Niemka bowiem nie zapomniała o zysku, gdy mogła go sobie zapewnić.

Nesteracki wkrótce stał się jej niezbędnym; wyrobiła mu miejsce na dworze. Przyjęto go dla niej jako komornika, którego obowiązki ściśle oznaczone nie były. Posyłała go, posługiwała się nim i nie zawiodła nigdy.

Ów tak zwany „Benedyk” oprócz tego miał inne zajęcia, prowadził jakieś handle,

przybierając do nich współników, na których składał winę, jeśli się co nie w porządku okazało, młodzieży na zakłady pożyczal pieniądze i przyszedł do bardzo znacznej zamożności, ale z nią więcej się krył, niż popisывał. Raz w rok dostawał na kilka tygodni uwolnienie i jechał w świat.

Mówiono, iż miał posiadłości gdzieś aż za Bugiem, w Puszczy Kobryńskiej, bardzo już rozległe, ale on się tego zapierał.

Zamożności po nim poznać było trudno, choć, niby z pomocą ludzi, rozporządzał nieraz

znacznymi pieniędzmi i po kilka tysięcy złotych, co na owe czasy było sumą już wielką, pożyczal.

Z pozoru był niepokąźny; z krzywymi, w kabłąk wygiętymi nogami, przysadkowaty, z

grubym karkiem, włosami jak szczecina twardymi, rękami długimi, twarzą okrągłą, zawsze

czerwoną i plamistą, wąsikiem rzadkim i rozbitym, tak że go nigdy skręcić nie mógł, wyglądał na parobka. Mówił śpiesznie jękając się i zatracał z mazurska, co naówczas za znamię chłopskiego pochodzenia miano, choć niesłusznie.

Pannie Amandzie, gdy ona czego zażądała od niego, nigdy nie odmówił, choćby karku miał

nadkręcić. Wierzył w jej rozum i potęgę, a po cichu czasem, od śmierci królowej Cecylii, mawiał:

— Zobaczycie, ona jeszcze się kiedyś na królowę wystrychnie. Ambicji nie miał wcale, ani

za tytułami, ani za popisывaniem się sobą nie ubiegał się, ale całą swą mądrość i zabieглиwość na

robienie grosza obracał. Obok tego miał namiętnostkę skrytą do pięknych kobiet, ale gdy do konfliktu przyszło między nią a pieniędzmi, ona ulegać musiała.

Benedyk, za czasu gdy Bietka była jeszcze przy królewiczu i pod rozkazami Amandy, razem z wielu innymi biegał za nią, równie bezskutecznie jak drudzy. Ta tylko była różnica między jego losem a innymi, że na Nesterackim często spędzała gniewy i mniej go od innych oszczędzała.

Na próżno posuwał się roznamiętniony aż tak daleko, że podarki jej chciał ofiarować, wyśmiała je i dawcę. Gdy potem dziewczę znikło nagle ze dworu, Nesteracki był w rozpacz. Chodził długo jak przybity i nie krył się z tym, że za nią tęsknił okrutnie.

Wyśmiewano go — to mu było obojętnym.

Amanda, wiedząca o wszystkim, co się na dworze działo, знаła tę słabość Nesterackiego, wyśmiewała się i ona. Czasem mówiła mu żartobliwie, że około pieniędzy chodzić umiał, ale z kobietami wcale nie wiedział, jak poczynać. Z głową spuszczoną słuchał tego Benedyk.

Gdy Bietka pokazała się z powrotem na zamku, tryumfująca na dworze królowej, jeden z pierwszych ją tu powitał Nesteracki.

— A co?! Panna powraca nam? — odezwał się mrugając.

— Tylko nie na dawne miejsce moje — uśmiechnęła się Bietka. — Tamtego już miałam dosyć!

— Daj Boże, aby z Francuzami lepiej było — dodał Benedyk, przystępując bliżej — daj Boże; ano, niech mnie panienka z sobą otwarcie mówić pozwoli.

— A cóż mi powiedzieć chcecie?

— Że pannie ani tu, ani tam miejsca sobie szukać nie potrzeba — szepnął, oglądając się Nesteracki, bo nie chciał, aby go pochwycono na tej rozmowie.

— Zasłyszałeś pewnie, że mam ojca i że mogłabym wrócić do niego? — spytała Bietka.

— A! Nie! Ja tam o ojcu tak jak nie wiem i kiedy go tak długo nie było, to ja na niego niewiele rachuję, ale... pannie łatwo wyjść za mąż i być u siebie panią w domu.

Bietka się śmiać poczęła.

— Za kogoż? Za was, panie Benedyk? Sczerwienił się mocno Nesteracki.

— Panna sobie myślisz, że Benedyk nic niewart, bo flamskiego sukna i atłasów nie nosi —

rzekł — a on może więcej ma w kieszeni niż niejeden z tych, co się złotymi łańcuchami czwanią!

— Cóż z tego? — podchwyciła Bietka. — Albo to się pieniądze poślubia?

Nesteracki stał długo niemy. Nie pojmował naprzód, jak można było lekceważyć pieniądze, potem obraził się, że jego nie szacowała nic.

— A jam nic niewart? — spytał.

Dziewczę popatrzyło na niego długo, zrobiło minkę dziwną, ukłoniło się i pierzchnęło.

Benedyk stał długo i nie mógł przełknąć danej mu nauki. Odepchnięty, brał na kiel.

— Co ona sobie myśli! — zawołał w duchu. — Gdybym chciał, to ją tak czy owak mieć będę.

Na dworze nic się długo nie może ukryć, zaraz więc zaczęto mówić o Nietykszy, którego tu dobrze znano, bo z księciem Radziwiłłem zawsze prawie przychodził, należąc do jego najulubieńszych dworzan.

Nesterackiemu któryś z dłużników szepnął:

— Co ty się darmo durzyć będziesz tą dziewczyną. Bałamutka jest, a teraz Nietyksza u niej na kołku. Ten, słyszę, nieubogi, a i księżę go proteguje, ożeni się z nią. Królowa ją lubi i wyposaży, co tobie o niej myśleć! Gdzie się tobie mierzyć z Nietykszą!

Ile razy tak Nesterackiemu zadawano jego ekstrakcję małą i położenie na dworze żadnego nie mające znaczenia, mało mu krew nie tryskała oczyma. Burzył się, jakby chciał kłam zadać tym, co go tak posponowali, ale przypomniawszy sobie potrzebę milczenia, dusił w sobie, co miał już na ustach. Obawiał się pochwalić z tym, co miał, aby go nie pytano, jak się dorobił, i nie korzystano z jego dóbr, gdy mu z ubóstwem pozornym wygodnie było. Komornicy drudzy i dworzanie wprawdzie domyślali się, że musiał mieć sporo uzbieranego grosza, ale nie przewidywali wcale, jak dalece był zamożnym. O swoich posiadłościach nie mówił nigdy.

Zaraz po przybyciu królowej, Amanda, czując pod boki Bietkę i bojąc się, aby ona jej nie szkodziła, przedsięwzięła koniecznie się jej stąd pozbyć. Sprobowała naprzód podszeptać królowi, aby na królowej wymógł jej oddalenie.

Król zaś nigdy żadnego pięknego dziewczęcia ze dworu swego usuwać nie dozwalał. Lubił

bodajby popatrzeć na nie. Bietka zaś dlatego miała pewne względy u niego, że ją lubił królewicz.

Na pierwszą więc insynuację potrząsnął głową.

— Ja się w to nie wdaję! — zamruczał. — Co mi tam jeden ten fartuszek ma zawadzać.

Zagadnęła o nią potem Paca. Pac utrzymywał wprost, że na samym początku, gdy jeszcze nikogo nie znali, a najmniej królowę, dla Bietki się zadzierać, wciskać tam, było wcale nierozumnym.

— Ale ta zmija tu... zobaczysz, nas wszystkich wyżenie! — wołała Niemka.

— Królowa nie może nic — zawołał śmiejąc się Pac — a ty chcesz, aby ona tu coś mogła?

Słuchać więcej nie chciał.

Myśl rozpaczliwa i szalona przyszła w nocy pannie Amandzie; powiedziała sobie: niech ją

Nesteracki wykradnie i precz wywiezie. To najlepszy czas, na dworze nieład, ludzi nowych wiele, nikt zresztą nie będzie bardzo dbał o to. Zakochany w niej do szaleństwa, pieniądze ma,

pomocników znajdzie. Co łatwiejszego, jak zasadzkę zrobić na nią i wywieźć ją precz! Ma tam gdzieś w lasach posiadłości jakieś, posadzi ją tam. Książd mu każdy ślub da, a jej się stąd zbędziemy.

Myśl ta utkwiała w niej.

Wstała z nią z rana, a choć jak zwykle bywa, to, co po nocy się wydawało możliwym, we

dnie dziwacznie się jej prezentowało, nie odstąpiła od zamiaru. Wieczorem kazała zawołać

Nesterackiego. Po krótkim wstępie wprost się go spytała:

— Zawsze ty szalejesz za tą dziewczyną?

— Ja wiem, że m głupi — zamruczał Benedyk — a co to pomoże! Co to pomoże!

— Czemuż nie starasz się o nią?

— A jak? — zapytał Benedyk. — Ja jej mówiłem: ożenię się z tobą, mam pieniądze... w oczy mi parsknęła. Ona ma Nietykszę.

— Nietyksza się z nią nie. ożeni! — zawołała Amanda. Nesteracki z tych urywanych słów i

nalegania zmiarkował, że panna Amanda nie jego, ale swój interes w tym miała, aby się stąd pozbyć

Bietki.

— Trudna z tym koziołkiem sprawa — zamruczał. Niemka zbliżyła się do niego o krok i żywo mu rzuciła:

— Co to? Porwać jej nie możesz? Kto się tu o nią upomni? Kto tu postrzeże, czy ona jest, czy jej nie ma?

— Mówią, że królowa...

— A, plotki! — przerwała Amanda. — Nie miałyby o czym myśleć, żeby takimi się dziewczętami zajmowała.

Nesteracki stał zadumany, a potem począł po cichu:

— Dwa lata temu, panna pamięta Emilkę, tę, co ją ze dworu porwał Szałwajski... hę?

Zarumieniła się Amanda, bo jej to przypomniało, że król bardzo się gorąco zajmował tą nieszczęśliwą Emilią. Zmarszczyła brwi.

— Panna wie, co się Szałwajskiemu stało? — dokończył z westchnieniem. — Dogonili go z nią i król dał ściąć.

Ręką posunął po gardle.

— Nie, tego ja nie chcę, nie — zamruczał — nie.

— Tu się tego nie ma co obawiać — dodała. — Naprzód, że schwytać byś się nie dał, a nikogo ona nie obchodzi.

— O, o! A Nietyksza, a za Nietyksza Radziwiłłowie!

Benedyk zagrożoną głową potrząsał. Jednakże odszedłszy, gdy sam na sam rozmyślać

począł, gdy mu Bietka na oczach stanęła i to szczęście, jakiego z nią mógł zażywać, bardzo mu się zdawało nieprzyzwoitym, że Szałwajskiego ściąto.

Historia ta była prawdziwą i nie ulegała wątpliwości.

Benedyk miał na dworze mnóstwo znajomych, którzy potrzebując go, wysługiwali mu się i

chętnie z nim czasem gwarzyli. Męczyła go ta myśl przez Amandę rzucona, iż mimowolnie począł

niby żartami badać różnych, czyby porwanie panienki ze dworu... ot tak, w ogóle, mogło ujść bezkarnie. Zdania były wielce podzielone, jedni to brali za żart, drudzy przypominali ową Emilkę i świętego raptora, inni utrzymywali, że pod te czasy nikt się tak podwiką nie opiekował, aby mścić chciał i ścigać.

— Ja ręczę — zaburczał jeden — że gdyby tak teraz nie przymierzając królowi, panu naszemu, kto pannę Amandę porwał a drapnął z nią, dalipan by za nim nie posłano pogoni.

Inny dodał: „Baba z wozu, koniom lżej”, a na koniec jeden zamknął:

— A komu by do głowy mogło przyjść dziewczynę wykradać? Albo to ich nie ma podostatkiem na targu za tanie pieniądze?

Benedyk tymczasem chodził myślą tą obładowany. Drugiego dnia sam zaczął przy podanej zręczności pannę Amandę, aby się przekonać, czy ona istotnie uważała to za rzecz możliwą. Niemka nie chciała wydać się zupełnie, potrząsnęła głową.

— Na to pono innego człowieka trzeba, a nie was — rzekła. — U was pieniądz za wszystko starczy... Karku dla niej nadstawić nie zechcecie.

Benedyk odszedł zadumany.

Bietka tymczasem, choć znikąła wśród nagromadzonego nowego dworu i Francuzów, którzy na siebie zwracali oczy, była czynną i nie odstępowała królowej, aby stawić się na każde jej zawołanie. Budziła ona w niej litość, a oprócz tego Amandzie nie zapomniała przeszłości, we dwójnasób więc pobudzona, zapomniała o sobie, całą duszą oddana temu dramatowi, którego pierwsze sceny żywą walkę zapowiadały.

Nietyksza nawet, dla którego miała słabość, choć się do niej przyznawać nie chciała, nie mógł jej oderwać od antykamery królowej, w której nieustannie na zapytania pani lub jednej z jej towarzyszek odpowiadać musiała. Dla nich osoby składające dwór króla, ich wpływ i znaczenie były jeszcze tajemnicą. Bietka więc musiała Uczyć, jak się z kim obchodzić miano, w kim przyjaciela upatrywać lub obawiać wroga. Było to tym ważniejszym, że ichmość niektórzy, jak Platenberg, mianowany koniuszym królowej, przyjaciel i pomocnik Paca, służka króla do spraw niewieścich, ufając sobie poczynali zabiegać, aby pozyskać zaufanie nowej pani i korzystać z niego przeciw niej samej.

Platenberg, bezwstydnym i zuchwałym, pierwszy rozpoczął te zabiegi, zbliżył się do państwa

des Essarts, udawał wielce przejętego losem królowej i starał się wkraść w łaski u Francuzów.

Bietka była na straży i natychmiast ostrzegła panią des Essarts, aby koniuszemu nie dawano wiary.

O ile mu obowiązki jego dozwalały, Nietyksza ciągle kręcił się przy dworze, na którym miał

wielu znajomych i przyjaźnych, korzystając z każdej zręczności, aby się choć na chwileczkę zbliżyć do swego dziewczęcia. Litwin z nadzwyczajną zręcznością wynajdywał sobie rozmaite pozory, aby dla służby księcia wrzekomo ciągle się około zamku uwijać, a przeważnie przy królowej, której los Radziwiłła obchodził. Dworzanie z nim spoufale, bo ich sobie na wszelki sposób ujmował, nie żałując małmazji i najlepszych win, jakie u Francuza świeżo pod zanikiem rozłożonego dostać było można, służyli serdecznie Litwinowi, choć go poufale zawsze boćwiną przezywali, za co się nie gniewał.

W wigilię tego dnia, gdy uroczysty obiad miał być na zamku, jeden z przyjaciół Nietykszy

pochwycił go w kurytarzu i szepnął mu na ucho:.

— Bacność, boćwino, a nie, to ci sprzed nosa porwą twoją Bietkę, ani się postrzeżesz.

— Kto? Kto?! — krzyknął Nietyksza.

— Niejeden by rad, ale jeden może tylko łotr się na to gotów ośmielić — odparł przyjaciel

— to ten bestia Nesteracki, Benedyk, który od dawna ostrzy zęby na nią, ale teraz już tak coś przebąkuje, jakby zamyślał raptu dokazać i gwałtem ją stąd pochwycić. A niegłupi jest, bo z powodu przybycia królowej u nas wszystko w zamieszaniu, nieład, rwetes, ani się spostrzegą, jak jej zabraknie, a Amanda postara się o to, aby pogoni za nią nie słano, bo dawno by się jej pozbyć gotowa.

— A skądże wnosisz, że ten łotr Benedyk co podobnego zamierzać może?

— Bo się ciągle niby żartami dopytuje wszystkich o to, co by to było, gdyby się co podobnego przygodziło.

— Co by było? — zamruczał Nietyksza, któremu krew do głowy uderzyła. — Co by było?

Możecie mu powiedzieć, że niezawodnie by łba zbył z karku, do czego ja sam gotówem się ofiarować,, choć oprawcą nie jestem.

Z niezmiernym niepokojem począł się tedy rozpytywać, badać Nietyksza i nie tylko tego

jednego, który go przestrzegł, ale innych też rozpytując przekonał się, że istotnie Benedyk się odzywał z czymś podobnym.

Litwin znajdował najprostszym natychmiast wprost na samego rzucić się winowajcę, ale miał tyle siły nad sobą i przebiegłości, iż postanowił to uczynić łagodnie i drwiąco z początku.

— Jak się na tym nie pozna — mówił sobie — zażyję go inaczej.

Szukał więc Benedyka, który nie zapominając o interesach, dostarczał obroków na rachunek króla dla pomnożonej na stajniach liczby koni, i znalazł go w istocie dozorującego wydawanie owsa, jakby od niechcienia i z daleka.

Pozdrowił go Litwin z uszanowaniem przesadzonym.

— A, co to? — zapytał stając obok. — Czyście szafarzem obroków mianowani, panie

Nesteracki? Wiecie, to nie jest zły urząd, gdy koni dużo, gdyby po pół miarki na łeb każdy wyspało się do kieszeni, stanie na garncy parę wina wieczorem!

— Ale ja nie jestem szafarzem! — zamruczał krzywonogi. — Cóż mi tu stać nie wolno?

— A któż wam broni?

— Bo czepiacie się mnie — rzekł Benedyk, chcąc odejść. Wtem Nietyksza zastąpił mu drogę.

— Ja wam do dozoru nad waszym owsem nie będę przeszkadzał — rzekł z przyciskiem, pochylając mu się do ucha — ale proszę ja was, Benedyku mój, chcesz-li kości mieś całe, nie włącz ty mi w drogę!

Nesteracki się rzucił.

— Ja z wami do czynienia nie mam nic! — zawarczał. — Ja was nie znam, daj mi pokój!

— No, ale ja was znam — odparł Nietyksza, który mu jak przyrósł do boku. — Ja was znam. Wiecie, o co chodzi. Zachciało się wam tego dziewczęcia, które ja sobie wybrałem i do niego nie dopuszczę nikogo, nie tylko takiego Maledyka jak ty, ale gdyby daleko był z większym czubem.

Pamiętaj to sobie, że byleś mi ją pal- cena potracił, będziesz mi odpowiadał, a nawet dużo o niej mówić wara, bo w twojej paskudnej gębie jej imię się walać nie powinno. Nesterackiemu tego już było zanadto, począł się rzucać, trząść i krzyczeć:

— Szalona pałko! Daj ty mi święty pokój! Ja z tobą nie mam nic, ja ani wiem, ani znam, czego ty się do mnie rwiesz! Jam ci nic nie winien! Nie pora tu teraz za łebki chodzić! Ja cię się nie

złęknię, ale ty wiesz, że na zamku szabli dobyć, znaczy gardłem odpowiadać.

— Ja szabli na ciebie, zgnilaku, nie potrzebuję — zawarczał Nietyksza, ogromną rękę podnosząc mu do oczu. — Dosyć będzie oto tych pięciu palców. Ale powiadam ci, abyś to wiedział i zapisał sobie, że byleś się zbliżył do mojej... już ty wiesz, o kim mowa, toś życia niepewien. Rzuciwszy mu to w oczy, Nietyksza odszedł, bo się obawiał, aby w pasji od słowa do słowa nie przyszło do pięści.

Benedyk trząsł się i stał długo, ruszyć nie mogąc, nie tak ze strachu, jak ze złości. Tchórzem nie był, pogrożki Litwina to na nim sprawiły, że począł sobie poprzysięgać:

— Na złość tej boćwinie, choćby mnie to nie wiem co kosztowało, dziewczynę będę miał!

Litwin, nie mogąc się uspokoić wprost od Benedyka poleciał na wschody do pokojów królowej, do których wprawdzie się dostać nie mógł i nie miał pozoru żadnego, aby próbować, ale się spodziewał przez służebne na chwilę wywołać Bietkę. Chciał ją przestrzec.

Dnia tego właśnie przystęp tu był trudny, bo przygotowania do wielkiej uczyt strojów kobiecych, fryzur, piór, sukni cały dwór w ruch wprawiały. Polki i Francuzki biegały jak oparzone, a Nietyksza na próżno je zaklinał, aby mu na minutę tylko pannę Bietkę wywołano. Żadna z panien słuchać go nie chciała. Wartę więc odprawiał u drzwi długo, gdy na ostatek Bietka przypadkowo wybiegła. Pochwycił ją na kurytarzu.

— Na miłego Boga, pannuniu! Ja tu od godziny stoję, mam coś ważnego do powiedzenia!

— Czasu nie mam.

— Ale ja muszę, dwa słowa! — nalegał Nietyksza. — A nie, to się wielkie nieszczęście stać może!

Zawsze o królowej tylko myśląc, Bietka, nastraszywszy się o nią, stanęła.

— Masz co mówić, piorunem gadaj! — zawołała. — Na mnie czekają!

— Znasz pana Benedyka Nesterackiego? — począł żywo Nietyksza.

— A co potem?

— Dawno on za wami biega? — pytał Nietyksza.

— A nieznośny zelant! — rozśmiało się dziewczę grożąc mu.

— Także bym miał o kogo być zazdrosnym! — zawołał Litwin. — Nie o tego krzywonozę,

ale ta bestia oszalała i pewnie na wspólnie ze swoją panią, co się was stąd pozbyć rada, knuje jakąś zasadzkę, chce was porwać i uprowadzić.

Bietka uszom nie wierzyła.

— Ktoś z was sobie żarty stroi! — odezwała się.

— Ale nie! — zawołał Nietyksza. — To szalony człek, a po sobie ma Niemkę. Tu we dworze zamęt taki, że nie jedną, ale by cztery można skrać i jeszcze by się nie opatrzyli.

— Ja jestem ciągle przy królowej prawie — zaczęła żywo i już się niecierpliwiać Bietka. —

Gdyby nawet coś takiego zamyślał...

— Proszę sobie tego nie szacować lekko — żywo ciągnął dalej Nietyksza. — Wiem, co

mówię. Ja mu już zagroziłem, ale to go może jeszcze rozdrażni. Nie wierzę nikomu. Niemce wy solą w oku, ona gotowa pomóc, a u króla się postara, żeby mu uszło bezkarnie. Nie ruszajcie się z pokojów, nie wychodźcie na kurytarze.

Bietka się śmiać zaczęła.

— Zamknęlibyście mnie do klatki — odparła — a wszystko to przez tę zazdrość. Nie wierzycie mi! Gotowam się pogniewać. Gdzież by taki parobek jakiś śmiał...

Chciała biec dalej, powstrzymał ją Nietyksza.

— Klnę się wam na wszystko, co mam najświętszego, nie komponuję! Chorwat mnie

ostrzegł pierwszy, że już chodzi pogłoska, jakoby sobie Maledyk dobierał pomocników. Zulski mi potwierdził, iż z ust jego słyszał o tym gadanie, czy rapt jest teraz możliwy, bo nikt czasu nie będzie miał gonić ani się tym zajmować.

Zmarszczyła brwi Bietka.

— Sądzę, że to są bałamuctwa tych darmożjadów — rzekła —

którzy chcą się wam przysłużyć, abyście ich karmili i poili za to. Ja się nie obawiam.

Zresztą będę ostrożna, choć w niebezpieczeństwo nie wierzę.

Nietyksza biegł ciągle za nią.

— Gdyby nie służba u księcia — wołał — ja bym się stąd krokiem od progu nie ruszył i jak

pies bym się u drzwi położył. Zlitujcie się, nie lekceważcie!

Bietka dała mu znak i pierzchnęła.

Czasu w istocie dnia tego nikt nie miał do stracenia na zamku. Gotowano się do

zapowiedzianej uczty. Wszyscy panowie senatorowie, duchowni i świeccy, urzędnicy wielcy,

posłowie cudzoziemscy, rycerstwo przedniejsze, szlachta, przybyła z ziem różnych, miała się znaleźć na zamku. Nie wiedziano, na ile osób rachować, bo na takie przyjęcia ogólne zaproszenia starczyły, a każdy, co się mógł ubrać pięknie, ciągnął na zamek i cisnął się do sali; nikt nie śmiał

pytać i bronić wnijsia.

Spodziewano się więc natłoku.

Z powodu cudzoziemców król wymagał i Kazanowskiemu polecił, aby najwspanialej

wystąpić. Szło o splendor korony, a raczej dwu, bo Władysław zawsze jeszcze tytuł szwedzkiego też króla nosił. Wiedziano tu, jak świetnym był dwór francuski, nie chciano dać się zaćmić.

Król też od rana nie miał spoczynku, bo mu się przybywający pokłonić chcieli, a mnóstwa

drobnych trudności etykiety rozwiązania od niego się domagano. Wprawdzie od Zygmunta III i stosunków z dworem rakuskim na dworze ściślej były formy pewne zachowywane niż za Batorego, który do nich wielkiej nie przywiązywał wagi, lecz nigdy w Rzeczypospolitej zbyt ostro nie brano stopniowania hierarchicznego. Teraz bytność zarazem posłów tytu i jednej posłowej, która była czymś niezwykłym i wyjątkowym, mnożyła trudności etykiety.

Od rana już w pokoju króla roztrząsano z nadzwyczajną troskliwością, jak u stołu króla

miejscami rozporządzić należało. Do wymienionych dostojników dodać było potrzeba nuncjusza papieskiego, który miejsce musiał posiąść przy królu albo królowej. Zachodziły też wątpliwości co do pierwszeństwa, jakie dać należało posłowi, posłowej, biskupowi auriackiemu, wreszcie innym panom posłom *minorum gentium* .

Oprócz tego stołu głównego, do którego osób niewiele przypuszczonych być miało, trzy

ogromne ustawiono w sali poniżej, a przy tych, wyjąwszy miejsc głównych na czele, ku szarym końcom już ani można było myśleć o zachowaniu jakiegoś stopniowania. Żwawszy i silniejszy

musiał posiąść innych, a polskie — „równy wojewodzie” — nie dozwalało nikomu ustąpić

starszym. Każdy się miał za tak dobrego, jak drudzy.

Króla nudziły już te nieskończone rozprawy, w których Radziwiłł i Kazanowski

najczynniejsi byli.

Królowej też nie zbywało na troskach dnia tego. Wiedziała, że się ze strony króla najmniejszej zmiany na lepsze spodziewać nie może, że spełni, do czego ceremoniał go obowiązywał, ale tak kwaśno, niechętnie, z odrazą, jak wczora jawnie przystępował do

błogosławieństwa w kościele. Pani de Guebriant dodawała odwagi, lecz sama nie spodziewała się tak rychło odnieść zwycięstwa nad kliką nieprzyjazną, jaka króla otaczała. W dodatku do innych trosk Marii Ludwiki przybyła nowa, dotąd nie przewidywana. Francuzi dodani jej zaczęli waśnić się między sobą, jedni więcej, drudzy mniej zbliżali się do pana de Brégy. Pani des Essarts i jej rodzina krzywo patrzyła na pannę Langeron, która o nich wyrażała się przed królową niechętnie i złośliwie. Sekretarz Desnoyers, pan des Essarts, ksiądz de Fleury stali już odosobnieni, a obóz panny de Langeron stał już oddzielnie. Spoglądano na siebie złośliwymi oczyma, dogryzano półsłówkami. Królowa była tym niemal do rozpaczy przywiedziona.

Skądinąd dochodziły ją już groźniejsze jeszcze wieści, że król postanowił cały jej dwór francuski, nie wyjmując ani księdza de Fleury, ani sekretarza, nazad do Francji odprawić z panią de Guebriant. Dla Marii Ludwiki nic straszniejszym być nie mogło. Widziała się już rzuconą na łup nieprzyjaciołom, prześladowaną, uciśniętą.

— Jeśli mi ich odbiorą — wołała do pani de Guebriant — ja tu nie zostanę, niech i mnie odeśle do Francji!

Na próżno uspokajała ją marszałkowa. Obawy królowej wcale nie były próżne, bo wprzód jeszcze nim przybyła tu, panna Amanda starała się królowi wpoić to przekonanie, że Francuzi będą szpiegami i donosicielami, że oni mnożyć mu będą trudności i poróżnią go z Francją. Król myśl tę pozbycia się Francuzów pochwy- cił skwapliwie, chcąc razem przykrość tym uczynić królowej i dać jej uczuć władzę swoją. Pani de Guebriant ze swoją powagą, taktem i krwią zimną uspokajała, jak mogła i umiała, lecz groźba sama, zawieszona jak miecz Damoklesa nad biedną, znękaną królową, starczyła, aby ją pozbawić spokoju.

Promieniejąca powinna była wyniść na tę ucztę weselną spóźnioną, a oczy jej, łzami nocy i poranka zarumienione, aż nadto łatwo dawały rozpoznać tłumione w sobie męczeństwo.

Nie miała ani chwili odpoczynku. D'Aubigny, która niezręcznie usiłowała rozerwać, panna Langeron co chwila przychodząca ze skargami, des Essarts przynosząca niepotrzebne plotki, dziewczęta szczebioczące i wesołe nad miarę, doktor rozpytujący o zdrowie, i nieustannie jakieś medykamenta doradzający, szpiegujący każdy ruch i słowo des Essarts, milczący de Conrade, który

posługiwał Langeronównę, nie dawali jej odpoczynku.

Drzwi się nie zamykały.

Bietka w drugim pokoju musiała być jako rodzaj tłumacza i komentatora na zawołanie, bo ani królowa, ani nikt z jej dworu po tytułach polskich, którymi wszystkich oznaczano, nie mógł ich rozróżnić. Ona jedna wskazać też umiała prawdopodobnych w przyszłości nieprzyjaciół i przychylnych.

Należący do nich ksiązę Radziwiłł, którego żona już królowej była prezentowaną, jako dawny towarzysz podróży od Gdańska przyszedł tego rana, przewidując, że słowo uspokajające nie będzie zbyt użytecznym.

Królowa przyjęła go chętnie. Nie śmiała pytać otwarcie, lecz oczy jej zdawały się błagać, aby pośpieszył z pociechą. Łatwo na nich ledwie otarte świeżo łzy dostrzec było można.

Poważny ksiązę musiał przybrać wesołą twarz, aby Marię Ludwikę choć spróbować rozerwać nieco. Opowiadał jej o posłach, którzy przybyli i których przyjmować będzie musiała, potem o podarkach, które dni następnych składać jej miano wedle zwyczaju. Królowa trochę się dziwiła obyczajowi temu, który raził już niegdyś Henryka Walezjusza, ale w Gdańsku przyjąć musiała jednak dwa tysiące czerwonych złotych, które miasto na szpilki jej ofiarowało. Radziwiłł nawet, wcale nie potrzebujący tego, nie odrzucił czterechset, które mu przy tej sposobności złożyli gdańszczanie, za to, że kluczków miasta przestał się domagać od nich.

— Podarki są u nas w tak wielkim zwyczaju — mówił ksiązę — iż się żadne prawie odwiedziny bez nich nie obchodzą, nawet między dobrymi znajomymi. Przywozi się gościńca prawie zawsze, nie odjeżdża, nie będąc obdarowanym nawzajem.

Ksiażę śmiał się.

— My mamy już na to osobne skarbcze, w których trzymać musimy rzeczy na podarki przeznaczone, a królewski skarb szczególnie dla posłów z północy i wschodu zaopatrzony być musi w dary, bez których żaden stąd nie odjedzie.

— Zobaczysz Wasza Królewska Mość, da Bóg — dodał Radziwiłł — gdy się zręczność nada z królem jegomością odbywać podróże, iż żadne miasteczko i dwór nie wypuści dostojnych gości, nie obarczywszy ich jakim niepotrzebnym ciężarem.

Usiłując zabawić panią, Radziwiłł począł potem o innych polskich zwyczajach rozpowiadać i wyraził życzenie, aby one królowej się mogły podobać. Zapewnił ją też, że Polacy do obcych zastosować się umieli chętnie i aż nadto chciwie ich obyczaje przejmowali.

Miała przy tym zręczność królowa wtrącić słowo ciche o zagrożonym wygnaniem swym dworze francuskim, lecz książe ją zapewnił, że do tak przykrej ostateczności nie przyjdzie.

Nadchodziła godzina uczy.

ROZDZIAŁ VIII

W wielkiej sali jadalnej przysposabiano się od wczora.

Mówiliśmy już o jej urządzeniu. Na podwyższeniu, o cztery stopnie nad, posadzką

wzniesionym i szkarłatnym suknem okrytym, wznosił się stół dla obojga królestwa i kilku

dostojniejszych osób. Dwa złożone krzesła pod baldachimami, w pośrodku, przeznaczone były dla króla i królowej. Stół, wspianymi szytymi obrusami okryty, przyozdabiały dwie ogromne skały z cukru, na których posągi alegoryczne dosyć zręcznie ustawione były. Nie zbywało i tu na dewizach i napisach.

Poniżej trzy ogromne, długie stoły miały pomieścić resztę duchowieństwa, senatorów,

urzędników, gości cudzoziemskich, rycerstwa i szlachty. Galeria, zajmująca naprzeciw

królewskiego stołu całą ścianę, przeznaczona była dla muzyki, która w czasie uczy śpiewami i grą wirtuozów zabawiać miała gości.

Słynęła kapela ta już od Zygmunta czasów z doskonałych śpiewaków i grających na

różnych instrumentach, w większej części cudzoziemców, złożona, chociaż i na Polakach,

wykształconych na dworze tym, u Kostków i po innych miastach, nie zbywało. Wymieniliśmy już sopranistę Baltazara, Włocha, Copulę i Gian-Marię, doskonałych śpiewaków, Foretera, altystę, oprócz których odznaczał się Augustiani, bas, rodem rzymianin, kilku Polaków, sopranistów

niepospolitych. Z wirtuozów sływał niejaki Elert, wiolonista, lutnista Galot, kornecista Simonides, szornista Graniczny.

Skład ówczesnej kapeli wcale był różnym od dzisiejszego i znajdujemy w niej instrumenta

dziś zarzucone i zapomniane: pomorty, teorby, gitarony, stofy, liry, szałamaje, kwarty itp. Mistrzem królewskiej kapeli był Marek Seachi, Włoch, podmistrzem Pekieli, który się odznaczał też

kompozycjami, a na ostatek i Polak, do śpiewu udatne piszący pieśni, Mielczewski.

Wszystkie siły tej niepośledniej kapeli dnia tego czynne być miały. Król nie tylko ją lubił, ale przywiązywał pewną miłość własną do tego, że równej jej w całych Niemczech nie było.

Chociaż, jakeśmy wspomnieli już, zawczasu miejsca były oznaczone przy stole królewskim, w chwili gdy oboje królestwo wśród dźwięku trąb i kotłów na chórze uroczyste weszli na salę i zajęli miejsca u swych krzesel, niezręczny i opryskliwy poseł francuski de Brégy, któremu się miejsce dla niego naznaczone nie podobało, ponieważ go posadzono za nuncjuszem naprzeciw posła weneckiego, zażądał od nuncjusza, aby mu swojego miejsca ustąpił. Król milczał, ale pobladał z tłumionego gniewu.

Nuncjusz zaś z uśmiechem oświadczył posłowi, nie ruszając się ze swego miejsca, iż posłusznym jest rozkazom króla jegomości i pozostanie, gdzie go posadzono. Musiał więc de Brégy połknąć tę gorycz, wiedząc, że się nią narazi królowi, który i tak już zniechęcony do Francuzów, z największą trudnością się zgodził na to, aby biskup auriacki, towarzyszący pani de Guebriant, zajął miejsce przy królewskim stole. Porządek nareście utrzymał się taki, że przy królowej zasiadła pani de Guebriant, za nią nuncjusz, a po nim w rogu stołu pan de Brégy. Po drugiej stronie przy królu siedział brat jego, Karol, poseł wenecki i biskup auriacki. Poniżej stołu osobny przeznaczonym był do stawiania półmisków, które przynosili paziowie i służba, a komornicy królewscy brali i podawali królestwu.

Trzy stoły, przeznaczone dla gości natłoczonych przy nich, dla królowej, gdyby patrzeć i widzieć coś mogła, widok zajmujący by przedstawiały, gdyż najosobliwsze stroje, jakich naówczas w całej Europie razem zebranych nigdzie widzieć nie było można, składały się na obraz godzien Weronezjusza. Nie było mody i sukni, która by tu się nie znalazła, począwszy od starodawnej polskiej, tureckiej, tatarskiej, ruskiej aż do hiszpańskiej, włoskiej, niemieckiej, szwedzkiej i takich, których imion właściwych dać było trudno.,

Godzą się na to w opisach swych wszyscy współcześni, iż w Polsce ta rozmaitość mód w ubiorach była cechą charakterystyczną. Tak samo po głowach spojrzawszy, największą czupryn, czubów, bród i wąsów różność można było. dostrzec. Wszystkie stroje w ogóle niezmiernym przepychem się odznaczały; niektórzy z senatorów na szablach, guzach i spinkach dźwigali miliony, a czuby ich kołpaków na tysiące czerwonych złotych szacowano.

Zazwyczaj po ucztach takich weselnych następowały tańce, ale tu czas postu (była to

niedziela *Laetare*) i choroba króla, który się w krześle nosić kazał, ani myśleć o nich nie dozwalały.

Uspodobienie też gości głównie zajmujących miejsca, na których oczy wszystkich były zwrócone, wcale się do skoków wesołych nie nadawało.

Królowa na sobie wymogła, aby twarz rozjaśnić i moc ducha tak potrzebną okazać, w czym jej umieszczona obok marszałkowa de Guebriant dopomagała; reszta zaś siedzących, obok, z wyjątkiem nuncjusza uśmiechającego się ciągle, oblicza miała posępne, nie wyjmując króla, na którego twarzy oprócz cierpienia rzeczywistego zły humor, znużenie, niechęć jakaś i duma najwidoczniejszymi były.

Księżę Karol nigdy w życiu nie miał wesołego oblicza, a nie przymuszał się dnia tego, aby je przybrać; biskup auriacki wiedział podobno, że mu miejsca dać nie chciano należnego, i siedział posępny i milczący, Brégy jawnie nadąsany, Tiepolo wśród dwu sąsiadów zmuszonym był patrzeć tylko, nie mogąc zawiązać rozmowy.

Zdaje się, że król wydać musiał rozkazy, aby z półmiskami pośpieszono, gdyż aż do zbytku szybko się one po stołach przesuwały.

Królowa, nie przybierając postawy ani twarzy wyzywającej, oczekiwała słusznie na to, ażeby król zrobił jakiś pierwszy krok ku niej, odwrócił się, przemówił, choćby dla tych secin oczów, które na nich patrzyły. Tymczasem król, blady, wyprostowany, widocznie zagniewany a świeżo wystąpieniem posła francuskiego dotknięty, jeśli się zwrócił i przemówił, to tylko do komorników podających półmiski, do podczaszego, który nalewał. Królowa miała do rozmowy jedynie panią de Guebriant i nuncjusza, który się od pana de Brégy odwracał.

Obiad przy dźwiękach muzyki, chociaż król życzył sobie koniec jego przyspieszyć, nie mógł skończyć się tak prędko. Ceremoniał wymagał dań wielu, które jakiś czas na stole, tknięte czy nie, pozostać musiały. Jedyną rozrywką dla uszu były istotnie piękne śpiewy i muzyka, ale kilkaset osób bez względu na nie nie tylko mruczało, ale hałasowało i pokrzykiwało, na króla nie zważając.

Szum i wrzawa bardzo często pochłaniały dźwięki i pieśni głużyły.

Ogromną sprzeczność stanowił ten Olimp w końcu sali, w swym majestacie zimnym

siedzący jakby bez życia, ze stołami pospolitej rzeszy, która w miarę jak się ucza przeciągała, coraz gorętszym życiem pałała. Goście z otwartością republikańską zarówno wychwalali silnie korzeniami zaprawną kuchnię króla i ganili wcale niewyborową piwnicę, gdyż ich zieleniakiem węgierskim

wodnistym pojono, a czoło tylko senatorskie lepszymi winami obdzielane było.

Król siedział jak na mękach, a królowa tylko z pomocą posłowej i niezmiernego wysiłku mogła zachować pozór jakiś wesołości, którą nie łudziła nikogo.

Niektórzy urzędnicy dworu: marszałkowie, podczaszowie, cześnicy, krajczy, kuchmistrze,

dla tytułów, które nosili, nie siadali prawie do stołu, będąc na rozkazach króla i rodzaju służby, która na dozorze i reprezentacji zależała. Dozwoliło to parę razy Kazanowskiemu zbliżyć się do pana, potem do Marii Ludwicy, a za jego przykładem poszli i inni towarzysze. Stołu tego

olimpijskiego wszakże żadna siła z jego uroczystego skostnienia wyprowadzić nie mogła. Wszyscy tu liczyli bijące na zegarze zamkowym godziny, z upragnieniem czekając końca.

Pani de Guebriant, choć wiedziała, że usposobienie króla z każdą chwilą było gorsze, że usiłowano go podburzyć i zubożnić dla królowej, spodziewała się jednakże jakiegoś

ceremonialnego zbliżenia, dwu słów zamienionych, a choćby ruchu, który by rozmowy domyślać się dozwalał. Ale Władysław z zaciętością dawał poznać Francuzom, iż z nich, z żony, z ożenienia i ze wszystkiego był do najwyższego stopnia niezadowolony.

Dania następowały po daniach, śpiewy po śpiewach, coraz nowe popisy muzyków, coraz cięższe brzemie zdawało się ugniatać stół królewski. Szczęściem mrok sali, cień, który baldachimy rzucały, pogoda, chwilami powlekająca niebo chmurami, nie dozwalały dobrze się przypatrzeć królestwu.

Pani de Guebriant szeptała Marii Ludwice:

— Najjaśniejsza Pani, wszystko ma koniec, nawet najnudniejsze uczyty.

Na powiekach królowej łzy stawały. Przy toastach już podchmielonych senatorów ozwały

się mowy, wrzawa powstała taka, iż muzyka grać przestała. Niektórzy z ichmościów, dobrze już rozweseleni, poszli z kielichami przyklękać przed majestatem, ale i tych Władysław przyjął

nadzwyczaj lodowato, a królowa łaciny ich dobrze zrozumieć nie mogła.

Na ostatek przyszły wety, cukry, konfekta, owoce i koniec się zbliżył. Król sykał

niecierpliwie, domagając się, aby mógł odejść do swoich pokojów. Zamiast jednak tłumaczyć się z tego przed królową, na którą unikał spojrzenia, pochylił się, pomijając ją, do marszałkowej de Guebriant.

— Jestem mocno cierpiącym — rzekł do niej. — Wymogłem to na sobie, aby się tu

znajdować i dotrzymać placu, przebaczysz mi jednak pani, że się natychmiast na spoczynek udać muszę. Post i o- byczaj naszego kraju tańców wszelakich wzbraniają, a ja ledwie chodzić mogę. Kto łaskaw może pozostać u stołu, ja wstać i nieść się każę.

Nie mówiąc nic, królowa ruszyła się także i nie do męża, ale do marszałkowej odezwała się:

— My opuszczamy salę. Pani Guebriant skłoniła głowę.

Około królewskiego stołu ruch się dać uczuć, biesiadników reszta powstawała z miejsc nie w zamiarze tak rychłego opuszczenia zamku, ale dla okazania królowi poszanowania.

Przyniesiono krzesło i nowożeniec, z pomocą dwóch dworzan przesiadłszy się na nie, w pochodzie uroczystym, otoczony dworem, poprzedzany przez marszałków z laskami, zniknął za drzwiami. Tuż za nim królowa z marszałkową, z biskupem auriackim, z posłem, z kilkunastu senatorami udała się ku temu samemu wyjściu z sali i znikła także.

Reszta posłów, wyjąwszy nuncjusza, który także, błogosławiąc żegnającym go, usunął się, wmięszala do tłumu pospolitych śmiertelników i rozmowy dopiero teraz huknęły na całą salę.

Kapela zaś, która na wyjście króla grała marsza wojskowego, pamiętna programów dawnych, po chwilce, nie pytając, czy kto tańcować myśli i będzie, rozpoczęła menueta.

Cóż się to teraz dopiero działo w tym rozkołysanym jak fale morskie tłumie już

podochoconym! Któż powtórzy, co tu za rozmowy się wiązały, rwały, wybuchały i nie dokończone roztapiały w śmiechach. Brzęk szkła, szcęk dzbanów, rozbijanych mis, wywracane ławy, wszystko to razem zmięszane, zamkową salę czyniły gospodą jakąś, ale żadna siła nie mogła tu przywrócić jakiego takiego porządku, dopóki by goście znużeni sami spoczynku nie zapragnęli.

Dopieroż słuchać było potrzeba zdań o królowej, o królu, o Francuzach i o ich „pułdach” (perukach) na głowie.

— Ale król — wołała mazowiecka szlachta, której było najwięcej — król nam coś bardzo nierycersko wygląda!

— A mimo to na koń chce sięść i na Turka gwałtem! — wołał drugi.

— Po co? — przerywał trzeci. — Mamy z nim pokój... Co to my dla drugich będziemy ręce sobie parzyli, kasztany z ognia wydobywając! My na wojnę grosza nie damy!

Zahuczano przyjaciela pokoju.

— Mówili, że królowa jak róża — wołał jeden — w czasie wjazdu stała się lilią, bo francuski herb też lilie, ale co dziś, to, dalipan, i do maku, ją trudno było porównać!

Z należnym poszanowaniem po troszę wyśmiewano wszystkich, nawet się i duchowieństwu dostało. Biskup auriacki nie podobał się ogólnie.

Inni powtarzali plotki, a na ucho szeptano sobie, że król zamiast do pokojów żony wprost się nieść kazał do mieszkania Niemki, którą jako kochankę jego dawną palcami wytykano. Niestety, tak było w istocie, a nie tylko nie starano się ukryć z tym, ale z pewną ostentacją Władysław wydał rozkazy. Chorym był tylko dla tej żony, ale do panny Amandy odpoczywać się udał i pozostać tam miał do nocy.

Cały dwór wiedział, dokąd go niesiono, i wszyscy Francuzi zostali zawiadomieni przez usługowych dworaków, iż Najjaśniejszy Pan nie do swoich pokojów, ale do panny Amandy nieść się kazał.

Gospodyni wystrojona czekała go na progu, a Pac i Platenberg mu towarzyszyli.

Nie dziw też, że Maria Ludwika, zaledwie dopadłszy do swej sypialni, z płaczem się rzuciła, kryjąc twarz w poduszki, na łożo. Nawet dotąd wytrzymująca wszystko pani marszałkowa de

Guebriant weszła za nią zmięszana nieco i widocznie przybita tą jawnością, jaką nadawano temu, co ona dotąd za małe nieporozumienie tylko brać chciała.

Usiadła przy królowej i wzięła jej ostygłe ręce w swe dłonie, powtarzając znowu: *Courage!*

— Wszystko to im się gwałtowniej poczyna, królowo moja — rzekła głosem poważnym, ale

współczucia pełnym — tym pewniej skończy się waszym zwycięstwem. Nikt nas nie słucha, mówić więc mogę otwarcie; jesteśmy kobietami, ja mam długich lat doświadczenie. Mężczyźni z wielkim charakterem i energią nigdy tak porywczo i nierozważnie nie stają do walki. Wszystko to są dowody słabości siebie niepewnej, dowody wpływu, jaki niepoczciwy dwór, wyzyskujący króla, wywiera na niego. Czują oni, że się zbliża ostatnia ich godzina, bronią się rozpaczliwie, ale polegnać muszą.

Gdyby na króla miało wpływ duchowieństwo, najskuteczniejszym byłoby pośrednictwo

kapłana, spowiednika. Król jednak, o ile wiem, dosyć ma być obojętnym w religii. Słyszałam, że niegdyś w młodości w kościele od powietrza, jakie go obwiała, dostał mdłości i odtąd unikać miał

kościółów, ale podobno zbytnia ojca i macochy pobożność sprzykrzyły mu się. Zamiast pobożnych

kapłanów słucho zepsutej młodzieży i pochlebców, którzy go na zgubę prowadzą. Wszystko to mocą charakteru wam trzeba zwyciężyć i naprawić.

— W tym wieku! — zawołała królowa, ręce łamiąc. — A, gdybyśmy były przewidzieć mogły, co mnie tu czekało, gdybym choć obyczaj tego narodu, tego dworu znała wprzódy, gdybym miała wyobrażenie zepsucia, jakie tu panuje, stokroć bym wołała do klasztoru pójść! Cierniowa to będzie korona!

— Początki są zawsze trudne! — pocieszała de Guebriant. — Mówiłam dziś poufnie z księżną Radziwiłłową, każą się spodziewać zmiany na lepsze. Senatorowie sami będą się starali o to. Kazanowscy, chociaż powoli, działać będą... wreszcie czas, czas, ten najdzielniejszy pomocnik. Królowa z rozpaczą patrzyła osłupiałymi oczyma w okno.

— Nie opuszczajcie wy mnie! Nie odjeżdżajcie! — zawołała błagając. — A nade wszystko nie dozwólcie, aby mi król z okrucieństwem niemiłosiernym odebrał służbę moją, oddając na łup tym obcym, nieprzyjaznym. Jeżeli dwór mój nie ma pozostać przy mnie, ja wolę powrócić do Francji!

Guebriant pochyliła się ku niej.

— Ale oni właśnie tego chcą, do tego dążą, abyś ty, królowo moja, ty sama zerwała ten związek i powróciła ze sromotą do Paryża. Oni ci grożą, aby przestraszyć.

— Co do mnie — dodała Guebriant — bądźcie pewni, nie ruszę się stąd, dopóki pożycie małżeńskie nie stanie się rzeczywistością. Król może być chorym, jak długo zechce... dla mnie musi na parę dni zdrowie odzyskać, aby małżeństwo miało znaczenie i ważność. Dotąd, biskup auriacki mówił mi to dziś jeszcze, ślub nie jest w pełni uznanym przez Kościół, gdy małżonkowie żyć z sobą nie mogą. Nastanę na króla, wystąpię w imieniu króla naszego, który nie nawykł, aby go lekce sobie wazono... Dajmy przejść tym burzom, które siłę strącić muszą. Odwagi i cierpliwości!

Płakała Maria Ludwika, lecz po tym osłabnięciu niewieścim duma rodu, poczucie godności swej dźwigało ją; gotową się czuła do walki, do której musiała znaleźć sprzymierzeńców. Położenie naka- zywało bądź co bądź z niezbędnym, z nieuniknionym obyć się i szukać jego stron słabych.

Na nieszczęście jedyna podpora, marszałkowa, nie mogła tu pozostać z nią, a de Brégy,

poseł francuski, który dla zaciągów miał bawić w Polsce, nie miał ani jej taktu, ani zręczności, ani bystrości i przenikliwości, ani ochoty poświęcenia się. Płochy Francuz, rzucony wśród

społeczeństwa, które też mu się płochym wydało, zaczął już przejmować jego obyczaj i sam jeden podobał sobie wśród zepsutego dworu Władysława.

Gdy królowa zawczasu się usunęła i drzwi swe dla wszystkich zamknąć kazała, pozostając w kółku swoich domowników, u panny Amandy otwierano podwoje, król poufalszych przyjmował, a Niemce nie bronił tu grać roli gospodyni. Ci, co go widzieli w czasie obiadu martwego, napuszonego wewnętrznym gniewem, poznać go nie mogli, tak się tu ożywił, tak nawet chwilami był wesołym.

Pac i Platenberg zabawiali go powieściami o Francuzach, nastając na to, że oprócz siostrzenicy pani de Guebriant, w której już paniczów zakochanych czasu podróży kilku jej nadskakiwało, nie było ani jednej z dziewcząt przy królowej, wartej, aby ją w Polsce zatrzymać. Wszystko to należało precz odprawić, aby sobie spokój zapewnić.

Nazajutrz król z góry zapowiedział, że będzie chorował i jeżeli zostanie zmuszony na chwilę się ukazać przy obrzędzie oddawania darów, jakie mieli składać posłowie i korporacje, książę Neuburgski, Pruski i inni, natychmiast potem powróci na swe pokoje.

Do tego obrzędu królowa już była przygotowaną zawczasu; uniknąć go, mów, które mu towarzyszyły, i siedziała w nie ogrzanej dużej sali nie mogła, odłożyć nie zdało się na nic, musiała więc przywdziać strój uroczysty, obmyć oczy splakane, zasiąść pod baldachimem i uśmiechać się przypadającym na kolana, a u nóg jej składającym złociste naczynia, misy, klejnoty, futra i najrozmaitsze ofiary. Wartość ich, dosyć stosunkowo mierna, nie zdołała nawet na chwilę ciekawości obudzić i zajęcia. Były to zawsze też same wyroby złotniczej sztuki, które po skarbcach leżały długie lata, czekając, aż przy podobnej uroczystości z jednego przeszły do drugiego na nowy spoczynek.

Król prawie się nie pokazywał.

Posłowa trzeciego dnia, już zniecierpliwiona, postanowiła prosić go o posłuchanie.

Ze wszystkich osób z Francji przybyłych ona jedna wywierała pewne na królu wrażenie, kazała się szanować. Władysław miał najmocniejsze postanowienie pozbywania się jej tak lekko, jak się zbywał pana de Brégy i biskupa auriackiego, ale zobaczywszy ją, czuł się podbitym, onieśmielonym, stawał grzecznym, a potem sam to sobie wyrzucał.

Pani de Guebriant winna to była charakterowi, taktowi, krwi zimnej, wielkiemu obyciu z

życiem dworskim, na ostatek osobistym przymiotom dającym jej wyższość nad wielu. Znano ją we Francji z tej powagi i wpływu, i to było przyczyną, że ją wysłano z Marią Ludwiką, a z pewnością gdyby nie ona, stosunki między królem a królową, nawet tak znośnie i biednie, jak się ułożyły, nie byłyby się zawiązały. Daleko groźniej przygotowywała się przyszłość, kto wie, czy królowa pozostać by była mogła w Polsce.

Pierwsze żądanie posłuchania król, domyślając się, o co chodziło, zbył obietnicą, nie oznaczając terminu, składając się chorobą. Marszałkowa dni parę była cierpliwą, ale po nich wysłała prośbę po wtóre: król zmuszonym został ją przyjąć, przepraszając, że w krześle siedzący, nie mogąc się poruszyć, krótką tylko może rozmową zadośćuczynić jej życzeniu.

Nagradzając to, Władysław twarz przybrał jak najśłodszy wyrazem, a że posłowa, nie spodziewając się, aby dnia tego ważniejsze sprawy mogły być roztrząsane, przybrała do boku piękną swą siostrzenicę, którą król nie mniej się zachwycił od innych, posłuchanie więc upłynęło na wymianie najwyszukańszych grzeczności i oświadczeń najczulszych. O królowej jednak wzmianki prawie nie było. Gdy Guebriant rozpoczynała o niej, Władysław przerywał jej skargami na zdrowie swe i podagrę.

Umiejąca wszystko zużytkować Francuzka nie wahała się wpływu widocznego młodej swej towarzyszki wyzyskać na korzyść królowej. Śmiało i wyuczone dziewczę umiało tak zręcznie przemawiać do króla, że mu się nie dało pogńiewać i zmusiło go z należącym poszanowaniem mówić o Marii Ludwice.

Ponieważ towarzystwo młodej panienki bardzo było miłym królowi, który widocznie chciał się jej przypodobać, przedłużyło się posłuchanie, przyniesiono owoce i słodczy, humor się polepszył znacz- nie, ale gdy wnet potem posłowa znowu wróciła, domagając się obietnicy, kiedy król razem z żoną będzie mógł zamieszkać, podagra wystąpiła, a przytomny Pac zapewnił, że król tak bywa trapiiony bólami, iż krzyczeć musi, a w tym stanie nie chciałby się dać widzieć nikomu.

W ten sposób, chociaż pani de Guebriant nie mogła skarżyć się na przyjęcie, nie przyniosła z niego królowej nic oprócz bardzo wątpliej nadziei, iż król kiedyś, znudzony, będzie musiał wstać z krzesła i przestać się składać chorobą.

Cierpienia były rzeczywiste, trwały one już od lat wielu, ale nie były w tej porze tak gwałtownymi, ażeby Władysławowi odejmowały władzę poruszania się i nie dawały chwil swobodnych. Wiedziano, że sam na sam z panną Amandą o kijku chodził bez pomocy po pokoju,

poruszał się dosyć swobodnie i zapominał o obrzękłych nogach. Dla królowej tylko pozostawał chorym zawsze.

Zabawiały ją tymczasem panie senatorowe, które się w Warszawie znajdowały, było parę wesel w domach znaczniejszych, na które ją zaproszono, odwiedzała kościoły, przejeżdżała się po mieście. Nabożeństwo i z potrzeby dusznej, i dla zajęcia czasu stało się jej ucieczką najmiłą. Długie godziny spędzała w pobliskich kościołach, a że pora wiosenna coraz dalszym wycieczkom sprzyjała, marszałkowa Kazanowska, Opalińscy, Ossolińscy, Radziwiłł chętnie jej w nich towarzyszyli.

Król wiedział o każdym jej kroku, ale bardzo często dwa i trzy dni upłynęły, a wcale się z nią nie spotykał. Opowiadano o chorobie, Platenberg koniuszy, wielce nadskakujący Marii

Ludwice, mówił o krzykach bóleści, jakimi się komnaty pańskie rozlegały. Pani de Guebriant nie przestawała co dzień dowiadywać się o zdrowie i po upływie dni kilku znowu żądała posłuchania, nadaremnie. Walka to. była, która ostatecznie musiała się na stronę posłowej rozstrzygnąć.

Królowa nieco się oswoiła ze swym położeniem, chłodniej spoglądała na to, co ją opasywało, ale niemniej pragnęła jakiegoś stanowczego końca. Senatorowie jej przyjaźni mówili już o koronacji, która była formą konieczną dla uzyskania królowej ubezpieczenia, wyposażenia, jakie jej była winna Rzeczypospolita.

Dotąd jednakże małżonkowie z sobą zaledwie słów niewiele chłodnych i ceremonialnych zamienili, a w tych, jakie słyszała od męża, Maria Ludwika więcej znalazła goryczy niż oznaki uprzejmości; każde spotkanie oblewała złąmi, a gdy powróciła do swoich Francuzów, wszyscy oni, biorąc jej stronę, roznamiętniali się przeciw Polsce i królowi. Bietka już nawet nie mogła ułagodzić ich, zapewniając, że nie wszystkich za nieprzyjaciół liczyć mieli i że wielka część najgorętszym współczuciem podzielała cierpienie i gotową była służyć uciśnionej.

Dziewczę, które wpadło nierozważnie w ten wir, traciło już i odwagę, i cierpliwość, a nieraz wzdychało do tego, ażeby się mogło ojca doczekać i uwolnić od służby przy dworze. Wpływał może na to i Nietyksza.

Łatwiejszą też zdawała się jej zemsta nad Niemką, niż teraz okazywała. Amanda, popierana przez tych, co najbliżej stali łożnicy, ucha i serca pańskiego, brała widocznie górę. Dopóki ona tu pozostawała, stan ten zmienić się nie mógł.

Tak samo Niemka, przez Paca i Platenberga dowiadując się, jak czynną, choć mało

widoczną na dworze królowej grała rolę Bietka, powiadała sobie, że się jej stąd koniecznie pozbyć było potrzeba.

To przekonanie właśnie jeszcze następujący wypadek jak najmocniej wpoił niespokojnej

Amandzie. Jedna Bietka знаła tu ludzi, mogła przestrzec o każdym, bez niej Francuzi nigdy by sobie rady nie dali, jedna ona miała odwagę wcisnąć się wszędzie.

W czasie gdy król, składając się podagrą, tak dobrze unikał Marii Ludwiki, że się z nią nie spotykał prawie, jednego dnia Bietka przechodziła zamyślona kurytarzami, które z pokojów króla prowadziły do Niemki. Było to dziełem wypadku czy obrachowania, że w tej chwili, gdy hajducy króla przenosili dosyć ciasnym kurytarzem, Bietka się ukazała w drugim jego końcu. Zatrzymała się z początku, namyślając, czy nie zawrócić, ale nie chciała okazać, że ucieka od oblicza pańskiego. Król znał ją dobrze i pamiętał, była nawet na rejestrze u Paca jako pożądana rozrywka.

Chwilę postawszy, Bietka, nie zawracając się, wybrała miejsce za pilastrem, aby z krzesłem pańskim rozminąć. Spojrzenie na tego nowożeńca obudzało litość, siedział w krześle z obwiniętymi futrem nogami, okryty płaszczem podbitym rysiami, z głową osłoniętą, z twarzą żółtą i nalaną, której barwa od siwiejącej bródki i wąsa jeszcze mocniej odbijała, posępny, namarszczony, zgięty.

Nadrabiał tylko dumą, ale widocznie był nieszczęśliwym i uciśniętym.

Chociaż Bietka starała się niby ukryć za pilastrem, Władysław ją zobaczył i zrównawszy się z miejscem, w którym stała, laską, którą miał w ręku, dał znak hajdukom, aby się zatrzymali.

Zwrócił na nią oczy.

Wargi mu się podniosły.

— Na Francuzkę cię już przerobili! — zamruczał. Bietce nigdy na odwadze nie zbywało.

— Jeszcze nie, Miłościwy Panie — rzekła śmiało — ale wszystko może być, nie ja jedna się nią stanę.

Władysławowi w rozmowę się wdawać w kurytarzu nie zdało, skinął ręką.

— Chodź za mną!

— Najjaśniejszy Panie — odparła — do panny Amandy ja nie pójdę.

Król się nadał.

— Nie da Amandy — zawołał z gniewem — ja tu jestem wszędzie u siebie! Chodź!

Słyszysz?

Krzesło poniesiono dalej, a dziewczę szło posłusznie, któż wie, może nawet uradowane, że je zmuszono...

We drzwiach o niczym nie wiedząca Niemka oczekiwała na króla, którego jej oznajmiono, ale ujrawszy idącą tuż za nim Bietkę, z krzykiem się w tył cofnęła. Widział to król, zamruczał tylko, ale wcale się nie poruszył. Wniesiono go do pokoju, z którego Amanda wybiegła, drzwi za sobą zatrzaszkując.

Ustawiono krzesło w zwykłym miejscu, a król natychmiast się zwrócił do dziewczęcia.

Naprzód ciekawie mu się przypatrywał, jakby zmiany w nim jakiejś szukał, potem mówić zaczął.

— Przystąpiłaś na służbę do Francuzów — rzekł.

— Tak jest — zawołała Bietka — bo tu wytrwać nie mogłam! Zamilkł król, a po przestanku, podnosząc oczy na nią, rzekł:

— No, cóż nowa pani?

— Nie pożądam innej ani lepszej! — zawołała Bietka. Po krótkim milczeniu Władysław zapytał znowu:

— Cóż tam Francuzi?

Dziewczę się trochę namyślało z odpowiedzią.

— A, Najjaśniejszy Panie — rzekło — kryć tego nie będę, wszyscy oni Pana Boga o jedno proszą, ażeby stąd co najprędzej się wydobyć mogli.

— Oprócz królowej — przerwał Władysław.

— Owszem — mówiła Bietka żywo — owszem! Najjaśniejszą Panią tak tu przyjęto, że i ona, i pani de Guebriant, i pewnie poseł przemyślają tylko, jak by się wydobyć nazad i to, co się stało, odrobić.

Zmarszczył się król mocno, dotknęło to jego miłość własną.

— Co za dziw — mówiła dalej Bietka. — Trzeba by nie mieć najmniejszego czucia, żeby

nie być do żywego obrażoną, bo tu się wszystko składa na to, aby Najjaśniejszą Panią boleśnie drażnić, a ona się przecie nie napraszała. Toteż całym teraz rozumem ich wszystkich zręcznie się

wyśliznąć i pod pozorem choroby Najjaśniejszego Pana tymczasowo podróż do Francji
przedsięwziąć, z której pewno nie powróci.

Król słuchał tak zdumiony, iż mówić nie mógł.

— Pleciesz! — zamruczał gniewnie. — Pani de Guebriant wcale co innego powiada, nagli...

— A, wie ona, dlaczego to czyni — szczebiotało dziewczę dalej. — W ostatku, gdy się

przekona, że na chorobę długą się zanosi, wniesie powrót, a poseł i wszyscy popierać będą. Trudno wymagać, aby tak przyjmowani Francuzi podobać sobie u nas mieli, oprócz jednej marszałkowej, która sama powiada, że łaskę Waszej Królewskiej Mości dla siebie winna pięknej siostrzenicy.

Poseł się skarży na miejsce u stołu niewłaściwe, na równi z Włochem, biskup wie, że mu całkiem chciano odmówić krzesła u stołu, a do królowej nawet Wasza Miłość mówić nie raczyście. Tyle czasu, a męża tak jak nie zna. Więc wołałaby powrócić do Francji i o to jedno Pana Boga prosi.

Francuzom zresztą wcale się u nas nie podobało. Kraj znajdują dzikim, ubogim, zimnym, gotowi stąd uciekać wszyscy i nie dziwią się królowi Henrykowi.

Czy wyrachowana, czy nieostrożna ta paplanina Bietki króla poruszyła do najwyższego

stopnia, zaburzyła w nim zółć. Dokuczać chciał królowej, gotów był Francuzów powypędzać, ale dozwolić, aby ona sama stąd zażądała powrotu, a oni się wynosili dobrowolnie, nie mógł! Było to obrazą jego majestatu, lekceważeniem.

Bietka tymczasem ciągnęła dalej:

— Francuzi mówią, że król polski tylko dla wyłudzenia posagu królowej na jakąś tam wojnę zażądał się żenić, a chory jest i nie do ślubu mu, ale do pościeli i doktora.

Słowa te zuchwałę, cicho i szybko wymówione wprost do ucha Władysława, dopełniły

miary; zzymnął się i rzucił Władysław, do najwyższego stopnia obrażony, i nie przedłużając już rozmowy, wskazał na drzwi Bietce. Dziewczę się niziuchno ukloniło i furknęło jak ptaszek, a w tejże chwili drugimi drzwiami wpadła panna Amanda, cała w płomieniach.

ROZDZIAŁ IX

Ujazdów, w którym król czasem przebywał, szczególnie dla zwierzynca i polowania

wygodnego w nim, naówczas zwał się — miejscem za Warszawą, o ćwierć mili położonym, i do miasta się nie liczył.

Pominąwszy tak zwane Folwarki miejskie na Górze szpitalnej, place były rozległe, nie zajęte, czasem zasiewane, należące do mieszczan Kamińskich i Skurczyńskich. Nie dojeżdżając do wioski Ujazdowa, na gościńcu naprzód widać było kamienną piękną figurę z krzyżem, która zapowiadała rezydencją królewską. Składała się ona z gmachu nowego, rozległego i już na sposób wytworniejszy zbudowanego, mieszczącego w sobie okazałe apartamenta, z kuchni oficyn, podwórza trochę ciasnego i naokoło zwierzyńca, a na koniec ze starego dworu Ujazdowskiego z obszernymi ogrodami i szklarniami. Te to ogrody cieniste i zwierzyńiec szczególniejszy pobyt w Ujazdowie uprzyjemniały, a król się nim tak chwalił, jak Francuzi swymi podmiejskimi królewskimi pałacami w Fontainebleau.

Gmach nowy w Ujazdowie, na pozór już ukończony, wewnątrz przyozdobiony i mieszkalny, w istocie jednak nie był po myśli króla wykonany. Miano go rozszerzyć i ubrać w kolumny, które dotąd leżały w podwórzu pod szopami razem z marmurowymi lwami, przeznaczonymi do wjazdu. Wszystko to sprowadzone znacznym kosztem z zagranicy czekało na budowniczego. Pałac Ujazdowski, chociaż w cieplejszej porze bywał zamieszkiwany, więcej się nadawał do uroczystych przyjęć niż do wygodnego pobytu. Najwięcej miejsca zajmowały w nim wielkie sale, których ściany całe okrywały obrazy umyślnie malowane, przedstawujące alegoryczno-historyczne dzieje panowania Władysława. Nie zbywało też na mnogich wizerunkach. Wspomnieliśmy już, mówiąc o pałacu Kazanowskich, jak za tego króla miłość sztuki malarstwa i rzeźby była powszechną. Wzorem króla, Kazanowskich i Ossolińskiego tak samo biskup Zadzik ściany swych pałaców i zamków, które rad przerabiał, okrywał malowaniami. W Ujazdowie nie ściennie, ale olejne wielkie obrazy porozwieszane były.

Dół pałacu stanowiły galerie na słupach wsparte, w których się składy mieściły. Wschody wygodne i niezbyt wyniosłe prowadziły na pierwsze piętro główne, którego plan nadzwyczaj prosty składał się z całego szeregu sal wzdłuż idących jedna za drugą, z końca w koniec.

Pomiędzy innymi obrazami najświeższy zdawał się myśl teraz właśnie króla najgoręcej zajmującą przedstawiać. Wystawiona była *Fides* (Wiara) broniąca Polski od pogan. Zwycięzeni już wrogowie u nóg jej leżący, narody sprzymierzone idące na pomoc Polsce były jakby wcieleniem tego, czego Władysław dopiąć pragnął. Obraz też ten, może na pierwszym miejscu rzucający się w oczy, przeznaczonym był dla propagowania umiłowanej myśli pańskiej.

Drugi znacznych rozmiarów obraz w tej samej sali był koronacją Cecylii Renaty i składał się z mnogich postaci *ad vivum* ujętych, z tłumu cudzoziemców w przeróżnych strojach, muzyków, dworu itp. Trzeci przypominał chrzciny uroczyste pierworodnego syna, nad którego kolebką pochlebca malarz w obłokach wystawił spuszczającą się z niebios koronę. Różne postacie składających podarki urozmaicały i ożywiały malowanie. Oprócz tego wjazd Cecylii Renaty wspinały stanowił przedmiot jeszcze jednego płótna znacznych rozmiarów. Artysta, malując królowę, nie skąpił jej dziewiczego wdzięku i uczynił istotnie uroczą i idealną.

W czterech narożnikach nowego pałacu wyskakujące altany przeznaczone były do napawania się pięknym a rozległym widokiem Wisły i jej brzegów, ożywionych latem ruchem szkut, bark, tratw, które w górę i w dół ciągle się przesuwały. Tuż pod pałacem cały obwiedziony parkanami wysokimi otwierał się zwierzyńiec, w kilku miejscach poprzerzynany urządzonymi w nim umyślnie sadzawkami, napełniony sarnami, jeleniami, zającami i królikami, mnóstwem ptactwa ożywiony. Nawet ci, co za granicą wiele widzieli starannie urządzonych ogrodów dla oka, oddawali ówczesnemu Ujazdowskiemu sprawiedliwość, iż trudno było o równy mu różnorodnością i bogactwem widoków, a szczególnie pięknnością drzew starych i krzewów.

Miłość ogrodów, która w XVIII wieku tak aż do przesady posunięta przybrała u nas rozmiary, tu się pierwsza objawiła w parku prawdziwie królewskim, ulubionym wielce królowi.

Z drugiej strony zwierzyńca wznosił się tak zwany Stary Dwór Ujazdowski, z całą osadą budowli gospodarskich, stajen, gumien, szop, z łaźnią, z sadzawką...

Do dworu starego przylegał drugi ogród mniejszy, dla użytku szczególnie królewskiego stołu przeznaczony, w którym hodowano drzewa owocowe przednie, sprowadzane z zagranicy, wytworne jarzyny, a w figarniach ubezpieczonych na zimę drzewa, z których owoce, jak zapewnia współczesny nasz przewodnik, na korce mierzono. Cegielnie, dworek rządcy, sadzawki dla ryb, mały lasek dopełniały zabudowań i gospodarstwa ujazdowskiego.

Należy tu wspomnienie resztkom jakiegoś starożytnego wału jeszcze za Władysława

Czwartego widocznego, zwanego mazowieckim, o którym podanie było, iż tu jakieś książątko

pojmano i więziono. Nie brakło i kościoła na wzgórzu z plebanią i obrazem cudownym, założonego staraniem i kosztem królowej Anny Jagiellonki podobno.

Król, chociaż miał bliżej zamku pałac teraz nie zajęty na Krakowskim Przedmieściu, równie wspaniale urządzony, gdy chciał się rozerwać i odpocząć, najchętniej do Ujazdowa się przenosił. Miał tu oprócz innych przyjemności zawsze gotowe polowanie, które lubił, bo o zwierzyńcu pamiętano, aby w nim nie brakło mieszkańców.

W ciągu tych na dworze królewskim intryg i zabiegów wiosna się zbliżała, a z nią chwila, gdy Władysław zazwyczaj się do Ujazdowa przenosił. Lecz ażeby się tam udać swobodnie, potrzeba było raz skończyć z panią de Guebriant, która królowi wręcz i otwarcie zapowiedziała we cztery oczy, iż nie odjedzie, dopóki małżeństwo się nie stanie rzeczywistym życiem wspólnym.

Miała ona zręczność odwrócić od królowej wszelkie podejrzenia i potwarze, a że oprócz tego plany wojenne króla wymagały pieniędzy, a tych się ani podobna było domagać od Marii Ludwiki bez zbliżenia sięi przejednania, Władysław na ostatek, pomimo całych wysiłków panny Amandy jej przyjaciół, musiał się poddać.

Dzień został wyznaczony, pani marszałkowa dopilnowała, ażeby już nic nie stanęło na przeszkodzie, i królowa po poufalej z mężem rozmowie, w której okazała wiele taktu i zręczności panując nad sobą, mogła na ostatek przenieść się do apartamentów wspólnych i zająć należyte stanowisko.

Chociaż w istocie może usposobienie króla wcale się nie zmieniło, czego przyszłość dowiodła, a panowie Pac i Platenberg strzegli, aby król miał zawsze nową jakąś niewieścią rozrywkę, chociaż panna Amanda zachowała łaski króla i pozostała na swym stanowisku

ochmistrzyni królewicza, na pozór wszystko weszło w tryb i karby przyzwoitości. Groźba nawet straszliwa odprawienia służby francuskiej i pozbawienia królowej jej ulubionych towarzyszek rozbiła się o starania posłowej, o znudzenie króla jakieś, i wszyscy na miejscach pozostali.

Pani de Guebriant, która z niezmierną zręcznością sprawę zawikłaną i trudną doprowadziła do szczęśliwego końca, natychmiast pośpiesznie się zaczęła wybierać na powrót do Francji, ale kierując się na Włochy, gdzie biskup auriacki poprzedził ją jeszcze i tą samą drogą, którą przybyła królowa, pośpieszył do swej stolicy.

Początek był zrobiony; panna Amanda, co dzień przez wiernego jej Platenberga zawiadamiana o wszystkim szczegółowo, chociaż wiedziała, jak wielki w tym udział miała pani de Guebriant, pamiętała zarazem, że pierwszy zwrot w usposobieniu króla wywołała zręczna Bietka.

Darować jej tego nie mogła. Pozbyć się jej jakimkolwiek sposobem było dla Niemki tym „*Delenda Carthago*”, do którego najwyższą przywiązywała wagę. Miłość własna nakazywała też okazać jawnemu wrogowi swą siłę.

Nie było to jednak tak bardzo łatwym, jak się wydawać mogło. Bietka zupełnie zniknęła

wśród dworu tego, na którym Francuzi i Francuzki stali w pierwszych rzędach, lecz niewidoczna, zakryta, była niemniej tak królowej potrzebną, że bez niej się obejść nie mogła. Długi pobyt, prawie od dzieciństwa, przy dworze, osłuchanie się z tym, co tu krążyło, dawało jej świadomość

charakterów ludzi, którzy się około króla obracali, miarę ważności ich, przywiązania Władysława itp.

W początkach wśród natłoku przedstawiających się jej osób z tymi twarzami sarmackimi,

które się jej wszystkie do siebie podobnymi zdawały, Maria Ludwika z trudnością się mogła

zorientować. Zaraz w początku tego pamiętnego dnia niedzielnego, gdy uroczyste odprawiono smutne na zamku wesele, śmierć niespodziana żałobą okryła Rzeczpospolitą całą. Zmarł w Brodach hetman wielki i pan krakowski, Koniecpolski. Spadek po nim poruszył wszystkich, którzy się z odkrytych wakansów kasztelanii, starostwa krakowskiego, a na ostatek i buławy spodziewać mogli.

Warszawa się zaludniła gośćmi. Wkrótce potem śmierć biskupa chełmińskiego, Działyńskiego,

również miała skutek; każdy nowy gość był dla królowej zagadką, miała-li go liczyć do przyjaciół

lub do mniemanych wrogów. Pytać innych nie śmiała.

Wówczas więc to roztropne, przebiegłe i zręczne dziewczę, jeżeli samo na razie

odpowiedzieć nie umiało, potrafiło przez swego Nietykszę i przez innych zasięgnąć informacji o charakterze i stosunkach; a że królowa dotąd się nie zawiodła na tym, co jej Bietka przynosiła, miała w niej ufność nieograniczoną.

Cieszyła się i dumną tym była Bietka, lecz łaski królowej zaczynały obudzać w jej

francuskim dworze zazdrość i niechęć. Właśnie w tym czasie zarysowało się jeszcze mocniej dosyć dla królowej przykre jej sług rozdwojenie. Zgryźliwa panna de Langeron, z pomocą podstępного, milczącego a zazdrośnego pana de Conrade i kilku zniechęconych do pani i pana des Essarts, zaczynała u królowej intrygować przeciwko nim, podszeptując, że des Essarts, sekretarz królowej Desnoyers, a nawet spowiednik królowej, ksiądz de Fleury, nadto dobrze byli z ambasadorem de Brégy, z którego królowa nie była kontenta.

Panna de Langeron, wiedząc, jak jej pożyteczną być może Bietka, starała się ją sobie

pozyskać, ale ostrożne dziewczę, nie chcąc do żadnego się obozu łączyć, stało obojętnie na boku.

Nie mogła jej tego przebaczyć Langeronówna i postanowiła szkodzić jej, o ile mogła. Miała zaś u królowej pewne wzięcie i wiarę, bo nikt tyle plotek jej nie przynosił co Langeronówna i ona pierwsza odkryła, że pan de Brégy przywiózł sobie z Gdańska czy Elbląga bardzo piękną

Niemeczkę, którą w swym domu przechowywał. Królowę to zniechęciło ku niemu, a oprócz tego już mu wiele niezręczności w postępowaniu miała do wyrzucenia.

Plątały się więc znowu na wszystkie strony pozastawiane sieci, na które baczne oko mieć musiała Bietka, aby nie wpadła w nie i nie stała się ich ofiarą.

Coraz piękniejsza i cieplejsza wiosna skłoniła króla do przeniesienia się do Ujazdowa, naturalnie z królową razem. Zapowiedziano te przenosiny, a choć odległość od Warszawy była nie znaczącą, nie mogło się ruszyć królestwo nie przygotowując, gdyż Ujazdów oprócz najpotrzebniejszego sprzętu nie miał nic, nawet pościeli i łóżek.

Na zamku więc z tego powodu rozpoczął się ruch niezwykły: ładowano wozy, układano suknie do skrzyń, Francuzi z obawy, aby im tam czego nie brakło, gotowi byli, co mieli, ciągnąć za sobą.

Bietka pomagała, o ile mogła.

Dni kilka upłynęło na tych przygotowaniach, przyśpieszanych, gdyż król tęsknił za polowaniem, a nie mógł w lasy się puścić, zawsze z obawy podagry, która powracała.

Nazajutrz miano przenieść się już do Ujazdowa, gdy wieczorem przychodząca do królowej pani des Essarts z pannami de Mailly i de Luce napomknęła jakby nawiasowo, iż Bietka gdzieś znikła. Królowa właśnie się świeżo o nią dowiadywała, mając jakieś zapytanie pilne; posłano szukać po zamku.

Nikt jej nie widział. Nie było we zwyczaju, aby się oddalała bez opowiedzenia, nawet do Bieleckich lub do starej Mingajłowej. Można było przypuścić chyba, że na odjeźdym coś pilnego ją zmusiło wybiec bez oznajmienia o sobie.

Oczekiwano cierpliwie powrotu, lecz gdy późnym wieczorem nie zjawiała się z powrotem,

królowa niespokojna raz i drugi swoich paziów wysłała na zwiady. Rozbiegli się oni po zamku, szukali nawet w ogrodzie pod mieszkaniem księcia Karola, gdzie nigdy chodzić była nie zwykła, dopytywali, kogo spotkali, ale nikt nie widział jej, nikt o niej nie wiedział.

Na to niespokojne dowiadywanie się o nią wpadł właśnie Nietyksza. Jak piorunem go to raziło. Naprzód zbiegł na dół do stajen i gdziekolwiek o Nesterackim się mógł dowiedzieć, ale Benedyka tego dnia jakoś nikt tu nie widział. Z zamku poleciał Nietyksza do Bieleckich, i tu jej nie było, a nawet od kilku dni Bielecka o niej nic nie wiedziała; na ostatek popędził i dotarł Litwin aż do Mingajłowej. Staruszka odpowiedziała na zapytanie, że w istocie Bietka była u niej na pożegnaniu, ale przed godziną sama jedna od niej wyszła, mówiąc, że musi na zamek pośpieszyć.

Miała się więc tam wprost udać, to nie ulegało wątpliwości.

Nietyksza nie wątpił już, że korzystając z ruchu, jaki na zamku panował w wigilię przenosin do Ujazdowa, łotr Nesteracki, który się odgrażał, że porwie dziewczę, musiał zasadzkę uczynić i nikczemny zamiar przyprowadzić do skutku. Nie mogło się to dokonać gdzie indziej jak na małej przestrzeni, która zamek dzieliła od pałacu Kazanowskich, bernardyńskiego kościoła i klasztoru.

Tu właśnie nie było się u kogo dopytać.

Nietyksza stał rozmyślając, gdyż natychmiast chciał się puścić w pogoń, gdyby tylko wiedział, w jakim się ma udać kierunku, gdy spostrzegł w ulicy ogromnego draba, który się spokojnie z rękami w kieszeniach spodni kozackich przechadzał.

Był to ów Parfen, który z Warszawy się jeszcze nie oddalił. Zrozpaczony Nietyksza zbliżył się do niego.

W kilku słowach dał mu zrozumieć, o co chodziło.

— Ja tu już stoję od mroku — odparł Kozak — bo czekam na kogoś... Ano prawda, przed niespełną godziną szła kobieta jakaś od pałacu Kazanowskich.

Kozak opisał ubranie i postawę, które mogły Bietce przystać.

— Nie wiem, co się stało — dodał Parfen — ale na rogu od kościoła kilku ludzi zabiegło jej drogę, otoczyli... Krzyku nie było słycać żadnego... Gromadką potem pośpieszyli do krytego wozu, który czekał trochę dalej, no i popędzili, zdaje się, na most i za Wisłę chyba.

Z kilku pytań rzuconych jeszcze pośpiesznie Parfenowi okazało się, iż prawie pewno Bietka tu pochwyconą być musiała, że jej usta zawiązano i uweziono o mroku.

Co się stało z Nietykszą, opisać niepodobna, oszalał, pędem pobiegł do dworu Radziwiłłowskiego, a tu go już żadna siła ludzka zahamować nie mogła.

Miał kilku dobrych towarzyszków i przyjaciół, krzyknął ku nim:

— Życie mi wzięto! Ratujcie, oddam ostatnią koszulę, kto żyw na pomoc, na koń, na koń!

W początkach sądzono, że się upił biedny Nietyksza, lecz wiadano o jego kochaniu na zamku, bo o nim ciągle prawił, przyjaciele więc serdecznie wzięli jego sprawę. A przy tym po nocy sięść, pędzić, było to tak powabnym dla dziarskiej młodzieży, iż pół godziny nie potrzebowali, aby już konie posiadłane dosiąść i razem z Nietykszą puścić się na Pragę i Skarżyszów w świat.

Litwin tylko dobiegł na zamek i tu u bramy komornikowi królowej dwa słowa powiedział, aby natychmiast pani doniesiono, co się stało; nie wątpił bowiem, że Kozak go na drogę naprowadził.

Królowa dnia tego sama wieczerzała, gdy des Essarts wpadła przestraszona z wiadomością, którą jej przyniesiono. Załamała ręce Maria Ludwika i sama chciała biec na skargę do króla, gdy szczęściem się zjawił koniuszy Platenberg.

Najgorszy był to poseł w tej sprawie, ale umiał unizonością, pochlebstwy i udawawanymi doniesieniami tak się wkraść w zaufanie znacznej części dworu, że się nim posługiwano, nie podejrzewając go o zdradę.

Platenberga więc królowa odprawiła natychmiast do króla. Ten, nim poszedł, wywołał Paca, z którym oba wszystko na wspólnie robili, pomagając sobie wzajemnie.

— Bietka znikła! — zawołał, śmiejąc się, Platenberg. — Alarm u królowej, jakby jej największy skarb odjęto.

Pac nie okazał najmniejszego zdziwienia, zagryzł usta.

— A — rzekł obojętnie — znikła! Może gdzie o mroku kogo bałamuci w kącie. To frant dziewczyna. Gdzież się podziać miała? Zabawiła u przyjaciół na mieście. Co ty masz takim głupstwem króla zajmować pod wieczór, kiedy on spoczynku potrzebuje. Powiesz mu o tym jutro.

— Ale nie! Straciłbym wiarę całą u Pani — przerwał Platenberg — królowa wie, że się Pan tak wcześnie do snu nie kładzie. Muszę oznajmić.

— Co — zawołał, wstrzymując go we drzwiach, Pac. — Iść do króla? Ba, to trzeba

wiedzieć z czym. Cóż mu powiesz? Że królowa się złąła, bo' dziewczyna się jej gdzieś zadziała?

To śmiechu warte! Tymczasem ta z kąta gdzie wyjdzie i... *finita la comedia*. Dajże pokój! Ja ci mówię, wytłumacz się, a odłóż do jutra. Król zaraz się zaniepokoi, spać nie będzie.

Uderzyło to Platenberga, że dobry jego przyjaciel tak mu jakoś odradzał krok, za który on sam tylko w każdym razie mógł odpowiadać.

— Już niechaj będzie, co chce — rzekł — ja muszę spełnić rozkaz Pani. Puszczaj!

Pac spróbował go jeszcze powstrzymać, ale koniuszy stanowczo się oparł.

Władysław zastał już w łóżku.

— Najjaśniejsza Pani mnie przysłała — rzekł — ze skargą. Dziewczyna jej ze dworu przepadła... lęka się o nią!

Król się zawsze dziewczętami mocno interesował, podniósł się nieco.

— Jaka? Która? — zapytał.

— Bietka! — mruknął Platenberg.

Zamyślił się Władysław.

— Bietka?

Tuż za Platenbergiem stał Pac przygotowany do tego, aby wrażenie tej wiadomości osłabić.

Rozśmiał się.

— Miłościwy Panie — rzekł — dowodzi to dobrego serca Najjaśniejszej Pani, że się tak niepokoi tą dziewczyną, ale to bałamutka jest. Zagadała się gdzieś, albo u przyjaciółki, pani Bieleckiej, albo u starej Mingajłowej u państwa Kazanowskich, ona tam często chadza.

— Posłać mi zaraz do Bieleckich i do ciwunowej! Słyszysz? Zaraz! — zawołał król. — A mnie dać znać, gdy się znajdzie!

Rozkaz był tak dobitny i takim głosem wyrzeczony, że Pac, który się skrzywił, nie śmiał mu się sprzeciwić, a Platenberg wyszedł go spełnić.

Przez czas jakiś zabawiał Władysław Pac nadaremnie, tak był zamyślony. W dobre pół godziny powrócił Platenberg z doniesieniem, że Bietki nie było ani w pałacu Kazanowskich, gdzie

pod wieczór w istocie znajdowała się u. Mingajłowej i opuściła ją o mroku, ani u Bieleckich.

Posłano do królowej. Sądzone, że się już może znalazła zguba. Maria Ludwika była we łzach, Bietki szukano po zamku całym, ale nigdzie ani śladu nie znaleziono.

Ponieważ przy tych poszukiwaniach po służbie i dworze pogłoska się rozeszła o zniknięciu i wielkiej troskliwości królowej, niektórzy z komorników zaczęli się z tym odzywać, iż sprawa była niczyja, tylko Nesterackiego. Ale Pac wpadł na tych, co się ośmielili go podejrzewać, zakrzyczał, zahuczał, i zagroził, aby nie śmieli się z tym odzywać.

Dziwnym się to wydało wielu, iż panna Amanda, którą znana jako nieprzyjaciółkę Bietki,

gorąco się bardzo o to dowiadywała, wychodziła, rozpytywała i widocznie była niespokojną a nieuradowaną. Pac i ona coś szeptali i naradzali się. Jeden z przyjaciół Nietykszy, nie wiedząc, że on już był zawiadomiony, pobiegł do Radziwiłłowskiego dworu i przyniósł stamtąd wiadomość, że Nietyksza miał już trop i w dziesięć koni puścił się w pogoń.

Pac, usłyszawszy to, jak szalony wpadł do panny Amandy.

Mogło to dać do myślenia, iż i wojewodzie, i ona do zbytku się teraz interesowali tym

wypadkiem, chociaż on w ogóle na zamku wywołał takie zajęcie, ruch, rozprawy, jak gdyby nie szło o lada jaką dziewczyninę, ale o wielkiego rodu dziedziczkę. Kilkadziesiąt lat temu porwanie podobne było daleko pospolitszym wypadkiem, teraz obyczaj się znacznie zmieniły, a ludzie uspokoili i najazdy stały się bardzo rzadkimi.

Królowa była nadzwyczaj zmartwioną losem swej służki, a że jej uczyniono nadzieję, iż

pogoń może doścignąć złoczyńcę i Bietkę wyswobodzić, spędziła niemal całą noc bezseną na posyłaniu i dowiadywaniu się o nią.

Ludzie jednak rozsądniejsi słusznie czynili uwagę, że odbicie było prawie

niepodobieństwem, dlatego iż nikt drogi, jaką się puścił gwałtownik ów, odgadnąć nie mógł, a z pewnością nie wybrał on największego gościńca, gdzie się mnóstwo spotykało podróżnych, tylko boczne manowce. Imię Nesterackiego było na ustach u wszystkich, gdyż nie wątpiono, że on jeden mógł szalony ten rapt popełnić w przystępie jakiegoś szału dzikiego.

Nazajutrz rano, gdy żadna wieść jeszcze o pogoni nie nadeszła, a we dworze

Radziwiłłowskim nie było z powrotem nikogo, choć królowa czuła się zmęczoną, podróż (!) owa do Ujazdowa, którą śmiejąc się tak nazywano, przyszła do skutku. Ale Maria Ludwika część tylko dworu swojego wzięła z sobą do Ujazdowa, nie chcąc królowi przyczyniać tam troski w

ugaszczaniu liczniejszego orszaku.

Królewicz Zygmunt i panna Amanda z nim pozostali w Warszawie; nie zawsze bowiem król

był z ukochanego syna rad i często jego prawdomówności i naiwności się obawiał. Kilka razy już w znaczniejszych towarzystwach takie się chłopięciu wyrwały zeznania dotyczące Niemki i ojca, że potem go za karę po kilka dni zza' klauzury nie wypuszczano.

Z południa do Ujazdowa Kazanowski przywiózł wiadomość, iż pogoń, która się puściła za porwanym dziewczęciem (mówiono o nim w całej Warszawie), prawie na oku miała tego, co ją porwał, i niezmordowanie ściagała, spodziewając się odzyskać. Królowa się tym wielce uradowała.

Przybycie marszałka do Ujazdowa miało jednak cel inny, nie samo tyle uspokojenie o los

Bietki. Kazanowski przybywał głównie dla rozmowy z Marią Ludwiką w sprawie najważniejszej

— pożyczki pieniędzy na wojnę.

Zbliżenie się do królowej, do czego się nie przyznawano, nie co innego spowodowało, jak ta pieniędzy potrzeba. Wiadomo było, że królowa rozporządzała znacznym kapitałem złożonym w

Amsterdamie, który w każdej chwili mógł być podniesiony. Część jego była już w Gdańsku. Ona sama i Francuzi życzyli jej go obrócić na zakupienie dóbr we Francji, król spodziewał się pozyskać na tę wojnę,, która znowu zapalała go do najwyższego stopnia.

Marszałek, znalazłszy królowę samą, bo Władysław z krzesłem się kazał zanieść do

zwierzyńca i tam z ptaszniczek do królików strzelał, rozpoczął otwarcie rozmowę.

— Nie przychodzę ja do Waszej Królewskiej Mości od króla — rzekł — bo on wcale o tym

kroku nie wie, ale przez tę cześć i przywiązanie, jakie mam dla niej, jako przyjaciel pana mojego z poradą i życzeniem. Wojna przeciwko poganom była od dawna i jest marzeniem naszego bohatera.

Od bardzo dawna starał się on ją przyprowadzić do skutku, ale teraz dopiero staje się ona możliwą.

Pozyskujemy właśnie w tych dniach cara moskiewskiego, który się obowiąże być naszym

sprzymierzeńcem, co jest tryumfem wielkim; mamy Wenetów i mieć będziemy innych książąt

włoskich i niemieckich. Ale wszystkich, nawet wielkiego kniazia Moskwy, łatwiej nam pozyskać niż naszą szlachtę już zniewieściałą, obawiającą się wojny długiej, a od niej zależy u nas pobór na wojsko, to jest koszta. Nie dadzą podatków na wojnę aż w ostateczności. Król wszystkie swe środki wyczerpał na działa i zaciągi, ale te są niedostateczne, czas nagli, potrzebujemy pieniędzy, a niczym go sobie skuteczniej ująć nie można, jak posiłkując mu do osiągnięcia dawno upragnionego celu.

Przychodzę więc z radą i życzeniem, abyś Wasza Królewska Mość zaofiarowała swą pomoc.

Maria Ludwika myślała chwilę.

— Co do mnie — rzekła — z największą ochotą i gotowością oddam Najjaśniejszemu Panu

nie tylko to, czego żąda, ale wszystko, co mam; nie mogę jednak tego uczynić bez wiedzy Francji i opiekunów moich, którym choćby przez grzeczność winnam zapytanie ich o zdanie. Nie zabierze to czasu wiele.

— Mogę więc ja — wtrącił Kazanowski — uczynić królowi nadzieję?

Królowa przyzwoliła na to i marszałek poszedł do króla. Rzecz na pozór wydawała się bardzo prostą i łatwą i za taką ją miała Maria Ludwika, która tegoż dnia zawiadomiła pana de Brégy przez sekretarza swego, Desnoyers, że widzieć się z nim pragnie. Brégy pośpieszył tak, iż przed wieczorem był już w Ujazdowie.

Nie lubiła go królowa, tym razem, jednak narada z nim była nieuniknioną. Na pierwsze słowo w tym przedmiocie Francuz odparł tym, że od dawna był o to już szturmowany przez króla i o projekcie pożyczki wiedział, ale nie mówił o nim, bo go nie życzył ani popierać, ni przyprowadzać do skutku.

— Wiem to od panów senatorów — rzekł w końcu de Brégy — iż cała niemal

Rzeczpospolita jest przeciwko wojnie, z wyjątkiem bardzo niewielu osobistych króla przyjaciół.

Szlachta nie chce grosza dać na nowe zaciągi, a te, które król z własnej szkatuły poczynił, widzi złym okiem i na sejmie się ich rozpuszczenia domagać będzie gwałtownie. Interesem jest waszym, Miłościwa Pani — ciągnął dalej — zyskać sobie miłość, choćby dlatego, aby szlachta wyposażyła ją jak należy. Pożyczając królowi na tę wojnę, Wasza Królewska Mość zniechęcisz cały kraj, całą szlachtę.

— Na to bym nie zważała, panie de Brégy — przerwała Maria Ludwika — gdybym jedno

serce króla w zamian pozyskać mogła. Niestety, dziś to dla mnie jest wątpliwym nawet. Były chwile, w których łudziłam się jakąś nadzieją, ale widzę, że król powraca do swych obyczajów, a dla mnie jest zaledwie w oczach ludzi uprzejmym, serca nie ma. Wręcz jednak odmówić tych

nieszczęsnych pieniędzy nie mogę, bobym wywołała burzę, a tych mam dosyć. Pomóż mi waćpan formalnościami do przeciągnięcia tej sprawy.

To, o czym pan de Brégy mówił, przyczyniało się także do zwlekania. Król francuski żądał

pozwolenia zaciągania w Polsce żołnierza, gdy z drugiej strony, były zapewnione posiłki Austrii w

ludziach. Władysław IV więc z tym upoważnieniem do zaciągów się wahał, a poseł chciał, wyrabiając u królowej pożyczkę, w zamian przy tym upiec to, co mu powierzono.

Plątało się tak dokoła nieszczęśliwej królowej mnóstwo nici pozaciąganych, które groźne

dla niej być mogły, a dobrego jej nic nie obiecywały. Wiedziała, że król Niemki znenawidzonej pozbyć się nie myślał, chociaż Kazanowski przyrzekał, że ją za męża za ubogiego Czartoryskiego wyswata. Oprócz tego krótkotrwałe, liche miłości z mieszczankami warszawskimi, o których

względy dla króla starali się na wypródki Pac i Platenberg, bezwstydnie się przeciągały. Obu tych ichmościów surowsi ludzie przewali „koczotami” i znani byli pod tym mianem obelżywym.

W ulicach Warszawy widywano te postrojone rażąco ichmościanki, które się względami na zamku uzyskanymi niemal chlubiły. Nigdy zbytek w ubiorach tej klasy ludności nie dochodził takich rozmiarów i współcześni świadczą, jak raził a bił w oczy.

Panna Amanda patrzyła przez szpary na te fantazje zdzieciniałego i zepsutego pana i tym sobie laski jego zaskarbiała.

Królowej i wielu z nią zdawało się, że wojna mogła ten sposób życia zmienić i zgorszeniu położyć koniec, bo ona jedna tak poruszała i unosiła Władysława, że dla niej zapominał o wszystkim. Z tej więc strony pomoc dana była w interesie królowej.

Oprócz pana de Brégy, Kazanowskiego tylko i księcia Radziwiłła miała Maria Ludwika, którego rady mogła zasięgnąć. Ten ostatni zaś był wywoływaniu wojny tak zasadniczo przeciwnym, iż o niej wspomnieć ani mówić nie dawał.

— Na wojnę z Turkiem nie dam ani jednego człowieka, ani złamanego szeląga, całą siłą się będę jej przeciwiał.

Ile razy to od niego lub kogokolwiek bądź słyszał król, krew mu nabiegała do oczów, trząsał się i mruczał:

— Zmuszę szlachtę do wojny, mam Kozaków w rękę, którzy nie Rzeczypospolitej, ale mnie służyć będą!

W tym to celu przez Ossolińskiego pośrednictwo zawiązały się i przeciągały układy z Siczą, a teraz po wyprawieniu Płazy, który nadto długo nie wracał, król już mówił o tym, że kogoś należało wyprawić na Niż, aby stosunkom tym nie dać zasnąć. Ale cóż? Kozacy kłaniali się, bili czołem,

obietcywali posłuszeństwo, a rękę wyciągali. Widzieli w tym czysty zysk dla siebie, aby podlegać wprost tylko królowi, nie sejmom i' szlachcie, o interesie jednak nie zapominali.

— Chcą mieć pułki — mówiła starszyzna — wiedzieć powinni, że żołąd każdemu żołnierzowi płacić potrzeba. I nam się on należy... zatem...

Pan ataman, śmiejąc się, do posła wyciągał rękę, a drugą na dłoni pokazywał, iż liczyć trzeba było talary.

Tom III

ROZDZIAŁ I

W połowie siedemnastego wieku stary gród Kijów był smutną, ogromną, podaniami

ozłoconą ruiną. Nad brzegiem wspaniale toczącej się rzeki rozłożony na malowniczych, zielenią i drzewy okrytych wzgórzach, cały prawie się składał z niskich, szarych, drewnianych domostw, ogrodami i parkami otoczonych, z których niewiele nad jedno podnosiły się piąterko. Wśród nich potężne gruzowiska kupy, porośnięte już krzewami i drzewy, grube ściany murów odwiecznych,

sterczące z obłamanymi sklepieniami, w których gliniane garnki przeglądały, szczątki murów, wiekami zlanych w jedno ciało, mogiły cerkwi i teremów podnosiły się jak na cmentarzysku groby. Gdziekolwiek tylko pobożne ręce stary gmach rozwalony podniosły, umalowały i ozłociły.

Lecz nowe życie na rozległych ruinach było zaledwie pobożną strażą nad tym

zbirowiskiem grobów, których tu więcej się spotykało na każdym kroku niż żywych ludzi. Ziemia, drzewa, wody wesoło znowu przędły życia swego dzieje, człowiek nie potrafił przywrócić tego, co tu niegdyś istniało — potęgę i siły. Ludzie nowi wyglądali jak mrowisko na szerokim polu

pustkowie; wesołość natury ze smutkiem osieroconych resztek rozpedzonego narodu była w sprzeczności, obrazowi temu nadającej cechę własną.

Ruiny ledwie widoczne panowały jeszcze nad żywotem i w nich go więcej było niż w tym,

co się tu poruszało leniwo i smutnie. Co krok obok chaty ubogiej spotykało się kupę rumowisk, której wieki pożyć nie mogły, stojącą jak pytanie, jak rozwalony grób bez imienia. Tylko w ustach ludu do każdej z tych mogił przywiązana była baśń, pieśń, legenda, jedna strofa rozerwanej i zaginionej epepei. Na tym zgłiszczu jednak i pieśń nie śmiała się rozlegać głośno przez

poszanowanie przeszłości, i ludzie stąpali cicho, i podanie szeptało półgłosem u wieczornego ognia, aby widm śpiących nie zbudzić.

Było to jakby jedno wielkie grobowisko. Dwie tylko prastare świątynie na nowo wyrosły z

gruzów i świątecznymi ubrały się szatami — Zofia i Michał. W pierwszej z nich świeciły jeszcze szklane obrazy, których lata skruszyć nie mogły; na drugim błyszczał złocisty dach, zwiastujący, że pod nim spoczywały zwłoki świętej męczennicy, Barbary. Całe życie przeszłości w tych dwu jeszcze świątyniach biło tętnem dawnym po cichu. Dokoła gęste drzewa i zarośla z dala widziane stanowiły jakby morze zieleni, gdzieniegdzie szarym dachem i czarnym upstrzone kominem,

żurawiem studni, wierzchem krzyżyka jakiejś kaplicy lub domu modlitwy.

Szeroko U stóp wzgórza w padole nad rzeką rozciągały się rozpięchłe domy, objęte wałem i drewnianymi tynami, które mur obronny zastępowały. Ponad tymi kurtynami bastiony drewniane także z daszkami śpiczastymi występowały, jak strażę czujne w dał spoglądając.

We wnętrzu grodu życie płynęło cicho i jak w starcu krew zgęśla, powolnie; czuć było jakby dwa prądy jego, wzajem unikające starcia i spotkania, wchodzące w ziemię, wytryskujące spod niej, przeciągające istnienie uparte walką upartą.

Wysłuchawszy się w rannych dzwonów modlitwę, ucho rozróżnić mogło dwoma językami z

dwóch krańców przeciwnych świata nawoływania do Boga. Inaczej tętniały Święta Zofia i Michał, różnie od nich bernardyńskie dzwony na górze, dominikańskie w rynku, jezuickie na pochyłości ku rzece. W pół góry stało też drewniane zamczysko, smętne, szare, opuszczone, jakby w swój żywot długi wierzyć nie śmiało, około którego roił się lud, rycerski na straży.

Dwie czy trzy szersze ulice a raczej gościńce przerywające miasto, cała sieć wąskich i

krętych zaułków, parkanów i płotów, rzadki dwór rozleglejszy stanowiły miasto całe, w którym drzewa ukrywały ludzi, a domostwa wyglądały jak więzienia. Życie i ruch nie w środku tego grodu, ale na kresach rozbudzało się nad rzeką, gdzie i głosy ludzkie brzmiały śmieiej, i twarze odkrywały się jawniej, i śmiech czasem przerwał ciszę cmentarną, której szum rzeki wtórował pacierzem swoim.

Pieczerski Monaster naówczas jeszcze dzieliło od miasta pustkowie, ale bez niego Kijów nie miałby życia i był z nim związany nieustannym żywych ludzi prądem, sznurem pielgrzymów,

nieustającą modlitwą. Z zamarłego grodu tu zbiegły i pościekały wszystkie prastarych dziejów najdroższe wieńce, korony, klejnoty i relikwie, a ziemia otworzyła im macierzyńskie łono swoje, aby w nim przetrwały bezpiecznie burze i boje, zniszczenia i zawieje. Od lat tysiąca jedna, nieprzerwana mrucała pod sklepieniami wykowanymi pobożną dłonią modlitwa i ona jak krew

ciału dawała życie temu sercu bijącemu w zastygłych zwłokach.

Dla zbliżającego się wówczas podróżnego to miasto, którego imię i sława były większe niż

ono samo, nie oznajmywało się blaskiem żadnym. Potrzeba się było domyślać grodu, który zdawał się chcieć kryć w płaszczu zieleni, w fałdach wzgórzów, za ścianami brzegów wysokich. Ledwie

dwa czy trzy złote krzyże i lśniący dach Świętej Barbary wzbijały się wyżej nieco.

Ranek był wiosenny, piękny, spokojny, pogodny, cały jeszcze zwilżony pocałunkami nocy, cały owiany jak marzeniem mgłami rozpowijającego się poranka. U góry ledwie zaczynał przeglądać błękit bladawy północnego nieba, gdy wkoło niżej osłaniały go, jak opony, różnobarwne, leciuchne obłoczki, spoza których słońce czasem strzelało już pasem czystego światła.

Na gościńcach wiodących ku miastu codziennym strumieniem życie płynąć rozpoczynało, szły skrzypiące maże i wozy, sunęli się piesi, a spod drzew miejskich trzody krów. wypędzane na paszę powolnie kroczyły z podniesionymi głowami, i pastusze odzywały się trąbki, i psów naszczekiwanie niespokojne.

Gościńcem jechał powoli znajomy nam Płaza-Wierzbiewa, z głową na piersi spuszczoną, z czołem pofałdowanym, smutny, chociaż się zbliżał do celu, a nie śpieszący wcale, aby się dobić do niego.

Wszystkie troski, jakie wioził z sobą w sakwach podróżnych, ciążyły mu teraz więcej jeszcze. Z dala w myślach trudności się rozwiązywały łatwiej; tu rzeczywistość stawiała naprzeciw fantazji, śmiejąc się z niej szydersko. Płaza miał tyle przed sobą zawitych, niebezpiecznych zagadnień, a do rozwiązania ich jedną swą starą, zmęczoną głowę, dwoje rąk osłabłych i serce, które teraz na nowo bić zacząwszy, niepokoiło go ruchy swoimi.

Westchnął Płaza i przeżegnał się. Pomyślał, że przecież Bóg tam w pomoc przychodzi, gdzie nie ma nikogo.

Kijów był mu dawniej znanym, chociaż w nim po kozaczemu obracał się w kółku kozaczym

i nie wychodził za nie. Znał też dobrze u brzegu rzeki obszerną, ale na pozór opuszczoną i ubogą gospodę Niżowców, utrzymywaną przez starą Marfę, którą nazywano niemą. Była to prawa

kozacza niewiasta, silna, śmiała, w obejściu się zuchwała i szorstka, przebiegła, odgadująca ludzi, która zmuszona tylko, kilku wyrazami zbywała swoich gości. Słów obawiała się jak zdrajców, a sama milcząc, ze wzgardą też spoglądała na tych, co sypali nimi bez rozwagi i miary. Dość było wielomówstwa dla niej, aby wiarę straciła w człowieka. Najczęściej nawet, gdy zbyt się kto przed nią rozgadał, porzucała go, nie dosłuchawszy do końca.

Gospoda u Marfy zbudowaną była na wzniosłym brzegu rzeki, tak aby ona jej na wiosnę

zalać nie mogła, chociaż trafiło się, że nagle wezbrany Dniepr zajrzał do niej na krótko. Naprzeciw rodzaj przystani zawsze prawie pełen był wszelkiego rodzaju bark, czółen, dębów, czajek, a wiele z nich, porzucone od lat dawnych, rozpadały się i gniły. Stroma ścieżyna wydeptana od wieków, poobrywana deszczami, wiodła do ogromnej szopy wklęsłej już na pół w ziemię, pogarbionej, popodpieranej i często na pustkę wyglądającej, bo z kilku wrót jedne się nie zamykały nigdy, drugie nie mogły otworzyć.

W tej ciemnej budzie, której wewnątrz przedzielały płoty i ściany z desek, mieściły się wszelkiego rodzaju składy drzewa, siana, słomy, zboża. Była ona oborą razem, stajnią, a wśród zakamarków poplątanych, między którymi tylko obeznany z nimi mógł się pokierować człowiek, kryły się i izby podróżnych, to jest szynkownia. Tu na nie wygasającym nigdy kominie, ulepionym niezgrabnie, bezprzestannie coś się warzyło w sporym kociołku na żelaznych prętach zawieszonym.

Balasy niezgrabne dzieliły obszerną izbę tę od zaścianka, w którym jedna na drugich stały beczki, a ponad nimi na sznurach wisiały rzędami obwarzanki, cebule, czosnek i poschłe jakieś trawy a ziela.

Najjaśniejszych dni w izbie tej zawsze mrok panował, światło wkradało się do niej przez kilka małych okien na pół zaszklonych, wpół łuczywem cienko wystruganym założonych. Izba ta miała też swe właściwe powietrze, które wchodzących owiewało, złożone z resztek dymu błakających się zawsze pod stropem nieszczelnym, z wyziewów kociołka, beczek wódki, dziegciu, smoły i suszonej ryby. Komin tylko i nigdy nie zamykające się drzwi odnawiały tu ciężkie powietrze, w którym Marfa żyć była nawykła.

Ciężkie, szerokie ławy, które i za siedzenia, i za łoża nocą służyć musiały, biegły w okrąg pod ścianami, a dwa stoły w ziemię wbite, zastawione zawsze blaszankami i miskami, wszystkim były sprzętem. U drzwi tylko dwa ogromne wiadra i dwa czerpaki drewniane dopełniały

wyposażenia. Tokowisko nigdy nie umiatane, zawsze prawie wilgotne, pogarbione, niekiedy kałużami pozalewane, mieściło na sobie szczątki tego wszystkiego, co się tu spożywało, nosiło i rozlewało, nie wyjmując krwi często w nie wsiąkającej.

Płaza, postawiwszy pod dachem konia, z jakąś odrazą wsunął się do wnętrza tej ciemnicy, która mu się stokroć obrzydliwszą wydawała niż dawniej, gdy uczęszczał do niej, tak jak w ogóle cały teraz świat ten kozaczy napelniał go wstrętem i trwogą. Czuł w nim nieprzyjaciela, choć długo był i liczył się jeszcze pobratymem. Zbliżenie do rodzimego żywiołu dało mu nagle poczuć, że ten musiał mu być obcym i wrogim.

Każdy, ktokolwiek w ciągu życia zmuszonym był obracać się w różnych sferach i warstwach i zrastać się niejako z nimi, doświadczył tego na sobie, że w warunkach ducha

rozmaitych uczuwa się dla nich z kolei niekiedy współczucie, to znowu nieznośną odrazę. Płaza mógł w innym wypadku może uczuć się z kozactwem do pewnej jedności ducha, teraz go ono odpychało.

Zbliżając się ku progowi, gdy z dala ujrzał ogromną postać Marfy, w krasnej chustce zawiązanej na głowie rozczochranej, z rękami obnażonymi po łokcie, z których jedna była warzęchwią zbrojna, wzdrygnął się cały. W izbie oprócz gospodyni, która tu widocznie królowała i gości uważała za poddanych, znajdowało się kilku Kozaków, ale cicho się zachowujących. Jeden spał, głowę złożywszy na rękach, a ręce na stole, a wypróżniony kubek stał przed nim; drugi nucił coś, siedząc na ławie i przez małe okienko wyglądając ku Dnieprowi; trzeci rozmawiał z Marfą. Dwóch cicho szeptało coś, do kąta poszedłszy.

Kozactwo to uderzało wielką różnaitością typów twarzy i figury. Płaza, ze drzwi biegając oczyma po nich, usiłował rozpoznać, czy między nimi znajdzie znajomych. Długi pobyt na Niżu liczbę ich niesłychanie powiększył.

W rozmawiającym z Marfą poznał zaraz Stareńkę, który ważne zajmował miejsce w radzie i w gromadzie, bo go miano za „znachora”; w siedzącym przy oknie — przyjaciela swojego

Lackowicza (tak mu się on mianował), zbiega z Polski jak on sam, z którym żył od dawna jak z bratem. Reszcie już nie bardzo się przypatrywał, bo ci mu starczyli.

Usłyszawszy chód, i Marfa, i Stareńko zwrócili oczy i Kozak krzyknął poznawszy Płazę, którego w Koszu nazywano Jeremą.

— A, dobrze robisz, że przybywasz — zawołał, wprost idąc na niego — my już oczy wypatrzyli!

— Nie chcieli mnie odprawić — wyjąkał Płaza — dopominałem się ciągle, dopiero teraz list dano. Jechałem na złamanie karku.

Marfa słuchała też — dla niej tu nie było tajemnic.

— Ja umyślnie naprzeciw wyjechałem — odezwał się Stareńko — pilno nam było. Możesz sobie tu spocząć u Marfy, a ja muszę z listami zaraz na Sicz. Dobrze my domyślali się, że tobie na Kijów będzie składniej.

Posłyszawszy rozmowę, Lackowicz poznał Płazę i prędko ku niemu pośpieszył. Podali

sobie ręce. Mężczyzna był nadzwyczaj urodziwy, twarzy tak pięknej a tak niewieściego wdzięku, że go stare kozactwo Carycą przezywało. Chłop był osobliwego charakteru, gwałtowny a dobry, potrzebujący koniecznie pobratyma i serca, a razem zazdrośny i podejrzliwy; w boju jak lew, w spoczynku rozmarzony i śpiewający.

Płaza wiedział, że to było dziecko niegdyś krakowskiego bruku, które niepowodzenie

wygnało z rozpaczą w sercu aż tutaj. Wykałano mu oczy w Krakowie jego pochodzeniem ulicznym, potem, gdy kleryka suknię wdział, mieszczañstwem, i niecierpliwy młodzian zbiegł na Niż. Tu mu na przemiany bywało i bardzo dobrze, czasu wycieczek na tatarskie wioski koczujące, to

nieznośnie, gdy w koszu spoczywając nędzne, powszednie spełniał posługi. Pisarz go brał czasem do pomocy. Kozacy starsi obchodzili się z nim jak z dziewczyną lub dzieckiem, chociaż znali jego męstwo. Kilku się w nim tak kochało, jak owi rzymscy Cezarowie w swych Antinousach.

Lackowicz do Płazy był przywiązany namiętnie jak do ojca, bo z nim jednym o przeszłości, o Krakowie mówić mógł i utyskiwać, chociaż powracać tam się wzdragał.

Zobaczywszy starego druha, Lackowicz mu się z okrzykiem rzucił na szyję, ale Stareńko nie dał czasu się witać i rozczulać.

— Słuchaj, Jerema — rzekł pasa poprawując — dawaj *bumahy*, ja z nimi tej godziny jechać muszę.

— A ja? — zapytał Płaza. Zamyślił Się Kozak.

— Zostań tu — rzekł — mnie się widzi, że trzeba będzie znowu posyłać do Warszawy.

Nie dokończył jeszcze, gdy trzech Kozaków, ludzi ogromnego wzrostu i dumnej postawy,

wtargnęli do izby z takimi ruchy i obej- ściem się, jakby tu rozkazywać przychodzili. Wszyscy na widok ich przybrali oblicza pokorniejsze.

Ogromnym głosem jeden z nich, wkoło się ozierając, huknął:

— Sława Bohu!

Odpowiedziano mu jednym jakby głosem. Stareńko się zbliżył do przybyłych.

— A ot — rzekł — Jerema, ja już chciałem listy mu wziąć i jechać do was.

— Listy? — podchwycił drugi. — Anu! Czas było, aby odpisali. Dawaj je!

Płaza już chustę dobywał.

— A gdzie ten diaczek, pisarz niezdarą, pewnie śpi pijany! — huknął jeden i oglądając się postrzegł głowę na stole leżącą, w którą pięścią uderzył, budząc diaczka.

Ten przerażony oczy przecierał.

Trzej, widocznie starszyzna, obejrżeli się po gospodzie; jeden z nich popatrzył na Marfę, która mu na drzwi małe wskazała.

Wszyscy oni trzej, diaczka i Płazę prowadząc za sobą, przez niskie te wnijsie, którego drzwi trudno było otworzyć wcisnęli się do alkierza Marfy. Spory był, ciemny jak sama gospoda, a czuć się w nim dawała przejmująca woń kapusty, której kadź stała w kącie. Była to razem spiżarnia i sypialnia gospodyni. Na półkach faszeczki, garnki, flaszki, po kątach beczki i nasypki, na deskach chleb i obwarzanki. Nieład i brud były odrażające.

Na niskiej ławeczce naprzeciw okienka, w grubej koszulinie, bosa, z włosami dawno nie czesanymi, blada, ale w oczach mająca dziki jakiś rozum zwierzęcia, siedziała dziewczynka lat może dwunastu i czesała kłaki. Na widok wchodzących rzuciła się z siedzenia ku drzwiom i znikła.

Kozacy podeszli ku oknu, kazano diaczkowi, ledwie rozbudzonemu i jeszcze może niezupełnie otrzeźwionemu, listy czytać. Stanął z nimi pod oknem, wlepił w nie oczy blachmalem zasze i naprzód sam je starał się wydecyfrować.

Płaza przystał dalej ku progowi. Trzej panowie starszyzna naradzali się po cichu.

Jeden z nich począł potem pytania rzucać Płazie. Z głóśni tonu widać było taką pewność siebie, jakby do odpowiedzi z Warszawy niezbyt wielką przywiązywano wagę.

Diaczek na koniec jąkać począł owo pismo od kanclerza. Słuchano go z uwagą, uśmiechając się niekiedy i spoglądając po sobie.

Gdy pisarz dokończył, jeden ze starszyzny kazał mu czytać raz drugi. Zbliżyli się, musiał powoli słowo im po słowie powtarzać i każdy frazes po kilka razy. Starali się tak wyrozumieć to dyplomatyczne pisanie, jakby pod nim chytrej się dwuznaczności obawiali. Potrząsali głowami, uśmiechali się. W końcu jeden pismo wziął z rąk diaczka i schował go za nadrę, a chwiejącemu się na nogach pisarzowi drzwi pokazał, z czego on skwapliwie skorzystał.

Płaza stał jeszcze. Zaczęli go znowu o Warszawę pytać; a głównie o królewskie zbrojenie się na wojnę, przygotowanie do niej czynione i nadzieje, jakie tam miano, że się na Turka siła zbierze

potężna.

Płaza nie potrzebował nic taić.

— Szlachta — rzekł — wojny nie życzy, opierać się jej będzie, ale król ze swymi przyjaciółmi chce ją mimo sejmu i narodu koniecznie wypowiedzieć. Do ostatniego grosza wydał na działa i na znaczne zaciągi. W Warszawie bawi poseł wenecki i Włosi też na Turka mu pieniędzmi i okrętami chcą posiłkować. Obiecuje się też car moskiewski, z którym właśnie o granice teraz się układają, a król gotów, słyszę, Trubczesk odstąpić, aby sobie cara zjednać do sojuszu.

Płaza mówił im tak dosyć długo; słuchali z uwagą.

— Król rozumny — rzekł jeden — ale czy on na swoim postawi? Kto to wie? Tam co szlachcic to król sobie, nikogo słuchać nie chce. Z nami jednak musi Władysław kończyć albo tak, lub inaczej, bo my długo czekać nie możemy. Posyłają do nas cesarscy, obiecując dobrze zapłacić.

Z carem moskiewskim też my możemy się porozumieć. Są i inni, co by nas pociągnąć chcieli. Chce nasz pan a król z sobą Kozaków mieć, musi nie tylko buławę i chorągwie, i bębny złożone posyłać, ale żołd dobry zapewnić i zapłacić co z góry, aby potem my jak jego kwarciani nie potrzebowali się o swój własny grosz dobijać i głodem mrzeć.

— My królowi nie tylko na Turka — dodał drugi — ale gotowi i na szlachtę pomagać.

Niechaj tylko skinie! Pójdziemy my ich poskromić, że myszych dziur szukać będą, i zrobimy mu porządek w domu.

Rozśmiali się wszyscy, a trzeci dodał:

— Mało szlachty, jemu i pankom karków nagiąć potrzeba, bo i ci sobie królują, a on im tylko lalką. Niechaj by my na sejm pojechali! Byłby ład dopiero!

— Ale cóż — rzekł drugi — w listach kanclerza ciągle łaska królewska dla wojska króla jegomości zaporozskiego... łaska. My to znamy tę łaskę, ale by ją czas na drobny pieniądź wymienić.

Spytali potem o ożenie królewskie, bo i o tym wiedzieli, że królowa Francuzka miała wielkie z sobą przywieźć skarby, a Jerema potwierdził, iż powszechnie twierdzono w istocie, jakoby posag miała znaczny.

— W listach znowu tylko łaska stoi króla jegomości — dodał jeden — a nam trzeba żołdu i

bezpieczeństwa, iż zostanie wypłacony. Broni musimy kupić, czajki budować, ludzi ściągać, a nasze gródki poumacniać, bo Turek zaczepiony wraz z Tatarami na nas spadnie.

— A co z tych listów — niechętnie rzekł trzeci — my jemu czołem bijemy, on nam łaskę swoją posyła i z tego ślinienia nic... ino czas marnie uchodzi.

Wszczęli tedy naradę, nie pozbywając się Płazy, który stał, a w końcu wszyscy się na to zgodzili, że im trzeba jechać do kosza, radę zwołać, postanowić coś, listy odprawić, warunki w nich jasno opisać, a o dokończenie układów naglić, aby wiedzieć, czy cesarskich posłów z niczym mogą odprawić. Cesarzowi niemieckiemu, choć wiele obiecywał, wierzyć jakoś nie chcieli. Władysław z tym swym postanowieniem poskromienia panów bardzo im się podobał.

— A cóż ja mam począć z sobą? — zapytał Płaza w końcu. — Do kurenia odpocząwszy, czy co?

Lasota miał już cały swój plan osnuty, dla którego chciał do Siczy się dostać, ale starszyzna naradzała się cicho, a najpoważniejszy z nich, Netreba, rzekł:

— Po co tobie darmo na Sicz i z Siczy znowu nazad? My musimy ostatnie listy wyprawić, ty drogi znasz, ludzi widziałeś. Na co nam innego szukać. Długo nie zabawisz, musimy cię wyprawić znowu. Zostań tu, czekaj. Gdy listy będą gotowe, przywiezą ci je tutaj, wypoczniesz tymczasem.

Płaza coś zamruczał, chcąc się wypraszać.' Netreba go po ramieniu uderzył.

— Tymczasem twoje miejsce tu — rzekł stanowczo. — Krzywdy nie będziesz miał. Marfa lepiej warzy i piecze niż nasz w kureniu, odpasiesz się u niej na słoninie i mięsie.

I nie słuchając go, wyszli nazad do gospody, a on wywlókł się za nimi. Nie obejrzeli się już nawet na niego, sobą zajęci.

W izbie na wychodzącego z posępną twarzą oczekiwał już Lackowicz-Caryca i

pochwyciwszy go pod rękę,' wyciągnął z sobą na podwórko od strony rzeki. Krzaki tylko wiśniowe dzikie, poczepiane na stoku urwiska, oddzielały ich od majestatycznego widoku Dniepru, na którym właśnie po spłynięciu lodów ruch się największy objawiał.

Lackowiczowi pilno było pytać, ale Płazie odpowiadać trudno, taki jakiś ciężar czuł na sercu; a nie spadł mu on z niego, aż temu druhowi, którego był pewien, wypowiadał się ze

wszystkich przygód swoich. Przyznał mu się i do tego, że córkę znalazł, i że już mu całe życie na Siczy nie smakowało, które raz na zawsze porzucić by gotów, byle z Chortycy dobył swój skarb i mógł go uwieźć z sobą.

O skarbie tym Lackowicz dawniej już wiedział, ale teraz posłyszawszy, zaczął bardzo głową potrząsać.

— A oni mnie — dodał Płaza w końcu — nawet na Sicz jechać teraz nie dopuszczają, bo zaraz nazad z listami mają odsyłać. Nie gniewałbym się ja za to, gdybym moją krwawicę tylko mógł odzyskać.

Rozmawiając tak przechadzali się długo nad brzegiem, aż Płazie głód dokuczać zaczął i musiał do Marfy zawrócić, a Lackowicz go nie odstępował. Biedny ten wygnaniec z upragnieniem słuchał każdego słowa, które się z ust Płazy wyrwało o Warszawie, o dworze, o powszednim życiu, za którym tęsknił.

— A, głupim był — wyjąkał w końcu na stole się rozpierając Caryca — lepiej mi tam żebrakiem było zostać niż tu atamanem! Ludzie są pobratymy, u wielu z nich serca dosyć, ano tu ani lud, ani serca nie nasze.

Płaza tymczasem rozmyślał. Siedzieli tak do wieczora. Kozak rozповідаł nawzajem o Kijowie, o wojewodzie, o tym, co na zamku się działo i jak Kozacy nieufnym okiem patrzeli na tutejsze urzędy i starszyznę.

— Króla słuchać — rzekł — pod jego rozkazy pójść prędzej by się zgodzili, a szlachcie podlegać i tej Rzeczypospolitej szlacheckiej, ani im o tym gadać. Niewolą im to pachnie.

Wojewoda, starosta, gdy z Kozakami do czynienia mają, jak swoich chłopów ich uważają i pomiatają nimi.

Nazajutrz po nocy niespokojnej Płaza wstał chmurniejszy jeszcze niż wczora. Lackowicz już przy nim był.

— Wiesz, co mnienocką do głowy przyszło? — odezwał się do niego Płaza. — Gdybyś ty mi druhem był, tobyś za mnie się postarał na Chortycę jechać. Ciebie oni puszcza, Carycy wszyscy słuchają. Tam byś mojej skrzynki dobył spod kamienia, jeśli jej już kto nie zwietrzył i nie wypatroszył, i przywiózłbyś do mnie.

Lackowicz ruszył ramionami.

— Jam się do tego nie zdał — rzekł — a skarbu twego szukać ty tylko sam możesz; daj mi pokój.

— Ja w tobie wiarę mam, miejsce rozpowiem, trafisz po omacku! — zawołał Płaza, ręce ku niemu wyciągając.

Zadumał się Caryca.

— Żebym za to choć z tobą razem powracać mógł! — westchnął.

— Spróbuj się prosić — odparł Płaza — mnie towarzysz potrzebny.

Przez cały dzień potem naradzali się i spierali. Płaza nalegał, zaklinał, prosił; Lackowicz się ociągał, obawiał się albo nic, lub źle zrobić.

— Tak czy inaczej, toć przepadnie krwawica — mruczał Płaza — popróbuj.

Lackowiczowi nad wszystko uśmiechało się wyzwolenie. Nigdy on nie pokazywał po sobie,

jak mu tu życie ciężyło, teraz się ono stało nieznośnym. Trzeciego czy czwartego dnia Lackowicz się wręście zgodził próbować, ale nie ręczył za skutek.

— Ja na Sicz i do Chortycy pojedę — rzekł — a nuż tu tobie listy przyjdą z przykazem jechać? Ty będziesz musiał przez...

— Ano, powrócę po ciebie — dodał Płaza — to *vadium* masz w ręku.

Caryca się skrzywił, ale podumawszy zmilczał. Tego dnia począł się bardzo pośpiesznie w drogę wybierać. Ów zakopany skarb był ukryty na wyspie w miejscu pustym prawda, ale do wyszukania łatwym. Ogromny złom skały je odznaczał, a Płaza na tej stronie, gdzie się podkopał, krzyżyk na kamieniu wyciosał.

Pozostał tedy sam w tej smutnej Marfy gospodzie, a ona do niego ani on do niej przystać nie mógł. Baba w nim wietrzyła Lacha, a tego rodu cierpieć nie mogła, ledwie czasem raczyła

przemówić do niego słowo. Płaza, po całych dniach nie mając co robić, wdziawszy odzienie, po którym by niełatwo było poznać, kim był, wałęsał się po Kijowie, zachodził do kościołów i do cerkwi, przysłuchiwał i przypatrywał życiu, które tu dwoma prądami przeciwnymi płynęło,

unikając starcia z sobą.

Pomiędzy mieszczanstwem, które jawnie w polskich kontuszach i żupanach występowało, było tak samo dwa obozy jak w ulicy, jak w służbie bożej. Rzadko się znalazł kto, co by od archimandryty poszedł do przeora dominikanów, który chlubił się tym, że Rusinem był i po rusku mówił dobrze. Z zamku, w którym życia było niewiele, do monasteru na Pieczerskie niewiele pielgrzymowało. Spoglądano na siebie z pewną nieufnością i obawą, jakby się wzajem śledzono.

Łatwo z tego było się domyśleć, że tu więcej się umysły zwracały do przeszłości, niż w teraźniejszości rozmawiały. Gruzy i ruiny świadczyły o wielkości, nowe kleci starczyły ledwie za obozowisko.

Nieraz u szczątków Złotych Wrót, w których już ani wrót, ani złota nie było, stawał mnich czarno odziany, który Nestora czytał i dumał, zatapiając się we wspomnieniach. Zwracał się potem w stronę zamku, gdzie mieszkał pan wojewoda maleńki, i wzdychał. Złotych teremów wielkich kniaziów nie było ani śladu, szare parkany drewniane opasywały to wieków pobożowisko. Płaza więcej to wszystko odgadywał, czuł, niż czytał jasno. Nieraz jako Kozak podsłuchał żalów, a gorycz ich trwogą go przejęła.

Powrotu Lackowicza żadna rachuba dać nie dozwalała odgadnąć. Konno, czółnem, pieszo i wedle okoliczności sprzyjających lub przeciwnych musiał się przenosić z miejsca na miejsce. Dać o sobie znać trudno i niebezpiecznie było.

Co dzień prawie przybywali Kozacy nowi i odjeżdżali nazad; spytać ich o Carycę nie śmiał. Jeden z nich przypadkiem o nim wspomniał, że go widział, ale w miejscu dosyć od Chortycy odległym i z rybakami na łowach.

Listów też, które mu przysłać miano, słyhać nie było. Pisarz dawno stąd do kosza powrócił.

Nudziło się Płazie okrutnie; siadywał więc nad brzegiem rzeki i na barki a tratwy patrząc, męczył się myślami. Bietka mu jego na oczach stała, a niepokój o nią ogarniał.

Dnia jednego rano spał jeszcze na sianie w szopie, gdy nad sobą usłyszał głosy i wołanie:

— Jerema!

W tych, co go tu wyszukali, poznał dwu ze starszyny pułkowników i Netrebę. Porwał się więc z posłania.

— Wstawaj — zawołał Netreba — pisma ci przywieźliśmy, a jeśli nie dziś, jutro w drogę musisz!

Wzięli go z sobą pilno do tego samego alkierza, z którego znowu wypłoszyli chude dziewczę, z pierzem w garści tym razem.

— Listy masz — rzekł Netreba — a jest ich nawet więcej niż pierwszym razem, bo i do innych panów z naleganiem pisać musimy. Niechaj raz koniec będzie. Regestra są, wiele nas tysięcy stanąć może. Mówcie im ustnie a powtarzajcie, że nam żołądu i pewności potrzeba, ile nas mieć chcą gotowych. Zechcą kogo tu swojego przysłać, aby się przekonać, że my pod chorągwiami stoimy, nie zbronno. Pieniędzy przysłać muszą. Płacą obcym zaciężnym i drożej ich niż my kosztować będą, a bez nas się nie obejdą. My na zawołanie będziemy. Król skinie, skoczym na Turka i potargamy go tak i na lądzie, i na morzu, w jego galerach, że się rozsierzdzi musi... ale nam też pewność potrzebna, że gdy pohańcy na nas uderzą, sami nie zostaniemy. Król swoje wojska wysłać musi, a póki my o nich wiedzieć nie będziemy, nie ruszymy się.

Płaza musiał cierpliwie słuchać nauki, jaką mu dawano, a że prości ludzie nigdy pewni nie są, iż się jasno wypowiedzieli z myślą swoją, powtarzano mu ją nieskończoną liczbę razy, jak gdyby trudną do zrozumienia była. Każdy z osobna na swój sposób tę samą piosnkę mu kładł do ucha. Jerema potakiwał, oni wznawiali jeszcze, żeby kanclerzowi to wraził, że pieniądze potrzebują, że umowa stanąć musi o liczbę i że wojsko trzeba wysłać na granicę zawczasu.

Pisma w chusty tureckie poobwijane wedle obyczaju, zaszyte w płótno oddano wreście posłowi, który ledwie się mógł do dnia następnego wyprosić z wyjazdem. Nie spodziewał się już Lackowicza-Carycy. Podszepnął wprawdzie, że rad by towarzysza do podróży miał, ale mu odparto, że ją już raz sam odbył, a nic mu się nie stało i mniej oczów zwracał na siebie. Tak więc żadnej nie mając wiadomości o Carycy ani jemu o sobie dać jej nie mogąc, do dnia wyjechać musiał.

ROZDZIAŁ II

Królowa w Ujazdowie, chociaż miała wiele własnych trosk i niepokojów w pożyciu i stosunkach z mężem, a oprócz tego dwór swój rozdwojony na obozy nieprzyjazne godzić musiała i jednać, aby z tych zwad nie korzystali jej nieprzyjaciele, okazywała też wielkie zajęcie losem Bietki i ciągle o nią dopytywała. Brakło jej usłużnego dziewczęcia.

Platenberg koniuszy, który zawsze udawał oddanego królowej, a był posługaczem Paca i szpiegiem królewskim, nazajutrz dopiero, z dość kwaśnym obliczem, przyszedł oznajmić

Najjaśniejszej Pani, że pono Litwini dognali uwiezione dziewczę i odbić je mieli. O nazwisku tego, który je porwał, koniuszy niby nie wiedział. Dodał, że sługa księcia Albrechta Radziwiłła, który w pogoń się puścił za porwaną, był podobno ranny, a nawet i Bietkę w tej walce kula drasnąć miała.

Królowa, usłyszawszy to, załamała ręce, co widząc Platenberg pokłonił się i zapewnił ją, że w miejsce Bietki, gdyby tylko rozkazała, postara się jej o dziewczę nie mniej roztropne, usłużne i umiejące po francusku.

Maria Ludwika spojrzała na niego nieco zdumiona i odparła z niechęcią:

— Przywiązałam się do niej, a spodziewam odzyskać, nie chcę żadnej innej.

Platenberg skłonił się raz jeszcze i na tym się skończyło. Próba się nie powiodła;

przygotowano już bowiem panienkę, którą panna Amanda bardzo sobie życzyła widzieć przy królowej, bo przez nią o wszystkim, co się tu działo, byłaby w czas zawiadomiona.

O losie Bietki oczekiwano w Ujazdowie wiadomości co chwila, a przywiózł je dopiero pan

des Essarts po południu, przybywszy z nimi umyślnie. Uspokoił on królowę, że Bietka była bardzo lekko ranna, gdyż kula prześliznęła się tylko po ramionach, Litwin Nietyksza, ciężko porąbany i postrzelany, mógł jednak uzdrowieć. Gwałtownika nie ujęto, ale wiedzano dowodnie, że nim był

Nesteracki.

Królowa chciała natychmiast Bietkę kazać przywieźć do Ujazdowa, aby ją sama mogła

pielęgnować, ale Platenberg doniósł, że dziewczęcia na zamku nie było, bo je ciwunowa

Mingajłowa zabrała do pałacu Kazanowskich, gdzie o niej macierzyńskie mieć obiecywano

staranie. Król, który był uwiadomiony o całym wypadku, chociaż w innych razach, gdzie szło o kobiety, przeciwko podobnym gwałtom z wielką występował surowością, tym razem, skutkiem

podszepców Paca i Platenberga, okazywał się obojętnym. Przyczyniała się do tego okoliczność, iż królowa żywo się o krzywdę swej sługi upominała.

Pani des Essarts odebrała natychmiast polecenie udania się do pałacu Kazanowskich, aby z

ust Bietki samej dowiedziała się o szczegółach wypadku, przekonała się, czy rana nie była

niebezpieczną, a zapewniła dziewczę, że królowa nad losem jej czuwać będzie. Wszystko to na

dworze króla i królowej służyło za wątek do nieskończonych rozpraw i plotek.

Posłana przez królowę des Essarts znalazła Bietkę wprawdzie zmęczoną, przestraszoną, rozgorączkowaną jeszcze, ale nie zrażoną od usług dla królowej i nie zagrożoną niczym oprócz łóżka przez tygodni parę. Rana, którą Nesteracki w rozpaczy, gdy mu odbierano Bietkę, zadał jej postrzałem z pistoletu, chociaż mierzył w piersi, ramiona tylko drasnęła i nie była wcale niebezpieczną. Doktor, śmiejąc się, mówił, że blizna tylko po niej na całe życie jako wspomnienie może pozostać.

Bietka opowiedziała pani des Essarts z żywością wielką, jak zręcznie rzucono się na nią, gdy przechodziła około Bernardynów, usta jej zawiązano, aby krzyknąć nie mogła, do wozu też stojącego, wniesiono w mgnieniu oka i czwałem uwieziono z miasta o zmierzchu. Sam Benedyck Nesteracki z pistoletem nabitym w rękę, na drążku woza siedząc, przy związanej ofierze swej na straży jechał ciągle ją uspokajając. Gdy później pogoń się ukazała, on i jego ludzie naprzód uciekać się starali, potem przygotowali do rozpaczliwej obrony, a Nesteracki, palce założywszy, poprzysiągł, że jej żywej nie wypuści, a raczej sobie i jej życie odbierze, niżby miał za nią ginąć na szubienicy.

Nie dano mu tego dokonać, chociaż na ostatku do Bietki wystrzelił, gdy ich zewsząd otoczono, a Nietyksza go za nogi już z wozu ciągnął. Wyrwał się mu potem z rąk, ludzie Nesterackiego poranili ciężko Litwina, ale pobici na koniec, uciekać musieli w las.

Bietka, opowiadając, to płakała, to pięści zaciskała i jeszcze przyjść do siebie nie mogła.

Prosiła pani des Essarts, aby królowej podziękowała za jej troskliwość i opiekę, obiecując, gdy rana się zagoi, powrócić na służbę, przynajmniej dopóki by ojciec nie powrócił, a ona (szepnęła to na ucho) nie pomściła się na tych, którzy Nesterackiemu byli pomocą. Według niej wszystko to sprawą było Amandy.

Nietyksza — jak mówiło dziewczę — postrzelony miał być w nogę i porąbany szablami, lecz życiu jego nic nie groziło. Bietka, gdyby nie własna jej rana, gotowa była sama iść czuwać nad swoim wybawcą. Wszyscy naturalnie wnosili z tego, iż się oni w końcu pobrać powinni.

Za Nesterackim zbiegłym nie gonił nikt, nie wydano nawet rozkazów ścigania go i chwywania, chociaż porwanie się na sługę królowej, należąca do dworu i zamku, winę jego tym cięższą czyniło. Pac i przyjaciele Amandy usiłowali Benedyka tym tłumaczyć, iż Bietka zalotnością swoją, a może nawet jakimi obietnicami uwodziła Nesterackiego, a potem go dla młodszego i przystojniejszego Nietykszy zdradziła.

Radziwiłłowskiego dworzanina towarzysze odwieźli do książęcego dworu, gdzie kanclerz

sam zalecił go pielęgnować starannie i doktora mu posłał swojego, aby rany opatrzył. Dano też zaraz znać matce jego na Litwę, bo jedynakiem u niej był, aby do syna przybyła.

Stara Nietykszyzna mieszkała i gospodarowała w znacznej majątności swej dziedzicznej pod

Olkienikami. Słyszała ona, nawet wśród takich gospodyń, za jakie wszystkie Litwinki uchodziły, za nader zabiegłą i skrzętną panią. Z domu Giedyminówna, mając się za dziecię rodziny wielkiego pochodzenia z książąt litewskich, pani Rozalia Nietykszyzna niezmiernie tym była dumną.

Despotycznego charakteru, energiczna, naprzód z trudnością pozwoliła synowi wejść w służbę księcia Radziwiłła, chociaż w tym wedle ówczesnych wyobrażeń nic' upokarzającego nie było, choćby zubożały potomek znacznego domu dostał się na dwór najmożniejszej i najpotężniejszej rodziny. Nie smakowało to dumnej Giedyminównie, ale w końcu zgodziła się syna w świat puścić, aby się przetaił.

Ranny przewidywał nie bez przyczyny, znając matkę, że ona go teraz pewnie zechce zabrać

do domu, ale miał za sobą księcia, który obiecywał wyprosić go sobie nadal. Łatwo się też

domyśleć było, że stara ani słyszeć nie zechce o małżeństwie z jakąś dworką, której szlachectwo nawet było wątpliwym.

Gdy się to działo z Bietką, intrygi dworskie dalej się powoli ciągnęły. Kazanowski z wielką zręcznością, sam i przez żonę swą, starał się nakłonić królowę, aby z sum swych, złożonych w Gdańsku, co najprędzej królowi na wojenne jego potrzeby kilkakroć sta tysięcy talarów pożyczyła.

Pani Kazanowska poufnie zapewniała Marię Ludwikę, że tym sposobem najłatwiej, najpewniej

sobie serce małżonka pozyszcze. Skłaniała się już ku temu królowa, lecz z drugiej strony

ostrzegano ją o niebezpieczeństwie.

Tu stał mąż wielkiego znaczenia, powagi i energii chłodnej, kanclerz Albrecht Stanisław

Radziwiłł, którego sam król nawet dla wpływu jego i wielkich przymiotów szanować i oszczędzać musiał. Ale z nim obchodził się Władysław tak jak z wielu innymi, których potrzebował, okazywał

im łaskę i życzliwość, ale ich więcej się obawiał, niż lubił. Z kanclerzem na pozór będąc bardzo przyjacielsko i poufnie, król tak dalece był ostrożnym, że mu dotąd planów swych wojennych przeciw Turcji nie odkrył i do nich się przed nim nie przyznawał. Wiedział o nich Radziwiłł z pogłosek i stanowczo był przeciwnym; upatrywał w tym szkodę Rzeczypospolitej,

niebezpieczeństwo i w przyszłości bolesne zawody. Nigdy jednak z królem mówić o tym nie miał zręczności i sam o to zagadnąć nie chciał.

Życzliwym będąc dla królowej, którą widział nie tak przyjętą, w Polsce, jak zasługiwała, kanclerz ostrożnie sam i przez żonę starał się jej radą usłużyć życzliwą. Poufnie więc w rozmowie całkiem przeciwnie radził Marii Ludwice, aby się starała, pod jakimś pozorem trudności w odebraniu, pieniędzy na wojnę odmówić.

— Wszyscy są prawie przeciwko tej wojnie — mówił królowej *sub rosa* — oprócz garstki pochlebców lub krótkowidzących ludzi. Szlachta jeśli się dowie, żeś Najjaśniejsza Pani na wojnę tę jej niemiłą pieniędzmi dopomogła, okaże się trudną potem na sejmie w uchwaleniu dla niej należytej opłaty. Król nalegać nie może. Sam, już stracił wiele, a wszystko na próżno, gdyż stateczniejsza narodu

” część wypowiedzeniu wojny tak niebezpiecznej się sprzeciwi.

Królowa nie wątpiła, że ta rada płynęła z dobrego serca i była. rozumną, lecz jak trudno jej było pójść za nią!

— A, książę mój — rzekła z westchnieniem — rozumiem to dobrze, wdzięczną wam jestem za przestrożę, ale jak trudno mi z niej będzie korzystać! Przypatrzcie się tym, co mnie otaczają, pomyślcie, jak nieustannie jestem na nalegania wystawioną! Potrafię się ja oprzeć?

Książę Albrecht nie obawiał się dla siebie intryg dworskich, chociaż wiedział, że na nie był wystawiony. Nie chciał on znać panny Amandy i wszyscy jej przyjaciele, szczególnie Pac, podejrzewali go, a króla przeciwko niemu starali się rozjątrzyć.

— Najjaśniejszy Panie — szeptał Pac — kanclerz tu siedzi w Warszawie wrzekomo dla traktatów z posłami moskiewskimi, ale on i jego żona co dzień prawie u królowej bywają. Jeżeli Najjaśniejsza Pani tak zwleka z pożyczaniem pieniędzy, niechybnie w tym jest wpływ Radziwiłłowski, bo kanclerz o wojnie z Turkiem ani słyszeć nie chce.

Toż samo Platenberg potwierdzał i inni zauszniczy. Król coraz zimniejszym zaczął się okazywać dla księcia kanclerza, ale poważny mąż nie chciał tego widzieć.

Przyszły właśnie do rozdania wakanse na Litwie po śmierci kasztelana wileńskiego i wojewody nowogrodzkiego. Władysław na wczesne prośby kanclerza przyrzekł dać województwo Chreptowiczowi, a chorągwo wielkie litewskie Gąsiewskiemu. Chodkiewiczowie, nieprzyjaciele Radziwiłłów, zabierali kasztelanią wileńską, coś się więc jako kompensata należało Radziwiłłom, a koniuszowstwo dane księciu Bogusławowi nie starczyło. Król przywilej na chorągwo dla

Gąsiewskiego, protegowanego kanclerza, już miał. podpisać, gdy na jakiś znak Paca odłożył to do jutra.

Pac czatował na to chorąstwo dla swego brata, a król zapomniał, że mu je był przyrzekł. Nie tylko faworyt i tak potrzebny służka został tym dotknięty, natychmiast po odejściu kanclerza wpadła panna Amanda za Pacem, dowodząc, że król złamał dane słowo.

— Ale kanclerz! — zamruczał Władysław. — Co ja z nim pocznę, dałem mu słowo, przywilej wygotowany już.

— To go przepiszą! — zawołała Niemka. — Wasza Królewska Mość nie masz lepszego, wierniejszego sługi nad Paca! On cierpi od wszystkich, on jeden o sobie nie pamięta!

Radziwiłłowie ciągle coś biorą, partię sobie tworzą, a są przeciwko Waszej Miłości najważniejszym planom i projektom. Jeżeli się królowa opiera z pieniędzmi — powtórzyła Niemka — nie czyja to sprawa, tylko księcia kanclerza. I za to go masz Wasza Królewska Mość nagradzać jeszcze?

Zjawił się w porę sam Pac ze łzami w oczach, bolejąc nad tym, iż król jego rodzinę tak lekceważył, a korzystając ze zręczności, nie tylko brata zalecał, ale począł przeciwko

Chreptowiczowi wymyślać, którego Radziwiłł na województwo nowogrodzkie zalecił i miał już obietnicę, że je otrzyma.

Jeden ten wieczór wczorajszą dla Radziwiłła łaskawość zmienił nagle, ale Władysław tak się całym sprawy przebiegiem zgryzł, przewidując następstwa, że nazajutrz ciężko zachorował.

Kanclerz Radziwiłł przybył z przywilejami do podpisu, wybiegł do niego łamiąc ręce w istocie nastraszony Kazanowski, powiadając, że królowi grozi niebezpieczeństwo.

— Śmierć przede drzwiami! — wyraził się marszałek. Radziwiłł, nie domyślając się nic jeszcze, odjechał, nie mogąc widzieć chorego.

Następnych dni Władysław miał się lepiej, ale oprócz najbliższych sług nie przyjmował nikogo. Me dopuszczono też królowej. Doktor uspokajał, że niebezpieczeństwo minęło, ale zawsze potrzeba było spokoju.

Kilka dni Radziwiłł dowiadywał się tylko z dala o zdrowie króla, ale razem z wiadomością o polepszeniu odebrał poufną przez Ossolińskiego, że król zmienił zdanie i chorąstwo nie

Gąsiewskiemu, ale Pacowi podpisał.

— Król mi dał słowo, przywilej wygotowany! — zawołał kanclerz. — To nie może. być!

— Tak jest, jak mówię — dodał Ossoliński — a przykro mi razem oznajmić wam, że daleko gorsza druga czeka was niespodzianka. Czy król dla Chreptowicza na województwo nowogrodzkie przywilej podpisał?

— Tak jest! Podpisu przecie nie zaprze... Mam go! — zawałał kanclerz, poruszony do najwyższego stopnia. — Cóż się mogło stać?

Ossoliński poruszył głową znacząco.

— Nie wiem, co się stało, ale to pewna, że województwo nowogrodzkie nie Chreptowicz otrzyma, ale pan wojewoda mściłowski.

Pobladł Radziwiłł.

— Jesteście tego pewni? — spytał.

— Najpewniejszy jestem — odparł Ossoliński.

— No — rzekł Radziwiłł ze spokojem niedobrze odegranym —

przestrzeżcież króla jegomości, że gdy przyjdzie do podpisywania i pieczętowania tego

nowego przywileju, przyniosę pierwszy podpis królewski, ukazę mu go, a jeśli się król zaprze ważności własnego pisma, w oczach jego na drobne go kawałki poszarpię i pokłoniwszy się pójdę precz, ale nie wrócę.

To rzekłszy Ossolińskiemu, kanclerz litewski za kapelusz wziął i pożegnał go.

Ossoliński wiedział dobrze, iż z Radziwiłłem lekko sobie postępować nie było można,

pojechał więc do króla z doniesieniem. Władysław się zadumał, ale Pac, podsłuchawszy i

rozmyśliwszy się, jakie następstwa z tego wyniknąć mogą dla niego i rodziny, natychmiast po odjeździe Ossolińskiego wpadł do króla.

— Widzisz, coś ty mi tu narobił nieopatrznością swoją — rzekł król. — Ja sobie

Radziwiłłów zrażać nie mogę.

— Ani ja bym ich nieprzyjaciołmi nie chciał mieć — dodał Pac — a na mnie wszystko

złożą nieochybnie. Jadę natychmiast przeprosić kanclerza, Najjaśniejszy Panie, i wezmę wszystko na siebie... potrafię naprawić.

— Próbuj — rzekł król.

Nie zwłóczył Pac i natychmiast do dworu księcia Albrechta pośpieszył, ale go tu nie zastał

— układy z posłami moskiewskimi go zajmowały. Wieczorem pojechał raz drugi.

Wprost już zrzuciwszy pychę z serca, Pac kanclerza począł jak najmocniej przepraszać, modlić, prosić, aby się nie gniewał, przyznając się, że on był wszystkiego przyczyną, ale król dał słowo, że Gąsiewskiemu chorąstwo to zostanie sowicie i prędko wynagrodzone.

Radziwiłł był zbyt zręcznym politykiem, by się twardym okazać; powolność dawała mu pewną korzyść w przyszłości, nie chciał zrywać z królem. Łagodnie więc odpowiedział Pacowi i przyrzekł, że zapomni krzywdy swojej.

Król miał się lepiej i kanclerz pojechał do niego nazajutrz rano; został przyjęty z uprzejmością nadzwyczajną.

— Przebacz mi — odezwał się król, gdy pozostali sami. — Widzisz, chory jestem, znękany, zapominam się, a młodzi korzystają z tego, że mi są potrzebni i że ja się bez ich usług obejść nie mogę cierpiąc.

Na tym skończyła się sprawa ta, która nie mogła Radziwiłła dla króla usposobić przyjaźniej, chociaż Pac dopilnował dotrzymania słowa i Gąsiewski w tymże miesiącu dostał za chorąstwo stolnikowstwo litewskie. Radziwiłł, skończywszy szczęśliwie z posłami moskiewskimi, wyjechał do Szydłowca.

Tymczasem nalegania na królowę, aby pieniądze z Gdańska sprowadziła i pożyczyła, nie ustawały. Władysław nawet osobiście starał się przemóc i okazywać jakby skłonniejszym do zbliżenia się. Rozkazał dla rozerwania jej grać komedio-opery na teatrze zamkowym, zaprosił ją z sobą na łowy, na których okazywał pewne względy. Maria Ludwika, nie bardzo się łudząc, rozumiała znaczenie tych zabiegów.

Kanclerz litewski powrócił z Szydłowca do Warszawy i znalazł ogromną zmianę w atmosferze dworu. Tu tchnęło wszystko jawnie wojną. Nie wiadomo z czyjej porady Władysław postanowił to, co dotąd knuł potajemnie, ogłosić otwarcie. Wmówił mu zapewne Ossoliński, że pora nadeszła po temu. Wprawdzie i wprzód wojna z Turcją *in votis* nie była tajemnicą dla bardzo wielu;

cel przybycia posła weneckiego, Tiepolo, który przywiózł obietnicę osiemset tysięcy talarów na tę wojnę, także wielu znało; królowę zmuszono niemal, iż pieniądze przyrzekła. Ale czego się wprzód wystrzegano, król zamiast na łowy począł co dzień w komitywie wojskowych jeźdźców do arsenału, piechotę kazał przed zamek prowadzić, nowe zaciągi, sam ją lustrował, wydawano

żołnierzom zaciągany patenty itp. Obok króla Zygmunt na małym koniku, przy szabelce, występował jako przyszły pułkownik usarzów.

Zaledwie z kolebki wysiadłszy, kanclerz się o tym dowiedział, ale pierwszemu co mu głośno zagadał o wojnie z Turcją, odpowiedział z wielką zręcznością.

— Mylisz się, z Turcją nie ma ani powodu do wojny, aniby się na nią Rzeczpospolita zgodziła; prędzej przypuszczam, że Szwedzi nam grożą, uczyniwszy pokój z cesarzem.

Nazajutrz, nim kanclerz się wybrał do Ujazdowa, gdzie się król znajdował, nadjechał posłany przez niego Ossoliński. Miał on zlecenie rozbić pierwsze lody. Królowi było ciężko nagle tak ogłosić wojnę, wołał, aby go w tym ktoś wyręczył.

Ossoliński, doskonały polityk, wszedł z wesołą twarzą do pokoju, w którym Radziwiłł sam był jeszcze nad papierami.

— Cóż słyhać? — zapytał Litwin, wpatrując się w rozjaśnione - oblicze towarzysza. —

Król jak się ma?

— Król zdrowszy — odparł Ossoliński — dowodem tego, że jeździł na łowy, a na nich zamiast zająca wojnę upolował.

— Jaką wojnę? — zapytał Radziwiłł.

— Przeciwno Turcji — począł spokojnie Ossoliński. — Tiepolo nam się z tego nie zwierzał, ale królowi miał zlecenie oznajmić, że Rzeczpospolita Wenecka ofiaruje subsydium osiemset tysięcy talarów na tę wyprawę. Przywiózł oprócz tego listy księcia Etrurii i co więcej, od Ojca Świętego, papieża. Król, znacie go, jak jest rycerskiego usposobienia, nie mógł się oprzeć, wojna tak jak ogłoszona, patenty żołnierzom porozdawane.

— A dla kapitanów patenty — przerwał zimno Radziwiłł — wszakże one pieczęci wymagają?

— Tak jest, niewątpliwie, będziemy je musieli pieczętować — rzekł Ossoliński.

— Ja zaś oświadczam najuroczyściej — odezwał się spokojnie litewski kanclerz — iż wprzódry sobie rękę dam uciąć, nim patenty przypieczętuję.

Zmieształ się nieco Ossoliński.

— Sprawa to zbyt ważna i obchodząca całą Rzeczpospolitą — dokończył Radziwiłł — abyśmy ją samowolnie rozstrzygali.

— Zgadzam się na to — po, krótkim namyśle odezwał się Ossoliński — ale zobaczcie się z królem, zwoła pewnie radę.

Rozstali się więc, a kanclerz litewski, nie zwłócząc, pojechał do Ujazdowa i naprzód stawił się u króla.

Władysław powitałgo twarzą nader wyjaśnioną i wesołą.

— Witam was z powrotem — rzekł podając rękę do pocałowania — a tym. mi jesteście pożądański, że potrzebuję rady was wszystkich. W poniedziałek zwołam panów senatorów — i po cichu, uśmiechając się, dodał: — *lam proximus ardet Ucalegon* .

Radziwiłł udał, że albo nie słyszał, albo nie rozumiał.

Rozmowa potoczyła się innym torem i nie tknęła żywotnej kwestii, ale potrącał król co chwila, z nią powiązane, z czego kanclerz nie chciał korzystać, i tak na ogólnikach się skończyło.

Radziwiłł nie spał; do poniedziałku czas miał się rozmówić z innymi panami senatorami o tej wojnie, której się tak obawiał.

— Król — mówił kanclerz, z którym się spotkał we cztery oczy przypadkiem czy umyślnie w ogrodzie księży reformatów — pragnie gorąco wojny. Na radzie będzie nas skłaniał, abyśmy na nią przyzwolili, a potem nie on, ale my będziemy za to, co zostanie postanowione, odpowiedzialnymi.

Powaga księcia Albrechta była tak wielka, że ci nawet, co inaczej myśleli a królowi się chcieli przypodobać, jemu się sprzeciwić nie śmieli.

W poniedziałek, wezwany do króla na czwartą godzinę, księżę pojechał i znalazł go w

wannie, z czego bardzo rad powracał do domu.

Król, niepewien senatorów, radę i zwołanie ich odkładał, ale tymczasem swoje robił, zaciągi ścigał. Ponieważ pieniędzy już nie miał wiele, został zmuszony choć tymczasowo się zapożyczyć u królowej. Kazanowski służył za pośrednika. W Marię Ludwikę wmawiał, że sobie tym sposobem pozyska małżonka, i niemal ją przekonał już; króla nakłaniał, żeby żądając ofiary, przynajmniej grzecznym, jeżeli nie czułym okazywał się dla żony.

Władysław prawie się rozgniewał na przyjaciela młodości.

— Ale, Adamie mój, ja dla żadnej w świecie kobiety nie umiem być niegrzecznym, nawet dla prostej dziewczki! Jak ty mi możesz zarzucać niegrzeczność dla królowej?

— Mogę, bo na nią patrzę — odparł poufale Kazanowski — jesteś greczny dla dziewcząt, prawda, tylko nie dla żony. Często siedzisz przy niej, godzinami nie przemawiając słowa, odjeżdżasz bez pożegnania, nie troszczysz się o nią wcale. Teraz, gdy chodzi o uczynność z jej strony...

— Ale ja nie żądam daru, tylko pożyczki! — zawołał król.

— Pożyczki, zgoda, ale i o tę prosić należy — dodał Kazanowski.

Władysław skrzywił się, lecz czuł, że przyjaciel miał słuszość, i zmilczał.

Na następujące polowanie zaproszoną została Maria Ludwika. Król ją przyjął z uśmiechem, na powitanie uchylił czapkę i przemówił po włosku. Coś nawet podobnego do rozmowy plątało się przez kwadrans, a Pac stojący nie opodal mocno się już lękał, aby Francuzka sobie męża nie pozyskała. Uważał oprócz tego, że król ostygł znacznie dla panny Amandy.

Po polowaniu tym wkrótce córka kanclerza Ossolińskiego, Urszula, wychodziła za mąż za starostę braclawskiego. Królestwo byli zaproszeni, dwór cały. Władysław znowu był w złym humorze, tak dalece, że biskupowi poznańskiemu nie dał się z sobą pożegnać u Ossolińskich, ale mu surowo wskazał, że powinien był z pożegnaniem jechać na zamek.

Wszyscy postrzegli ten okropny humor i podrażnienie, którego przyczyną było, że opinia

Radziwiłła przeciwko wojnie brała górę. Senatorowie zaczęli ją odradzać, cofać się. Niektórzy z nich kosym okiem widzieli, że posłowie wenecki i francuski bawili przy królu, podejrzewając ich o pobudzanie do wojny.

— U nas nie ma zwyczaju — mówili — aby rezydenci obcy mieszkali. Wesele dawno

skończone, czegoż oni tu bawią?

Po zwłokach tyłu król na ostatek dał posłuchanie Radziwiłłowi, lecz miał się na ostrożności.

Obu im trudno było rozpocząć rozmowę, szczególnie Władysławowi, który się powściągać nie umiał. Na ostatek król nadzwyczaj przymilającym się głosem, błagająco prawie, odezwał się do kanclerza.

— Wiecie, czego ja tak mocno pragnę? — rzekł. — Nigdy polityczne konstelacje się nie składały lepiej przeciwko Turkom jak teraz, aby ich wygnać z Europy. Ja chcę zdobyć dla Polski chwałę dokonania tego czynu. Wy jesteście przeciwko wojnie?

— Tak jest — odparł Radziwiłł.

— Dlaczego?

— Dlatego, że cały kraj jest przeciwko niej, Najjaśniejszy Panie.

— Szlachta nie rozumie nic — przerwał król — ja biorę to na odpowiedzialność moją. Nie przeszkadzajcie mi, macie wpływ, możecie wiele, proszę was, uczyńcie to dla mnie.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał kanclerz z żywością wielką — gotów jestem służyć wszystkim, co mam, Waszej Królewskiej Mości do ostatniego tchu mego, ale bez wiadomości senatu, Rzeczypospolitej ani Waszej Królewskiej Mości, ani nam ważyć się na takiej doniosłości postanowienie podobna nie jest!

Zmieszał się król i wyjąkał:

— Senat pójdzie za inicjatywą.

Zamilkł potem i smutnie zwracając się ku Radziwiłłowi, dokończył:

— Wierzaj mi, jakieś fatum mnie ciągnie ku tej wojnie. Marzyłem o niej od młodości.

Ziszczają się najdawniejsze pragnienia... muszę...

Kanclerz na to nie umiał nawet odpowiedzieć. Królowi zdawać się musiało zapewne, że już go ujął sobie.

— Dlaczegoż — spytał — nie chcesz przykładać pieczęci do listów na zaciąg żołnierzy?

— Najjaśniejszy Panie — począł z wolna kanclerz — czynię to w interesie Waszej

Królewskiej Mości. Obrażoną by się tym czuła Rzeczpospolita, że się stało bez jej wiadomości; my, kanclerze, pieczętując stracilibyśmy zaufanie kraju, a któż by potem w nieuchronnym konflikcie między panem a Rzeczpospolitą pośredniczył i jednał? Myśmy przysięgą zobowiązani nie pieczętować nic, na co nie ma zgody stanów ogólnej. Spytano by nas o rachunek na sejmie. Musielibyśmy odpowiedzieć: Król kazał. Koniec taki, że składając na króla, my byśmy go obwiniali.

Władysław słuchał, myśląc może o czym innym; dość mu było na tym, iż się przekonał, że Radziwiłł złamać się nie da, i nie nalegał już. Obmyślał środki inne zapewne.

Od królowej część pieniędzy wyłudżono. W czasie wesela król, wyszafowawszy już pożyczone dwieście tysięcy, zażądał nagle, aby Maria Ludwika pożyczyła więcej jeszcze na oblig postła weneckiego. Wezwany na radę de Brégy naprzód ostrzegwał, że Tiepolo nie ma pełnomocnictwa takiego, które by mu długi zaciągać dozwalało; bezpieczniej zresztą było i samej Rzeczypospolitej Weneckiej nie dawać inaczej, tylko na zakład jakiś.

Odpowiedź tę zanesiono królowi, który nie [tylko] rozgniewał się, ale wpadł w najokrutniejszą chwilową wściekłość. Krzyczał, bił o stół rękami, odgrażał się na żonę, a nazajutrz, gdy razem byli na przenosinach Ossolińskiej, wobec wszystkich gości ani się żonie skłonił, ani do niej mówił, nie patrzył, tyłem się obracał, okazując największe oburzenie. Przez cały czas Maria Ludwika płakała i musiała chustkę trzymać na ustach, u czoła, skarżyć się na ból głowy. Ci, co przeciwko niej intrygowali, brali górę i cieszyli się; tymczasem w usposobieniu króla zaszła zmiana jakaś niewytłumaczona.

Władysław, przekonawszy się zapewne, że przykład Radziwiłła był zaraźliwy, bo senatorowie jeden po drugim przechodzili na jego stronę, począł wbrew zaręczać, iż on wcale o wojnie i wydawaniu jej nie myśli. Pułki, przygotowania, wszystko być miało tylko środkiem obronnym. W tym sensie z kancelarii listy rozpisano i rozesłano. Złożono na Tatarów cały ruch ten wojenny. W najściślejszym kółku jednak nie zaprzestano ciągnąć dalej układów potajemnych, korespondencji zagranicznych wysyłać, pułków nie myślano rozpuszczać. Jawność tylko powstrzymaną została.

Pomiędzy królem a królową przyszło przez pośredników do jakiegoś tłumaczenia, niewinnienia ze strony Marii Ludwiki, łagodzenia ze strony króla. A że jeszcze kilkakroć sto tysięcy talarów było do pozyskania od żony, Władysław znowu ją szanować zaczynał.

W czasie tych wesel i zabiegów ranne dziewczę wyzdrowiało, ramię się zabiłiło. Maria

Ludwika jak tylko się o tym dowiedziała, zaczęła się domagać jej powrotu na dwór. Bietka więc wróciła. W istocie była ona potrzebną, bo Francuzi ze dworu królowej waśnili się tak, że służba na tym cierpiała, a przynoszone przez nich wiadomości i skazówki bardzo często zawodziły.

Chociaż blisko zamku przez ten czas była Bietka, musiała przybywszy tu na nowo się rozpoznawać w położeniu.

Panna Amanda, która się spodziewała jawnie występować przeciwko królowej, podpierając się wychowaniem Zygmunta powierzonego sobie, coraz znajdowała położenie swe trudniejszym.

Królewicz przekładał pieszczącą go macochę nad swą ochmistrzynię, uciekał od niej. Amanda z królem, który był mocno rozdrażniony, po kilkakroć musiała się posprzeczać aż do mdłości.

Jednym razem niespodziewanie dawniej stręczony Niemce za męża starosta krzemieniecki,

Czartoryski, zjawił się na dworze. Pac, który wszystko wiedział, szepnął Amandzie, że król go sprowadził. Wprawilo ją to w gniew, zachorowała naprzód, położyła się, wstała potem, odmówiła przyjęcia staroście i nazajutrz go przyjęła. Gniew i płacz mieniały się ciągle.

Platenberg wietrzył już upadek faworyty. Jednakże król, który scen nie lubił i unikał, kazał się nosić do Amandy, chodził do niej, gdy mógł, siadywał, o staroście zdawał się nie wiedzieć, a chwilami okazywał nawet jej czułość.

Bietka zapewniała królowę, że wkrótce się pewnie Amandy pozbędzie, i zgadła. Niemka

sama przyśpieszyła rozwiązanie. Jednego wieczora, gdy się jej zdawało, że król był nadzwyczaj serdecznie usposobiony i obejść się bez niej w żaden sposób nie potrafi, postawiła ultimatum.

Oświadczyła pokornie Najjaśniejszemu Panu, iż starosta krzemieniecki chciał się z nią żenić, że ona musiała myśleć o swym przyszłym losie. Wprawdzie, gdyby go miała zapewnionym tak jak Urszula Meyerin, gdyby jej stanowisko obok królowej było oznaczone itd., gotowa się była poświęcić; lecz gdy król się z tym ociągał, ona obowiązana była ratować swą sławę, zapewnić spokój itp.

Król słuchał bardzo spokojnie.

Wspomnienie Urszuli Meyerin, którą kochał jak matkę, naprzód chmurą mu oblokło czoło;

spojrzał na wyrózoną i wykrygowaną swą przyjaciółkę, przypomniał, co syn trzymał o niej, wcale się nie przywiązawszy do opiekunki, kłopoty, w jakie go fałszywe położenie panny Ekerberg wprawiało, i zamruczał:

— Ale ja nie chcę wiązać pany Amandy... Proszę rozważyć, namyśleć się, jam gotów...

Niemka spazmatycznie się rozpląkała, a król wyszedł.

ROZDZIAŁ III

Nie ulegało już potem wątpliwości dla tak przenikających, jak Pac i Platenberg, myśli króla i jego uczucia, że panowanie Amandy się skończyło. Z pewnych względów dla Paca mogło to być korzystnym, bo król bez jakichś miłostek obejść się nie mógł nigdy i trwały te fantazje do końca jego życia, a młody dworzanin służył za pośrednika i poszukiwacza łatwych piękności. Z wyjściem za mąż panny Amandy Pac stawał się królowi niezbędnym, ale nie można było przewidzieć, czy królowa, która powoli zyskiwała wpływ u ludzi, jednała sobie, nie potrafi przez nich w końcu królem zawładnąć.

Pannie Amandzie zdawało się, że nazajutrz król stęskniony przyjdzie ją przeprosić i żądać, aby ze starostą zerwała. Stało się tymczasem przeciwnie: król z rana wysłał Paca, poleciwszy mu oświadczyć, że na siebie bierze wyposażenie Amandy.

— Zygmunta potrzeba oddać w ręce męskie — rzekł — Amanda nie umiała się zalecić

królowej, wszyscy ją uważają tu za moją faworytę; ja mam z tego powodu nieprzyjemności. Niech idzie za mąż.

Miłość własna nie pozwoliła już się cofać obrażonej, starosta został przyjęty, ale Ekerberg zachorowała z gniewu. Król tak obojętnie wszystko to przyjmował, jakby w całym tym stosunku jego serce najmniejszego udziału nie miało. Jakby dla upokorzenia panny Amandy, która siebie i swe stanowisko miała za wyjątkowe i spodziewała się godów weselnych wspaniałych, sam król

zadysponował, aby dworzanin jego, Noskowski, który się miał żenić z panną Opacką z fraucymeru królowej, tegoż dnia i razem ślub brał, a dla obojga par jedno służyć miało wesele. Wszystkie te drobnostki zabawiały dwór, służyły za pokarm głodnym plotek.

Zabawiano tym, a raczej męczono królowę, która opuszczona, znużona, szukała dla siebie rozrywki odwiedzając kościoły i klasztory, godziny długie spędzając na nabożeństwach.

Bietka ciągle przy niej i na zawołanie być musiała. Sarkali na to Francuzi zazdroszcząc jej, a Maria Ludwiką tłumaczyła się litością swą nad sierotą, a wreszcie i tym, że dziewczę jej było niezbędnie potrzebnym, bo lepiej niż ktokolwiek znało kraj i ludzi, a teraz właśnie przy zbliżającej się koronacji obejść się bez niej nie mogła.

Dziewczę służyło gorliwie, roztropnie, czasem ze zdumiewającą śmiałością i znajomością

ludzi, ale dawna trzpiotowatość i wesołość całkiem je opuściła. Przyczyną tego było, o czym wiedzieli wszyscy, iż przez usłużnych przyjaciół dowiedziała się o przybyciu starej Nietykszynej i o tym, jak ona syna powitała.

— Dobrze ci tak — mówiła — jakieś sobie posłał, tak leżysz teraz. Wiem, że ci głowę jakaś

dworka zawróciła. Ale ani ty mi się waż myśleć, że ja ci się z nią żenić pozwolę, o czym ty, słyszę, roisz! Ale, ale! Nigdy na to nie będzie zgody! Nie dam błogosławieństwa! Przeklnę! Wydziedziczę!

Znać cię nie zechcę! Pamiętaj, że ja Giedyminówna. Dworka, nie wiem, czy nawet szlachcianka, a wychowało się to i walało przy dworze. To mi piękna szkoła! Nietyksza, mój syn, miałby ją brać za żonę i matkę swych dzieci! Pókim żywa nie pozwolę!

Syn starał się ją ułagodzić, przebłagać — na próżno.

— Wolę cię widzieć na marach niż z nią na kobiercu! — wołała stara. — Powinieneś mnie znać, że ja nie ustąpię.

Wiele osób starało się poświadczyć, iż przeciwko Bietce nic nie było do zarzucenia, że królowa ją lubiła bardzo, a ludzie szanowali.

— Niechże ją sobie biorą ci, co ją szanują, a nie mój syn, nie! — powtarzała Litwinka.

Zgryzł się tym Nietyksza i stan jego się pogorszył, ale matka, troskliwa o zdrowie, zmiękczyć się nie dała.

— Co ja go mam okłamywać i uwodzić? — mówiła tym, co ją starali się skłonić do łagodniejszego postępowania. — Niech wie, że ja na to nie pozwolę, a darmo się nie durzy...

Kocham go jak moje dziecko jedyne, ale właśnie dlatego mu' się zwalać nie dopuszczę. Jam nie z tych matek, co dzieciom truciznę dać gotowe, aby na ich łzy nie patrzeć. Mężczyzną jest, niechaj przeboleje. Od tego mnie Pan Bóg matką uczynił, abym ratowała, nie gubiła.

Nietyksza, znając swą rodzicielkę, gdy raz wyrok wydała, nawet już nie wznawiał o tym rozmowy, milczał. Milczeniem tym upartym więcej ją może niepokoił, niż gdyby się był starał przekonać — ale i on miał w sobie coś charakteru matki.

Gdy rany cośkolwiek się podgoiły, stara Giedyminówna chciała go włożyć na wóz, a bodaj na noszach do domu nieść, dając za wygrane służbie i Radziwiłłom; ale syn z równą jak ona stanowczością oświadczył matce, iż pozostanie na miejscu i na wieś nie pojedzie.

— Ja w Borbiskach nie mam co robić — rzekł sucho. — Pani matka gospodarzyć umie i

lubi, a ja potrzebuję świat i ludzi poznać. Książę na mnie łaskaw, nie porzucę go. Rany się pogoją, pojedziemy do Krakowa na koronację, niech ja też tam będę, gdzie i drudzy. Za piecem siedzieć nie chcę.

Jejmość potrzęsnęła głową, bo się łatwo domyślała, co syna za dworem ciągnęło, ale słowa nie rzekła.

Posiedziawszy parę tygodni w Warszawie, gdy niebezpieczeństwo wszelkie minęło, a syn się już miał znacznie lepiej, stęskniona za wsią i gospodarstwem, wyposażywszy chorego, aby mu na niczym nie zbywało i niczyjej łaski nie potrzebował, pośpieszyła z powrotem do domu. Na wyjeździe tylko, gdy syn się jej do nóg schylił, po rękach całując, bo spór miłości ich ku sobie nie nadwerężył, powtórzyła mu raz jeszcze:

— Tylko sobie nie imaginuj, abym ja zmiękała i głupstwo ci pozwoliła zrobić dla tej kukły.

Jeszcze ci to raz powtarzam, wolę cię widzieć na marach niż z lada jaką dworką, szurgotem, u ołtarza. Pókim ja żywa, tego nie dopuszczę! Masz do wyboru między starą matką a tą błaźnicą.

Syn nie odpowiedział ani słowa — złamać się też nie dawał.

Tak się przeciągnęło do lipca.

Podróż na koronację, zapowiedziana w pierwszych dniach tego miesiąca, przysłała do skutku. Bietka towarzyszyła wybranemu fraucymerowi Francuzów, którzy z Marią Ludwiką jechali. Nietyksza, choć mu rany zaledwie zabliźnione dokuczały, siadł na koń, aby ode dworu nie pozostać, acz mało miał nadziei zbliżenia się do Bietki.

Usłudni przyjaciele, przyjaciółki, pośrednicy, ponieważ listów naówczas pisywać nie było we zwyczaju, przynosili ustne pokłony, pozdrowienia, a czasem małe jakieś podarki. Bietka się nie kryła z tym, że uważała swego wybawcę za narzeczonego. W Krakowie oboje mieli nadzieję częściej się spotykać z sobą.

Z Warszawy cały dwór królewski, dosyć liczny, ciągnący mnóstwo wozów i czeladzi za sobą, skierował się na Częstochowę. Królowa, która już wiele słyszała o cudownym obrazie, chciała się tu pomodlić koniecznie. Władysław IV, choć dosyć obojętny w rzeczach religii, przez pamięć może dla pobożnego ojca i matki szanował w drugich to uczucie, a nawet w ostatnich latach zdawał się skłonniejszym do nabożeństwa. Wymówką dla niego, że nie uczęszczał do kościołów, był stan zdrowia.

Wiedziano wszakże, iż gotów był żenić się z protestantką i duchownemu żadnemu wpływać na siebie nie dopuszczał. Spowiednicy jego odznaczali się do zbytku posuniętą tolerancją.

W Częstochowie przez cały dzień jeden zatrzymali się królestwo, podejmowani z całym dworem przez bogatych zakonników. Była Częstochowa naówczas jedynym w Polsce klasztorem-
twierdzą, jakby zabytkiem i wspomnieniem owych *Ecclesiae incastellatae*, których Rzym zakazywał dawniej. Ojcowie paulini chlubili się swą forteczką, opatrzoną bastionami, wałami, przekopami, murami, na których około dwudziestu dział mieli. Nie spodziewano się naówczas
pewnie, iż one w istocie na obronę świętego miejsca posłużą.

Cały ten dzień prawie królowa i jej dwór spędził w kościele i kaplicy, a król spoczywając w chłodzie.

Stąd wprost już pośpieszano na Łobzów do Krakowa i w Łobzowie we dworze przez

Stefana Batorego przebudowanym, do którego piękny ogród przytykał, znowu spoczywano, gotując się na uroczysty wjazd do stolicy.

Podróż ta nie przyczyniła się wcale do zbliżenia ku sobie królewskiej pary, lecz Maria

Ludwika nadto była poruszona, przejęta, a po części zaciekawiona tym wszystkim, co ją spotykało nowego i nieznanego, aby wiele czuć mogła na obojętności męża dla siebie. Król chwilami

okazywał się nawet wesołym, a panów, którzy go po drodze spotykali, przyjmował tak łaskawie jak nigdy. Potrzebował ich ująć sobie. Z narady z Kazanowskim wynikło, iż należało wszelkimi
możliwymi sposobami na przyszły sejm umysły przygotować i pozyskać sobie.

Dzień wjazdu był skwarnym i słonecznym; orszak królewski świetny i liczny wyruszył z

Łobzowa, spotykając po drodze na powitanie go śpieszące tłumy. Pierwsze występowało miasto Kraków, stolica dawna, panowie radni i starszyzna niosąca klucze złożone; ci zatrzymali króla w polu, a długich mów, wedle zwyczaju, niepodobna było ani uniknąć, ani ich zostawiać bez

odpowiedzi. Nigdy też sztuka oratorska nie była w Polsce posuniętą do takiego stopnia wybujałości, jak teraz; popisywali się nią wszyscy.

Miasto występowało okazale, chorągwie mnogich cechów, każdy inaczej strojny, wysilały się na ubrania świetne i smakowne, na uzbrojenia i lik swych reprezentantów. Włochów i

Francuzów w kupiectwie tylu jeszcze liczył naówczas Kraków, że oni sami występowali we

dwieście koni, z których jedna secina ubrana była, gwoli królowej, francuską modą od atlasów i aksamitów, druga miała polskie stroje. Za nimi szły chorągwie rzemiosł cechowe, hajducy pana wojewody krakowskiego, żółto-niebieska chorągiew panów Kazanowskich, Tatarowie księcia

Dominika, jego kozacy, hajducy biskupa krakowskiego, niezliczone oddziały panów senatorów, chorągwie królewskie pancerne, uszarze skrzydlaci w lamparcich skórach na ramionach, kopijnicy ze złoconymi kopiami, których proporce wlokły się po ziemi, a na ostatek sami dygnitarze koronni i litewscy, konno, lśniący od złota i drogich kamieni. Orszak wspinały był prawdziwie króla godnym i Władysław z dumą na niego spoglądał.

Francuzi mogli się tu przekonać lepiej jeszcze niż w Gdańsku i Warszawie, jak był bogatym ten kraj, który na oko się im wydawał tak ubogim i nędznym.

Król, dnia tego zdrowszy, jechał pod wspinałym baldachimem niesionym przez radnych miasta, na pięknym koniu, poprzedzany przez Kazanowskiego z laską marszałkowską w rękę, gdyż Opaliński nie był przytomnym, obok siebie mając z jednej strony księcia Karola, z drugiej francuskiego posła, pana de Brégy.

Wojewoda pomorski, marszałek królowej, z drogimi kamieniami błyszczącą laską poprzedzał wytworną kolebkę Marii Ludwiki, która siedziała w niej sama jedna. Osiem jak śnieg białych koni, strojnych we wstążki, ciągnęło powóz cały srebrny, z kolumnami i galeriami, które daszek podtrzymywały, wybity zewnątrz bładoniebieskim aksamitem, wewnątrz lamą srebrną w kwiaty złote. W innych kolebkach, również wytwornych, jechał za królową jej dwór niewieści. Kilkaset gwardii przepysznie strojnej otaczało powozy.

U wjazdu do miasta stały wrota tryumfalne, całe napisami okryte, życzeniami i prorocctwy przyszłości. Z prawdziwym zbytkiem rozsiadała się na nich łacińska epigrafika, zastępująca malownicze ozdoby. Napisy opasywały kolumny, zasypywały kapitele, cisnęły się po kątkach, wyginały w łuki, zataczały kołem i sprawiały wrażenie jakiegoś gwaru niesfornego. Jeden nad drugi wysiłał się na hiperbole i jaskrawość. Pismo święte i mitologia, historia domowa i obca musiały służyć im za wątek, a poeci starożytni podarci na kawałki, do niepoznania, pełnili skromne obowiązki heroldów króla.

Znużone oczy Władysława padły może na wiersz najniżej wypisany, który na usta blade mógł ironiczny uśmiech wywołać.

Olim quae solum virtus praemit ad altum, Haec Regina tibi nunc quoque monstrat iter .

Na galerii tego łuku tryumfalnego nie brakło naturalnie muzyki i śpiewaków.

Druga podobna brama ozdobna czekała na końcu rynku, nie mniej obficie napisami

wyposażona. I tu zbytek cały niemal rozlał się na słowa. Panowie kolegiaci starsi i młodszy składali się zapewne na to bogactwo pomysłów, na te strzeliste okrzyki.

Stało u góry:

Unde Lux, inde corona ...

W kościele na Wawelu licznie zebrane duchowieństwo, kapituła, biskup czekali na królestwo z uroczystym *Te Deum*, które się rozległo pod starym katedry sklepieniem.

Koronacja, której ciekawo Francuzi przypatrywali się z zajęciem, odbyła się w dniu następującym.

Królowa, wstawszy bardzo rano, około dziewiątej stała jeszcze ze swym orszakiem

niewieściem przed zwierciadłem, kończąc toaletę, gdy podskarbi koronny wszedł uroczyście, niosąc klejnoty królestwa, koronę, berło i jabłko. Nie obeszło się bez mowy i bez odpowiedzi. Mowa jak sól przy potrawach wciskała się wszędzie.

Zaledwie drzwi się za podskarbis zamknęły, gdy król wszedł, wiodąc za sobą księcia

Karola, posłów francuskiego i weneckiego, senatorów i dygnitarzy. Królowę dokończono ubierać i po chwili wszyscy udali się do kościoła na zamku w następującym porządku:

Naprzód szedł dwór szlachecki króla, komornicy jego, orszak cały niezmiernie strojny,

czapeczki z kitami piór czaplich, które Francuzom wydawały się czymś bardzo osobliwym. Czaple czuby były dla nich oznaką polskiego „obyczaju”. Za dworem postępowali wojewodowie,

kasztelani, urzędnicy wielcy koronni niosący godła, wojewodzie krakowski miecz obnażony, inni

— koronę, jabłko i berło. Za tymi Kazanowski marszałek poprzedzał króla, który postępował sam naprzód. Za nim wcisnął się poseł francuski, niezmiernie o miejsce, jakie mu przeznaczono, troskliwy. Następowali urzędnicy niosący koronę i godła królowej i wojewoda pomorski jako

marszałek jej; królowę prowadził, z prawej strony podtrzymując, księżę Karol, z lewej nuncjusz papieski. Za nimi szły panie i wojewodowie.

Od zamku do kościoła szpalerem stały gwardie króla aż do drzwi katedry, w których *in*

pontificalibus oczekiwał biskup krakowski, Gembicki, z biskupami: kamienieckim i płockim i mnogim klerem i infułatami. Po przywitaniu Gembicki i kamieniecki biskup wprowadzili królowę do kościoła, zastępując księcia Karola i nuncjusza.

Król udał się naprzód do kaplicy Zygmuntowskiej, gdzie oblókł uroczyste szaty za pomocą

kilku urzędników swego dworu. Zdjęto z niego zwierzchnią suknię, odpasano szpadę, zrzucano buty i w miejsce ich włożono trzewiki białe, albę białą u dołu obszytą prześlicznymi koronkami, a na ramiona włożono płaszcz w kształcie kap, jakich używają duchowni. Płaszcz ten, ze złotogłowu, cały był wyszywany wzorzysto. Na rękawiczkach widać też było szyte krzyże. Korona złożona ze czterech łuków, nad którymi glob i krzyż panował, spoczywała na szkarłatnej czapeczce. Berło i jabłko, okryte drogimi kamieniami, dopełniały wspaniałego stroju, który w dzień gorący lata dla otyłego pana nie był zbyt wygodnym do dźwigania. Oddychał też w nim ciężko.

W czasie gdy króla ubierano, królowa, na przygotowanym wezglówiu klęcząc, modliła się przed wielkim ołtarzem. Król zasiadł potem na tronie na dwa stopnie podniesionym, pod złotogłowym baldachimem, otoczony wszystkimi swymi urzędnikami, niosącymi godła właściwe.

Po Epistole król powstał i wezwał arcybiskupa o ukoronowanie królowej, w krótkich słowach po łacinie, wedle formuły zwykłej. Po ucałowaniu ręki prymasa powrócił na tron i zajął na nim miejsce. Królowa ciągle jeszcze klęczała przed wielkim ołtarzem.

Rozpoczął się śpiew litanij i modlitw według pontyfikału, w czasie których królowa leżała krzyżem na ziemi. Po ukończeniu ich, podniesiona przez biskupów, przyprawiona przed arcybiskupa, została namaszczona i przeszła do kaplicy Zygmunta wraz z biskupami i paniami jej towarzyszącymi. Pani des Essarts włożyła na nią tutaj gronostajowy *surcot* i płaszcz atlasowy, biały, podbity gronostajami, szyty srebrem, którego ogon nieśli trzej wojewodowie. Przed wielkim ołtarzem królowa uklękła znowu, a po odmówieniu modlitw arcybiskup na skronie jej włożył koronę, dał jabłko i berło, a biskupi odprowadzili na tron obok królewskiego.

Posłowie obcy na lewo od wielkiego ołtarza siedzieli pod osobnym baldachimem, książę Karol za królową. Wszystko to zawczasu roztrząsać i obmyślać musiano.

Po ewangelii dwaj biskupi prowadzili królowę do ołtarza z ofiarą. Stanowiła ją sztuka złota wająca sto dukatów, którą królowa po ucałowaniu ręki arcybiskupa złożyła mu. W ciągu mszy później przystępowała do komunii.

Mszę zakończyło *Te Deum* przy biciu z działa, a królestwo, z kościoła w tych strojach obrzędowych przeprowadzani na zamek, zasiedli do stołu.

Maria Ludwika pomimo znużenia i wzruszenia przetrwała zwycięsko długie godziny tych ceremonij kościelnych; król nawet starał się nie okazywać tak zmęczonym, jak był w istocie.

Zaledwie jednak ucztą doszła do końca, oboje państwo pośpieszyli ze swego wyswobodzenia korzystać i wypocząć każde z osobna w kółku sług swoich.

W ciągu tych dni król wprawdzie oczyma ciekawymi przypatrywał się ukradkiem swej towarzyszce, nie mogąc nie przyznać, że piękną była, bo jej zwycięstwo przywróciło świeżość, zdrowie i męstwo do walki, ale nie przemówił prawie, nie starał się okazać najmniejszej czułości.

Program dni następujących nie obiecywał też zbliżenia się, choć dwa dwory, króla i królowej, na pozór były połączone. Nazajutrz zaraz Władysław sam pozostał na zamku, przyjmując mnogich senatorów przybywających, a królowa zwiedzała kościoły i klasztory.

Od dawna pana nie widywano tak ożywionym i uprzejmym, tak przystępnym. Wchodziło w plan podróży tej pozyskanie sobie serc, zjednanie ludzi, którzy by ślepo szli potem za królem, gdzie on ich chciał prowadzić. O wojnie mowy nie było.

Władysław tak czuł potrzebę tymczasowego oczyszczenia się z zarzutów, jakoby wywołać chciał z Turkiem walkę, iż na ten cel zwołał radę. Kazanowscy kierowali tu wszystkim, a młodszy z nich właśnie nową godnością został zaszczycony. Zręcznie też prowadzono narady i zwierzenia.

Przed panami senatorami ubolewał król, iż jego postępowanie tłumaczono sobie fałszywie.

— Nigdy Rzeczypospolitej nie miałem myśli uwikłać w ciężką wojnę z Turkami — mówił poufnie — ale mamy na karku Tatarów, którzy nam pokoju nie dają, z którymi sojusz równie ciężki jak wojna; aby im postrach wrazić, musiałem się uzbroić. Innego nic nie miałem na celu.

Wierzono czy nie królowi, wyznanie to było uspokajającym i zostawiło po sobie wrażenie bardzo dobre.

W sprzeczności jednak znajdowało się z dalszymi programatami podróży na Ruś, do Lwowa, w których upatrywano nie bez przyczyny zamiar pozyskania sobie nowych sprzymierzeńców na przyszłość. Senatorowie, którzy widzieli króla chorującym w Warszawie, niedomagającym w drodze, zmęczonym w Krakowie, zaczęli nalegać na to, ażeby czas na podróż przeznaczony obrócił na staranie o swe zdrowie i spoczynek.

Rady te wszakże znalazły króla głuchym. Z całego ich toku Władysław mógł wnieść, że został odgadniętym, co pociągnęło za sobą tylko ciche postanowienie po naradzie z Kazanowskim, aby co rychlej opuścić Kraków i rozpocząć podróż na Ruś od wycieczki do Niepołomic. Cel króla, jeżeli nie został osiągnięty, jak sobie życzył, w części przynajmniej mógł się uważać za zdobyty, gdyż jawne oświadczenie się przeciwko wojnie zamykało usta.

Podróż dalsza, którą królowi odradzano, w istocie mogła być i nużąca, i niewygodna, gdyż dla dosyć liczego dworu nie wszędzie po drodze mógł Władysław znaleźć pomieszczenie.

Zmuszony ciągnąć za sobą królowę i jej dwór, oprócz tego oprzeć się nie mógł życzeniom francuskiego posła, który mu chciał towarzyszyć. Francuzi, widząc przepych i dostatek, które dowodziła koronacja, nie domyślali się, iż wewnątrz kraju nie wszędzie mogli znaleźć te wygódki, bez których obejść się im było trudno.

W Krakowie Nietyksza nie mógł się inaczej znaleźć jak fortelem, gdyż księżę Albrecht nie znajdował się na koronacji, musiał więc wprosić się do orszaku księcia Bogusława, dlatego tylko, aby choć na chwilę widzieć się z Bietką i zapewnić ją, że na niego rachować może. Wiedział on, że dziewczęciu z pewnością donieść musiano o pobycie matki jego i o głośnym jej oporze przeciwko małżeńskim projektom.

Nazajutrz po koronacji, gdy królowa z panią d'Aubigny i des Essarts w towarzystwie sekretarza swego, Desnoyers, i księdza de Fleury zwiedzała kościoły i klasztory, Nietyksza wkradł się na zamek. Miał on tu przyjaciół dosyć i znajomych i rachował na to, że mu oni ułatwią widzenie się z dziewczęciem. W istocie też potrafił się wkraść po wyjeździe królowej na drugie piętro, które fraucymer zajmował, i tam wyprosił Bietkę do siebie na rozmowę, której jedna z panien przytomną być miała.

Od owej tragicznej nocy, krwią obojga oblanej, dziewczę nie widziało Litwina, który odżył wprawdzie i wyzdrowiał po ranach i kuracji, ale one na nim pozostawiły ślady. Świeżość młodości znikła z twarzy bladej chłopaka, który zmężniał i posmutniał. Bietka też nie była wesołą ani tak trzpiotowatą i zuchwałą, jak niegdyś.

Z uśmiechem podała rękę, którą Nietyksza ucałował.

— A, królowo moja — zawołał — jakżem ja długo czekał na to szczęście, które mnie dziś spotyka, a takem się wymęczył!

— No, ale zdrowi jesteście? — spytała Bietka.

— A, co tam zdrowie! — rzekł żywo Litwin. — Gorsza to troska, którą z sobą człowiek nosi. Nie będę ja nigdy spokojnym, aż Bóg da, podacie mi tę rączkę do ołtarza.

— Matka wasza — poczęła Bietka — ja wiem o tym, jest przeciwną, a ja do nieposłuszeństwa jej was nie chcę doprowadzić. Nigdy podobno się nie spełni...

Nietyksza nie dał jej dokończyć.

— Pani matka moja — rzekł — prawda, upartą jest, ale ja nie mniej. Jednego mnie ma, gdy

się przekona, że ja bez was szczęśliwym być nie mogę, zgodzić się musi. O tym też ja was upewnić chciałem, królowo moja, że gdyby mi najdłużej czekać przyszło, wiernym wam pozostanę, ale wy?

Spojrzał jej w oczy.

Wejrzenie jasne i ruszenie ramion, którym mu odpowiedziała, mogło go uspokoić.

— Wyście dla mnie krwi swej nie żalowali — rzekła spokojnie — a jakżebym ja

niewdzięczną być miała i mogła o tym zapomnieć? Zresztą nikt o mnie, a ja też o nikim nie myślę, a Nesterackiego nie ma się już co obawiać. Przyjaciółka jego także dziś mu pomocną być nie może.

Królowa jejmość łaskawą jest na mnie — dodała — nie wypędzi mnie ode dworu. Czekam na powrót ojca i o niego jestem niespokojną.

O ojcu tym słyszał wprawdzie Nietyksza, ale nie wiedział wiele, a nawet cel podróży jego był mu nie znanym. Zapytał więc:

— A dokądże się udał?

— Wiem tylko tyle, że na kresach miał jeszcze do czynienia, bo tam znaczną część życia

spędził — odpowiedziała Bietka. — Miał, interesa swe załatwiwszy, przyjechać do Warszawy i osiąść tu a okupić się gdzieś, bo mu życie na granicy od Dzikich Pól dokuczycie. Da-li Bóg, gdy powrócimy z tej wędrówki naszej, może go już zastanę w Warszawie.

— A, mój Boże — przerwał Nietyksza — jak mnie to boli, że ja w tę drogę ze dworem się puścić nie mogę! Przydałbym się może na co, ale mi od moich Radziwiłłów całkiem odstać się nie godzi.

— I ja bym tego nie radziła — odezwała się Bietka. — Król zapewne dalej jak do Lwowa,

gdzie się chce widzieć z panem hetmanem polnym, nie pojedzie. Radzono mu, aby go raczej do siebie powołał, ale mi się zdaje, iż (tu głos zniżyła) Najjaśniejszy Pan ma też więcej coś na celu i od tej podróży nie odstąpi. Nie tak też to znowu sroga rzecz — mówiła dalej — trochę letnią porą kraju przejechać i zobaczyć, a królestwo oboje i ich dwór wszędzie znajdą gościnne przyjęcie. My też z Francuzkami nie będziemy miały powodu się skarżyć, choć moje koleżanki znad Sekwany u nas wszystko znajdują dziwnym dla siebie i niesmacznym. I one, i sekretarz królowej, pan

Desnoyers, który wszystko zapisuje, co widzi, dopytuje się o każdą rzecz, a dziwi się też każdej,

nasze obyczaje znajdują bardzo nieobyczajnymi.

Rozśmiało się dziewczę.

— A wy? — zapytała.

— A ja — rzekł smutnie Nietyksza — muszę z księciem Bogusławem powracać, bom się do dworu jego przyczepił, ale po drodze, zamiast do Wilna z nim, zostanę w Warszawie i tam na was oczekiwać będę. Macie mi co do zlecenia?

— Ja? — wesoło spytała Bietka. — No, chyba abyście pozdrowili ode mnie starą, pocziwą ciwunowę Mingajłową, a jeśli chcecie, i państwa Bieleckich oboje, i na ostatek opiekuna mojego, księdza Stoczka u Świętego Rocha.

— Z chęcią! — odparł Nietyksza. — Przynajmniej z nimi o was mi mówić będzie wolno.

Nie będę też miał co robić w Warszawie, bo nie wiem, czy księżę kanclerz powróci tam rychło. Ma dosyć dóbr do objeżdżania, a mało gdzie nie funduje kaplicy lub klasztoru. Dobry, pracowity, pobożny pan.

— Toteż miłują go wszyscy — mówiła Bietka — ale się razem obawiają, bo surowym jest dla siebie i dla drugich, a król ma do niego żal, że mu do wojny przeszkadza. Nietyksza się uśmiechnął.

— Nam by młodym wojna też smakowała — rzekł — bo rycerskiemu człowiekowi bez niej żyć smutno, ale starsi Turka drażnić boją się, aby na nas nie spadł całą siłą, bo naówczas nikt by w pomoc nie przyszedł. Nam niby to każą na posiłek iść Wenetom... ano, Bóg wie... Ja tam o tych rzeczach niewiele rozumiem.

— A ja jeszcze mniej — wtrąciło dziewczę — wiem tylko, że królowa pieniędzy już dała wiele na tę wojnę, a jeszcze ich od niej żądają. No i będzie musiała dać, bo królowi odmówić nie może. Najjaśniejszy Pan i tak dla nas bardzo słodkim nie jest, a gdy się nachmurzy, patrzeć na królowę nie chce. Ta biedna płacze, a my z nią.

— Wszystko się to, da Bóg, ułoży — dodał Nietyksza — jako skoro wojnę senatorowie z głowy królowi wybiją. Dosyć nam będzie Tatarów.

Poczęli potem liczyć, jak długo ta podróż trwać miała, ale Litwin nie bez przyczyny

utrzymywał, że na Lwowie się nie skończy i że trwania całej tej wycieczki obrachować nie było podobna. Słysząc już było teraz, że po drodze niektórzy z panów króla z królową do siebie

zapraszać chcieli i ugaszczać, że się gotowali do przyjmowania Koniecpolscy, Zamojscy, Sobiescy, Wiśniowieccy i inni.

— A i na to coś trzeba odłożyć, że króla podagra pochwyć — rzekła Bietka — bo rzadko

na dłużej od niej wolnym bywa. Prawda, że pora cieplejsza zawsze mu sprzyja, ale za to zmęczy się dużo.

Przeciągnęłyby się była rozmowa ta dwojga młodych, którzy wiele innych sobie mieli do

powierzenia tajemnic, gdyby ich nie spłoszyła panna de Langeron, zawsze kwaśna i niechętna, a Bietce mająca za złe, że poufałej była z panią des Essarts, z którą coraz jawniej zazdrosna Francuzica wojnę toczyła.

Wojna ta i królowej, i całemu dworowi aż do posła, który w nią był wmięszany, czuć się dać miała. Stała się ona źródłem nieprzebranych oskarżeń wzajemnych, które stąd przechodziły na dwór francuski, a z Paryża powracały zaprawne nową goryczą, aby tu królowej nie dać pokoju. Z jednej strony pani des Essarts, z drugiej Langeronówną, posłał pan de Brégy, sekretarz Desnoyers, pan de Conrade, doktor nawet de Lafage i *maitre d'hôtel* de Ronsay z żoną, i cały zastęp dziewcząt służących składali dwie armie ucierające się z sobą. Nawzajem śledzono krok każdy, tłumaczono każde słówko; intrygowano, aby królowa na jedną lub drugą przechyliła się stronę.

Bietka starała się zachować neutralną, nie mięszając się do niczego, ale mimo swej woli to des Essarts, to Langeronówna powoływała ją za świadka.

Ponieważ dwór przed puszczeniem się w dalszą podróż miał się zatrzymać w

Niepołomicach, wyprosił sobie Nietyksza pozwolenie, aby tam jeszcze mógł raz widzieć i pożegnać ukochaną. Bietka nie miała nic przeciwko temu, nie obawiała się, aby ją to w oczach ludzi mogło narazić na obmowę, bo wszyscy wiedzieli, że Nietyksza ją narzeczoną nazywał i zmusił do

przyjęcia pierścionka. Zaklęła go tylko Bietka, ażeby nie wyrwał się dalej i Radziwiłłów sobie nie naraził.

— W Warszawie — dodała przy rozstaniu — dowiecie się-li od księdza Stoczka, że ojciec mój powrócił, starajcież się go poznać i powiedzcież mu o mnie.

Nietyksza wyciągniętą mu rączkę pocałował z uszanowaniem, które Langeronównę wydało się przesadzonym, i ruszył nazad do miasta.

ROZDZIAŁ IV

Podróż do Lwowa, którą odradzano królowi, a przy której on tak obstawał, jak gdyby do

niej nadzwyczajną przywiązywał wagę, miała coś w sobie tajemniczego, przynajmniej dla tych,

którym Władysław się z wszystkich swoich myśli nie zwierzał.

Ci, co króla od młodości znali, a widywali go teraz, znajdowali dziwnie zniecierpliwionym, roztargnionym i humoru nierównego. Niekiedy zdawał się przybitym, zniechęconym, to znowu opanowywała go jakaś samowola, duma, żądza rozkazywania, czyniąca niemiłym i niemal groźnym.

Nie był to wpływ ożenienia, bo też same symptomy w mniejszym stopniu wprzód już się postrzegać dawały; myśl jakaś uparta ciężyla mu na mózgu. Jeden Adam Kazanowski znał go

takim, jakim on teraz był, teraz szczególnie, od czasu gdy Radziwiłł z senatorami sprzeciwili mu się, nie dopuszczając dalszych zaciągów i oświadczając przeciwko wojnie. Otwarcie tłumaczył się, że te pułki i uzbrojenia tak kosztowne tylko przeciw Tatarom gotował, ale Kazanowskiemu czasem duszę swą całą odkrywał. Ten dawał mu się wylewać, uśmierzał, jak umiał i mógł, ale się nie sprzeciwiał.

Wojna przeciwko Turcji na wpół z Wenetami, z posiłkami innych państw chrześcijańskich, uśmiechała mu się, ale nie ona jedna była celem. Wszędzie dokoła widział otaczających Polskę monarchów z daleko większą władzą, niż była jego. Upokarzało go to, oburzało.

— Dlaczegoż bym ja — mówił nieraz Kazanowskiemu — nie miał władzy tej uzyskać?

Ojciec mój przez powolność tylko, rozbiwszy rokosz, dopuścił znowu sejmom inkwirować swe czynności i tak panować, jak panowały. Pułki cudzoziemskie włoskie, niemieckie, węgierskie pójdą na rebelizantów, raz nauczona rozumu szlachta siedzieć będzie cicho. Król zostanie rzeczywiście królem. Ja oprócz moich pułków tych mam i Kozaków. Mogę ich puścić na panów szlachtę. Jeden śmiały krok taki, a cale inaczej będzie wyglądać Rzeczpospolita, w której teraz warchoły rządzą.

Myśli tych król nie zwierzał pewnie nikomu oprócz przyjaciela, a Kazanowski znał nadto

ich wagę, aby śmiały komukolwiek choć cząsteczkę z nich powtórzyć; tymczasem cudem jakimś, tą intuicją, którą miewają tłumy, szlachta biedna, nie przenikająca wcale, nieświadoma, ślepa, w powietrzu czuła jakieś gotujące się na jej swobodę zamachy. Są takie doby dziejowe, momenta, w których w istocie niewidome myśli ulatują w powietrzu i wszyscy je czują w sobie, połykając je w każdym tchnieniu.

Dla pana Adama Kazanowskiego szczególnie król, którego on widywał we wszystkich jego przystrojeniach i nago, jakim był, musiał być osobliwą zagadką. Staruszkom senatorom, przybywającym do ucałowania ręki Najjaśniejszego Pana, aby mu odradzać wojnę, a prosić o pielęgnowanie szacownego zdrowia swojego, odpowiadał śmiejąc się, iż te pogłoski o

prowokowaniu wojny były niedorzeczne. On! Ze swą - podagrą! Zapewnił ich, że o pokój się tylko stara i niczego nie pożąda więcej. Nazajutrz niemieccy pułkownicy słyszeli od niego wcale co innego i ostatek klejnotów szedł na wojsko, na działa i prochy. Młodzież starał się rycerską sławą rozbudzić do czynów; powolniejszym starszym obiecywał krzesła i urzędy, byle się wojnie nie przeciwiali.

Dla jednych więc wojny nie było wcale, dla drugich stała ona tuż, nieuchronną. Kazanowski zaś jeden wiedział, że ona nie była celem, ale środkiem i że pułki zaciągane mogły się przeciwko zburzonej obrócić szlachcie, a nawet przeciwko opornym sejmującym.

W Warszawie jakiś duch nieprzyjaźny królowi rozniósł naówczas pogłoskę niedorzeczną, ale będącą *signum temporis*, że przyszedł sejm ma się odbywać w okopach za miastem, we dworze nie dokończonym biskupa kijowskiego, a dziesięć tysięcy żołnierza stanie przeciw warchołom i na dany znak druga rzeź Świętego Bartłomieja!

Dziwaczna ta plotka, rozumie się, jak zgniły opar unosiła się tylko nad nizinami; nie powtarzał jej nikt po dworach i pałacach senatorskich, ale w ulicy, w rynku, pomiędzy mieszczanami obiegała sobie swobodnie i znajdowali się tacy, co jej wierzyli.

Kto ją puścił? Bóg jeden wiedział!

W najrozmaitszych formach objawiało się to poczucie, iż król, który na pozór bawił się tylko z dziewczętami, o czym także wiedział świat cały, knował jakiś zamach na swobody Rzeczypospolitej.

— A — szeptali mali żaczkowie polityczni — odzywa się w nim krew rakuska...

Inni śmiali się z tych bałamuctw, wcale im nie dając wiary, chociaż, jakeśmy mówili, nie były one bez pewnej podstawy. Król chętnie by był przedsięwziął coś podobnego, gdyby znalazł sprzymierzeńców. Ale oddani mu ciałem i duszą Kazanowscy, rozpieszczeni łaskami fortuny, wcale się do tego nie zdali. Gotowi byli słuchać, pragnąć, ale ręki do tego przyłożyć — nigdy. Śmielszym może byłby kanclerz Ossoliński, lecz nie miał ani przyjaciół, ni poparcia. Stał odosobniony, a z królem nawet, choć się rozumieli w polityce, temperamentami i charakterami się nie godzili. Król miał jakąś odrazę do znakomitego mówcy i statysty, a Ossoliński pono niewysoko króla szacował.

Wyjazd króla nagły do Niepołomic, gdy go senatorowie błagali, aby zaniechał podróży, miał jakiś pozór ucieczki. Nie pożegnawszy nalegających, umknął przed nimi.

Stąd, już zaproszony wcześniej przez pana wojewodę krakowskiego do wspaniałej

rezydencji w Wiśniczu, nie zabawiwszy nawet dla łowów w tym zameczku, tylu wspomnieniami poprzedników drogim, natychmiast udał się w gościnę do niego. Orszak króla i królowej na ten raz wcale nie odpowiadał upodobaniu w przepychu i elegancji Władysława i stosunkowo był szczupły.

Dziwiono się jego skromności.

W Wiśniczu przy stole król to się zdradzał z rycerską niecierpliwością wojenną, to nagle milknął i stawał się ostyglým.

Zdawało się, że pilno mu było do Lwowa, bo dosyć pośpiesznie i nie odpoczywając prawie, na Tarnów, Sędziszów, Rzeszów, Przeworsk ciągnął król do Jarosławia, gdzie się właśnie sławny jarmark rozpoczynał, a stąd na Janów do Lwowa. Tu odpoczywano dni kilka, które królowa zużytkowała, oglądając kościoły i klasztory. Król nieustannie przyjmował przybywających, miewał narady i rozmowy przy drzwiach zamkniętych, powoływał różnych panów — zajętym się okazywał bardzo.

Najgorzej na tej podróży wychodzili nieszczęśliwi Francuzi, do wygod przywykli. Po drodze wypadały popasy i noclegi w szopach, które naówczas w większej części kraju zastępowały gospody. Dla króla i królowej, dla kilku najbliższych im osób ławka, krzesło, stół się znalazł zawsze, a pościel i łóżka żelazne mieli z sobą; dwór na próżno się domagał posłania, przynoszono mu słomę stęchłą lub siano. Najpotrzebniejszych sprzętów nie było.

Przeklinano kraj barbarzyński, wtem nagle nazajutrz zjawiał się gdzieś na stoku góry pałac z całą wykwintnością europejską i przepychem urządzony i z tej barbarii Francuzi wpadali, jak różdżką czarodziejską przeniesieni, do raj. Tych zmian dekoracji pojąć oni nie mogli. Zdało im się niezrozumiałym, aby cywilizacja i zbytek ocierały się tak poufale o tę surową prostotę.

Jeszcze niepojętym dla nich było, gdy widzieli takiego panicza po europejsku wychowanego, który im w rozmowie i przy stole doskonale dotrzymywał placu, gdy na nocleg przybyli, wesoło się kładł na gołej ziemi, siodło podłożywszy pod głowę. Mieszanina ta rycerskiego zahartowania i pańskiej wykwintności była im niezrozumiałą jak kraj ten cały w ogóle.

Ze Lwowa królestwo zaproszeni udali się do Wiśniowieckich do Wiśniowca, gdzie ich po książęcemu przyjmowano. Wszędzie po takich domach pańskich wino się lało strumieniami, stoły ugiwały pod srebrami. Na wyjeźdny musieli królestwo oboje i poseł przyjąć na pamiątkę

kosztowne podarki. Królowi dostał się przecudnej urody koń pod wierzch, z siodłem i rzędem turkusami i rubinami sadzonym, z tarczą i koncerzem stosownymi. Mało co mniej kosztownego rumaka otrzymał pan de Brégy. Królowej ofiarowała księżna wspaniałą kolebkę z sześciami woźnikami tarantowatymi, zewnątrz wedle ówczesnego zwyczaju obitą aksamitem, a wewnątrz złotogłowem.

Przyjęcie to w Wiśniowcu, niezmiernie gościnne i po polsku natarczywe, skończyło się późno w noc na tym, że biesiadujących do łóżek poodnosić musiano. Król był w różnym humorze i żartował sobie trafnie z delikatnego pana de Brégy.

Gdy przyszło opuścić Wiśniowiec, gospodarstwo przeprowadzali króla i królowę o milę za miasto, gdzie pod namiotami czekało zastawione śniadanie. Tu dla zabawy Najjaśniejszego Pana, który myśliwstwo lubił, nagle wypuszczono jelenia; jeźdźcy i psy rzuciły się za nim. Ścigany zwierz wpadł między namioty, ale go natychmiast ujęto i zabito.

Wiele zależało królowi na widzeniu się poufnym z synem hetmana, Koniecpolskim. Ciężko tego znakomitego, niedawno jeszcze zmarłego męża, po którym Rzeczpospolita nosiła żałobę, stał jeszcze tu, panując żywym. Syn zdawało się, że odziedziczył wielki umysł i zdolności ojcowskie, jak w spadku wziął po nim wpływ i znaczenie.

Oczekiwano na króla w Podhorcach. Liczyły się one naówczas do najwspanialszych, najwykwintniej urządzonych w Polsce rezydencji pańskich. Położenie piękne sprzyjało ich przyozdobieniu, na które hetman nie żałował.

Całą ulicę, do zaniku wiodącą, na przyjęcie państwa zajmowały szpalerem ustawione, przepyszne i bogato strojne pułki tatarskie i niemieckie nowo zaciężne. Wśród huku bębnow, trąb i okrzyków Władysław IV wjechał na wspaniałe podwórce.

Zamek w Podhorcach na wzgórzu, okrytym naówczas lasem w znacznej części, złożony był z dwóch bocznych skrzydeł i głównego gmachu, a budowa jego, rozmiary, wykończenie smakowne Francuzów nawet zachwyciły. Sekretarz królowej, Desnoyers, który spisywał skrętnie wrażenia swojej podróży, odchwalić się nie mógł Podhorzec, ich uroczego położenia i wytworności urządzenia.

Jak wszystkie budowle z tej epoki u nas, Podhorce wewnątrz pełne były sztukaterii, rzeźb i

malowideł. Trzy terasy ogromne stanowiły zejście do ogrodu, który zamek otaczał. Na pierwszym z nich znajdowały się dwie wielkie i wytwornie przyozdobione groty, które nawet tym, co sławne w St. Germain en Laye oglądali, wydały się nie ustępującymi im; na ostatnim jedna grotka olbrzymia otwierała się widokiem na rozległą okolicę. Ta cała była przybrana posągami naturalnej wielkości, z muszli i kamyków zlepionymi. Fontanny przyozdabiały ogród utrzymywany z pańskim przepychem.

Gdy wieczorem królestwo zasiedli do stołu, na galerii odkrytej, z której widok się roztaczał na dolinę ku Brodom, gospodarz, wnosząc zdrowie królewskie, kazał dać znak racą umówiony i w tejże chwili o dziesięć mil odległa twierdza w Brodach hukiem kilkudziesięciu dział odpowiedziała.

Wprzódym huk się ich dał słyszeć, ujrano na wieczornym niebie jakby zapaloną łunę, której blask się odbijał na chmurach.

Widok z zamku na ten krajobraz, na krańcach w ogniu stojący, w istocie był wielkiej piękności. Władysław nawet, zwykle obojętny, uśmiechnął się gospodarzowi, a Francuzi pozrywali się z miejsc, aby lepiej przypatrzeć tym czarom.

Długo po cichu wieczorem król się naradzał z Koniecpolskim, ale spoczywać tu nie mógł długo. Nazajutrz wyruszono w dalszą podróż do Brodów.

Twierdza ta i osada w znaczniejszej części była dziełem zmarłego hetmana Koniecpolskiego. Wzniósł on je tu wśród mokrej, błotnistej niziny, a dotąd wszystko jeszcze prawie było z drzewa, gdzieniegdzie tylko ceglami poczynając się okładać. Kurtyny nawet twierdzy drewniane jeszcze były. Maleńka cytadela o pięciu bastionach murem się dopiero umacniała, a jedyną jej ozdobą była na części muru wzniesiona piękna kamienna galeria.

Hetman zamierzał tu wspaniały wznieść zamek, gdy śmierć rozlicznym jego pracom koniec położyła. Staraniom jego winne były Brody niedawno zaprowadzone fabryki kobierców perskich, które Persowie umyślnie sprowadzeni wyrabiali. Tak samo Holendrowie i Flamandy mieli warsztaty płócien cienkich damaszkowanych, a Włosi wyrobów złotniczych. Oprócz nich cudzoziemców rękodzielników różnych mnóstwo osiedlało się przy pomocy i opiece Koniecpolskiego i osada byłaby zakwitła przemysłem, gdyby nie zabrakło tego, który w nią tchnął życie.

Hetman, który zmarł nagle w sam dzień królewskiego wesela, żył tu jeszcze w swych

dziełach i synu.

Po tych pańskich przyjęciach w Podhorcach i Brodach następny nocleg przypadł nieszczęśliwie w szczupłym dworze szlacheckim, a Francuzi, trochę popsuci, nie mogli się pogodzić z niewygodami jego. Pocieszono ich tym, że następnego dnia przyjmować miała wdowa Sobieska, która się już do tego wcześniej przygotowała.

Tu znaleźli znowu dom pański, a na odjezdnym król dostał w podarku cug pięknych koni, a królowa ogromny srebrny dzban moskiewskiej roboty, z wprawionymi w niego kilkaset starożytnymi medalami.

Zawrócono stąd znowu do Jarosławia, tak chciał król, a miał w tym swe tajemnicze pobudki, z których się nie tłumaczył.

Był to czas jarmarku sławnego, na który zazwyczaj zjeżdżało się mnóstwo kupców tureckich, perskich i włoskich; w tym roku jednak rozsiane pogłoski o wojnie z Turcją znacznieszą ich część wstrzymały. Z obcych znalazło się tylko trochę Węgrów, Niemców i kilku Francuzów.

Na ostatek zboczył król jeszcze w gościnę do Zamojskiego, gdzie go wspaniale przyjęto.

Wszędzie starał się ujmować sobie, ale prawie z każdym mówił inaczej. Jedną sobie obietnicami niektórych, innych zapalem rycerskim i żądzą sławy rozgrzewał, zapewniał o swej łasce, jeżeli z ufnością szli za nim. Nigdy go tak ujmującym i uprzejmym, tak poufałym nie widywano. Wiele też serc skłonił ku sobie, ale z mowy jego tak nic jasnego i pewnego wnioskować nie umieli, że czekać musieli, aby się to wyklarowało.

Sejm przyszedł obiecywał to wszystko postawić otwarcie jawnym.

Wszędzie na wyjezdnym obdarzano Najjaśniejsze Państwo, Zamojski też królowi złożył czaszę złotą pełną starożytnych monet złotych, a Marii Ludwice bransolety brylantowe, które na kilka tysięcy talarów cenili Francuzi.

W Sandomierzu na króla i królowę czekały statki, którymi dopłynąć mieli wygodnie i mniej znużeni do Warszawy. Władysław szczególnie cieszył się tym, że będzie się mógł do półdnia wylegać na łóżku.

W ciągu tej podróży królowa miała zręczność bliżej się poznać z krajem i obyczajami, oswoić z nimi, ale była to też jedyna korzyść, jaką z niej odniosła. Władysław, zostawując jej

swobodę zupełną, trzymał się osobno, a gdy zmuszonym był zająć miejsce obok żony, zabawić się razem z nią, okazywał jakby naumyślnie najzimniejszą obojętność, na którą w końcu duma i

poczucie godności niewieściej nie dozwoliły królowej okazywać się zbyt wrażliwą. Uśmiechała się więc wesoło, choć z goryczą w sercu.

Francuzi, ciekawi i plotkarze, co dzień prawie donosili jej usłudnie o przygodach króla,

któremu Pac i Platenberg rozrywek dostarczali. Opowiadano po cichu, że stroili proste wiejskie dziewczęta w sukienki wykwinne, nadawali im szlacheckie szumnobrzmiące nazwiska i zabawiali tym Najjaśniejszego Pana. Królowa, znudzona, w końcu sekretarzowi mówić sobie o tym zabroniła.

Dla biednej Bietki cała ta dosyć długa i męcząca podróż była nieustannym utrapieniem, bo

się z Francuzami kłócić musiała, broniąc kraju, który oni, zwłaszcza złośliwy Desnoyers, w najpoczwarniejszych barwach malowali. Sekretarz, gdy mu zabroniono przynosić skandale, bawił

królowę dowcipnymi spostrzeżeniami o Polsce, malował ją po swojemu i często wywoływał od

polskiego dziewczęcia ostre i śmiałe odpowiedzi.

Wszystko to razem znudzoną czasem Marię Ludwikę po troszę rozrywało.

— Królowie polscy — mówił raz Desnoyers — muszą podróże odbywać z małym

orszakiem. Przyczyna prosta, dla znaczniejszej gromadki w tym kraju niepodobna ani pomieszkania znaleźć, ani pokarmu podostatkiem. Musimy z sobą ciągnąć całe spiżarnie, pościele, a nawet obroki dla koni. W gospodach polskich na równej stopie mieszczą się bydło i ludzie. Stoły, krzesła, ławki, garnki, rondle, kubki musimy mieć z sobą, bo ich po drodze brak. W jednej szopce popasałem często razem z wołem, wieprzem i owcami. Zżymała się Bietka.

— Nasi ludzie zahartowani są i rycerscy — szepnęła.

— W miastach nieco lepiej, juścić — ciągnął dalej Francuz — czworonożni goście stoją

osobno. Prawda, dwory wielkich panów, Koniecpolskich, Lubomirskich, Zamojskich urządzone są wedle obyczaju europejskiego, ale nam co po tym? Król, królowa, poseł, parę osób korzystają z tego, a my biedacy musimy iść pod szopy.

— Panowie pieśczeni jesteście — mruzczała Bietka — u nas by się wstydził mężczyzna

poskarżyć, że nie miał łóżka.

— Ja też ten obyczaj szanuję i zazdrozczę go — mówił szydersko Desnoyers. — Sam na to

patrzałem i patrzę, wyjąwszy magnatów, cała reszta szlachty sypia na ziemi gołej lub na małych materacykach, które koniom pod siodło podkładają, aby się nie zacierały. Służba wprost legiwa na

ziemi, na wozach, bardzo szczęśliwa, gdy garść słomy dostanie. My zepsuci, cierpimy wiele.

Polacy zdrowi i silni, wytrzymują wszystko.

— Tego obyczaju nie daj Boże, abyśmy się pozbyli — mówiła Bietka — nam z nim dobrze.

Uśmiechała się królowa.

— Nie można mi mieć za złe — ciągnął dalej Francuz — że ja Najjaśniejszej Pani królestwo

jej daję poznać w jego prawdziwym świetle. Nieprawdaż, że z rana pierwsza rzecz po przeżegnaniu się wychylić spory kielich gorzałki? Piją tu ją jak u nas wino... i często głowy zawraca.

— Jak waćpanom wino — dodawało dziewczę.

— Powtarzam to, co słyszałem tu od panów świeckich i duchownych — ciągnął

niezmordowany Desnoyers — a czegośmy też w ciągu podróży doświadczyli, że nie ma w świecie drugiej tak korzennej kuchni, jak polska. Bogaty pan w rok wydaje nie mniej dwadzieścia tysięcy franków na te przyprawy. Podkanclerzy biskup chełmiński sam mi mówił, że go korzenne

ingredencje w rok siedemnaście tysięcy liwrów kosztują. Za tym idzie, że pić dużo potrzeba, a nie innego wina, tylko węgierskie lub hiszpańskie. W Wiśniowcu jeden wieczór pewnie kilka tysięcy kosztował. Co ichmość za zboże i konopie wezmą, to za wina i sukna wydadzą. Sam słyszałem od Holendrów, że korzennych towarów do Polski idzie więcej niż na całą Europę.

Obrona przeciw szyderskim spostrzeżeniom pana Desnoyers i innych Francuzów i

Francuzek przypadała zawsze na jedną Bietkę, ale miała ona oprócz tego inne, trudniejsze do spełnienia zadania, gdy królowa rozpytywała ją poufnie o' przeszłość i życie męża. Maria Ludwika chciała być świadomą wszystkiego, aby być panią położenia. Zaniedbywana i lekceważona,

pomimo to, co dzień zyskiwała na powadze i znaczeniu. Obwiniona o płochość, okazywała się

surową i pobożną, nikt jej nic zarzucić nie mógł. Dostojeństwo swe nosiła z taką powagą i

swobodą, jakby do korony zrodzoną była. Obok często niezrozumiale zmiennego humoru

Władysława w każdym jej kroku czuć było obrachowaną wytrwałość i zmierzanie do jednego celu.

W ciągu podróży, gdy Władysław IV okazywał się coraz inaczej przed tymi, z którymi się spotykał, ona zawsze była jedną, a nawet zniechęcony i uprzedzony mąż jednego wyrazu niezręcznego;

zarzucić jej nie mógł.

Czuwała też nad swoim dworem, aby nie stracił poszanowania w obcym kraju. Pan de

Brégy nie należał właściwie do niego, ale przedstawiał tu Francję, a płochość jego była dla Marii Ludwiki bolesną. Wybierając się w tę podróż, lekkomyślny Francuz zabrał z sobą ładną Niemeczkę, sądząc zapewne, że *quod licet Iovi, licet bovi*. Desnoyers i panna Langeron podszeptali o niej królowej, która przez księdza de Fleury poleciała mu natychmiast się jej pozbyć. Pan de Brégy, skłopotany, usiłował się wytłumaczyć tym, że Niemka była prostą praczką, bez której koronki jego obejść się nie mogły, potem że miała powołanie do stanu duchownego, chciała wstąpić do klasztoru i niepodobna jej było rzucić na pastwę pokusom i światu.

Zajęty swymi wojennymi planami, król w ciągu całej podróży nie przestawał się zajmować

nimi, odbierał doniesienia, wysyłał rozkazy i niecierpliwił się tym wielce, że zewsząd dochodziły go skargi na gwałty i nadużycia, których się zaciężne jego pułki dopuszczaly. Wielkopolska, oburzona nimi, groziła zebraniem sił własnych dla odparcia ich jak najeźdźców.

Z drugiej strony senatorowie, niechętni wszystkim tym przygotowaniom, wołali głośno, że

patentów dla nowo zaciężnych kanclerze nie pieczętowali, że je król samowolnie pod prywatną swoją pieczęcią wydawać rozkazał. Był to więc bezprawny zamach na swobody, na prawa

Rzeczypospolitej.

Król przed jednymi wręcz wszystkiemu zaprzeczał, drugim uśmiechał się i szeptał, że na nic nie zważając, na swoim postawi. Ufał w to, że podróżą, ujęciem gromadki senatorów sejm

przygotuje dla siebie powolnym i przeprowadzi, co zechce.

Z ramienia jego tymczasem nalegano ciągle na Marię Ludwikę, aby znowu pożyczyła

pieniędzy na wojsko. Król ofiarowywał w zastaw klejnoty, a w razie odmowy groził gniewem. Na te nalegania królowa najczęściej nie odpowiadała nic lub coś dwuznacznego, słuchała; trudno było jej myśli odgadnąć. Desnoyers wszakże odebrał potajemny rozkaz, aby trzykroć sto tysięcy talarów, które królowa miała złożone w Gdańsku, do jej rozporządzenia w gotowości były.

Kazanowski dowiedział się pierwszy o tym i lice Najaśniejszego Pana na chwilę się

tryumfującym rozjaśniło uśmiechem.

W Sandomierzu nie odpoczywano długo. Statki, nad którymi powiewała mało znana flaga

polska, z ręką mieczem uzbrojoną, stały kobiercami i zielenią przystrojone u brzegów. Królestwo siedli na nie wśród tłumów ludu okrzykujących oboje. Podróż była jakby przejażdżką dla rozrywki i wypoczynkiem.

Przodem do Warszawy wysłana część dworu zawiozła tam wiadomość, kiedy

prawdopodobnie królestwo przybyć mieli. Pięknego, ciepłego, jesiennego wieczora Warszawa

niemal cała wysypała się na brzegi dla powitania powracających. Senatorowie, urzędnicy dworu pozostali w stolicy, czekali na króla; tłumy zbiegły się przez ciekawość. Nie widać w nich było tego przywiązania, na które król nie starał się nigdy zasłużyć. Gromady stały, przypatrując się niezwykle widowisku, ale w nich serce nie biło. Król nie uradował się, patrząc na swój zamek, wiedząc, że tam na niego czekały troski, a szczególnie sejm ten, który kwestię wojny miał

rozstrzygać. Tylko cudzoziemskie pułki, których część stała u brzegów, siły te niezależne, własne jego, w pewną dumę wbijały Władysława. Zebrał je pomimo wszystkich, przeciwko wszystkim. On i Kozacy, z którymi się porozumiewał, dawały mu siłę, jakiej (zdało mu się) poprzednicy jego nie mieli.

Gdy główny statek, przybiwszy pod Zamkiem, witany był przez duchowieństwo i świeckich

panów senatorów, drugi, mieszczący w sobie część dworu, zbliżał się poniżej ku wybrzeżu. Tu z panią des Essarts i panienkami Marii Ludwika znajdowała się Bietka. Oko jej w tłumie szukało może kogoś, niepewne, czy go znajdzie, nareście spuściła wzrok i roztargniona przebiegła

kładeczkę dzielącą od lądu, na który już stąpić miała, gdy uczuła uścisk i obejmujące ją ręce ojca.

Płaza stał przed nią poruszony, przejęty, tak że mówić nie mógł, łkając, ściskając ją,

szukając na twarzy dziecka śladów tego, co przecierpiał. Znalazł w istocie Bietkę spoważniałą, smutniejszą, zmęczoną, bez tej młodej, trzpiotowatej wesołości, którą miała, gdy ją po raz pierwszy u Bieleckich zobaczył. Pobyt przy królowej, - wtajemniczenie w tyle gorzkich życia zadań uczyniło ją starszą.

Płaza nie mógł się teraz nią nacieszyć; przeprowadził tylko do wrót zamkowych i pożegnał.

Nazajutrz mieli się zejść u Bieleckich.

Córka na twarzy ojca nie mogła odgadnąć, czy z sobą przywiózł pociechę, czy zawód; nie mówił jej nic o sobie.

Drugiego- dnia po przybyciu z powrotem do stolicy zostało z podróży mgliste tylko

wspomnienie i podarki, jakimi się ona przypomiwała. Król powracał tak niepewien skutków jej, to się ciesząc, to powątpiewając, iż żadnej z tego miary powziąć nie było można o osiągniętym celu.

Najwidoczniejszym było, iż rad wracał do wygodnego krzesła, w którym go noszono, do swojego Ujazdowa, do wieczornych zabaw i towarzystwa.

Zaraz nazajutrz Pac, Platenberg i ich pomocnicy ze zniwem pogłosek poczęli się ścigać.

Jedni utrzymywali, że król mógł w sejmie rachować na zwycięstwo, drudzy położenie znajdowali bardzo niebezpiecznym i groźnym. Nie można było utaić tego królowi, że wyjąwszy pewne koło zupełnie mu oddanych senatorów, ogromna ich większość ze szlachtą razem gwałtownie się

oświadczała przeciwko wojnie. Powtarzano głośno słyszane z ust Radziwiłła wyrazy, że prędzej sobie da rękę uciąć, niż jakiegokolwiek patenty lub uniwersały dotyczące się samowolnych zaciągów przypieczętuje. Za jego przykładem szli mimowolnie kanclerze koronni.

Król, uśmiechając się, poruszał ramionami.

— Niechże mi dadzą pokój, przypisując wywoływanie wojny! O niczym nie wiem, ale przewidywać muszę, że Turcy nas napastować mogą! Tiepoło przybył nie dla żadnych układów, wiesz mi wesela. Mnie bawi oręż, cekhauz, wojsko; maż mi być wzbronione własnym kosztem je ścigać? *Si vis pacem, para helium*, gotujemy się obronno.

Całe to postępowanie króla można było zarówno nazwać zagadkowym i zuchwałym; nie dziw też, iż mu przypisywano spisek, za każdy pułk nowo zaciągnięty wskazywano jako sprowadzony na poskromienie szlachty. Sejm — szeptano — zobaczycie, zwołają go w okopach na dworcu kijowskiego biskupa i tam polska *aurea libertas* przez żołdactwo zamordowaną zostanie.

Zuchwalstwo pułków królewskich poniekąd te plotki usprawiedliwiało. Władysław IV, napastowany o to ciągle, nie mając pokoju w Warszawie, nagle, ledwie się opowiedziawszy Marii Ludwice, wyruszył pod pozorem łowów do Płońska i oświadczył, że tam do sejmu pozostanie.

Usunięcie się to z widowni mogło też być rozmaicie tłumaczonym.

Królowa zgodziła się na pożyczanie pieniędzy, biorąc w zastaw klejnoty. Pac i młodzież rada była temu, że król uciekł do Płońska; tu życie jego mniej było na oku niż na zamku i w Ujazdowie. Amandy nie było, Władysław potrzebował rozrywek — na uboczu pomocnicy i dostarczyciele ich więcej mieli swobody.

Gdy król tak dosyć niepewnymi kroki idzie dalej ku rozwiązaniu wielkiego zadania swego, królowa mniej widocznie, ale daleko wytrwalej posuwa się naprzód, jednając ludzi, zyskując poszanowanie, zapewniając sobie wpływ i znaczenie. Wiedzieli wszyscy bliżsi, iż Władysław, otrzymując pożyczkę od żony, zmuszonym był dać jej słowo, że na żaden urząd wyższy bez wiedzy jej mianować nie będzie. Klejnoty oddane w zastaw nie starczyły jako zapewnienie; nominacje na krzesła i urzędy przynosiły dochód, bo zwykle je podarkami znacznymi okupywano. Na pozór więc to przyrzeczenie króla zdawało się tylko ubezpieczeniem dochodów Marii Ludwiki, ale w jej myśli było pierwszym szczeblem do pozyskania wpływu na sprawy krajowe.

Bystrzejsi ludzie, Kazanowscy, Radziwiłł, Ossoliński, nie mogąc nic zarzucić królowej, widzieli już, że z czasem ona tu panować będzie. Władza ta nie obiecywała się jawną, królowi

zostawiała jej pozory, sobie rzeczywiste posiadanie. Daleko jeszcze było zapewne do zdobycia tego stanowiska, lecz wszystko je zapowiadało.

Na przemiany łagodną i ustępującą, to zimno upartą, to obojętną się stawiając, Maria Ludwika powoli, nieznacznie rozszerzała zakres swojego wpływu. Dotąd nawet udało się jej nie wywołać nieprzyjaźni jawnych i niechęci, a miała wiele wielbicieli i zapalonych sprzymierzeńców.

ROZDZIAŁ V

Ojciec i córka równie byli niecierpliwi poufnie rozmówić się z sobą, ale w narożniku u

Bieleckich otoczyło ich tyle ciekawych osób, że ledwie po cichu słów parę wymienić mogli.

Zarzucano ich pytaniami: Płazę o podróż, Bietkę o króla, królowę i wszystkie te uroczyste przyjęcia, które ciekawość obudzały.

W Warszawie, potrzebującej karmić się jakimiś wymysłami nadzwyczajnymi, z jednej

strony prawiono o przyszłym sejmie jako o czymś groźnym i strasznym, z drugiej przesadzano skutki podróży i jej zdobycze. Zmiana u dworu, któremu ubyla Amanda, dotąd nie mająca

zastępczyni po sobie, stosunek królowej do młodego królewicza, którego Niemka mściwa źle

usposobiła dla macochy, wyjazd do Płońska, ściąganie wojsk dostarczały gawiedzi aż nadto treści do tych potwornych wymysłów.

Zaspokoiwszy ciekawość zebranych u Bieleckich gości, Bietka z ojcem na dzień następny

umówiła spotkanie u księdza Stoczka.

Tu mogli być sami. Izdebka była małą, ale gospodarz, sam zajęty w szkółce, oddawał ją im, ustępując chętnie.

Rozpoczęła Bietka naprzód od powieści o swej przygodzie z Nesterackim, o poświęceniu się dla niej Nietykszy.

— A, dziecko moje, ja już wiem o tym wszystkim! — rzekł Płaza. — Przybywszy do

Warszawy, gdym się dowiedział przestraszony o zuchwałstwie tego łotra, któremu Niemka z

pewnością dopomagała, śledziłem, chodziłem, rozpytywałem i pewnie mi tu nic nie uszło. Nie powiesz mi nic nowego, a może ja prędzej cię czegoś nauczę. Z tym zbójem Nesterackim pono nie koniec.

Rzuciła się Bietka.

— Cóż on teraz może?

— Z szalonym mając do czynienia, nigdy człowiek nie odgadnie, kędy się rzuci. Ja ci tylko mówię, że zemsty jego nad tym pocziwym Nietykszą, a może i dla ciebie, lękać się trzeba.

— Królowę mam — poczęło dziewczę.

— A — przerwał ojciec — ma ona zbyt wiele na głowie, aby mogła zająć się twoim losem!

My sami o nim myśleć musimy. Na biedę ja ci dotąd nic wielkiego i świetnego zapewnić nie mogę, a tyś do dworu i zbytku nawykła. Na Litwina też pod czas, aby się mógł ożenić, nie sposób liczyć: Matka, jakaś tam kniaziówna, ani słuchać nie chce, aby lada jaką sierotę zaślubił. Westchnął Płaza.

— Mnie się nie poszczęściło — rzekł — tyle tylko, że Kozacy nazad z listami posłali do

Warszawy, to jeszcze wygrana, ale mojego skarbu na Chortycy anim mógł dostać, ani się po niego wybrać! Musiałem komu innemu zwierzyć, aby go odkopał, no... i mnie, da Bóg, przywiózł,

przysłał, czy ja wiem!

Stary jęknął, czoło z potu ocierając. Bietka poruszyła głowę.

— A, ojczy kochany — rzekła — ten twój skarb to już bodaj jak w bajce! Nigdy my go nie zobaczymy. Jeżeli go odkopie ten, komuś się zwierzył, zabierze go sobie.

Płaza zamruczał coś.

— Nie wiem — odparł — być by i to mogło, a i gorzej, bo go wyszpiegować i pochwycić

gotowi, to mu zabiorą do wspólnej skarbnicy. Liczyć też na to wiele trudno. To, co mamy u księdza Stoczka, dla mnie by starczyło, bo ja pracować jeszcze mogę, ale dla ciebie?

Bietka podniosła oczy ku niemu.

— Ja na to wyposażenie nigdy nie rachowałam — odezwała się cicho, ręką potrząsając. —

Teraz jam królowej potrzebna, więc mi na niczym nie zbywa, mój Litwin żenić się nie może, ale co ty poczniesz, ojczy?

Zmarszczył się stary.

— Moje położenie — odezwał się — dosyć trudne, bo ja już na Niż nie powrócę. Nie,

kozaczyzna mi już kością stoi w gardle, a ona wcale teraz inną, niż była, i lada dzień tam pożar buchnie, którego się nie spodziewa nikt. Ja go widzę...

Zniżył głos trochę.

— Król ich potrzebuje na Turka — dodał — a oni wcale o czym innym myślą. Turek im nie w głowie, chyba jako sprzymierzeniec. Padną na Lachów, którzy im dokuczali, na nich się sposobią i odgrażają; nie mogą z nimi być, bom z siebie jeszcze polskiej nie zwłóknął skóry. Dopóki kozaczyzna była wojskiem Rzeczypospolitej na kresach, mógł się tam człek schronić, w sumieniu nie mając nic, ale gdy się obróci na własną naszą krew...

— Mogłoby to być?! — krzyknęła Bietka. — Tu nikomu się o tym nie śni!

— Hm — rzekł Płaza — nikomu! Może nikomu oprócz króla! Jeżeli królowi nie da szlachta iść na Turka laury i królestwa zdobywać, to się zemści, na szlachtę spuszczając Kozaków z łańcucha. Wiedzą już oni, że króla za sobą mieć będą, choćby się na panów, co tam w Ukrainie siedzą i rządzą, podnieśli. W pismach, które król z Kozakami mienia, nic pewno nie stoi o tym, ale gadki chodzą różne...

— Jak to? Król przeciwko własnemu narodowi miałby...? — przerwała Bietka.

— On ci nic nie pocznie — odparł Płaza — tylko ręce założy. Kozacy skorzystają z tego, że mu byli potrzebni... domyślą się sami. Jeden warchoł butny, o którego nietrudno, stanie na czele, a rejestrowych i nie rejestrowanych Kozaków nie kilkanaście tysięcy, ale sto tysięcy z ziemi wyrośnie.

Płaza spuścił głowę i ciężko jęknął, rękę przykładając do piersi.

— Przysłali mnie z listami, kazali powracać — dodał — ale ja na Niż nie pojedę. Zasadzą mnie jako zdrajcę, tom i tu głowy niepewien, mają wszędzie swoich...

— Do Krakowa lub gdzie indziej musisz się schronić — zawołała Bietka — gdy raz postanowisz!

— Jam to już postanowił — rzekł smutnie Płaza. — Na Niż nie pojedę, nie chcę, nie mogę; ano takim jeszcze głupi, że mi się zdaje, iż przyjaciel Kozak skarb tu mój przywiezie.

Rozśmiała się Bietka i sam Płaza się uśmiechnął.

— Prawda — dodał — że to Kozak taki jak i ja, Lach, co się tam zawieruszył, a tak tęskni za swoim krajem, że rad by Sicz, kozactwo i wszystko, co tam nad Dnieprem by mu się śmiało, porzucić. Toć prawda, ale gdy tę mizerną moją krwawicę spod kamienia dobędzie, a zabrzączą mu

tam złote tureckie monety i poczuje, że bezkarnie sobie przywłaszczyć może, pokusa będzie za sroga.

— A Rzeczpospolita szeroka — dodała Bietka — schować się łatwo.

— Ani ja go szukać myślę — rzekł Płaza.

— Długoż na niego i na ten skarb bajeczny czekać tak myślicie w Warszawie? — zapytała córka.

— Nic nie nagli, dopóki kanclerz mi listów nie da z odpowiedzią — rzekł Płaza — a wedle mego rozumu on ich dać nie może, dopóki sejm nie rozstrzygnie o wojnie. Sejm na koniec oktobra podobno zwołują, pociągnie się pewno do grudnia; do zimy więc ja tu bezpieczny i mogę czekać na mojego Carycę!

Wstał mówiąc to z tarczana, na którym siedział, Płaza i rękami objąwszy głowę córki, stał milczący.

— Mów, co poczniemy? — rzekł w końcu.

— Musimy czekać — odezwała się Bietka — i wszystko, tak jak jest, pozostanie. Co się tyczy Nesterackiego, którego zemsty mi się obawiać każesz, mnie on nic uczynić nie może, ale Nietykszę, jak tylko powróci, przestrzec potrzeba. Nie ma go tu teraz, bo na Litwie ze swym panem albo w Wilnie, lub w Ołyce przebywa.

Rozmowa ojca z córką poufna trwała dosyć długo; rozstali się wreszcie, gdyż dziewczę na służbę wracać musiało do królowej, a Płaza chciał się rozmówić ze Stoczkiem.

Wkrótce też nadszedł blady klecha, znużony bakałarzowaniem, chociaż z wielką miłością je spełniał. Uściskali się starzy przyjaciele.

— Cóż ty, mój ojcze, na to wszystko, co się u nas dzieje? — zagadnął Płaza.

— Ja, miły Lasoto — począł ksiądz — inaczej może widzę sprawy i stan naszej

Rzeczypospolitej aniżeli wy, bo stoję gdzie indziej, w kąteczku kościelnym, w kruchcie mojej, skąd może mi wszystko i inaczej się ukazuje niż z waszych stanowisk świeckich i dworskich. Więc nie po ludzku, nie po rycersku, nie jako statysta, ale jako mizerny klecha, służebniczek Boży, biedactwo krótkowidzące, widzę i sędzę. Nie nauczysz się też nic ode mnie...

— Mów przecież — odezwał się Płaza — ja pewnie mniej jeszcze widzę niż ty... Oślepiły mnie lata długie wśród trzciny i sitowia spędzone, gdzie tylko dzikich kaczek głosy i kozackie pieśni

słyszał.

— Gdy patrzę — zaczął zadumany blady księżyna — na tę naszą Rzeczpospolitą, a wezmę

kroniki do ręki i przypomnę dzieje, strach mnie ogarnia. Doszliśmy do tego, że król nie może tak jak nic, chyba wiarę złamie, że hetman jest na łasce ciurów, co się mogą w związek jutro na niego sprząć i posłuszeństwo mu wymówić dla żołdu, że duchowieństwo nie może wiele, bo połowa

narodu ma predykantów, a są tacy, co ani Boga, ani kapłana nie znają. Powiedzże ty mnie, co z tego może urosnąć?

Wołają głosy wieszczce o naprawę Rzeczypospolitej, wołał tak ksiądz Skarga, prorokując jej

upadek, jeśli się nie zechce poprawić, a prywatą górę weźmie. Cóż z tego? Dziś gorzej może, niż za ojca króla naszego było. Na dworze zgorzenie, z pałacu ono poszło na miasto, a z miasta popłynie po dworach. Wy mi mówicie o Kozakach, Bóg może w istocie posłużyć się i nimi, i

Tatarami, i wszelką różgą mściwą, aby ukarał za winy. Przed nami więc wieki pokuty, może niewoli, może męczeństwa... Módlmy się i kajajmy za grzechy.

Słuchał Płaza smutnie.

— Król przecież zamyśla coś — rzekł — mówią wszyscy, iż mu się rozprężenie nasze uprzykrzyło... ale zmoże-li?

— Król — szepnął ksiądz — powinien by począć reformę od siebie. Sodomą i Gomorą dwór jego, królowa pobożna nie ma władzy żadnej. Przyszły dziedzic korony chowa się w atmosferze zgniłej. Co z niego wyrośnie?

Po smutnej rozmowie ze Stoczkiem wyszedł jak rozmarzony troskami swymi Lasota i

kroczył z głową spuszczoną ulicą, gdy go — „Sława Bohu” — cicho do ucha rzucone rozbudziło.

Parfen szedł obok niego.

— Coś, ty, *batku*, sumujesz, chmurny jesteś? — odezwał się Kozak. — Co tobie?

— Co ma być?! — zawołał trochę niecierpliwie Płaza. — Albo mi tu tak dobrze wisieć a czekać odpowiedzi?

— E, e — rozśmiał się Kozak — jużbyście się skarżyć nie powinni, macie tu swoich, a brak wam braci Kozaków, tom ja jest i bodaj drugi się znajdzie.

— Kto drugi? — spytał Lasota.

— Pewnie go znacie — rzekł Parfen — dopiero wczora tu z Siczy przybiegł, z czym nie wiem. Nie gada...

— Jak się zowie?

— Przewali go Carycą — rozśmiał się Parfen — bo piękny jest, a Lach jak wy; albo go posłali tu, ale ja o tym wątpię, albo on sam, pozwolenia nie prosząc, zbiegł... Jeżeli tak jest, ej, jednym Laszkiem w Siczy mniej, niewielka szkoda, ale on tam wypatrywał wiele, i wie, i nasłuchiwał się tajemnic naszych, wyniesie je... Zła rzecz!

Płaza, który ledwie mógł się powstrzymać od okazania wrażenia, jakie na nim uczyniła wiadomość o przybyciu Carycy, z wolna podniósł oczy na Parfena.

— Jakież on tam tajemnice mógł podsłuchać? — odezwał się. — Starszyzna go na radę nie brała, pisarz do listów nie używał... Widzieliście go? — dodał.

Parfen głową potwierdził.

— Gdzie?

— W gospodzie — mówił Kozak — zajechał jak wy na Długą ulicę, do najmizerniejszej gościny, do Gradziszka.

— Mówiliście z nim? Parfen się trochę zawahał.

— Ano —. rzekł — juściż.

— Z czymże przybył? — pytał dalej Płaza niespokojny.

— Nie chce mówić — rozśmiał się Kozaczek. — Chytry on, ale są chytrzejsi jeszcze; jak bym ja potrzebował się od niego o tym dowiadywać! Sam on mi się zdradził!

Po chwili Parfen, kręcąc głową, dorzucił:

— Kto by Carycę wysyłał? Zdać się on mógł, z samopalem lub szablą, ale z głową i z gębą?

Potrzebowali Lacha do Lachów, mieli was, a jednego starczy. Caryca pewnie sobie sprzykrzył na Niżu, ale jemu i tu będzie niezdrowo.

Lasota, który wiedział, że oczów Parfena nie uniknie, wręcz otwarcie się odezwał.

— Iść mi zaraz do Gradziszka do niego. Znam dobrze Carycę, muszę się z nim widzieć.

— Jam tegoż tak pewnym był, że z tym do was przyszedłem — mówił Kozak. —

Rozmówcie się. Prędeż on wam się do czego przyzna niż przede mną.

Nie odpowiedział nic Płaza.

Kozak doprowadził go do rogu Długiej ulicy, pokazał mu Gradziszka dom i pokłoniwszy się, zawrócił na Miodową.

Niespokojnie zdązał Płaza do gospody, gdyż przybycie Carycy nieledwie miało znaczenie, że mu się powiodło na Chortycy i że nie myślał sobie cudzego mienia przywłaszczając. Było to istnym cudem, nie poddawał się też przypuszczeniu Płaza: „Nie powiodło mu się może? — Zawsze stateczny człek!”

U Gradziszka o tej godzinie pusto było prawie, goście jego po mieście się rozeszli.

Gospodarz sam, mały człeczek, brudny i dosyć odarty, stał we drzwiach.

Rzadką jeszcze naówczas było rzeczą zażywanie tabaki, chociaż się od lat kilkudziesięciu do Polski ziele to wkradło. Miała je pono Anna Jagiellonka w doniczkach, a w królewskim ogrodzie przy pałacu na Krakowskim pokazywano cudowną roślinę tę, której naówczas przypisywano wszystkich chorób leczenie cudowne. W Krakowie już sprzedaż tabaki w tychże latach zaprowadzona została; sprzedawano ją w Warszawie.

Gradzisz należał do tych, co się lecąc od bólu głowy, do tabaki nazwyczajili. Stał przed

wrotami trzymając w ręku spore pudełeczko, ponad którym nos jego gulowaty zwieszony był, aby to, co w niego ręka troskliwie pakowała, na ziemię się nie uroniło.

Wszyscy, co go znali, wiedzieli, iż gdy był zażywaniem zajęty, nie godziło mu się i na

próżno było przerywać, bo nie mógł się dać oderwać od tego, co miał za rodzaj tajemniczego jakiegoś obrzędu. Gradzisz taką wagę przywiązywał do naładowania nosa, iż będąc bardzo

pobożnym, a nie mając pewności, czy zażywanie było dozwolone w Kościele, męczył

duchowieństwo nachodząc je, aby niezmiernie ważną tę wątpliwość urzędownie rozwiązało.

Na pierwsze więc pozdrowienie nie odpowiedział zagadnięty i dopiero gdy tabaka była

wciągnięta, palce skrzętnie otrzepane, pudełeczko szczelnie zamknięte a nareście schowane do

kieszeni, podniósł głowę.

Płaza, przywitawszy go, miał spytać o Carycę, ale nie wiedział, pod jakim *on* tu przybył nazwiskiem i postacią.

— Macie tu jakiego z Kusi hożego bardzo pana — zapytał — wczoraj pono przybyłego?

Gradzisz głową skinął, domyślił się, o kogo chodziło.

— W gospodzie czy na mieście?

— Widzi mi się na mieście — rzekł Gradzisz ochryplym głosem, który niedobre dawał

świadcstwo o leczebnych * skutkach rośliny tabago. — Słuszny! Oczy czarne! W istocie bardzo hoży! Rycerska postawa! Tak?

— Tak.

— Wczoraj przybył głodny — mówił Gradzisz — podjadł dobrze, spał też jak się należy, a

oto ze skrzynką, którą na wózek włożyć kazał i powiózł na miasto, wyruszył.

Płaza, usłyszawszy o skrzynce, ręce mimowolnie złożył. Uradowany począł dziękować.

— Bóg zapłać, panie gospodarzu, Bóg zapłać!

Pożegnali się uprzejmie. Lasota śpieszył na róg Piwnej, gdzie był pewien prawie, że zastanie Carycę. Na wschodach go spotkała Bielecka.

— A idź waszmość do mieszkania, bo tam jakiś chłop... ale śliczyż, śliczny, choć maluj, czeka na was! Skrzynkę przywiózł i siedzi na niej.

W starym Płazie sił przybyło, rzucił się co żywo do swej izby. W istocie Lackowicz tu

siedział spokojnie na skrzynce, łokcie sparłszy na kolanach, i czekał. Przebrał się już był po polsku i z Kozaka w nim chyba tylko ruchy pewne rubaszne pozostały. Zobaczywszy Płazę, na szyję mu się rzucił.

Ten mówić nie mógł ze wzruszenia.

— A toć cud! — wyjęknął wreście.

— Ja sam mówię, że cud — podchwycił Lackowicz. — Czasem się składa wszystko

malikowato, co krok to się potyka, a tu się tak złożyło, że gdzie już ginąć było trzeba, lada co ratowało. Na Chortycy mnie o mało nie pochwycili, nadpłynęła kozaczycha z czółnem i zabrała z

sobą; potem w Kijowie już mnie mieli w ręku prawie, bo zwąchali, że ja pójdę precz, a tu się trafił starosta Wasilkowski ze dworem powracający do Polski i wprosiłem mu się do dworu. Masz twój skarb nie tknięty! — rozśmiał się na ostatku, wstając ze skrzynki, Lackowicz.

— Patrzaliście wewnątrz? — zapytał Płaza.

— Po co? — odparł Kozak. — Ciekawości nie miałem. Z ciężaru wnoszę, że cię nie okradli.

Lasota się zdumiał przekonując, że skrzynka była zamknięta, klucza od niej nie miał od dawna.

— Prawda — odezwał się w tej chwili Lackowicz — głupim był, że nie zazierałem. Mógł kto wybrać złoto a kamieni narzucać, a jam je darmo dźwigał.

Płaza już był w kuchni u Bieleckich, pochwycił tępą siekierę starą, powrócił z nią i wziął się do zamku, który nie bardzo się opierał.

Zajrzeli oba — odetchnął Płaza. Wszystko tam leżało, jak było, tylko chusty pogniły i poczerniały, worki się porozłaziły, a pieniądze, połamane kawałki złota i srebra pozlepiały się jakąś wilgocią na kupki. Lasota wyciągnął ręce do przyjaciela i wskazał mu na skrzynkę.

— Bierz, weź, ile chcesz, to nasza wspólna własność! Śmiał się Lackowicz, spuściwszy oczy.

— Najmilej by mi było nie tknąć ani złamanego szeląga — rzekł — ale swojego grosza mało mam, a nim sobie służbę znajdę, dość czasu upłynie, muszę żyć, pożyczysz mi, ile zapotrzebuję.

Natychmiast posłał Płaza, który rad pił, po wino i zasunawszy skrzynkę pod łóżko, wesół poczał przyjaciela przyjmować.

— No, przyznaj się — rzekł Lackowicz — byłeś pewny, że ja z twoim skarbem pojedę w świat. Jam to czuł. Dlatego mi się haniebnie chciało powrócić z nim, aby ludzie wiedzieli, że taki nie wszyscy są zbóje.

Nic nie mówiąc, Płaza śmiał się.

— Więcej — rzekł — lękałem się, aby cię nie pochwycili. Wszczęła się rozmowa o

kozaczyźnie, o buntowniczym duchu, który się tam wywiązywał, a Lackowicz poświadczył, że wiatr, który zawiewał z Warszawy, rozdymał ten pożar jeszcze dopiero tlejący.

Przestrzegł go o Parfenie Płaza, poczęli radzić, co z sobą poczną dalej. Oba stanowczo powracać nie myśleli, choć Płaza przewidywał, że go na Niż popychać będzie kanclerz, chcąc mieć tam kogoś, co by donosił o przygotowywaniu się Kozaków.

Na te szeptu i narady weszła niezmiernie ciekawa pani Bielecka, którą nadzwyczajna piękność przybyłego nabawiała niepokojem. Zalotna, ciekawa, chciała wiedzieć, i kto to był, i choć resztkami goniła, pobałamucić go trochę. Wynikło z zapoznania się z nią, że Lackowicz został na łyżkę barszczu zaproszony na jutro.

Nie miał też co robić w Warszawie.

Płaza mu zalecił, aby przyszedł zawczasu. Po tak długiej niebytności w kraju, który zaledwie głównymi rysami swymi pozostał w pamięci, skozaczałemu, zdziczałemu świat ten jeszcze się dziwniej czarodziejско pięknym wydawał niż Płazie. W ulicy Lackowicz stawał i przyglądał się pannom przechodzącym, postrojonym, świeżym i białym twarzyczkom miejskim z zachwytem. Po opalonych licach Kozaczek te wypieszczone istoty wydawały się aniołami malowanymi. Nawet odświeżana co dzień pani Łukaszowa, której twarzyczka, od brwi i warg poczynając, cała była dziełem sztuki, zachwycała Lackowicza.

Ani pomyślał o tym Płaza, jakie wrażenie piękna Bietka zrobi na tym przyjacielu. Ona też na obiad przybiec miała z zamku i wszyscy już czekali tylko na nią, gdy dziewczę zadyszane przybiegło. Bielecki, będąc na zamku, oznajmił jej o przybyciu przyjaciela ojca, a łatwo się, domyśliła, kto on był. Ciekawie śpieszyła go zobaczyć i dziękować.

Na widok wbiegającego dziewczęcia, które się przystroiło nieco, choćby dla ojca, aby się córki nie wstydził, biedny Lackowicz osłupiał i oniemiał. Raziła, go jak piorunem, a musiało to być bardzo wyraźnym, bo. się zarumieniła. Ani Płaza, ani Bielecki przytomny nie spostrzegli, co się stało. Lackowicz, zachwycony, gdy przemówiła do niego, zabełkotał i odpowiedzieć nie potrafił.

Dopiero wchodząca Bielecka ze swym instynktem kobiecym jednym spojrzeniem odgadła, co się tu działo. Zobaczyła Bietkę zakłopotaną, a Lackowicza jakby skamieniałego.

„Przepadł chłop!” — powiedziała sobie w duszy.

Po chwili dopiero gość się jakoś wytrzeźwił i opamiętał, a Bietka, przypomniawszy

Nietykszę, spoważniała. Miała na rękę jego pierścionek.

Przy obiedzie Lackowicz, choć się z niego wyśmiewano, że z ruska zarywał, żywo opowiadał o podróży, o sobie, o Kijowie i dowiadywał się, co tu słychać było.

W górze mówiono tylko o wojnie, w dole o królu i królowej. Właściwie mało tu kogo obchodziło wojsko królewskie, nieporozumienie z senatorami, pułki niemieckie, ale z rozbudzoną ciekawością śledzono każdy krok Marii Ludwiki, której przypisywano oddalenie Amandy, pozyskiwanie sobie zręczne panów u dworu, i prorokowano, że w końcu królem zawładną, zauszników i pochlebców rozpędziwszy.

Takie było zdanie prawie wszystkich. Wielkiej miłości nie pozyskała sobie zimna królowa, ale w niej przeczuwano panią.

— Francuzka — mówił po cichu szafarz, powtarzając jakieś słowo, które biegało po dworze

— Francuzka szturmem króla nie weźmie, ale się podkopie! Przybyła tu we łzach, król jej znać nie chciał, nie patrzył na nią, Niemka nim rządziła; królowej nikt nie pomagał, została sama, a teraz...

tylko co nie widać, jak król się przed nią układać będzie musiał. Naprzód pieniędzy już jej winien siła... a potem!

Bielecki głową pokręcał:

— Mądra pani.

Ujęła się za nią Bietka.

— Ja z nią od rana do wieczora jestem — rzekła — bo co chwila coś tłumaczyć muszę i

objasniać, a mam wiarę u niej, nikt jej lepiej nie zna. Urodziła się na królowę, ma cierpliwość i rozum, milczy i nigdy się nie unosi, a płacze czasem, to w kątku. Król się jej już wstydzi, uciekł

przed nią do Płońska, Pac go namówił, bo tam swobodniejszym będzie, a na zamku, choć on pan i król, przed królową oczy spuszcza. Dowiedziała się niedawno królowa, że bez jej wiadomości obiecał pana kasztelana krakowskiego uczynić hetmanem wielkim, aby go sobie na wojnę

pozyskać. Trzeba było wiedzieć, jak się jej pokornie tłumaczył, bo bez niej żaden przywilej nie może być podpisany ni przypieczętowany.

— Ho ho! — potrząsnął głową Płaza. — A toć wiele!

— Me dotrzymuje król słowa — dodała Bietka — to prawda, ale musiał je dać.

Nowe tedy panowanie się zdało zapowiadać.

— Król bo — dodał Bielecki — haniebnie podupadł przez tę podagrę i cierpi srogie męki.

Zamek się czasem od krzyków jego rozlega. Choroba to, z którą, doktorowie powiadają, można żyć długo, ale co życie warto w takich boleściach! A odejdzie cokolwiek Najjaśniejszemu Panu, że wstać może, zaraz na polowanie i ani w jedzeniu, ni w picciu się nie powstrzyma.

Tu Bielecki, nie kończąc, się po ustach uderzył dając znak, że o reszcie zamilczeć musi.

Mówiono i o królewiczu, który przez Niemkę w początkach do macochy był zrażonym, ale

powoli zdawał się teraz zbliżać do niej. Król na to nie nalegał. Na chłopaku wszyscy najwięcej pokładali nadzieje.

— Drugiego potomka trudno się spodziewać — dodał Bielecki żartobliwie — król myśleć o tym nie ma czasu.

Przez cały prawie obiad rozmowa się tak obracała około spraw powszednich, a głównie około sejmu.

Lackowicz mało co się odzywał, a niewiele może słuchał, tak się wpatrywał w Bietkę i rozmarzał jej pięknnością i rozumem. Wszyscy też, gdy otworzyła usta, zwracali pilną uwagę na to, co mówiła, bo była prawie nieodstępna przy królowej.

Czas przechodził szybko i zaraz po obiedzie dziewczę musiało na zamek powracać, Bielecki na ratusz szedł, jejmość jego na nieszpory do Augustianów, a Płaza z przyjacielem pozostali sami.

Wolnych tych godzin, zamknąwszy się na klucz, użył Płaza przy pomocy przyjaciela do

uporządkowania swojego skarbu, który był w największym nieładzie, prawdziwie kozacka łupież; składał się on z poodbieranych Tatarom i zdobytych na Turkach wschodnich i włoskich wyrobów jubilerskich i złotych portugalców i donatywek. Były tam i pogięte kielichy, pateny, monstrancje, talerze, naszyjniki i łańcuchy. Z tych jednak mało całego się uchowało i Płaza myślał o sprzedaniu bruchu na wagę, pieniądze zostawując bez wymiany, bo te zawsze było łatwo puścić. Szły

wszędzie.

Zmusił Lackowicza, aby sporo sobie wziął i nie myślał o oddaniu.

„Dałbym ci ja to wszystko i dziesięć razy tyle — mówił sobie w duchu Lackowicz —

gdybyś mi swą Bietkę za żonę dał.”

— Co teraz poczniesz? — dokończywszy obrachunku i' skrzynkę zasuwając pod łóżko,

odezwał się Płaza, — Mnie się widzi, że rodziny nie mając, a z taką postawą, twarzą i rycerską wprawą, jak wasza, nie ma innej drogi, albo się do królewskich pułków zaciągnąć, albo do służby którego z panów.

— Daj mi się rozpatrzyć — odparł Lackowicz. — Z tego, co od was tu słyszę, królewskim pułkom długiego życia wróżyć nie można. U panów zaś, kto piecu nie ma...

Z tym się rozstali.

W kilka dni potem nadjechał kanclerz Radziwiłł, na sejm już pośpieszając, a z nim

Nietyksza. W czasie pobytu swojego na Litwie dojechał on do matki do Borbiszek, chcąc ją widzieć i przekonać się, czy zmiękczyć jej nie potrafi. Stara Giedyminówna okrzykiem go powitała,

obsypała pieścizotami, ale po kilka razy na dzień, sama wracając do tego przedmiotu, powtarzała mu:

— Tylko mi nie mów o dworze!

Nietyksza też nie wspomniał wcale, chociaż z twarzy czytać mogła, że o niej myślał. Stara

popróbowwała go do gospodarstwa znieść, do wsi, do koni, ale się jej nie powiodło. Syn nie chciał

jeszcze się pod Olkienikami zakopać w cichym dworze. Księżę Radziwiłł był nań łaskaw.

W Warszawie z wielkim zdumieniem swym od przyjaciół których tu miał, dowiedział się

nowiny prawie nieprawdopodobnej. Zaręczano mu, że Nesteracki się ukrywał gdzieś w bliskości, że go widziano wieczorami około zamku i choć mu jego opiekunki zabrakło, kręcił się tu zapewne nie bez celu. Niepodobna było przypuścić, ażeby na dziewczę przy królowej będące śmiało się ważyć porywać, lecz w złym człowieku zemsta mogła się ukrywać i szukać sposobnej do objawienia chwili.

Nietyksza go ścierpieć nie mógł; postanowił się przekonać naprzód, czy istotnie się tu

znajdował, a potem postarać o to, aby go jako o gwałt obwinionego ujęto.

Byli ludzie, którzy zaręczali, iż go wieczorami widzieli, poznali i omylić się nie mogli.

Nietyksza zasadził się w ciemnych krużgankach zamkowych raz i drugi, miał pomocników

chętnych, lecz Nesterackiego nie poszlakowano. Wiedziano dawniej, z kim on kupczył obrokami i

sianem, podesłano tam i nie znaleziono go także. Straciwszy dosyć czasu, Litwin wręście jednego wieczora, już z zamku idąc, w ulicy się z nim spotkał. Nie mógł się omylić; Benedyk w pierwszej chwili chciał uchodzić, ale silny przeciwnik rzucił się na niego i krzyknąwszy na alarm, zatrzymał.

Trwało to jednak krótko, bo Nesteracki, noża z za pasa dobywszy, ranił go tak silnie w pierś nim, iż Litwin padł, brocząc we krwi, na ziemię. Nim ludzie na wołanie od zamku pośpieszyli, Nesterackiego już nie było.

Rannego ciężko Nietykszę obwiązawszy na zamku, zawieziono do Radziwiłłowskiego

dworu, a nazajutrz za staraniem kanclerza przy bębnie obwoływano, aby Benedyka Nesterackiego imać i do sądu dostawić jako gwałtownika i mordercę.

Co się z biedną Bietką działo? Pocieszano ją, że rana nie groziła życiu Litwina, lecz była to nowa krew przelana dla niej.

ROZDZIAŁ VI

Około dwudziestego października stolica nad Wisłą już się zaczynała napełniać co dzień nadciągającymi gośćmi. Król z Płocka powrócił, dnia 25 miał być sejm otwarty.

Lecz widzieć potrzeba było, w jakim usposobieniu przybywali senatorowie i szlachta. Król,

jak zawsze się uskarżając na nogi, na boleści, przyjechał na umyśle pozornie swobodny i wesoły, lecz ci, co go znali, widzieli, że paliła wewnątrz niecierpliwość gorączkowa, którą obojętnością pokrywał.

Prawie na wysiadanym znalazł się marszałek Kazanowski, we dwu poszli razem do sypialni, gdzie wieczerzę podać kazano. Kazanowski był jak zawsze posłusznym bez ograniczenia narzędziem króla, ale teraz przekonania jego nie podzielał. Służył mu bolejąc, że się Władysław łudził.

— Co mi powiesz? — odezwał się król żywo. — Usposobienie jakie? Widziałeś kogo?

— Mnóstwo osób.

— Jakże są usposobieni?

Kazanowski milczącym ramion ruszeniem odpowiedział.

— Bojaźliwi są — przerwał król — nikt nie ma odwagi przeciwko prądowi płynąc, ja muszę mieć męstwo za wszystkich. Dysymulowałem dotąd; dziś już nie pora.

— Gdybyś chciał — odezwał się marszałek — na nic się to nie przyda, przygotowania są

nadto jawne. Wojska po kraju i w stolicy rozstawione dokuczliwie się czuć dały.

Władysław się rozśmiał.

— Wiem. Skargi są powszechne, a zatem niech mi pomogą z kraju wyprowadzić regimenta!

Ja nic innego nie żądam. Sejm...

Spojrzał na przyjaciela, który usłyszawszy o Sejmie, mocno się skrzywił.

— Rachujesz na sejm? — szepnął.

— Mój Boże — gwałtownie wtrącił Władysław — pracowałem tyle nad przygotowaniem

do niego, że jeśli nie na cały sejm, to na czoło jego liczyć, zdaje mi się, mogę! Zresztą ty znasz myśl moją.

Kazanowski spuścił głowę i milczał długo.

— Rozważ dobrze, niżeli krok uczynisz — rzekł. — Nie potrzebuję mówić, że mnie u swojego boku mieć będziesz, ale...

Król powstał z łoża.

— Czytajże historię — odezwał się do Kazanowskiego — inaczej się do władzy nie

dochodzi, a tu władza jest koniecznością. Z moimi zaciągami, z żołnierzem, jakiego mamy, wierząc mi, całej tej niespokojnej szlachcie rady damy, a senatorowie pójdą nie przymuszeni, jak skoro przewagę u mnie zobaczą. Dlatego chciałbym wszystkie o ile możliwości zaciągi dokoła Warszawy porozstawiać, aby były na zawołanie.

Zapalał się król, a Kazanowski zdawał przeciwnie ostygąć. Czas jakiś panowało milczenie.

— Wiesz — odezwał się marszałek — nie spodziewam się, abyś komu oprócz nas kilku

zwierzał się z tych myśli swoich, a jednak one już obiegają z ust do ust. Wszyscy są przerażeni.

Jest to bardzo niepomysłnym — dodał. — Mam to przekonanie, że po dojrzałej rozwadze ty

swój plan zuchwały zmienisz, a przynajmniej teraz go nie zechcesz przeprowadzać do skutku, tymczasem burzy on już umysły i zniechęca.

— Nie spodziewam się, aby mnie kto zdradził — rzekł król ponuro — ale samo

koncentrowanie się wojsk i powoływanie ich pod Warszawę...

— Popłoch panuje w mieście — mówił dalej Kazanowski — przywożą go z sobą

senatorowie. Widziałem z nich wielu, bo śpieszyli do mnie o czymś się dowiedzieć. Staralem się ich uspokoić.

— Me potrzeba było im dawać się ludzić — wtrącił król — nie czas już. Ja, ty, wszyscy winniśmy mówić otwarcie, że wojna jest nieuchronną, że ja jej żądam dla dobra i sławy Rzeczypospolitej. Poniosłem ofiary, gotówem do nowych, nie odstąpię!

Król drżał cały mówiąc: —Potrzeba przygotować do tego umysły.

Przerwana została rozmowa. Oznajmiono Ossolińskiego. Kazanowski spokojnie usunął się nieco na stronę. Kanclerz wszedł poruszony i jakby się śpieszył.

— Szczęście to, żeśmy się Waszej Królewskiej Mości doczekali — począł całując podaną rękę. — Jesteśmy obłożeni pytaniami niedorzecznymi, panika powszechna. Senatorowie przybywają zrozpaczeni, a pierwszym ich słowem: — Wojna?

Z uśmiechem wymuszonym przerwał Władysław Ossolińskiemu.

— Potwierdźcie to im, nieuchronna! Kanclerz jakiś czas stał namyślając się.

— Ogólne usposobienie najgorsze — rzekł — taić tego nie można.

— Me damy się mu złamać — przerwał Władysław. — W Krakowie czasu koronacji, we

Lwowie w ciągu mojej podróży musiałem ciągle kruszyć kopie za programem moim, udało mi się wielu pozyskać. Nie wszyscy są przeciwni, ale tu obawa szlachty, która ma wstręt już do wszelkiej wojny! Rachuję na to, że zebrani na sejm jedni drugich nawracać będą.

Kazanowski i Ossoliński ukradkiem spojrzeli na siebie i oba już zamilkli, wyrzekając się dalszego z królem sporu. Władysław okazywał wielką pewność siebie i bezpieczeństwo.

Kanclerz wspomniął o listach od Kozaków otrzymanych.

— Należy ich oszczędzać i słuchać — rzekł król. — Są mi potrzebni, chcę ich mieć dla siebie. W ostateczności... — nie dokończył. — Z odpowiedzią strzymać się musimy do końca sejmu.

Kanclerz zabawił niedługo, Kazanowskiego król, poszeptawszy mu coś na ucho, odprawił zaledwie, gdy Pac już mu nowych gości oznajmiał, nad których przyjęciem król się namyślał

zasepiony.

Kasztelan gdański, wojewoda rawski, kasztelan sieradzki odesłani zostali z przeproszeniem do jutra. Powiadano, że Najjaśniejszy Pan znużony był i cierpiący.

Podagra służyła teraz doskonale, ile razy chciał się pozbyć odwiedzin natrętnych. Bocznyymi drzwiami wpuszczono dworskich urzędników i te osoby, z którymi król widzieć się żądał.

Dnia tego aż do późna antykamery były pełne, nieustannie zajeżdżały kolebki, senatorowie, biskupi, jedni po drugich, z twarzami przeciągniętymi, domagali się posłuchania. Podkomorzy miał ciągle do czynienia, tłumacząc znużeniem króla. Wszyscy odchodzili zafrasowani, szepcząc, a niepokój na wszystkich twarzach był jakiś niezwyczajny.

Tymczasem do króla powołano potajemnie Rejnera, jednego z dowódców zaciężnych pułków, potem dwu jeszcze pułkowników piechoty. Tym Władysław wydawał rozkazy ożywiony, wesół i każdego z nich prawie czymś obdarzał. Toteż na twarzach cudzoziemców malowało się uszczęśliwienie, gorliwość do służby i niezwykła buta.

Nieco się tych cichych posłuchań pod wieczór przebierać zaczęło, gdy król zadumany postrzegł stojącego nie opodal od łóżka swego ulubionego młodego Paca. Faworyt ten, który zwykle fantazjom miłosnym króla dopomagał i we wszystkich intrygach dworskich był czynnym, zazwyczaj wesół, dobrej myśli, Władysława umiał rozchmurzać i przynosił mu coś do zabawy, tym razem, choć nie stracił pewności siebie, stał głęboko zadumany.

— Pac, co tobie? — zamruczał król, który sam będąc rozochocony, nie lubił przy sobie twarzy posepnych.

— Nic, Najjaśniejszy Panie — odparł dworak — nie ma właściwie nic, ale co się dzieje w Warszawie u nas, opisać trudno.

— Cóż się dzieje? — spytał król. — Senatorowie...

— A, gdyby tylko oni! — przerwał Pac. — To się po większej części stare grzyby, nie dziw, że ich panika ogarnia, byle się co poruszyło; ale w mieście nawet, na prowincjach, między szlachtą strach jakiś, trwoga.

— O co? O co? — począł Władysław.

— Najdziwaczniejsze wieści roznoszą ludzie — ciągnął dalej Pac. — Senatorowie z nimi

już tu poprzyjeżdżali. Niektórzy twierdzą, że po drodze spotykali pułki nowe, ciągnące z ordynansami do Warszawy. Mówią, że wydane są rozkazy, aby się tu pod sejm wszystkie siły zgromadziły. Kto ich wie, co plotą! Sejm ma się odbywać pod grozą i naciskiem siły zbrojnej, a drudzy się już o gardła lękają.

Pac ramionami rzucił, król zamiast się oburzyć, rozśmiał się.

— Dać pokój tym plotkom — rzekł cicho — niech się wygadają. W części też to prawdą

jest, że powołał niektórych pułkowników bliżej, na oczy. Skargi i zewsząd nieznośne na nich, zwłaszcza z Prus i Wielkopolski, żołnierza trudno utrzymać. Bliżej mnie muszą być karniejsi. Że się szlachta, warchoły, trochę strachu najedzą, nic w tym złego.

— Miłościwy Panie — odparł Pac — ja statystą nie jestem, ale umysły tak poburzone, że

gotowo znowu jak za nieboszczyka pana do rokoshu przyjść. W Wielkopolsce, słyszę, przeciwko pułkom, co tam dokazywały, szlachta się we trzy tysiące zebrała jak na nieprzyjaciela.

Król słuchał zadumany.

— Rokosh? — zamruczał. — A wieszże ty, że ja bym może rad mu był?

Pac słuchał zdziwiony, król mówił dalej.

— Byłby mi dziś na rękę, bobym go rychło uśmierzył, a przy tym i buty szlacheckiej przytarł. Potrzebują nauki krzykacze.

— Gdyby to tylko szlachta niespokojna — wtrącił Pac — ale z senatorami... Zbierają się na

consiliabula potajemne, radzą, skupiają się do oporu. Sejm się gotuje niespokojny, a wszystko z tych plotek. W mieście popłoch taki, że rada uspokajać musi. Kupcy obcy, którzy na sejm

poprzybywali, stoją w rynku z nie rozpakowanymi wozami, posłyszeli, że wojska zaciągać mają, że może przyjść do starcia, do rzezi. Ktoś sobie zmyślił, że w okopach, którymi książę biskup kijowski swoją nową posesją otoczył, ma się sejm odbywać, a wkoło obóz stanie zaciężnych, którzy na dany znak się rzucą na posłów i senatorów.

Król słuchał, nie okazując ani zdziwienia, ani ażeby mu to przykrość czynić miało. Usta mu się czasem uśmiechały ironicznie.

— Około tych okopów — mówił dalej Pac — ciągle z miasta krążą tłumy gawiedzi, a w

mieście co godzina to nowina. My z przychodzącymi, rozpytującymi, strwożonymi rady sobie dać nie możemy.

— Dajcie bo im się trwożyć, kiedy chcą — zamruczał król — nie uspokajajcie zbyt. —

Wśród tej rozmowy głos chłopięcy jasny i wesoły dał się słyszeć za drzwiami od pokojów

królewicza. Otworzyły się podwoje i mały Zygmunt Kazimierz, w kołpaczku z czaplím piórem, po polsku ubrany, przy szabelce dobytej z pochew, wpadł przed łóżko ojcowskie i stanął śmiejąc się jakby w gotowości do boju. Król z czułością spojrział na ślicznego chłopaczka i uradował mu się.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał chłopak — mówią, że idziemy na wojnę! Ja też chcę na wojnę! Krzywousty był także młodziuchny, a ojciec mu pozwolił... Ty mnie weźmiesz z sobą?

— Ale wojny nie ma jeszcze! — odparł król.

— Nie ma? Ale wszyscy wiedzą, że ona będzie — ciągnął dalej Zygmunt. — Naprzód, jeżeli szlachta się sprzeciwi ojcu, pobijemy z Rejnerem szlachtę, rozpędzimy ją; panowie senatorowie puciekają, a my z Niemcami i Włochami i z naszymi pułkami wyciągnę w pole.

Mamy Kozaków też...

Król i śmiał się, i ramionami rzucał.

— Któż ci to wszystko plecie? — zapytał.

— Kto? — paplał młody, tupiąc nóżką. — Wszyscy, wszyscy. Wiadomo, że będzie wojna, a naprzód sejm trzeba...

Władysław nie dał mu dokończyć. Wysoki, cienki, w niemieckim stroju pedagog, który wszedł za królewiczem, stał za nim, na próżno usiłując go nakłonić do milczenia. Król po niemiecku zwrócił się do niego z wymówkami, że dziecku dozwala słuchać i powtarzać baśnie.

Tak się ten dzień zakończył, ale nazajutrz niepokój zamiast się uśmierzyć, zdawał rosnać.

Od godziny dziewiątej już zamek oblegały kolebki senatorów. Jeden z pierwszych przybył

powracający z podróży książę Albrecht Radziwiłł, którego król szanował, ale się obawiał, bo go sobie niczym zjednać nie mógł, gdy szło o sprawę publiczną, a kanclerz miał powagę taką, że na drugich wpływ przeważny wywierał. Choć gość ten ranny nie bardzo był miły może

Władysławowi, przyjmując go musiał twarzą jasną i uprzejmą.

Unikając rozmowy *de publicis*, król naprzód wyraził kondolencją dla Radziwiłła z powodu śmierci siostry żony jego, starościny międzyrzeckiej Czarnkowskiej; spytał potem o sprawę, jaką miał kanclerz o grunta na Łukiszkach w Wilnie, o Pińsk, skąd powracał. Wszystko to widocznie było skierowane dla odwrócenia rozmowy od sejmu i wojny.

Radziwiłł, krótko podziękowawszy za troskliwość Najjaśniejszemu Panu, sam już zagaił o sejmie. Umysły, jak mówił, były poruszone wielce wieściami wojennymi.

Dotąd, znając usposobienie kanclerza, po kilku nadaremnych próbach nawracania go

Władysław zapierał się, ażeby chciał wojnę wywołać. Twierdził, że tylko ku obronie się uzbrajał.

Zmiarkował wszakże, iż dłużej uwodzić go tym nie było podobna.

— Wojna — podchwycił cicho — wojna, mój książę, wierz mi, jest ze wszechmiar nam

potrzebną. Nie mówiąc o tym, iż nam sławę przynieść może, a nawet ziemie nowe, dla szlachty już zbyt zgnuśniałej i w próżnowaniu rosnącej w butę jest jedynym środkiem do odrodzenia. Starego polskiego ducha rycerskiego podnieść potrzeba.

Radziwiłł słuchał.

— Nie przeczę temu, Najjaśniejszy Panie, wojna ma swą dobrą stronę, ale też i groźną.

Człowiek w niej mądrzeje, ale dziczeje razem.

— Przypomnijcie za Batorego — dodał król — jak pod koniec panowania uspokajały się umysły, jak narady sejmowe zyskały, pozwalano na pobory...

Kanclerz zaprzeczył ruchem dobitnym.

— Pewna to rzecz — rzekł — że król Stefan nie od trucizny zmarł, jak bałamutnie twierdzono, ale zniechęcony przez krzykaczów. — Wojna im usta pozamyka — odparł król.

Radziwiłł nie odpowiedział już na to i widocznie chciał inny dać zwrot rozmowie.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się — potrzeba by uspokoić ludzi potrwożonych puszczonej pogłoskami. W mieście trwoga okrutna. Szlachta, która się zjeżdża, przejmuje się nią.

— O cóż się trwożą? — spytał król, jakby nie wiedział.

— Pułki nowo zaciężne w Warszawie, pod Warszawą — mówił Radziwiłł — dają do myślenia. Należałoby je oddalić, a nie ściągać teraz, bo nikt nie wybije z głowy ludziom niedaleko

widzącym, że one tu jako pogróżka dla sejmu są powołane. Nigdy w świecie takiej myśli nie śmiałybym przypuścić, ale dla prostych ludzi jest pewien pozór...

Spojrzał na króla, który ustami wykrzywionymi i całą twarzą okazywał zniecierpliwienie.

— Te pułki stanowią dla mnie — rzekł — mogę powiedzieć, jedyną rozrywkę. Obchodzą

mnie, są moim dziełem. Jest to siła nowa, którą ja daję Rzeczypospolitej. Możnaż wymagać, abym ja je rozpraszał? A potem co — dodał żywo. — Gdy je porozsyłam i pójdą na zimowe leże, narzekanie na swawolę, na gwałty. Ja chcę je mieć pod ręką i na oczach.

— Ale czasu sejmu? — wtrącił kanclerz.

— One nie mają żadnego z nim związku — rzekł król zimno.

— Ludzie jednak...

Władysław ręką poruszył lekceważąco.

Spytał kanclerza potem o usposobienie większości senatorów, o ile się ona wyrozumieć dawała.

— To tylko wiem — odezwał się Radziwiłł — żem jeszcze ani jednego z senatorów nie spotkał, który by za wojną głosował i nie był jej jak ja przeciwnym.

Przyjął to król z uśmiechem.

— Łatwo to pojąć — rzekł — wszyscy wiedzą, że księżę jesteś przeciwnym jej i dlatego mu się akomodują.

Radziwiłł, kilka słów chłodnych dodawszy, usunął się. Pac stał we drzwiach.

— Dajcie mi spocząć trochę — odezwał się Władysław. — Radny miejski Bielecki, który jest szafarzem razem, musi być na zamku, każ go przywołać do mnie.

Zwykle król, gdy od miasta i rady potrzebował czegoś, Bieleckiego za pośrednika używał, nie urzędownie, ale poufnie. Pan Łukasz miał ten rozum, że się łaską króla nie przechwalał, czynił się mało znaczącym i pokornym, ale wiedzieli sąsiedzi, jak on na dworze siedział, i ichmość panowie Strubiczowie, Baryczkowie, Giże, Drewnowie, najpoważniejsze stare mieszczaństwo, gdy miało krok jaki stanowczy uczynić, nie pogardzało Bieleckim.

W mgnieniu oka przystawił się szafarz i pokornie stanął w progu, skłoniwszy się aż do ziemi, tak że ręką podłogi dotknął. Pokora ta szła mu też na rachunek.

— Słuchaj, Bielecki — odezwał się król, rzuciwszy okiem wkoło, iż nikogo oprócz niego nie było — idź na ratusz. W mieście panuje niepokój jakiś, wybij im z głowy, aby mieszczanom grozić co mogło. Sprawy z nimi nie mam żadnej, a bezpieczeństwo miasta, handlu leży mi na sercu.

— Z powodu sejmu... — począł cichym bardzo głosem Bielecki.

— A cóż ma wspólnego miasto z sejmem? — odparł król. — Gdybym ja nawet sprawę miał jaką z panami senatory i posłami, mieszczanom się przez to nic nie stanie.

Bielecki zamruczał.

— Pułki cudzoziemskie...

— One miastu rychlej korzyść niż szkodę przyniosą — przerwał Władysław. — Pod moim bokiem, na oku, nie obawiacie się ich przecież?

Zmilkła szafarz.

— Idźże na ratusz do radnych — dodał król — czy i oni...

— Najjaśniejszy Pani — począł Bielecki — święta prawda, że i w mieście, i po przedmieściach taki popłoch, jakby Tatarowie najść mieli; krążą pogłoski o krwawym konflikcie, który się gotuje. Kupcy perscy, przybywszy, dotąd towarów wykladać nie śmieją; Włosi też.

Szlachta z sobą ze wsi przywozi wiadomości, iż cudzoziemskie pułki dostały rozkazy na Warszawę, na sejm... Jak się to u nas rozeszło, można łatwo zmiarkować, co z tego w mieście naszym urosło.

Tutaj z lada ziarenka, jak pocznie pęcznić...

— Będiesz wiedział, jak mówić — dokończył król, dając mu znak, ażeby odszedł.

Skłonił się Bielecki.

Wprost z pokojów od króla, zleciwszy swój urząd szafarski pomocnikowi, czapkę wzięwszy tylko, wyszedł z zamku. A tuż we wrotach mu się nastęczył Płaza.

— Czołem, czołem.

— A dokąd? — zapytał, stając, Bielecki.

— Włóczę się — rzekł Lasota — może mi się uda dziecko gdzie najrzeć.

— Nie o tej godzinie — rzekł Bielecki. — Z rana królowa się ubiera, ludzie do niej

przychodzą, służba być musi na miejscu. Waszmość naszego ratusza nie widziałeś, tylko z daleka?

Ja tam właśnie idę, chcesz ze mną? Pokażę ci go wewnątrz; jest się czemu przypatrzeć, chędogi mamy dom i nie powstydzim się go przed nikim.

Zawrócił się Płaza.

— Chodźmy — rzekł.

Mówiliśmy już, jak ratusz Starego Miasta zewnątrz wyglądał. Nie dodawały mu wdzięku

właśnie o tej dnia godzinie najbardziej ożywione dokoła otaczające budki i stragany przekupek, pośród których wiele było kuchni dla prostego ludu, z których gorącą strawę na miskach

rozdawano, a tu się siekierników, pilarzy i robotnika wszelakiego mnóstwo cisnęło. Wąska jakby uliczka między budkami doprowadziła ich do wielkiego wnijscia, u którego straż z halabardami stała, więcej dla parady niż z potrzeby.

Stąd wchód był do sieni, w której też drabanci miejscy straż sprawiali. Stąd na dół do

fundum było wnijscie, gdzie więźniów trzymano, a wschody dosyć okazałe prowadziły na górę. W

sieniach też znajdowała się kuna żelazna w słupie przy drzwiach, szczególnie przeznaczona dla swawolnych dziewcząt, które po wystawieniu sromotnym wyświecano potem precz z miasta.

Ściany, w górę malowane ozdobnie, okrywały herby na tarczach trzymany przez aniołów.

Dodawszy bardzo kunsztowną żelazną kratę nową, która sień przedzielała na dwie części, a była w istocie mistrzowsko wykonaną i mieściła wśród floresów herb miasta, wyżej zaś marmurowej

tablicy złocisty napis, świadczący o powstaniu budowy, nic tu już więcej do widzenia nie było.

W połowie, której strzegli drabanci, natłok był znaczny ludzi cisnących się i

dopraszających, jedni na górę do rady i sądu, drudzy do więzień, w których mieli swoich. Spotkali tu właśnie jednego z najznacniejszych panów rady, Kedrowskiego, który na górę dążył, razem więc z nim naprzód weszli do izby sądowej.

Sala ta wcale wyglądała poważnie i ozdobnie. Pałace przyozdobione malowidłami i

rzeźbami nie dozwoliły mieszczanom też obejść się bez nich. Na ścianach wisały stare i ciemne, ale w nowych ramach, wizerunki książąt mazowieckich, na jednej z nich znacznych rozmiarów i dobrego pędzla — sąd Salomona. Nade drzwiami stała *Iustitia* z zawiązanymi oczyma, z szalą i mieczem w

rękach. Wkoło herby panów burmistrzów szeregiem malowane stały. Pomiędzy nimi były fantastyczne bardzo, ale i szlacheckich starych kilka się znajdowało. Jak do nich doszli panowie rady, im było wiedzieć. Nikt ich o używanie nie pozywał.

W sali tej w istocie wszystko było tak ozdobnie urządzone, iż miło ją było oglądać.

Począwszy od pieca z kafli malowanych bardzo kształtnego aż do ław i krzeseł ławników i pisarza, sprzęt był z widoczną pieczołowitością dobrany, aby się tu nie powstydzilo miasto choćby senatora.

Najlepsi rękodzielnicy wykonali do ratusza majstersztyki.

Żelazne ozdobne drzwi wprost z izby sądowej prowadziły do skarbcza. Stały one na teraz otworem.

Burmistrz Gisz swoim kosztem przystroił skarbiec, w którym w skrzyniach spoczywały nie

tylko klejnoty i pieniądze miejskie, ale najdroższe starożytne przywileje. U góry, ponad skrzyniami ogromnymi, szeregiem jakby na straży, wizerunki królów, poczynając od Lecha, były

pozawieszane. Ostatni, Władysław IV, bardzo pięknego pędzla, w koronacyjnym stroju, z berłem i jabłkiem, przechodził i rozmiarami, i malowaniem wszystkich swych poprzedników.

Inne izby ratuszowe, których było dosyć, nie miały już w sobie nic tak ciekawego do

widzenia. Siedziało w nich za stołami skryptorów dosyć, radzili czynni tego dnia urzędnicy, a natłok mieszczan był wszędzie ogromny.

— Coś tu u waszmościów gwarno bardzo, i tłumno — rzekł Płaza do Bieleckiego —
zawsze-li tak?

— Pusto nigdy nie jest — odparł pan Łukasz — ale dziś, wczora, od dni kilku w istocie ruch nadzwyczajny. Nie ma się co dziwować, naprzód sejmowy czas, zawsze kupców się zjeżdża obcych wielu, a nigdy może, jak teraz właśnie, nie było takiej trwogi.

— Trwogi? O co? — pyta Płaza. Bielecki ramionami ruszył.

— Poszła taka pogadanka głupia — rzekł — że jej już teraz utrzymać nie można. Z plotką to tak jak z kamykiem, co się z góry toczy. Zrazu pomalutku, sam jeden, dalej coraz żywiej, prędzej, i za sobą ciągnie, co na drodze napotka.

Wtem podszedł ku nim Kedrowski, rękę za pas założywszy.

— Panie Łukaszu — spytał — wy na zamku co dzień, powiedzcież, co tam się święci.

Prawda-li to, że między królem a senatorami scysja wielka i że Najjaśniejszy Pan gotów jest *armata manu* przywozić do posłuchu i do spełnienia swej woli? Uchowaj Boże konfliktu, nie bez tego, aby miastu się nie dostało. Strach panuje taki, że my go nie możemy uśmierzyć, a rośnie jak na drożdżach! Cóż wy na to?

Bielecki potarł czuba.

— Na zamku, co prawda, dosyć wojenno wygląda, ależ do żadnego konfliktu przyjść nie mogło, bo się sejm nie poczynał i nie wiadomo, co on powie.

— Jak to nie wiadomo? — podchwycił Kedrowski. — Rzecz to powszechnie znana, że senatorowie wszyscy, ilu ich jest, *contra helium*, a szlachta o niej ani chce słuchać. Więc jeżeli król się upierać będzie przy swej imprezie... Cóż król? — zapytał w końcu.

— Król krzyczy w nocy na podagrę — rzekł, śmiejąc się, Bielecki — a we dnie by na konia siadł, gdyby mu tylko na Turka zagrano; ale, kumie mój — dodał — sprawa ta między panami szlachtą a królem jegomością, my stoimy na boku i mięszać się ani do niej wmięszani być nie możemy.

— Mylisz się, panie Łukaszu — zawołał, głową potrząsając, poważny Kedrowski. —

Dowiedziona to rzecz, że gdy do zatargu przyjdzie pomiędzy tronem a narodem, miasta cierpią na tym. Inaczej nie może być. Naprzód się to da uczuć stolicy, zobaczycie. Już mówią, że pułki obce, zaciężne nowo, król sprowadza; spadną one na nas.

Potarł czoło radca, a tuż nadchodził drugi, okrągły i rumiany, wesołego oblicza, strojny wykwintnie Strubicz.

— Strach, jaka panika w mieście! — zawołał śmiejąc się. — Ja tam w to, co po ulicach się nosi, wiary nie daję, ale i to pewna, że ludzie nigdy tak z palca sobie nie wyssają czegoś. Trwoga przesadzona, a ostrożność potrzebna. Kupcy perscy żądają od nas ubezpieczenia. Pamiętają pono jeszcze, że tu ich za nieboszczyka króla, czasu tego nieszczęsnego pożaru, pod rokosz, ograbiono.

— Dzięki Bogu, rokoszu nie ma! — rzekł Kedrowski.

— Ba, gorzej niż rokosz zapowiadają — mówił Strubicz, po twarzach swych słuchaczy się rozglądając. — Na króla rzucają kalumnię, że chce *absolutum dominium* tymi zaciągami wywojować. A to pewna, że pułki na Warszawę ciągną zewsząd.

Bielecki milczał.

— Próżne to strachy — odezwał się widząc, że na jego zdanie wszyscy czekają. — Pewna rzecz, że król wojny chce, że senatorowie są jej przeciwni, lecz żeby pułki miały na nich być użyte...

Roześmiał się Bielecki.

— Tego u nas nie bywało — dodał. — Widywaliśmy naród porywający się na królów, ale króla przeciw narodowi?.

Wszyscy milczeli.

— U nas bo dotąd, aż do Batorego czasów — rzekł Kedrowski — zaciągów cudzoziemskich nie bywało. Począł je dopiero ten król czynić, a zaraz się obawiano zamachu na swobody; odtąd zaciągi rosły, a bodaj ich nigdy nie było jak dziś... hm! Stąd te głosy.

— Niechby pletli, co chcą — odezwał się Strubicz — ale nam to życie miejskie spokojne, handle, rzemiosła psowa. Patrzajcie dziś po ulicach. Biegają jak oparzeni, czeladź od warsztatów pouchodziła, jedni za miasto patrzeć, co się dzieje na placu księcia biskupa, drudzy już wyglądają pułków, które mają nadchodzić. Kupcy, co mieli przybyć na sejm, w drodze, słyszę, postawali, jedni w Jarosławiu, drudzy w Lublinie, a my przyplacimy.

— Ale na to rady nie ma — rzekł Bielecki. — Choćbyśmy starszyzna, panowie radni, pacyfikować chcieli, nie uwierzą.

Frasobliwie poczęli się oglądać wkoło, a Bielecki, pomyślawszy, zamknął:

— Z tego wszystkiego, zobaczycie, nie będzie nic. Z wielkiej chmury mały deszcz. Król może rad by nastraszyć, za to nie ręczę, ale że na sejm się nie porwie...

Potrząsnął głową.

— Cóż królowa? Ona przecie też coś znaczy? — zapytał Kedrowski.

Nikt na to zagadnienie długo nie odpowiadał, wreszcie Bielecki jako dworak musiał się odezwać.

— Pewna rzecz, iż królowej wpływu lekceważyć nie należy, ale on dopiero się poczyna, zatem niewiele się teraz da uczuć. Worek w jej rękach... ona teraz podskarbin. Gdyby nie jej talary, pułków by tyle nie stanęło.

— Więc i ona wojny chce? — spytał Strubicz.

— Jako żywo — podchwycił Bielecki — ona jej nie chce, a pomimo to pieniądze dać

musiała, boby inaczej nie miała ani głosu, ani powagi. Raz dawszy, musiała potem dołożyć, ano na tym koniec. Nie wystąpi ona, bo nie ma prawa ani mocy, ale nie pomoże też.

Na tym skończyły się rozmowy, a Płaza odszedł pierwszy z ratusza.

Zajęty dotąd własnymi sprawami, niewiele zwracał uwagi na to, co się działo w mieście, teraz dopiero uderzyło go zmienione oblicze jego. Ludzie biegali, gromadzili się kupkami, rozprawiali, z jednego miejsca na drugie, jakby ich fala niosła, rzucali się; widać było niepokój na twarzach. W sklepach nie widać było kupujących i targu, nawet rzemieślnicy i handlarze wychodzili z mieszkań aż do pół ulic, goniąc za pogłoskami.

Około zamku, gdzie właśnie przed okna królewskie zaciągał cudzoziemski pułk, świeżo w barwę przybrany jak z igły, z chorągwią nową, na której snopek Wazów i szwedzkie korony odmalowane były, lud jakoś z pewną obawą i wahaniem się gromadził. Wojsko to tak miało pozór obcy, a barwę krojem niemieckim, iż w nim polskiego niepodobna było nic upatrzeć. Kolumna przeciągnęła ze swą muzyką przed oknami zamkowymi, potem weszła we wrota.

Mówiono, że sam król, choć słaby, o kiju miał wyjść ją oglądać.

Wkrótce po tej piechocie zjawiała się jazda, wprawdzie w liczbie niewielkiej, lecz także nie po polsku ubrana i zbrojna. Wszystko to zamek gdzieś pochłonał czy też drugimi może wrotami wpływało.

Ledwie się to stało, a kolebki senatorów poczęły oblegać wrota zamkowe znowu, gdy małą kolaską, parą koni grubych zaprzężoną, niską, wyjechał z zamku król.

Dokąd? Wkrótce potem wiadano, że do cekhauzu wprost podążył, a gdy panowie senatorowie domagali się posłuchania, tymczasem w krześle się rozkazawszy nosić, opatrywał swe zapasy uzbrojenia.

Cekhauz ten był dziełem Władysława IV, a przynajmniej on go doprowadził do tego stanu, w jakim się dziś znajdował. Przypierał on do wałów miejskich i obwarowany, niemal jak mała twierdza wyglądał. Jedna olbrzymia sala, sparta na słupach potężnych, starczyła na pomieszczenie dział razem i ręcznej broni, kul, ołowiu i wszelkich przyborów wojennych. Wszystko, czego ówczesna sztuka wojenna wymagała, jeśli nie w zbyt znacznej ilości, to aż do najwykwintniejszych

sztuk na okaz mieściło się w cekhauzie. Działa burzące ogromne, olbrzymie moździerze, organki, łańcuchy do spinania wozów, całe stosy muszkietów, całe gromady petard, granatów, kul, zalegały pod ścianami.

Paweł Grodzicki, który miał w zawiadowaniu arsenał, czekał tu już ze służbą na króla, który miał jakieś muszkiety nowe oglądać. Jakoż raz wniesiony do sali, zdawało się, że o wszystkim zapomniał, i dwór, który za nim nadciągał, pozostawszy w ulicy mógł się pospać, oczekując na powrót, gdyby i tu zaraz za królem tłum się nie nacisnął. Mieszczanie wyciągali wnioski.

— Patrzajcież — mówił jeden — sejm się zbiera, senatorowie jadą z pokłonami na zamek, a król gdzie? W cekhauzie! Łatwo zrozumieć, co to znaczy. Jakby drukowane stało: „Wy sobie radźcie, nie radźcie, jako chcecie, o spokoju, a ja do wojny się będę gotował!”

Potakiwano głowami i uśmiechano się.

W czasie pobytu w cekhauzie król posyłał razy kilka po wojskowych, kazał przywoływać Rejnera. Sprowadzono żołnierzy, aby próbować wagi i miary muszkietów. Czynność była nieustanna.

W parę godzin dopiero ukazał się Władysław w progu i siadł nazad do swej niskiej kolebki, która się do zamku potoczyła.

W ciągu rana tego w istocie ktokolwiek z panów przybył na zamek, służba mu odpowiadała:

— Król cekhauz opatruje!

Z wesołą twarzą powrócił wreście.

ROZDZIAŁ VII

Całe jedno skrzydło zamku, które niegdyś przed wyjazdem do Włoch i Rzymu zajmował

Jan Kazimierz, od niejakiego czasu stało jakby nie zamieszkane — jakby, bo w istocie kręciła się tam jakaś resztką służby w cudzoziemskich strojach, mówiąca językiem obcym i wydzielająca się jak coś nie mogącego połączyć z żywiołami polskimi i francuskimi. Mieszkanie obszerne, pańsko bardzo urządzone, od miesięcy kilku było nie zajęte. Już to samo, że je królewicz Jan Kazimierz zamieszkiwał, mogło dać o nim wyobrażenie. Nie rozporządzano tymi pokojami, oczekując

widocznie na powrót tajemniczego mieszkańca, ale nikomu za nim tęskno nie było, nikt się tu nie dowiadywał.

Reszta służby, która się tu kryła raczej, niż zamieszkiwała, przychodziła w milczeniu po

przeznaczone jej pożywienie, światło, opał i zamknąwszy się na rygle, gospodarzyła w tym kącie.

Nikt na nią nie zważał, nikomu się nie zdawała potrzebną.

Przed samym sejmem dnia jednego królowi przyniesiono jakieś listy, zawołał Paca, którego

do wszelkich czynności tajemnych używał, poszeptał coś z nim; młody dworak poszedł zaraz

zastukać do zamkniętych drzwi Kazimierzowskich pokoi, zapukał, zaszwargotał coś i w cichych dotąd tych komnatach nagle się poruszać zaczęło. Pootwierano okna, pozapalano ognie w piecach, ludzie nosili wodę, myli, trzepali. Spodziewano się pana, wszyscy w zamku to zrozumieli.

Próżniacza gawiedź przechodząc stawała i mówiła:

— Graf Magnus powraca.

Kto był ten graf Magnus, nie wiedział nikt dobrze, ale to pewna, że jak Kazanowski miał

całą miłość serca wystygłego już króla, tak graf Magnus miał całe jego zaufanie w sprawach zagranicznych. Ossoliński szedł dopiero po nim. Ale graf Magnus był Szwedem czy Niemcem,

zwano go różnie, więc w Rzeczypospolitej, w radzie, w senacie, w kancelarii nie mógł żadnego mieć stanowiska — z grafem Magnusem jak niegdy z panną Amandą musiał się król taić.

Magnus był tu, mieszkał, ale można było powiedzieć, że go nie było. Nie pokazywał się

publicznie przy królu nigdy, nie żył z nikim. I nie na wiele by mu się przydały stosunki w Polsce, bo tu nigdy długo nie siedział. Zaledwie powrócił z Wiednia lub Pragi, wyprawiano go do

Ratyzbony lub do Holandii, do Szwecji, do Rzymu, nie wiadomo dokąd. Był to wędrowny wiecznie poseł Jego. Królewskiej Mości. Mało osób znało go z widzenia, bo się nie pokazywał rad, znał to bardzo dobrze, że obudzał niezmierną zazdrość i nienawiść.

Od czasu jak graf Magnus wśliznął się w łaski królewskie i zaufanie, z wyjątkiem

Ossolińskiego nikt nigdzie do poselstwa nie był użyty. Uroczyste ambasady, jak po królowę, sprawiali wedle prawa Polacy; ciche i sekretne konszachty, gdy szło o frymarki, o sojusze, o układy z cesarstwem, Niemcami, Francją, powierzał król Magnusowi.

Wpływ jego na politykę królewską musiał być wielki. Przypisywano mu teraz tę wojenną

imprezę, od której król na żaden sposób odstąpić nie chciał. Na barki tego niewidocznego,

nepochwyconego „cudzoziemca” składano wszystką winę króla. On to uczynił, jego rada tkwiła w tych planach, w których widoczna była nieznamość warunków bytu Rzeczypospolitej, paktów

konwentów, małżeńskiego kontraktu między królem a narodem.

Wśród tych, co króla otaczali, żywa dusza nie była przyjazną Magnusowi. Grzeczni dlań

okazywali się Kazanowscy, politykował Ossoliński, ale i ci nawet widzieli w nim zarozumiątego pyszałka i poruszali ramionami, gdy z sobą o nim mówili. Tymczasem król w rozum, w

przebiegłość, w zręczność, w trafność rachub jego politycznych miał nieograniczoną wiarę.

Gdy pod wieczór ten długi, chudy, czarno zawsze ubrany, z krezą na szyi, milczący, cicho jak cień się przesuwały po kurytarzach zamkowych „cudzoziemiec” wsunął się do pokojów króla, które naówczas dla najpoufalszych nawet osób były zamknięte, gdy w nich parę godzin spędził na szeptach, przewracaniu papierów i rozmowie z królem, nazajutrz jakaś nowa myśl, krok, decyzja wychodziła na światło dzienne. Król ją objawiał Kazanowskiemu, potem Ossolińskiemu, i stawała się ona myślą królewską własną, do której przywiązywał się Władysław z zajądłością, z uporem, jakich w niczym nie miał zresztą. A Magnus po kilku dniach zniknął z horyzontu i nie było o nim słyhać, aż znowu okna jego mieszkania zaświeciły wieczorem i dowiadywano się, że Magnus

powrócił. Te okna wieczorem, a we dnie czasem otwierające się i zamykające drzwi

Kazimierzowskich pokojów były jedynymi znakami bytności grafa Magnusa.

Ten stosunek z królem tak poufały, a tak odcięty od innych, niepokoił, budził zazdrość i

niechęć; próbowano się go pozbyć, zrazić króla do niego, zastąpić- go kimś — wszystko się to rozbiło o kamienny, bierny opór króla.

Od dworu pogłoski o tym wpływie, o misjach za granicę, o radach Magnusowych, jak przed

wieki rady Kallimachowe podejrzanych, rozchodziły się na miasto, po kraju. Już i tak król nosił się po europejsku, lubował w macierzyńskiej niemczyźnie, otaczał cudzoziemcami, a tu niby

pierwszym ministrem i doradcą był jakiś obcy człek, którego kraj ten i jego losy wcale nie obchodziły. Jemu przypisywano całe króla postępowanie, on zaciągi cudzoziemskie ułatwiał, on z Wenecją sojusze zawierał, on doradzał pieczęcie urzędowe, których kanclerze przykładać nie chcieli, zastępować prywatną króla.

W całym w istocie postępowaniu Władysława czuć było nieznaną albo pogardę praw

Rzeczypospolitej.

Sejm się zbliżał, potrzeba było uzbroić się przeciwko niemu — król w części miał już dane

skazówki i szedł za nimi, lecz Magnus był mu potrzebnym, a Magnusa nie było. Na ostatek

oznajmiono o nim. Władysław się uradował, bo już, już miano zagaić, a o usposobieniach

senatorów chodziły najsmutniejsze wieści. Rzucony popłoch, zamiast pomóc, zdawał się raczej rodzić zamieszanie. Magnus w ciągu tygodni sejmowych był co dzień potrzebnym, on umiał być

woźnicą, bez niego kroku stąpić nie mógłby Władysław.

Z jak promienistą twarzą powitał go król! Sprawozdanie z podróży na dwór cesarza mógł Magnus odłożyć, owoc jej, listy, przywoził, lecz co tu było począć z upartym sejmem, który miał się domagać wyrzeczenia się idei wojny, rozpuszczenia nieznośnie ciężących wojsk cudzoziemskich, unieważnienia pieczęci prywatnych, usunięcia z rady ludzi „obcych” (szło o Magnusa głównie).

Błada, pergaminowa twarz dyplomaty, gdy król mówił pośpiesznie, pozostała nieporuszoną, jak gdyby w tym wszystkim dla Magnusa nic a nic nowego nie było. Wysłuchawszy opowieści króla, który ku niemu oczy podnosił, graf rozpoczął cicho, sucho, zimno swą lekcję.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł naprzód lakonicznie — sztuka rządzenia jest w większej części sztuką uwodzenia ludzi. Gdzie nie można pójść przebojem, trzeba szukać ścieżyn zakrytych.

Naprzód wszystko im należy przyrzec, czego tylko żądać będą. Każde takie najuroczystsze przyrzeczenie z natury swej jest ograniczone możliwością. Weźmy na przykład owo rozpuszczenie zaciągów, przecie się to w jednym dniu, jednym słowem dokonać nie może. Trzeba czasu, a zyskując czas mamy wszystko. Zobowiązać się można śmiało, do czego tylko zechcą. Tak czynił wiekopomnej pamięci rodzic Waszej Królewskiej Mości. Gdy przyjdzie do rozpraw niemiłych w senacie, jest na to sposób... jedne się będą paraliżować drugimi. Jest na przykład sprawa o Trubczesk odstąpiony Moskwie, która będzie roznamiętniać. Ile razy poczną o wojsku, nasadźmy kogoś, co Trubczesk nastreczy. W chwili rozdrażnienia umysłów na ostatek masz Wasza Królewska Mość swoją podagrę. Dla podagry muszą czekać i ostygnać. Podziała się na nich... Jest to według mnie ogólny plan sejmu. W obozie przeciwnym potrzeba mieć swoich ludzi, którzy by niezręcznie występowali. Na ostatek zwłoka, znużenie... czas...

— A potem?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Magnus z westchnieniem — polityka ma to do siebie, że jest rzeczą bardzo prostą i wiecznie jedną. Pułki Wasza Królewska Mość będziesz rozpuszczać tak, że się tylko z miejsca na miejsce poprzenoszą, a wybije-li godzina wojny wielkiej z pogany, Kozaków rzucisz, aby niedźwiedzia wyciągnęły z barłogu. Kozaków masz Miłość Wasza zapewnionych?

— Taką sędzę — odparł król — i będę się starał o to. Jest to wprawdzie niesforny tłum, ale bitny i daleko liczniejszy, niż rejestra pokazują, bo tam co chłop to Kozak.

— Nie ma się więc co sejmowi obawiać — dodał Magnus — będzie to wprawdzie nader

nużąca kilkutygodniowa gra, ale się skończy zwycięstwem stron obu. Senatorowie odjadą pewni, że zwiążali ręce Waszej Królewskiej Mości, a wy pewni być możecie, żeście im na czas jakiś zawiązali usta. Odnowi się to? Ten sam sposób na tę samą chorobę.

Król smutnie począł:

— Uwierzysz-li też, że ja, z małym wyjątkiem, no, nawet Ossolińskiego jawnie za sobą nie mam... nawet jego. On jak inni kanclerze odmówi mi pieczęci, on jak inni senatorowie będzie mówił przeciwko wojnie. Ani jednego za nią głosu.

— Najjaśniejszy Panie — odparł Magnus — wojna wymaga ofiary nie tylko żywota, ale mienia. Szlachta będzie musiała na koń siaść, a oprócz tego pobór uchwalić. Cóż za dziw, że z dobrej woli, bez przymusu, tego nie uczyni. *Compelle eos*, napisać sobie potrzeba. Gdy nawała turecka zagrozi, wstać muszą wszyscy.

Król dumał.

— Wiem — rzekł — że tu się i przeciwko wam gotują ci, co czują, że wy mi wiernie służycie po mej myśli, ale imienia waszego nie będzie nikt śmiały wyrzec!

— Chociażby — odparł Magnus obojętnie.

Tak w ogólnych zarysach plan już przyszłego sejmku został nakreślony; król innego się spodziewał! Jawnego zwycięstwa odnieść nie mógł, musiał się zaspokoić połowicznym i tajemnym.

— Na tym wszystkim moim kłopotom nie dosyć — odezwał się w końcu. — Wiecie o tym, eks-mnich, eks-kardynał, eks... nie wiem wielu poczętych zawodów zniechęcony bohater, brat mój Kazimierz, powraca stanowczo. Sprzykrzył mu się Rzym, nie chce kardynalskiego kapelusza, przebrał się już po cywilnemu. Gdy nagle z tym postanowieniem obrania sobie duchownego stanu wyjechał i napisał do mnie, że się wyrzeka wszystkiego, wyposażenia swego, kraju, którego nie cierpi i stosunków z nim, pisałem, aby rozważył dojrzałe, nie śpieszył się z ostatecznym rozporządzeniami. Odpowiedział mi niecierpliwie, gwałtownie, stanowczo. Rozdane są wszystkie jego nadania, teraz je chce odbierać na nowo spada na mnie całym ciężarem swoich dziwactw, którym nie będzie końca, swoich miłostek, które z pałaców jednego dnia przeskakują do kuchni.

Król ręce załamał.

— Zmienny ten charakter księcia Jana Kazimierza — rzekł Magnus — jest do pewnego stopnia razem lekarstwem i pociechą. Me wytrwa w kraju, jak nie mógł wyżyć w Rzymie.

— Gdyby był takim cichym, spokojnym i gospodarnym jak. Karol — rzekł król — ale wcale są do siebie niepodobni. Na dworze będę miał głuchą walkę ciągłą... królowa ze swym fraucymerem... — nie kończąc się król uśmiechnął.

— Powraca wkrótce? — zapytał Magnus, rnyśląc może o tym, że zajmował jego mieszkanie.

— Spodziewam się go w końcu roku — odparł król — a przyspieszać powrotu nie będę.

Srogi to znowu ciężar na moje znużone ramiona.

Po tej rozmowie poufnej, długiej Magnus, jak przyszedł, wysliznął się po cichu i nazajutrz wielu nie wiedziało, że powrócił. Siedział zamknięty nad papierami, we dnie się nie pokazywał

prawie; kilku tylko cudzoziemców ze służby króla przystęp do niego mieli.

Gdy się tak sejm z jednej strony przygotowywał przez króla, królowa Maria Ludwika nie mniej była czynną.

Wiedzieli to wszyscy, że Władysław IV, chociaż wiekiem jeszcze nie złamany, chorobą był zagrożony i życia mu długiego nie obiecywano. Pielęgnować się nie Umiał. Gdy cierpiał, krzyczał na cały zamek, a nazajutrz po odejściu bólów kazał się wieźć na łowy, wsadzać na konia i męczył dobrowolnie, nie miarkując ani w jedzeniu, ani w picciu. Po przesileniach takich, że zdawało się grozić już śmiercią, następowały folgi; ale wszystko to jednak długiego życia nie obiecywało.

Królowa potrzebowała, wszystko, co miała, poświęciwszy dla Rzeczypospolitej, zapewnienia sobie oprawy, dochodów dla utrzymania stosownie do swego dostojństwa. Należało nieodmiennie co najprędzej ubezpieczyć ją. Król się na to zgadzał, żądał nawet tego, nikt zresztą przeciwnym nie był, ale szlachta, posłowie, a nawet część senatu mówili zawczasu: nie damy królowej nic, póki król wojsk nie rozpuści, które na nasze swobody czyhają.

Na dzień naznaczony zjazd już był dosyć liczny, ale wielu brakło jeszcze.

Pierwsze posiedzenia szły wedle regulaminu i obyczaju swym porządkiem spokojnie. Stary

arcybiskup Łubieński był doskonałym sprawozdawcą, bo głos miał tak cichy, a mówił tak

niewyraźnie, iż nikt go nie słyszał. Później więc, gdy kto był w kłopotcie z objawieniem zdania, odwoływał się do *votum* arcybiskupa, a tego *votum* nikt nie znał.

W każdą niedzielę odpoczywano, modląc się i naradzając. Następującego poniedziałku

ożywiło się nieco. Biskup chełmiński wystąpił gwałtownie i niezmiernie rozwlekle przeciwko królowi wprost i potracił nawet o Magnusa, zalecając „cudzoziemców” od rad oddalać. Rozumie się, że żołnierz nowy był też na placu. Gdy raz te lody pierwsze przebite zostały, popłynęły strumieniem grawamina, a głównie na tego żołnierza obcego, w którym kasztelan gdański widział

przerażającą groźbę.

Król siedział jak na mękach.

Zadawano mu niemal otwarcie zamach na swobody Rzeczypospolitej. Co się tknęło wojny,

kasztelan przemyski, wojewoda rawski, kasztelan sieradzki radzili trzymać się obronnie, ale wyzywać nie było u przodków obyczaju ani się na to Rzeczpospolita zgodzić mogła.

Posiedzenie trwało długo i już się pewien bezład wkładać zaczął; dyrektor, czyli marszałek poselski, wprost zagaił o rozdanie wakansów, najdrażliwszy w świecie przedmiot, ale kanclerz ma usta zamknął, wszystkie bowiem były już rozposażone, a co do buławy mniejszej król się chciał

namyśleć.

Następnego dnia próbowano regulamin wprowadzić w obradach, ale wystąpiła owa

sprawa „o Trubczesk, która miała służyć na odpieranie wszystkich innych, niewygodnych, i jak się zaplątano w ów Trubczesk, tak już z niego wydobyć się nie było podobna. Król potem ze znużenia i zniecierpliwienia zachorował. Znowu krzykami się zamek miał rozlegać.

Tymczasem wrzawa o rozpuszczenie żołnierzy nie ustawała, ale zaledwie ją zagaili

czernihowscy i braclawscy posłowie, podstawiono im Trubczesk. Zaczęto się spierać o przedmiot rozpraw.

— Trubczesk naprzód! — wołali jedni.

— Nie, dezyderia!

— Nie, *senatus consulta!*

— Nie, podarki Tatarom! Żołnierz obcy!

Powstała wrzawa i mrok zapadł — rozeszli się wszyscy.

Następnych dni izba senatorska się powiększyła przybyciem starosty krakowskiego, biskupa

zmudzkiego, wojewody mściławskiego. Posłano do króla z rozmaitymi sprawy i żądaniem posłuchania. Pruskich posłów zbył kwaśno, bo wiedział, że się na żołnierzy skarżyć będą; innym naznaczono termin.

Dalej król w łóżku posłów przyjmował, a kanclerz mówił za niego bardzo zręcznie. Na zagajenie położył Trubczesk; po nim nastąpiło rozpuszczenie wojsk.

— Król, jeżeliby Rzeczpospolita koniecznie na to nastawała, zgadzał się, „choć zewsząd bać się trzeba zasadzek nieprzyjacielskich — mówił kanclerz i dodawał — rozpuszczenie wojska nie może być bez szkody poddanych w powrocie onego ani trzeba sądzić, że w tym wojsku zaciągnionym są sami cudzoziemcy, gdyż są domowi, przysięgli królowi i Rzeczypospolitej”.

Podano w wątpliwość sposób, w jaki należało rozpuszczać. Odpowiedź dwuznaczna, zręczna, wcale nie zaspokoila, ale podstawiono zaraz potem sprawę o Trubczesk, aby rozdrażnienie ostygło.

I gdy tak zabawiano się w dyskusje bez żadnego wniosku, król leżał i chorował.

Przyjmował, kogo mu było potrzeba, w łóżku. Trubczesk okazał się środkiem nadzwyczaj skutecznym do odwrócenia nieprzyjemnych napaści; a że sprawa była zawikłana, pochłaniała czas.

Król tymczasem sądy sprawował w różnych głównych sprawach i dopiero w połowie listopada zawrócono do rozpuszczenia wojsk, o którym czas miano nieco zapomnieć.

Wszystko szło dotąd wedle wybornie obmyślanego planu Magnusa.

Z dala patrząc, w tych rozprawach mogło się wiele wydawać dziełem wypadku; w ogóle jednak plan z góry postanowiony spełniał się jak nie można lepiej. Doradca Magnus się uśmiechał, król czasem udawał wielce zagniewanego, posłów odprawiał trochę szorstko, a nazajutrz łagodniał.

Trubczesk i kilka spraw pomniejszych przewybornie służyły do odwrócenia uwagi od wojska i obaw zamachu na swobody Rzeczypospolitej. Senatorowie, nastając na rozpuszczenie wojsk, przyznawali Jego Królewskiej Mości jak najlepsze chęci. Co się tyczy cudzoziemców, oszczędzając króla, radzono prywatnie mu pakta przypomnieć.

Na ostatek poselstwo od króla zażądało reformacji dla królowej, ale tymczasem tyle było jeszcze na próżno gryzionych, dotąd nie rozgryzionych przedmiotów, że jej nie tknięto.

Senat się schodził z posłami, odwiedzano króla, spisywano punkta, król w ogóle godził się

łagodnie na wszystko. Harmonijne te dosyć przygrywki trochę ostro przerwał surowy i otwarty głos wojewody brzesko-kujawskiego, który króla nie szczędził w dziełach jego. Pokornie, ale stanowczo żądał wojewoda oddalenia cudzoziemców, a o żołnierzu zaciężnym wyraził się bez ogródki:

„Żołnierz ten tak się nam naprzykrzył, że słowem tego wypo- wiedzieć nie możemy... Ich

grawamina przechodzą szwedzkie i mansfeldskie. Ręka Waszej Królewskiej Mości, na obronę

Rzeczypospolitej od Boga destynowana, tak ciężko nas dotyka. Zadają też nam boleść bluźnierstwa żołnierzy, którzy śmieją chełpić się publicznie, że nas mają pohamować, i dziwną alchymią z chłopca szlachcica, a z szlachcica chłopca przerobić obiecują”.

Kanclerz zaraz potem od króla powtórzył zapewnienie, że wszystkim żądaniom sejmu

zadanie się stanie. Czegóż było życzyć więcej?

W pierwszych dniach grudnia, gdy znowu na stół przyszła sprawa reformacji królowej,

którą niezręcznie przypomniał starosta łomżyński, Radziejowski, wyrwał się Ponętowski (krew nie kłamie), że woli cierpieć żołnierza cudzoziemskiego, woli, aby się sejm zerwał, niżby miała po nim zostać ta pamiątka, iż Polacy reformacją i pieniędzmi sobie okupili wyswobodzenie.

Sejm tedy już dogorywał, a naprawdę kończył się wielkim tylko słów szafunkiem, ale *hoc erat in votis* ze strony dworu. Reformację zaś dla królowej bądź co bądź spodziewano się otrzymać, przemawiając do miłości własnej posłów i senatorów. Królowa miała przyjaciół, miała takich, co nad jej losem ubolewali. Odezwał się za nią Radziwiłł i choć nie tak sownie jak nieboszczkę Cecylię, ale równie z matką króla, Anną, wyposażono Marię Ludwikę dopiero ostatniego,

wyproszonego dnia, gdy już, już sejm się miał zerwać.

Radziwiłł, który zaraz po konkluzji widział się z królem, znalazł go dosyć dobrej myśli i

poruszając ramionami, mówił wszystkim, że wojny sobie nie wybił z głowy.

Władysław w ogóle zręczności kanclerza Ossolińskiego, radom Magnusa, który siedział

zamknięty i wieczorem tylko na naradę do króla przychodził, na ostatek dobroduszości izb obu winien był, że mu się powiodło. Przyrzekł wszystko, ale spełnienie przyrzeczeń od tylu warunków zawisło, iż mógł się z tym nie śpieszyć.

Losy Bietki w ciągu tych miesięcy nie bardzo szczęśliwy obrót wzięły. Dowiedziawszy się o

ranie Nietykszy, spłakana wyprosiła się u królowej, aby jej w towarzystwie Francuzki, panny Duret, wolno było rannego odwiedzić. Rana zadana przez Nesterackiego była głęboka i dosyć ciężka, lecz nie grożąca życiu, i Nietyksza, gdy go opatrzone i obwiązano, nawet bez gorączki, mógł, się

przyodziawszy, siedzieć na łożku. Burzył się tylko i wściekał, że mu się nie udało zbója zatrzymać i oddać w ręce sprawiedliwości, bo tym razem byłby niezawodnie gardłem przyplacił.

Dwie panny z fraucymeru królowej, z pacholikiem jej w dodatku, we dworze księcia

Albrechta wywołały wielkie poruszenie. Nietyksza, który jak inni dworzanie w nie bardzo

obszernym budynku miał skromną izdebkę na dwu przeznaczoną, nie mógł tu przyjąć odwiedzin, zwlókł się więc do rodzaju refektarza, izby jadalnej, w której dwór książęcy obiadował i wieczerzał.

Nazwaliśmy ją refektarzem, gdyż wielka pobożność ołyckiego księcia przystroiła ściany na sposób klasztorny. Na jednej z nich wisiał rzeźbiony wielki krucyfiks, na drugiej wizerunek Panny Marii Bolesnej z siedmiu mieczami, a u drzwi żadnych nie brakło na kropielnicy.

Bietce się to dziwnym i trochę wydało smutnym, ale wchodzący blady a uśmiechnięty

weselem serdecznym Nietyksza rozjaśnił ponurą izbę. Bietka dziękowała mu ze łzami na oczach; wyrzucając sobie, iż po raz drugi dla niej krew przelewał.

— Tym razem — odparł Nietyksza, zmuszając się do wesołości — ja nie dla was, ale dla

pomsty własnej czatowałem na łotra. Wymknął mi się, ale mam nadzieję, że prędzej później rąk on naszych nie ujdzie. Będziemy na czatach stać, a że łotr ma tu rachunki i pieniądze do odbierania, których się nie wyrzeczce, przyłapiemy go, aby gardło dał.

— Dajcie już spokój zemście, proszę was — westchnęła Bietka — niech się krew nie

przelewa... Mnie się ona śni już, że ja w niej brodzę.

Chwilę tak zabawiwszy w refektarzu, uspokojona o ranę narzeczonego, powróciła Bietka do królowej.

Teraz jednak z każdym niemal dniem mniej się tu stawiała potrzebną i czuła to. Maria

Ludwika miała już mnóstwo przyjaciół, znajomych, pomocników i czuła się bezpieczną. Znała

ludzi, a pamięć mając doskonałą, wejrzenie trafne, nie potrzebowała się ani radzić, ani szukać objaśnień. Czasem więc po całych dniach dziewczę siedziało z Francuzkami albo u krosien, lub na próżnych paplaniach, do których dwór dostarczał bardzo obfitej treści. Nie było prawie jednej z młodych panien Francuzek przy Marii Ludwice, która by dwu i trzech zakochanych i starających się nie miała.

Pojąć to łatwo; nawet najskromniejsze z nich w porównaniu z Polkami śmielsze były,

łatwiejsze do znajomości i do żartów, nic za sobą nie pociągających w ich przekonaniu, a Polaków chwytających zaraz za serce. Królowa dla dworu swojego była niezmiernie surową, ale to, co po

francusku nazywało się surowością, w Polsce mogło ująć za wielką swobodę. Gdyby język nie stawał na przeszkodzie, którego Polacy się łatwiej uczyli niż Francuzki polskiego, stosunek ten z dworem królowej byłby ściślejszym jeszcze. Tylko Pac, który próbował dla swego pana zawiązać jakiś nieznacznym, tajemnym węzełkiem, został stanowczo odprawiony z niczym. Panny były o nim ostrzeżone, żadna się w nim wdawać nie chciała.

Po Bietce poszedł Płaza naturalnie z podzięką do Nietykszy, rad się zbliżyć i lepiej poznać z tym, którego za przyszłego zięcia uważał. Przyjął go z poszanowaniem Nietyksza i ugościł — lecz jakoś sobie wzajemnie nie przypadli do smaku. Ojciec nie mówił o tym córce, ale się domyśliła.

Dla skozaczałego trochę Lasoty, któremu coś w mowie i obyczaju pozostało z tych lat na

Nizu spędzonych, Nietyksza się wydawał miękki a do zbytku już pobożnym; Litwinowi zaś stary, który wódkę szklanką pił i po rusińsku klął, po wykwinnych Radziwiłłowskich dworzanach chrapowato wyglądał.

Gdy w Warszawie Nietyksza się wygajał z rany, przyjaciele jego do serca wzięwszy, że

Nesteracki im uszedł, na wszelki sposób zabiegali, aby go dostać. On o tym niewiele wiedział, ale druhowie czuwali. Chodzili tak dobrze, szpiegowali stosunki, że w kilka tygodni dowiedzieli się, iż śmiałek znowu się przekradł do Warszawy. Sprowadzały go tu rachunki pieniężne, bo chciwy był, a uzuchwalała bezkarność. Wyobrażał sobie, że król przez pamięć dla Amandy ścigać go nie każe.

Tymczasem Radziwiłłowscy, z zamkowymi się zmówiwszy, czekali już na Nesterackiego.

Wciągnął go jakiś zdrajca na zamek o mroku, a tu tak ostąpiono i osaczono, że nie mogąc się bronić, bo mu ręce w tył zaraz porwano i skrępowano, oddany został do starościńskiego więzienia.

Sprawa była bardzo prosta, gwałt dowiedziony, porwanie się do noża na zamku pod bokiem

króla — gardła trzeba było dać. Wyprawił wprawdzie gońca Nesteracki do księżnej Amandy, ale nim ten powrócił, już dekret był ferowany i spełniony. Ścięto go za wałami, a majątność kadukiem dostała się do rozporządzenia króla jego- mości, który naprzód chciał ją dać Bietce, ale gdy ta odmówiła i ojcu nie dopuściła się starać, wzięli kaduka dwaj dworzanie, co zbójcę pojмали.

Matka Nietykszy, której on umyślnie o ranie swej i wypadku nie zawiadamiał, przez służbę

jakiegoś księcia Bogusława Radziwiłła dostała o synu wiadomość.

Nazajutrz siedziała na wozie krytym, zaprzężonym najlepszymi końmi i pędziła do

Warszawy.

Energiczna niewiasta miała już, jadąc, wszystko w głowie. Zajechała do gospody i zamiast

do syna poszła naprzód do księcia kanclerza. Znał on ją z dawna.

— Mości księżę — odezwała się, kłaniając mu, Giedyminówna — przychodzę ja do was

jako matka, nie miejcie mi tego za złe. Jednego mam syna, on mi tu głowę postradał naprzód dla dworki, a oto drugi raz krwią płaci za głupstwo swoje. Dopóki tu będzie młokos, ja o niego spokojną być nie mogę. Oddaj mi go, księżę!

Złożyła ręce — kanclerz się uśmiechał.

— Bierz go jejmość sobie — rzekł — nie mam nic przeciwka temu, lecz biorąc przeciwko

jego wali, uczynisz nieszczęśliwym. Dziewczyna ta, o której ja wiem i żona moja ją przy królowej widziała, stateczna jest. Syn wasz w niej rozmiłowany... Nie sprzeciwiajcie się woli bożej!

Zbladła aż Giedyminówna.

— Mości księżę — zawołała — nie może to być, nie może! Dopókim żywa, nie pozwolę!

Jam Giedyminówna, a i Nietykszów ród stary, dziewczka zaś nie wiem nawet, czy szlacheckiego

rodu, i ze dworu. Uchowaj mnie Boże od niej i syna! Nigdy w świecie mu tego powroza sobie na szyję włożyć nie dam. Niech mi go księżę puści, a ja mu niedorzeczną miłość z głowy wybiję.

— Moja jejmość — rzekł kanclerz łagodnie — ja praw jej jako matki nie zaprzeczam i syna

wstrzymywać nie będę; rozważcie tylko, czy to, co czynicie, z dobrem jego.

Podziękowawszy a nie rozprawiając dłużej, Nietykszyna wprost szła do syna. Ten już

wiedział o niej i zrozumiał dobrze, dlaczego naprzód szła do księcia. Czekał na matkę, obwiązany na łożku siedząc, z mocnym postanowieniem pozostania przy swoim. Spodziewał się, że matka ze zwykłą swą gwałtownością i nakazem na niego wpadnie; i w istocie szła do niego z tym

postanowieniem rygoru. Ale... matką była, choć Giedyminówną.

Zobaczywszy jedynaka swego bladym, wychudłym, zmizerowanym, ręce rozciągnęła i

padła mu na szyję, rycząc z płaczu. Nigdy jej jeszcze taką nie widział syn; poruszyło mu się serce, mężczyzna rozbeczał się także.

Podróż, w ciągu której ciągle o synu tym myśląc, biedna kobieta miękła z bólu, uczyniła ją teraz prawie łagodną — lecz zmieniło się tylko postępowanie, cel i pragnienie pozostały

niezachwianymi. Zamiast naglić i nakazywać prosiła go, pieściła, a łzy jej toczyły się po

zmarszczonych i ogorzałych policzkach.

Nietyksza się opierał zrazu i prosił, ale zmiękczyć niczym nie mógł.

Po kilku dniach żal mu się starej zrobiło, prosił o jaką dobę do namysłu. Giedyminówną głową tylko skinęła i nazajutrz nie przysłała, a Nietyksza na zamek się udał do Bietki.

Ta już była zawiadomioną o przybyciu matki i miała przeczucie tego, co jej groziło. Brała mężnie, co ją spotykało.

— Jeżeli mnie kocha prawdziwie — powiedziała sobie — to wytrwa, a wywietrzeje mu to z serca i głowy...

Nie chciała myśleć o następstwach. Ojciec nie bardzo nastawał, aby się Litwinowi narzucać.

Miał swą dumę.

— Ja się z moim dzieckiem nikomu prosić nie potrzebuję. Znajdą się tacy, co mnie się jeszcze o nią do kolan pokłonią.

Nietyksza wprost spytał Bietki:

— Mów, co ja mam czynić! Matka nie rozkazuje, nie gniewa się, ale płacze, a mnie te łzy jak krople ukropu na serce padają. Co mam począć?

Namyśliło się chwilę dziewczę, pierścionek zaręczyn obracając na palcu, jakby go mu zwrócić chciało. Nietyksza odgadł tę myśl i zakrzyknął:

— Choćbym jechał, jam tak jak był, zostanę wasz, królowo moja, a pierścienia ani oddam, ani wezmę. Ale matka...

— Jedź — rzekła Bietka. — Wprzódty ona do ciebie niżeli ja miała prawa. Jedź, ja będę czekała, aż mi pierścień odeślesz.

Pozegnali się łzami, przysięgami, a Nietyksza odszedł choć smutny, jakoś na sercu swobodniejszy.

Doba upłynęła. Giedyminówna przysłała do dworku. Spojrzała na syna.

— Jadę z tobą, matusiu — rzekł — a żebyście znali ją, powiem, ona mi z wami jechać

kazała.

— Ma rozum — odparła zimno Giedyminówna. — ale mnie przez to sobie nie zjedna, bo mnie w synowej nie jednego rozumu, potrzeba.

Tegoż dnia poszedł dworzanin dziękować księciu za łaski jego i pożegnać się z nim.

Kanclerz go przyjął miłościwie.

— Dobrze czynisz, że szanujesz matkę — rzekł — żonę zawsze znajdziesz, gdy wola boża

będzie, abyś ją miał, a matki drugiej nikt ci nie da. Pan Bóg ci za to pobłogosławi. Jedź. Zechcesz-li powrócić, przy mnie zawsze miejsce znajdziesz.

A że się dworzanina, choćby majątnego, nie odpuszczało bez podarku, dał księżę konia

dobrego i łańcuch. Poszła mu dziękować. Nietykszyzna jeszcze, a potem syna z sobą zabrawszy, choć się jej wrywał do Bieleckich, do Mingajłowej, nie puściła go już, dopóki na wóz nie siadł

przy niej, bo konno mu jeszcze doktor jechać nie dozwolił. Rana była na zagojeniu, ale się szanować z nią musiał.

Pozostała Bietka sama i długo nie mogła tego sieroctwa serdecznego przemóc, z nim się oswoić. Zaczęła się modlić.

Ojciec nie mówił jej nic, ale miał na myśli co innego.

„Taki piękny i poczciwy chłop jak Lackowicz, czemu by się jej nie miał podobać?

Szlachcicem nie był, to prawda — mówił sobie Płaza — ale to szlachectwo na kozaczyźnie mu

jakoś lżejszym' się stało”. Patrzył na to zresztą, jak właśnie za panowania tego króla ogromny był

ruch mieszczaństwa, sołtysów, zbogaconych wieśniaków, którzy per fas i nefas wkradli się do herbów i przywilejów szlacheckich. Liczono ich na seciny, wytykano palcami, ale rzadko kto zadał

tym nowo wyszlachconym chłopstwo, a dosyć było znaleźć kilku świadków, co poprzysięgli, iż znali obżałowanego szlachcicem, aby się przy swym utrzymał.

Za Zygmunta III to podrabianie się do szlachectwa nieznacznie się poczęło, ale za

Władysława przybrało ogromne rozmiary. Zaciągi do wojska, pułki nowe wielce się przyczyniły do tej łatwej nobilitacji. Zamożny sołtysów syn lub kupczyk wpisywał się między żołnierzy jako urodzony i nikt go nie badał, a gdy raz na koń wszedł i pod chorągwią czas jakiś wytrwał, już sam niemal w to wierzył, że się szlachcicem urodził.

Są na to mnogie dowody, iż do rodzin starych a zubożałych — jak mówił Trepka * — za beczkę piwa się było można wkupić.

Płaza więc myślał sobie: „Jakby go dziewczyna polubiła?...”

* Liber Chamorum. Rps. (przyp. Autora).

ROZDZIAŁ VIII

W grudniu tego roku zapowiedziany już gość, nie bardzo królowi pożądanym, przyrodni brat Jan Kazimierz, zrzuciwszy habit mnisi, złożony kardynalski kapelusz, powracał do kraju.

Młodość jego i całe życie wcześniej mu wyrobiły u ludzi fałszywą sławę niestateczności.

Opowiadano sobie naówczas, że gdy mając wdziac suknię zakonną, udał się do świątobliwego Józefa z Kopertynu, który miał jasnowiedzenia przyszłości, i prosił, aby mu zwiastował, co go czeka, pobożny mąż, przewidując zawczasu brak wytrwania w nim, szepnął smutnie i niechętnie:

— *Neque tu jesuita, neque cardinalis!*

Później też wszystkie astrologów rachuby przepowiadały Kazimierzowi burzliwe jego nieustannie na zmiany doli, stanu i postanowień życie.

Dla króla Władysława niespokojny ten brat, który mu miał nie dać wypoczynku nigdy różnymi wymaganiami swoimi, był prawdziwą plagą. Przyjmował go z niechęcią, z żalem, bo mu naprzód także prorokował, znając go, że nigdzie nie wytrwa długo. Umysł był i temperament nie nasycony niczym, bo nic umiłowac nie umiejący. Gorące pragnienia zmieniały się w nim prędko w nieprzejednane wstręty. O ile Karol biskup był cichym, spokojnym, zamkniętym w swych ogrodach i nabożeństwie, o tyle Kazimierz rokował, że przyniesie z sobą kłopoty nieustanne.

Zaczynały się już od tego, że powracający dał znać królowi, aby mu jego dawne na zamku przygotowano mieszkanie.

Zajmował je właśnie ów tajemniczy a tak królowi potrzebny pod ręką i niezmiernie ulubiony graf Magnus. Król za nic w świecie nie chciałby go być rugować dla brata i kazał Kazimierzowi oznajmić, że ma się w domu dziekańskim, przy zamku, opróżnionym umieścić.

Rozgniewał się drażliwy eks-kardynał. Zatrzymał w podróży i napisał do króla, silnie domagając, aby do swojego mieszkania powrócił. Nie otrzymał długo odpowiedzi i zwłóknął powrót do Warszawy, siedząc nadąsany w Tarczynie.

Szcęściem dowiedział się o tym Magnus, a nie chcąc królowi przyczyniać troski, sam dobrowolnie się wyniósł do domu dziekanów, choć król chciał mu dać mieszkanie wytworniejsze w pałacu swoim na Krakowskim Przedmieściu, ale tu byłby od króla oddalonym.

Pomieszczenie księcia było zresztą jedną z najmniejszych trosk powrotem jego spowodowanych. Jan Kazimierz dopominał się całego wyposażenia swego, którego się był zrzekł, a król nim rozporządził, i ani chciał słuchać o kompensatach; odbierał wprost swoje, nie pomnąc, że sam wszystko to oddał królowi. Zaraz tedy o Sokal oddany zięciowi kanclerza dopominał się u Denhofa, u podskarbiego litewskiego o Kobryń, u podkomorzego swego o Preny, u Butlera i innych o rozdane im tenuty.

Nikt też powrotowi jego rad nie był, a królowej zapowiedziano, że jej fraucymer od niego spokoju mieć nie będzie. Wprawdzie liczył się on dotąd kardynałem i duchownym, ale ci, co go w powrocie widzieli, opowiadali, że przy szpadzie, po cywilnemu chodził i nosił się jak dawniej po niemiecku.

Miłości nie zaskarbił sobie u nikogo nawet z rodziny, bo i z biskupem Karolem był niedobrze, i królowi, jak mówiono, jego elekcji zazdrościł, pomnąc zapewne na to, że matka miała zamiar jego na tron prowadzić, o czym nasłuchiwał się od niej. Teraz syn Władysława, druga żona wszelkie nadzieje niweczyły.

Po wszystkich spełzonych na niczym projektach Kazimierz wracał wcale nie wiedząc, co robić będzie w Polsce, której nie cierpiał, a ona mu też wzajemnością wypłacała. Powtarzano tu sobie, co mu się niegdyś o polskiej szlachcie z ust wymknęło, a tego było dosyć, aby rozbrat między nim a Rzeczpospolitą nastąpił. Karły, małpy i papugi, rozmowy puste i miłostki płóche mogły wprawdzie jako tako życie zapełnić, ale nie starczyły dla zapewnienia szczęścia i nasycenia serca.

Na dworze królowej zawczasu rozpuszczone wiadomości o księciu Janie Kazimierzem spowodowały, że Maria Ludwika przestrzegła fraucymer swój, aby z należyтым respektem trzymał go z daleka od siebie.

Miała ona z nim oprócz tego do czynienia tyle, że utrzymanie w korbach przyzwoitości dwóch obozów, jakie się na dworze jej wykluły wojując z sobą, nie dawało jej spoczynku. Nawet z pomocą księdza Fleury niepodobna było przejednać zazdrosnych, którzy skarżyli w listach

królowę do Francji, obmawiali ją w Warszawie, intrygowali w sposób najnikczemniejszy.

Z jednej strony stał poseł francuski de Brégy, ksiądz de Fleury spowiednik królowej,

Desnoyers jej sekretarz i oboje państwo des Essarts. Drugiej naczelnym wodzem de Conrade, z Langeronówną, doktorem i częścią panien, które grupowały się wedle dawnych stosunków. Piękna panna Duret, przyjaciółka Bietki, była po stronie des Essartów.

W listach do Francji, które się dostawały często z powrotem królowej, oskarżano des

Essartów, sekretarza i księdza de Fleury, że chcieli opanować królowę i nad nią przewodzić.

Maria Ludwika jednak wcale ani do opanowania, ani do rządzenia sobą łatwą nie była; a

miała na swym stanowisku królowej i małżonki króla nadto do czynienia, aby ją te francuskie niespokojnych ludzi knowania wielce obchodzić mogły. Niecierpliwiły ją tylko i zrażały do części dworu, którego może by się była rada pozbyć, lecz kimże mogła zastąpić?

Położenie to królowej nie było do zazdrości. Wprawdzie zyskała pewną powagę, znaczenie,

a nawet niejaki wpływ u króla, który jej stanowczo i energicznie objawianej woli ulegał, ale serca jego zjednać sobie nie mogła. Pac i Platenberg gorliwie spełniali swe nikczemne obowiązki

usłużnych pośredników w miłostkach, o których i dwór, i miasto całe niemal wiedziało. Za jedną panną Amandę miał teraz znudzony pan co chwila jakąś nową znajomość, najczęściej z

najpośledniejszych warstw wydobytą, wystrojoną i mogącą tylko chwilowe roztargnienie przynieść z sobą. Ciż sami panowie pilno stali na straży, aby królowa sobie serca młodego królewicza pozyskać nie mogła.

Władysław, który go kochał jako przyszłego następcę i dziedzica jedynej krwi swojej,

pomimo przywiązania obchodził się z nim dziwnie. Zapominał o nim czasem, stawał się obojętnym, nagle potem wybuchał z czułością wielką, która niedługo trwała. On też z jakąś zazdrością na stosunek Zygmunta do macochy spoglądał, jakby się obawiał, aby mu serca jego nie odebrała.

Wszystko to razem wzięte życie na dworze czyniło duszącym i nieznośnym. Spoglądano na

siebie nieufnie, szpiegowano i oskarżano wzajemnie; miłości nie było nigdzie, a pozory

przyzwoitości kryły czczość i rozterki. Królowa musiała uciekać się do nabożeństwa, szukać w nim pociechy i rozrywki. Jeździła po klasztorach, przesiadywała godzinami po kościołach i wychodziła z nich najczęściej zapłakana.

Ciekawa jako kobieta, obrażona jako żona, królowa naprzód - przez Francuzów

wtajemniczoną została w to, co się u króla wieczorami działo. Nie mogła się potem wstrzymać od

przekasów i aluzji.

Nikczemny pochlebca wyznaczony dla niej koniuszym, który zazdrościł Pacowi, że ten

został przy królu na usługach potajemnych, pierwszy z Polaków począł donosić Marii Ludwice o wszystkim, co się działo. Z początku nie chciała królowa słuchać i byłaby zapewne najlepiej uczyniła, nie dając ucha, tym brudnym powieściom z królewskiej alkowy, ale oprzeć się nie mogła.

Po imieniu i nazwisku wyliczano jej różne ulubienice, opisywano, jak wyglądały. Platenberg, którego się nie wystrzegano, każdego dnia przychodził z raportami do królowej.

Obrażona, gniewna pani nie mogła wytrzymać, aby nie okazywała Władysławowi, że wie o wszystkim.

Król zapalił się gniewem ogromnym. Wpadł na Paca, ale ten zaklinał się, że od niego nikt się słowa dowiedzieć nie mógł. Platenberga nie posądzano. Padło podejrzenie na Francuzów naprzód...

Wtem właśnie Pac wprowadził na zamek nadzwyczajnej piękności Ormiankę, a koniuszy, który ją przechodzącą widział, umiał ją jak najdokładniej opisać królowej.

Maria Ludwika nazajutrz szydersko poczęła mówić o pięknościach ormiańskich i

wschodnich. Tego już królowi było nadto. Zaprzeczył naprzód i zapał się. Królowa opisała mu dziewczę, powiedziała jej pochodzenie, imię i nazwisko. Nie mogąc się wyprzeć, w pasji wyszedł

Władysław, odgrażając się na Francuzów, iż oni szpiegują i donoszą, więc ich precz do nogi wszystkich stąd wypędzi.

Przełęknięta królowa wzięła na siebie wszystko i przyznała się, że sama nocną porą czatowała, aby widzieć przechodzącą Ormiankę.*

Król usta zagryzł.

* Rpm. Desnoyers. Hist (przyp. Autora).

— Pozwól sobie powiedzieć Wasza Królewska Mość — odezwał się — że chodzenie po nocach w zamku wcale nie przystało dostojności królewskiej.

Z tym wyszedł, królowa się rozpłakała. Szczęściem des Essarts ją uratowała. Tej samej nocy wszczął się hałas, jęk i płacz w pokojach królewicza Zygmunta. Stał się tam przypadek jednej z nianiek chłopaka, który zmusił cierpiącą do krzyku, królowa więc mogła się tym wytłumaczyć, iż

posłyszawszy hałas u Zygmunta, wybiegła zobaczyć, co się stało.

Wszystko to króla Władysława do najwyższego stopnia niecierpliwiło; ale choć się na królowę odgrażał, im sam spadał niżej, tym ona uzyskiwała z wolna więcej władzy i poszanowania. Podejrzenie nie przestawało ciążyć na Francuzach, których królowa broniła. Nagle mściwy Pac zwrócił je na Bietkę.

Król wydał wyrok, aby ją ze dworu natychmiast oddalono. Dziewczę wcale o tym nie wiedziało, gdy des Essarts wpadła do jej pokoiku, gdzie z panną Duret szyły w krośnach, i bez przygotowania poczęła opowiadać, co się działo i czego król się domagał.

— Królowa nie dopuści tego — wołała des Essarts — obroni cię, sama mi to mówiła!

Bietka już tak była znużoną a w ostatnich czasach boleśnie dotkniętą odjazdem Nietykszy, a ojciec ciągle na nią tak nalegał, aby dwór opuściła, iż zrzuciwszy kłębuszki i igły, wstała od krosien wołając:

— Jeżeli to ma komu być potrzebnym, króla- uspokoi, królowę i was zabezpieczy, puśćcie mnie, pójdę choćby dzisiaj.

Maria Ludwika ostygła znacznie w ostatnich czasach dla Bietki, bo miała wiele innych na sercu i głowie brzemion, ale ją tak wydać na łup, tę, która pierwsza ważyła się do niej przybyć z przestrogą, wydało się jej niewdzięcznością srogą, oburzającą.

Postanowiła jej bronić.

Król, który wstydził się tych zakulisowych swych zabawek, nie mógł przebaczyć tym, co go zdradzili, ale koniuszego nie posądzał wcale. Przypomniawszy sobie za czasów Amandy śmiałość aż do zuchwalstwa występowanie Bietki, wina więc jej zdawała mu się dowiedzioną. Stanowczo począł się domagać wypędzenia jej ze dworu.

Z zimną krwią słuchała rozpraw i sprzeczek dziewczyna, na ostatek widząc, że królowej uczyni przysługę oddalając się, że ojcu to będzie miłym, nic nie mówiąc nikomu, z rana poszła do antykamery króla, do Paca.

— Proszę was, abyście byli łaskawi — rzekła sucho — wyrobić mi pięć minut posłuchania z pożegnaniem.

Pac udał podziwienie — nie odpowiedziała. Poszedł do króla i powrócił. Władysław siedział tyłem do drzwi, którymi weszła, i głowy nawet nie zwrócił.

— Najjaśniejszy Panie — poczęła spokojnym głosem przybyła — przychodzę Waszej

Królewskiej Mości podziękować za chleb jego. Idę na swój własny. Wiem, że mnie obwiniają o jakieś doniesienia... W tym razie nie jestem winna, ale w innym myślałabym zawsze, że król, posłannik boży, cokolwiek czyni, tego się wstydzić nie potrzebuje. Stopy całuję Waszej

Królewskiej Mości.

— Patrzcie! Rokoszanka! — krzyknął, obracając się, król. — Tyś nie doniosła, a któż? Kto?

Francuzi?

— Najjaśniejszy Panie, ściany i mury, wszystko donosiło. Zmiękł król, a że dziewczę ładne

Było, dodał:

— Niewinną jesteś, no to zostań sobie! Nie ty, to inna szpiegować mnie będzie.

— Dziękuję za łaskę, ale jej przyjąć nie mogę — rzekła Biedka. — Ściele się do stóp

Waszej Królewskiej Mości.

I wyszła.

Ojciec Płaza uwiadomionym był nagle z rana i jakby go kto na sto koni wsadził.

Tymczasowo Bietka się umieściła u Mingajłowej, co jej Bieleccy mieli za złe. Wytłumaczyła się, że u Kazanowskich miejsca więcej było.

Starego Lasotę to postanowienie córki wprowadziło w rodzaj szału. Chciał zaraz dworek kupić

albo w mieście, lub na przedmieściu. Wyobraził sobie, że Bielecki mu będzie pomocą, ale ten zakrzyczał:

— Toś się wybrał w porę! Tu się najwięksi panowie rozbijają o nasze miejskie place, ceny

ich poszły do góry, a tobie teraz się chce kupować. Lepiej myśl o wiosce na Mazowszu albo o Krakowie, który tanieje, bo tam bodaj oprócz pogrzebów i koronacyj więcej się już nic odbywać nie będzie.

Nie mogąc na razie kupić, Płaza póty biegał, aż najął dwór prawie dokończony na Nowym

Mieście, z ogrodem. Muzykant królewski, który go sobie wybudował, miał kwaterę na zamku, a żenić się nie myślał jeszcze i niedrogo dominę puścił.

Płaza i Lackowicz jak oparzeni latali, skupując teraz, co do domu było potrzeba. W jednej z tych wycieczek zapamiętałych, pochwycony za ramię, musiał się zatrzymać Płaza; stał przed nim Parfen.

— Co ty *skrutywsia*?

Nie wiedział, co odpowiedzieć zrazu Lasota.

— Chcesz tu na wieki zamieszkać? — począł, marszcząc się, Kozak. — Ale ty tu posłany z listami i powracać musisz z nimi! *Batku*, o tym nie zapominaj!

— A któż ci mówi, że ja wracać nie myślę? — spytał Płaza.

— Na co mi ma kto mówić, kiedy ja widzę — mówił Kozak — a co gorzej, ja to u was przez skórę czuję... Caryca i ty zdrajcy — dodał — ano, podumajcie wyj sobie, my długie ręce mamy! Ej ej!

Począł się w piersi bić raz po raz przestraszony Lasota i odprowadził Kozaka na bok.

— Ja przed tobą kłamać nie będę, bo ciebie nie oszukać; ale ty widzisz, czujesz, a nie tak, jak ono jest! Miałeś ty kiedy żonę, dziecko?

Parfen spojrział na niego zdziwiony i pogardliwie niemal.

— Ja dziecko? Tfu! Szczenięta chowałem, prawda... no, Tatarkę jedną miałem trzy dni w szafasie, alem ją nahajką wypędził... śmierdziała potem.

— Więc tego nie znasz, jak się dziecko kocha. — rzekł Płaza. — Mam córkę; ty, co wiesz wszystko, dawno wiesz i o tym; ja dla niej gniazdo ścielę, a sam na Sicz powrócę.

Parfen się rozśmiał na głos.

— Na *szto duryty!* — zakrzyknął i nie chcąc go nawet słuchać dłużej, pokiwał głową, zamachnął rękami, pogroził mu i poszedł.

Lackowicz i on siedli natychmiast radzić. Oba teraz postrzegli, że z pośpiechu wielkiego

strzelili bąka — zdradzili się sami. Nie w Warszawie na oczach osiadać trzeba było Płazie, ale w kącie gdzieś, aby go Kozacy, nie wytropili łatwo. Ale Płaza gotów był pieniądze najmu stracić albo go oddać komu innemu potem, teraz zaś potrzebował dachu dla Bietki, bo się obawiał, aby ją nie zatrzymano na dworze lub ona się sama nie rozmyśliła.

Napędce więc jako tako urządzono we dworku. Mówiliśmy już o ówczesnym domów

szlacheckich urządzeniu, które jeszcze namioty i obozowiska przypominały. Więcej w nich

stanowiły kobierce, kilimki, opony, sukna, obicia niż sprzęt inny. Lada stół okrywano kobiercem, lada ławę suknem i poduszkami.

Na te rzeczy Płaza pieniędzy nie żałował. Sreber, prawda, kupić nie mógł, ale cyny przysposobił podostatkiem, a to było średnich stanów srebro.

Bietka rada już była jednego dnia uciec z zamku i z pałacu. Ścisnęło się jej serce, gdy myślała, że się tak ochotnie, tak duszą całą poświęcała dla królowej, która teraz zimno, obojętnie się z nią rozstała. Pierwszy raz uczyła się tej wielkiej prawdy, że niewdzięczność jest prawem życia, a wdzięczność cnotą wyjątkową.

Wprawdzie królowa wyposazała ją ze swej garderoby bardzo hojnie, ale Bietce teraz tak mało o to chodziło. Zdawało się jej, że z zamkiem, w którym lat przebyła tyle, rozstanie się obojętnie. Dopiero w ostatniej godzinie uczyniła w sercu i to nowe odkrycie, że do miejsc, w których się cierpiało, przywiązać się można. Biegała tu dziecięciami prawie.

Wieczorem, przed opuszczeniem zamku, poszła do królewicza, który ją zawsze lubił bardzo.

Siedział jak zwykle zajęty rycerską zabawką, łukiem i strzałami, miał cudnie piękny, perłami szyty sahajdaczek przy sobie. Bietka przyklękła przed nim, łzy miała na oczach.

— Przyszłam was pożegnać — odezwała się, biorąc malutką jego białą, z długimi paluszkami rączkę do pocałowania.

— A dokądże ty jedziesz?

— W świat!

— Daleko?

— Nie wiem.

— Kiedyż powrócisz? — zapytał Zygmunt.

— Może nigdy — odpowiedziało dziewczę.

— O, nie, to nie może być — rzekł spokojnie chłopak. — Ja ciebie lubię, poproszę ojca, a on król, wszystko może, co chce.

Zygmunt zrobił minkę tajemniczą, pochylił się do niej.

— Przyznaj się — szepnęła — przyznaj... Ciebie ta Francuzka, ta królowa wypędza? O, ta

Francuzka!

— Królewiczu mój, ona was tak kocha! Zygmunt główką zawahał.

— Ja temu nie wierzę. Ona tu teraz wszystkim chce rządzić. O, ta królowa!

Smutno słuchała tego Bietka.

— Ojciec powinien ją odesłać do Francji — mruknął chłopak — a sobie innej poszukać.

Bietce tak przykro tego słuchać było, że o łuk i o strzały poczęła go pytać, aby mu nie dać mówić o królowej]. Jaka się tu gotowała przyszłość! Zausznicy od początku pracowali nad tym, aby zasiać ziarno niechęci, a król nie czynił nic, aby zapobiec.

Stosunki obojga były teraz dla świata zupełnie prawidłowe. Królowa nawet wyrabiała

przywileje, brała za to wedle zwyczaju podarki, wmówiono jej, że w Polsce wcale to zdrożnym nie było, miała swych przyjaciół i zapaśników, szczególnie pomiędzy duchownymi. Dwór jej był

świetny i piękny. Król publicznie teraz nie uchybił jej nigdy, czasu sejmu tak ją starannie uwiadomiano o wszystkim, jakby jakąś moc miała wpływać na obrady. Lecz gdy zamek zawarto i obcy się rozeszli, urągał się król swą lekkomyślnością kobiecie, która ze łzami w oczach powtarzała nieraz spowiednikowi swojemu, księdzu Fleury, iż gdyby była mogła przewidzieć,

przeczuć obyczaje polskie, nigdy w świecie dla żadnego tronu by nie pojechała do Polski.

Powtarzano te jej słowa, iż się nie dziwiła teraz ucieczce Henryka III i miała go za

usprawiedliwionego.

Niestety, pomimo tych żalów, łez, tych wstrętów królowa pamiętała o tym, aby na wszelki

wypadek wyrobić tu sobie stanowisko silne i być potrzebną. Zajmowała się też potajemnie wiele polityką, pisała listy, donosiła o tym, co na północy się działo.

W nowym dworku z jedną sługą, z ojcem i Lackowiczem, pierwszego dnia, zmuszona sama

o wszystkim pamiętać, gdy na zamku nawykła była mieć wszystko gotowe na żądanie, Bietka

uczwała mocno zmianę położenia. Gosposią dopiero musiała się uczyć być na przyszłość.

Płazie za to we własnym domu, przy dziecku, zdawało się, że był w raju, a że Lackowicza

kochał też mocno, widząc go razem zupełnie był szczęśliwy. Nie śmiał się z tym odzywać; ale jak by był chętnie Nietykszę na tego wymieniał! Bietka na pięknego i śmiałego a rubasznego chłopca patrzyła jakoś z obawą. Nie umiał ją ani tak zabawić, ani tak odgadnąć jak dworak Radziwiłłowski, o którym myślała, po którym tęskniła.

Uśmiech jej teraz tak trudno przychodził!

W dworku u Płazy, choć to było tak młode gospodarstwo, na gościach nie zbywało. Na służbę się co dzień stawiał Lackowicz, często zaglądał dobry ksiądz Stoczek, niekiedy przybiegała Bielecka, rzadziej on sam, na ostatek z przyjaciółek zamkowych Bietki, Francuzek i Polek, przybiegały czasem niektóre. Lasota miał we krwi polską starą gościnność i nikogo od siebie nie wypuścił bez przekąski i kubka.

Wszystko by tu się dla niego składało jak najpomyślniej, gdy by nie widok natrętny przechodzącego często pod oknami wolnym krokiem Parfena. Nie było dnia, żeby się im tu nie pokazał raz co najmniej, ale do Płazy nie zachodził nigdy; odwracał oczy, gdy domostwo mijał.

Właśnie prawie o tym czasie, gdy Bietka opuściła zamek, z Tarczyna najechał uroczyście Jan Kazimierz, kwaśny, niekontent z króla, już zawczasu zniechęcony do rodzzonego brata, księcia Karola, uprzedzony przeciwko królowej, gotując się tu na wszystkich skarżyć i wszystkim dojechać. Z nim dosyć liczny dwór cudzoziemski cały, dwa karły, małpy i papugi.

Duchownego ani kardynała śladu nie było w nim. Ospowaty mocno, blady, rysów twarzy niemiłych i dumnych, zdawał się łaskę czynić Rzeczypospolitej i królowi, że do nich powrócił.

Tymczasem nikt go tu wesołą twarzą nie witał, bo sobie miłości zaskarbić nie umiał nigdzie.

Pierwsze kroki jego były napaścią na Karola, na króla, na tych wszystkich, którym jego wyposażenie zostało rozdzielone.

— Mój kochany — odparł król przy pierwszym widzeniu się — nie zapominaj o tym, że sam się tych dóbr wzywałeś, że ja cię ostrzegałem, żeś się uparł zostać zakonnikiem, a nie wytrwał nawet w kardynalskiej purpurze.

— Bardzo dobrze — rzekł kwaśno Kazimierz — ale powracam, i co mi należy, powinienem odzyskać.

— Starać się będziemy ci to wynagrodzić — odparł obojętnie Władysław i począł rozpytywać o Włochy.

Ale w oczach księcia nikt teraz nie miał łaski, ani papież, ani kardynałowie, ani królowie i księżęta, między którymi on tak poślednie miejsce zajmował. Wszystko chłostał z niesłychanym oburzeniem.

Nazajutrz rano przyjechała go królowa. Słyszał on bardzo wiele o niej, wyobrażał sobie może inaczej, wszedł jakoś lekceważąco, a wprędce się zmieształ, spoważniał i stał galantem.

Początek rozmowy był bardzo szczęśliwy. Kazimierz nie cierpiał Polski i Polaków, królowa nie miała dotąd do pokochania ich pobudek, zgadzali się doskonale; ale ten *frondeur*, nielitościwy był co do obyczajów ani na jeden włos nie lepszym od ogółu i od brata.

Gorycz z każdego jego słowa tryskała; ani się można było dziwować po tylu doznanych zawodach, po więzieniu we Francji, po pobycie w Rzymie, po wszystkich próżnych staraniach. Ten sposób zapatrywania się na świat z jego czarnej i złej strony daje zawsze ludziom pozorną jakąś wyższość, a łatwym jest, gdy się popisuje z nim, bo plamy biją w oczy.

Królowa jednak łatwo poznała w królewiczu człowieka zgorzkniałego własną winą, a niewielkiego umysłu. Wśród najpoważniejszej rozmowy wtrącał najdziecinniejsze pytania. Na równej szali były u niego sprawy Rzeczypospolitej i kłótnie jego karłów.

Królowa, która dotąd słyszała o nim jako o kardynale, zdumiała się widząc go w peruce, krezie i przy szpadzie wchodzącym na pokoje, spytała więc, czy się zupełnie wyrzekł purpury.

— Tak jest — odparł — wśród intryg Włochów wiecznie bym musiał być ich igraszką lub narzędziem. Skosztowałem, mam dosyć...

O przyszłości swej tutaj książkę nic jeszcze powiedzieć nie umiał. Skarżył się, że mu tak pośpiesznie rozgrabiono wszystko, iż mógł z głodu umierać. Ponieważ coś był zasłyszal o polityce brata, o zaciągach jego, o trudnościach, jakie miał z tego powodu, krytykował zachcianki brata.

Królowa żywo wzięła go w obronę.

— W Polsce niepodobna nic zrobić — mówił — szlachta wicherzy i nie dopuszcza... Trzeba się zrezygnować na panowanie bezczynne

— Właśnie król chciałby to zmienić — mówiła Maria Ludwika.

— A, pracował nad tym Batory, ojciec nasz! Władysław się zagryzie i nic nie zrobi.

— Musi próbować — dodała królowa.

— Me zazdroszczę mu — rzekł Kazimierz. — Ja do niczego się mieszać nie będę.

Pierwsza ta rozmowa na królowej uczyniła wrażenie wystarczające, aby jej dało miarę człowieka. Kazimierz wyszedł z wielkim uwielbieniem dla Marii Ludwiki, ale to było znanym i wiadomym, że każda z pań robiła na nim silne wrażenie, które się nazajutrz rozpraszało i zmieniało w zupełnie przeciwne.

Nie upłynęło dni parę, a już z pokojów eks-kardynała niepokój, plotki, wyrzuty rozchodziły się po zamku. Z niezmierną ciekawością starał się przeniknąć do fraucymeru królowej i zaraz na pierwsze wejrzenie począł się unosić nad panną Duret. Była ona w istocie jedną z najpiękniejszych w orszaku pani, ale też najnieprzystępniejszych. Platenberg, któremu się zwierzył, zapowiedział mu, ażeby tu próżno czasu nie tracił.

Jan Kazimierz uraził się mocno.

Pod pozorem szukania księdza Fleury, pana des Essarts, doktora de Lafage ciągle wtargał do pokojów dworu, aby spotkać się z panną Duret, która już uprzedzona, nigdy mu sam na sam z sobą ani na chwilę pozostać nie dała.

Gniewało go to. Wiedział, że na dworze brata nie było zbyt surowości, że Francja też nie słynęła z niej; uważał więc postępowanie to jako wymierzone przeciwko sobie.

W poufalej rozmowie z panem de Brégy dowiedział się dopiero od niego, że królowa była dla swych panien niezmiernie surową i najmniejszej nie pobbłażała płochości.

— Cóż na to król jegomość? — zapytał szydersko.

— Król — rzekł de Brégy z uśmiechem — musi się zaopatrywać gdzie indziej...

Nowy ten żywioł, którym dwór został zbogacony, nikomu nie przypadł do smaku, zawadzał wszystkim. Królowa jedna w początkach nie chciała być dla niego nazbyt surową. Znudzony, bez zajęcia, książę spędzał godziny długie na słuchaniu najniedorzeczniejszych rozmów swoich paziów i karłów, przeciw którym się czasem niecierpliwił aż do własnoręcznego ich policzkowania.

W początkach duchowieństwo powracającego z Rzymu eks-kardynała odwiedzało ciekawie, spodziewając się od niego coś dowiedzieć o tej stolicy Kościoła i sprawach w niej ważniejszych, dotyczących Polski, ale Kazimierz nie wiedział nic oprócz tego, czym mógł oczernić i zakon, który porzucił, i Kolegium, do którego należał. Powtarzał z goryczą to naówczas już rozpowszechnione przysłowie: *Chi Roma vide, perde la fede*. Każdy z duchownych wychodził z tych rozmów zgorszony i oburzony. Za co się mścił ten człowiek, którego tam tak uprzejmie i gościnnie przyjmowano?

Całe tak życie nieszczęśliwy, miał za swą nieudolność szukać pomsty na ludziach.

W Polsce naturalnie nic mu się nie podobało: nie było ludzi, wszystko się chyliło do upadku. Kazanowscy przyjęli go zimno, Ossoliński, którego zięciowi już odbierał nadany Sokal, witał kwaśno, z księciem Karolem wcale się nie widywali.

Nierad z zajętych przez siebie pokojów, które odebrał Magnusowi, rościł sobie pretensje do pałacu królewskiego na Krakowskim Przedmieściu, który uznawał dla niego niepotrzebnym.

— Ma zamek, ma Ujazdów, po co mu ten pałac?

Mówiono mu, że król nie dał go przecie księciu Karolowi, który się mniejszym mieszkaniem zaspokajał. Podkomorzy jego czynił mu uwagę, iż na tak rozległy gmach większego też i kosztowniejszego potrzeba było dworu i straży — ale to nie przekonywało. Musiał się na coś żalić i zawsze czuć pokrzywdzonym.

Wyposażenie księcia Karola, który ze swego biskupstwa małe miewał dochody, wydawało mu się daleko dostatniejszym niż jego własne. Król na próżno usiłował się od niego zamykać; wchodził bez opowiedzenia po kilka razy na dzień, zawsze z żalami jakimiś lub krytyką.

Szczęściem piękna panna Duret tak gorąco go zajmować zaczęła po dniach kilku, iż dla niej króla wyswobodził. A że wdzięczna Francuzeczka obawiała się tego gacha tak kompromitującego, uciekała, nie odpowiadała, tuliła się pod skrzydła królowej, eks-kardynał roznamiętniał się dla niej, tak iż cały dwór śmieszył sobą.

Król nawet szydził z niego.

— Z tego, co otacza Najjaśniejszą Panią — rzekł — bądź pewien, iż najmniejszej nie będziesz miał korzyści... Koronkę odmawiają wszystkie bez zająknienia, ale miłosnych komplementów nie rozumieją. Spytaj Paca, Platenberga i pana kuchmistrza. Nie ma tam ani jednej, która by dała się wziąć na słodycze i podarki. Nie trać więc czasu!

ROZDZIAŁ IX

Wszystko dalej snuło się tak, jak poczęło, a przybycie jednego więcej członka rodziny królewskiej oprócz sporów i kwasów nic z sobą nie przyniosło. O wojsku nowo zaciągniętym ucichło, ale go nie zmniejszano; wyprowadzono tylko z tych miejsc, w' których się naprzykrzyło do zbytku i ów Magnus, przeciwko któremu, nie mianując go, podnosiły się głosy tak gwałtowne, pozostał spokojnie w królewskich usługach.

Król żył, jak był nawykł, nagniewawszy się na królowę, że go napominała, trochę tylko

ostrożniej, a gdy było można, schodząc jej z oczów.

Pac go namówił pod pozorem łowów zimą do Zalesia, gdzie zapadł tak ciężko, że go do

Warszawy przynieść musiano nazad. Nie przeszkodziło to do wydania nadzwyczaj wspaniałego

bankietu na święty Kazimierz, imieniny królewskiego jedynaka, w czasie którego król był jak najlepszej myśli. Choroba ustąpiła nagle.

Z wiosną zbliżał się termin sejmu nowego, który uprzedzając, Władysław rozpisywał listy

do senatorów, domagając się, aby przykre i upokarzające dla niego uchwały poprzedzającego sejmu zmieniono. Nie co innego to znaczyć miało, tylko cofnięcie przymusu co do wojsk zaciągnionych i domagań oddalenia cudzoziemców.

Dlaczego tak późno król dopiero uczuł się obrażonym? — trudno było wyrozumieć.

Sejm wręście, uroczyście nabożeństwem u Świętego Krzyża otwarty, rozpoczął się

ogólnymi dezyderiami. Pomiędzy nimi była wzmianka o „cudzoziemcach” znowu, którą król

posłyszawszy mocno się zmarszczył, laskę wziął i wyszedł z izby.

Czym sprawa o Trubczesk była dla przeszłego sejmu, tym dla terażniejszego stały się

obalone krzyże w Radziwiłłowskich dobrach (u księcia Janusza), sprawa o Hadziacz między

wojewodą ruskim a chorążym koronnym, na ostatek i spór królewiczów Karola z Kazimierzem o

dobra Żywiec. Ci bracia już się nie widywali z sobą i nie mówili do siebie.

Przez cały czas trwania sejmu o zaciągach wojskowych nie było mowy. Król, gdy mu było

potrzeba, chorował, a nawet z łóżkiem się do izby sejmowej kazał przenosić.

W ogóle sejm ten miał inny jakiś charakter i wyjąwszy sprawy z dysydentami o krzyże,

prywatne największe grały rolę.

Dochodziło to aż do cynizmu.

Podstarościemu Kiersnowskiemu król obiecał był pisarstwo nowogrodzkie, a potem mu go

nie dał. Nie mógł Kiersnowski znieść tego, aby się nie pomścić. Gdy tedy pod koniec sejmu

kanclerz bardzo zręcznie wsunął żądanie króla, aby Rzeczpospolita zapłaciła dług zaciągnięty na wojsko cudzoziemskie, podstarości wstał i począł dowodzić, że to wojsko było bezprawnie,

przeciwko paktom zebrane, że król wiedział, iż nie miał prawa do tego, a przecież to uczynił, zatem niech przynajmniej sam płaci za własną winę. To powiedziawszy, Kiersnowski obrócił się do słuchaczy i dodał:

— Oto tobie, królu, pisarstwo!

Sam koniec sejmu, jak zwykle z dnia na dzień przewlekany, potem naglony, nikogo nie zaspokoił.

Ale król się zbytnio na tok rozpraw uskarżać nie mógł. Obalone krzyże, Hadziacz, pomniejsze sprawy zabezpieczały go od słuchania wymówek i nalegań.

Wszystko zostało jak było na dworze, z tą różnicą, że Kazimierza z Karolem pogodzono, choć z trudem niemałym. Nowo przybyły eks-kardynał dał się w czasie sejmu użyć jako rozjemca w kilku ugodach (Hadziacz), ale dowiódł razem, że do tego wielkich zdolności nie miał.

W lecie Władysław się począł wybierać na Litwę dla łowów, w rzeczy zaś, aby w

Warszawie na zamku, gdzie był na oku królowej, nie siedzieć. Dzień wyjazdu był jużznaczony, gdy Adam Kazanowski, na trzy dni przed tym rano wszedłszy do sypialni, zastał Władysława z twarzą posępną, zadumanego jakoś dziwnie. Nie była to troska dni powszednich, ale coś, co go nie drażniąc dotknęło. Kazanowski wiedział, że gdy szło o pospolite nieprzyjemności, którym zaradzić było w mocy ludzkiej, król zżymał się i niecierpliwił; tym razem był tylko smutny.

Z troskliwością począł go rozpytywać Kazanowski.

Władysław ręką potarł czoło zasepione.

— Sen miałem — rzekł — który zostawił po sobie wrażenie i pozbyć się go nie mogę.

Zaczął nalegać Adam o to, co mu się śniło.

— Widziało mi się — odezwał się król głosem zmienionym — że nieboszczka matka

królewicza chciała go z sobą wziąć w jakąś podróż. Ja nie chciałem na to pozwolić dla złej pory, na co mi Cecylia odpowiedziała, że syna swojego na pewne miejsce zaprowadzi.

Kazanowski starał się rozproszyć myśli tęskne, tłumacząc sen przygotowaniami do podróży, i Władysław, łatwo zmieniający usposobienie, z wolna się rozchmurzył.

Około południa jednak posłał się dowiedzieć o królewicza i zażądał go widzieć.

Powiedziano mu, że z dozorcą wyszedł na przechadzkę i miał wracając z niej chorych

województw pomorskich odwiedzić.

Wieczorem królewicz zasnął i położył się w łóżko; dostał biegunki krwawej. Zaniepokoiło to dwór cały, króla, królowę i poruszyło lekarzy, których natychmiast wezwano.

Było to we wtorek. W nocy wywiązała się gorączka bardzo silna, ale niebezpieczeństwa nie widziano jeszcze i króla starano się uspokoić.

Przypadkiem drugiego dnia posłany ksiądz de Fleury od królowej do niego zastał go niespokojnym i poruszonym; przecucie jakieś dręczyło go.

— Mój ojciec — zapytał po cichu i nieśmiało — chciałżeby Bóg za grzechy moje karać mnie, odbierając skarb jedyny? To by było okrucieństwo.

Zmieszany kapłan nie mógł odpowiedzieć inaczej jak wyrazy ogólnymi pociechy i nadziei.

Tymczasem już lekarze utracili wszelką nadzieję uratowania biednego dziecięcia, które pomimo choroby i gorączki z dziwnym spokojem zdawało się na śmierć gotować.

W piątek wieczorem Zygmunt kazał sobie podać gromnicę i odezwał się słabym głosem:

— Dziś wieczorem spodziewam się oglądać Matkę Boską. Wkrótce potem, modląc się,

chłopię niewinne zmarło spokojnie. Niewysłowiony zamęt sprawiło to na zamku. Nie śmiał nikt oznajmić o tym królowi, który posyłał dowiadywać się ciągle i odbierał odpowiedzi, że dziecko chore jest bardzo. Posłano po Kazanowskiego, gdyż królowa, cała we łzach, nie miała odwagi iść z tym do męża.

Marszałek nadbiegł, gdy Zygmunt już leżał martwy z dzieć- cym na ustach uśmiechem.

Książę Karol i Kazimierz byli już tutaj, a pierwszy z nich modlitwy odmawiał.

Ponieważ nazajutrzznaczony był wyjazd na Litwę, zdawało się, że król go zwlecze z

powodu tego zgonu i znużenia, bo w ciągu ostatniego dnia choroby nie miał nic w ustach, płacząc ciągle. Kazanowski postanowił nie kryć dłużej nieszczęścia. Wchodząc do sypialni już takie miał

żałobne oblicze, iż się z niego domyśleć było można katastrofy. Kazimierz i Karol szli za nim.

Zobaczywszy ich Władysław oczy sobie zakrył. Nie potrzebowali mówić, wiedział, co mu przynieśli.

Przez długi czas nie mówiąc nic, król płakał.

Weszła królowa z kondolencją także, ale pozostała krótko. Nieporuszony na łożu trwał tak do późnej nocy, po czym przywołał Kazanowskiego. W umyśle jego zaszedł jakiś zwrot nagły; począł gorączkowo wydawać rozkazy do pogrzebu syna. Ciało miano do Krakowa, do królewskich prowadzić grobów.

O sobie nie mówił król nic, milczał lub urywanymi słowy dawał dodatkowe rozkazy, lecz widać było stopniowo nadchodzące uspokojenie. Kazanowski, który go znał dobrze, wiedział, że w głębokim żalu nie wytrwa, że natura, temperament każą mu natychmiast szukać rozrywki jakiejś, roztargnienia, zapomnienia. Zatapiać się w goryczy i smutku nie było jego zwyczajem, gniewał się, burzył, ale wybuch trwał krótko i po nim często najsprzeczniejsza wesołość wracała.

Z tym wszystkim wyjazd na Litwę, dokąd królowa towarzyszyć miała mężowi, zdawał się tak rychło niepodobieństwem; a stało się nad wszelkie spodziewanie przeciwnie, gdyż Władysław, zapytany o tę podróż, zamruczał, że rozkazy były wydane i że zmienione nie będą.

W kilka dni potem w Grodzieńskiej Puszczy, w Iziorze, król strzelał do łosiów, które w ostępie sieciami otoczonym napędzano, i w pierwszych łowach padło ich trzydzieści osiem sztuk.*

Dla wielu, co Władysława nie znali z dawna, ta pozorna obojętność po śmierci syna jedynaka, gdy nie miał już nadziei dochowania się potomstwa, wydawała się niepojętą. Ale pod tą skorupą lodowatą, którą wyrobiły obyczaje, którą może czynił twardszą rodzaj męskiej dumy nie chcącej się poddać boleści, Władysław cierpiał straszliwie.

* Rpm. Desnoyers. (przyp. Autora).

Od tej śmierci syna zobojętniał na wszystko prawie, co nie było namiętną rozrywką, mogącą mu dać zapomnienie, rodzaj upojenia i znieczulenia. Magnus na próżno się go starał rozgrzać polityką, inni zabawiać zaciągami ulubionymi, przygotowaniem do wojny, projektami przyszłości na Wschodzie. Władysław słuchał o nich, jakby echo dni ubiegłych dochodziło do jego uszu, na teraz było mu to już obojętnym. Starania o rozpoczęte sprawy poruczał drugim.

Jedno tylko uczucie pozostało żywym z dziejów tych pogrzebionych — żal i gniew przeciwko szlachcie, iż mu stanęła oporem, w chwili gdy marzył o wielkiej wyprawie na pogan. Na listy Zaporozców kazał odpowiedzieć z łaskawością wielką, a wieść chodziła, że jednemu z potajemnych posłów od Niżu, skarżących się na ucisk panów polskich nad ludem tamtejszym, miał

burknąć gniewnie:

— Macieź przecie szable i kopie! Brońcie się i krzywdy sobie szlachcie nie dajcie czynić!

Słowo to, prawdziwe czy narzucone królowi, padło jak iskra w posuchę na wiszary.

Kozaczyzna ruszać się butnie zaczęła, króla czując za sobą.

W tym czasie też kanclerz Ossoliński, zawezwał do siebie Płazę, listy dla niego gotowe były, miał je natychmiast na Niż odwozić.

Chociaż spodziewana, wiadomość ta jak piorun spadła na Lasotę. Tegoż dnia z

Lackowiczem na radę poszedł do księdza Stoczka. Spełna nie wiedział, co pocnie.

Listów z powrotem na Niż, a choćby tylko do Kijowa, odwozić nie chciał. Wiedział, że

Parfen go podejrzewał i przez mnogich potajemnych kozaczych posłów znać musiał dać starszyźnie o tym. Choćby więc jechał z listami, był pewien, że go tam pochwycają, uwiężą lub stracą, nie słuchając uniewinnienia.

Zostać wprost w Warszawie, czyniąc się chorym, nie było też bardzo bezpiecznym. Jeżeli

starszyzna podejrzewała go o odstępstwo i zdradę, a chciała się pomścić, łatwo i tu, pod bokiem króla, mogła znaleźć środki sprzątnięcia go. Dość na to było jednego Parfena, a Płaza i Lackowicz wiedzieli, że on tu pewnie sam nie był.

Stoczek słuchał sprawy skłopotany.

— Mój Lasoto — rzekł — jam żaden dworak i polityk, wszelką rzecz wedle prawa

Chrystusowego mierzę i rozsądzam. Służyłeś im, póki ci sumienie pozwalało, nie zdradzając, ze służby wystąpić masz prawo otwarcie, spokojnie.

— Ale oni niechybnie mścić się będą! — wtrącił Lackowicz. — Jedyne sposob ująć potrzeba.

Drugiego dnia po bezowocnej naradzie u księdza Stoczka Płaza się musiał stawić u

Ossolińskiego, który listy już miał gotowe. Zabrać je, zaniedbać, było niebezpieczniejszym nad wszystko. Płaza, który po nadaremnych obradach w końcu na własny rozum spuścić się musiał, poszedł w oznaczonej godzinie do Ossolińskiego.

Przyjęcie i odprawa tym razem niewiele się różniła od pierwszych. Lasota odebrał listy i

wiatyk mu wyznaczony na podróż i poszedł z nimi do domu. Lackowicz czekał na niego.

Płaza się rozdział do koszuli i położył w łóżko.

— Idź, Parfena sprowadź do mnie — rzekł — innego ja wyjścia nie widzę... Szukaj na mieście, około gospód na Długiej ulicy, gdzie chcesz, a wcześniej mu oznajm, że jestem chory, w kościach mam łamanie takie, iż mi na koń się nie podobna.

Niedługo na Parfena czekać było potrzeba; jak gdyby już wiedział, po co go tu zawołano, z dumno szyderskim uśmiechem wszedł do dworku i do łóża Płazy.

— Hej hej! — zawołał żartobliwie. — Co ja to widzę, a wy w łóżku? Albo to Kozakowi przystało?

Płaza się zmięszał.

— W kościach strasznie łamie — rzekł — jużem maści różnych próbował, nie pomaga nic.

Kozak śmiał się pod wąsem.

— U nas pogadanka taka, że maści nie ma jak dębowa — zamruczał.

— Ani ręką, ani nogą ruszyć — przerwał prędko gospodarz, podając czarkę wódki gościowi, którą przyniósł Lackowicz.

— Za wasze zdrowie — wychylił Parfen — *bodajeśmy tycha ne znały!*

— Mnie ta choroba właśnie nie w porę — ciągnął nie zważając na urągający ton, z jakim

Parfen się odzywał. — Listy mi odpowiednie dano, trzeba by jak nie dziś, to jutro zaraz na koń, bo tam pewnie stoi co pilnego, a tu ja niezdrów.

— E! e! — rzekł chytrze Parfen — jakby listy poczekały dzień, dwa, nie zaśmierdzą się przecie. To nie zwierzyna ani ryba.

— Żeby ja wiedział, że za parę dni ozdrowieję — rzekł cicho Płaza — ale ja tego pewnym nie jestem. Radź ty mnie... co robić?

— Hm! — rzekł Parfen — kiedy w Lackowiczu zaufanie macie, niech on na waszą odpowiedzialność jedzie.

Lackowicz i Płaza spojrzeli na siebie, porozumiewając się. Kozak ich brał na próbę.

— Ja Carycy wierzę jak sobie samemu — odpowiedział Lasota — ale się o jedno boję.

Czasem jak poczuje pot... szaleje. Naówczas, zapomina i o sobie, i o wszystkim, a gdyby nie listy królewskie, ale choćby nie wiem jakie z nieba od aniołów wiózł, gotów się rzucić i gardła, i ich nastawić.

Parfen głowę z ramienia na ramię przechylał. Milczeli, a Płaza wódki nalał po wtóre, Parfen ją wychylił, językiem mlasnął, bo mu smakowała, i zamyślił się.

— No, co? — spytał Płaza.

— No, co? — powtórzył Kozak. — Albo ja wiem...

— Gdybym i pojechał — ciągnął stękając gospodarz — sam jeden, obiegnę gdzie w gospodzie i uchowaj Chryste jakiego przypadku, listy się mogą dostać w ręce takie...

Zamilkł moment krótki.

— Mnie by się widziało — dodał poczekawszy — gdybyś ty ode mnie i pieniądze na drogę, i pisma wziął, a jechał z nimi sam. Weź i konia bodaj... to by było najbezpieczniej.

— Chytró — szepnął, Parfen po cichu — ano ja, *batku*, kiedy mnie na czacie bywało postawią a zapomną, to ja trawę jem i korzonki, a nie zejdem ze straży. Ja tu także może na czatach...

Sam nie wiem, ale przykazanie mam nie odchodzić.

Płaza głową pokręcił. — Już nie wiem, co pocznę.

— Ja też niemądry — dołożył Kozak. — Ano — wtrącił śmiejąc się — wódka u ciebie dobra; ty ją chyba w aptece bierzesz, bo aptekarze, słyszę, robią najlepszą.

Zamyślony Płaza nie odpowiedział, ale skinął, aby nalano jeszcze kubek Parfenowi, który pił jak wodę i ani się nawet zarumienił.

— Ja bym tobie radził choć wozem a jechać — rzekł po małym odpoczynku. — Prawda, że naszemu bratu na wozie jak baba z garnkami z jarmarku wlec się srom, ale kiedy w kościach łamie...

— I nogi mi ponapuchały — dodał Płaza.

Parfen spojrział ku nogom, jakby to chciał sprawdzić, ale gospodarz ich nie odkrył.

— Co wóz pomoże! — westchnął.

— Bieda! — zamruczał Parfen. Zamilkł i po izbie chodzić począł.

Lackowicz, który w to wierzył, że umiał Kozaków sobie jednać, wziął go pod rękę i szeptał coś do ucha.

— Do jutra! — rzekł Parfen. — Przyjdę z rana, zobaczymy...

Bietka, niezupełnie wtajemniczona, wiedząc tylko, że ojciec miał jakąś troskę, narady, niepokój, chciała od' niego dowiedzieć się o wszystkim, wierząc w to, że i jej rozumek mógł się na coś przydać. Ale Płaza ją w czoło całował i zwierzać się nie chciał.

— Jechać nie pojedę za nic — mówił. — Dziecka nie porzucę, a choćbym nawet ją wydał i o los się ubezpieczył, co ja tam robić będę? Oni nie na Tatara ani na Turka, ani na Moskwę, ale na polską szlachtę szable ostrzą, a ja bym miał z nimi na swoich iść?

Lackowicz też, choć szlachty nie lubił, ale Lachem się czuł a mścić się nie miał ochoty:

— Ja też na Niż nie powrócę — rzekł — a nie znajdę służby tu, zaciągnę się do cesarskich albo do francuskich pułków, jeżeli oni je złożą. Płaza w nocy pomyślał, że choćby mu przyszło córkę zostawić u ciwunowej, a samemu nocą w Krakowskie zbiec, i na to był gotów.

— Ja z tobą — dodał Lackowicz.

Z rana czekali Parfena do południa prawie. Nadszedł już trochę podweselony a bardzo butny. Siadł u łóżka Płazy.

— No? A co kości twoje?

— Gorzej niż wczora. Męczyłem się przez całą noc — rzekł Płaza.

— No, to nie ma z tobą co poczynać — dodał Parfen — dawaj mnie listy, ja już będę wiedział, co z nimi robić. Jeszcze u ciebie sumienie jest; żeś ich nie zniszczył.

Oburzył się. Płaza, a Kozak go po ramieniu poklepał.

— Nie sierdź się — rzekł — chytry jesteś, ale bywają gorsi od ciebie. Gdzie te listy?

Płaza dobył chustę zawiązaną spod poduszki i pokazał ją. Parfen popatrzył na pieczęci, czy były nie naruszone, i z poszanowaniem zawinął znowu. Dobył jeszcze jedną chustę własną, obmotał w nią papiery i za pazuchę założył głęboko pod koszulę.

Tymczasem Płaza, dostawszy sakiewkę, liczył na brzegu łóżka złotą i srebrną monetę, którą

mu Ossoliński dał na drogę. Parfen milczał, wódkę popijając. Nie sprzeczał się o pieniądze ani ich wymagał więcej, dumał.

— Zbyliście się ciężaru — szepnął przerywając milczenie — zdaje się wszystko

skończone... hę? Ale ja nie wiem, co na to starszyzna powie. Może ty jej byłeś potrzebny, może ty nasze sekrety dniewprowe, nasze schówki i niedostępne znasz kryjówki? Myślisz, że tobie z tym po świecie dadzą chodzić, gdyby się wojna rozpocząć miała? Nie wiem, a ja bym nigdy takiego nie żywił, co by moje życie trzymał w garści.

Wtem Płaza zaklął się, że o żadnych nie wiedział tajemnicach.

— Albow to ja do rady należał? — odparł. — Chodziłem, gdy było potrzeba, i biłem się, a w koszu nie rządziłem.

— Ale tyle lat po ostrowach ty naszych pływał i chodził — mówił — z ciebie przewodnik dla naszego nieprzyjaciela byłby straszny.

— A któż tu wasz nieprzyjaciel? — zapytał Płaza. Parfen mu nie dał mówić dalej.

— Kto? Wy tu wszyscy nasi nieprzyjaciele, bo my naród chłopski, a wy panowie szlachta i króliki. Wy tak samo nas głaskacie i płacicie jak i Tatarów i tak samo użyć gotowi, a gdyby się nadarzyła zřeczność, w pień wysiec. Z królem to co innego. Szlachta z nim się zadziera, my jemu pomoc gotowi...

Wtem jakby się opamiętawszy, że nadto był szczerym, dopił nagle wódkę, dłonią się po ustach uderzył.

— Milczeć! — zawołał po rusku. — Tu u was w Warszawie nawet my się zarazamy gadaniną i sami siebie zdradzamy.

Wstał Parfen, rękami jeszcze opatrując, czy zabrane listy dobrze mu do piersi przystały.

— No, *batku ne batku* — rzekł wesoło — bo już was nie wiem, jak teraz zwać, bogdajbyście się prędko na nogi podnieśli i wyzdrowieli. Sicz, kto to wie, gdybyście chcieli, i tu by się wami posłużyć mogła. My też panów rezydentów potrzebujemy, jak oto ci, co tu na dworze siedzą od różnych Niemców... Tylko nasz rezydent musi przestać na czosnku i gorzałce, bo my mu nie damy dużo, ale o tym gadać nie pora.

Lackowicz wtrącił, śmiejąc się i klepiąc go po szerokich plecach:

— Lepszego rezydenta jak wy nie dostaną. Parfen głową zaprzeczył.

— Nie — rzekł — bo ja na zamek nie pójdę i rozmówić się z panem bratem nie umiem.

Nim do mnie co dojdzie, tyle gąb przeżuje, naślini, poszarpie, że już nie poznasz, co to było. Jerema to co innego.

Nałożył kołpak na głowę.

— Zdrowi bądźcie.

— A wy zajdźcież do nas czasami — rzekł Płaza żegnając się.

— Nie potrzeba, aby mnie ludzie u was widywali — odparł Kozak — ani to dla mnie

zdrowo, ani dla was. Zechcecie co ode mnie, ja się kręcę koło gospód na tej Długiej ulicy, mnie nadybać łatwo, jam na nogach cały dzień.

Bietka, która pode drzwiami wszystkich prawie tych rozmów podsłuchiwała, niespokojną

będąc o ojca, trochę się teraz o niego mniej obawiała; ale dla niej życie nowe, po długim

nawyknieniu do ruchu i zajęć u dworu, do obyczajów jego, nawet do powszednich warunków, dość wydawało się smutnym. Była tu więcej panią czasu swego i czynności, lecz nie wiedziała, jak rozporządzić nimi.

Myśli jej leciały do biednego Nietykszy, spoglądała na pierścionek, powtarzała sobie, co

słyszała o starej matce, niepokoiła się tym, że jej o sobie znać nie dawał i nie powracał. Być zresztą mogło, że na dwór księcia Albrechta już się dostał, ale kanclerz należał do tych magnatów

ówczesnych, co nigdy prawie nie siedzieli w miejscu. Kilka tygodni w Ołyce, potem w Wilnie, to w Krakowskiem, to w stolicy, dwór i on zimę i lato w nieustannych spędzali wędrówkach. Mnóstwo interesów prywatnych, familijnych, urzędowych, przyjacielskich, sprawy w sądach niezliczone księciu kanclerzowi spoczywać nie dozwalały. Można też się go było i w Warszawie spodziewać.

Tęskniąc za Nietykszą, Bietka co dzień się spotykała z pięknym Lackowiczem, który w

początku się jej wydał rubasznym do zbytku, ale wielką służbistością powoli życzliwość pozyskał.

Prawda, że rozmowy z nim prowadzić o czym innym jak o Siczy lub o bardzo powszednich

rzeczach było trudno. Słuchał rad, mówić nie miał co. Czasem gdy dziecinne lata swe o głodzie i chłodzie przypominał, stawał się wymownym.

Bietka dla niego jak wielka pani jakaś i królowa wyglądała; ale też czcił ją i miłował jak chyba asceci Boga kochają. Nie marzyło mu się nawet, aby mógł więcej do niej się zbliżyć, choć Płaza żywił w głębi serca nadzieję, że córkę wyda za niego.

Lepszego opiekuna znaleźć dla niej nie mógł, a o kochaniu, miłości i szczególnym

przywiązaniu do kogoś, obyczajem wieku wcale wiedzieć nie chciał. Według jego teorii przystojny mężczyzna czemu się nie miał podobać? Ten czy inny, byle na przyszłość rękojmię dawał uczciwego pożycia.

Stary tej swej Bietki, rozmarzonej i zepsutej na dworze królewskim, wcale nie rozumiał. W

niej wiele dobrych przymiotów mieszało się w całość szczególną z wadami i dziwactwami, które wpoilo ocieranie się o najbezwstydniejsze służalstwo. Miała porywy szlachetne i chętki złośliwe, mściwą była, nieufną. A to, że jej się na dworze wpośród tyłu i tak rozmaitych zręcznych,

wstawionych intrygantów zawsze udawało wychodzić zwycięsko, wbijało ją w dumę.

Dwa razy Nietyksza za nią krew przelewał — czuła się mu wdzięczną i obowiązaną, ale matki jego nienawidziła. Czuła się coś wartą.

Tyłu zabiegało około niej, gdy była na dworze, iż mogła sobie zamążpójście szczęśliwe i

zamożne obiecywać. O Lackowiczu, który się jej wydawał stary, a był dla niej za poślednim

człowiekiem, ani pomyślała nigdy. Ale im dłużej Litwin jej kazał czekać na siebie, tym się jej duma czuła mocniej podrażnioną.

— Słowa mu dotrzymam — mówiła sobie — ale... za krew mu płacę moim upokorzeniem.

Cały świat rozpowiada, że on mnie nie chce.

Kiedy niekiedy to panna Duret z drugą towarzyszką do dworku na Nowe Miasto, to Bietka znudzona, sama biegła na zamek dowiadywać, co się tam dzieje.

Tam zaś to tylko było widocznym, że królowa rosła w potęgę, a król obojętniał na wszystko.

Miewał napady niecierpliwości dochodzące prawie do szaleństwa, a po nich wpadał w odrętwienie.

Od śmierci syna sprawy publiczne obchodziły go tylko o tyle, o ile miłość jego własną drażniły lub jej pochlebiały.

Pac jak był wprzód, pozostawał na tym upadlającym urzędzie, który mu jedna łaska pana, ale u ludzi pogardę.

Królewicz Jan Kazimierz, co od razu było przewidzianym, a nie- znośnie męczyło królowę,

panny jej fraucymeru prześladował miłostkami swymi, z których nie miał najmniejszej korzyści.

Wzdychał do pięknej panny Duret, a że des Essarts nad fraucymerem panowała, nadszkakiwał jej, co wszystko szło marnie. Obok panny Duret tych fantazyj w postaci panien, wdów, mężatek eks-kardynał tyle razem żywił, iż gdy mu się tu nie powodziło, miał się gdzie pocieszyć.

On i księżę Karol, brat jego, były to dwa tak sprzeczne charaktery, iż z sobą w parze nigdy iść nie mogły. Biskup wrocławski siedział zamknięty, modlił się, pisał sam wszystkie domu

swojego rachunki, sprowadzał do ogródka drzewa, cebule z Holandii, nasiona, niekiedy sam kopał

grządki, od ludzi stronił, czasu wiele spędzał na nabożeństwie, a na kobiety patrzeć nawet nie chciał. Nigdy się do żadnej nie zbliżył. Jedyłą wadą jego charakteru było, że się czasem unosił

gwałtownie, a naówczas zapominał aż do ostateczności.

Jan Kazimierz, niespokojny, zgorzkniały, skwaszony, zazdrosny, kapryśny, coraz pragnący

czegoś innego, był prawdziwym utrapieniem dla tych, co z nim obcować musieli. Toteż na zamku teraz panowało zamięszanie i prawdziwa wieża Babel. Jedną królową powagą swoją czasami

umiała powściągnąć Kazimierza, którą ją szanował i był posłusznym.

Ponieważ król chorzał ciągle i nikt mu długiego nie obiecywał życia, bo najmniejsza

nieostrożność mogła wywołać przesilenie choroby śmiertelne, wielcy statyści zawczasu już

przebąkiwali, kto weźmie po Władysławie spuściznę. Ale szeptano po cichu.

Stan duchowny nie był na zawadzie księciu Karolowi, bo papież, jak uwolnił Jana

Kazimierza od jego ślubów, tak mógł i brata jego sekularyzować. Poza tą dynastią, w której jeszcze jakaś kropelka krwi jagiellońskiej płynęła, nie wybiegano dalej myślami. Byli to kandydaci naturalni.

W jednej ze swych wycieczek do zamku Bietka, która tu zawsze się ożywiała, rozweselała

spotkała w kurytarzu niejakiego Tołoczkę, dworzanina kanclerza.

Był to dobrze jej znany przyjaciel Nietykszy.

— A wy tu co robicie? — zapytała go.

— Listy przywiozłem do króla jegomości od kanclerza — rzekł Tołoczko. — Pytałem o

was, powiedzieli mi, że już zamek opuściliście.

— Wygnali mnie! — śmiejąc się odezwało dziewczę. — Wydawałam się tak

niebezpieczną...

Rozmowa w kurytarzu nie była wygodną.

— Przyjdźcie do mnie, mieszkam z ojcem — odezwało się dziewczę.

Nazajutrz rano przystawił się Litwin. Płazy i jego przyjaciela nie było, ale Bietka, choć sama, przyjęła go.

Nie śmiała pytać o Nietykszę, bo jej wstyd było; sam jednak Tołoczko się domyślił, że ciekawą być musiała.

— Nietykszy matka nie puszcza od siebie — rzekł z uśmiechem — gwałtem go żenić chce, ale dotąd się jej nie udało.

Bietka milczała.

— Panny wszystkie piękne, a dobiera mu majątnych — mówił otwarcie gość — ale on na żadną patrzeć nie chce.

Z rumieńcem na twarzy słuchało dziewczę, gdy Tołoczko wyliczał jej wszystkie znajome sobie na wydaniu panny, opisując jak wyglądały.

— Już to — rzekł — żadna tam niestraszna, krom panny Ponikwickiej, bo ta i piękna jak

anioł... choć od was nie piękniejsza — poprawił się Tołoczko — i trzy wsie ma posagu, a gotówką, mówią, kilka jeszcze tysięcy. Stara Nietykszyzna jej krewną, więc ją do siebie do domu zabiera i po całych tygodniach trzyma. Choć syn na polowanie jeździ i wymyka się, przecież czasem w domu siedzieć też musi...

Puścił się tak Tołoczko niepotrzebnie w opowiadanie, którego ani jednym słowem nie

przerywała Bietka, ale gdy skończył, pożegnał się i odszedł, głowa się jej zakręciła, łzy rzuciły i zemdląca.

Trwało to chwilę tylko. Wstała mężna, a że po płaczu nigdy oczu umywać nie miała

zwyczaju, gdy ojciec powrócił, zastał ją z tak zaczerwienionymi powiekami, iż natychmiast spytał niespokojny:

— Co tobie? Tyś płakała? Bietka usiłowała się uśmiechnąć.

— E — rzekła — co za dziw, że głupia dziewczyna popłacze! Nie ma tam nic.

— Za czymże i za kim byś ty miała te swoje śliczne wypłakiwać oczy? — mówił dalej

Płaza, ramionami niecierpliwie poruszając. — Dałabyś sobie pokój! Na niczym ci nie zbywa i nie zbędzie, a jak zechcesz za męża iść, znajdziesz sobie.

— Ale ja za męża iść nie myślę wcale! — przerwała gwałtownie Bietka. — Ani mi w głowie!

Zakręciła się i wyszła.

Tego dnia i następnego okręcała ciągle na paluszku zaręczynowy pierścionek, pytając się siebie:

„Odesłać go czy nie?”

Zdawało się jej jednak, że Tołoczko mógł jeśli nie kłamać, to dokładać, a kto wie, nawet może namówionym być przez starą Nietykszynę. Postanowiła więc czekać, gdy wtem wypadki nadeszły, które jej całkiem o Nietykszy zapomnieć kazały.

Po oddaniu listów kanclerza Kozakowi Płaza długo w łóżku wytrzymać nie mógł. Parfena też widać nie było i wnosił stąd on i Lackowicz, że pewnie sam z nimi na Niż wyjechał, obawiając się je powierzyć komu. Nie potrzebował więc Płaza w łóżku się męczyć i ukrywać z sobą, bo z kanclerzem choćby się gdzie spotkał, ten by go pewnie ani przypomniał, ni poznał.

Wstawszy, on i jego towarzysz poczęli wychodzić na miasto, zbierając do dworku, co jeszcze do gospodarstwa brakowało. Stary Lasota uspokoił się co do listów zupełnie i obu im z wiernym towarzyszem zdawało się, że sprawa ubita, a na Siczy nałajawszy im, więcej o nich myśleć nie będą.

I jednego wieczora Płaza, znudzony się sam jeden, bo Lackowicz aż na Skarzyszew za czymś poszedł, wymknął się z dworku, obiecując, że rychło powróci. Tymczasem dobrze zmierzchno, Lackowicz z kupią przyszedł, wieczerza była gotowa, Płaza nie powracał.

Rzadko się trafiało, aby się spóźnił, ale nie była rzecz niepraktykowana, nakryto więc do stołu; czekała Bietka, od okna do okna chodząc, potem na ganek i aż do wrót, coraz bardziej niespokojna. Wreszcie i wierny towarzysz począł się troskać, co mu się to stać mogło. Chwycił za kołpak i wybiegł.

Noc nadeszła. Lackowicz, nigdzie go nie napytawszy, przyszedł pewien, że doma już zastanie. Znalazł tylko Bietkę rozgorączkowaną, poruszoną, przelękną — Płazy nie było.

Musiał mu się trafić przypadek jakiś, gdyż nigdy się tak nie zapominał i nie kazał czekać na siebie. Przyznawał towarzysz jego, że w istocie nie było to bez kozery; ale dokąd iść? gdzie pytać?

jak szukać?

Całą noc paliło się światło, siedziała Bietka popłakując, a Lackowicz chodził około dworku jak na warcie. Nadszedł ranek... Płazy nie było.

Oznajmiwszy się córce, iż idzie szukać i pytać, smutny i bardzo sam zatrwożony,

Lackowicz się puścił na miasto. A że Parfen kręcił się około gospód na Długiej ulicy i tam można było najpewniej go spotkać, poszedł naprzód, od jednej do drugiej wypatrując.

Kozaka nie było nigdzie, a o Płazie żadnej wiadomości.

Nie mając innej skazówki, pochodziwszy około zamku, przebłądziwszy przez ulic kilka,

zajrzawszy do izb pod wiechą, Lackowicz już z południa miał wrócić do dworku, gdy u bramy na Krakowskim spotkał się z jadącym konno Parfenem.

— Stój! Stój! — zawołał podchodząc i za cugle chwytając. — Nie wiecie co o Jeremie?

Parfen ramiona do góry podniósł.

— A toż chory leży!

— Nie, wstał wczoraj — odezwał się Lackowicz — p kiju poszedł się przejść na miasto i nie ma go dotąd.

— Zachorzał pewnie gdzie — rzekł obojętnie Kozak.

— A wy skąd jedziecie?

— Ja? — odparł Parfen. — Ja sobie tak w pole trochę ruszył,, bo mi tu było duszno w tym smrodzie.

To mówiąc Parfen na konia cmoknął i pojechał.

Z niczym do dworku powróciwszy, Kozak i Bietki nie zastał. Ta pobiegła na zamek do

Bieleckiego, o radę prosząc i o to, ażeby miejscy pachołkowie na mieście się dowiadywali.

Sama nie wiedziała, co począć, straciła głowę. Lackowicz chodził jak zabity.

Upłynęło dni dwa; trzy, nie zmieniło się nic, tylko Parfen przyszedł do dworku dowiedzieć

się o Jeremę; a gdy mu powiedziano, że go nie było i słucho o nim nie miano, zasepił się, potrząsnął głową i poszedł.

Bietce na zamku nie poszczęściło się, bo naówczas w mieście ani na dworze nie było takiego porządku i pilności, aby zagubionego człowieka inaczej jak wypadkiem znaleźć było można. Poruszyła ona wszystkie sprężyny, zaniepokoiła wszystkich, a skończyło się na tym, iż zniknięcie Płazy złożono na owe zaciągi cudzoziemskie, które rozłożone około Warszawy, tu jak wszędzie sobie bezkarnie pozwalały wiele.

Gdyby jednak zabitym był Płaza, znaleziono by trupa około miasta i na tych pustych placach, na których po nocach rozbijano. W żadnej z gospód nikt go nie widział, Było coś dziwnie tajemniczego w tym nagłym, bez najmniejszego śladu zniknięciu człowieka spokojnego, który nigdy nikomu wody nie zmaćcił, a powierzchownością skromną nie mógł rabusiów znęcić. Był zaś mimo wieku tak silny, że się dwu i trzech nie uląkł i bez szabli swej krokiem z domu nie ruszył nigdy.

Bietka ze łzami dotarła aż do królowej, rzuciła się jej do nóg, ale Maria Ludwika nic jej poradzić nie mogła. Marszałek zaś Kazanowski, którego ciwunowa uprosiła, swoich pacholków porozsyłał, zalecił im szukać, dowiadywać się, naznaczył nawet nagrodę, a i tonie pomogło.

Ksiądz Stoczek co dzień na intencję przyjaciela odprawiał nabożeństwo.

Upłynęło tak tygodni parę, a Lackowicz, który dotąd mieszkał we dworku, zmiarkował, że tu mu teraz, gdy jedno dziewczę samo zostało, nie wypada siedzieć dłużej. Związał więc mały węzełek swój i zważpiwszy już o Płazie, myślał ruszyć do Krakowa. Bietka uprzejmą była dla niego, ale nie okazywała najmniejszej czułości ani dopominała się opieki.

Gdy jednak przyszło mu dworek i Warszawę opuszczać, poczuł taką jakąś tęsknotę i trwogę, że mu sił zabrakło.

Z dworku musiał się wynosić. Jednego więc rana, związawszy rzeczy, poszedł do Bietki.

— Mnie tu nie ma co robić — rzekł po prostu — a widzi mi się, nie mogę ja z wami tak mieszkać, ni przyjaciel, ni sługa. Zechcecie co ode mnie...

Nie dała mu dokończyć Bietka. — Cóż wy myślicie poczynać?

— Służby sobie szukać. Zamilczała, wcale go nie wstrzymując.

— Ojciec mi mówił — dodała po chwili — że wam winien wiele. Potrzebujecie czego, mówcie mi otwarcie.

Lackowicz głową potrząsnął.

— Ojciec wasz — rzekł — dał mi już, ile potrzebowałem.

— Dopóki jesteście w Warszawie, dowiadujcie się do mnie — dokończyło dziewczę.

— No, a wy — nieśmiało odezwał się przyjaciel — co myślicie?

— Muszę czekać, nie straciłam jeszcze nadziei — odparła po cichu Bietka — a potem?

Sama nie wiem.

Zostawszy z jedną służką sama we dworku, nie bardzo się czując tu bezpieczną, myślała już sierota przenieść się do Bieleckich, potem Łukasz jej nastręczył stróża, za którego ręczył — pozostała jeszcze we dworku.

Co się z Płaza stało? Biedna łamała sobie głowę, nie mogła zrozumieć ni zgadnąć.

Lackowicz nie mówił jej nic, on się domyślał. Wejrzenie ukośne i mina Parfena, ile razy się spotkali, mówiły wiele, chociaż w rozmowie Kozak tak bolał nad losem Płazy i tak różne domysły czynił, jakby w świecie o niczym nie wiedział. Upłynęło miesięcy kilka.

Bietka już straciła wszelką nadzieję wyszukania ojca, a nawet dowiedzenia się o losie jego, gdy przybywający do Warszawy książę Albrecht, o którym się dowiedziała, przypomniał jej

Nietykszę. Sądziła, że pewnie się znajdzie w orszaku kanclerza, ale nie było go. Przyszedł tylko w kilka dni jakiś Woroszyłło, przyjaciel jego, z pozdrowieniem niby...

Na twarzy jego widać było taką komizerację, że Bietka się już najgorszych wiadomości od

Nietykszy mogła spodziewać, a nie mogąc ich doczekać, wręcz sama o niego spytała.

— E, paniusiu moja — odezwał się Woroszyłło — to bałamut... Już nie myślcie o nim.

Pobladło dziewczę, ale chłodno i mężnie dodało: — No, cóż? Ożenił się z Ponikwicką?

Rzucił się aż Woroszyłło zdziwiony.

— Skądże wy o tym wiecie? — zawołał.

Zamiast odpowiedzi zobaczył dwa strumienie łez tylko.

— Nie mam co już obwijać przed wami — począł wzdychając. — Przywiozłem list i

pierścionek. Nie będę go tłumaczył, paniusiu moja, bo słowo dał i dotrzymać go był powinien, ale matka jak mu się rozchorzała, jak na śmiertelnym łożu poczęła go zaklinać, że nie umrze spokojną, póki go ożenionym nie zobaczy, biedaczysko ulec musiał.

Bietka z zakąszonymi usty słuchała. Powoli zdjęła z palca pierścionek zaręczyn, który tyle razy całowała i łzami oblewała, i położyła go spokojnie dosyć przed Woroszyłą, który naprzód listu dostał z za żupanika, a potem pudełeczka z pierścieniem. List wzięwszy w ręce, Bietka, nie rozłamując pieczęci, w oczach Woroszyłą rzuciła do komina, na którym ogień płonął, a pierścionek swój włożyła do kieszeni.

— Tak tedy — rzekła sucho — wszystko, dzięki Bogu, skończone. Zawsze to lepiej, niż w niepewności zostawać. Dziękuję wam; powiedzcie, że mu szczęścia życzę.

Zmięszany poseł widząc, że się jej swobodnie wypłakać było potrzeba, wstał, pocałował ją w rękę i poszedł.

Gdybyśmy treść tego opowiadania czerpali z fantazji, łącno by było powieści dać

zakończenie mniej prozaiczne, niż w istocie los zrządził. Bietka wypłakała się, ale uraza i gniew powstrzymały i osuszyły jej łzy. Opowiedziała o tym, co ją spotkało, pannie Duret, która naturalnie powtórzyła królowej. Maria Ludwika kazała Bietce przyjść do siebie. Starła się ją pocieszyć, chciała dać miejsce przy sobie, ale dziewczę podziękowało. Myśli jej trudno było odgadnąć.

Pozostała Bietka swobodną. Piękność, łaska królowej, wreszcie głuche wieści, że ojciec jej znaczny posąg zostawił, zwabiały ciągle starających się, których ze wzgardą i gniewem odpychała, szydząc nielitościwie z miłosnych ich zapałów.

Upłynął tak rok i dwa, więcej, dziewczę zaczęło starzeć, a choć piękność jej zachowała się długo, charakter wielce się zmienił. Ksiądz Stoczek, który często ją odwiedzał (dopóki był w Warszawie, gdyż później się stąd wyniósł, jak się to może powie jeszcze) wpłynął zapewne na to, iż Bietka stała się bardzo pobożną. Spędzała część dnia w jednym z kościołów, a potem kilka godzin u Bieleckich lub u królowej.

Pobożność ta uczyniła ją dla ludzi surową bardzo. Obawiano się jej i unikano — kobiety szczególnie.

Maria Ludwika, ciągle ją widząc z różańcem i pobożną książką w ręku (właśnie naówczas żeński klasztor zakładała), starała się bardzo namówić i wciągnąć do niego.

— Nie mam powołania — odparła otwarcie Bietka — do siedzenia w zamknięciu i klatce.

Zakonnica by ze mnie zła była, a dewotką mogę być nie gorszą od innych.

Szydła tak czasem i sama z siebie. O Płazie nigdy nikt żadnej nie powziął wiadomości.

Przyjaciół jego, który dostał się do książąt Ostrogskich na służbę, pracował niesłychanie nad odkryciem tej tajemnicy, nie zdobył jednak nic.

Gdy później rebelia kozacka dotknęła tak okrutnie Rzeczpospolitą, znikł i ów Parfen z

Warszawy, który sam jeden może mógł coś wiedzieć o tym.

Document Outline

- [ROZDZIAŁ I](#)
- [ROZDZIAŁ II](#)
- [ROZDZIAŁ III](#)
- [ROZDZIAŁ IV](#)
- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ROZDZIAŁ VII](#)
- [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [ROZDZIAŁ IX](#)
- [ROZDZIAŁ I](#)
- [ROZDZIAŁ II](#)
- [ROZDZIAŁ III](#)
- [ROZDZIAŁ IV](#)
- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ROZDZIAŁ VII](#)
- [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [ROZDZIAŁ IX](#)
- [ROZDZIAŁ I](#)
- [ROZDZIAŁ II](#)
- [ROZDZIAŁ III](#)
- [ROZDZIAŁ IV](#)
- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ROZDZIAŁ VII](#)
- [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [ROZDZIAŁ IX](#)